

Lucius Shepard

Zielony Kocur Diabła

(Life During Wartime)

Tłum. Andrzej Ziembicki

Dla Terry'ego Carra

Przepustka

*Zawsze ta sama historia Czterech Rzymian poległo,
Kartagińczyków pięciu...*

Federico Garcia Lorca

Rozdział 1

Jeden z nowych helikopterów bojowych typu sikorsky stanowiących wyposażenie I Dywizji Kawalerii Powietrznej, z wymalowanymi na burcie słowami „Szepcząca Śmierć”, podrzucił Mingollę, Gilbeya i Baylora z Mrówczej Farmy do San Francisco de Juticlan, małego miasta położonego w strefie zielonej, którą na najnowszych mapach określano mianem Wolnej Okupowanej Gwatemali. Na wschód od strefy zielonej leżała nie nazwana wstęga żółta, przecinająca kraj od granicy Meksyku po Morze Karaibskie. Mrówcza Farma była bazą artyleryjską na wschodnim skraju żółtej wstęgi i z niej właśnie niespełna dwudziestoletni artylerzysta Mingolla miotał pociski na obszar, który mapy przedstawiały za pomocą białych i czarnych znaków terenowych. I dlatego często myślał o sobie jak o kimś zaangażowanym w walkę o ocalenie świata dla kolorów podstawowych.

Mingolla i jego kumple mogli spędzić urlop w Rio albo w Caracas, spostrzegli jednak, że ludzie, którzy odwiedzali te miasta, są po powrocie nieostrożni; wnioskując stąd, że im obfitszy program przepustki, tym prawdopodobniejsze, iż człowiek skończy jako poległy, zawsze optowali za skromniejszymi rozrywkami miast gwatemalskich. Niebyli prawdziwymi przyjaciółmi; mając ze sobą niewiele wspólnego, w odmiennych okolicznościach mogliby z powodzeniem być wrogami. Ale jednocześnie wykorzystywanie przepustek stało się stopniowo rytuałem przetrwania i gdy tylko dotarli do upatrzonego miasta, podążali osobnymi szlakami, oddając się kolejnym rytuałom. Przeżywszy już tak wiele, zakładali, że jeśli tylko będą powtarzać te same obrządki, bez uszczerbku zakończą swoje wyprawy. Nigdy się sobie nie zwieriali z tego przeświadczenia, mówiąc o nim – co też stanowiło część rytuału – tylko oględnie, a gdyby je kwestionowano, przyznaliby, że jest irracjonalne, podkreślając wszelako, iż narzuca je osobliwy charakter wojny.

Helikopter osiadł w położonej milę na zachód od miasta bazie lotniczej: na cementowym pasie otoczonym z trzech stron przez koszary i biura, za którymi piętrzyła się dżungla. Na środku pasa inny sikorsky – pijana ważka w barwach ochronnych – ćwiczył starty i lądowania, a dwa inne wisiały w górze jak zaniepokojeni rodzice. Kiedy Mingolla zeskoczył na ziemię, wietrzyk zatrzepotał jego koszulą. Pierwszy raz od wielu tygodni miał na sobie ciuchy cywilne, które w porównaniu z drelichami polowymi wydawały się wiotkie; rozejrzył się nerwowo, niemal oczekując, że niewidoczny wróg wykorzysta fakt, iż się odsłonił. Jacyś mechanicy wylegiwali się w cieniu śmigłowca, którego kabina została rozwalona tak, że tylko podobne do kłów ułamki plastyku sterczały z osmalonego metalu. Między budynkami to tu, to tam, toczyły się zakurzone dżipy; dwóch wykrochmalonych na sztywno poruczników żwawym krokiem zmierzało wprost do widłaka wysoko załadowanego aluminiowymi trumnami. Popołudniowe słońce zapalało race na ich spawach i uchwytych, a widoczna przez gorącą mgiełkę odległa linia baraków kołysała się

jak fale niespokojnego brudnooliwkowego morza. Niespójność tej sceny, jej „Co nie pasuje do tego obrazka?”, mieszanina straszego z powszednim, aż Mingollę skrzyła. Drżała mu lewa dłoń, zdawało się, że blask potężnie, przyprawiając go o zawrót głowy i osłabienie. Żeby odzyskać równowagę, wsparł się o wyrzutnię raketową sikorsky’ego. Gdzieś wysoko na ciemnobłękitnym bezmiarze niebios rozmywały się smugi kondensacyjne, XL-16 leciały wywalić w Nikaragui parę dziur. Spoglądał w ślad za nimi z uczuciem podobnym do tęsknoty, próbując wyłowić dźwięk ich silników, ale słyszał tylko głęboki szept sikorskich.

Z luku wiodącego na umiejscowiony za kabiną pilotów pokład komputerowy wyskoczył Gilbey; strzepnął z dzinsów wyimaginowany kurz, niespiesznie podszedł do Mingolli i stanął z dłońmi na biodrach: niski, muskularny chłopak, który dzięki ostrzyżonym najeża włosom i skrzywionym wargom wyglądał jak złośliwy dzieciak. Potem z luku wystawił głowę Baylor i z troską omiół wzrokiem horyzont, by dopiero po chwili zeskoczyć. Był wysoki, kościsty i kilka lat starszy od Mingolli; miał gładkie czarne włosy, pryszczatą oliwkową skórę i rysy tak ostre, jakby wyciosano je siekierką. Wsparł dłoń na burcie sikorsky’ego, ale niemal natychmiast, gdy spostrzegł, że dotyka płomienistej litery S w „Szepczącej Śmierci”, jak oparzony szarpnął dłoń ku sobie. Trzy dni temu dokonano totalnego ataku na Mrówczą Farmę i Baylor jeszcze się nie otrząsnął.

Ani Mingolla. Trudno było ocenić, czy Gilbeya rzecz poruszyła, czy nie.

Jeden z pilotów Sikorsky’ego otworzył drzwiczki kabiny.

– Okazję do Frisco możecie złapać w kantynie – powie dział głosem zduszonym przez czarny bąbel osłony, na którym słońce zapaliło biały refleks, co stwarzało iluzję, że hełm mieści w sobie noc i jedną tylko gwiazdę.

– Gdzie ta kantyna? – zapytał Gilbey. Zdużonej odpowiedzi pilota nie dało się zrozumieć.

– Co? – zapytał Gilbey.

Znów słowa pilota były stłumione i Gilbey zaczął się złościć.

– Zdejmij to cholerstwo! – powiedział.

– To? – Pilot wskazał osłonę twarzy. – A po co?

– Żebym słyszał, do diabła, co mówisz!

– Ale teraz słyszysz, nie?

– Okay – wycedził Gilbey przez zęby. – Gdzie ta cholerna kantyna?

Odpowiedź pilota była niezrozumiała; w nieodgadnionym zamiarze jego pozbawiona rysów maska wpatrywała się w Gilbeya.

Gilbey zacisnął pięści.

– Zdejmij to kurewstwo!

– Nie da się tego zrobić, żołnierzu – powiedział drugi pilot, wychylając się z drzwiczek tak, że dwa czarne bąble zna lazły się niemal tuż obok siebie. – Te tu bajery – klepnął swoją osłonę –

mają mikroukłady i one dosłownie promieniują nam gnojkami w oczy. Działają na nerw wzrokowy. Sprawiają, że widzimy bereciarzy, nawet jak są w przyczajce. Im dłużej to nosimy, tym lepiej widzimy.

Baybr zaśmiał się nerwowo, a Gilbey powiedział:

– Kit!

Mingolla pojął naturalnie, że piloci podpuszczają Gilbeya lub że ich niechęć do zdejmowania hełmów bierze się z przesądu, może nawet wmówionego sobie przekonania, iż osłony istotnie obdarzają ich szczególnie mocą.

Ale w wojnie, podczas której fasowało się narkotyki bojowe, a espery przewidywali ruchy nieprzyjaciela, wszystko było możliwe, nawet mikroukłady poprawiające wzrok.

– Tak czy siak, wcale byśmy się wam nie spodobali – powiedział pierwszy pilot. – Promienie nam psują urodę. Jesteśmy zdeformowane wysyny.

– Oczywiście, możecie wcale nie zauważyć zmian – dodał drugi pilot. – Kupa luda nie zauważa. Ale jakbyście dostrzegli, to by was skreśliło.

Wizja deformacji pilotów posłała przez ciało Mingolli zrodzony gdzieś w żołądku dreszcz mdłości. Gilbey jednak nie kupował.

– Myślicie, że jestem durny!?! – wrzasnął, a szyja mu spurpurowiała.

– Nie – odparł pierwszy pilot. – Widzimy, że nie jesteś durny. Dzięki tym promieniom zauważamy wiele rzeczy, których nie dostrzegają inni.

– Najrozmaitsze niesamowitości – zawtórował drugi pilot.

– Na przykład dusze.

– Zjawy.

– Nawet przyszłość.

– Przyszłość to nasz najlepszy numer – stwierdził pierwszy pilot. – Jak chcecie, chłopaki, wiedzieć, co was czeka, to wam powiemy.

Jak na komendę skinęli głowami, a promień słońca prześlizgnął się po obu osłonach: dwa demoniczne, jednakowo zaprogramowane roboty.

Gilbey rzucił się ku drzwiom kabiny. Pierwszy pilot zatrzasnął drzwiczki, a Gilbey, wywrzaskując przekleństwa, jął łomotać w plastik. Drugi pilot wcisnął przełącznik na tablicy rozdzielczej i chwilę później zadudnił jego wzmocniony głos:

– Idźcie prosto obok tego widłaka, a dojdziecie do koszar.

Traficie wprost do kantyny.

Trzeba było połączonych sił Mingolli i Baylora, żeby od sikorsky'ego oderwać Gilbeya, który przestał wrzeszczeć dopiero obok widłaka z ładunkiem trumien: olbrzymim skarbem monstualnych sztab srebra. Wówczas się uspokoił i opuścił wzrok.

Przed kantyną załapali się fuksem na kurs do miasta z kapralem żandarmerii polowej, a gdy

dżip mrucał już po betonie, Mingolla obejrzał się na sikorski'ego, którym tu przybyli. Obaj piloci, rozłożywszy na ziemi brezentową płachtę, opalali się rozebrani do gatek. Ale hełmów nie zdjęli. Osobliwe zestawienie smagłych ciał i połyskliwe czarnych głów niepokoiło Mingollę, przypominając mu stary film, w którym pewien gość dostał się do teleportera razem z muchą” i wyszedł z jej głową na ramionach. Może, pomyślał, takie właśnie są te hełmy: nie da się ich zdjąć. Może aż tak niezwykła stała się ta wojna.

Kapral żandarmerii spostrzegł, że Mingolla przygląda się pilotom, i parsknął szczekliwym śmiechem.

– Ci faceci – powiedział z bezbarwnym naciskiem kogoś, kto wie, o czym mówi – to pojebane świry.

Sześć lat temu San Francisco de Juticlan było luźnym skupiskiem chat krytych strzechą i betonowych zwalistych budowli rozrzuconych wśród palm i bananowców na wschodnim brzegu Rio Dulce, w miejscu przecięcia rzeki i piaszczystej drogi, która się łączyła z Autostradą Panamerykańską; od tego czasu rozrosło się jednak tak bardzo, że zajęło poważne tereny na obydwu brzegach, powiększone o tuziny barów i burdeli – stiukowych sześcianów wymalowanych wszystkimi kolorami tęczy, z fantastycznym bestiariuszem neonów umieszczonych na ich cynowych dachach: smoki, jednorożce, centaury. Kapral MP wyjaśnił, że te znaki nie są reklamami, lecz zaszyfowanymi symbolami dumy; na przykład z wizerunku skrzydlatego czerwonego tygrysa, przyczajonego pośród zielonych lili i błękitnych krzyży, można wywnioskować, że właściciel jest zamożny, należy do tajnego stowarzyszenia katolickiego i nie ma jednoznacznej opinii na temat polityki rządu. Stare znaki nieustannie demontowano, by wzniesć w ich miejsce nowe, większe i zdobniejsze, jako symbole rosnących zysków, a ta walka światła i obrazów była adekwatna do czasu i miejsca, bo San Francisco de Juticlan w mniejszym stopniu było miastem, a w większym – symptomem wojny. Choć nocne niebo roilo się tu od gwiazd, na ziemi działo się parszywie i plugawie. Na wysypiskach śmieci stadami buszowały bezpańskie psy, zatwardziałe kurwy spluwały z okien i, wedle słów kaprała, nie było czymś nadzwyczajnym potknąć się o trupa, najpewniej ofiarę gangów bezdomnych dzieci koczujących na obrzeżach dżungli. Między barami biegły wąskie uliczki, których brązową glinę zaścielały warstwy spłaszczonych puszek, fekaliów i potłuczonego szkła; na każdym rogu zebrali uciekinierzy, obnażając poparzeliny i rany po kulach. Wiele budynków wzniesiono w takim pośpiechu, że ich ściany były pochyle, a dachy koślawe, co sprawiało, że cienie, jakie rzucały – niczym z obrazu psychopatycznego malarza, który wizualnie daje wyraz podminowującym go napięciom – były aż przesadne w swej poszarpanej ostrości. A przecież idąc przez miasto, Mingolla czuł się na luzie, prawie szczęśliwy. Jego nastrój brał się po części z przecucia, że to będzie cholernie udany kawałek przepustki (a nauczył się dowierzać swoim przecuciom), głównie jednak wynikał z faktu, iż miasta takie jak to stały się dlań rodzajem życia

pozagrobowego, nagrodą za przetrwanie surowego wyroku istnienia.

Kapral wysadził ich przy drogerii, gdzie Mingolla kupił pudełko papeterii, a potem wpadli na drinka do Club Demonio, małego lokaliku, którego białe ściany wypolerowane były aż do nikłej fosforescencji światłem zwisających z sufitu jak radioaktywne owoce purpurowych żarówek. Klub był nabity; klienci – żołnierze i dziwki – przeważnie siedzieli przy stolikach wokół parkietu niewiele większego niż podwójny materac. Dwie pary kołysały się w rytm ballady płynącej z szafy grającej chronionej zabudową z kantówki i drutu, a welony dymu papierosowego z podwodną powolnością dryfowały nad ich głowami. Niektórzy żołnierze międlili swoje dziwki, jedna z nich próbowała ukraść portfel partnera, który był już niemal całkowitym denatem; jedną dłonią obrabiała mu krocze, sprawiając, że wyrzucał do przodu biodra, a wówczas drugą wyciągała portfel wetknięty w tylną kieszeń obcisłych dżinsów. Ale cała ta akcja wydawała się apatyczna, wymuszona, jak gdyby zgęstniałe od mroku i karmelkowej muzyki powietrze krępowало ruchy.

Mingolla zajął stołek przy barze. Barman, którego źrenice zamknęły w sobie purpurowe refleksy, popatrzył nań pytająco i Mingolla powiedział:

– Piwo.

– Hej, obadaj to! – Gilbey osunął się na sąsiedni stołek i gestem kciuka wskazał kurwę przy końcu baru. Jej spódnica – była podciągnięta do pól uda, a piersi, sądząc z kubatury i jędrności, stanowiły sukces chemochirurgii.

– Niezła – bez zainteresowania odparł Mingolla. Barman postawił przed nim butelkę piwa. Pociągnął łyk; było kwaskowe, wodniste, niczym destylat zatechłego powietrza.

Baylor opadł na stołek obok Gilbeya i zanurzył twarz w dłoniach. Gilbey powiedział doń coś, czego Mingolla nie dosłyszał, a Baylor dźwignął głowę.

– Nie wracam – oznajmił.

– Och, Jezu – rzekł Gilbey. – Nie zaczynaj znowu pieprzyć.

Półmrok zaklejał oczodoły Baylora skrzepami cieni. Jego wzrok skupił się na Mingolli.

– Następnym razem nas dostaną – powiedział. – Powinniśmy ruszyć w dół rzeki. W Livingston są łodzie, którymi można dotrzeć do Panamy.

– Panama! – skrzywił się Gilbey. – Wszystko, co tam masz, to jeszcze większa kupa bereciarzy.

– Na Farmie nic nam nie grozi – wtrącił Mingolla. – Jak się robi za gorąco, to nas wycofają.

– „Za gorąco”. – Na skroni Baylora pulsowała żyła. – Co to znaczy, do kurwy nędzy, „za gorąco”?

– O kant dupy! – Gilbey podniósł się ze stołka. – Ty z nim gadaj, człowieku – powiedział do Mingolli, a wskazując cypatą dziwkę, dodał: – Ja tam zamierzam się wdrapać na ten Mount Silicon.

– Dziewiąta – rzekł Mingo lla. – W kantynie. OK?

Gilbey powiedział „taaa” i odpłynął. Baylor zajął jego stołek i pochylił się ku Mingolli.

– Wiesz, że mam rację – powiedział natarczywym szeptem. – Tym razem prawie nas załatwili.

– Kawaleria Powietrzna da im radę – stwierdził Mingo lla z udaną nonszalancją. Otworzył pudełko papeterii i z kieszonki koszuli wyjął pióro.

– Wiesz, że mam rację – powtórzył Baylor.

Udając roztargnienie, Mingo lla przytknął pióro do ust.

– Kawaleria – rzekł Baylor ze śmiechem rozpaczy – Kawaleria Powietrzna może sobie wsadzić!

– Może byś puścił jakiś przyzwoity kawałek? – zasugerował Mingo lla. – Zobacz, czy mają w tym pudle jakiegoś Prowlera.

– Cholera! – Baylor złapał go za nadgarstek. – Czy ty nie rozumiesz, człowieku? Ten syf już się nie sprawdza!

Mingo lla strząsnął jego dłoń.

– Zmiany ci się zachciewa, co? – rzucił zimno. – Zmienić to ja ci mogę forszę do szafy.

Z kieszeni spodni wyciągnął garść monet i cisnął je na bar. – O, proszę bardzo.

– Powiadam ci..

– Nie chcę tego słuchać! – warknął Mingo lla.

– Nie chcesz tego słuchać? – spytał z niedowierzaniem Baylor. Był o włos od utraty samokontroli. Jego ciemna twarz lśniła od potu, jedna powieka drgała. Z naciskiem walił w szynkwasa. – Człowieku, lepiej posłuchaj! Bo jeśli nie wykręcimy czegoś szybko, ale to naprawdę szybko, zdechniemy! Słyszysz, nie?

Mingo lla chwycił go za przód koszuli.

– Zamknij się!

– Nie zamierzam się zamknąć! – skrzeknął Baylor. – Wy z Gilbeyem, człowieku, myślicie, że ocalicie dupską, chowając głowy w piasek. Ale zmuszę was do słuchania!

Odrzucił głowę do tyłu i jego głos przeszedł we wrzask:

– Zdechniemy!

Sposób, w jaki wrzeszczał – niemal radośnie, jak szczeniak wykrzykujący plugastwa, żeby zrobić rodzicom na złość – wkurzył Mingo llę. Rzygać mu się chciało od scen Baylora. Nie mając właściwie takiego zamiaru, dał mu w zęby, ale w ostatniej chwili osłabił siłę ciosu. Wciąż trzymając koszulę, rąbnął go w szczękę, ot, wystarczająco, żeby głowa odskoczyła do tyłu.

Oszołomiony Baylor z rozdziawioną gębą zamrugał oczami, a z dziąseł pociekła mu krew. Po przeciwnej stronie szynkwasa barman wsparty o ustawioną jak chór kompozycję z butelek obserwował Mingo llę i Baylora; patrzyło też paru żołnierzy: wyglądali na zadowolonych, licząc

jakby na szczyptę przemocy, która trochę ożywi atmosferę. Mingolla czuł się upodlony ich zainteresowaniem, wstydził się własnej brutalności.

– Hej, człowieku, przykro mi – powiedział. – Ja...

– Gównu mnie obchodzi, że ci przykro – odrzekł Baylor, rozcierając wargi. – Wszystko mnie gównu obchodzi z wyjątkiem tego, żeby się stąd zabrać do diabła.

– Daj sobie spokój, dobra?

Ale Baylor nie zamierzał dać sobie spokoju. Wciąż dyskutował, przybierając przesycony długim cierpieniem ton ko goś, kto zachowuje się mężnie w obliczu wielkiej niesprawiedliwości. Mingolla próbował go zignorować, wpatrując się w etykietę swej butelki piwa: był na niej czerwono-czarny wizerunek gwatemalskiego żołnierza unoszącego karabin w geście zwycięstwa. Udany projekt, uznał, przywiódł mu na myśl te plakaty, które sam robił, nim go powołano – ale gdy się wzięło pod uwagę zawodność oddziałów gwatemalskich, heroiczna poza wojaka zakrawała na żart. Paznokciem kciuka wydrapał rysę przez środek nalepki.

W końcu Baylor odpuścił i siedział cicho, bezmyślnie wpatrzony w wypaczony fornir szynkwasu. Mingolla pozwolił mu na to przez minutę, a potem zapytał, nie odrywając wzroku od swojej butelki:

– Może byś tak puścił jakiś przyzwoity kawałek?

Baylor wbił brodę w pierś i uparcie milczał.

– To jedyne, co możesz zrobić, człowieku – ciągnął Mingolla. – Bo co ci jeszcze zostaje?

– Jesteś szalony – rzekł Baylor. Błysnął wzrokiem w stronę Mingolla i wysyczał to jak zniewagę: – Szalony!

– Sam chcesz się zabrać do Panamy? Hu, hu, hu. Wiesz, – że we trzech coś żeśmy nakręcili. Razem dobrnęliśmy aż dotąd i jeśli tylko nie zmięknie, razem wrócimy do domciu.

– Nie wiem – odparł Baylor. – Nic już nie wiem.

– Spójrz na to w ten sposób – rzekł Mingolla. – Może wszyscy mamy rację. Może Panama to jest jakiś pomysł, ale po prostu jeszcze nie czas. Jeśli to prawda, dojrzejemy do tego z Gilbeyem wcześniej czy później.

Z ciężkim sercem Baylor się podniósł.

– Nigdy do tego nie dojrzejesz, człowieku – powiedział zniechęcony.

Mingolla łyknął piwa.

– Sprawdź, czy mają w szafie jakiegoś Prowlera. Mam nastrój na Prowlera.

Baylor stał przez chwilę niezdecydowany. Ruszył ku szafie grającej, potem się odwrócił w stronę drzwi. Mingolla się sprężył, gotów za nim pobiec, ale Baylor stanął i wrócił do baru. Napięcie nakreśliło na jego czole głębokie bruzdy.

– Okay – wydusił. – Okay. Jutro o której? Dziewiąta?

– Punkt – odwracając się, odparł Mingolla. – Kantyna.

Kątem oka dostrzegł, że Baybr przemierza salę i pochyla się nad szafą grającą, aby zobaczyć, co w niej mają. Poczul ulgę. Tak się właśnie zaczynały ich wszystkie przepustki. Gilbey leciał za kurwą, Baybr puszczał płyty, a on pisał do domu. Podczas pierwszej przepustki opisał rodzicom wojnę i jej dziwaczne formy wzajemnego wyniszczania się; potem, uświadomiwszy sobie, że taki list zaniepokoi matkę, podarł go i napisał inny, w którym donosił po prostu, iż u niego wszystko w porządku. Podarł również ten list, ale rozważał, jak by zareagował ojciec, gdyby go przeczytał. Pewnie gniewem. Jego ojciec wierzył bez zastrzeżeń w Boga i ojczyznę, i choć Mingolla pojmował daremność odwoływania się do jakiegokolwiek kodeksu moralnego w obliczu szaleństwa, które go teraz otacza, przekonał się, że coś z doktryny ojca zostało mu jednak zaszczipione; nigdy nie potrafiłby zdezerterować, tak jak nalegał Baybr. Wiedział, iż to nie takie proste, że również inne czynniki są odpowiedzialne za jego oddanie służbie, skoro jednak ojciec z radością przyjąłby na siebie odpowiedzialność za ten fakt, Mingolla skłaniał się, by winę zwalić właśnie na niego. Próbował sobie wyobrazić, co jego rodzice robią w tym właśnie momencie – ojciec ogląda Metsów w telewizji, matka grzebie w ogródku – i z tym obrazem przed oczami zaczął pisać: Kochani Mamo i Tato, pytaliście w Waszym ostatnim liście, czy moim zdaniem wygrywamy te wojnę. Tu, u nas, w odpowiedzi na to pytanie reagują najczęściej tępymi spojrzeniami, bo większość ludzi ma taką wizję wojny, w której ostateczny wynik nie jest istotny. Jeden mój znajomy facet zapodaje tekst o tym, jak to wojna jest operacją magiczną o olbrzymich proporcjach, jak przemieszczenia samolotów i pododdziałów wypisują na obliczu rzeczywistości mistyczny znak i jak – żeby przeżyć – musisz wykombinować swoją pozycję w ramach wzoru i odpowiednio do tego się zachować. Mam pewność, że w Waszych uszach zabrmi to obłędnie, ale tu wszyscy są na swój sposób obłąkani (w istocie jeden konował przeprowadził badania na temat skali przesądów pośród sił okupacyjnych). Szukają magii, która zagwarantuje przeżycie. Może trudno Wam będzie uwierzyć, że podpisuję się pod rzeczami tego rodzaju, ale czynię to. Wyrzynam swoje inicjały na pociskach, noszę pod hełmem papuzie pióra... i robię jeszcze wiele innych rzeczy.

Żeby wrócić do Waszego pytania: staram się wykrzesać z siebie coś więcej niż tępe spojrzenie, ale nie potrafię dać Wam prostego „tak” albo „nie”. Aż tak zgrabnie nie da się tego wszystkiego podsumować. Ale mogę zilustrować sytuację pewną historią, którą zaraz opowiem, i pozwolić Wam samym wyciągnąć wnioski. Setki opowieści spełniłyby tę rolę, ale przychodzi mi do głowy akurat ta, która dotyczy Zaginionego Patrolu...

Z szafy grającej huknął utwór Prowlera i Mingolla przerwał pisanie, żeby posłuchać: była to wściekła, porywająca muzyka, napędzana tą samą, jak się zdawało, agresywną paranoją, której kulminacją stała się wojna. Ludzie odtrącali krzesła, przewracali stoliki, żeby tańczyć na opróżnionych miejscach; ściśnięci jak śledzie mogli się tylko tasować w rytm muzyki, ale ich przytupywanie rozkołysało żarówki na końcach przewodów i na ściany zaczęła bryzgać

purpurowa poświata. Szczupła ospowata dziwka przecisnęła się, by tańczyć przed Mingolla, rzucając piersiami i wyciągając doń ramiona. Jej trupiobladą w nierównym świetle twarz zdobił równie trupi uśmiech. Z jednego oka, jak rodzaj śmiertelnej wydzieliny, ściekła kropla potu zmieszanego z tuszem. Mingolla nie miał żadnej pewności, że widzi kurwę prawidłowo. Jego lewa dłoń poczęła drżeć i na kilka sekund cała scena utraciła dlań spójność. Wydawało się, że wszystko jest rozbite, nierozpoznawalne, ujęte w autonomiczne, rozdzielne konteksty, kłębowisko bezsensownych przedmiotów miotanych w górę i w dół falą obłąkanej muzyki. Potem ktoś otworzył drzwi, wpuszczając do środka smugę słońca i sala wróciła do normy. Nachmurzona dziwka odsunęła się w tańcu od Mingolli i łatwiej już było oddychać. Ustępowało drzenie ręki. W pobliżu drzwi dostrzegł Baylora rozmawiającego z plugawym Gwatemalczykiem; prawdopodobnie dealera koki.

Koka stanowiła panaceum Baylora, jego remedium na strach i rozpacz. Zawsze wracał z przepustek z przeszklonymi oczami, skłonnością do krwotoków z nosa, chwając się, jaki to niekiepski towar zdołał kupić. Zadowolony, że Baylor postępuje zgodnie z rytuałem, Mingolla wrócił do listu.

Pamiętacie, jak Wam pisałem, że Zielone Berety biorą narkotyki dla zwiększenia sprawności bojowej? Prawie wszyscy nazywają ten narkotyk „Sarniny”, co jest skrótem od „samuraj „. Ma postać ampułek – kiedy potrzywasz taką ampułkę przed nosem, przez następne pół godziny czujesz się jak skrzyżowanie kawalera orderu „Za Odwagę” z Supermanem. Problem polega na tym, że wielu Zielonych przedawkowuje, a potem im odbija. Sprzedaje się go również na czarnym rynku i są faceci, którzy biorą go dla sportu. Wąchają i walczą ze sobą na arenie... coś jak ludzkie walki kogutów.

Tak czy siak, jakieś dwa lata temu pododdział Beretów poszedł na patrol do Szmaragdowej Strefy Ogniowej niedaleko od mojej bazy i nie wrócił. Uznano ich za zaginionych podczas akcji. Jakis miesiąc później ktoś zaczął podprowadzać ampułki z rozmaitych lazaretów. Najpierw zwalano te przestępstwa na partyzantów, ale potem lekarz zauważył włamywaczy i stwierdził, że to Amerykanie. Mieli na sobie sparszywiałe mundury i zachowywali się jak szajbusy. Według opisu lekarza malarz wykonał portret ich przywódcy, który okazał się sobowtórem sierżanta z Zaginionego Patrolu. Później widywano ich w najrozmaitszych miejscach. Niekiedy świadectwa tych spotkań były jawnie fałszywe, inne jednak wydawały się autentyczne. Mówiono, że zestrzelili parę naszych helikopterów i w pobliżu Zacapas rozwalili kolumnę zaopatrzenia.

Prawdę mówiąc, nigdy nie miałem specjalnego nabożeństwa do tej historii, do czasu gdy cztery miesiące temu ten piechociarz wylazł z dżungli i zameldował się w naszej bazie artyleryjskiej. Twierdził, że został schwytany przez Zaginiony Patrol, i kiedy usłyszałem tę opowieść, uwierzyłem mu. Wedle jego słów, oświadczyli, iż nie są już Amerykanami, lecz

obywatelami dżungli. Żyli jak zwierzęta, śpiąc pod liśćmi palmy, i na okrągło niuchali ampułki. Poszaleli, a le stali się zarazem geniuszami przetrwania. O dżungli wiedzieli wszystko – kiedy ma się zmienić pogoda, jakie zwierzęta są w pobliżu... I mieli tę swoją wariacką religię osnutą na przeświecających przez listowie promieniach słońca. Siadywali w tych promieniach jak święci obdarzani boskim błogosławieństwem, bredząc o czystości światła, radości zabijania i nowym świecie, jaki zamierzają stworzyć.

I to właśnie przychodzi mi na myśl, gdy zadajecie swoje pytania, Mamo i Tato. Zaginiony Patrol. Nie usiłuję ostrożnie pokazać okropieństw wojny. W zady m razie. Myśląc o chłopcach z Zaginionego Patrolu, nie myślą wcale, jak są żałośni i szaleni. Zastanawiam się, co oni dostrzegają w tym świetle, czy to coś może im być pomocne.

I może tu leży Wasza odpowiedź.

Słońce chyliło się ku zachodowi, gdy Mingolla opuścił bar, żeby rozpocząć drugą część swego rytuału: włóczyć się po dzielnicy tubylczej jak Bogu ducha winny turysta, i uczestniczyć we wszystkim, co się trafi – zjeść kolację z rodziną gwatemalską, skumpłować się z żołnierzem z innej jednostki i pójść do kościoła albo może powałęsać się z jakimiś małolatami, które go będą wypytywać o Amerykę. Wszystkie te rzeczy robił już na dawniejszych przepustkach i udawana niewinność zawsze go bawiła. Gdyby dał się ponieść nakazom wewnętrznym, wypaliłby koszmarny bazy artyleryjskiej dziwkami i narkotykiem, ale na pierwszej przepustce – ogłuszony doświadczeniem walki, złąkniony samotności – wybrał długi spacer i był zdecydowany nie tylko go powtórzyć, lecz również odtworzyć jego oszałamiającą duchową aurę: odwalenie rytuału na pół gwizdka nie było żadnym rozwiązaniem. W tym momencie, wzięwszy pod uwagę ostatnie wydarzenia na Mrówczej Farmie, nie musiał zbytnio się starać o obudzenie w sobie chaosu duchowego.

Rio Dulce była szeroką błękitną rzeką o lekko pomarszczonej powierzchni. Tuż za klombami żółtej trzciny, porastającej jakby murem oba brzegi, wznosiła się dżungla. W miejscu, gdzie zwirowa droga dotykała rzeki, do betonowego nabrzeża przycumowana była barka służąca jako prom; miała już swój pełny ładunek pojazdów – dwie ciężarówki – i około trzydziestu pasażerów. Mingolla wszedł na pokład i stanął obok trzech piechocińców, którzy wciąż mieli na sobie swój rynsztunek bojowy i hełmy; trzymali w dłoniach dwulufowe karabiny podłączone giętkimi przewodami do komputerów plecakowych; przez zadymione osłony twarzy Mingolla widział zielone refleksy odczytów monitora. Czuł się w ich obecności nieswojo, bo przypominali mu tamtych pilotów, zakłopotanie jednak minęło, gdy, zdjąwszy hełmy, udowodnili, że mają normalne ludzkie twarze. Przez trzecią część szerokości rzeki, jak rekwizyt z pejzażu Dalego, rozciągała się biała cementowa arkada wsparta na smukłych kolumnach: most, którego budowy zaniechano. Tuż przed lądowaniem Mingolla dostrzegł go z powietrza i nie poświęcił mu zbyt wiele uwagi; teraz widok ten uderzył weń jak grom. Sprawiał pozór nie tyle nie dokończonego

mostu, ile pomnika jakiejś podniosłej idei, piękniejszego niż jakikolwiek most zakończony.

I gdy Mingolla stał oczarowany w oleistym smrodliwym dymie barki, poczuł, że ma w sobie odpowiednik tego pięknego łukowatego kształtu, że on sam też jest gwałtownie urwaną drogą. Poczul przez to w sobie śmiałość do tego, aby dostrzegać pokrewieństwo między sobą a tym wyniosłym pięknem, a nawet przez moment pozwolił sobie wierzyć, że on też – co by sugerował pnący się w górę końcowy fragment mostu – ma swój punkt spełnienia leżący dalej niż ten, który zaplanowali architekci jego losu.

Na brzegu zachodnim, poza granicami miasta, zwirową drogę obstały kramy, szkieletowe konstrukcje z cienkich słupków kryte palmowymi liśćmi. Ganiały między nimi dzieciaki, udając, że celują i strzelają do siebie z łodyg trzciny cukrowej. Żołnierzy nie widziało się prawie wcale. Tłumy wędrujące drogą składały się przeważnie z Indian: młodych par zbyt wstydliwych, by się trzymać za ręce; zagubionych z pozoru starców, którzy grzebali w śmieciach swoimi laskami; pękatych matron robiących z powodu wysokich cen pełne oburzenia miny; bosych, sztywnych, jakby kij połknęli, posepnieclicy rolników z pieniędzmi w węzełkach z chustek do nosa. Na jednym ze straganów Mingolla kupił kanapkę i coca colę. Siadłszy na stołku, posilał się z zadowoleniem, smakując gorący chleb i zapieczoną w nim rybę, i obserwował mijający go pochód. W górze poczynały się piętrzyć napływające z południa, od strony Karaibów, szare chmury; od czasu do czasu przelot XL-16 kreślił na niebie strzałę wskazującą na północ, w stronę pól roponośnych za jeziorem Bectabal, gdzie się toczyły zacięte walki. Zapadał zmierzch. Światła miasta coraz ostrzej odcinały się od krwistoczerwonego tła. Brzęczały gitary, śpiewały chropawe głosy, tłum rzedniał. Mingolla zamówił następną kanapkę i coca colę. Rozparłszy się, tonął w dobrej magii krainy, słodczy chwili. Obok straganu z kanapkami cztery stare kobiety siedziały w kucki wokół ognia, przygotowując potrawkę z kurczęcia i frytki kukurydziane; z płomieni ulatywały strzępki sadzy i w miarę pogłębiania się mroku narastało wrażenie, iż strzępki te są fragmentami układanki tworzącej w górze obraz bezgwiazdnej nocy.

Ciemność napierała, tłum znów zgęstniał i Mingolla podjął swój spacer, wędrując mimo kramów ozdobionych naszyjnikami żarówek porozwieszanych na słupkach konstrukcji i podłączonych kablami do prądnic, których terkot zagłuszał rechotanie żab i cykanie świerszczy. Kramów z plastikowymi różańcami, chińskimi nożami sprężynowymi i cynowymi latarniami; kramów, gdzie sprzedawano haftowane indiańskie koszule, obszerne portki i drewniane maski; takich wreszcie, w których starcy w wyszarpanych marynarkach siedzieli po turecku obok piramid melonów, pomidorów i zielonej papryki z zatkniętymi na szczycie w roztopiony wosk świecami, przez co wyglądały jak prymitywne ołtarze. Śmiech, wrzask, zachęty sprzedawców. Mingolla chłonał aromatyczny dym z węgla drzewnego i odór gnijących owoców. Zaczął niespiesznie łączyć od straganu do straganu, kupować pamiątki dla przyjaciół z Nowego Jorku, czując się cząstką krzątaniny, gwaru, lśniącego powietrza, aż w końcu doszedł do kramu, wokół

którego, zasłaniając wszystko poza strzechą, zgromadziło się czterdziestu lub pięćdziesięciu ludzi. Rozległ się wzmocniony okrzyk kobiety:

– LA MARIPOSA!

Podniecone wrzaski tłumu. I znów okrzyk kobiety:

– EL CUCHILLO!

Dwa słowa, które wykrzyknęła – motyl i nóż – zaintrygowały Mingollę, który zerknął nad głowami gapiów.

Obramowana strzechą i koślawymi palikami młoda ciemnoskóra kobieta kręciła korbką, która obracała klatkę z drutu: klatka, przymocowana do podstawy z drewna, wypełniona była białymi plastikowymi sześcinikami. Dziewczyna miała czarne włosy, odrzucone do tyłu i związane na karku, ubrana zaś była w czerwoną plażową sukienkę bez ramiączek. Przestała kręcić i sięgnąwszy do klatki na chybił trafił, wyciągnęła jeden z sześciników. Obejrzawszy go, ujęła mikrofon i krzyknęła:

– LA LUNA!

Przez tłum przepchnął się brodaty gość i wręczył jej kartonik, który sprawdziła, przyrównując do kilku uszeregowanych na desce pudełeczek. Potem wręczyła brodatemu facetowi parę gwatemalskich banknotów.

Kompozycja całej sceny gry przemówiła Mingolli do wyobraźni. Ciemnoskóra kobieta, jej czerwona suknia i tajemnicze słowa, runiczny cień drucianej klatki – wszystko to sprawiało wrażenie magiczne jak obraz z okultystycznego snu. Część tłumu usunęła się, podążając za zwycięzcą i Mingolla pozwolił, by nowi przybysze przepchnęli go do przodu. Zajął stanowisko w rogu straganu, utrzymał je mimo falowania gęstwy ludzkiej i spojrzawszy w górę, dostrzegł, że kobieta uśmiecha się doń z odległości paru stóp, trzymając w wyciągniętej dłoni kartonik i ogryzek ołówka.

– Tylko dziesięć gwatemalskich centów – powiedziała po angielsku z amerykańskim akcentem.

Ludzie otaczający Mingollę uśmiechami i klepaniem po plecach zachęcali go, żeby zagrał. Ale nie potrzebował zachęty. Wiedział, że wygra – było to najwyraźniejsze przeczucie, jakie miał kiedykolwiek, i głównie ta kobieta dała mu impuls. Czuł, że go przyciąga z ogromną siłą. Był tak, jakby stanowiła źródło gorąca... i nie tylko gorąca, lecz również żywotności i zmysłowości; teraz, gdy się znalazł w jej orbicie, czuł, że opływa go ten żar, uświadamiając mu napięcie seksualne, jakie między nimi powstaje, a zarazem pewność wygranej. Moc jej czaru zaskoczyła go, pierwsze wrażenie powiedziało mu bowiem, że nie jest piękna mimo swego egzotycznego wyglądu. Choć smukła, miała odrobinę zbyt szerokie biodra, a piersi, wysoko sklepione i ujęte w oddzielne miseczki obcisłego stanika, były dość małe. Rysy jej twarzy, która podobnie jak barwa skóry miała cechy Indian ze wschodu, nieco zbyt grube i zmysłowe, klóciły się z drobną

strukturą kostną. A przecież miały tyle wyrazu i były tak doskonale rzeźbione, że te dysproporcje wydawały się zaletą. Gdyby ta twarz była odrobinę pełniejsza, mogłaby należeć do jednej z owych klęczących obok tronu Kryszny służebnic, które się widuje na hinduskich malowidłach religijnych. Bardzo seksowna, bardzo pogodna. Ta pogoda, uznał Mingolla, nie była tylko makijażem. Sięgała głębiej. Ale w tym momencie bardziej interesowały go jej piersi. Przyjemnie wyglądały podane tak do przodu, połyskliwe od powłoczki potu. Dwie porcje rozedrganego budyniu.

Kobieta machnęła kartonikiem, a on go przyjął: uproszczoną kartę do bingo z symbolami w miejscu liter i numerów.

– Powodzenia – rzekła i roześmiała się, jakby reagując na jakąś swoją uszczypliwość. Potem zaczęła kręcić klatką.

Mingolla nie rozpoznawał wielu z wywoływanych przez nią słów, ale przylgnął doń jakiś starzec, który ukazywał odpowiednią klatkę, ilekroć następowały trafienia. Wkrótce kilka rzędów było niemal wypełnionych.

– LA MANZANA! – zakrzyknęła kobieta, a staruszek pociągnął Mingollę za rękaw i wrzasnął:

– SE GANÓ!

Kiedy kobieta sprawdzała jego kartkę, Mingolla rozmyślał o tajemnicy, jaką sobą przedstawiała. Przez swój spokój, doskonałą angielszczyznę i pochodzenie z wyższych sfer, na które te dwie wcześniejsze cechy mogłyby wskazywać, nie pasowała do tego miejsca. Może była uczennicą, której wojna przerwała edukację... choć na to jest chyba za stara. Wnioskował, że ma jakieś dwadzieścia dwa albo trzy lata. Może więc studentka. Ale tej teorii nie uzasadniało dostrzegalne w niej obycie i rzeczowość. Patrzył, jak jej spojrzenie śmiga między kartonikiem, a plastikowymi sześcianami. Spojrzenie wielkich oczu o ciężkich powiekach. Białka tak ostro kontrastowały z ciemną skórą, że aż wydawały się nienaturalne: mleczne kamienie o czarnych jądrach.

– Widzisz? – powiedziała, wręczając mu wygraną, około trzech dolarów, i następną kartę.

– Co widzisz? – zapytał Mingolla zbity z tropu.

Ale zaczęła od nowa kręcić klatką.

Wygrał trzy z siedmiu następnych kart. Ludzie gratulowali mu, w zdumieniu potrząsając głowami; starzec przysunął się jeszcze bliżej, sugerując językiem znaków, że to on jest czynnikiem, któremu Mingolla zawdzięcza uśmiech fortuny. Mingolla jednak był podenerwowany. Podstawą jego rytuału była zasada drobnych cudów i choć miał pewność, że kobieta szachrowała na jego korzyść (takie, wnioskował, było znaczenie jej śmiechu, jej „A widzisz?”), choć dopisujące mu szczęście nie było prawdziwym szczęściem, jego nadmiar stwarzał zagrożenie dla reguły. Przegrał trzy karty pod rząd, ale potem wygrał dwie z czterech

i zdenerwował się jeszcze bardziej. Rozwazał myśl o odejściu. Co jednak, jeśli to jest szczęście? Rejterada może go skłócić z prawidłowością wyższego rzędu, wtrącić w kolizję z jakimś procesem kosmicznym i ściągnąć nieszczęście. Była to myśl nonsensowna, lecz nie potrafił się zmusić do stawienia czoła tej wątej szansie, że jest jednak słuszna.

Wygrywał nadal. Ludzie, którzy mu gratulowali, odeszli w złych nastrojach, a kiedy pozostała już tylko garstka uczestników, kobieta zwinęła grę. Z cienia zmaterializowała się brudny jak nieboskie stworzenie mały ulicznik i począł demontować sprzęt: odkręcać drucianą klatkę, odłączać mikrofon, wkładać do pudła plastikowe sześciiany i upychać to wszystko do jutowego worka. Kobieta wyszła zza lady i wsparła się o jeden ze słupków w nośnych. Z półśmiechem przekrzywiła głowę, przyglądając się Mingolli, a potem, gdy tylko obustronne milczenie zaczęło się dawać we znaki, powiedziała:

– Mam na imię Debora.

– David – Mingolla był spięty jak czternastolatek; musiał się opierać chęci wsadzenia dłoni w kieszenie i odwrócenia wzroku. – Dlaczego oszukiwałaś? – zapytał. Usiłując skryć zdenerwowanie, wypowiedział te słowa za głośno; zabrzmiały jak zarzut.

– Chciałam zwrócić twoją uwagę – odparła. – Jestem.. jestem tobą zainteresowana. Nie zauważyłeś?

– Nie chciałem niczego takiego zakładać.

Roześmiała się.

– Pochwalam! Zawsze najlepiej zachowywać ostrożność.

Spodobał mu się jej śmiech. Brzmiał tak naturalnie, że przyszło mu na myśl, iż Debora potrafi się radować najdrobniejszą miłą rzeczą.

Minęło ich trzech idących ramię w ramię, zawodzących po pijacku mężczyzn. Jeden z nich wrzasnął coś do Debory, a ona odpowiedziała gniewną salwą hiszpańszczyzny. Mingolla przypuszczał, że znieważono ją za przestawanie z Amerykaninem.

– Może powinniśmy gdzieś iść – powiedział. – Zmyć się z ulic.

– Jak tylko skończy – skinęła w stronę chłopaka, który zdejmował teraz sznur żarówek. – Zabawne – rzekła. – Sama mam dar, a zwykle czuję się niezręcznie w pobliżu kogoś, kto również go ma. Ale z tobą jest inaczej.

– Dar? – Mingolla sądził, że wie, o co jej chodzi, ale chytrze się z tym nie zdradzał.

– Jak wy to nazywacie? ESP? Porzucił chęć kategorycznego zaprzeczenia.

– Nigdy tego nie nazywałem – powiedział.

– Jest w tobie silny. Jestem zaskoczona, że nie służysz w Korpusie Parapsychicznym.

Chciał jej zaimponować, od ziać się płaszczem tajemniczy nie mniejszej niż jej tajemnica.

– A skąd wiesz, że nie służę?

– Jestem pewna. – Wyciągnęła spod lady czarną torebkę.

– Po terapii narkotykowej w darze, w tym, jak się manifestuje, zachodzi zmiana. Po pierwsze, przestaje być aż tak gorący. -

Podniosła wzrok znad torebki. – A może nie odbierasz go w taki sposób? Jako ciepło?

– Przebywałem w towarzystwie ludzi, którzy wydawali mi się gorący – odparł. – Ale nie wiedziałem, co to oznacza.

– To właśnie oznacza... czasami. – Wetknęła do torebki kilka banknotów. – Dlaczego więc nie jesteś w Korpusie Psi?

Mingolla sięgnął pamięcią do swej pierwszej rozmowy z agentem Korpusu, bladym łysiejącym mężczyzną, którego oczy i ich najbliższa otoczka miały ten sam niewinny wygląd, jaki charakteryzuje niekiedy ślepców. Kiedy Mingolla mówił, agent obmacywał kółko, które Mingolla dał mu do potrzymania, nie zwracając żadnej uwagi na słowa, ale patrząc w roztargnieniu w dal, jakby wsłuchany w echa.

– Próbowali mnie zwerbować za wszelką cenę – powiedział Mingolla. – Ale bałem się narkotyków. Słyszałem, że mają niebezpieczne efekty uboczne.

– Masz szczęście, że rekrutowali na ochotnika – rzekła.

-Tu po prostu biorą cię za łeb.

Chłopczyk coś do niej powiedział, przerzucił przez ramię jutowy worek i po gwałtownej wymianie hiszpańskich słów pobiegł ku rzece. Tłumy wciąż były gęste, ale zamknięto już przeszło połowę kramów; te, które wciąż działały, wyglądały ze swymi strzechami, koralikami świateł i spowitymi w szale niewiastami jak rozrzucone w mroku prymitywne szopki bożonarodzeniowe. W dali, za straganami, neony włączały się i wyłączały: chaotyczna menażeria srebrnych orłów, szkarłatnych pajaków i niebieskich smoków. Obserwując, jak płoną i znikają, Mingolla doświadczył zawrotów głowy. Podobnie jak w Club Demonio, otoczenie poczynało tracić spójność.

– Źle się czujesz? – zapytała.

– Jestem po prostu zmęczony.

Odwróciła go przodem do siebie i oparła dłonie na jego ramionach.

– Nie – powiedziała. – To coś innego.

Ciężar jej dłoni i zapach perfum pozwoliły mu wrócić do równowagi.

– Parę dni temu był atak na bazę artyleryjską – powiedział.

– To jeszcze we mnie jest, kapujesz.

Lekko ścisnęła mu ramiona i odstąpiła.

– Może mogę coś zrobić.

Powiedziała to z takim naciskiem, że uznał, iż ma na myśli coś konkretnego.

– Jak to? – zapytał.

– Opowiem ci przy kolacji... to znaczy, jeśli postawisz. – Uspokajająco ujęła go pod ramię. –

Przynajmniej tyle jesteś mi winien, nie sądzisz? Po całej tej szczęśliwej passie.

– A ty dlaczego nie jesteś w Korpusie? – zapytał, kiedy ruszyli.

Nie odpowiedziała od razu; szła z pochyloną głową, kopiąc stopą strzęp celo fanu. Wędrowali niezbyt ludną ulicą o flankowaną z jednej strony przez rzekę, kanał niemrawego czarnego lakieru, z drugiej zaś przez pozbawione okien zaplecza jakichś barów. W górze, za kratownicą wsporników, neonowy lew roztaczał złowieszczy zielony nimb.

– Byłam w szkole w Miami, kiedy rozpoczęto tu testowanie – powiedziała w końcu. – A kiedy wróciłam do domu, moja rodzina trafiła pod lufę Departamentu Szóstego. Wiesz coś o Departamencie Szóstym?

– Słyszałem to i owo.

– Sadyści nie nadają się na sprawnych biurokratów. Tego samego dnia, co nas, uwięziono mnóstwo ludzi. Wszyscy mieli być poddani testom, ale strażnicy zaczęli tłuc kogo popadło, zapanował chaos i w końcu nikt już nie wiedział, kogo prze badano, a kogo nie. Sporo osób przeszło bez testów.

Ich kroki skrzypiały na żwirze, dobiegające z równoległej ulicy gardłowe głosy z płyt domagały się miłości.

– I co się stało? – zapytał Mingolla.

– Z moimi? – wzruszyła ramionami. – Nie żyją. Nikt się nie zatroszczył, żeby to potwierdzić. Nie było trzeba. To znaczy potwierdzać. – Przeszli w milczeniu kilka kroków. – A co do mnie... – W kąciuku jej ust nabrzmiał mięsień. – Zrobiłam to, do czego mnie zmuszono.

Kusiło go, żeby zapytać o szczegóły, a le się rozmyślił.

– Przykro mi – rzekł, a potem zbeształ się za tak banalną odzywkę.

Minęli bar, nad którym królowała uśmiechnięta czerwono – purpurowa małpa. Mingolla się zastanawiał, czy te jaśniejsze sylwetki mają sens dla lornetujących ze wzgórz partyzantów – czy wygasłe jarzeniówki sygnalizują czas ataku albo przemieszczenia jednostek. Spojrzał na Deborahę kątem oka. Nie wyglądała już na tak przygnębioną jak sekundę wcześniej, i to się zgadzało z wrażeniem, że jej emocjom nie brak siły, ale są trzymane na wodzy i manifestowane tylko dla utrzymania formy. Gdzieś znad rzeki dobiegło pojedyncze plaśnięcie: jakaś drobina zimnokrwistego życia musnęła na moment powierzchnię, by wnet powrócić do swego długiego nieświadomego rejsu przez mrok... i jego życie tak naprawdę nie było inne, choć przebiegało z mniejszym wdziękiem. Jakże dziwnie było iść obok tej kobiety, która roztaczała ciepło jak płomień świecy, gdy ziemia i niebo stapiały się w czarny gaz, a neonowe totemy stały w górze na warcie.

– Gównno – powiedziała Debora pod nosem. Był zaskoczony, usłyszawszy, jak przeklina.

– O co chodzi?

– O nic – odparła ciężko. – Po prostu „gównno”. – Wyciągnął rękę i przyspieszyła kroku. –

Jesteśmy na miejscu.

Restauracja była tanią jadłodajnią i zajmowała parter hotelu: piętrowego budynku z żółtego cementu, nad którego wejściem pobzykiwał neon reklamowy Fanty. Wokół niego setkami roily się ćmy, połyskując bielą na tle mroku, a przed schodami stała grupka nastoletnich chłopców, którzy ciskali nożami w iguanę przywiązaną za tylne łapy do balustrady. Iguana miała bursztynowe ślepią, skórę koloru gotowanej kapusty i szarpała się na końcu swego sznura, wbijając w ziemię pazury i łukowato prężąc grzbiet jak gotujący się do lotu smok wielkości flaszki. Kiedy Mingolla podchodził z Deborą, jeden z chłopców zaliczył trafienie w ogon, który strzelił wysoko w górę, wytrząsając nóż. Dla uczczenia sukcesu chłopcy puścili w kurs butelkę rumu.

Prócz kelnera – pękatego młodego faceta wspartego o framugę drzwi wiodących do zadymionej kuchni – w lokalu nie było nikogo. Jarzące się pod sufitem lampy odbijały się w tłustych plamach, plastikowych serwetach; w ich świetle zdawało się, że nierówno położona żółta farba ocieka ze ścian. Cementową podłogę pstrzyły ciemne plamy, które, jak się Mingolla przekonał, były rozgniecionymi ścierwami owadów. Jedzenie wszakże okazało się zupełnie dobre i Mingolla pochłonął talerz kurczęcia z ryżem, nim jeszcze Debora dojrzała do połowy swojego. Jadła z namysłem, długo przeżuując każdy kęs, i ciężar rozmowy spadł na niego. Opowiadał jej o Nowym Jorku, o swoim małowaniu, o tym, jak zainteresowało się nim kilka galerii, choć był jeszcze studentem. Porównywał swoje prace do Rauschenberga, do Silvestre'a. Nie tak dobre oczywiście. Jeszcze nie. Odnosił wrażenie, że wszystko, co jej mówił – nawet zupełnie nie związane z chwilą – utwierdzało ich związek, rozsuwało między nimi subtelne więzy; miał wizję siebie i jej spowitych w siatkę świetlistych nici służących za przewodniki przyciągającym ich ku sobie siłom. Czuł teraz jej ciepło silniej niż kiedykolwiek. Jak to jest, myślał, gdy człowiek się z nią kocha, gdy jest pochłaniany przez ten nierzeczywisty żar. W chwili, gdy mu to przyszło do głowy, uśmiechnęła się, jakby tknięta tym samym dylematem. Pragnął uprawomocnić to poczucie intymności, powiedzieć jej coś, czego nie mówił nikomu i tak, mając tylko jeden ważny sekret, opowiedział o rytuale. Odłożyła widelec i przewierciła go przenikliwym spojrzeniem.

– Przecież nie możesz naprawdę w to wierzyć – stwierdziła.

– Wiem, że to brzmi...

– Śmiesznie – wtrąciła. – Tak to właśnie brzmi.

– Taka jest prawda – odrzekł prowokacyjnie.

Na powrót ujęła widelec i zaczęła przesuwając nim ziarnka ryżu.

– Jak to u ciebie wygląda – zapytała – kiedy masz przecucie? To znaczy, co się dzieje? Masz sny, słyszysz głosy?

– Czasem po prostu wiem rozmaite rzeczy – odparł zaskoczony nieoczekiwaną zmianą

tematu. – A czasem widzę obrazy. Jak w telewizorze, który nie działa prawidłowo. Najpierw mgła, a potem ostry obraz.

– U mnie to są sny. I halucynacje. Nie wiem, jak to inaczej nazwać. – Zaciśnęła wargi, a potem westchnęła, podjąwszy, jak się zdawało, jakąś decyzję. – Gdy zobaczyłam cię pierwszy raz, tylko przez sekundę, miałeś na sobie ryszunek bojowy. Wejścia na rękawicach, przewody podłączone do hełmu. Osłona twarzy była roztraskana, a sama twarz... biała i zakrwawiona. – Wyciągnęła dłoń, by położyć na jego ręce. – To, co widziałam, było bardzo wyraźne, David. Nie możesz wrócić.

Nie opisywał jej ryszunku artylerzysty i nie mogła go też w żaden sposób zobaczyć. Zapytał wstrząśnięty:

– Gdzie mam iść?

– Do Panamy – odparła. – Pomogę ci tam dotrzeć.

Wszystko w niej nabrało sensu. Mogłes ją znaleźć, całe tuziny takich jak ona, w każdym przyfrontowym mieście. Głoszących pacyfizm, zachęcających do dezercji. Altruistek, przeważnie powiązanych z partyzantką. I stąd, pojął, musiała znać jego wyposażenie. Prawdopodobnie zbierała informacje na temat rozmaitych jednostek, by dodać autentyzmu swym dramatycznym rewelacjom. Nie zmalała przez to jej wartość w jego oczach; wręcz przeciwnie – wzrosła o jeden stopień. Rozmawiając z nim, ryzykowała życie. Ale jej tajemnica zblakła.

– Nie mogę tego zrobić – powiedział.

– Dlaczego? Czy mi nie wierzysz?

– Nic by się nie zmieniło, gdybym wierzył.

– Ja...

– Posłuchaj – przerwał. – Ten mój kumpel, on mnie zawsze namawia do dezercji i były chwile, kiedy chciałem to zrobić. Ale to jest mi obce. Moje stopy nie ruszą w tym kierunku. Może tego nie zrozumiesz, ale tak właśnie jest.

– Ta dziecinna rzecz, którą robisz ze swymi dwoma przyjaciółmi – zapytała po chwili przerwy. – To ona cię tu trzyma, co?

– Nie jest dziecinna.

– Jest dokładnie taka. Przypominasz dziecko, które wracając w ciemnościach do domu, wierzy, że jeśli nie będzie oglądać się na cienie, nic z nich na niego nie wyskoczy.

– Nie rozumiesz – powiedział.

– Tak, myślę, że nie rozumiem. – Rozzłoszczona rzuciła serwetkę na stół i z uporem wbiła wzrok w swój talerz, jakby czytając z kurczących kości jakąś przepowiednię.

– Porozmawiajmy o czymś innym – zaproponował Mingolla.

– Muszę iść – odparła chłodno.

– Przez to, że nie chcę zdezerterować?

– Przez to, co się z tobą stanie, jeśli tego nie uczynisz. – Pochyliła się ku niemu i mówiła głosem gardłowym z podniecenia. – Przez to, że wiedząc o twojej przyszłości to, co wiem, nie chcę wylądować z tobą w łóżku.

Siła jej emocji obudziła w nim lęk. Może i mówiła prawdę. Ale odrzucił tę możliwość.

– Zostań – powiedział. – Jeszcze o tym porozmawiamy.

– Nie posłuchasz. – Wzięła torebkę i wstała. Wolniutko podpłynął kelner, położył rachunek obok talerza Mingolli i wyciągnąwszy z kieszeni fartucha plastikowy woreczek marihuany, zadymał nim przed oczami Mingolli.

– Trzeba ją wprowadzić w nastrój, człowieku – powiedział.

Debora skłęła go po hiszpańsku. Wzruszył ramionami i odszedł swym ospałym krokiem, który był reklamą proponowanego przed chwilą towaru.

– Spotkajmy się więc jutro – rzekł Mingolla. – Jutro możemy jeszcze o tym pogadać.

– Nie.

– Dlaczego nie dasz mi szansy? – zapytał. – Kapujesz, to wszystko wali się na mnie za szybko. Przyjeżdżam tu dziś po południu, poznaję cię, a godzinę później ty mówisz: „Śmierć jest w kartach, jedyna twoja nadzieja to Panama”. Potrzebuję czasu, żeby to przemyśleć. Może jutro będę miał inny pogląd.

Jej rysy złagodniały, ale przecząco pokręciła głową; nie.

– Czy nie uważasz, że warto?

Opuściła wzrok, walcząc przez moment z suwakiem torebki, a potem westchnęła smętnie.

– Gdzie chciałbyś się spotkać?

– Co byś powiedziała o nabrzeżu po tej stronie? Koło południa.

Zawahała się.

– W porządku. – Przeszła na jego stronę stolika i pochyliwszy się, musnęła wargami policzek Mingolli. Próbował ją przyciągnąć i pogłębić pocałunek, ale się wyslizgnęła. Czuł zawroty głowy, uderzały weń fale gorąca.

– Naprawdę tam będziesz? – upewniał się.

Skinęła głową, ale sprawiała wrażenie udręczonej. I nie odwróciła się przed zejściem ze schodów.

Mingolla siedział przez chwilę, rozmyślając o pocałunku, o zawartej w nim obietnicy. Mógłby tak siedzieć nawet dłużej, ale wtoczyło się trzech pijanych żołnierzy, którzy zaczęli przewracać krzesła i robić kelnerowi piekło. Zirytowany Mingolla podszedł do drzwi i stanął w nich, wdychając wilgotne powietrze. Ćmy w rozrzuconych skupiskach pokrywały reklamę Fanty, próbując dotrzeć jak najbliżej zamkniętego w niej świetlistego ciepła; poczuł więź z nimi, wspólnotę dążenia do niemożliwego. Zaczął schodzić, ale nagle stanął jak wryty. Chłopcy zniknęli, ale iguana, którą schwytali, krwawa i nieruchoma leżała na najniższym stopniu. Z rany

w jej gardle ciekły błękitno-szarawe strużki. Był to tak jawny znak niefartu, że Mingolla zawrócił i zameldował się w hotelu nad restauracją.

Korytarze hotelu cuchnęły moczem i środkami dezynfekującymi. W jedne z drzwi łomotał pijany Indianin z rozpiętym rozporkiem i okrwawionymi wargami. Gdy Mingolla go mijał, Indianin się skłonił, wykonując obszerny wymach ręki, parodię powitania. Potem wrócił do swojego łomotania. Pokój Mingolli okazał się pozbawioną okien celką o szerokości pięciu stóp i długości trumny, wyposażoną w zlew, pryczę i krzesło. Pajęczyny i kurz zatykały okienko nad drzwiami, redukując światło z korytarza do zimnego błękitnawobiałego poblasku. Firana pajęczyn pokrywała również ściany, a pościel była tak brudna, że zdawało się, iż jest wzorzysta. Położył się i zamknąwszy oczy, myślał o Deborze. O zdarciu z niej tej czerwonej sukienki i zafundowaniu jej ostrego pierdolenia. O tym, jak wrzaśnie. Ta myśl jednocześnie zawstydziła go i przyprawiła o erekcję. Próbował myśleć o kochaniu się z nią delikatnie. Ale delikatność, jak się zdało, nie leżała w jego możliwościach. Członek mu sflaczał. Na bicie konia, uznał, szkoda sił. Zaczął rozpinąć koszulę, przypomniał sobie pościel i doszedł do wniosku, że lepiej na tym wyjdzie, jeśli się nie rozbierze.

W mroku pod swymi powiekami począł widzieć błyski wybuchów, a w centrach owych wybuchów sceny z ataku na Mrówczą Farmę. Mgłę, tunele. Zacierał je wyobrażeniem twarzy Debory, ale uparcie wracały. W końcu otworzył oczy. Dwie... nie, trzy rozczapierzone czarne gwiazdy rysowały się na tle okienka nad drzwiami. Dopiero kiedy zaczęły pełzną, rozpoznał w nich pająki. Wielkie pająki. Zwykle nie obawiał się pajaków, ale właśnie te napawały go przerażeniem. Jeśli rąbnie je butem, stłucze szybkę i zostanie wylany z hotelu, a nie chciał ich zabijać dłońmi. Po chwili usiadł i włączywszy lampkę, zajrzał pod pryczę. Żadnych innych pajaków nie było. Położył się na powrót; był roztrzęsiony, brakowało mu powietrza. Pragnął z kimś pogadać, usłyszeć znajomy głos.

– Już dobrze – powiedział w mrok.

Ale to nie pomogło. I długo jeszcze, nim poczuł się dość bezpiecznie, by zasnąć, obserwował, jak trzy czarne gwiazdy pełzną po szybce, zmierzają ku środkowi, dotykają się wzajem i oddalają od siebie, nigdy nie posuwając naprawdę do przodu, nigdy nie zapuszczając się poza obszar swego świetlistego więzienia, swój kosmos zgęstniałego, zmrożonego światła.

Rozdział 2

Rankiem Mingolla przeprowił się na zachodni brzeg i powędrował w stronę bazy lotniczej. Już panował upał, ale powietrze wciąż zachowywało ślad świeżości, i kroplący się na jego czole pot sprawiał wrażenie czystego i zdrowego. Tymczasem na zwirowej drodze osiadał biały pył, świadcząc o niedawnym ruchu. Za miastem i skrótem prowadzącym do nie dokończonego mostu ściany roślinności z bliska napierały na drogę; słyszał w gęstwinie mały, owady i ptaki: ostre dźwięki, które go podniecały, sprawiając, że miał świadomość gry własnych mięśni. Gdzieś w połowie drogi do bazy dostrzegł sześciu gwatemalskich żołnierzy, którzy wyłaniali się z dżungli, ciągnąc za sobą zwłoki; rzucili je na plandekę swojego dżipa, gdzie już leżały dwa inne trupy. Zbliżywszy się, Mingolla zobaczył, że to martwe nagie dzieci, każde ze zgrabną dziurką w karku. Zamierzał iść dalej, lecz jeden z żołnierzy – karzełkowaty miedzianoskóry mężczyzna w granatowych drelichach – zastąpił mu drogę i zażądał okazania dokumentów. Wszyscy pozostali obstąpili ich wkoło, żeby przestudiować papiery, przewracali je na wszystkie strony, poszeptując i drapiąc się w głowy. Przyzwyczajony do podobnego przynudzania Mingolla nie zwracał na nich uwagi i patrzył na martwe dzieci.

Były chude, osmalone słońcem i gdy tak leżały na brzuchach, ich włosy zwisały z budy dżipa jak frędzle; miały skóry pocętkowane zainfekowanymi ukąszeniami moskitów, a ciało wokół ran po kulach było opuchnięte i pokierszowane. Wnioskując z ich wzrostu, Mingolla oceniał je na jakieś dziesięć lat, ale potem spostrzegł, że była wśród nich dziewczyna o właściwej nastolatce krągłości pośladków i rozplaszczonych na metalu piersiach. To go wzburzyło. Były tylko dzikimi dziećmi, którym rabunek i zabijanie gwarantowało przeżycie, a gwatemalscy żołnierze spełnili jedynie swój obowiązek, funkcję podobną do tej, jaka przypada ptakom wydziobującym kleszcze ze skóry nosorożca: zapewniali swej amerykańskiej bestii spokój od pasożytów i pełny luz. Ale nie było w porządku kłaść dzieci jak zwierzynę.

Żołnierz zwrócił Mingolli dokumenty. Cały teraz w uśmiechach – może w interesie utrwalenia stosunków amerykańsko-gwatemalskich, a może dlatego, że był dumny ze swojej roboty – podszedł do dżipa i podniósł za włosy głowę dziewczyny, żeby Mingolla mógł zobaczyć jej twarz. – Bandita! – powiedział, układając twarz w komiczny grymas. Twarz dziewczyny wcale tak bardzo nie różniła się od twarzy żołnierza: ten sam ostry nos, te same wystające kości policzkowe. Na ustach lśniła świeża krew, środek czoła zdobił wyblakły tatuaż przedstawiający skręconego w pierścienie węża. Miała otwarte oczy i choć były zamglone, Mingolla czuł, że wpatrując się w nie, nawiązał kontakt, że dziewczyna przygląda mu się badawczo z jakiegoś miejsca za tymi oczami i że podąża w swym umieraniu poza punkt śmierci klinicznej. Potem z jej nosa wylazła mrówka, by się usadowić na szkarłatnym łuku warg, i oczy stały się po prostu puste. Żołnierz pozwolił głowie opaść i chwycił w garść włosy drugiego trupa, nim jednak

dokonał demonstracji, Mingolla się odwrócił i podążył drogą w stronę bazy lotniczej.

Na skraju pasa startowego stały szpalerem helikoptery i krocząc między nimi, Mingolla spostrzegł pilotów, którzy go tu podrzucili z Mrówczej Farmy. Rozebrani do gatek i hełmów, w baseballowych rękawicach, podawali sobie piłeczkę wysokimi rzutami. Dalej, na dachu sikorsky'ego, mechanik dłubał w obsadzie głównego rotora. Widok pilotów nie zaniepokoił Mingolli tak mocno jak poprzedniego dnia; w rzeczy samej uznał ich dziwactwo za coś uspokajającego. Właśnie wtedy potoczyła się ku niemu piłeczka, której nie sięgnął jeden z nich. Mingolla podniósł ją i odrzucił bliższemu z pilotów, który przygłopotował w jego stronę. Stał teraz, uderzając piłką we wnętrze rękawicy i ze swą czarną lustrzaną twarzą i spoconym muskularnym torsem wyglądał jak żwawy młody mutant.

– Jak leci? – spytał. – Wyglądasz z rana na ciut zmarnowanego.

– Czuję się okay – odparł Mingolla. – Oczywiście – dodał, próbując zatrzeć wrażenie, że się broni – może ty widzisz coś, czego ja nie dostrzegam.

Pilot wzruszył ramionami; wesołość tego gestu zdawała się sygnalizować jego dobry nastrój. Mingolla wskazał na mechanika.

– Rozkraczyliście się, chłopaki, co?

– Po prostu generalny przegląd. Wracamy jutro rano. Podrzucić cię?

– Nie, jestem tu tydzień.

Przez lewą rękę Mingolli popłynął osobliwy prąd, powodując paraliżujące drżenie. Tym razem było naprawdę kiepsko i Mingolla wcisnął dłoń w boczną kieszeń spodni. Zdawało się że brudnooliwkowa linia baraków dygocze, cierpi na rozchwianie, odpływa coraz dalej: śmigłowce, dżipy, ludziki w mundurach na pasie startowym – to wszystko wyglądało jak zabawki, elementy solidnej układanki „Typowa Baza Lotnicza”. Dłoń Mingolli waliła w materiał spodni jak chore serce.

– Muszę zaszuwać – powiedział.

– Trzymaj się tego miejsca – powiedział pilot. – Nic ci nie będzie.

Jego słowa miały posmak diagnostycznej pewności i niemal przekonało to Mingollę, że pilot jest zdolny odczytać jego los i że podobne sprawy jak przyszłość można poznać.

– Tak z ręką na sercu, człowieku, wierzysz w to, co mi wczoraj mówiłeś? – zapytał. – O hełmach? O przewidywaniu przyszłości?

Pilot odbił piłeczkę od cementu, schwytał w szczytowym momencie lotu i wpatrzył się w nią. W osłonie twarzy Mingolla dostrzegł odbicie szwu i znaku firmowego, ani śladu jednak rysów pilota, żadnego świadectwa ich normalności czy też deformacji.

– Często słyszę to pytanie – odparł pilot. – Ludzie, kapujesz, robią sobie ze mnie jaja. Ale ty nie robisz, człowieku, co?

– Nie – odrzekł Mingolla. – Nie robię.

– Cóż – powiedział pilot – to jest tak. Gazujemy sobie po niebie tu i tam, i widzimy na ziemi gnój, gnój, jakiego nie dostrzeżga nikt inny. I wtedy rozpieprzamy ten gnój. Tak to leci już cztery miesiące i wciąż żyjemy. Jebana D, wierzę w to!

Mingolla był rozczarowany.

– Taaaa, dobra – powiedział.

– Chwytasz, co mówię? – zapytał pilot. – To znaczy, że my jesteśmy cholernym żywym dowodem.

– Mhm. – Mingolla poskrobał się w szyję, próbując wykombinować dyplomatyczną odpowiedź, ale nic mu nie przyszło do głowy. – Może się jeszcze zobaczymy. – Powędrował w stronę kwatermistrzostwa.

– Nie ruszaj się stąd, człowieku! – wrzasnął za nim pilot.

– Ja ci to mówię. Naprawdę niedługo zrobi się koło ciebie gorąco!

Kantyna w kwatermistrzostwie była wielką jak stodoła salą z surowych desek; wzniesiono ją tak niedawno, że Mingolla wciąż czuł zapach trocin i żywicy. Trzydzieści albo czterdzieści stolików, szafa grająca, nagie ściany. Za barem w głębi sali kapral o zgorzkniałej twarzy, trzymając w dłoni skoroszyt, dokonywał inwentaryzacji trunków; Gilbey – samotny klient – siedział przy jednym z wychodzących na wschód okien i mieszał kawę w filiżance. Miał zmarszczone czoło, a gdy tak siedział ujęty w krąg słonecznego blasku, sprawiał wrażenie kogoś, kogo łaska boska inspiruje do wejrzenia w głąb swojej duszy.

– Gdzie Baylor? – zapytał Mingolla, siadając naprzeciwko niego.

– Nie wiem, kurwa – odparł Gilbey, nie odrywając wzroku od filiżanki. – Przyjdzie tu.

Mingolla wciąż trzymał w kieszeni lewą dłoń. Drżenie ustępowało, wolniej jednak, niżby sobie tego życzył. Obawiał się, że ogarnie również inne części ciała, jak to się stało po ataku. Westchnął i to uzmysłowiło mu, jak jest roztrzęsiony. Promienie słońca zdawały się mruczeć jakąś złocistą falującą melodię i to go też niepokoiło. Halucynacje. Potem dostrzegł na szybie brzęczącą muchę.

– Jak tam było wczoraj? – zapytał.

Gilbey gwałtownie podniósł wzrok.

– Ach, masz na myśli Wielkie Cyce? Dała mi się obadać na okoliczność guzów. – Uśmiechnął się z przymusem i wrócił do mieszania kawy.

Mingolli było przykro, że Gilbey nie zapytał o jego wieczór; pragnął mu opowiedzieć o Deborze. Ale to było typowe dla egotyzmu Gilbeya. Jego wąskie oczy i nadąsane wargi były znamionami małoduszności, która poza własnym dobrym samopoczuciem pozwala się interesować niewidoma tylko sprawami. A przecież Mingolla był przeświadczony, że mimo niewrażliwości, głupich napadów szału i ograniczonej tematyki rozmów Gilbey jest cwańszy, niż się zdaje, że skrywanie własnej inteligencji jest w Detroit, gdzie się wychowywał, elementem

taktyki przetrwania. To spryt go zdradzał: wiedza o charakterach wrogich mu poruczników, talent unikania nieprzyjemnych służb, umiejętność manipulowania kolegami. Nosił swą głupotę jak płaszcz i może robił to już tak długo, że nie sposób jej było zdjąć. A przecież Mingolla zazdrościł Gilbeyowi jego przymiotów, a w szczególności tego, jak zobojętniły go na atak.

– Nigdy się dotąd nie spóźniał – rzekł po chwili.

– No i co z tego, kurwa, że się spóźnia? – warknął wściekle Gilbey. – Jeszcze przyjdzie!

Kapral za barem włączył radio i przesunął pokrętło strojenia za muzykę latynoską, za listę przebojów, a potem za amerykański głos podający wyniki meczów baseballowych.

– Hej! – zawołał Gilbey. – Daj tego posłuchać, człowieku! Chcę się dowiedzieć, co tam z Tygrysami.

Kapral wzruszył ramionami, a le usłuchał.

– Białe Getry sześć, „A” trzy – powiedział sprawozdawca.

– To ósme z rzędu zwycięstwo Getrów.

– Ale im Białe Getry dopierdzielają! – rzekł z satysfakcją kapral.

– Białe Getry! – skrzywił się Gilbey. – I co te Białe Getry mają oprócz bandy meksów po dwieście funtów wagi i paru niuchających kokę smoluchów? Gówno! Człowieku, Białe Getry dają czadu każdej wiosny. Ale potem przychodzi lato, na ulice trafia dobry towar i Getry, kurwa, zdychają!

– Taak – zgodził się kapral. – Ale w tym roku...

– Weź na przykład tego skurwysyna Caldwell – rzekł Gibley, ignorując go. – Widziałem go parę lat temu, grał mecz – z Tygrysami. Człowieku, ale ten gość miał uderzenie! A teraz się płacze, jakby sprawdzał, z której strony wieje wiatr.

– Oni nie biorą narkotyków, człowieku – rzekł kapral gniewnie. – Nie mogą ich brać, bo są testy, które pokazują, czy się czegoś naćpali.

Gilbeys ię zapałał.

– Białe Getry, człowieku, są bez szans! Wiesz, jak ich czasem nazywa ten facet z TV? Wyblakłe Pończoszki! Jebane Wyblakłe Pończoszki! Jak można wygrać z taką nazwą? Tygrysy, na ten przykład, mają prawidłową ksywę. Jankesi, Waleczni...

– Pieprzysz, człowieku! – Kapral zaczynał się denerwować; odłożył swój skoroszyt i podszedł do końca baru. – A co powiesz o Spryciarzach? Mają bebechowatą nazwę, a to dobra drużyna. Twoja nazwa gówno znaczy!

– Czerwoni – zasugerował Mingolla; delektował się nawijką Gilbeya, jej uporem i irracjonalizmem. A jednocześnie niepokoiła go przebijająca z niej desperacja; Gilbey, wbrew pozorom, nie był tego ranka sobą.

– O, tak! – Gilbey rąbnął w stół dłonią na płask. – Czerwoni. Popatrz na Czerwonych, człowieku! Popatrz, jak im dobrze idzie, odkąd Kubańczycy przystąpili do wojny. Myślisz, że to

nie nie znaczy? Myślisz, że nazwa nic im nie pomaga? Wyblakłe Pończoszki, nawet gdyby doszły do finału, nie mają na Czerwonych sposobu. – Roześmiał się gardłowo i burkliwie. – Jestem, człowieku, kibicem Tygrysów, ale coś mi mówi, że to nie ich rok, kapujesz. Czerwoni roznoszą grupę wschodnią ligi, Jankesi idą w górę i jak się, człowieku, spotkają w październiku, wszystkiego o wszystkim się dowiemy. Wszystkiego o pieprzonym wszystkim! – Jego głos był coraz bardziej zduszony i drżący. – Więc mi tu, człowieku, nie pierdziel o tych cipowatych Wyblakłych Pończoszkach! Gówno są warci i nigdy inaczej nie było ani nie będzie, chyba że zmienią swoją pierdołoną nazwę!

Kapral wycofał się z konfrontacji, wyczuwając niebezpieczeństwo i Gilbey popadł w markotne milczenie. Przez chwilę słychać było tylko pracę wirnika helikoptera i płynący z radia łagodny jazzik. Do kantyny na poranne piwo wkroczyło dwóch mechaników, a niedługo potem trzech podtatusiałych sierżantów z brzuszkami, rzadziejnymi włosami i kwatermistrzowskimi insygniami na ramionach; usiadłszy przy pobliskim stoliku, rozpoczęli grę w remika. Kapral przyniósł im dzbanek kawy i butelkę whisky, które w czasie gry mieszał i popijali. Grę otaczała atmosfera tradycji, atmosfera czegoś, co się robi codziennie o tej samej porze; obserwując sierżantów, Mingolla dostrzegł ich opasłe, przeżarte rozluźnienie, ich kordialne kumpłostwo.

I wtedy poczuł się dumny ze swej drżącej ręki. Była to ułomność honorowa, znak, że on przebywał w samym sercu wojny, a ci faceci nie. A przecież nie żywił do nich niechęci. Absolutnie żadnej. Świadomość, że ci trzej mężczyźni o ojcowskim wyglądzie są tu, by zaopatrzyć go w strawę, gorzałkę i nowe buty, dawała mu raczej poczucie bezpieczeństwa. Nurzał się w bezmyślnym, szczęśliwym gwarze ich rozmowy, w oparach dymu, który, jak się zdawało płynął nie z cygar, lecz wprost z ich samo zadowolenia. Miał przekonanie, że mógłby do nich podejść, zwierzyć się ze swych problemów i dostać przyjacielską poradę.

Byli tu, żeby go upewnić o słuszności działań, przypomnieć o podstawowych amerykańskich wartościach, podtrzymać iluzję braterskiego charakteru udziału w wojnie, wyjaśnić, że to ledwie ćwiczenie niezawodnego koleżeństwa i hartu ducha, rytuał inicjacyjny, jaki oni sami przeszli już dawno temu, obiecać wreszcie, że po wojnie wszyscy, jak tu są, dostaną medale i po chwały i będą się kumpłować, i gadać o rozlewie krwi i okropieństwach, z potrząsaniem głowami i zdumieniem, jakby rozlew krwi i okropieństwa były dawno utraconymi przyjaciółmi, których zalet nie rozgryzło się w porę... Mingolla uświadomił sobie, że uśmiech rozciągnął i usztywnił mięśnie jego twarzy i że ów nurt rozważań znosi go na te obszary świadomości, które nawiedzają upiory. Drżenie ręki było silniejsze niż kiedykolwiek dotąd. Spojrzał na zegarek. Była prawie dziesiąta. Dziesiąta! W panice odsunął krzesło i wstał.

– Poszukajmy go – powiedział do Gilbeya.

Gilbey zaczął coś mówić, ale zachował to dla siebie. Mocno zastukał łyżeczką w kant stołu.

Potem on też odsunął z trzaskiem krzesło i wstał.

Nie znaleźli Baylora ani w Club Demonio, ani w żadnym z barów na zachodnim brzegu. Gilbey i Mingolla opisywali go wszystkim napotkanym, nikt jednak nie przypominał sobie kogoś takiego. Im dłużej trwało poszukiwanie, tym Mingolla czuł się niepewniej. Baylor był niezbędny, był najistotniejszym ogniwem owej konstrukcji ze zwyczajów i rytuałów, która go wspierała, która mu pozwalała ująć z życiem poza zasięg narzędzi wojny i reguł przypadku, i jeśli to ogniwo uległoby zniszczeniu... Wyobraził sobie, jak chwieje się ta konstrukcja, a on z Gilbeyem lecą na łeb na szyję w otchłań pełną czarnych płomieni.

Raz Gilbey powiedział:

– Panama! Ten skurwysyn zwiął do Panamy.

Ale Mingolla nie sądził, że tak się w istocie stało. Miał pewność, że Baylor jest gdzieś blisko. To przeświadczenie charakteryzowała taka jasność, że poczuł jeszcze większy niepokój, wiedząc, iż ten rodzaj jasności często zwiastuje kiepski epilog.

Słońce pięło się coraz wyżej, potworne brzemień jego gorąca przygniatało do ziemi, a blask ługował barwy ze stiukowych ścian, i pot Mingolla poczynął cuchnąć zgnilizną. Na ulicach było ledwie kilku żołnierzy przemieszanych ze zwykłą czeredą żebraków i dzieci, a bary, poza garstką pijaków gazujących jeszcze od wczoraj, świeciły pustkami. Gilbey wędrował sztywno, chwycił ludzi za koszule i zadawał pytania. Mingolla jednak, okropnie świadom swej drżącej ręki i niemal jękający się ze zdenerwowania, był zmuszony opracować szablonowe podejście, które umożliwiało mu przebrnięcie przez te krótkie indagacje. Podchodził spokojnie, z wysuniętą do przodu prawą stroną ciała, i mówił: – Szukam kumpla. Może go widziałeś? Wysoki gość. Oliwkowa skóra, czarne włosy. Nazywa się Baylor. – Doszedł do tego, że ów tekst sływał z jego ust zupełnie naturalnie.

W końcu Gilbey miał dość.

– Idę się pobawić z Wielkimi Cycami – rzekł. – Jutro widzimy się w kantynie. – Zaczął odchodzić, ale się odwrócił i dodał: – Będę w Club Demonio, gdybyś chciał się ze mną spotkać wcześniej.

Jego twarz miała dziwny wyraz. Wyglądała tak, jakby pragnął się uśmiechnąć pocieszająco, ale w związku z brakiem praktyki sprawiało to wrażenie czegoś wymuszonego, idiotycznego i w żadnym razie nie pocieszało.

Koło jedenastej skończyło się na tym, że wsparty o różową stiukową ścianę Mingolla wypatrywał Baylora w gęstniejącym tłumie. Obok niego zbrązowiałe od słońca liście bananowca szemrały na wietrze, a ilekroć silniejszy podmuch uderzał nimi o ścianę, wydawały szorstki odgłos. Dach baru po drugiej stronie ulicy właśnie reperowano: łąty z nowej blachy przeplatały się z wąskimi pasmami rdzy, co wyglądało jak olbrzymie plastry bekonu położone tam w celu usmażenia. Od czasu do czasu uciekał wzrokiem w stronę nie dokończonego mostu, wielkiej

wstęgi magicznej bieli pnącej się łukowato w błękit, wzniesionej ponad miasto, ponad dżungłę, ponad wojnę. Nawet gorąca mgła kapiąca z blaszanego dachu nie mogła zdeformować jego gładkości. Zdawało się, że komponował smród, gwar tłumu i knajpianą muzykę w spokojną jedność absorbującą te energie, by je wydzielić w postaci oczyszczonej i wzbogaconej. Mongolia sądził, że jeśli będzie patrzeć dostatecznie długo, most do niego przemówi, wypowie magiczne białe słowo, które spełni jego życzenia.

Dwa płaskie trzaski – strzały pistoletowe – odepchnęły go z galopującym sercem od ściany. Wewnątrz jego mózgu te strzały wyrzekły dwie sylaby nazwiska Baylora. Zniknęły dzieci i żebracy, a wszyscy żołnierze – żywe trupy, które usłyszały głos pana – odwrócili się w stronę, z której dobiegły strzały.

Następny strzał.

Z przecznicy wyroliło się kilku rozprawiających z podnieceniem żołnierzy.

– ...jebany psych! – mówił jeden, a jego kumpel stwierdził:

– To był Sammy, człowieku! Widziałeś jego oczy? Mingolla przebił się przez nich i pogał przecznicą. U jej końca kordon żandarmów odcinał wlot w prawo, w ulicę prostopadłą, i kiedy Mingolla nadbiegł, powiedziano mu, żeby się trzymał z daleka.

– Co to jest? – spytał Mingolla. – Jakiś facet odgrywa Sammy’ego?

– Spierdalaj – łagodnie odparł jeden z żandarmów.

– Posłuchaj – rzekł Mingolla. – To może być ten mój przyjaciel. Wysoki, chudy gość. Czarne włosy. Może mu przemówię do rozsądku.

MP wymienił spojrzenia ze swymi kumplami, którzy wzruszyli ramionami i dalej zachowywali się tak, jakby się nic nie działo.

– Okay – powiedział. Przyciągnął do siebie Mingollę i po kazał mu na następnym rogu bar o truskawkowych ścianach.

– Idź tam, pogadaj z kapitanem.

Dwa kolejne strzały.

– Lepiej się pospiesz – powiedział MP. – Ten nasz zacy staruszek kapitan Haynesworth nie ma wielkiego nabożeństwa do negocjacji.

Wewnątrz baru panował chłód i mrok; dwie ciemne sylwetki przyłgnęły do ściany obok okna wychodzącego na prostopadłą ulicę. Mingolla dostrzegł w ich dłoniach połysk pistoletów automatycznych. Potem, przez okno, zobaczył Baylora wyłaniającego się zza trzystopowego murka wspornikowego z nie wypalonych cegieł, który biegł między sklepem zielarskim a następnym barem. Baylor był obnażony do pasa, jego pierś pokrywały czerwono-brązowe smugi zakrzepłej krwi; stał w nonszalanckiej pozie z kciukami wetkniętymi w kieszenie spodni. Jeden z ludzi przy oknie strzelił doń. Huk był tak ogłuszający, że Mingolla się wzdrygnął i zamknął oczy. Gdy znów spojrzał przez okno, nie było widać ani śladu Baylora.

– Skurwiel tylko próbuje ściągnąć na siebie ogień – powiedział mężczyzna, który strzelił do Baylora. – Sammy jest dzisiaj szybki.

– Taak, ale już zwalnia obroty – rozległ się z mroku, w głębi baru, ospały głos. – Myślę, że towar mu się skończył.

– Hej – powiedział Mingolla – nie zabijajcie go! Znam tego faceta. Mogę z nim pogadać.

– Pogadać? – rzekł ospały głos. – Możesz se gadać, aż ci się dupa zazieleni, a Sammy nie posłucha ni cholery.

Mingolla wbił wzrok w ciemność. O szynkwas wspierał się ogromny mężczyzna o rozlazłym wyglądzie; na jego berecie połyskiwały mosiężne insygnia.

– Pan kapitan? – zapytał. – Ci na zewnątrz powiedzieli, żebym pomówił z kapitanem.

– W rzeczy samej – odparł mężczyzna. – Pogawędzę z tobą z prawdziwą rozkoszą, chłopcze. O czym chcesz mówić?

Dwaj przy ścianie się rozeźmieli.

– Czemu chcecie go zabić? – zapytał Mingolla, słysząc w swoim głosie nutę rozpacz. – Nie musicie go zabijać. Możecie użyć usypiacza.

– Mają nam dowieźć – odparł kapitan. – Ale sedno tkwi w tym, że twój kumpel ma tam pod murem paru zakładników i jeśli trafi się nam szansa, nim przyjedzie usypiacz, musimy z niej skorzystać.

– Ale... – zaczął Mingolla.

– Pozwól mi skończyć, chłopcze – kapitan podciągnął pas od kabury, podszedł niespiesznie i położywszy dłoń na ramieniu Mingolli, otoczył go zapachem spoconego ciała i przesyconego whisky oddechem. – Widzisz – powiedział – mamy wszystko pod kontrolą. Ten tu Sammy...

– Baylor – wtrącił Mingolla gniewnie. – Nazywa się Baylor.

Kapitan zdjął ramię z barku Mingolli i popatrzył nań z rozbawieniem. Nawet w półmroku Mingolla mógł dostrzec na jego policzkach siatkę popękanych naczyń krwionośnych, cechę opasłych alkoholików.

– Słusznie – rzekł kapitan. – Więc, jak powiadam, twój dobry koleś, pan Baylor, nie zrobił nic takiego złego. Tylko jakby trochę rozrabiał i szalał. Ale potem zjawia się dwóch naszych braci z piechoty morskiej. Wygląda na to, że demonstrowali przyjaciołom z dżungli swój najnowszy sprzęt bojowy i wracając z rzeczzonego pokazu, zobaczyli nasz malutki problemik, postanowili więc odegrać bohaterów. Ano, żeby się streszczać, pan Baylor załatwił ich na cacy. Wziął pod obcasy ich esprit de corps. Potem zaciągnął za ten mur i zaczął gmerać w jednej z ich spluw. I...

Dwa kolejne strzały.

– Kurwa! – powiedział jeden z ludzi przy oknie.

– I siedzi tam sobie – ciągnął kapitan – i gra z nami w chujki. Otóż: albo broń nie ma

amunicji, albo nie wykombinował jeszcze, jak działa. Jeśli to drugie i jeśli w końcu wykombinuje... – Kapitan smętnie pokiwał głową, jakby wyobrażając sobie oplakane następstwa.
– Rozumiesz, w jakim jestem położeniu?

– Mógłbym spróbować z nim pogadać – rzekł Mingolla. Co to zaszkodzi?

– Jak cię zabije, chłopcze, to twoje życie. Ale to moją dupę wezmą w obroty. – Kapitan jął sterować Mingolla ku drzwiom i popchnął go delikatnie w stronę kordonu żandarmów. – Dzięki za dobre chęci, chłopcze.

Później Mingolla doszedł do wniosku, że to, co wówczas uczynił, nie miało sensu, bo niezależnie od tego, czy Baylor by przeżył, czy nie, nigdy nie powróciłby na Mrówczą Farmę. Ale wtedy, zdecydowany ocalić rytuał za wszelką cenę, nic z tych rzeczy nie wziął pod uwagę. Obszedłszy róg, skierował się ku ścianie wspornikowej. Miał sucho w ustach i łomotało mu serce. Ale drzenie ręki ustąpiło i miał dość zdrowego rozsądku, żeby zablokować żandarmom linię strzału. Jakies dwadzieścia stóp przed murem zawołał:

– Hej, Baylor! To ja, człowieku, Mingolla!

Baylor wyskoczył jak na sprężynie i wbił weń wzrok. Było to przerażające spojrzenie. Oczy Baylora przypominały ślepią byka; biało ze wszystkich stron otaczało tęczołki. Z nozdrzy wyciekły strużki krwi, a nerwy dygotały w mięśniach policzków z regularnością mechanizmów zegarka. Skrzepła krew na piersi pochodziła z trzech długich draśnień; były częściowo zasklepione, ale wciąż wydzielały przezroczysty płyn. Przez moment trwał nieruchomo. Potem sięgnął za murek, podniósł dwulufową broń, z której kolby wybiegał giętki przewód, i wymierzył do Mingolli.

Nacisnął spust.

Żadnego ognia, żadnej eksplozji. Nawet trzasku. Ale Mingolla poczuł się tak, jakby skąpano go w lodowatej wodzie.

– Chryste! – krzyknął. – Baylor, to ja!

Baylor ponownie nacisnął spust – z takim samym wynikiem. Przez jego twarz przepłynął wyraz dogłębnego zniechęcenia, a potem powróciło martwe spojrzenie. Popatrzył wprost w słońce i po sekundzie się uśmiechnął, jakby otrzymał z wysokości wspaniałe nowiny.

Zmysły Mingolli stały się cudownie ostre. Gdzieś w dali płynęła z radia piosenka country and western i jej płaczliwa melodia, przerywana od czasu do czasu szmerem zakłóceń, wydała mu się zawodzeniem rozedrganego systemu nerwowego. Słyszał żandarmów rozmawiających w barze, wchłaniał gorzkie opary Baylorowego szaleństwa i sądził, że wyczuwa puls jego wściekłości, a także kapryśny przepływ omywających go, potęgujących jego lęk i przykuwających do miejsca strużek krwi. Baylor odłożył broń, a uczynił to z czułością, jaką się okazuje choremu dziecku, i przestąpił murek. Zwierzęca płynność tego ruchu przyprawiła Mingollę o dreszcze. Zdołał odstąpić krok do tyłu i podnieść ręce, by ochronić Baylora.

– Chodź, człowieku – powiedział słabo.

Baylor wydał z siebie gniewny odgłos – po części syk, po części skowyt – i strużka śliny pociekła mu spomiędzy warg. Słońce zraszało ulicę jak złoty prysznic, krzesząc lśnienia i błyski z każdej jasnej powierzchni, jakby z zamiarem zagotowania całej rzeczywistości.

Ktoś wrzasnął:

– Padnij, chłopie!

A potem Baylor rzucił się na Mingollę i padli razem, by toczyć się po ubitej ziemi. Palce wpiły się w szyję Mingolli poniżej jabłka Adama. Skręcił się w bok i ujrzał nad sobą skrzywione grymasem oblicze Baylora, zdominowane przez wytrzeszczone oczy i pożółkłe zęby. I ściekające z podbródka strużki śliny. Koszmarne maska. Kolana przygwoździły ręce Mingolli, dłonie chwyciły za włosy, wałąc jego głowę o ziemię. Raz za razem. Przenikliwy świst począł przewiercać mu uszy. Wyswobodził jedną rękę i próbował wrazić palce w oczy Baylora; Baylor ugryzł go w kciuk, zaciskając zęby na stawie. Mingolli pomroczało przed oczami i przestał cokolwiek słyszeć. Jego potylicza wydawała się miękka i po każdym uderzeniu jakby się unosiła z ziemi bardzo powoli, coraz wolniej i wyżej, a obramowane błękitnym niebem oblicze Baylora pozornie oddalało się po spirali. I wtedy, gdy Mingolla poczynał tracić przytomność, Baylor znikł.

W ustach i nozdrzach Mingolla miał kurz. Słyszał wrzaski i stęknienia. Wciąż oszołomiony, wsparł się na łokciu. Nieopodał, w obłoku kurzu, wirowały nogi koloru khaki, ramiona i kolby. Coś na kształt walki w komiksie. Można było niemal oczekiwać wykrzykników i gwiazdek z przekleństwami. Ktoś chwycił go za ramię i postawił na nogi. Kapitan żandarmerii, z oblaną rumieńcem otyłą twarzą, otrzepując kurz z ubrania Mingolli, z dezaprobatą marszczył brew.

– Naprawdę z ikrą, chłopcze – powiedział. – I naprawdę, naprawdę głupio. Jak by nie był pod koniec cugu, to byś teraz muchy karmił. – Odwrócił się do stojącego w pobliżu sierżanta.

– Na ile, twoim zdaniem, to było idiotyczne, Phil?

Sierżant odparł, że nie ma zdania.

– Cóż – stwierdził kapitan. – Kombinuję sobie, że gdyby ten nasz chłoptaş uczestniczył w walce, to by było głupie, w sam raz na Brązową Gwiazdę.

To, zgodził się sierżant, jest już zupełnie niezła cholerna głupota.

– Ale tu, we Frisco – kapitan strząsnął z Mingolli resztki kurzu – nie dostaniesz za to nawet gówienka.

Żandarmi złązili z Baylora, który, krwawiąc z nosa i ust, leżał na boku. Krew, gęsta jak sos, oblepiała jego po liczki.

– Panama – powiedział Mingolla w otępieniu. Może to było jakieś wyjście. Wyobrażał sobie, jakby to wyglądało... nocna plaża, palmy, koronkowa siatka cieni na białym piasku.

– Co mówisz? – zapytał kapitan.

– Chciał zwać do Panamy – odparł Mingolla. Kapitan parsknął z rozbawieniem.

– Jak my wszyscy.

Jeden z żandarmów przetoczył Baylora na brzuch i założył mu na ręce kajdanki; drugi skuł nogi. Potem znów przewrócili go na wznak. Żółty kurz przemieszał się z krwią na jego policzkach i czole, oblepiając twarz krostowatą maską. W środku tej maski otwarły się oczy, a potem rozszerzyły, gdy Baylor poczuł więzy. Zaczął się prężyć i prostować, by tym sposobem odzyskać wolność. Prężył się tak prawie minutę; potem zeszywniał z nieobecny spojrzeniem wbitym w rozżarzony krąg słońca – i wydał z siebie ryk. To jedyne właściwe słowo. Nie był to wrzask ani okrzyk, lecz triumfalny szatański ryk, tak donośny i przesycony furją, jakby kumulował w sobie całą moc oślepiającego blasku i migotania fantomów. Słuchanie go miało efekt porywający i Mingolla zaczął wnikać w jego istotę, czuć w swym ciele jak dobry kawałek rockandrollowy, podpisywać się pod jego nienawistną życiu rozlewnością.

– Hu, hu – rzekł zdumiony kapitan. – Muszę dla tego chłopaczka zbudować zupełnie nowe zoo.

Złożywszy zeznania i pozwoliwszy sanitariuszowi obejrzeć swoją głowę, Mingolla przeprawił się promem na brzeg wschodni, gdzie był umówiony z Deborą. Siedział na rufie, wpatrując się w nie dokończony most, niezdolny tym razem zaczerpnąć zeń jakiegokolwiek poczucia nadziei czy magii. W jego myślach wciąż kiełkowała Panama. Czy teraz, skoro Baylor został wyeliminowany, naprawdę stanowiła rozwiązanie? Wiedział, że powinien się uporać z różnymi sprawami, coś zaplanować, ale nie mógł zapomnieć widoku skrwawionej, oszalałej twarzy Baylora. Widywał gorsze, Chryste, tak, o wiele, wiele gorsze. Facetów zredukowanych do części zamiennych, do strzępków tak drobnych, że nie potrzebowali nawet lśniącej srebrzyście trumny, lecz tylko metalowego czarnego pudełka wielkości puszek herbatników. Facetów poparzonych, jednookich i krwawych, szarpiących na oślep powietrze jak bestie z filmów o potworach. Ale wyobrażenie Baylora pojmanego na wieki w jakąś krwawą pułapkę wewnątrz mózgu, w samym sercu owego krwawego pierwotnego ryku, jaki z siebie wydał, może to wyobrażenie było gorsze od wszystkiego, co Mingolla widział. Nie chciał umierać; odrzucał to prawdopodobieństwo z tym namiętym uporem, jaki okazuje dziecko, stanąwszy twarzą w twarz z bezwzględną oczywistością. A przecież wołałby umrzeć niż cierpieć szaleństwo. W porównaniu z tym, co czekało Baylora, śmierć i Panama zdawały się oferować tę samą słodycz uspokojenia.

Ktoś usiadł obok Mingolli: młodzik, który nie mógł mieć więcej niż osiemnaście lat. Nowy szczeniak z nowym językiem, nowymi butami, nowymi drelichami. Nawet jego twarz sprawiała wrażenie nowej, świeżo wyjętej z formy. Lśniące pucołowate policzki, gładka skóra, jasne nie sterane oczy. Palił się do rozmowy. Pytał Mingollę o jego strony, rodzinę i powiedział: – Oho, to musi być wspaniałe tak mieszkać w Nowym Jorku, oho. – Ale zdawało się, że musi mieć jakiś

inny powód, dla którego wszczął tę rozmowę, coś, do czego prowadził i co wreszcie z siebie wyrzucił. – Wiesz o tym Sammym, co się tu zezwierzęcił? – zapytał. – Widziałem go wczoraj wieczorem na arenie. Taki mały lokal w dżungli na zachód od bazy. Właścicielem jest gość o imieniu Chaco. Człowieku, to było niewiarygodne!

Mingolla słyszał o arenach tylko z trzeciej i czwartej ręki, ale to, co do niego dotarło, brzmiało paskudnie i trudno było uwierzyć, że ten szczył pachnący maminsynkiem może lubić coś tak ohydneho. I mimo zdarzeń, których był świadkiem przed chwilą, jeszcze trudniej było mu uwierzyć w to, że Baylor mógł w tym brać udział.

Szczeniak nie potrzebował zachęty.

– Było jeszcze dość wcześnie – zaczął. – Siedziało parę łajz, nic specjalnego, a potem łąduje się ten gość i wygląda, że wszystko w nim buzuje. Skapowałem, że to Sammy, po tym, jak patrzył na arenę, wyczuwasz, jakby była czymś, na co ma ochotę. I ten gość ze mną, znaczy mój kumpel, szturcha mnie w żebra i powiada: Jasny gwint! Człowieku, to Czarny Rycerz! Jakiś czas temu widziałem w Reunion jego walkę. Stawiaj na niego, powiada. Ten facet to as!

Ostatnią przepustkę spędzali w Reunion. Mingolla próbował sformułować pytanie, ale nie mógł wymyślić żadnego, na które odpowiedź miałyby jakikolwiek sens.

– Cóż – ciągnął małolat. – Nie tak dawno jestem zadołowany, ale nawet ja słyszałem o Czarnym Rycerzu. Podchodzę więc i kręcę się wokół niego z tą myślą, że może wyniucham, jak się czuje, bo przecież nie będę stawiał tylko na jego reputację. Zaraz potem przychodzi Chaco i pyta Rycerza, czyby nie zechciał się przeciągnąć. Tak, mówi Rycerz, ale chcę walczyć ze zwierzęciem. Czymś dzikim, człowieku. Chcę powalczyć z czymś dzikim. Chaco powiada, że ma trochę małp i innego gówna, a Rycerz na to, że coś słyszał o jaguarze. Chaco chrząka, mlaska, może tak, powiada, może nie, ale to bez znaczenia, bo jaguar to za dużo dla Sammy'ego. I wtedy Rycerz mówi Chaco, kim jest. I co ci powiem, Chaco z mety zmienił front. Wyobraził sobie, jakie polecą zakłady przy czymś takim, jak Czarny Rycerz kontra jaguar. No więc powiada: Tak jest, panie Czarny Rycerzu, już się robi! Czego tylko sobie życzysz! I ogłasza. Człowieku! Buda wariuje! Ludzie machają forszą, wywrzaskują typy i ostro gorzałkują, żeby się nabuzować przed głównym punktem programu, a Rycerz tylko sobie stoi, uśmiechnięty, jakby chłonał w siebie cały ten cyrk. Potem Chaco przez tunel wypuszcza na arenę jaguara. To nie jest dorosły jaguar, może taki półdorosły, ale to góra, z czym może się uporać nawet Rycerz.

Chłopak przerwał, żeby zaczerpnąć powietrza, i zdawało się, że wzrok mu pojaśniał.

– No więc jaguar chyłkiem krąży wokół areny, tuż przy ścianie, warczy i toczy pianę, a Rycerz obserwuje go z góry, kapujesz, analizuje jego ruchy. I wszyscy intonują „Sammyyy, Sammyyy, Sammyyy!”, i gdy to wycie robi się naprawdę głośne, Rycerz wyciąga z kieszeni trzy ampułki. Tak jest, kurwa, człowieku! Trzy! Nigdy się nie otarłem o Sammy'ego, który zaliczył więcej niż dwie. Trzy wypieprzają cię prosto pod jebane niebiosa! Kiedy więc Rycerz podnosi

w górę te trzy ampułki, ludziska aż kipią i wrzeszczą tak, jakby to oni odgrywali Sammy'ego. Ale Rycerz, człowieku, on to robi na zimno. Jest tak spokojny! Trzyma te ampułki, pozwala się podziwiać, wsysa w siebie ten hałas i energię, krzepi się sokiem tłumu. Chaco ucisza wszystkich dłonią i zasuwą tę mowę, wiesz, o tym, jak to w sercu każdego mężczyzny tkwi dusza wojownika, która tylko czeka, żeby ją spuścić ze smyczy i takie tam gówno. Mówię ci, człowieku, zawsze dotąd myślałem, że ten tekst to pierdoły, ale Rycerz sprawił, że kupiłem w stu procentach. Był tak cholernie spokojny! Zdejmuje więc koszulę i buty, i zawiązuje na ramieniu ten kawałek czarnego jedwabiu. Potem jedną po drugiej otwiera te ampułki, naprawdę szybko, i wdycha to wszystko. Widzę jak to w niego wali, jak mu zapala oczy. I jak tylko powąchał ostatnią, wskakuje na arenę. Człowieku, nie używa tunelu! Dwadzieścia pięć stóp do piasku i ląduje na ugiętych nogach.

Trzech innych żołnierzy poczęło się przysłuchiwać opowieści i teraz małałat zwracał się do wszystkich, grał przed swoją widownią. Był tak podekscytowany, że spójne opowiadanie przychodziło mu z najwyższym trudem, a Mingolla uświadomił sobie z niesmakiem, że jego też rajcuje wyobrażenie Baylora przyczajonego na piasku. Baybra, który płakał po ataku. Baylora, który tak się obawiał snajperów, że kiedyś wołał zeszcząć się w portki niż przejść od swego działa do latryny.

Baylora, Czarnego Rycerza.

– Jaguar skrzeczy, warczy, szarpie pazurami powietrze – ciągnął chłopak. – Próbuje zaszcześcić w Rycerzu lęk. Bo jaguar wie w głębi duszy, że Rycerz to dla niego ciężkie tarapaty. To nie żaden pokurcz w rodzaju Chaco, to jest Sammy. Rycerz, wciąż pochylony, przesuwa się ku środkowi areny. – Tu szczeniak podniósł głos wysoko i dramatycznie. – Przez parę minut nic się nie dzieje, ale panuje napięcie. Ludzie ledwie oddychają. Jaguar skacze parę razy, ale chybi, bo Rycerz robi uniki i ani jednemu, ani drugiemu nic się złego nie dzieje. Ilekroć jaguar skacze, ludzie wzdychają i kwiczą nie tylko dlatego, że się boją zobaczyć Rycerza porwanego w strzepy, ale także dlatego, że widzą, jaki jest szybki. Jedwabście szybki, człowieku. Nierealnie. Wydaje się mniej więcej tak szybki jak jaguar. Wciąż robi te swoje uniki i choć jaguar zwija się i skręca, choć gania go po piasku, nie może sięgnąć Rycerza pazurami. A potem, człowieku... och, ależ to było płynne! Potem jaguar znowu skacze, ale tym razem – zamiast zrobić unik – Rycerz pada na wznak, robi pół przewrotu przez głowę i kiedy jaguar nad nim przelatuje, kopie w górę obiema nogami. Potężnie kopie! I wbija pięty w bok jaguara. Jaguar wali o ścianę areny i spada ze skowytym, próbując sięgnąć zębami żeber. Bo były rozpieprzone, człowieku. Sterczały ze skóry jak maszty namiotu.

Chłopak otarł usta grzbietem dłoni i błysnął oczami w stronę Mingolli i pozostałych żołnierzy, by się przekonać, czy opowieść ich porywa.

– Ale żeśmy się darli, człowieku – podjął. – Waliliśmy w szczyt muru. Było tak głośno, że

ten mój kumpel wrzeszczał mi coś do ucha, a ja nic nie słyszałem. No i może z powodu hałasu, może przez te żebra, w jaguara wstępuje diabeł. Pozoruje ataki na Rycerza, próbuje się doń zbliżyć przed skokiem, żeby mu Rycerz nie wykręcił tego samego numeru. Warczy jak cholerna piła spalinowa! Rycerz wciąż odskakuje i robi zwody. Ale potem się potyka, człowieku, macha rękami dla odzyskania równowagi i jaguar już na nim siedzi, rozrywa mu pierś. Przez sekundę jakby razem walcowali. Potem Rycerz odgina tę łapę, która go zahaczyła, odpycha łeb jaguara i wali go pięścią w oko. Jaguar pada na piasek, a Rycerz daje drapaką w drugi koniec areny. Ogląda rany na piersi, które krwawią jak diabli. Tymczasem jaguar podnosi się na łapy i jest porozpieprzany jak nigdy. Jedno oko pełne krwi, zadnie łapy trzęsą się jak galareta. Gdyby to był boks, toby wezwano lekarza. Jaguar kombinuje sobie, że ma po uszy tego dobrego i próbuje wyskoczyć z areny. Któryś razem skacze w tym miejscu, gdzie się przechylałam przez mur. Jest tak blisko, że czuję jego oddech i widzę swoje odbicie w zdrowym oku. Ludzie świrują, bo myślą, że mu się może udać. Ale nim ma jakąkolwiek szansę, Rycerz łapie go za ogon i rzuca nim o mur. On załatwia tego jaguara tak, jak się trzepie cholerne dywany. A jaguar to teraz prawdziwa ruina. Trzęsie się. Krew mu leci z pyska, kły całe czerwone. Rycerz zaczyna te swoje zmyłki, macha rękami, warczy. Bawi się z jaguarem. Ludzie, człowieku, nie wierzą własnym oczom. Sammy tak dołożył jaguarowi, że może się z nim bawić! Jeśli przedtem lokal wyglądał jak dom wariatów, to teraz jest to cholerne zoo. Bójki w tłumie, faceci śpiewają Hymn Piechoty Morskiej. Jakaś zezowata faszolara ściąga ciuchy. Jaguar znów próbuje wejść z Rycerzem w zwarcie, ale jest za bardzo zdemontowany. Nic mu nie wychodzi. A Rycerz wciąż warczy i robi zwody. Facet za mną buczy i twierdzi, że Rycerz kała czystość sportu, bo się bawi z jaguarem. Ale do diabła, człowieku, widzę, że on po prostu rozgryza jaguara, czeka na właściwy moment, odpowiedni ruch.

Chłopak tęsknie zapatrzył się w dół rzeki; może myślał o swojej dziewczynie.

– Wiedzieliśmy, że to się zbliża – podjął. – Wszyscy naprawdę ucichli. Tak ucichli, że było słychać stopy Rycerza szurające po piasku. Czuleś to w powietrzu i wiedziałeś, że jaguar zbiera siły na ostatni wielki wysiłek. Potem Rycerz znów się potyka, ale tym razem to zmyłka. Ja to dostrzegłem, ale jaguar nie. Gdy Rycerz zatacza się w bok, jaguar skacze. Myślałem, że Rycerz padnie jak za pierwszym razem, ale on też skacze. Nogami do przodu. I trafia jaguara w dołną szczękę. Słyszysz trzask kości i jaguar upada jak łachman. Próbuje wstać, ale nic z tego! Skowyczy i zasrywa całą arenę. Rycerz podchodzi do niego z tyłu, chwytając łeb w obie ręce i skręca. Trzask!

Jakby współczując jaguarowi, chłopak zamknął oczy i westchnął.

– Wszyscy siedzieli cicho, póki nie usłyszeli tego trzasku. Wtedy rozpętało się piekło. Ludzie wyli: „Sammyyy, Sammyyy!” i przepychali się, żeby dotrzeć jak najbliżej muru i zobaczyć, jak Rycerz wyrywa serce. Sięga do pyska jaguara, wyrywa jeden z kłów i komuś rzuca. Potem przez

tunel wchodzi Chaco i daje mu nóż. Akurat gdy ma go wbić, ktoś mnie prze wraca. Kiedy staję na nogi widzę, że wyjął mu serce i go pokosztował. Stoi tam po prostu z krwią jaguara na wargach i własną, ściekającą po piersi. Trochę wyglądał na zmieszanego, kapujesz, że to niby walka się skończyła, a on nie wie, co robić. Ale potem zaczyna ryczeć. Ryczy tak samo jak jaguar, zanim dostał wycisk. Wściekle jak wszyscy diabli. Gotów załatwić cały cholerny świat. Człowieku, zatraciłem się. Byłem w tym ryku. Może ryczałem razem z Rycerzem, może wszyscy ryczeli. Człowieku, tak się właśnie czułem. Jakbym był w samym środku takiego ryku, co wychodzi z każdego gardła na świecie.

Małolat ogarnął Mingollę przytomnym spojrzeniem.

– Kupa ludzi powtarza, że arena to zło, i może tak jest. Nie wiem. Ale jak niby masz powiedzieć, co tu jest złe, a co nie? Mówią, że można łazić na walki tysiąc razy i nie zobaczyć niczego takiego jak Czarny Rycerz i jaguar. Tego też nie wiem. Ale będę wracał na wypadek, gdybym znowu miał fart. Bo to, co widziałem wczoraj wieczorem, jeśli nawet było złe, człowieku, to było tak kurewsko złe, że aż piękne.

Rozdział 3

Debora czekała na nabrzeżu z koszykiem piknikowym w ręku, ubrana w błękitną suknię bez dekoltu i rozcięć: strój uczennicy. Mingolla wziął na nią kurs. Jej fryzura – włosy spadające na ramiona w gęstych czarnych puklach – przywiodła mu na myśl zastygły dym, a twarz – mapę cudownej krainy z czarnymi jeziorami i cienistymi równinami, krainy, w której mógłby się ukryć. Poszli brzegiem za miasto, aż dotarli do zakątka, gdzie drzewa ceiba o gładkich zielonych liściach, białawym łyku i korzeniach jak ogony aligatorów rosły nad samą rzeką, i tu jedli, rozmawiali, słuchali wody chlupoczącej o błotnisty brzeg, ptaków, nikłych odgłosów z bazy lotniczej, które, jak się zdawało z tej odległości, należały do natury. Blask słońca pokrył wodę miriadem migotań, a ilekroć wiatr marszczył powierzchnię, miało się wrażenie, iż rozwiewa je na kształt diamentowego płaszcza. Mingolla wyobrażał sobie, że wstąpiwszy na tajemną ścieżkę, dotarli za róg świata i osiągnęli jakąś krainę wieczystego spokoju. Złudzenie spokoju było tak doskonałe, że począł w nim dostrzegać nadzieję. Jakąś nową magię. Może zobaczy tu znak. Znaki były wszędzie, jeśli potrafiło się je odczytać. Rozejrzał się dokoła. Grube białe pnie zwieńczone zielenią i wiodące między nimi mroczne aleje liści.. tu nic nie ma, co jednak z krzewami porastającymi brzeg rzeki? Rzuciły na gliniasty grunt cienie jak precyzyjny ornament z irysów, cienie, które nie miały wiele wspólnego z poszarpaną gmatwaniną samych gałązek. Możliwe, że to znak, choć znak niejasny. Przeniósł wzrok na trzciny porastające płyciznę. Żółte trzciny, trzymające się pod boki swymi przegubowymi łodygami, jedne ze skupiskami owadzych jaj zwisających z pojedynczych włókien jak drobniutkie perły, inne pocętkowane plamami alg. Tak wyglądały w jednej chwili. Potem obraz przed oczami Mingolli zafalował, jak gdyby przez całą rzeczywistość przebiegło drżenie, i oto trzciny ukazały się w kształtach najprostszych: żółte pałki sterczące z płaskiego błękitu. Dżungla na drugim brzegu była ledwie maźnięciem pastelowej zieleni; jakiś ścigacz rozplątał błękit czerwonym nożem. Wydawało się, że to zafalowanie minimalnie przesunęło wszystkie elementy krajobrazu wobec właściwego im porządku, ujawniając, że są w istocie równie pozbawione wyrazu, jak klocek do zabawy. Mingolla zaaplikował sobie potrząśnięcie głową. Nic się nie zmieniło. Potarł czoło. Bez efektu. Ogarnięty przerażeniem mocno zacisnął powieki. Czuł się jak jedyne znaczące ogniwo bzdurnej układanki, podatne, przez swój szczególnie charakter, na uraz. Oddychał gwałtownie i drżała mu lewa ręka.

– David? Nie chcesz tego posłuchać? – Debora sprawiała wrażenie poirytowanej.

– Czego posłuchać? – Nie otwierał oczu.

– O moim śnie. Nie uważałeś?

Zerknął na nią. Wszystko wróciło do normy. Siedziała na podkurczonych nogach, wyraźnie widział jej rysy.

- Przepraszam – powiedział. – Zamyśliłem się.
- Wyglądałaś na przerażonego.
- Przerażonego? – Zrobił zdumioną minę. – Nie, coś mi przyszło do głowy, ot i wszystko.
- To coś nie mogło być przyjemne.

Zbył ten komentarz wzruszeniem ramion i usiadł żwawo, by dowieść swojego zainteresowania.

- Opowiedz więc mi ten sen.

– W porządku – odparła niepewnie. Odgarniała gęste kosmyki włosów, które wiatr zsuwał jej na twarz. – Byłeś w pokoju o kolorze krwi, z czerwonymi krzesłami i czerwonym stołem. Nawet obrazy na ścianach były w rozmaitych odcieniach czerwieni i... – urwała, przyglądając mu się bacznie. – Czy chcesz tego słuchać? Znow masz ten wyraz twarzy.

– Jasne – odparł. Ale się bał. Skąd mogła wiedzieć o czerwonym pokoju? Musiała mieć widzenie i... Potem uzmysłowił sobie, że ona być może wcale nie opowiada o samym pokoju. Mówił jej o ataku, czyż nie? Jeśli więc miała powiązania z partyzantką, mogła wiedzieć, że podczas napadu było włączone oświetlenie alarmowe. Tak to musiało wyglądać! Znow go próbowała nastraszyć do tego stopnia, żeby zdezerterował, manipulując jego psychiką tak, jak kaznodzieja wygrywa lęki grzeszników, kreśląc obrazy rzek ognia i mąk. To doprowadziło go do wściekłości. Kim ona, u diabła, jest, żeby go pouczać, co jest słuszne i mądre? Cokolwiek uczyni, będzie to jego własna decyzja.

– Pokój miał czworo drzwi – ciągnęła. – Chciałeś z niego wyjść, ale nie wiedziałeś, których drzwi możesz bezpiecznie użyć. Spróbowałaś pierwszych, ale okazały się atrapą. Klamka drugich dała się łatwo nacisnąć, ale same drzwi były zablokowane. Nie próbując sforsować ich siłą, podszedłeś do trzecich. Ich klamka była ze szkła i skaleczyłeś sobie dłoń. Potem chodziłeś tylko w kółko, nie mając pewności, co robić. – Czekala na reakcję, a gdy nie okazał żadnej, dodała: – Czy rozumiesz?

Zachowywał milczenie, próbując stłumić gniew.

- Wytłumaczę ci go – zaproponowała.

– Nie trudź się.

– Czerwony pokój to wojna, atrapa drzwi zaś to twoja dziecinna...

– Przestań! – Złapał ją za nadgarstek i mocno ścisnął. Tak długo piorunowała go spojrzeniem, aż puścił.

– To twoja dziecinna metoda magiczna – dokończyła.

– Jak to z tobą jest? – zapytał. – Masz do wyrobienia jakiś limit? Pięciu dezerterów miesięcznie i dostajesz medal?

Obciągnęła spódnicę, żeby zakryć kolana, i kręciła w palcach wyprutą nitkę. Z jej zachowania można było wysnuć wniosek, że zadano jej oto intymne pytanie, a ona formułuje

odpowieź, która nie ma być wulgarna. W końcu powiedziała:

– Czy taki, w twoim przekonaniu, jest mój stosunek do ciebie?

– A źle myślę? Bo z jakiego innego powodu wciskałabyś mi ten kit?

– Co się z tobą dzieje, David? – Pochyliła się do przodu, ujmując w dłoń jego twarz. –

Dlaczego...

Odepchnął jej dłoń.

– Co się ze mną dzieje? To – jego gest ogarniał niebo, rzekę, drzewa – to się ze mną dzieje. Przypominasz mi rodziców. Zadają te same ignoranckie pytania. – Zapragnął nagle zranic ją swymi odpowiedziami, znaleźć taką odpowiedź, którą chluśnie jej w twarz jak kwasem, by patrzeć, jak pożera jej spokój. – Wiesz, jaki numer wykręcam rodzicom? – zapytał.

– Kiedy zadają kretyńskie pytania w rodzaju „Co się z tobą dzieje?”, opowiadam im historię. Wojenną historię. Chcesz po słuchać wojennej historii? O czymś, co się stało parę dni temu i co znakomicie starczy za odpowiedź?

– Nie musisz mi niczego opowiadać – odparła zniechęcona.

– Żaden problem – powiedział. – Cała przyjemność po mojej stronie.

Mrówcza Farma jest wielkim wzniesieniem o kształcie głowy cukru, wypiętrzymym nad gęstą dżunglą na wschodniej granicy Szmaragdowej Strefy Ogniowej; z jej szczytu sterczą stanowiska artyleryjskie i raketowe, które z oddali przypominają ciernie wbite w zieloną czaszkę. W promieniu kilkuset jardów grunt oczyszczono z wszelkiej roślinności. Maksymalnie obniżone lufy wielkokalibrowych dział w jednym szaleńczym momencie zmiotły z powierzchni ziemi wielkie połacie dżungli, pozostawiając palisadę poczerwiałych kikutów i pokiereszowany siatką szczelin wyżarzony czerwony grunt. Zwoje drutu tnącego zastąpiły drzewa i krzaki, tworząc surrealistyczny żywopłot, pod którym skryto mnogość najrozmaitszych min i czujników. Niewielki był z nich jednak pożytek, Kubańczycy bowiem dysponowali techniką, która umożliwiała zneutralizowanie większości z nich. W jasne noce prawdopodobieństwo kłopotów nie było wielkie, ogromnie jednak rosło podczas nocy mglistych. Pod osłoną mgły Kubańczycy i partyzanci przedostawali się przez druty i podejmowali próby wniknięcia do gmatwaniny wydrążonych w głębi wzniesienia tuneli. Niekiedy eksplodowała któraś z min i widziało się wówczas upiorną kulę ognistą w kokonie wirującej bieli oraz odrzucane na boki maleńkie czarne figurki. Ostatnio stwierdzono, że niektóre z ofiar mają na sobie czerwone berety i mosiężne znaczki w kształcie skorpiona, z czego wysnuto wniosek, iż Kubańczycy podesłali Dywizję Alakrańską, która odegrała zasadniczą rolę w rozgromieniu sił amerykańskich w Miskitii.

W głębi wzniesienia było dziewięć poziomów tuneli, przeważnie połączonych z małymi okrągłymi pomieszczeniami, które służyły jako kwatery (jeden wyjątek stanowił poziom najniższy, w całości przeznaczony na centrum komputerowe i biura); wszystkie pomieszczenia

i tunele wyściełał gąbczasty biały plastik, który wyglądał jak zeszywniała piana morska i był odporny na wszelkie przeciwpiechotne środki wybuchowe. W pokoju Mingolli, gdzie oprócz niego zamieszkiwali Baylor i Gilbey, na stanowiącej stałe wyposażenie lampie sufitowej wisiał szkarłatny lampion z papieru, który nadawał wnętrzu pozór okrwawionej celi; to Baylor nalegał na powieszenie tej osłony, utrzymując, że lampa jest dlań zbyt jasna i razi go w oczy. Wzdłuż ścian, w takich odstępach, na jakie pozwalał rozmiar pokoju, rozstawiono trzy prycze. Podłoga wokół pryczy Baylora była usłana petami i zużytymi chusteczkami higienicznymi; pod poduszką Baylor trzymał cynkową puszkę, w której miał zapas pigułek i marihuanę. Ilekroć zapalał skrętą, proponował Mingolli sztacha, a Mingolla niezmiennie odmawiał, mając świadomość, że doświadczeń z bazy artyleryjskiej nie trzeba retuszować narkotykami. Na ścianie nad pryczą Gilbeya wisiał przyklejony taśmą kołaż z fotografii damskich bobrów i codziennie po służbie, niezależnie od tego, czy Baylor i Mingolla byli w pokoju, czy nie, Gilbey kładł się pod nim i onanizował. Jego bezwstyd sprawiał, że Mingolla czuł się zażenowany skrytością, jaką sam otaczał ten akt. Żenowała go również infantylność bibelotów, które przymocował nad swą pryczą: proporczyka Jankesów, zdjęcia dawnej dziewczyny, fotografii drużyny koszykówki z ogólniaka, kilku zrobionych przez siebie szkiców okolicznej dżungli. Gilbey nieustannie naigrawał się z tej wystawki, nazywając Mingollę „chłoptysiem z sąsiedztwa”, co on sam uważał za osobliwe, w rodzinnych bowiem okolicach miał raczej opinię ekscentryka.

To właśnie w stronę tego pokoju zmierzał Mingolla, kiedy się zaczął atak. Wielkie windy towarowe, zdolne przewieźć sześćdziesięciu ludzi, wędrowały w górę i w dół tuż pod wschodnimi i zachodnimi zboczami wzgórza, by jednak zapewnić szybki dostęp do sąsiadujących ze sobą poziomów, a także jako zabezpieczenie na wypadek awarii zasilania, środek wzgórza przewiercał spiralny tunel pomocniczy jak olbrzymi zwój białego jelita. Był na tyle szeroki, że z zachowaniem niewielkiego odstępu mogły się w nim minąć dwa wózki elektryczne, którymi jeździli oficerowie i VIP-y na inspekcjach. Mingolla miał zwyczaj używać tego tunelu do ćwiczeń. Co wieczór zakładał dres i ganiał w górę i w dół przez wszystkie dziewięć poziomów, czyniąc to z przekonania, że zmęczenie fizyczne zapobiega złym snom. Tego wieczoru, gdy w swej ostatniej wspinaczce mijał Poziom Czwarty, usłyszał łomot: eksplozję i to w niewielkiej odległości. Odezwały się alarmy, zaczęły grzmieć działa na szczycie wzgórza. Wprost z góry dobiegły krzyki i grzechot ognia z broni automatycznej. Światła tunelu zamigotały, zgasły i wnet włączyło się oświetlenie alarmowe.

Mingolla rozplaszczyl się o ścianę. W przyćmionych czerwonych światłach gąbczaste powierzchnie tunelu wyglądały na tak metalicznie gładkie jak komory olbrzymiej łodzi podwodnej, i to podobieństwo spotęgowało w nim uczucie bezsilności. Poczul się jak dziecko uwięzione w szatańskim podwodnym pałacu. Nie mógł jasno myśleć, wyobrażając sobie otaczający go chaos. Błyski z luf, armie ludzi-mrówek rojące się w tunelach, krzyki, z których

tryska krew, kanonada wielkich dział i wybuchy pocisków rozpalających całe mile niebios. Wolałby wciąż iść w górę, żeby się wydostać na otwartą przestrzeń, gdzie może miałby szansę skryć się w dżungli. Ale nadzieję dawała jedynie ucieczka w dół. Odepchnąwszy się od ściany, popędził w dół, wymachując ramionami, ślizgając się na zakrętach, niemal padając – za Poziom Czwarty, Poziom Piąty. Między Poziomem Piątym a Szóstym byłby o mały włos przekoziółkował przez trupa: leżał tu Amerykanin zwinięty w kłębek wokół rany w brzuchu. Pod nim i leżącą w zasięgu ręki maczetą rozrastała się kałuża krwi. Pochylając się po maczetę, Mingolla wcale nie myślał o człowieku, ale o tym, jakie to dziwne, że Amerykanin bronił się przed Kubańczykiem takim orężem. Nie było sensu, uznał, iść jeszcze dalej. Ktokolwiek zabił tego człowieka, znajdował się teraz gdzieś niżej, najbezpieczniejszym trybem postępowania było tedy ukrycie się w którymś z pomieszczeń Poziomu Piątego. Z wystawioną przed siebie maczetą począł na powrót sunąć w górę tunelu.

Poziomy Piąty do Siódmego stanowiły terytorium oficerskie choć tunele nie różniły się od tych w górze – takie same łagodnie zakrzywione rury, osiem stóp wysokości na dziesięć szerokości – pokoje były jednak większe i mieściły tylko po dwie prycze. Te, do których Mingolla zajrzał, były puste, i fakt ten, mimo odgłosów bitwy, dał mu poczucie bezpieczeństwa. Gdy jednak minął zakręt tunelu, usłyszał z tyłu wrzaski w języku hiszpańskim. Wyrzwał zza rogu Chudy czarnoskóry żołnierz w czerwonym berecie i szarych drelichach cał po calu podkradał się do pierwszych drzwi; potem, z pistoletem gotowym do strzału, wpadł do środka. Dwóch innych Kubańczyków – szczupłych brodatych mężczyzn o żółtawych, w krwawym świetle, skórach – stało przy łukowatym wlocie do tunelu pomocniczego; gdy dostrzegli wychodzącego z pokoju czarnego żołnierza, odeszli w przeciwnym kierunku – prawdopodobnie po to, by spenetrować pokoje po drugiej stronie tunelu.

Mingolla zaczął działać jak w natchnionej panice. Pojął, że będzie musiał zabić czarnego żołnierza. Zabić bez żadnego zamieszania, zabrać mu broń i żywić nadzieję, że zdoła zaskoczyć dwóch pozostałych, gdy ci po niego przyjdą. Wślizgnąwszy się do najbliższego pokoju, zajął stanowisko przy ścianie z prawej strony drzwi. Kubańczyk, jak zauważył, po wejściu do pokoju spojrział w lewo; będzie bezbronny wobec kogoś ustawionego tak jak Mingolla. Bezbronny przez ułamek sekundy. Krócej niż trwa wypowiedzenie słowa „raz”. W skroniach Mingolli mocno dudnił puls, gdy ujmował maczetę w lewą dłoń. Przecwiczył w myśli wszystkie czynności, jakie ma wykonać. Dźgnąć; zacisnąć dłoń na ustach Kubańczyka; kopnąć go kolaniem w rękę, żeby wytrącić pistolet. I musi te czynności wykonać jednocześnie, idealnie.

Wykonanie idealne.

Mało brakowało, a byłby się głośno roześmiał, przypominając sobie, jak jego stary brzuchaty trener koszykówki pouczał: „Wykonanie idealne, chłopcy. Oto recepta na strefę. Dajcie sobie spokój z grepsami. Po prostu ustawcie zasłonę, lećcie po swoim i rzucajcie”.

Kosz to nic innego jak życie w krótkich spodenkach, nie, panie trenerze?

Mingolla głęboko zaczerpnął powietrza, by wypuścić je przez nos. Nie mógł uwierzyć, że ma umrzeć. Spędził dziewięć miesięcy przejęty możliwością śmierci, ale jak przyszło co do czego, gdy zaistniałe okoliczności uczyniły śmierć czymś prawdopodobnym, niełatwo było potraktować to prawdopodobieństwo serio. Nie uważał za sensowne, by ten chudy, czarny facet miał się okazać jego nemezys. Jego śmierci winny towarzyszyć potężne eksplozje światła, specjalne Mingollobójcze promieniowanie, znaki astronomiczne. Nie jakiś kościsty mały gnój z pukawką. Raz jeszcze zaczerpnął powietrza i dopiero teraz zarejestrował zawartość pokoju. Dwie prycze; porozrzucane wszędzie ciuchy; porozklejane na ścianach fotki z polaroidu i pornografia. Terytorium oficerskie czy nie, to był standardowy wystrój Mrówczej Farmy; w czerwonym świetle wydał się pluga wy i od dawna zapomniany. Zdumiewał go fakt, że czuje taki spokój. Och, bał się, prawda! Ale strach ukrył się w mrocznych fałdach jego osobowości jak nóż mordercy, który zawinięto w stary płaszcz i upchnięto na półce szafy. Lśniący tajemnie, czekający na szansę, by oślepić. Przeszyje go wcześniej czy później, ale na razie był sprzymierzeńcem, wyostrzał jego zmysły. Na białych ścianach widział każde zgrubienie od bąbla, słyszał zgrzyt butów Kubańczyka, gdy ten wpadł do sąsiedniego pokoju, czuł, że Kubańczyk od lewej do prawej omiata pistoletem pokój, że stoi, odwraca się...

Czuł Kubańczyka! Czuł wyraźnie jego ciepło, jego rozgrzaną sylwetkę, położenie ciała. Było tak, jakby w jego mózgu włączył się monitor termiczny ślący obrazy zza ściany.

Kubańczyk skierował się ku drzwiom Mingolli; było to równie dostrzegalne, jak poruszająca się za kartką papieru płonąca zapalka. Spokój Mingolli został zniweczony. Ciepło tego człowieka, temperatura jego cielesności – oto, co wytrąciło go z równowagi. Najpierw widział się, jak zabija z filmową sprawnością, bez żadnego zamieszania; teraz myślał o zarzynaniu świń i kafarach miażdżących czaszki krów. I czy może zaufać tej anormalnej formie percepcji? A jeśli nie może? Co się stanie, jeśli dźgnie zbyt późno? Albo za wcześnie?

Potem ta gorąca, żywa istota była prawie u drzwi i, nie mając innego wyboru, Mingolla zgrał swój atak z jej ruchami. Dźgnął natychmiast, gdy Kubańczyk wszedł.

Wykołał idealnie.

Ostrze pogrzyżyło się poniżej żeber Kubańczyka; tłumiąc krzyk, dłoń zacisnęła się na jego ustach. Kolano rąbnęło w kolbę pistoletu, posyłając go na podłogę. Kubańczyk miotał się wściekle. Cuchnął papierosami i zgniłym powietrzem dżungli. Przewracał oczami, próbując zobaczyć Mingollę. Oszałałymi zwierzęcymi oczami o rozszerzonych źrenicach i pożółkłych białkach. Na jego czole połyskiwały czerwienią kropelki potu. Mingolla przekręcił maczetę i powieki Kubańczyka opadły. Ale sekundę później znów się otworzyły i Kubańczyk szarpnął się w przód. Chwiejnie przesunęli się obaj w głąb pokoju, by toczyć zmagania w pobliżu jednej z prycz. Raz i drugi Mingolla szarpnął Kubańczykiem na bok i, walnął nim o ścianę i tam go

przygwoździł. Wijąc się, Kubańczyk niemal odzyskał swobodę. Wydawało się, że nabiera sił, a jego wrzaski wyciekają spod dłoni Mingolli; chwycił garść włosów, szarpnął. Zdesperowany Mingolla naparł na maczetę. Nastroiło to wrzaski Kubańczyka wyżej i głośniejsze. Wił się, szarpiąc paznokciami ścianę. Dłoń Mingolli, zaciśnięta na ustach Kubańczyka, była śliska od śliny, duszący zapach przyprawiał go o mdłości; był słaby i nie miał pewności, jak długo jeszcze wytrzyma. Ten skurwysyn nigdy nie umrze, czerpie siły ze stali w swych flakach, przemienia się w jakiś nieśmiertelny żywioł. Ale właśnie wtedy Kubańczyk zeszywniał. Potem zwiotczał i Mingolla poczuł smród kału.

Pozwolił Kubańczykowi osunąć się na podłogę, nim jednak zdołał wyswobodzić maczetę, przez ciało przebiegł dreszcz, przeniósł się na rękojeść i rozedrgał jego lewą dłoń. I trwał gdzieś w środku, plugawy, sprośny jak roztrzęsienie po stosunku. Coś – jakiś zwierzęcy byt, jakiś oślizgły strzęp odrażającego życia – wilo się tam, pełzło ku nadgarstkowi. Ogarnięty grozą patrzył na swoją dłoń. Drżała, okryta rękawicą krwi Kubańczyka. Uderzył nią w biodro i oszołomił chyba to coś w środku, ale odżyło po sekundzie, by wciskać się do jego palców i umykać z nich z szaleńczą szybkością kijanki.

– Teo! – zawołał ktoś. – Vamos!

Zelektryzowany okrzykiem Mingolla pośpieszył do drzwi.

Zaczepił stopą o automat Kubańczyka, podniósł go i drżenie dłoni osłabło. Przyszło mu na myśl, że się uspokoiło, poczuwszy znajomą fakturę i ciężar.

– Teo! Dónde estds?

Żadna z rysujących się przed Mingolla możliwości wyboru nie była zbyt korzystna, ale uświadomił sobie, że pozostawanie tu jest daleko niebezpieczniejsze niż wzięcie inicjatywy we własne ręce. Mruknął: „Aqui” i robiąc obcasami wiele hałasu, wkroczył do tunelu.

– Dase prisa, hombre!

Otworzył ogień, ledwie minął zakręt. Dwaj Kubańczycy stali przy wejściu do tunelu pomocniczego. Ich pistolety zaszczekały krótko, śląc po ścianach nieszkodliwą fontannę pocisków; potem Kubańczycy skręcili się, wyrzucili w górę ramiona i upadli. Mingolla był zbyt zaszokowany tym, jak łatwo mu poszło, żeby poczuć ulgę. Obserwował ich, oczekując, że coś zrobią – jękną albo drgną.

Gdy zamarły już echa wystrzałów – choć wciąż słyszał w oddali kanonadę dział i trzask wymiany ognia – w tunel poczęła się wlewać ciężka cisza, jak gdyby kule podziurawiły coś, co ją tamowało. Ta cisza uzmysłowiła mu jego samotność. Nie wiadomo, gdzie przebiegają linie walki... jeśli w ogóle przebiegają. Możliwe, że małe oddziały przeniknęły na każdy poziom, że bój o Mrówczą Farmę jest w mikroskali walką o Gwatemalę: konfliktem bez reguł, bez rzeczywistych granic, bez normalnych starć, czymś na kształt epidemii, która może się ujawnić gdziekolwiek i zabić. Gdyby tak sprawy stały, najlepsze, co mógłby zrobić, to ruszyć ku

ośrodkowi komputerowemu, gdzie z pewnością koncentrują się przyjazne siły.

Podszedł do wejścia i spojrzął na dwóch martwych Kubańczyków. Upadli tak, że mu zablokowali drogę, i wahał się, czy ich przestąpić, na poły wierząc, że tylko udają martwych, by go złapać. Dziwaczne położenie ich kończyn kazało mu pomyśleć, że utrzymują trudne pozycje, oczekując na jego przejście. W czerwonej poświacie lamp alarmowych ich krew wydawała się purpurowa, gęstsza i bardziej lśniąca niż zwykła krew. Dostrzegł ich pieprzyki, blizny i rany, prowizoryczne cery na drelichach, złote plomby połyskujące w otwartych ustach. Zabawne, gdyby spotkał tych facetów, kiedy jeszcze żyli, mogliby na nim wyrzucić tylko przelotne wrażenie; ale widząc martwych, jednym spojrzeniem skatalogował ich cechy fizyczne. Może, pomyślał, śmierć tak ujawnia rzeczy najbardziej istotne, jak nie potrafi tego uczynić życie. Wpatrywał się w martwych mężczyzn, próbując ich rozgryźć. Para szczupłych żyłastych gości. Sympatycznych gości, rozmiłowanych w rumie, kobietach i sporcie. Mógłby iść o zakład, że grali w baseball jako obrońcy dublujący swoje pozycje. Może powinien do nich zawołać: „Hej, jestem kibicem Jankesów. Bez nerwów, chłopcy! Spotkajmy się po wojnie na parę piłek. Pieprzyć ten gnój z zabijaniem! Pograjmy sobie”.

Roześmiał się i wysoki, piskliwy dźwięk tego śmiechu obudził go. Chryste! Aż się o to prosi, kiedy tak stoi! I jakby dla poparcia tego wniosku istota wewnątrz jego dłoni eksplodowała życiem, wijąc się i miotając na wszystkie strony. Tłumiąc w sobie strach, Mingolla przestąpił obu martwych mężczyzn i dopiero teraz, gdy nic nie schwytało go za nogawki, poczuł wielką, wielką ulgę.

Poniżej Poziomu Szóstego w tunelu pomocniczym kłębiło się sporo mgły i stąd Mingolla wysnuł wniosek, że Kubańczycy przeniknęli przez stok wzgórza prawdopodobnie dzięki minie górniczej. Istniała możliwość, że dziura, którą wywalili, jest gdzieś w pobliżu, uznał więc, że gdyby ją tylko zdołał znaleźć, zabierze się do diabła z Mrówczej Farmy i skryje w dżungli. Na Poziomie Siódmym mgła była wyjątkowo gęsta; zabarwiona przez światła alarmowe wyblakłą czerwienią wyglądała jak tampon chirurgiczny wepchnięty do wielkiej arterii. Na ścianach, jak prymitywna grafika, czerniła się spalenizna po wybuchach, a przy drzwiach widać było sporo ciał. W większości amerykańskich i zmasakrowanych. Nieswój, Mingolla lawirował między nimi, a kiedy ktoś powiedział za jego plecami: „Nie ruszaj się”, wrzasnął gardłowo, upuścił broń i odwrócił się z walącym sercem.

Mierząc z czterdziestki piątki w pierś Mingolli, w drzwiach stał gigantyczny mężczyzna; dwa metry wzrostu, bary i tors ciężarowca. Był w khaki z insygniami porucznika, a jego dziecienna twarz, chociaż ściągnięta w groźny grymas, sprawiała wrażenie łagodne i spokojne; przywiodła Mingolli na myśl wizję Byczka Fernando rozważającego skomplikowany problem.

– Mówiłem, żebyś się nie ruszał – powiedział z irytacją.

– W porządku – odparł Mingolla. – Jestem po twojej stronie.

Porucznik przeciągnął dłonią po burzy gęstych kasztanowych włosów; mrugał częściej, niż to się czyni zazwyczaj.

– Lepiej to sprawdzę – powiedział. – Chodźmy do magazynu.

– Co tu jest do sprawdzania? – zapytał Mingolla, którego paranoja narastała.

– Proszę! – rzekł porucznik głosem, który brzmiał naprawdę błagalnie. – Było już za wiele przemocy.

Magazyn był zastawionym rzędami skrzyń długim wąskim pomieszczeniem w kształcie litery L na samym końcu poziomu; przez lekką mgiełkę światła alarmowe wyglądały jak sznur umierających słońc. Eskortowany przez porucznika Mingolla doszedł do samego rogu litery L, a kiedy go minął, dostrzegł, że tylna ściana pomieszczenia znikła. W zбочu wzgórze wybito tunel otwierający się w mrok. Z jego sklepienia, nadając pozór jakiegoś czarodziejskiego przejścia w krainę czarnej magii, zwisały rozwidlone korzenie z przylepionymi grudkami ziemi; u wylotu piętrzyło się rumowisko gruzu i brył ziemi. Mingolla poczuł zapach dżungli i zdał sobie sprawę, że działa przerwały ogień. Co oznaczało, że ktokolwiek wygrał bitwę na szczycie, rychło pośle w dół oddziały dla przeczesania tuneli.

– Nie możemy tu zostać – powiedział do porucznika. – Wrócą Kubańczycy.

– Jesteśmy zupełnie bezpieczni – odparł porucznik. – Masz moje słowo. – Skinął pistoletem, nakazując Mingolli usiąść na podłodze.

Mingolla zrobił, co mu kazano, i aż zeszywniał na widok zwłok – Kubańczyka – leżących z głową wspartą o ścianę dokładnie naprzeciwko niego, między dwiema skrzyniami.

– Jezu! – powiedział, podnosząc się na kolana.

– Nie ugryzie – rzekł porucznik.

Z pełnym brakiem skrępowania, jakby się wciskał na ławkę metra, usiadł obok trupa; we dwóch idealnie wypełniali przestrzeń między dwoma skrzyniami, a łokieć Amerykanina dotykał ramienia Kubańczyka.

– Hej! – zawołał Mingolla dręczony zawrotami głowy i rozbity. – Nie będę siedzieć obok tego jebanego truposza, człowieku!

Porucznik wywinął pistoletem.

– Przyzwyczaisz się do niego.

Niezdolny oderwać oczu od trupa, Mingolla opadł powoli do pozycji siedzącej. Właściwie w porównaniu ze zwłokami, przez które ostatnio przestępował, ten prezentował się zupełnie nieźle. Jedynymi oznakami urazów była krew na ustach i bujnej czarnej brodzie oraz zlepek krwi i poszarpanej tkaniny w samym środku piersi. Beret zsunął się fantazyjnie na jedną brew, mosiężny znaczek ze skorpionem był porysowany i osmalony. Oczy trupa były otwarte; odbijały się w nich rozjarzone punkciki lamp alarmowych i to przydawało im tragicznego pozoru życia, choć zarazem odrealniało, czyniąc obecność zwłok łatwiejszą do zniesienia.

– Posłuchaj mnie – powiedział porucznik.

Mingolla tarł krew na swej drżącej dłoni, mając nadzieję, że ta czynność przyniesie jakiś pozytywny efekt.

– Słuchasz? – zapytał porucznik.

Mingolla miał osobliwą wizję trupa i porucznika jako brzuchomówcy i jego marionetki. Mimo błyszczących oczu zwłoki miały w sobie zbyt wiele realizmu, by jakakolwiek igraszka światła mogła długo powodować ułudę. Na ich paznokciach widniały precyzyjne półksiężycy; krew, która spłynęła na lewą stronę – głowa bowiem przechyliła się w lewo – rzuciła cień na jeden policzek i jedną skroń, resztę twarzy pozostawiając trupioblądą. To porucznik, w swym schludnym mundurze, wyglansowanych butach, ze staranną fryzurą, wydawał się teraz niezupełnie prawdziwy.

– Słuchaj! – powiedział porucznik. – Chcę, byś zrozumiał, że muszę zrobić to, co jest dla mnie dobre. – Biceps ręki, w której trzymał pistolet, nabrzmiał do rozmiaru kuli armatniej.

– Rozumiem – odparł Mingolla zupełnie wyprowadzony z równowagi.

– Naprawdę? Naprawdę rozumiesz? – porucznik wydawał się rozjątrzony tym twierdzeniem Mingolli. – Wątpię. Wątpię, czy w ogóle możesz zrozumieć.

– Może nie mogę – odpowiedział Mingolla. – Jak sobie życzysz, człowieku. Kapujesz, po prostu próbuję się dogadać.

Porucznik siedział w milczeniu, mrugając oczami. Potem się uśmiechnął.

– Mam na imię Jay – powiedział. – A ty jesteś...

– David. – Mingolla próbował całą swą uwagę skoncentrować na pistolecie, zastanawiając się, czy zdoła go wykopać, ale rozpraszała go drobina życia w jego dłoni.

– Gdzie jest twoja kwatera, David?

– Poziom Trzeci.

– Ja tu mieszkam – powiedział Jay. – Ale zamierzam się przenieść. Nie wytrzymam w miejscu, gdzie... – Przerwał i w pozie konspiratora pochylił się do przodu. – Czy wiedziałeś, że umieranie trwa bardzo długo, nawet gdy już staje serce?

– Nie, nie wiedziałem. – Coś w dłoni Mingolli jęło się wic ku nadgarstkowi; ścisnął przegub, próbując zablokować to coś.

– To jest prawda – oświadczył Jay z olbrzymią pewnością. – Żaden z tych ludzi – obdarzył trupa łagodnym szturchnięciem łokcia, który to gest powiedział Mingolli o napawającej dreszczem zażyłości – nie skończył umierać. Życie się po prostu nie wyłącza. Ono zanika. I ci ludzie wciąż żyją, choć to tylko życie utajone. – Uśmiechnął się. – Utajone życie życia, można by powiedzieć.

Mingolla nadal naciskał na przegub dłoni i uśmiechnął się, jak gdyby wyrażając uznanie dla gry słów. Między nim a Jayem zwijały się bładoc zerwane macki mgły.

– Oczywiście, nie jesteś zestrojony – rzekł Jay. – Nie zrozumiesz więc. Ale ja bym przepadł bez Eligia.

– Kim jest Eligio?

Jay skinął głową w stronę trupa.

– Jesteśmy zestrojeni, Eligio i ja. Oto, skąd wiem, że jesteśmy bezpieczni. Zmysły Eligia nie są już ograniczone do tu i teraz. W tej właśnie chwili jest ze swoimi, i powiada, że wszyscy umarli albo umierają.

– Mhm – sztywniejąc, powiedział Mingolla. Zdołał na powrót wcisnąć do palców istotę ze swej dłoni i sądził, że ma szansę sięgnąć do pistoletu. Ale Jay zburzył ten plan, przełożywszy broń do drugiej ręki. Jego oczy, pokryte teraz rubinowym szkliwem, jakby nabierały głębi. To dlatego, pojął Mingolla, że rozwarł je szerzej i podniósł wzrok ku światłom alarmowym.

– To człowieka zdumiewa – rzekł Jay. – Naprawdę.

– Co? – zapytał Mingolla, przesuając się w bok, żeby skrócić dystans kopnięcia.

– Życie utajone – odparł Jay. – Jeśli dusza ma swe życie utajone, może mają je również nasze poszczególne emocje. Życie utajone miłości, nienawiści. Może one wciąż gdzieś istnieją. – Podciągnął kołana, zasłaniając pistolet. – Tak czy owak, nie mogę tu zostać. Myślę, że wrócę do Oakland. – Jego głos przeszedł w poszeptywanie. – Skąd jesteś, David?

– Nowy Jork.

– Nie znam – powiedział Jay. – Ale uwielbiam Bay Area. Mam tam antykwariat. Pięknie tam rankami. Spokojnie. Słońce wpada przez okna, sunie po podłodze, kapujesz, jak przypływ, cał po calu, wspina się na meble. I jest tak, jakby te stare politory odładzały się, a cały sklep rozbłyskał światłami czasów minionych.

– Brzmi to nieźle – odparł Mingolla, zbity z tropu liryzmem Jaya.

– Wyglądasz na przyzwoitego człowieka. – Jay wyprostował się odrobinę. – Ale wybacz. Eligio powiada, że twoja dusza jest zbyt mglista, żeby mógł ją odczytać. Twierdzi, że nie mogę zaryzykować pozostawienia cię przy życiu. Będę cię musiał zastrzelić.

Mingolla sprężył się do kopnięcia, ale potem ogarnęło go zubożenie. Co by to, u diabła, zmieniło? Gdyby nawet zdołał wytrącić broń, Jay prawdopodobnie dałby radę złamać go na pół.

– Dlaczego? – zapytał. – Dlaczego musisz?

– Mógłbyś na mnie donieść – łagodne oblicze Jaya przybrało wyraz smutku. – Powiedzieć im, że się ukrywałem.

– Wszystkich głównie obchodzi, że się ukrywałeś – rzekł Mingolla. – Ja robiłem to samo. Idę o zakład, że z pięćdziesięciu facetów robiło to samo, do cholery.

– Nie wiem – Jay zmarszczył czoło. – Zapytam jeszcze raz. Może twoja dusza jest teraz mniej zamglona.

Odwrócił wzrok ku martwemu mężczyźnie.

Mingolla zauważył, że źrenice Kubańczyka skierowane są w górę i na lewo – dokładnie tam, gdzie przedtem powędrowało spojrzenie Jaya – i odbijają identyczny rubinowy blask.

-Wybacz – powiedział Jay, mierząc z pistoletu. – Muszę.

Oblizwał wargi.

– Czy mógłbyś, z łaski swojej, odwrócić głowę? Wolę, żebyś nie patrzył na mnie, kiedy to się stanie. Oto jak zestroił się z Eligiem.

Patrzeć w otwór lufy to jak wychylać się w przepaść, odczuwając chłodną pokusę skoku, i bardziej z przekory niż woli przeżycia Mingolla wytrzeszczył na Jaya oczy i powiedział:

– Zasuważ!

Jay zamrugał, ale trzymał pistolet nieruchomo.

– Drżyci dłoń – powiedział po przerwie.

– Fakt – odparł Mingolla.

– Od czego się trzęsie?

– Bo kogoś nią zabiłem – rzekł Mingolla. – Bo jestem tak samo kurewsko zwariowany jak ty.

Jay to przetrwał.

– Miałem być skierowany do jednostki pedalskiej – po wiedział w końcu. – Ale nie było wakatów i kiedy mnie tu przynosili, dali mi narkotyk. Teraz ja... ja... – zamrugał gwałtownie, jego wargi się rozciągnęły i Mingolla stwierdził, że coś go ciągnie, by jakimś gestem, uczynkiem pomóc Jayowi przełamać to dręczące zahamowanie. – Ja już nie mogę tego robić z mężczyznami – zakończył Jay i znów gwałtownie zamrugał oczyma; potem słowa przychodziły mu łatwiej. – Czy tobie też dawali narkotyki? To znaczy wcale nie sugeruję, że jesteś homo. Po prostu w dzisiejszych czasach mają narkotyki na każdą okoliczność i to miałem na myśli.

Mingollę ogarnął nagle niewypowiedziany smutek. Czuł, że jego emocje zostały skręcone w cienki czarny przewód, że ten przewód się wystrzępił i rozsiewa czarne iskry smutku. Tylko one dodawały mu energii, przez całe życie. Te małe czarne iskiery.

– Dotąd zawsze walczyłem – mówił Jay – i tym razem też walczyłem. Ale kiedy zastrzeliłem Eligia... po prostu nie mogłem robić tego dalej.

– Naprawdę gównie mnie to obchodzi – rzekł Mingolla. – Naprawdę.

– Może mogę ci zaufać – westchnął Jay. – Wolałbym żebyś był zestrojony. Eligio to poczciwa dusza. Byłbyś go polubił.

Ciągnął wywód, wyliczając przymioty Eligia, i Mingolla go wyciszył, nie chcąc słuchać o miłości Kubańczyka do swej rodziny i o tym, jak się o nią pośmiertnie troska. Wpatrując się w swą krwawą dłoń, doświadczył magicznego oglądu sytuacji: skąpany w niesamowitej czerwonej poświacie siedział w najgłębszej piwnicy tej szatańskiej góry, z uwięzionym w swym ciele strzępem życia zabitego człowieka, słuchając obłąkanego wielkoluda, który przyjmował rozkazy od trupa, i czekając, aż z tunelu wiodącego na pozór w wymiar mgły i ciemności wyleją

się żołnierze ze skorpionami. Takie widzenie spraw było szaleństwem, ale szaleństwem realnym. Rozsądek nic nie mógł na nie poradzić; miało brutalny przepych wyższy nad rozsądek, czyniło rozsądek czymś niepotrzebnym.

– ...i skoro jesteście zestrojeni – mówił Jay – nie rozłączycie się nigdy. Nawet przez śmierć. Eligio zawsze więc będzie żyć we mnie. Oczywiście, nie mogę pozwolić, by się o tym dowiedzieli. To znaczy – zachichotał, a śmiech ten przypominał odgłos potrząsanej w kubku kostki – żeby mówili, iż przyniosłem nieprzyjacielowi pomoc i ulgę!

Mingolla pochylił głowę i zamknął oczy. Może Jay strzeli. W to jednak wątpił. Jay potrzebował tylko towarzystwa w swoim szaleństwie.

– Przysięgasz, że im nie powiesz? – zapytał Jay.

– Taak – odparł Mingolla. – Przysięgam.

– W porządku – rzekł Jay. – Ale pamiętaj, masz w ręku moją przyszłość. Masz wobec mnie zobowiązanie.

– Nie przejmuj się.

Z daleka dobiegł trzask wystrzałów.

– Cieszę się, że możemy pogadać – oznajmił Jay. – Czuję się o wiele lepiej.

Mingolla odparł, że on też czuje się lepiej.

Siedzieli w milczeniu. Nie był to najbezpieczniejszy sposób spędzania nocy, ale Mingolla nie przywiązywał już żadnej wagi do bezpieczeństwa. Był zbyt wyczerpany, żeby się bać. Jay zdawał się pogrążyć w trans, wpatrzony w punkt ponad głową Mingolli, ale Mingolla nie wykonał żadnego ruchu w stronę pistoletu. Był rad, że siedzi i czeka, pozwalając losowi płynąć własnym kursem. Jego myśli rozwijały się z ospałością roślin.

Musieli już tak siedzieć kilka godzin, gdy Mingolla po słyszał szept śmigłowców i spostrzegł, że mgła zrzędła, a ciemność w końcu tunelu poszarzała.

– Hej – powiedział do Jaya. – Myślę, że teraz już wszystko w porządku.

Jay nie pośpieszył z żadną odpowiedzią. Mingolla zobaczył, że jego oczy skierowane są w górę i w lewo, dokładnie tam, gdzie oczy Kubańczyka, i też pokryte rubinowym szklivem. Na próbę wyciągnął rękę i dotknął pistoletu. Dłoń Jaya opadła na podłogę, ale palce wciąż się zaciskały na kolbie. Mingolla z niedowierzaniem cofnął rękę. Nie może być! Znow wyciągnął dłoń, żeby zbadać puls. Nadgarstek Jaya był chłodny i nieruchomy, a jego usta miały odcień niebieski. Dreszcz hysterii wstrząsnął Mingollą na myśl, że Jay źle pojął concept zestrojenia: to nie Eligio stał się częścią jego życia, lecz on częścią śmierci Eligia. Mingolli ścisnęła się pierś; pomyślał, że zaraz wybuchnie płaczem. Nic by nie miał przeciwko łzom, gdy się jednak nie zmaterializowały, zirytował się sam na siebie, a zarazem jął szukać racji na własną obronę. Czemu miałby płakać? Ten facet nic dlań nie znaczył... choć wystarczającym powodem łez był fakt, że aż tak bardzo mógł być wyprany ze współczucia. A przecież, gdybyś miał oplakiwać coś

równie powszedniego, jak śmierć pojedynczego faceta, płakałbyś w każdą minutę dnia i jaką by to kreśliło przyszłość? Zerknął na Jaya. Na Kubańczyka. Mingollą mógłby przysiąc, że mimo gładkiej twarzy Jaya i bujnej brody Kubańczyka zaczynają być do siebie podobni, tak jak to się zdarza starym małżeństwom.

I fakt, obie pary oczu były utkwione w dokładnie ten sam punkt wieczności. Albo piekielny zbieg okoliczności, albo też szaleństwo Jaya sięgnęło takich granic, że pragnąc uwiarygodnić swą historię o życiach utajonych, nakazał sobie umrzeć w ten właśnie sposób. I może wciąż żył. Życiem utajonym. Może byli teraz z Mingollą zestrojeni, a jeśli to prawda... Wstrząśnięty perspektywą dołączenia do Jaya i Kubańczyka w ich śmiertelnym czuwaniu, Mingollą podniósł się i wbiegł w tunel. Byłby może biegł dalej, ale gdy wychynał w światło przedświt, zamurował go widok u wylotu tunelu.

Za jego plecami nabrzmiwała wysoko zielona kopuła wzgórze o zboczach haftowanych krzewami i pnączami, nie kończącym się wzorem tak zniewalającym wzrok, jak subtelnie płaskorzeźbiona fasada świątyni hinduistycznej: jedno ze stanowisk artyleryjskich na szczycie zostało trafione i drzazgi osmalonego metalu zakrzywiały się w górę jak pasma czarnej kory. Przed sobą miał wstęgę czerwonej ziemi z drucianymi żywopłotami, dalej zaś majaczył czarnozielony chaos dżungli. W zasiekach uwikłały się setki bezwładnych sylwetek w zakrwawionych drelichach, a z pobliskich kraterów unosiły się spiralne smużki dymu. W górze, na poły skryta za podnoszącą się mgłą, wisiała trójka sikorskich. Pilotów nie było widać spoza warstw mgły i refleksów, helikoptery wyglądały więc jak olbrzymie trupożerne muchy o wylupiastych oczach i wirujących skrzydłach. Jak diabły. Jak bogowie. Zdawało się, iż szepczą do siebie w oczekiwaniu uczy, do której wnet zasiądą.

Była to straszna scena, a przecież miała czystość strofy z ballady o tragicznych wypadkach w jakimś pogranicznym piekle, ballady, która stała się życiem. Nie dałoby się tego namalować, a jeśli tak, to tylko na płótnie równie wielkim jak sama scena. Nie pomijając żadnego szczegółu, trzeba by oddać kłębiącą się ospale mgłę, wirowanie śmigieł helikopterów i dryfujący dym. To była idealna ilustracja wojny, jej tajemnego magicznego splendoru i Mingolla też został wpisany w pejzaż: był postacią artysty nakreśloną albo dla żartu, albo po to, by użyczyć skali i perspektywy jego ogromowi, jego ważności. Wiedział, że powinien się zameldować na swoim stanowisku, ale nie potrafił oderwać wzroku od tego wziernika zagłębionego w sercu wojny. Siadł na zboczu, przyciskając do piersi chorą dłoń, i patrzył, jak z ociężałą powolnością bożków zstępujących na ziemię, pokonując zawirowania powietrza i niecąc śmigłami szaleńcze fantomy z czerwonego piasku, trójca sikorskich, zręcznie lądują wśród martwych.

Rozdział 4

Gdzieś w połowie swej opowieści Mingolla zdał sobie sprawę, że tak naprawdę wcale nie próbuje obrazić Debory ani jej zaszokować, lecz raczej zrzuca z siebie brzemię. I pojął jeszcze, że do pewnego stopnia odcina się tym opowiadaniem od swojej przeszłości, osłabia jej władzę nad sobą. Po raz pierwszy był w stanie rozważać na serio myśl o dezercji. Nie gnał ku temu rozwiązaniu na oślep, nie chwycił go obiema rękami, ale uznawał jego logikę i rozumiał okrutny bezsens powrotu do następnych ataków i następnych śmierci, przed którymi nie miała go już bronić żadna magia. Zawarł z sobą pakt: będzie udawać, że idzie na wszystko, jakby dezercja była jego prawdziwym zamiarem, i zobaczy, jakie znaki zostaną mu dane.

Kiedy skończył, Debora zapytała, czy już mu minął gniew. Był zadowolony, że nie próbowała okazywać współczucia.

– Przepraszam – powiedział. – Tak naprawdę nie byłem na ciebie zły... a przynajmniej tylko częściowo.

– Już dobrze – odrzuciła na bok czarną lawinę włosów i spojrzała w dół, na trawę obok swych kolan. Z pochyloną głową, półzakrytymi oczyma, wdzięczną linią szyi i podbródka, przypominającą literę jakiegoś egzotycznego pisma, sama wydawała się dobrym znakiem.

– Nie wiem, o czym z tobą rozmawiać – powiedziała. – To, co, jak sądzę, powinnam ci powiedzieć, złości cię, a nie mogę się zmusić do pogaduszek o niczym.

– Nie lubię być naciskany – odparł. – Ale uwierz, myślę o tym, co mi powiedziałaś.

– Nie będę naciskać. Ale nadal nie wiem, o czym mówić. – Wyrwała źdźbło trawy, poczęła gryźć koniuszek. Patrzył, jak zaciska wargi, zastanawiał się, jak smakują. Tym rodzajem słodczy, który zachowuje pudełko po przyprawach. Odrzuciła trawkę. – Wiem – powiedziała pogodnie. – Chciałbyś zobaczyć, gdzie mieszkam?

– Nie chce mi się tak od razu wracać do Frisco. – Gdzie mieszkasz, myślał, chcę dotknąć miejsca, w którym mieszkasz.

– Nie mieszkam w mieście – powiedziała. – To wioska w dole rzeki.

– Brzmi nieźle. – Wstał i ująwszy ją pod ramię, pomógł jej wstać. Przez moment byli blisko siebie, a ona otarła się piersiami o jego koszulę. Spowiło go jej ciepło i przyszło mu na myśl, że gdyby ktokolwiek mógł ich teraz zobaczyć, dostrzegłby dwie postaci rozedrgane jak miraż. Coś go pchało, by wyznać jej miłość. Choć większa część tego, co odczuwał, wiązała się z ratunkiem, który mogła zapewnić, reszta wydawała się autentyczną miłością i to go zdumiewało, bo wszystko, co ze sobą mieli wspólnego, to kilka godzin z dala od wojny, kolacja w taniej restauracji i spacer wzdłuż rzeki. Nie było podstaw do narodzin uczucia. Nim zdołał cokolwiek powiedzieć lub zrobić, odwróciła się, by podnieść koszyk.

– To niedaleko – powiedziała, ruszając. Jej błękitna spódnica chwiała się jak rozkołysany

dzwon.

Podążali brązową gliniastą ścieżką zarosłą paprociami, ocienioną drzewkami o bladych przezroczystych liściach, i rychło doszli do skupiska krytych strzechami chat nad ujściem strumyka do rzeki. W strumyku, śmiejąc się i ochlapując, brodziły nagie dzieci. Ich skóry miały kolor bursztynu, a oczy wydawały się wilgotne i ciemnopurpurowe jak śliwki. Nad chatami wzniesionymi z powiązanych nylonową linką pni młodych drzewek wznosiły się palmy i akacje; strzechy były przycięte tak, że przypominały fryzurę „pod garnek”. Po paskach mięsa, wiszących na rozciągniętym między dwoma chatami sznurze do suszenia bielizny, łążyły muchy. Ziemię koloru ochry zaścielały rybie łby i kurze odchody. Ale Mingolla prawie nie dostrzegał znamion ubóstwa, widząc zamiast tego znak czekającego nań w Panamie spokoju. I rychło miał ujrzeć znak następny. W małym sklepiku Debora kupiła butelkę rumu, a potem zaprowadziła Mingollę do chatki nad samym ujściem strumyka i przedstawiła go siedzącemu na przyzbie chudemu białowłosemu starcowi. Tio Mofses. Po trzech kolejkach Tio Mofses rozpoczął opowieści.

Pierwsza dotyczyła osobistego pilota byłego prezydenta Panamy. Prezydent zrobił miliardy na szmuglowaniu kokainy do Stanów przy pomocy CIA, z którą współpracował w rozlicznych przypadkach, i sam był narkomanem w ostatnim stadium rozpadu umysłowego. Jedyń jego przyjemnością stało się latanie po swoim kraju od miasta do miasta, przesiadywanie na pasach startowych, gapienie się w okno i niuchanie kokainy. Potrafił zadzwonić do pilota o każdej godzinie dnia i nocy, kazać mu przygotować plan lotu do Colon, Bocas del Toro albo Penonrae. Gdy stan prezydenta się pogorszył, pilot pojął, iż wnet CIA oceni, że przestał być użyteczny, i zlikwiduje go. A najoczywistszym sposobem załatwienia sprawy będzie zaaranżowanie katastrofy lotniczej. Pilot nie chciał umierać ze swym chlebodawcą. Próbował złożyć rezygnację, ale prezydent jej nie przyjął. Rozwazał możliwość samookaleczenia, będąc jednak dobrym katolikiem nie mógł uzurpować sobie praw boskich. Gdyby zaś uciekł, na jego rodzinę spadłyby prześladowania. Jego życie przerodziło się w koszmar. Przed każdym lotem trawił godziny, poszukując w samolocie śladów sabotażu, po każdym zaś lądowaniu pozostawał w kabinie, dygocąc z wyczerpania nerwowego. Stan prezydenta pogorszył się jeszcze bardziej. Musiano go wnosić na pokład samolotu, kokainę aplikował mu adiutant, podczas gdy drugi adiutant stał z tamponami, gotowy żeby hamować krwotoki z nosa. Wiedząc, że być może tygodnie tylko pozostały miarą jego życia, pilot poprosił o poradę kapłana. – Módl się – rzekł ksiądz. Pilot i tak modlił się nieustannie, porada tedy nie okazała się pomocna. Następnie poszedł do komendanta swej uczelni wojskowej, ów zaś oświadczył, że musi spełniać swój obowiązek. To również było czymś, co pilot robił dotychczas nieustannie. W końcu udał się do wodza Indian San Blas, z którego to plemienia pochodziła jego matka. Wódz stwierdził, że musi pogodzić się ze swym losem i chociaż tej jednej rzeczy nie robił dotąd nieustannie, rada była mało pocieszająca.

Zastosował się jednak do niej, widząc, że innej drogi nie ma. Zamiast spędzać godziny na inspekcjach samolotu, przybywał parę minut przed startem i rwał w powietrze, nie sprawdzwszy nawet wskaźnika paliwa. Jego brawura stała się w stolicy tematem numer jeden. Spełniając każdy kaprys prezydenta, latał mimo wichrów i mgieł, pijany i zaćpany, a podczas owych godzin w powietrzu, zawieszony pomiędzy prawami grawitacji a przeznaczenia, na nowo uczył się cenić życie. Wróciwszy na ziemię, zaczynał żyć z szaleńczą łapczywością – kochał się namiętnie z żoną, hulał z przyjaciółmi do białego rana. Potem któregoś dnia, gdy miał właśnie ruszać na lotnisko, zjawił się w jego domu jakiś Amerykanin i oświadczył mu, że został zdymisjonowany. – Gdybyśmy pozwolili prezydentowi latać z tak lekko myślącym pilotem, obarczono by nas winą za wszystko, co się może stać – powiedział Amerykanin. Pilot nie musiał pytać, kogo też ma na myśli, mówiąc „my”. Sześć tygodni później samolot prezydenta rozbił się w górach Darien. Pilot nie posiadał się z radości. Panama pozbyła się kanalii, a jego życie zostało ocalone. Ale tydzień po katastrofie, gdy już mianowano nowego prezydenta -? kolejnego szmuglera z układami w CIA – dowódca lotnictwa wezwał pilota i stwierdziwszy, że gdyby to on pozostawał u sterów, do wypadku nigdy by nie doszło, wyznaczył go do pilotowania samolotu nowego prezydenta.

Przez całe popołudnie Mingolla słuchał i pił, alkohol zaś dał mu na oczy szkła, dzięki którym mógł zobaczyć, w jaki sposób jego samego dotyczą te opowieści. Były to bez wyjątku historie o niezdecydowaniu, nakłaniające go do czynu, i wyliczały najistotniejsze problemy ludów Ameryki Środkowej, które – jak on w tej chwili – znalazły się w pułapce między biegunami magii i rozumu, gdy bowiem ich ciałami rządziła polityka ultrarealizmu, duszami władały mity i legendy; żyły z prostokątnym skomputeryzowanym cielskiem Ameryki Północnej nad głowami i konchoidalną tajemnicą Ameryki Południowej u stóp. Wnioskował, że to Debora zasugerowała Tio Mofsesowi typ przypowieści, co jednak nie umniejszyło ich siły jako znaków; pobrzmiwały prawdą, nie zaś czymś przykrojonym do jego potrzeb. I było bez znaczenia, że drży mu dłoń, a wzrok płata figle. Te rzeczy miną, kiedy dotrze do Panamy.

Rozmazywały się cienie, owady brzęczały jak werble i zmierzch spływał z nieba, nadając powietrzu pozór ziarnistości oraz sprawiając, że falki na rzece wydawały się wolniejsze i większe. Wnuczka Tio Mofsesa podała talerze prażonej kukurydzy z rybą i Mingolla napchał się po uszy. Potem, gdy starzec dał do zrozumienia, że jest strudzony, Mingolla poszedł z Deborą na spacer brzegiem strumienia. Między dwiema chatami wisiała zamocowana na drągu spaczona tablica z obręczą bez siatki; kilku młodych mężczyzn grało w kosza. Mingolla dołączył do nich. Ciężko było dryblować na nierównym gruncie, ale nigdy w życiu nie grał lepiej. Resztki alkoholu we krwi dodawały jego grze ognia, a rzuty z wysokoku doskonałym łukiem podążały do kosza – trafiał z nieprawdopodobnych nawet kątów. Zapamiętywał się w zwodach, próbach odebrania piłki i dynamicznych wyskokach, by ją zdjąć z tablicy, stając się, nim zapadł zupełny zmrok,

najzwinniejszym z dziesięciu wymachujących ramionami, stąpających w podskokach cieni.

Gra dobiegła końca i wypłynęły gwiazdy, które wyglądały jak dziurki w kotarze z zawieszzonego między palmami a ogniem czarnego jedwabiu. Migocące kręgi blasku lampek oświetlały ziemię przed chatami, a kiedy Mingolla przechodził wśród nich z Deborą, usłyszał radio nastawione na stację wojskową nadającą transmisję z meczu baseballowego. Rozległo się uderzenie kija, ryk tłumu i okrzyk sprawozdawcy: – Wziął wszystko!

Mingolla wyobraził sobie, jak piłeczka niknie w ciemnościach nad stadionem, koźluje po przyległym parkingu, by wreszcie przycziąć się pod oponą, gdzie znajdzie ją jakiś dzieciak i uzna to za cud, lub też jak się toczy po ulicy, by spocząć pod wrakiem samochodu, pulsować, bielić się tajemnie, wydychać energię uderzenia. Wynik brzmiał trzy do jednego, góra drugiej. Mingolla nie widział, kto gra, i nie przejmował się tym. Przytrafiały mu się dobiegi i rzuty z wysokości podążające po zawczasu nakreślonych lukach. Znajdował się w centrum niezmiernych sił.

Jedna z chat, z dwoma drewnianymi krzesłami na froncie, była nie oświetlona, i gdy się do niej przybliżyli, jej widok zepsuł Mingolli nastrój. Coś go w nim niepokoiło: atmosfera gotowości, aranżacji scenicznej. Zwykła paranoja, pomyślał. Aż dotąd znaki były dobre, czyż nie? Kiedy dotarli na miejsce, Debora usiadła na krześle bliższym drzwi i podniosła nań wzrok. Gwiazdy wskazywały jej oczy swym blaskiem. Za nią, przez drzwi, dostrzegł mroczny kokon hamaka, a pod nim worek, z którego wystawała część drucianej klatki.

– A co z twoją grą? – zapytał.

– Uważałam, że ważniejsze, abym była przy tobie – odparła.

To też go niepokoiło. Wszystko zaczynało go niepokoić i nie mógł określić powodu. Istota w jego dłoni wiała się. Zaciśnął pięść i usiadł koło Debory.

– Co się dzieje między tobą a mną? – zapytał nerwowo.

– Czy się cokolwiek stanie? Wciąż myślę, że się stanie, ale...

– Otarł pot z czoła i zapomniał, do czego zmierzał.

– Nie bardzo wiem, co masz na myśli.

Przez żółtą poświatę wylewającą się z sąsiedniej chaty przemknął cień. Falujący, zmienny. Mingolla mocno zaciśnął powieki.

– Jeśli chodzi o... coś romantycznego – powiedziała – to sama jestem w kropce. Czy wrócisz do swojej bazy, czy pojedziesz do Panamy, nie wygląda na to, żebyśmy mieli jakąkolwiek przyszłość. A już na pewno nie mamy przeszłości.

To zwiększyło jego zaufanie i do niej, i do sytuacji – ten fakt, że nie miała przygotowanej odpowiedzi. Ale czuł się niepewnie. Bardzo niepewnie. Potrząsnął głową, odpędzając następne zjawy.

– Jak jest w Panamie?

– Nigdy tam nie byłam. Prawdopodobnie prawie tak samo jak w Gwatemali, tylko bez walk.

Może powinien był wstać, przejść się. Może to by pomogło.

A może powinien po prostu siedzieć i rozmawiać. Rozmowa chyba go uspokajała.

– Założę się – powiedział – założę się, że tam jest pięknie, wiesz. Panama. Zielone góry, wodospady w dżungli. Założę się, że jest tam mnóstwo ptaków. Dużych i małych papug. Miliony.

– Tak mi się zdaje.

– I kolibrów. Jeden mój kumpel był tam raz z kolibrową ekspedycją i powiada, że jest ich milion rodzajów. Myślałem, że to jakiś szajbus, kapujesz, że zbiera te kolibry.

Otworzył oczy i znów musiał je zamknąć.

– Chyba myślałem, że zbieranie kolibrów nie jest szczególnie istotne wobec największych problemów.

– David? – Troska w jej głosie.

– Nic mi nie jest. – Zapach jej perfum był cięższy, niż mu się dotąd zdawało. – Człowiek dociera tam łodzią, prawda? To musi być dość spora łódź. Nigdy nie byłem w prawdziwej łodzi, tylko na takim bączku mojego wuja. Zabierał mnie na ryby pod Coney Island. Cumowaliśmy do boi i łowiliśmy te wszystkie trujące ryby. Żebyś tak niektóre zobaczyła! Jak mutanty. Całe w niesamowitych naroślach, tęczowe oczy. Myśl, że mógłbym je zjeść, przerażała mnie jak diabli.

– Miałam wuja, który...

– Myślałem zawsze o tych, które są tam, za głęboko, byśmy je mogli złowić. Gigantycznych diabłów morskich, genialnych rekinach, wielorybach z dłońmi. Wyobrażałem sobie, że połykają łódkę...

– Uspokój się, David – pogładziła go po karku, śląc dreszcz wzdłuż kręgosłupa.

– Dobrze już, dobrze. – Odepchnął jej dłoń. Do tego wszystkiego potrzeba mu było tylko dreszczy. – Chcę posłuchać jeszcze czegoś o Panamie.

– Mówiłam ci, że nigdy tam nie byłam.

– Ach, tak. A co powiesz o Kostaryce? Byłaś w Kostaryce.

– Na całe ciało występował mu pot. Może powinien popływać. Słyszał, że w Rio Dulce żyją manaty. – Widziałaś kiedyś manata? – zapytał.

– David!

Musiała się przysunąć bliżej, bo poczuł, że przenika go jej ciepło; może okryty jej ciepłem, pomyślał, pogrążony w ciężkim, głębokim ruchu, pozbędzie się drżączki. Wziąłby ją do tego hamaka i zobaczył, ile ma w sobie żaru. Ile ma żaru, ile ma żaru. Te słowa stukały mu w głowie jak koła pociągu. Lękając się otworzyć oczy, wyciągnął na oślep ramiona i przyciągnął ją do siebie. Zderzyli się twarzami, poszukał jej ust. Pocałował. Oddała pocałunek. Obsunął dłoń, by ująć jej pierś. Jezu, smakowała dobrze. Smakowała ratunkiem, Panamą, tym, w czym się

pograżasz, kiedy śpisz.

Ale potem to się zaczęło zmieniać, zmieniać powoli, tak powoli, że nie dostrzegł tej zmiany, zanim się dokonała, a jej język wił się w jego ustach tak głupi i tłusty jak noga ślimaka, jej piersi zaś, och, kurwa, jej piersi podskakiwały, pulsując tymi samymi glistowatymi sokami, które miał w swej lewej dłoni. Odepchnął ją, otworzył oczy. Zobaczył przyklejone do jej policzków toporne sztuczne rzęsy. Rozchylone wargi, usta pełne gnatów. Martwą mięsistą twarz. Gwałtownie się podniósł i zaczął machać ramionami, pragnąc zerwać tę oponę szpetoty, która nań opadła.

– David? – zniekształciła jego imię, połykając sylaby, jak gdyby próbowała jednocześnie jeść i mówić.

Żabi głos, szatański głos.

Okręcił się dookoła, wchłaniając oczami strzęp czarnego nieba, kolczastych drzew i dziobatego czerepu księżycy schwytanego w siatkę gałęzi. Czarnych skrofulicznych chat z drzwiami otwartymi na ogień i poskręcane ludzkie cienie. Zamrugał oczami, potrząsnął głową. To nie znikало, to było realne. Co to za miejsce? Nie gwatemalska wieś, o nie. Usłyszał w swym gardle charkot duszonego dzikusa i zaczął się wycofywać, wycofywać ze wszystkiego. Szła za nim, skrzekliwie wypowiadając jego imię. Peruka z czarnego siana, bryzgi połyskliwej galarety w miejsce oczu. Niektórzy z ludzi-cieni w pośpiechu wychodzili ze swych drzwi, gromadzili się za jej plecami, rozprawiając o nim w swym diabelskim narzeczu. Długonogie czarnoskóre demony o rozdygotanych sercach, nicości bez oblicza z kalekiego wymiaru. Cofnął się o kolejnych kilka kroków.

– Przejrzałem cię – po wiedział. – Wiem, czym jesteś.

– Wszystko dobrze, David – odparła i uśmiechnęła się. Jasne! Myślała, że on kupi ten uśmiech, a le nie dał się nabrać.

Widział, jak się rozpełza po jej twarzy na kształt przegniłego sosu, który wycieka z leżącego od tygodni na śmietniku worka odpadków warzywnych. Upajający uśmiech Królowej Szatańskich Kurew. To ona mu to zrobiła, skumała się z plugawym życiem w jego dłoni, omotała czarami jego głowę. Sprawiała, że wejrzał w sam środek tej gównianej magii, która była jej życiem.

– Widzę cię – powiedział.

Potykał się, cofał chwiejnie, na oślep, a potem ruszył biegiem w stronę miasta.

Paprocie chłostały go po nogach, gałęzie cięły po twarzy. Pajęczyny cieni spowijały ścieżkę, a rozbrzęczone owady wydawały dźwięk ostrzonych na kamieniu noży. Dostrzegł przed sobą ogromne skąpane księżycem drzewo stojące samotnie na wzniesieniu nad samą wodą. Drzewo-pradziada, drzewo białej magii. Przyzywało go. Stał przed nim, wciągając w płuca powietrze. Blask księżycy studził go, zraszał srebrem i Mingolla zrozumiał przeznaczenie drzewa. Lśniące tylko dla niego fontanny bieli w czarnym lesie. Zacisnął w pięść lewą dłoń. Był

w jej wnętrzu wił się gorączkowo, jakby wiedział, co ma nastąpić. Mingolla studiował głęboko rzeźbione mistyczne ornamenty kory, aż znalazł ich punkt zbieżny. Uzbroił się w odwagę. Potem walnął pięścią w pień. Krzyknął, gdy świdrujący ból przewiercił mu ramię. Ale uderzył drzewo jeszcze raz, uderzył je po raz trzeci. Tłumiąc ból, przycisnął dłoń do ciała. Już puchła, stając się pozbawioną kostek dłonią z komiksów, ale wewnątrz nie ruszało się nic. Brzeg rzeki, ze swymi szmerami i cieniami, już mu nie groził, przemieniony w miejsce zwykłych świateł i zwykłych mroków. Nawet biel drzewa sprawiała wrażenie zupełnie niemagicznie jasnej.

– David! – głos Debory, niezbyt daleko.

Jakaś jego część chciała zaczekać, zobaczyć, czy ona też się przemieniła w niewinną i zwykłą, czy też nie. Ale nie mógł ufać ani jej, ani sobie, znów więc ruszył biegiem.

* * *

Złapał prom na brzeg zachodni z myślą, że odnajdzie Gilbeya, a doza Gilbeyowej wojowniczości na dobre osadzi go w świecie rzeczywistym. Siedział na dziobie obok pięciu innych żołnierzy, z których jeden rzygał przez burtę. By uniknąć rozmowy, odwrócił wzrok i spoglądał w dół na szybko umykającą wodę. Światło księżyca retuszowało falki srebrem i odniósł wrażenie, iż widzi pośród tych refleksów odbicie przerwane go łuku swojego życia: dzieciaka czekającego Gwiazdki, rysującego obrazki i chwalonego; dzieciaka, który dorasta bezmyślnie do ogólniaka, seksu i narkotyków, wyrasta z nich, zaczyna ponownie rysować. I właśnie wtedy, gdy można było oczekiwać, że łuk nabierze jakiegoś znaczącego kształtu, zostaje przecięty, odarty z tajemnicy i pozostawiony w zawieszeniu. Pojął, jak głupia była idea rytuału. Jak umierający, który ściska ampułkę z wodą święconą, on – kiedy logiki istnienia nie dało się już ocalić – wczepił się w magię. Teraz wątłe społwa tej magii rozpuściły się i nic go już nie wspierało; spadał w głąb mrocznych stref wojny, czekając, aż go porwie któryś z jej potworów. Podniósł głowę i spojrzał na brzeg zachodni. Był czarny jak skrzydło nietoperza, dziergany gmatwaniną agresywnych świateł. Sylwety dachów i palm rysowały się na tle tęczowej mgły neonów; między nimi widać było gazowe luki krwistej czerwieni, akwamaryny i cytrynowej zieleni – fragmenty rozjarzonych bestii. Żołnierze obok niego śmiali się i przeklinali, a ten jeden wciąż wymiotował. Mingolla wsparł czoło o drewniany reling po prostu po to, żeby czuć coś rzeczywistego.

W Club Demonio, wsparta o bar, cycata kurwa Gilbeya gapła się w swój kieliszek. Mingolla przepchnął się przez tańczących, przez gorąco, hałas i welony lawendowych oparów; gdy podchodził do dziwki, przyoblekła twarz w zawodowy uśmiech i chciała złapać go za krocze. Udaremnił jej zamiar.

– Gdzie jest Gilbey? – wrzasnęła. Obdarzyła go nieprzytomnym spojrzeniem, ale potem

spłynęło na nią olśnienie.

– Meengolla? – zapytała. Przytaknął. Pogrzebawszy w torebce, wyciągnęła złożoną kartkę.

– Jest od Geel-bee – powiedziała. – Dla mnie, pięć do llarr.

Wręczył jej pieniądze i odebrał kartkę. Okazała się chrześcijańską ulotką z piórkowym szkicem chudego jak trzaska, strapionego Chrystusa. Niżej zaczynał się tekst, którego pierwszy wiersz mówił: „Nadeszła pora dni ostatnich”. Przewróciwszy ulotkę, znalazł z tyłu odręczną notatkę. Czysty Gilbey. Żadnych wyjaśnień, żadnych komentarzy. Wyłącznie konkrety.

Zwiąłem do Panamy. Chcesz się też przejechać, to szukaj w Livingstone faceta o nazwisku Ruy Barros. On Cię ustawi. Może się zobaczymy. G.

Mingolla był przekonany, że jego duchowe tarapaty sięgnęły szczytu, ale fakt dezercji Gilbeya nie mieścił mu się w głowie, a kiedy próbował go tam upchnąć, chaos wewnętrzny jeszcze narastał. Nie w tym rzecz, iż nie mógł zrozumieć, co się stało. Rozumiał znakomicie. Mógł to nawet przewidzieć. Jak szczur, który widzi swą ulubioną dziurę zastawioną przez pułapkę, Gilbey wygryzł sobie po prostu nową, by w niej zniknąć. Najbardziej kłopotał teraz Mingollę zupełny brak punktów odniesienia. On, Gilbey i Baylor trójkątowali, na pozór, rzeczywistość, lokalizując się wzajem na konkretnej mapie obowiązków, miejsc i zdarzeń; teraz, gdy obaj zniknęli, Mingolla czuł się zupełnie zdezorientowany. Wyszedłszy z klubu, dał się ponieść tłumowi, zagapiony na neonowe zwierzaki na dachach barów... Olbrzymi niebieski kogut, zielony byk, żółty żółw o gorejących oczach. Wielkie osoby spoglądające nań niełaskawie. Krwotoki barw zmytych z szyldów i jaskrawoblade za ich sprawą powietrze, w którym wszystkie twarze wydają się wyblakłe. Zdumiewające, myślał Mingolla, że można wdychać taki ziarnisty odbarwiony towar i się nie udusić. Wszystko tu było zdumiewające, nonsensowne. Wszystko, co widział, jawiło mu się jako wyjątkowe i niezgłębione, nawet rzeczy najpospolitsze. Przekonał się, że patrzy na ludzi – na kurwy, uliczników, na żandarma, który rozmawia z drugim żandarmem, poklepując zderzak swojego dżipa, jakby to był jego wielki brudnooliwkowy pieszczoł – że patrzy więc i próbuje dojść, co oni naprawdę robią, jakie szczególne znaczenie mają dlań ich uczynki, jakich dostarczają przesłanek, które mogą się okazać pomocne w rozwikłaniu węzła własnej egzystencji. W końcu – pojmując, że potrzebuje spokoju i ciszy – ruszył w kierunku bazy lotniczej. Sądził, iż znajdzie tam pustą pryczę i odeśpi kłopoty, kiedy jednak doszedł do skrótu wiodącego ku nie dokończonemu mostowi, porzucił tę myśl, uznawszy, że nie jest przygotowany, aby wojować z wartownikami i oficerami dyżurnymi. Gęste, rozbrzęczone owadami zarośla zwężyły skróty do szerokości ścieżki, a jego końca strzegł kordon drewnianych kozłów. Pokonał je górą i rychło piął się na stromą krzywiznę, która, jak się zdawało, prowadziła do punktu leżącego niewiele niżej niż masywny srebrny księżyc.

Choć zasłany gruzem i kartonami, beton wyglądał czysto w świetle księżyca, lśnił jasno jak niezupełnie jeszcze zakrzepły świeży śnieg. Wspinając się, Mingolla doznał złudzenia, iż pod

jego stopami most drży z wrażliwością białego nerwu. Szedł, zda się, ku ciemności i gwiazdom, ku samotności wielkiej jak wszechświat. To było przyjemne i cholernie samotne, może aż za bardzo: tak iść, zostawiwszy za sobą brzęczenie owadów, słysząc tylko wiatr przewracający kartonowe pudła. Po paru minutach dostrzegł przed sobą poszarpany koniec mostu. Gdy tam dotarł, usiadł ostrożnie ze spuszczonej nogami. Wśród nagich dźwigarów, pociągając go za kosiętki, świstał wiatr. Jego dłoń pulsowała i była rozpalona. Wielobarwna opalizacja przylgnęła w dole do czarnej krechy wschodniego brzegu jak kolonia fosforyzujących alg. Zastanawiał się, jak jest wysoko. Nie dość wysoko, uznał. Nikłe smużki muzyki – niewyczerpane delirium San Francisco de Juticlan – wiły się z wiatrem, i wyobraził sobie, że migotanie gwiazd jest spowodowane tą właśnie dryfującą pośród nich mgiełką muzyki.

Próbował pomyśleć, co robić. Niewiele przychodziło mu do głowy. Wyobrażał sobie Gilbeya w Panamie. Szalejącego z dziewczynkami, gorzalkującego, robiącego draki. Czyniącego dokładnie to, co w Gwatemali. I w tym właśnie momencie idea dezercji zawodziła Mingollę. W Panamie by się bał; w Panamie, choć może nie trzęsłaby mu się dłoń, pojawiłby się w to miejsce jakiś inny złośliwy tik; w Panamie pewnie by szukał magicznych kuracji na swe ułomności, zbyt lękałby się bowiem rzeczywistości, aby czerpać z niej siłę. I w końcu wojna dotrze do Panamy. Dezercja niczego nie załatwi. Spoglądał nad posrebrzoną księżycem dżunglą i zdawało się, że wycieka mu z oczu jakąś zasadniczą część własnej istoty i złączona z wiatrem gna gdzieś za Mrówczą Farmę, za terytorium partyzantów, za niedostrzegalne spojenie nieba z horyzontem; że jest niepowszymanie ściągana ku punktowi, do którego wlewa się cała siła żywotna świata. Wyciekała również z niego; czuł, że staje się zimny, pusty, ospały. Jego mózg zatracił zdolność myślenia, zachowując tylko dar rejestracji wrażeń. Wiatr przyniósł zieloną woń, która rozszerzyła mu nozdrza. Spowijała go czerń, nakłuta złotymi wrazeniami gwiazd. Nie spał, ale coś w nim usnęło.

Od krawędzi świata odciągnął go szept. Zrazu myślał, że to twór jego wyobraźni, i wciąż patrzył w niebo, które rozjaśniło się żywym granatem przedświt. Potem znów go posłyszał i obejrzał się przez ramię. W odległości jakichś dwudziestu stóp w poprzek mostu rozciągał się rząd dzieciaków. Jedne stały, inne siedziały w kucki. Większość miała na sobie łachmany, część – okrycia z pnączy i liści, reszta była naga. Czujne, milczące. W ich dłoniach połyskiwały noże. Wszystkie były wychudzone, miały długie, zlepione włosy i wspomniawszy martwe dzieci, które widział rano, Mingolla poczuł przez moment strach. Ale tylko przez moment. Jak z rozżarzonych węgli ożywionych powiewem wiatru, lęk buchnął zeń płomieniem i zamarł sekundę później, stłumiony nie przez jakiegokolwiek rozumowe pogodzenie się z faktem, lecz przez dostrzeżenie w tych obszarpanych postaciach szansy kapitulacji. Nie palił się do śmierci, a zarazem nie chciał wkładać zbyt wiele wysiłku w sprawę przeżycia. Przetrwanie, jak się przekonał, nie było dla duszy kwestią absolutnie pierwszoplanową. Wciąż patrzył na dzieci. Ich ustawienie

przypomniało mu gromadę neandertalczyków z Muzeum Historii Naturalnej. Księżyc wciąż był wysoko i dzieci rzucały cienie rozmyte jak maźnięcia węglem. W końcu Mingolla odwrócił wzrok; horyzont ukazywał się jako wyraźna linia zielonego mroku.

Przewidywał, że zostanie dźgnięty lub popchnięty, by runąć korkociągiem w dół i roztrzaskać się o wody Rio Dulce, które nabrały pod jaśniejącym niebem barwy stalowej. Zamiast tego ktoś przemówił mu do ucha:

– Hej, macho! Obok niego siedział w kucki czternasto – albo piętnastoletni chłopak o ciemnej małej twarzy obramowanej płataniną włosów sięgających ramion. Ubrany w poszarpane szorty. Z wytatuowanym na szyi zwiniętym wężem. Przechylił głowę najpierw w jedną, a potem w drugą stronę. Zaintrygowany. Mógł próbować dojrzeć poprzez warstwy pozorów prawdziwego Mingollę. Wydał gardłowy pomruk, uniół nóż i jął nim kręcić w różne strony, pozwalając Mingolli oglądać jego ostrą klingę, która na całej długości skupiała światło księżyca. Wojskowy nóż ogólnego użytku z kastetową rękojeścią. Mingolla parsknął z rozbawieniem.

Chłopiec wydawał się zaniepokojony jego reakcją, pochylił nóż i trochę się odsunął.

– Co tu robisz, człowieku? – zapytał.

Przyszło Mingolli do głowy kilka możliwych odpowiedzi, ale w większości wypowiedzenie ich wymagało zbyt wielkiej energii; wybrał najprostszą.

– Podoba mi się tutaj. Podoba mi się ten most.

Chłopak koso spojrział na Mingollę.

– Ten most jest magiczny – powiedział. – Wiedziałeś o tym?

– Był czas, kiedy mogłem ci uwierzyć – odparł Mingolla.

– Musisz mówić powoli, człowieku – nachmurzył się chłopak. – Jak za szybko, to nie rozumiem.

Mingolla powtórzył swój komentarz, a chłopak stwierdził:

– Ty w to wierzysz, gringo. Bo dlaczego tu jesteś? – Płynnym gestem ramienia ukazał wyimaginowane wznoszenie się dalszej części mostu. – Oto, gdzie wędruje teraz most. Nic go nie obchodzi przekraczanie rzeki. Ten tu jest tylko kawałem białego kamienia. Most oznacza coś zupełnie innego.

Mingolla był zaskoczony, słysząc powtórzenie swych myśli z ust kogoś, kto aż tak bardzo przypominał małpołuda.

– Ja tu przychodzę – ciągnął chłopak – słuchać wiatru, słuchać, jak śpiewa w żelazie. I dowiaduję się z tego rozmaitych rzeczy. Widzę przyszłość. – Uśmiechnął się, odsłaniając poczerwiałe zęby, i wskazał na południe, ku Karaibom. – Przyszłość, człowieku, leży w tej stronie.

Mingolli spodobał się ten dowcip; poczuł więź z tym chłopakiem, więź z każdym, kogo

w podobnym położeniu stać na dowcipy, ale nie przychodziło mu do głowy, jak wyrazić swoją sympatię. W końcu powiedział:

– Dobrze mówisz po angielsku.

– Gówno! A co żeś myślał? Że skoro żyjemy w dżungli, to gadamy jak zwierzęta? Gówno! – Dziabnął w beton czubkiem swojego noża. – Całe życie mówiłem po angielsku. Gringos za głupi, żebys ię nauczyć hiszpańskiego.

Za nimi rozległ się dziewczęcy głos, gardłowy i rozkazujący. Dzieciaki, ze swymi dzikimi twarzami czujnie zwróconymi w kierunku Mingolli, przysunęły się na odległość dziesięciu stóp, a tuż przed nimi stała dziewczyna. Miała zapadnięte policzki i głęboko osadzone oczy; cienkie sznureczki warkoczy spadały na jej okryte stanikiem piersi. Kości biodrowe sterczały pod szmatławą spódnicą, którą wiatr wciskał jej między nogi. Chłopiec pozwolił dziewczynie skończyć, a potem wystąpił z dłuższą repliką, akcentując słowa uderzeniami kastetową rękojęścią swego noża w cement, które za każdym razem krzeszały iskry.

– Gracela – zwrócił się do Mingolli – ona chce cię zabić. Ale ja mówię, że są ludzie, którzy jedną nogą tkwią w świecie śmierci, i jeśli ich zabijesz, śmierć zabierze także ciebie. I wiesz co?

– Co? – zapytał Mingo lla.

– To jest prawda. Ty i śmierć – chłopak klasnął dłońmi – ot, tak!

– Może – powiedział Mingo lla.

– Żadne „może”. Most mi powiedział. Powiedział, że będę wdzięczny, jeśli pozwolę ci żyć. Więc ty bądź wdzięczny mostowi. Ta magia, w którą nie wierzysz, to ona ocaliła ci dupsko. – Chłopiec opadł na ziemię i usiadł po turecku. – Gracela... ją nie obchodzi, czy ty żyjesz, czy nie. Ona mi tylko robi koło pióra, bo jak mnie nie będzie, ona zostanie szefem. Ona jest, kapujesz, niecierpliwa.

Mingo lla zerknął na dziewczynę. Spokojnie przyjęła jego spojrzenie: dziecko-wiedźma o wąziutkich oczach, zmierzwionych włosach i sterczących żebrach.

– Dokąd zmierzasz? – zapytał chłopca.

– Miałem sen, że będę mieszkać na południu; śniło mi się, że mam magazyn pełen złota i kokainy.

Dziewczyna znów zaczęła perorować, a on w odpowiedzi wyrzucił z siebie potok gniewnych sylab.

– Co powiedziałaś? – zapytał Mingo lla.

– Powiedziałem: „Gracela, jak będziesz pieprzyć, to cię wyjebię i wrzucę do rzeki”. – Puścił do Mingolli oko. – Gracela, ona jest dziewicą, więc się boi pierwszego razu.

Niebo szarzało, różowe smugi nasycaly się od wschodu barwą; nadlatujące znad dżungli ptaki zbierały się nad rzeką w stada. W półświatle Mingo lla dostrzegł, że pierś chłopca jest poprzecinana zarosłymi dzikim mięsem bliznami; rany od noża, których nie leczono właściwie.

W jego włosach na kształt prymitywnych ozdób utkwiły strzępki roślin.

– Powiedz mi taką rzecz, gringo – rzekł chłopak. – Słyszałem, że jest w Ameryce maszyna z ludzką duszą. To prawda?

– Mniej więcej – odparł Mingolla.

Uzyskawszy potwierdzenie swych podejrzeń, chłopiec poważnie skinął głową.

– Słyszałem też, że Ameryka zbudowała na niebie metalowy świat.

– Teraz się go buduje.

– A czy w domu waszego prezydenta jest kamień, w którym trwa dusza martwego czarnoksiężnika?

Nad tą kwestią Mingolla zastanawiał się przez chwilę.

– Wątpię – odparł – ale to możliwe.

Różowe smugi na wschodzie rozlewały się i pogłębiały w purpurę; strzały blasku przenikały ku górze, barwiąc brzuchy kilku niskich chmur na kolor fiołkowo-różowy. Kilkoro dzieci zaczęło chóralnie mamrotać. Psalm. Mówiły po hiszpańsku, ale mamrotanie zniekształcało słowa, które brzmiały gardłowo i złowrogo – jak język gnomów. Słuchając, Mingolla wyobrażał sobie, jak w bambusowym gąszczu skupiają się wokół ogniska. Krwawe noże wzniesione ku słońcu nad trupem powalonej ofiary. Jak w zielone noce kochają się wśród mięsistej roślinności rodem z obrazów Celnika Rousseau, a pytony o bursztynowych ślepiach okręcają się wokół gałęzi nad ich głowami.

– Tak po prawdzie, gringo – rzekł chłopiec, najwyraźniej wciąż ważąc odpowiedzi Mingolli – to są złe czasy. – Patrzył posepnie w dół, na rzekę, a wiatr unosił ciężkie kosmyki jego włosów.

Obserwując go, Mingolla poczuł zazdrość. Mimo smutku swej egzystencji, ten mały mały król był rad ze swojego miejsca w świecie, pewien jego natury. Może ulegał złudzeniu, ale Mingolla zazdrościł tej ułudy, a już najbardziej snu o kokainie i złocie. Jego własne sny zostały wypłoszone przez wojnę. Idea siedzenia i bazgrania farbami po płótnie przestała mu się wydawać naprawdę pociągająca. A także myśl o powrocie do Nowego Jorku. Chociaż w ciągu tych ostatnich miesięcy sprawą dlań pierwszorzędną było przetrwanie, nigdy nie przestał rozważać, co ze sobą niesie, i teraz wcale nie sądził, by mógł powrócić. Pojął, że zaaklimatyzował się w wojnie, zyskał zdolność wdychania jej trucizn; zadławiłby się powietrzem spokoju i domu. Wojna była jego nowym domem, jego nowym właściwym miejscem.

Potem prawda tych faktów poraziła go z mocą objawienia i zrozumiał, co musi zrobić.

Baylor i Gilbey działali w zgodzie ze swą naturą i on będzie działał w zgodzie ze swoją, co mu narzuca kroczenie szlakiem akceptacji. Przypomniał sobie opowieść Tio Moisesa o pilocie i w głębi duszy wybuchnął śmiechem. W pewnym sensie jego przyjaciel – facet, o którym wspominał w niewyspanym liście – miał rację w sprawie wojny, w sprawie świata. Były przesycone wzorami, celowością, zbiegami okoliczności i cyklami, które, tak się zdawało,

wskazywały na działalność jakiejś siły magicznej. Ale te rzeczy stanowiły rezultat subtelnego procesu naturalnego. Im dłużej żyjesz, im obfitsze masz doświadczenia, tym bardziej skomplikowane staje się twoje życie, i w końcu zapadasz w gęstwę tak wielu powikłań, pajęczynę okoliczności, emocji i wydarzeń, że n*ie* j*u* ż*n* *ę* jest pro *te* i wszystko staje się kwestią interpretacji. Interpretacja jednak to strata czasu. Nawet najbardziej logiczna z interpretacji jest ledwie próbą zamknięcia tajemnicy w klatce i zatrzaśnięcia za nią drzwi. Wcale nie czyni życia mniej tajemniczym. I równie bezcelowe jest doszukiwanie się wzorów, poleganie na nich, stosowanie się do mistycznych wskazówek, które zdają się narzucać. Jedynym sensownym trybem postępowania jest przyjęcie strategii obronnej. Godząc się z tajemnicą, niemożnością zrozumienia twojej sytuacji, musisz się zarazem przed tym bronić. Rozpiąć swą sieć tam, skąd może przyjść atak, zaktywizować czujniki. Musisz się stać potworem we własnym labiryncie, bestią równie brutalną i przebiegłą jak los, którego próbujesz uniknąć. Chodziło o rodzaj wojowniczej akceptacji, której pilot Tio Mofsesa nie miał okazji zademonstrować i której samemu Mingolli, choć przytrafiła mu się okazja, też nie udało się zademonstrować. Teraz to pojmował. Reagował w najlepszym razie na niebezpieczeństwo, ale nigdy go nie wyzywał ani też nie zwalczał przemyślnością. Lecz sądził, że od tej chwili będzie umiał to czynić.

Odwrócił się ku chłopcu, sądząc, że ten może docenić podobny ogląd „magii”, i kątem oka dostrzegł ruch. Gracela. Zbliżająca się do pleców chłopaka z trzymanym nisko, gotowym do dźgnięcia nożem. Odruchowo Mingolla wyrzucił w górę swą obolałą rękę, by zablokować cios. Nóż drasnął kant jego dłoni, odskoczył w górę i przeciął bark chłopca.

Ból w dłoni Mingolli był rozdzierający i na moment go zaślepił, ale zaraz potem, gdy chwycił ramię Graceli, by zapobiec następnemu uderzeniu, doznał innego uczucia, niemal zupełnie przytłumionego przez ból. Sądził, że istota w jego dłoni jest martwa, lecz teraz czuł, jak się trzepocze między krawędziami rany, wyciekając wraz z oblewającą nadgarstek obfitą strugą krwi. Próbowwała wpełznąć na powrót do środka, wijąc się pod prąd, ale jego serce tłoczyło krew zbyt mocno. W końcu zginęła, rozpryskując się o biały kamień mostu.

Nim zdołał doznać ulgi, zaskoczenia albo w jakikolwiek sposób wchłonąć to, co się stało, Gracela spróbowała się wyrwać. Mingolla klęknął, ściągnął ją na dół, uderzył o most dłonią trzymającą nóż, ten zaś odleciał na bok. Gracela szarpała się wściekle, mierząc pazurami w jego twarz, a pozostałe dzieci przesunęły się do przodu. Przycisnąwszy gardło Graceli lewą ręką, Mingolla prawą podniósł nóż i przytknął czubek do gardła dziewczyny. Dzieci zatrzymały się w miejscu, a Gracela zwiotczała. Czuł, jak drży. Łzy wyorały smugi w brudzie na jej policzkach. Mała, przestraszona dziewczynka; wcale nie czarownica.

– Puta! – powiedział chłopiec. Wstał, trzymając się za ramię i przeszył Gracelę wzrokiem.

– Coś poważnego? – zapytał Mingolla. – Z barkiem?

Chłopiec obejrzał jasną krew na czubkach swoich palców.

– Boli – powiedział. Przesunął się tak, by stanąć nad Gracelą, uśmiechnął się. Potem rozpiął górny guzik swoich szortów.

Gracela zeszywniała.

– Co robisz? – niespodziewanie Mingolla poczuł się odpowiedzialny za dziewczynę.

– Zrobię to, o czym jej mówiłem, człowieku. – Chłopak rozpiął resztę guzików i wyslizgnął się z szortów; jakby podniecony walką, miał już częściowy wzwód.

– Nie! – rzekł Mingolla, zbyt późno zdając sobie sprawę, że to wcale nie jest mądre.

– Zabieraj swoje życie – rzekł chłopak surowo. – Odejdź.

W most uderzył długi potężny podmuch wiatru; Mingolli się zdawało, że źródłem wibracji mostu, bicia jego serca i drżenia Graceli jest ten sam przyśpieszony puls. Czuł się niemal organicznie związany z chwilą i nie miało to nic wspólnego z jego troską o dziewczynę. Może, pomyślał, to wynik wprowadzania w czyn tych nowych przekonań.

Chłopiec stracił cierpliwość. Wrzasnął na pozostałe dzieci i odgonił je, wymachując rękami. Posępnie oddaliły się w dół krzywizny mostu; zajęły stanowiska przy balustradzie, pozostawiając środkiem wolne przejście. Za nimi, pod lawendowym niebem, dżungla rozciągała się po horyzont z jednym tylko prostokątnym prześwitem bazy lotniczej. Chłopak przycupnął u nóg Graceli.

– Dziś w nocy – powiedział do Mingolli – złączył nas most. Dziś w nocy siedzimy, rozmawiamy. Teraz koniec. Moje serce powiada, żeby cię zabić. Ale dam ci szansę, bo powstrzymałeś Gracelę przed zadaniem głębokiej rany. Ona wyda osąd. Jeśli powie, że pójdzie z tobą, my – machnął w stronę dzieci – zabijemy cię. Jeśli zechce zostać, będziesz musiał odejść. Żadnego gadania, żadnego pieprzenia. Po prostu idziesz. Rozumiesz?

Mingolla się nie bał i ten brak lęku nie był zrodzony z obojętności wobec życia, ale z jasności umysłu i pewności siebie. Czas, by na wyzwania przestał reagować ucieczką; czas, by im stawiał czoło. Wykombinował plan. Nie miał wątpliwości, że to jego wybierze Gracela, wybierze skąpą wprawdzie, ale jednak szansę ocalenia. Nim jednak zdoła podjąć decyzję, on zabije chłopca. Potem popędzi na pozostałych; może pójdą w rozsypkę pozbawieni przywódcy. Nie był to specjalnie dobry plan i wcale się Mingolli nie podobał pomysł zabicia chłopaka, ale sądził, że zdoła go przeprowadzić.

– Rozumiem – powiedział.

Chłopiec przemówił do Graceli; potem kazał Mingolli ją uwolnić. Usiadła, rozmasowując miejsce, gdzie Mingolla ukłuł ją nożem. Popatrzyła wstydliwie najpierw na niego, a później na chłopca; odgarnęła włosy na kark i wyprężyła piersi, jakby wdzięcząc się do dwóch konkurentów. Mingolla był zdumiony jej zachowaniem. Może, pomyślał, gra na zwłokę. Wstał i udając, że rozprostowuje kości, przybliżył się do chłopca, wciąż siedzącego w kucki obok Graceli. Na wschodzie zza horyzontu wyłoniła się czerwona płomienista kula, a jej rumiany blask podbudował Mingollę, umocnił go w postanowieniu. Ziewnął i zaciskając dłoń na rękojęści noża,

przysunął się jeszcze bliżej. Mocno do tyłu szarpnie za włosy głowę chłopca i poderżnie gardło. W jego piersi dygotały nerwy; narastało ciśnienie krwi, nakazując mu działać, ruszać w tej chwili. Hamował się. Wystarczy jeszcze jeden krok, jeszcze jeden krok, żeby mieć zupełną pewność. Miał go właśnie wykonać, gdy wyciągnąwszy rękę, Gracela poklepała chłopca po ramieniu.

Na obliczu Mingolli musiało się pojawić zaskoczenie, bo chłopiec spojrział nań i wybuchnął gardłowym śmiechem.

– Myślałeś, że wybierze ciebie? Gównu! Nie znasz Graceli, człowieka. Gringos spalili jej wieś. Wolałaby diabłu dupę wy lizać, niż ci podać rękę. – Uśmiechnął się i pogładził ją po włosach. – A poza tym myśli, że jeśli mi dobrze wygodzi, może powiem: „Och, Gracela, muszę mieć tego więcej!” I kto wie, może będzie mieć rację.

Gracela położyła się na wznak i wysunęła ze swojej spódnicy. Między nogami była prawie bezwłosa. Uśmiech musnął kąciki jej ust. Mingolla patrzył na nią w otępieniu.

– Nie zamierzam cię zabić, gringo – nie podnosząc wzroku, powiedział chłopiec; przesuwał dłoń po brzuchu Graceli. – Powiedziałem ci, że nie zabiję człowieka tak bliskiego śmierci. – Znow się roześmiał. – Zabawnie wyglądałeś, gdy próbowałeś się podkraść. Aż miło było patrzeć.

Mingolla był oszołomiony. Cały czas, kiedy odsuwając lęk i odrazę, budował w sobie gotowość do zabicia, dostarczał zaledwie chłopcu rozrywki. Ciężar noża zdawał się koncentratem jego gniewu i zapragnął przeprowadzić swój atak, zarznąć tego małego zwierzaka, który go ośmieszał. Ale ponizenie przemieszało się z gniewem, neutralizując tę chęć. Trzęsły nim jady wściekłości, nie było takiego bólu ani zmęczenia, którego by nie odczuwał w swoim ciele. Pulsowała mu dłoń, obrzmiała i odbarwiona jak dłoń trupa. Przepełniała go słabość. I ulga.

– Idź – powiedział chłopiec. Wsparty na łokciu, położył się obok Graceli i pieścił jeden z jej sutków, aż począł obrzmiewać.

Mingolla z wahaniem odstał kilka kroków. Za jego plecami Gracela wydała z siebie miauczący odgłos, a chłopiec coś wyszeptał. Gniew Mingolli zapłonął na nowo – już o nim zapomnieli! – ale go nie zatrzymał. Gdy mijał pozostałe dzieci, jedno go opluło, a drugie cisnęło weń kamykiem. Skupił wzrok na umykającym mu spod stóp białym betonie.

Dotarłszy do środka łuku, odwrócił się. Na końcu mostu dzieci otoczyły Gracelę i chłopca, zasłaniając ich przed jego wzrokiem. Niebo nad nimi stało się błękitnoszare, a wiatr przynosił ich głosy. Śpiewały chropawą żywą piosenkę, która sprawiała wrażenie triumfalnej. Gniew Mingolli opadł, uczucie ponizenia osłabło. Niczego nie musiał się wstydzić; choć postępował nierozważnie, to jednak z pozycji siły i nie zniweczy tego żadna doza kpiny. To wszystko zacznie jakoś iść! Zacznie! On sprawi, że zacznie iść!

Przez chwilę obserwował dzieci. Z tej odległości ich śpiew wydawał się uderzająco dziki. Zostawiając je za sobą, poczuł odrobinę tęsknoty. Zastanawiał się, co nastąpi, kiedy chłopiec

skończy już z Gracelą. Nie przejmował się tym, był tylko ciekawy. Czuł się jak człowiek, który sądzi, że może będzie musiał wyjść z kina przed wielkim finałem. Czy nasza bohaterka przeżyje? Czy zwycięży sprawiedliwość? Czy to przeżycie i ta sprawiedliwość przyniosą ze sobą szczęście? Rychło koniec mostu kapał się już w złocistych słonecznych promieniach: wydawało się, że dzieci czernieją i roztapiają się w niebiańskim ogniu. Była to puenta satysfakcjonująca Mingollę. Wrzucił do rzeki nóż Graceli i zszedł z mostu, w którego magię przestał wierzyć, zmierzając ku wojnie, której tajemnicę uznał za własną.

Rozdział 5

W bazie lotniczej Mingolla przystanął obok sikorsky'ego, który go przyniósł do San Francisco de Juticlan; rozpoznał ten śmigłowiec po ognistych literach napisu „Szepcząca Śmierć”. Wsparł głowę o literę A, przypominając sobie, jak Baylor, uczyniwszy coś podobnego, wzdrygnął się przejęty lękiem, iż litery mogą mu przekazać jakąś śmiertcioną treść. Mingolla się tym nie przejmował. Zdawało mu się, że malowane płomienie ogrzewają wewnątrz jego głowy, poruszając myśli tak ospale i nieokreślone jak dym. Myśli przynoszące ulgę, myśli bez obrazów i konceptów. Po prostu łagodny szmerek aktywności duchowej jak praca silnika na wolnych obrotach. Wokół niego baza budziła się do życia. Spod koszar odjeżdżały dżipy, paru oficerów dokonywało inspekcji ładowni samolotu transportowego, jakiś facet naprawiał widłak. Spokojnie, domowo. Mingolla zamknął oczy i zapadając w półsen, pozwalał słońcu i wymalowanymi płomieniom ujmować się w nawiasy ciepła prawdziwego i wymyślnego.

Jakiś czas później – nie był pewien jaki – usłyszał głos:

– Nieźle rozpiardoliłeś tę rękę, co?

U drzwiczek kabiny stało dwóch pilotów. W swych czarnych kombinezonach i hełmach nie wyglądali ani niesamowicie, ani cudacznie, lecz jak istoty funkcjonalnie groźne. Władcy Maszyny.

– Taaa – odparł Mingolla. – Rozpiardoliłem.

– Jakżeś to zrobił? – zapytał pilot z lewej.

– Walnąłem w drzewo.

– Musiałeś być nieźle narąbany, żeby walnąć drzewo – stwierdził pilot z prawej. – Drzewo, bracie, nie robi uniku, jak je pierdykniesz.

Mingolla mruknął coś wymijająco.

– Lecicie na Farmę, chłopaki?

– Bankowo! A co jest grane, człowieku? Masz dość tych tam dzikich kobit? – Pilot z prawej.

– Coś mi się zdaje. Podrzucicie mnie?

– Jasne – rzekł pilot z lewej. – Ładuj się z przodu. Siądziesz za nami.

– A gdzie twoi kumple? – zapytał pilot z prawej.

– Zmyli się – odparł Mingolla, wdrapując się do kabiny.

Któryś z pilotów stwierdził:

– Tak przypuszczałem, że już nie zobaczymy tych chłopaków.

Mingolla przypiął się pasami w fotelu obserwatora za stanowiskiem drugiego pilota. Sądził, że nastąpi długa kontrola instrumentów, ale ledwie rozgrzały się silniki, sikorsky wystrzelił w górę i skręcił na północ. Z wyjątkiem broni nie zaktywizowano żadnego z systemów obronnych. Radar, monitor termiczny i czytnik terenu świeciły pustymi ekranami. Nerwowy

dreszcz przebiegł przez mięśnie brzucha Mingolli, gdy pomyślał o mnogości niebezpieczeństw, na które są narażeni przez wiarę pilotów w ich cudowne hełmy; rychło jednak wrażenie to utonęło w szepczącym rytmie rotorów i spływającym nań poczuciu mocy sikorsky'ego. Przypomniawszy sobie, że doznawał podobnego uczucia bezpiecznej potęgi, siedząc przy mechanizmach sterowniczych swojego działka. Nigdy nie pozwalał, by krzepło, ovladało nim, obdarzało władzą. Był głupcem.

Podążali północno-wschodnim kursem rzeki, która jak błękitnostalowy drut tnący wiała się pomiędzy pokrytymi dżunglą wzgórzami. Piloci śmieli się i żartowali, i cały lot zaczął nabierać atmosfery przejażdżki z dwoma starymi dobrymi kumplami, którzy gazują donikąd, opici postawionym sobie piwem. W pewnym momencie drugi pilot przełączył się na głośniki pokładowe i zaintonował smętną piosenkę country.

Gdy przy ustach usta – to się całujemy, Gdy się rozchodzimy – to się rozstajemy. Gdyś mi, moja miła, z psa kotlet zrobiła, Powiedziałem sobie, żeś się pomyliła.

Ale kiedy w pierś mi kulą władowałaś, Wtedy, moja mała, serce mi zламаłaś.

Kiedy drugi pilot śpiewał, pierwszy kołysał sikorskim do przodu i do tyłu w pijackim wtórze, a gdy utwór dobiegł końca, wrzasnął przez ramię do Mingolli:

– Uwierzysz, że ten skurwysyn sam to napisał? Naprawdę. Gra też na gitarze. Ten chłopak to geniusz.

– Bombowy kawałek – stwierdził Mingolla i naprawdę tak myślał. Piosenka go ubawiła, a nie była to błaża sprawa.

Bujali się po niebiosach, wyśpiewując w nieskończoność pierwszy wiersz. Ale później, gdy wciąż utrzymując kurs północno-wschodni, zostawili rzekę za sobą, drugi pilot wskazał fragment dżungli przed nimi i wrzasnął:

– Bereciarze! Kwadrat cztery! Masz ich?

– Mam! – odkrzyknął pilot. Sikorsky opadł ku dżungli, zadrżał, i od jego brzucha oderwał się ogień. Chwilę później wybuch przerodził wielką połąć dżungli w cętkowaną plamę dymu i płomieni.

– Wiooo! – zaśpiewał drugi pilot triumfalnie. – „Szepcząca Śmierć” uderza znowu!

Z zięjącymi ogniem działkami spadali przez rozwiane welony czarnego dymu. Płonęły całe akry drzew, a oni wciąż atakowali. Hałas był taki, że Mingolla zacisnęła zęby; przerażony całym tym szaleństwem osunął się w głąb fotela i siedział z pochyloną głową. Zwątpił raptownie w swą zdolność sprostania schizofrenii Mrówczej Farmy i przypomniał sobie wszystkie przyczyny strachu.

Drugi pilot odwrócił się do niego.

– Nie ma żadnego powodu, żebyś był taki spiczniaty, człowieku – powiedział. – Jesteś kurewski farciarz, wiesz?

Pilot wprowadził maszynę w skręt ku wschodowi, ku Mrówczej Farmie.

-Jak to rozumiesz? – zapytałMingolla.

– Widzę cię na wylot, człowieku – odparł drugi pilot. – Mogę ci bankowo powiedzieć, że na Farmie to ty długo nie posiedzisz. Nie mam jasności dlaczego i w ogóle. Ale mi się zdaje, że będziesz ranny. Choć niezbyt ciężko. Taka rana do domu.

Gdy pierwszy pilot zakończył manewr, do kabiny wpadł skośnie promień słońca, podświetlając osłonę twarzy drugiego, i przez ułamek sekundy Mingolla widział niewyraźny cień skrytych pod nią rysów. Wydawały się kluchowate i zdeformowane. Jego wyobraźnia podpowiedziała szczegóły. Dziwaczne narośla, spękane policzki, jedno oko pokryte bielmem. Coś jak twarz z filmu o poatomowych mutantach. Kusilo go, by uwierzyć, że naprawdę to widział; deformacje pilota uprawomocniłyby jego przepowiednie na temat bezpiecznej przyszłości. Ale Mingolla zwalczał tę pokusę. Lękał się śmierci i koszmarów niesionych przez życie na Mrówczej Farmie, a przecież z magią nic już nie chciał mieć do czynienia... jakoś magia nie wiązała się z kondycją dobrego żołnierza. Z jego posłuszeństwem, zdyscyplinowaniem, praktyką w zadawaniu okrucieństw.

– Może być, że to ta ręka załatwi mu cywila – rzekł pierwszy pilot. – Ta ręka mi się wydaje solidnie pojebana. Taka ręka to numer za milion dolców.

– Nie, nie wyczuwam, że to ta ręka – zaoponował drugi pilot. – Coś innego. Cokolwiek to będzie, zrobi swoje.

Mingolla widział własną twarz pływającą w czarnym plastyku osłony drugiego pilota; wydawała się tak zniekształcona i blada, tak dokładnie nieznamoma, że myślał przez chwilę, iż ta twarz może stanowić część koszmarnego snu drugiego pilota.

– Co się z tobą, u diabła, dzieje, człowieku? – zapytał drugi pilot. – Nie wierzysz mi?

Mingolla pragnął wyjaśnić, iż jego postawa nie ma nic wspólnego z wiarą albo niewiarą i że sygnalizuje po prostu zamiar zapewnienia sobie bezpiecznej przyszłości środkami troski o teraźniejszość; ale nie miał pomysłu, jak ująć to w słowa, które mógłby zaakceptować drugi pilot. Drugi pilot tylko by się powołał na swą osłonę jako świadectwo istnienia wymiarów magicznych albo może pokazałby przed siebie, gdzie za sprawą zmętniałego pod bezpośrednim atakiem promieni słonecznych plastyku kabiny zdawało się, że słońce się unosi w dymnej ciemności: wyraźna ognista kula o zmierzwionej koronie, jak jeden z owych znaków kabalistycznych tłoczonych na pradawnych pieczęciach. Było to zjawisko szatańskie i przeraźliwe, i choć Mingolli wcale nie poruszało, wiedział, że pilot dostrzeże w nim potężny omen.

– Myślisz, że kłamię? – zapytał gniewnie drugi pilot. – Myślisz, że bym ci w takiej sprawie wciskał kit? Człowieku, nie łżę! Daję ci na to najprawdziwsze cholerne słowo!

Wyszeptując śmierć, lecieli na wschód, ku słońcu, w świat jawiący się jako przedziwne

krwawe zakłęcie; lecieli nad ciemnozieloną głuszą, gdzie wojna zapuściła już korzenie, gdzie ludzie w zbrojach swego rynsztunku polowego walczyli bez istotnych powodów z ludźmi noszącymi na beretach mosiężne skorpiony, gdzie szaleni, zagubieni mężczyźni wędrowali wśród mistycznych światła Szmaragdowej Strefy Ogniowej, a schizofreniczni mędracy dumali o sprawach jeszcze nie widzianych. Czekając na odpowiedź, drugi pilot wciąż wlepił w Mingollę czarny bąbel swej osłony. Ale Mingolla tylko patrzył i drugi pilot wnet się odwrócił.

DOBRY ŻOŁNIERZ

Gdybym tak z milion miał koleśków podobnych do mnie, łańcuchy bym poszarpał, które niewolą Bestię, i skrzydła wolności wyrwał.

Szturm bym na Święte Miasto przypuścił, żeby sprawdzić ile czasu aniołom zajmuje umieranie.

Potem do Sali Tronowej drzwi bym wylał z hukiem i stwierdził zaskoczony, że Bóg to siwy starzec, który już nie pamięta, o co w tym wszystkim biega.

Z pieśni marszowej Jack Lescaux

Rozdział 6

Szlaki, które wiodą ku najbardziej istotnym przeznaczeniom, momentom iluminacji lub przemiany, nie służą rzeczywistym podróżom, lecz przecinają w najrozmaitszych kierunkach pejzaż ludzkiej duszy. I tak przechadzka, którą pewnego dnia odbył Mingolla na trasie łączącej drzwi hotelu na wyspie Roatan z niewielkim trawiastym spłachetkiem ziemi, gdzie wsparty o wysoki betonowy mur usiadł po turecku pod kępą krzewów aguacaste, była końcowym odcinkiem zarówno podróży, jak i transformacji, które w ciągu tygodnia testów, a potem pięciu miesięcy terapii narkotykowej nie wiązały się właściwie z pokonywaniem żadnej przestrzeni. Obok niego, obnażając włóknisty kłęb systemu korzeniowego, do połowy sterczała z ziemi karpa palmy, której pień uciekał łukowato ku gronu zielonych kokosów o przypominających buzie wrednych lalek śliskich ospowatych skorupach. Niektóre liście obumarły, przybierając barwę pomarańczowo-brązową, wokół młodych – sterczały, na kształt zużytych splątanych bandaży, spiralne szare strzępy ich powłok.

Mingolla obserwował, jak poruszają się na wietrze, smakował powolność owych ruchów, ich leniwą wężowatość, odzwierciedlały bowiem rozleniwienie, bezcelowy dryf umysłu, który pozwolił mu się ukryć przed trenerem.

– Davy! – rozległ się basowy okrzyk. – Skończ z tymi kretyńskimi gierkami!

Z gęstwy sterczały dwa nerkowce, których gęste ciemnozielone korony były tu i ówdzie upstrzone plamkami żółtych pomarszczonych owoców; dalej zaś drzewo ceiba, znacznie wyższe niż rysujący się ponad zaroślami, kryty dachówką hotel, kąpało poszycie lasu w sadzawce cienia barwy indygo; ilekroć blask słońca przenikał przez listowie, powietrze stawało się matowozłote i świetliste, a fruujące w nim owady skrzyły się tak intensywnie jak klejnoty w gąblocie.

– Nie wkurzaj mnie, Davy!

– Pierdol się, Tully!

Zza muru dochodził łomot przyboju na rafie i słuchając tego łomotu, żałując, że nie widzi w tej chwili fal, Mingolla myślał z niedowierzaniem, iż spędził w zamknięciu te wszystkie miesiące. Jego wspomnienia dotyczące tego okresu składały się z chaotycznego zbioru przypadkowych migawek, ilekroć zaś usiłował je poukładać, uczynić z nich spójną całość, tylekroć był w stanie zgromadzić najwyżej tyle materiału, by wypełnić kilka tygodni... tygodni znaczonych igłami wślizgującymi się w jego ramię, twarzami, które zaczynały się rozmazywać, kiedy narkotyki brały go w obroty, gorączkowymi snami zlewającymi się stopniowo z całą gorączkową rzeczywistością, krótkimi chwilami, gdy przystawał przed pokancerowanym lustrem w hotelowym foyer i wpatrywał się we własne oczy, nie szukając w nich zresztą żadnej wewnętrznej prawdy, lecz tylko mając nadzieję, iż odnajdzie siebie, jakąś część samego siebie, która pozostała niezmienna.

– Cholera, Davy!

Ty k o jeden d żeń rysował się wyraziście w pamięci Mingolli. Dzień jego dwudziestych pierwszych urodzin...

-Okay, mon! Sam się prosiłeś!

...To było tuż po operacji plastycznej. Dr Izaguirre odstawił go od narkotyków, żeby mógł porozmawiać z rodzicami za pośrednictwem znajdującego się w piwnicach hotelu łącza wideo; czekał na tę rozmowę, leżąc na rozkładanej kanapie ustawionej przed ekranem, który zajmował większą część ściany w głębi pomieszczenia. Pozostałe ściany były wyłożone imitującymi drewno klonowe plastikowymi listwami boazeryjnymi; niektóre się odkleiły, odsłaniając zaciągnięte pleśnią słoje desek, przesadny deseń innych sprawiał w przyćmionym świetle wrażenie obwodów drukowanych, które skomponowano z żółto-czarnych tygrysiich skór. Mingolla, z głową wspartą na podłokietniku kanapy, bezmyślnie bawił się pilotem, usiłując ułżyć plan rozmowy z rodzicami, ale jego pomysłowość wyczerpywała się na odzywce „Cześć, jak leci?” Co tu g a ł a o budowaniu intymnej atmosfery, jeśli miał problemy z wywołaniem w pamięci ich wizerunku? Kiedy więc ekran pojaśniał i wyłowił z szarości salon, a w nim rodziców, którzy siedzieli tak sztywno, jakby pozowali do fotografii, Mingolla nadal leżał, omiatając spojrzeniem modnie długowłosego ojca w jego sztywnym obowiązkowym mundurze wysokiego urzędnika firmy ubezpieczeniowej: granatowym garniturku i krawacie – oraz matkę, która miała zniszczoną twarz i nosiła lnianą sukienkę; zauważał jednocześnie, jak za sprawą płaskości obrazu stwarzają pozór elementów wyposażenia wnętrza, antropomorficznych przydatków do tapicerowanych skórą krzeseł i obszytych frędzlą abażurów. Nie reagował na nich: w taki sam sposób patrzyłby na portret nieznanomych, z którymi przez czysty przypadek łączy go więzy krwi.

– David? – Matka zaczęła wyciągać do niego rękę, lecz przypomniała sobie, że nie może go dotknąć. Zerknęła na męża, który przyoblekł na twarz uśmiech rozbawienia, poklepał ją po ramieniu i powiedział:

– Nie mieliśmy pojęcia, że tak bardzo upodobnili cię do...

– Bereciarza? – wtrącił Mingolla, po irytowany o limpijskim spokojem ojca.

– Jeśli tak to chcesz nazwać – zgodził się ojciec zimno.

– Niczym się nie przejmujcie. Małe fałdki albo ściągnięcia tu i tam, odrobina pigmentu. Ale wciąż jestem waszym typowym amerykańskim chłoptysiem.

– Przepraszam – powiedziała matka. – Wiedziałam, że to ty, ale...

– Nie ma sprawy.

– W pierwszej chwili byłam wytrącona z równowagi.

– Naprawdę, nie ma sprawy.

Mingolla nie wiązał z rozmową wielkich nadziei, a jednak pragnął mieć wielkie nadzieje,

chciał kochać rodziców, być z nimi otwarty i szczerzy. Jednak teraz, kiedy ich zobaczył, kiedy zrozumiał, że będą wymagać odeń pogawędki równie pozbawionej wyrazu, jak ich tapeta, niczego więcej, jego emocje wygasły i musiał zadać sobie pytanie, czy niezbędne jest wyławianie z niebytu jakichś dawnych uczuć po to, żeby w ogóle nawiązać z nimi coś na kształt kontaktu. Opowiedzieli mu o wycieczce do Montrealu. Wydaje się, że to ładne miasto, odparł. Opowiadali o przyjęciach na otwartym powietrzu, żeglowności opodal Cape. Szkoda, że mnie tam nie było, stwierdził. Pouskarżali się na astmę i rozmaite alergie, a potem zapytali, jak się czuje, mając dwadzieścia jeden lat.

– Tak z ręką na sercu – odparł, znużony odpowiedziami z metra – czuję się tak, jakbym miał tysiąc lat.

Ojciec prychnął.

– Oszczędź sobie odgrywania przed nami tego melodramatu, Davidzie.

– Melodramatu? – Nagły przypływ adrenaliny sprawił, że Mingolla aż się zatrząsł. – A więc tak to nazywasz, tato?

– Skłonny byłbym sądzić – odparł jego ojciec – że będzie ci zależało na tym, aby ta rozmowa stała się miłym wydarzeniem i że przynajmniej spróbujesz zachować się grzecznie.

– Grzecznie. – Przez chwilę to słowo nie miało dla Mingolli żadnego znaczenia, tylko gorzko-mdławy posmak. – Ta, w porządku. Miałem nadzieję, że naprawdę ze sobą porozmawiamy, ale grzecznie też może być. Dobra! Miejmy to z głowy. Spytacie, jak się miewam, a ja odpowiem: „Bombo wo”. Spytam, jak interesy, a ty odpowiesz: „Nieźle”. Potem mama napomknie coś o moich kumpłach, o tym, co ostatnio kombinują. A wreszcie, jeśli będę naprawdę, naprawdę grzeczny, zasuniesz mi swoją mównicę o tym, jak jesteś ze mnie dumny i w ogóle. – Syknął, ogarnięty niesmakiem. – No i masz, tato. Teraz nie musimy nawet odwalić tego wszystkiego. Możemy sobie siedzieć, gapić się, kurwa mać, i udawać, że uczestniczymy w miłym doświadczeniu.

Ojciec zmrużył oczy.

– Nie widzę sensu w kontynuowaniu tej rozmowy.

– Davidzie! – Wzrok matki wyrażał bezgłośnie błaganie.

Mingolla nie miał zamiaru przeproszać, nagły wybuch gniewu sprawił mu satysfakcję, a jednak po dłuższej chwili milczenia skapitulował.

– Jestem trochę spięty, tato. Przepraszam.

– Otóż nie potrafię zrozumieć – powiedział ojciec – dlaczego z takim uporem usiłujesz zaimponować nam powagą swego położenia. Wiemy, że jest poważne, martwimy się o ciebie, ale po prostu nie przyjmujemy do wiadomości, iż dyskusowanie o naszych troskach w dniu twoich urodzin jest rzeczą właściwą.

– Rozumiem – wtrącił Mingolla.

– A ja czuję się przeproszony – odparł jego ojciec z równą precyzją.

Przez całą resztę pogawędki Mingolla neutralizował pytania z nienagannym brakiem jakiegokolwiek szczerości, a kiedy ekran wreszcie zszarzał, zszarzał również jego gniew. Leżał, wciskając guziczki pilota, przeskakiwał z gadających głów na wyścigi samochodowe, aż natrafił na migotliwą mgławicę punkcików, które po chwili zgęstniały w obraz przedstawiający morze ruin o wyblakłym wyglądzie. Rozpoznał Tel Awiw i przypomniał sobie najgorszy ze złych omenów, jakim było atomowe zbombardowanie tego miasta w dniu jego urodzin. Obraz się rozplynął, Mingolla wcisnął więc następny guziczek. Ruiny wróciły: kamera powędrowała spojrzeniem za sterczący samotnie mur, jakieś poskręcane belki stalowe stosy cegieł. Nad miastem kłębiły się chmury burzowe o postrzępionych konturach rozjaśnionych srebrzystym blaskiem; ułamki budynków jak rząd wbitych w niebo czarnych kłów rysowały się na tle wstęgi biegnącej wzdłuż horyzontu bladawej poświaty. Obrazowi nie towarzyszył żaden dźwięk, kiedy jednak Mingolla zaczął wciskać guziczek strojenia, usłyszał bluesowe akordy gitarowe, syntetyzer, improwizujący saksofon i kobiecy głos... najwyraźniej przebicie z innego kanału.

– ...najnowszy kawałek Prowlera, Blues dla niebios – mówiła kobieta. – Mam nadzieję, że dla was, fanów dobrej muzyki, nie okaże się zbyt przygnębiający. Ale, hej! Kto w dzisiejszych czasach słyszał o przygnębieniu? No więc potraktujcie to po prostu jako nastrojową alternatywę... kapujecie, jak drągi. Coś, co doda głębi waszemu czaderskiemu samopoczuciu, sprawi, że bardziej je docenicie.

W Tel Awiwie zaczęło padać; muzyka była naturalnym nastrojowym pendant dla deszczu, chmur i ich gniewnego przemarszu nad miastem.

– Prowler – zakończyła kobieta. – Śpiewa ten niesamowity Jack Lescaux. Opowiedz im o prawdziwym świecie, Jack.

Laney, w samej halce, wędruje z kąta w kąt,

Przypala szluga od szluga, wciąż w zegar wbija wzrok.

A ja przy oknie, z gitarą, song smętny spod palców wycieka,

I patrzę, jak znika za rogiem jakiś człowiek, a może tylko cień człowieka.

Laney mówi: „Ten gnojek spierdolił z moją kasą.

Choć sama powtarzałam sto razy, żeby nie ufać splukanym kutasom.

Ja na to: „Spoko, maleńka, weź działką mojej koki?”.

Parska śmiechem, bo życie bez trucizny to żart, że tylko zrywać boki.

Piosenka ze swą smętną atmosferą, snuta w niej opowieść o parze ćpunów, którym przytrafiła się niedobra noc, była jak głos ducha snującego się po mieście. Wchłonęła Mingollę, pociągnęła go za sobą, sprawiła, że poczuł, iż on również – człowiek o roztrzaskanych wspomnieniach i uczuciach – jest kimś w rodzaju ducha; to przez nią zaczął sobie wyobrażać, że znalazłby odpowiednie miejsce pomiędzy duchami Tel Awiwu, którym mógłby zaoferować

pociechę, jaką przynosi towarzystwo istoty z krwi i kości. Była w tej myśli jakaś wieszczą jasność, ale zaabsorbowany muzyką i miastem nie analizował jej głębiej. Widział w ruinach swoje zwierciadlane odbicie, postrzegał się jako ruinę człowieka, w którym zaszczerpiono niszczycielską moc.

– Davidzie – rozległ się za jego plecami głos doktora Izaguirre. – Czas na zastrzyk.

– Moment... chcę posłuchać do końca.

Izaguirre mruknięciem wyraził niechętną zgodę i podszedł do ekranu. Był blady, długonogi i długoreki, miał szpakowatą kozią bródkę, rzędnące siwe włosy i wieczną żarliwość w twarzy: jastrzębiolicy Chrystus El Greca, który dożył plus minus sześćdziesiątki, lekko przytył, a wreszcie nałożył wykrochmaloną guayabere i spodnie. Wbił spojrzenie w ruiny, jak gdyby wypatrywał pośród nich niedobitków, potem wyjął z kieszeni okulary i przesadnym afektowanym ruchem umieścił je na nosie. Zresztą wszystkie jego ruchy były afektowane i Mingolla podejrzewał, że jest to wynikiem świadomie podjętej decyzji. Miał wrażenie, że Izaguirre do tego stopnia czuje się niekwestionowanym panem własnego życia, iż precyzyjnie zaprogramował nawet najdrobniejsze szczegóły swej osobowości; uczynił to dla rozrywki, przekształcił swą egzystencję w grę, której stawką jest przeciwstawienie eleganckiej fasady zgrzebnemu i nieeleganckiemu światu.

– Tel Awiw – powiedział Izaguirre. – Straszne, straszne.

Podszedł do kanapy i ze współczuciem ścisnął ramię Mingolli akurat w chwili, kiedy od wschodu nadleciał nad miasto klucz opancerzonych śmigłowców. Może to ich widok sprowokował reakcję Mingolli, może miał z tym coś wspólnego uścisk Izaguirre – tak czy inaczej Mingollę, w tej chwili bliskiego łez, załapała fala nagle wyzwolonych emocji i myśli. Wstyd z powodu zachowania wobec rodziców mieszał się w nich z irytacją, że świadkiem tego wszystkiego był Izaguirre, a także z obrzydzeniem wobec siebie wynikającym z faktu, iż skupienie na własnych problemach nie pozwoliło mu odnieść się do tragedii Tel Awiwu w kategoriach innych niż zupełnie trywialne i osobiste.

...deszcz coraz gęstszy leje, kroplami chodniki tnie, koce w wybitych oknach sierść jeżą jak koty złe.

Stary tramp skulił się w bramie, dłonie wsunął w kieszenie portek wszawych,

Ma oczy jak stare miedziaki i parę kapci dziurawych.

Jakiś szczył pyskaty go pyta: „Hej, brachu, skąd takie luks ciuchy?”

Tramp tylko gapi się w nicłość... milczy... nie wie... może jest głuchy.

Mingollę przytłaczała pustka ruin i piosenka. Białe kwiaty leżały w pyłe jak zmięte kawałki papieru – obiektyw kamery zogniskował się na jednym z nich, żeby pokazać, jak czernieje pod wpływem promieniowania; Mingolla utożsamiał się z miastem do tego stopnia, że poczuł, jak zaczynają czernieć również białe myśli spoczywające w pyłe jego duszy. Pustka Tel Awiwu była

gradem przenikającym go na wskroś, posiewającym w nim ziarno innej pustki; wstał i uchwycił się kanapy, żeby nie ulecieć, wypełniony tą pustką jak balon.

– Nie chcesz dosłuchać do końca? – zapytał Izaguirre tonem lekkiego rozbawienia.

– Nie, naa-iee.

– Jesteś pewien? Mamy czas.

Mingolla pokręcił głową, a chcąc się pozbyć wszystkich swoich „nie”, wszystkich swoich zaprzeczeń, kręcił dalej, z coraz większym zapalem. Kiedy Izaguirre otoczył go ramieniem, dziękował Bogu, że ktoś odciąga go od Tel Awiwu i Prowlera. Był już gotów na zastrzyk.

W zaroślach rozległ się trzask. Mingolla spojrzał w tamtą stronę, spodziewając się zobaczyć Tully’ego, ale w odległości jakichś dwudziestu stóp od siebie dostrzegł tylko żylastego Murzyna, jednego z wyspiarzy zamieszkujących budynki gospodarcze. Łazili za nim nieustannie, ale rejterowali, ilekroć usiłował doprowadzić do spotkania; mogło się zdawać, że pociąga ich i przeraża jednocześnie. Mężczyzna cofnął się w głąb krzaków, Mingolla zaś rozluźnił ciało i wyprostował nogi. Przez tarczę słońca, przemieniając jego jaskrawy blask w wachlarz przymglonego światła, przepełził spiętrzony cumulus; wiatr przypłaszczył wierzchołki krzaków. Mingolla zamknął oczy, delektując się ciepłem, upajającym poczuciem spokoju.

– Cholerny z ciebie dureń, mon – rozległ się nad nim grzący głos.

Usiadł gwałtownie, zamrugał oczami. Na tle nieba rysowała się olbrzymia, czarna, wsparta pod boki sylwetka Tully’ego.

– Naprawdę cholerny dureń – powiedział Tully. – Traciłem tylko czas, ucząc cię tego bloku, bo siedzisz sobie jak dupek, włączasz się i wyłączasz jak pieprzone światło awaryjne. Co ty wyprawiasz, mon? Śniesz na jawie?

– Ja...

– Zamknij swój dumny pysk. To... – poklepał swój tors – ...to jest dobry blok. A to nie jest. – Mingolla miał wrażenie, że otwarły się przed nim drzwi pieca hutniczego, kiedy omiótł go żar Tully’ego. – Robiłeś coś w tym stylu. – ...żar osłabł, zniknął, a potem rozgorzał na nowo. – Powiniennem dobrze ci dokopać.

Słońce, niczym złocista korona otaczająca czarny owal, wisało wprost nad głową Tully’ego. Mingolla był osłabiony i słabł coraz bardziej, czuł, jak jego istota się rozpada, a strzępki są wchłaniane przez ciemność. Spanikowany, działając instynktownie, pchnął Tully’ego, nie rękoma jednak, lecz swym umysłem.. i ogarnęła go jeszcze większa panika, kiedy doznał wrażenia, iż runął w sam środek olbrzymiej, wielotysięcznej ławicy elektrycznych ryb, które to ocierają się o niego, to rozpryskują we wszystkich kierunkach. Pięść Tully’ego wystrzeliła w jego stronę, elektryczność jednak i towarzyszące jej uczucia siły i podniecenia zamieniły Mingollę w słup soli; nie był w stanie wykonać uniku, i wymierzony w czubek głowy cios rzucił go na ziemię.

– Nie masz dość siły, żeby ze mną wojować, Davy – stwierdził Tully, kucając obok niego. – Ale, mon, nie mogłem się doczekać tego przełomu. Teraz naprawdę możemy zacząć.

Mingolla czuł pulsowanie w skroniach, źdźbło trawy łaskotało go w dolną wargę. Gapił się tępo na tenisówki i mankiety spodni Tully’ego. Z trudem dźwignął się na nogi i, wciąż oszołomiony, oparł o ścianę.

– Nie dowaliłbym ci, mon, gdybyś mnie tak nie zaskoczył – powiedział Tully z szerokim uśmiechem, błyskając złotem swych koronek. Głębokie zmarszczki rozbawienia wokół ust i oczu nadały jego twarzy wygląd dzikiej maski. Był ogromny i wszystko w nim było ogromne: dłonie zdolne zamknąć się wokół orzechów kokosowych, tors wybrukowany potężnymi mięśniami. Roztaczał aurę zwierzęcej męskości, która nieodmiennie wytrącała Mingollę z równowagi. Miał włosy poprzetykane siwizną, żyłastą i pomarszczoną szyję, oczy wątrobowca, a jednocześnie ramiona, które w tej chwili rozpięły białą trykotową koszulkę, godne mężczyzny o dwadzieścia lat młodszego. Nad jego lewym okiem, uderzająco kontrastując z czarną skórą, widniała, niczym żyłka jakiegoś rzadkiego minerału, haczykowata blizna. – Cholera – podjął. – Będzie z ciebie ktoś zupełnie niezwykły. Omal mnie nie załatwiłeś.

Mingolla uciekł spojrzeniem w stronę hotelowego dachu, zagapił się na sznur przelatujących ponad nim pelikanów. Przypominały hieroglificzne napisy.

– Wiem, że jesteś ostrożny, mon – powiedział Tully. – Przypominasz małego chłopca, który musi nabrać sił, zanim stawi czoło komuś takiemu jak ja... to zupełnie naturalne. Te narkotyki, one przenoszą cię do nowego świata i to jest ciężka próba dla wszystkich, w szczególności dla ciebie. Ale ci po mogę, Davy. Możesz na to liczyć. Ale muszę być wobec ciebie twardy, bo tylko w ten sposób ty możesz się stać dostatecznie twardy, żeby sprostać temu nowemu światu.

Mingolla musiał mieć nieufność wypisaną na twarzy, bo Tully prychnął śmiechem równie gardłowym i bezbarwnym, jak parsknięcie lwa.

– Ta sprawa między nami dwoma będzie ciężka jak wszyscy diabli – powiedział. – Coś w rodzaju moich układów z ojcem. To był, przyjmij do wiadomości, wred jak się patrzy. Wraciał pijany na kolację i mówił do mnie: „Chłopcze, jesteś tak paskudny, że odbierasz mi apetyt. Włóż pod stół! Nie chcę na ciebie patrzeć, kiedy jem”. A jak nie słuchałem, sam mnie wpychał pod stół! – Wymierzył Mingolli przyjacielskiego szturchańca w nogę. – A jak ja bym ci kazał wleźć pod stół? Co byś wtedy zrobił?

– Powiedziałbym ci, żebyś się pieprzył – odparł Mingolla.

– Naprawdę? – Tully podrapał się w kark. – No to sprawdźmy. Dzisiejszą noc spędzisz na dworze, Davy. Nie wracaj do hotelu. Siedź pod gołym niebem i rozmyślaj o tym, co cię czeka.

– A skąd mam niby wiedzieć, co mnie czeka?

– Słuszna uwaga. Dobra, uchylę przed tobą rąbka tajemnicy. Kiedy skończysz szkolenie, będziesz miał test. Wyślemy cię do La Ceiba, pójdziesz do Żelaznego Barrio i zabijesz faceta siłą

swego umysłu.

Pomysł zabójstwa w charakterze egzaminu zupełnie Mingolli nie poruszył, wzmianka o Żelaznym Barrio odebrała mu jednak całą wojowniczość.

– Trzymaj się z dala od hotelu, Davy. – Tully wstał i kilkoma skrętami tułowia rozprostował plecy. – Zastanawiaj się, jak bez mojej pomocy dasz sobie radę w Barrio. A jeśli nocą złapię cię w środku, będziesz miał kłopoty. To możesz przyjąć do wiadomości bez żadnych rozmyślań.

W kącie muru stała kryta ocynkiem szopa, pełniąca niegdyś funkcję sklepu ze sprzętem do nurkowania; Mingolla poszedł do niej późnym popołudniem, mając zamiar doczekać pod dachem chwili gdy wszyscy posną, a potem się wślizgnąć do hotelu. Kiedy przekraczał próg, spod stojącego na środku pomieszczenia drewnianego stołu wykaraskał się krab i pozostawiając w kurzu linię delikatnych sierpowatych śladów, zniknął w szczelinie pomiędzy deskami. Zpęknięć w blasze sączyły się skośne smugi złocistego blasku, które malowały na podłodze jasne plamy; wzbite przez stopy Mingolli drobiny kurzu wirowały w słońcu, stwarzając iluzję, że lada chwila w każdym ze świetlistych snopów zmaterializuje się jakiś byt. Na stole, połączone mostami z pajęczyn, leżały cztery zardzewiałe butle tlenowe sprawiające wrażenie ogromnych ampułek zaschniętej krwi.

Mingolla usiadł pod ścianą w głębi, obok stosu pozólkłych magazynów poświęconych nurkowaniu. Dla zabicia czasu zaczął kartkować jeden z nich i, ku swemu rozbawieniu, znalazł na pierwszych stronach reklamy rozmaitych kurortów na wyspie. Grota Piratów, Pod Wesołym Rogerem i tak dalej. Budynki tych ośrodków stały teraz opuszczone, plaż strzegły łodzie patrolowe, strach przed rakietami przegnał wszystkich turystów... chociaż wyspa nigdy nie stała się celem ataku. Co musiało zastanawiać, bo przecież Roatan stanowił logiczny cel, leżąc na uboczu, będąc siedzibą bazy komputerowej CIA, a wreszcie znajdując się w zasięgu rakiet, bomb, a nawet inwazji. Fakt, iż go nie zaatakowano, kłócił się z logiką, choć logika – pomyślał Mingolla – nie jest tym, co wojna wytwarza najobficiej; przypuszczał, iż powody bezpieczeństwa wyspy mogą być absurdałne – jakies pomieszanie irracjonalizmu kapitalistycznego z marksistowskim, wymiana immunitetów, zgoda na wzajemne pozostawienie swych komputerów w spokoju, gwarantująca obu stronom zdolność serwowania śmierci i zniszczenia w sposób przewidywalny i planowy. To, że zdobył się na taką refleksję, z pozoru niezwykle dojrzałą, sąd cyniczny i beznamiętny, w którym dostrzega się często symptom „dorosłego” obiektywizmu, pozwoliło Mingolli uznać, iż wkracza w okres rekonwalescencji, staje się niewrażliwy na destrukcyjne namiętności wojny, zdolny do racjonalnej ewolucji.

Na kolejnych stronach zobaczył rozkładówkę: zdjęcie przedstawiało płetwonurków w czerwonych i żółtych kombinezonach, którzy, zatraceni wśród bezliku jaskrawo ubarwionych ryb, płynęli w turkusowej głębinie. Coś wydało mu się w tej fotografii znajome i po chwili przypomniał sobie swój dzisiejszy incydent z Tullym. Tak to właśnie wyglądało: był nurkiem

w duszy Tully'ego, unosił się w naelektryzowanej głębinie, otoczony rybami jego myśli. Miał również pewność, że za tamtą głębią kryła się następna, znacznie bardziej otchłanna. Miejsce, wyobrażał sobie, przypominające labirynt, jak rafa koralowa, siedziba myśli równie powikłanych jak skupisko gorgonii.

Zmierzch uniemożliwił czytanie. Z północy nadciągnęły chmury burzowe, wylały na dach krótkotrwały potop deszczu; pod osłoną chmur nadciągnęła noc i przez szczeliny w dachu przesączył się blask księżyca, który maznął podłogę lawendowo-szarą farbą. Mingolla zauważył nad stołem żarówkę w oprawce. Podeszedł do drzwi, wcisnął przełącznik i aż wzdrygnął się z zaskoczenia, gdy żarówka nagle rozbłysła, śląc białe jasne promienie światła w każdy kąt szopy. Po ścianach rozbryzgnęły się odłamki cienia, kiedy ku źródłu owego światła zaczęły się zlatywać ćmy. Mingolla znów oparł się o ścianę i – słuchając półuchem wiatru, łomotu przyboju – wrócił do lektury. Potem rozległo się skrzyknięcie, a gdy podniósł głowę, ujrzał w drzwiach szczupłą czarnoskórą kobietę ubraną w podniszczoną sukienkę koloru mocno spranego brązu. Ogarnięty poczuciem zagrożenia, zareagował tak samo jak wobec Tully'ego – duchowym atakiem. Znów doświadczył uczucia pograżenia się, siły i podniecenia. Tym razem jednak, nie napotykając na opór, złapał się na tym, że – to jedyne właściwe określenie – płynie, prze – I pływa przez wzór, powikłany węzeł, że, wbrew oczekiwaniom, nie penetruje bezdennych głębin, lecz wwierca się w coś konkretnego, że – wreszcie – materia myśli kobiety gromadzi się wokół jego wzoru, twardnieje w formy, które on dyktuje. Poruszał się tak szybko, że nie był w stanie prześledzić wszelkich pokrętności wzoru; niemniej jednak, upewniony w niepojęty intuicyjny sposób, iż wzór został dopełniony, a on ma w jego ramionach bezpieczne miejsce, wycofał się z kobiety. Erekcja zaczynała podnosić tkaninę jego spodni.

Kobieta się zachwiała, wyprostowała, usiłowała chwytać powietrze jak wyrzucona na brzeg ryba. Była młoda – liczyła najwyżej osiemnaście albo dziewiętnaście lat – miała kakaową skórę z wysiewem piegów na nosie i policzkach; jej ładną buzię o sprytnym wyrazie, który Mingolli przypomniał Debory, obrzeżała frędzla krótkich grubych dredów... Zbity z pantałyku faktem, iż po tylu miesiącach użył Debory jako punktu odniesienia, stracił dla kobiety wszelkie zainteresowanie. Debora, doszedł do wniosku, nie dominowała jego myślenia, będąc jednak tajemną ścieżką, którą podążały jego myśli, tym miejscem, do którego wyprawiał się we snach albo chwilach beczynności. Pojął również, że rozumieją teraz znacznie głębiej – jak gdyby wiódł z nią nieustający dialog, z przesłanek zawartych w słowach, zapachu, sposobie bycia budował coraz to dokładniejszy portret.

– Czuję, że przyjdiesz – powiedziała kobieta zdławionym głosem.

I znów Mingolla w nią wszedł z całym pożądaniem, jakie rezerwował dla Debory, pojmując w tym momencie, iż pożądanie może mieć dlań odczuwalny kształt... czuł się jak miotacz, który – w oczekiwaniu na sygnał – obraca w palcach piłeczkę, aż ułoży ją w najwłaściwszej pozycji;

był to proces podświadomy, a jednak płynny. Twarz kobiety rozluźniła się, oddech – przyspieszył.

– Prawie cały tydzień czułam, że przyjdiesz – powiedziała, przysuwając się bliżej. – Masz w sobie tyle siły, mon!

Miętoszyła muszlę nanizaną na rzemyk, którą nosiła jako wisiołek; muszlę zdobiły czerwono-zielone wzory.

– Kim jesteś? – zapytał z ożywieniem Mingolla, niezainteresowany w gruncie rzeczy tożsamością dziewczyny. Liczył tylko, że jej odpowiedź może rzucić światło na to, kim staje się on sam.

– Jestem Hettie. – Opadła na kolana w odległości niespełna dwóch metrów od niego. – Masz już całą moc. Więcej mocy niż kiedykolwiek czułam i, Bogu niech będą dzięki, więcej szczęścia.

Zaciekawienie Mingolli wzrosło.

– O czym ty mówisz?

– Moc przynosi szczęście. Tak jest zawsze. Nowi zdobywają moc i dotykają nas, żeby zapewnić sobie bezpieczeństwo.

Przypomniał sobie poczucie bezpieczeństwa, jakie spłynęło nań, kiedy zamknął wzór.

– I dajemy wam bezpieczeństwo – dorzuciła.

– Opowiedz mi o szczęściu – poprosił. Zwilżyła wargi.

– O szczęściu nie ma co gadać.

– Czemu nie?

– Bo słowa mogą je zabić.

Poruszyło to strunę w duszy Mingolli, przywiodło na pamięć rytuał, niechęć, by o nim rozmawiać... chyba że z Deborahą, w której dopatrzył się podobnej konfiguracji szczęścia.

– Opowiedz – powtórzył – to da ci jeszcze mocniejsze szczęście.

Na twarzy Hettie odmalowało się niedowierzanie przemieszane z radością, jak gdyby obiecał jej coś niewiarygodnego i cudownego zarazem, na przykład życie pozagrobowe.

– Zrobisz to dla mnie?

– Tak.

Pochyliła głowę i obracając w palcach swą muszlę, zdyszany szeptem wyrzuciła z siebie litanie wyjaśnień: opisywała żywoty wplecione w magiczny wzór, bezpieczeństwo gwarantowane przez powtarzalność zachowań – i Mingolla zaczął poszukiwać podobieństw pomiędzy jej szczęściem a swoim rytuałem przetrwania, dziwactwami pilotów śmigłowca i innych znajomych w Gwatemali. Wszystkie te zachowania łączył ich urojeniowy charakter, biorąc zatem pod uwagę fakt, iż Hettie była zasadniczo przedmiotem badań, na którym nieopierzeni esperzy testowali swe nowo opanowane umiejętności, można było przyjąć założenie, że to właśnie oni ponoszą za wszystko odpowiedzialność, że ułudy są efektem ich

oddziaływania. Teorię tę Mingolla daremnie usiłował zbagatelizować jako paranoiczną.

Hettie przykucnęła i w milczeniu czekała, aż zostanie obdarowana szczęściem; jej sukienka się obsunęła, odsłaniając mroczny wąwóz pomiędzy udami. Mingolla nie miał na zbyciu żadnego szczęścia, a jedynym uczuciem, któremu potrafił nadać kształt, było pożądanie. I pożądanie wypełniało go w tej chwili z potężną mocą – to ono i kryjąca się za nim siła sprawiało, że naprawdę żył. Wewnętrzne ciśnienie jego wizji wzbogacało świat, gdziekolwiek wędrował spojrzeniem. Spękane deski, srebrzyste krople światła na pajęczynach, czerwonawe drewno stołu – to wszystko zdawało się lśnić znacznie jaśniej niż jeszcze parę chwil temu. Być może, pomyślał Mingolla, jeżeli pożądanie będzie dostatecznie silne, zrodzi szczęście. I kiedy wchodził w dziewczynę ze swoim pożądaniem, zorientował się, iż również szczęście, uczucie, jakie staje się udziałem człowieka, któremu sprzyja los, zaczyna nabierać kształtu, wcielił je więc w swe pożądliwe pchnięcie.

Hettie bez tchu, wyprężyła się do tyłu i szeroko rozstawionymi palcami dłoni zaczęła pieścić brzuch, ugniatać piersi. Patrząc na nią, Mingolla pojął, iż jego dar pożądania i szczęścia może zostać jakoś odwzajemniony, że bez trudu może wziąć tę dziewczynę, tu, pośród ciem i pajęczyn, dokonać aktu zwierzęcego wykorzystania, niemal przemocy, zażyć darmowej i bezkarnej przyjemności. Doznawał zresztą pokusy. Ogarnęło go osobliwe napięcie, mieszanina pewności i niezdecydowania; odczuwał coś podobnego, gdy po otrzymaniu piłki w decydującym momencie meczu nie wiedział, czy iść w lewo, czy w prawo, wobec czego wbijał wzrok w biodra kryjącego go zawodnika, pochylał się jak ogarnięty wahaniem pływak na słupku startowym, pozwalając grawitacji z wolna zawładnąć swoim ciałem, i czekał na moment, gdy przeciwnik uzna, iż zdołał przewidzieć kierunek jego manewru, wykona zgodny z owym przewidywaniem, a w gruncie rzeczy fałszywy ruch i tym sposobem pozwoli mu wejść w uliczkę. Głowa Hettie bezwładnie opadła na bok, biodra wyprężyły się do góry. Pod nosem i na szyi zaperliły się kropelki potu. Zapamiętanie wysubtelniło rysy dziewczyny, nadając im zwierzęcą delikatność. Mingolla wyciągnął więc rękę w stronę Hettie, myśląc jednocześnie o Deborze i jej delikatności. Ale w tej samej chwili Hettie krzyknęła, opadła na czworaki, podsuwając biodra pustce, krzyknęła raz jeszcze, ciszej teraz i bardziej gardłowo, w jej duszy zaś miliony ryb zaalarmowanych sygnałem niebezpieczeństwa rozpięchły się na boki, pozwalając, by ich miejsce zajął leniwy nurt, o spały, wywołujący mrowienie przyływu.

O ściany szopy łomotał wiatr, wprawiał w wibrację poszycie dachu. Hettie, wciąż na czworakach, tępo wpatrywała się w Mingollę przez natłuszczone zwitki swoich dredów. Cieszył się, że jej nie wziął, bo była zbyt łatwym łupem, podczas gdy on pragnął kogoś, przez czyją duszę nie odbywały się ciągle przemarsze. Wstał, odprowadzony jej spojrzeniem; omijając ją, podszedł do stołu, a ona odwróciła głowę, nie okazując większych emocji niż krowa.

– Wstawaj! – rozkazał ogarnięty irytacją. Irytacja jednak natychmiast ustąpiła miejsca

politowaniu, kiedy więc Hettie wstała, opuszczając bezwładnie ramiona, Mingolla zapytał, jak się czuje.

– Ja... – Bez przekonania usiłowała wygładzić pogniecioną sukienkę. – Sprawy robią się wyraźne.

– Jakie sprawy?

– Sprawy szczęścia.

Gałęzie szeleściły o ścianę szopy, na rafie zahuczała fala.

– Lepiej poszukajmy innych – powiedziała Hettie. Zrobiła krok w stronę Mingo lli, obracając w palcach swoją muszlę. -

Tego szczęścia jest tyle, że wszyscy od niego staną w ogniu.

Srebmoniebieskie chmury przemykały przez tarczę księżyca, a tereny wokół hotelu tonęły w nieprzeniknionym mroku. Potem księżyc wypłynął na czyste wody, krajobraz zaś zmienił się w rozedrgany kalejdoskop ze światła i cienia: liście palm, krzewów, łodygi bambusa – pojmane ze wszystkich stron w matnię ciemności, podświetlane plamami księżycowego blasku – szeleściły i syczały w chóralnym nierównym śpiewie, który było słycać poza monotonną litanią samogłosek recytowaną szeptem przez wiatr i morze. Hettie gestem przyzwała Mingo llę, mówiąc:

– No, chodź ze mną.

Mingolla pomachał jej dłonią i ostrożnie ruszył pomiędzy krzakami w stronę hotelu, którego białe tynki zdawały się gorzeć pomiędzy pochylonymi pniami palm, a otwarte okna były czarne jak wloty jaskiń. Rozgorączkowany szum skrytego w mroku listowia krzepił Mingo llę, który z każdym krokiem, za sprawą wchłanianej w siebie dzikości nocy, czuł się silniejszy.

W pobliżu hotelu skręcili pomiędzy jeszcze gęstsze zarośla i podążając ścieżyną dławioną przez paprocie i mięsiste liście jakichś roślin, dotarli do spłachetka ubitej ziemi, w środku którego wznosił się bungalow z desek kryty stożkową strzechą. W drzwiach migotały świece, a każdy płomyk spowijała miniaturowa pomarańczowa aureola.

– Przyprowaodziłam go do was – powiedziała Hettie i weszła do bungalowu, zostawiając Mingo llę pod karłowatą palmą. Był rozdrażniony i nie rozumiał powodu takiego stanu rzeczy. Może – pomyślał – to ten jasny księżyc, który oświeca go jak reflektor; aby umknąć przed natarczym spojrzeniem tego srebrzystego oka, przysunął się do samego pnia pałemki, wpadając w łaskotliwe objęcia jej liści.

Wyspiarze jeden po drugim wychodzili z budynku: w sumie był ich niemal tuzin – czarnych kobiet i mężczyzn, młodych i starych, jednakowo niedożywionych i obdartych, bez wyjątku trzymających w dłoniach malowane muszle czy jakieś inne talizmany. Cienie zbierały się w załamaniach ich odzieży, w zmarszczkach i oczodołach, sprawiając, że wyglądali jak grupa żywych trupów. Ich milczenie przygaszało, z pozoru, blask księżyca i wyciszało szum wiatru.

Hettie zachęciła ich ruchem dłoni, by podeszli bliżej, ale Mingolla do tego nie dopuścił: zastopował ich niepewny marsz jednym smagnięciem myśli, umieścił w ich głowach ten sam skomplikowany węzeł, którym skrępował Hettie, a potem rozpałił wszystkich poczuciem szczęścia i innymi emocjami, których kształty zaczynał poznawać. Jęknęli pod jego ciosem, zaczęli przewracać oczyma, które odbijały czysty blask księżyca; mamrocząc coś na kształt modlitwy, cofali się, zajmowali stanowiska na obrzeżu placu i wbijali w Mingollę spojrzenia pełne trwożnego podziwu. Każda manifestacja siły ożywiała go – gdy zrobił swoje, usiadł na ziemi, spokojny w krzyżowym ogniu ich spojrzeń, a jednak przepełniony uczuciem, że stanowi epicentrum osobliwego fenomenu atmosferycznego, burzy przynoszącej niewyczuwalną wichurę, która ciągnie od świata położonego tuż za rogiem i zmienia wszystko, chociaż, gdy przemija, nie pozostają po niej ślady żadnych zniszczeń. Pragnął normalności, kiedy więc w drzwiach bungalowu dojrzał Hettie, przywołał ją i poprosił, by usiadła obok niego. Osunęła się na kolana, skromnie składając ręce na podolku.

– Gdzie mieszkasz, Hettie? – zapytał.

– Tu mieszkam.

– Chodzi mi o to, gdzie mieszkałaś przedtem, zanim tu przyjechałaś.

Zdawało się, że pojęcie „przedtem” zbiło ją z tropu, w końcu jednak odparła:

– Mój tata ma niedużą posiadłość w okolicach Zatoki Kwiatów. – Później, po dłuższej pauzie, dodała: – Hoduje konie.

– Taa? – zdziwił się Mingolla, któremu przyszło na myśl, że konie plus Zatoka Kwiatów to czysta idylla. – Dlaczego wyjechałaś?

– To przez te konie. Są jak dzieciaki, zupełnie dzikie. Cały czas rzucają łbami i patrzą na człowieka takimi szalonymi oczami. Zawsze wśród nich miałam pietra.

Jeden z wyspiarzy – mężczyzna siedzący pod krzewem o mięsistych liściach – wydał z siebie przenikliwy skowyt i unióśł ręce do księżyca.

– Przecież konie wcale nie są dla człowieka niebezpieczne – stwierdził Mingolla.

– Wszystko jest niebezpieczne, kiedy szaleńcy wrywają się na swobodę. – Hettie musnęła palcami kolano Mingolli, jakby dodając mu otuchy. – Ale ty jesteś za silny dla szaleńców, mon.

Trudno było wyczytać cokolwiek z wyrazu jej twarzy, w połowie oblanej światłem, w połowie skrytej w cieniu, Mingolla jednak wyczuwał w dziewczynie jakiś maskowany żal, ślad jakiegoś smutku, którego natury już sobie nie przypominał. Chciał jej coś powiedzieć, przekonać samego siebie, że prowadzi zwykłą rozmowę z ładną dziewczyną, ale Hettie była tylko skorupką ładnej dziewczyny, a poza tym ani on, ani ona nie mieli w sobie nic zwykłego.

Znów – jeszcze raz zdumiony obsesyjnością, z jaką to czyni – wrócił myślami do Debory. Nie sądził, że ją kocha, nie miał pojęcia, w jaki sposób byłoby to możliwe. Ale podobna historia, długa, niemal podświadoma analiza innej osoby, sprawiła kiedyś, że się zakochał; liczył, iż teraz

sprawy przedstawiają się odmiennie. O miłości nie miał dobrego zdania, świadom, jak bardzo uczucie to potrafi ogłupiać i ranić, choć, z drugiej strony, był zmuszony przyznawać, iż szaleństwo i ból są dobrymi nauczycielami. Kobieta, którą kochał, była starsza od niego o pięć lat; należała do grona owych zamieszkujących lepsze kwartały Long Island ładnych niepracujących mężatek rozmiłowanych w ceramicznej biżuterii, spódnicach dżinsowych i – co było jedynie efektem znudzenia małżonkami – akcjach dobroczynnych; mężatek, które nieustannie poszukują szczypty dreszczyku, na nic w gruncie rzeczy nie licząc, ponieważ dały się uwieść przekonaniu, iż ich życiem rządzi reguła przeciętności, a nuda jest losem, jaki został im przypisany. Mingolla uczył rysunku w „Y” – ona pewnego dnia pojawiła się w jego grupie, a dwa tygodnie później zaczęli ze sobą romansować. Z początku wszystko układało się idealnie, w miarę upływu czasu zaczęła jednak odczuwać strach, reglamentować miłość, konfrontować ją ze stabilnością i bezpieczeństwem swojego małżeństwa, aż w końcu zerwała związek, pozostawiając Mingollę nie tylko starszym i mądrzejszym... W czasie trwania romansu zaniedbał studia do tego stopnia, że mógł zostać powołany do wojska.

– Wygląda na to, że dotknęła cię jakaś troska – powiedziała Hettie.

– Nic się nie stało – odparł.

Wiatr mierzwił strzechę budynku, przez tarczę księżyca przemykały chmury przypominające wyglądem niebieski dym, rozsnuwały w powietrzu niewidzialne zasłony. Wreszcie zapadł nieprzenikniony mrok.

– Tu nie znajduję cię kłopoty – zapewniła Hettie. – Tu, z nami, jesteś bezpieczny.

Prawie jej nie widział – heban na węglowym tle.

– Bezpieczny przed wojną, bezpieczny przed szaleńcami.

Bezpieczny, pomyślał. Bezpieczny na tym fantastycznym, zaciemnionym placyku, bezpieczny wśród oszołomionych ludzkich wraków. Bezpieczny z chaotycznym zgiełkiem przyboju w uszach, który przywodzi na myśl niszczącą salwę artyleryjską, z wyciem wiatru wykrzykującego jakieś tajemne imię. Och, tak! Był bezpieczny, bez dwóch zdań!

-Bezpieczny przed wszystkim – dodała Hettie.

W nagrodę za przełom dr Izaguirre obdarował go egzemplarzem Fikcyjnego pensjonatu, zbioru opowiadań Juana Pastorina, ulubionego autora Mingolli.

– Zauważyłem, że podziwiasz tę książkę na mojej półce – powiedział doktor, Mingolla zaś, który nie miał najmniejszej ochoty przyznawać Izaguirremu jakichkolwiek punktów za wrażliwość wobec siebie, odparł, że jego zainteresowanie wynikało ze zwykłej ciekawości, że nigdy nie słyszał o tej książce.

– Ukazała się w ograniczonym nakładzie – wyjaśnił Izaguirre, kiedy weszli do hotelowego foyer, długiego wąskiego pomieszczenia, będącego w zasadzie przerośniętym korytarzem, z wysokimi oknami we wschodniej ścianie, w zachodniej zaś z klatką schodową i przeszkłonymi

drzwiami do restauracji. Arabeski liści i pnący na szybach wpuszczały do środka tylko szarawe rozproszone światło, kurz na kształt aksamitnej wykładziny pokrywał każdą powierzchnię. Haftowany pleśnią chodnik biegł przez całą długość pomieszczenia i wypełzał na zewnątrz. Nad wejściem do restauracji wymalowane olejno wyblakłe menu z błędami reklamowało specjały śniadaniowe, takie jak „gżanki” czy „smarzone kartofle”. Było to miejsce, w którym najwyraźniej triumfowała entropia.

Obok drzwi wejściowych wisiało lustro, pod nim zaś stało rattanowe krzesło o wgniecionym siedzisku. Izaguirre odkurzył je chusteczką do nosa, usiadł i szarpnął bródkę, jakby chciał w ten sposób rozciągnąć woskową skórę twarzy.

W blasku dnia Mingolla nie był już tak bardzo pewny swojej teorii dotyczącej efektów manipulacji psychicznych, jakim poddawano wojska w Gwatemali, niemniej jednak wyłożył ją Izaguirremu.

– Tak, to nad wyraz niefortunne – przyznał Izaguirre. – Nieunikniona aktywność elektryczna powoduje mikrozmiany w mózgach... szczególnie u obiektów, nad którymi pracują esperzy. Ale są również efekty zdalne, wpływające na ludzi będących w pobliżu. Skłonności irracjonalne ulegają odtworzeniu lub wzmocnieniu. Przesady i tak dalej.

– Mikrozmiany? Chyba pan żartuje! – Mingolla machnął ręką w kierunku dworu. – Ci ludzie to wraki, a w Gwatemali znałem kilku w niewiele lepszym stanie.

– Im częstsze są konfrontacje, tym skrajniejsze wywołują efekty. – Nieporuszony Izaguirre założył nogę na nogę. – Rozumiem twoją reakcję, ale musimy mieć na uwadze rezultaty długo falowe.

Mingolla podszedł do blatu recepcji, położył na nim książeczkę i, niezdolny uporządkować odczucia, zagapił się na zaciągnięte pajęczynami przegródki na klucze.

– No więc chyba ja nie byłem zgłuszany zbyt często.

– Dostatecznie często. Nie jest na przykład wykluczone, co wynika z przesłuchania, któremu zostałeś poddany, że tuż przed wyjazdem z Gwatemali byłeś obiektem manipulacji agentki Sombry.

– Co to jest Sombra?

– Komunistyczna wersja Korpusu Parapsychofizycznego. Ta kobieta nosi nazwisko... – Izaguirre poklepał się w czoło, żeby ożywić pamięć. – ...Debora Cifuentes. – Zachichotał.

– I patrz, co za ironia losu: najpierw ciebie usiłowała nakłonić do dezercji, a zaraz potem sama zdezerterowała, umknęła do Peten. Ktoś ze sztabu sugerował, że jeżeli przejdiesz przez szkolenie z tak dobrymi rezultatami, jakich się po tobie spodziewamy, wyślemy cię, być może, jej tropem. Jest bardzo silna, żywimy jednak przekonanie, że nie dorasta ci pod tym względem do pięt.

Wściekłość aż odebrała Mingolli głos.

– Miałbyś na to ochotę? – zapytał Izaguirre.

– Taa – odparł Mingolla. – Taa, to by nie było złe. – Zaczął w tę i z powrotem maszerować wzdłuż lady recepcyjnej.

– Wie pan, w czymś tu się nie mogę pokapować.

– Tak?

– Skąd, do cholery, to zamieszanie wokół mnie i wokół niej? Przecież Psicorps tylko wysiaduje na zadku i usiłuje przewidzieć następny atak przeciwnika. Takie tam pierduły...

– Tacy jak ty i Cifuentes stanowicie anomalie. Na całym świecie nie ma więcej niż trzydziestu agentów waszego kalibru. Będziesz miał poważniejsze zadania niż zgadywanki. – Izaguirre nie spuszczał wzroku z wędrującego Mingolli. – Wydajesz się zdenerwowany.

– Nic mi nie jest. Ale dlaczego ona, kapuje pan... no, nie zdmuchnęła mnie albo coś w tym stylu?

– Mogła nad tobą zapanować, ale w ten sposób zniszczyłaby twój talent, podczas gdy – tak przypuszczam – usiłowała cię zwerbować... nie zaś unicestwić. Wywarcie przez jednego espera subtelnego wpływu na drugiego jest zadaniem kłopotliwym. Ten rodzaj interakcji wzmacnia talentu obydwu stron. Powoduje sprzężenie zwrotne, którego sprawność zależy od tego, jak intensywne jest zogniskowanie na sobie obojga partnerów. Skoro zaś twój wrodzony talent jest większy, nie przypuszczała, jak szybko będziesz zyskiwał na sile, kiedy zaczniesz nad nią pracować. I stąd cały problem. – Wstał, zbliżył się do Mingolli. – Ale bez wątplenia coś cię gryzie.

– To nieważne.

– Niemniej jednak chciałbym o tym usłyszeć.

– Pański ból. – Mingolla nonszalancko otworzył książkę i popatrzył na autograf Pastorina, skomplikowaną kompozycję z zapętlen i zakrętasów.

– Davidzie?

Mingolla zatrzasnął książkę.

– Miałem wrażenie, że się w niej zakochuję. – A potem dodał sarkastycznie: – Prawdopodobnie ma to coś wspólnego z intensywnością naszego wzajemnego zogniskowania.

– Ciekawe – stwierdził Izaguirre tonem człowieka nieobecnego duchem.

Mingolla podszedł do okna. Przypominająca dżunglę gęstwa roślin na przyhotelowych terenach przelewała się leniwie pod gnającymi wyżej ciemnymi chmurami.

– Co za kurewstwo wykreciłem zeszłej nocy tym ludziom?

– Masz na myśli to, co nazywasz „wzorem”?

– Taa.

– Mechanizm paranoidalny. – Izaguirre dyskretnie odkaszlnął. – Po prostu wymierzyłeś kobiecie cios, ogłuszyłeś ją. To nader powszechna pierwsza reakcja. Zupełnie dobrze potrafisz

już się posługiwać swoim talentem. Potrafisz przemieniać emocje w broń i tak dalej. Potrzeba ci tylko praktyki.

– Jezu – westchnął Mingolla. – Ten syf ze wzorem przypomina...

– Co?

– Nie wiem... coś, co mógłby zrobić karaluch. Jakieś owadzie zachowanie.

– Chyba nie martwisz się o swoje człowieczeństwo?

– A pan by się nie martwił?

– Z radością skonstatowałbym fakt, że mój potencjał przekracza ludzkie normy...

– No więc dlaczego nie bierze pan tych jebanych narkotyków?

– Biorę... ale nie dożyłnie. Przyjmowałem je w postaci naturalnej. Nie mam jednak talentu.

Szkoda.

– Myślałem, że ten towar jest syntetykiem.

– Nie, to zioło.

– Hmm. – Mingolla kreślił coś palcem na zakurzonej szybie, a kiedy się zorientował, że napisał literę D, pospiesznie ją starł. – Chcę dostać to zadanie.

– Czyli Deborę Cifuentes?

– Tak.

– Niczego ci nie obiecuję. Wciąż masz przed sobą sześć do ośmiu tygodni szkolenia. Jeśli jednak wciąż będzie na wolności... kto wie? – Izaguirre ujął Mingołłę za ramię. – Prześpij się trochę, Davidzie. Jutro będziesz potrzebował sił. Ja zacznę ci dawać RNA, żeby doprowadzić twój hiszpański do perfekcji, a Tully nie może się doczekać, żeby wznowić treningi.

Mimo swoich niepokojów, wyobcowania, Mingolla doznał lekkiego uspokojenia. Uznał za dziwne, iż kują go ojcowskie zagrywki Izaguirre'a, ponieważ w każdej innej sytuacji wszystko w doktorze diabelnie go irytowało.

– Ach, tylko nie zapomnij swojej książki. – Izaguirre wziął tom z lady recepcyjnej i podał go Mingołli. – Jest bardzo, bardzo dobra – powiedział.

Pierwsze opowiadanie Fikcyjnego pensjonatu mówiło o dwóch zwaśnionych rodach, toczących walkę o posiadanie magicznego kwiatu. Mingolla stracił zainteresowanie w połówie lektury; uznał utwór za manieryczny, jego bohaterów zaś – członków obu rodzin – za kompletnych dupków. Opowiadanie tytułowe jednak bez reszty go zafascynowało. Relacjonowało skutki osobliwego kontraktu zawartego pomiędzy pisarzem a mieszkańcami kamienicy czynszowej w jakimś południowoamerykańskim slumsie. Autor zaproponował, że wykształci dzieci mieszkańców, im samym zaś zapewni życie w komforcie, pod warunkiem wszakże, iż do kresu swoich dni będą realizować jego fikcyjny scenariusz, scenariusz rok po roku uwzględniający wydarzenia, nad którymi z takich czy innych względów nie mógł mieć kontroli. Mieszkańcy, będąc w skrajnej nędzy, przyjęli ofertę i chociaż niekiedy się migali lub usiłovali

doprowadzić do zerwania kontraktu, to przecież stopniowo wyzbyli się jednostkowych marzeń i nadziei, które zostały bez reszty zawłaszczone przez wątki opowiadania. W rezultacie ich żywoty nabrały niemal mitycznego wymiaru, śmierci zaś – kształtu misteriów. Jedyne autor – który zrujnował zdrowie nadludzkim wysiłkiem niezbędnym do zaprogramowania tyłu dróg życiowych i który, traktując swój pomysł zrazu jako kaprys, dostrzegł w nim później akt transcendentnego miłosierdzia – miał zwyczajne życie i prozaiczną śmierć.

Ogarnięty sennością Mingolla zamknął książkę, zgasił lampkę i opadł na łóżko. Blask księżycy wsączał się przez okno, kąpał ścianę w niebieskawobiałej poświacie, rysował ostre cienie pod biurkiem i krzesłem. Na ścianach wisiały poprzipinane pinezkami szkice Mingolli z okresu terapii narkotykowej. Nie przypominały żadnych z jego wcześniejszych prac, przedstawiając, bez wyjątku, ogromne barokowe komnaty z kamienia, gdzie z nagich murów wybiegały łukami mosty, zdobne schody prowadziły donikąd, sklepione stropy otwierały się na dziwaczne perspektywy wypełnione architekturą jeszcze bardziej nieziemską, zamknięte zaś na horyzontach gęstwą ludzików rozmiaru mrówek – rozmazanych kropeczek niemal zatracających się w oliwkowych cieniach i liniach. Te szkice wytrącały teraz Mingollę z równowagi – nie przez swą obcość, lecz dlatego, że w stanie psychicznym, który je zrodził, rozpoznawał własny i nie miał pewności, czy stan ten obnażyły narkotyki czy też stanowi on produkt transformacji.

Powieki mu opadły, a wtedy, z gniewem i tęsknotą jednocześnie, pomyślał o Deborahze. Mimo rewelacji Izaguirre'a jego obsesja nie doznała uszczerbku, ilekroć więc próbował zastosować logikę wzajemnych obwinień, fakt zdrady Debory bladł w obliczu fantazji bądź też upor, z jakim wierzył, iż musiała go darzyć czymś na kształt prawdziwego uczucia. Nie było więc rzeczą zaskakującą, że śnił o niej tej nocy sen niezwykle przez swą świetlistość. Debora unosiła się w białej pustce, ubrana w szatę tak białą, że nie dostrzegał żadnych fałd czy załamań. Wyglądało to tak, jakby na białym tle wymalowano oddzieloną od ciała głowę i parę ramion. Obracała się z wolna, to podpływając ku niemu, to się oddalając, dzięki czemu mógł ją widzieć pod wszystkimi możliwymi kątami, z których każdy pozwalał mu wejrzeć w inny aspekt jej charakteru – żywotność, twardość, zdolność do poświęceń. We śnie nie było muzyki, ruchy Debory jednak miały tyle wdzięku, że Mingolla odnosił wrażenie, iż jakaś niesłyszalna muzyka przenika całą pustkę, może czysty destylat muzyki manifestujący się w postaci białego prądu. Debora podpływała bliżej i niebawem znalazła się tak blisko, że – gdyby sen był rzeczywistością – mógłby ją dotknąć. Gdy zaś podpłynęła jeszcze trochę, ustawiając swoje ciało równoległe do jego ciała, dostrzegł w jej źrenicach dwa małe odbicia siebie unoszącego się w białej pustce. W jego głowie włączył się świdrujący dźwięk i jednocześnie eksplodowało pożądanie; Mingolla pragnął zrzucić więzy snu i przyciągnąć Deborahę do siebie. Jej usta były rozchylone, powieki – półprzymknięte, jakby ona odczuwała pożądanie równie mocno. A potem podpłynęła aż nieznośnie blisko i stopiła się z nim. Zesztywniał, obawa zaś, że jest w tej chwili posiadany,

przepełniła go zgrozą. Była w nim, kurczyła się, przemieniała w coś tak małego jak myśl, jak ciemna myśl w białej sukni wędrująca po korytarzach jego...

Spocony, ciężko dysząc, usiadł prosto na łóżku i przez ułamek sekundy, zmylony skąpanymi w księżycu ścianami, miał całkowitą pewność, iż obudził się w białym świecie ze swojego snu. Nawet wtedy, gdy już pojął, gdzie naprawdę się znajduje, nie potrafił się uwolnić od myśli, że Debora jest w pokoju razem z nim. Geometryczne układy światła i cienia zdawały się transmitować obecność jakiejś niewidzialnej postaci. Łowił uchem i okiem każde skrzypnięcie, każde drgnienie cienia, każde westchnienie wiatru.

– Debora? – wyszeptał, a kiedy nie doczekał się żadnej odpowiedzi, spięty i drżący opadł na łóżko. – Niech cię cholera! – powiedział.

Rozdział 7

Wyspa Roatan nie była tropikalnym rajem. Miała wprawdzie piękny atol, na którym kiedyś powstało kilkanaście kurortów, ale całe jej wnętrze składało się z niskich, porośniętych krzakami wzgórz, większą zaś część wybrzeża wzięły we władanie lasy mangrowe. Częścią obwodu biegła gruntowa droga łącząca ze sobą bieda-miasteczka Coxzen Hole, French Harbor i West End, inna droga natomiast przecinała wyspę od Coxzen Hole do Sandy Bay na północnym wybrzeżu, gdzie znajdował się hotel, położony nad wklęsniętym spłachetkiem plaży, która w jednej chwili wydawała się piękna, w następnej zaś – odrażająco szpetna. I to właśnie, uświadomił sobie Mingolla, stanowiło o uroku tego miejsca: człowiek szedł po brudnym żółto-brązowym piachu, omijając uważnie odchody świńskie i bydłęce, a potem nagle, jak gdyby nałożono na słońce zupełnie inny filtr, dostrzegał rozedrgane stada kolibrów, pióropusze palm kokosowych i roziskrzony wstęgi wody atolu, zależnie od głębokości i typu dna to jaspisowe, to turkusowe, to znów koloru akwamaryny. Wśród palm wysiało się kilka tuzinów postawionych na palach chałup, których blaszane dachy pstrzyły plamy rdzy; wybiegające daleko w płycizny mola z ażurowymi szopami na końcach miały z dystansu wystudiowaną surowość robionych węglem szkiców Picassa.

To w okolicach tej plaży podczas codziennych treningów z Tullym Mingolla uczył się panować nad swą mocą. Treningi te, zgodnie z sugestią Izaguirre'a, polegały jedynie na szlifowaniu zdolności, które Mingolla uświadomił sobie podczas nocy spędzonej w szopie i służyły zwiększeniu siły oraz umiejętności kształtowania emocji; zarazem jednak Mingolla żywił przekonanie, iż są to lekcje kompetencji osobistej, dźwigania ciężaru własnej mocy, akceptowania jej plusów i praktycznego eliminowania minusów. Chociaż Tully ciągle go wkurzał, Mingolla pojął, iż arogancja i agresywność jego trenera są cechami o fundamentalnym znaczeniu dla posługiwania się mocą; chociaż ciągle śnił o Deborze i myślał o niej w kategoriach tęsknoty, zaczął postrzegać te sny w mrocznym świetle, samą Deborę zaś traktować jako cel.

Pewnego dnia siedzieli z Tullym w łódce rybackiej tuż przed rafą barierową. Był odpływ i czarne jak oksydowana stal grzbiety skały koralowej wyłaniały się z wody niczym baszty zatopionego zamku, zaludnione przez trąbiki i jeżowce. Za rafą morze przypominało skąpany w słońcu pasiak z ciemnoniebieskich i lawendowych kawałów materii, który marszczyło tak wiele małych falek, że odnosiło się wrażenie, iż woda płynie we wszystkich kierunkach jednocześnie.

– Nienawidzę tego cholernego morza – stwierdził Tully i splunął za burtę. Rozparł się na rufie, nasunął na oczy zatłuszczoną czapkę baseballową; na jego skórze lśniły słoneczne bliki.

– Myślałem, że kiedyś byłeś rybakiem – odparł Mingolla.

– I to najlepszym na całej wyspie, mon. Ale to nie znaczy, że muszę lubić morze. To tylko

jeden wielki kurewski cmentarz. Jak tylko to do mnie dotarło, dałem sobie spokój z pływaniem. Popatrz tam! – Pokazał palcem inną łódź rybacką, która w odległości może pięćdziesięciu jardów od nich płynęła blisko brzegu. – Przywołaj no tego faceta, Davy.

Mingolla podjął próbę nawiązania kontaktu z umysłem mężczyzny, ale zakończyła się ona fiaskiem.

– Nie sięgam – odrzekł.

– Próbuj, aż go złapiesz. – Tully rozkołysał łódkę, kiedy położył stopy na burcie tuż obok dulki. – Ano tak, mistrzu! Kiedy się skąpo wałem, jak sprawy stoją, odpuściłem sobie morze raz na zawsze.

– Dlaczego?

Mężczyzna w łodzi rybackiej wymachiwał rękoma i wrzeszczał w stronę skrytych pomiędzy palmami chat:

– Ryby do wyboru, do koloru! Mam ostroboki, strzępiele, graniki!

– Dlaczego? – prychnął Tully. – Bo dryfowałem po tym cmentarzysku przez szesnaście dni. Na „Liberty Bell”, takim galantym kuterku. Sprawdzony kadłub, V-8. No i mieliśmy niezły połów. Jedenaście worków ostroboka, parę worków lucjana. – Smętnie potrząsnął głową. – Szesnaście dni! A każdy dłuższy od najdłuższego, jaki dotąd miałem w życiu. Piłem rybią krew, patrzyłem na wariujących facetów.

Łódka znalazła się w odległości dwudziestu jardów od nich i Mingolla nawiązał kontakt z rybakim, emitując sympatię i zaciekawienie.

– Mam go – powiedział, kiedy mężczyzna przestał wiosłować i popatrzył w ich stronę, osłaniając dłonią oczy.

– Nieźle – uznał Tully. – Chyba sam nie zwojowałbym wiele więcej.

Mingolla, pragnąc, by rybak podpłynął do nich szybciej, przynaglił go myślą.

– Szesnaście dni – podjął Tully. – Zostało nas tylko czterech, kiedy ten krewetkowiec wziął naszą łajbę na hol. Reszta zmarła na udar albo skoczyła za burtę.

Mężczyzna w łódce przyłożył się do wiosła.

– Zaholowali nas prościutko do Bragman Key – ciągnął Tully. – Odjazdowe miejsce. Zakwaterowali nas w hotelu i podleczyli. Podawali świeże owoce i rum. No i była ta dziewczuszka, która otoczyła mnie specjalną opieką. Chyba wzruszył ją mój stan. Nieźleśmy zabalowali, zanim wyjechałem. Powiedziałem jej, że wrócę, ale nie wróciłem... nigdy. – Tully splunął. – Miałem z początku zamiar, ale gdy wróciłem na wyspę, ludziska zrobili ze mnie bohatera, więc bez przerwy opowiadałem swoją historię i chlałem. No i tak się rozeszły nasze drogi. Czasem żałuję, ale chyba dobrze, że tak się stało.

Rybak położył wiosła na burtach, podpłynął siłą inercji i chwycił rufę ich łódki.

– Co u ciebie, Tully? – zapytał. Był żylastym brązowoskórym facetem po trzydziestce, miał

błyszczące oczy, podpuchnięte i otoczone zmarszczkami. Pot sfilcował kędzierzawe włosy na jego piersiach, z nogawki szortów wyzierały genitalia.

– Stara bieda – odparł Tully. – Davy, to mój brat przyrodni, Donald Ebanks.

Mingolla i rybak skinęli sobie głowami.

– Jak tam połów, mon? – zapytał Tully.

Donald uniósł róg brezentowej płachty, odsłaniając parę tuzinów ryb leżących na dnie łódki: turkusowe, czerwone, w czarno-żółte pasy, lśniły jak sałatka z dziwnie ukształtowanych klejnotów, skomponowana wokół czarnookiej i biało brzuchej torpedy o zębach ostrych jak igły.

– Ile za tę barakudę?

Mingolla zaczął wywierać na Donalda wpływ, licząc na to, że dostanę rybę za fryko, ale Tully kopnął go w kostkę i powiedział:

– Nie, mon. Nie tak to się załatwia.

– Niby czemu nie? – zapytał Mingolla.

– Bierzesz, czego po trzebujesz, i dajesz, ile możesz. To jedyna zasada na tym świecie.

Strwożony spojrzeniem Tully’ego, Mingolla opuścił wzrok na ryby Donalda, których cekinowe boki były unoszone ostatnimi tchnieniami.

– Myślę wziąć za barakudę ze cztery lempy – odparł Donald.

– Gadaj zdrów – powiedział ze śmiechem Tully. – Możesz dostać nawet więcej, jeżeli trafisz na kompletnego idiotę.

– Wyłowił z kieszeni kilka zmiętych banknotów. – Dwójka, mon. I tylko mnie nie obrażaj. Dobrze wiesz, że to uczciwa cena.

– Skurwiel z ciebie, Tully. – Donald podniósł rybę i cisnął ją do sąsiedniej łodzi. – Jakbyś miał okazję, to byś zdarł człowiekowi cień z grzbietu.

– Nie potrzebuję twojego cholernego cienia, a nawet jakbym potrzebował, to bym ci, kurna, nie dał za niego dwóch lempów. – Tully podał Donaldowi pieniądze.

Donald smętnie na nie popatrzył, schował do kieszeni i bez słowa powiosłował w stronę brzegu.

– Przepraszam – powiedział Mingolla. – Powinienem chyba wykombinować, że to twój brat.

– Przyrodni! – warknął Tully. – Ale to nie ma nic do rzeczy. Nie przepadam za tym skurwysynem. Próbował mnie kantować przez wszystkie te lata. To, co ci powiedziałem, to ogólna zasada.

Mingolla uważnie oglądał paciorkowate oczy ryby.

– Nie wiedziałem, że barakudy są jadalne.

– Są, ale nie zawsze. Trzeba wrzucić kawałek mięsa do mrowiska. Jeżeli mrówki go zeżrą, możesz jeść do wypęku. Dobre są smażone z bananami.

Zerwała się bryza z północy, poruszyła palmy na brzegu, spiętrzyła fale, zakołysała łodzią.

-Nie bierz sobie tego do serca, Davy – powiedział Tully.

-Jeszcze się uczysz. Po prostu poświęcaj więcej uwagi swojej mądrości niż sile.

* * *

Noc była mglista, księżyc przezierał przez liście palm jak rozmazana smużka, stłumiony hałas przyboju przypominał trzask kości miażdżonych w pysku drapieżcy. Z okien oddalonego od brzegu deskowanego kościółka wylewało się światło i melodyjny murzyński śpiew, zwieńczony ostatecznym „Amen”. Po schodach zaczęli wychodzić chłopcy w białych koszulach i granatowych spodniach oraz dziewczyny w zdobionych falbankami białych sukienkach; rozgadani, mijali w odległości trzydziestu stóp pień, na którym siedzieli Mingolla i Tully, pogrążając się w mroku, włączali latarki i smagali snopami ich światła wodę płycizn przywodzącą na myśl czarny lakier.

– Patrz – powiedział Tully, pokazując dwie nastolatki, które przyciskały śpiewniki do piersi.

– Ta z lewej. Ale nie ruszaj tej drugiej... to moja kuzynka Lizabeth.

– Nie próbowała cię kantować? – zapytał Mingolla.

Tully się uśmiechnął od ucha do ucha. – Nie pyskuj. Nie, Lizabeth pozostanie czysta, dopóki będę miał na to jakiś wpływ. Ale ta Nancy Rivers przespała się już z połową wyspy. Możesz z nią poszaleć, jeżeli chcesz.

Mingolla omiół Nancy krytycznym spojrzeniem: płaska jak decha, jasnoskóra, miała chudą końską twarz. Nie odczuwając zapału do szaleństw, musnął jednak jej duszę pożądaniem. Zerknęła na niego, wyszeptała coś do Elizabeth, a potem obie podeszły do kłody.

– Jak tam wieczór, Tully? – zapytała Elizabeth.

– Nie będzie źle – odparł Tully. – A co u ciebie?

– Nic specjalnego.

Elizabeth była seksowna, wysoka i czarnoskóra, jak Tully; jej ciężkie powieki, wydatne usta i szeroki nos przypomniały Mingolli posążki, które widywał na wystawach afrykańskiej sztuki ludowej. Upomniana przez Nancy szturchańcem dopełniła aktu prezentacji.

Mingolla mruknął coś niezrozumiale i czubkiem buta wyrył w piasku brudę.

– Cóż – powiedziała Elizabeth po chwili kłopotliwego milczenia. – Chyba się już zmyjemy. Zajdź kiedy do nas, Tully.

– Masz to jak w banku.

Dziewczyny odpłynęły, szepcząc między sobą, a Mingolla śledził wzrokiem falowanie pośladków Elizabeth. Tully pchnięciem zrzucił go z kłody.

– Co jest z tobą, mon? Myślałem, że chcesz się załapać na jakąś dupeczkę.

– Ale nie na tę, człowieku... jest szkaradna.

– Pieprzenie! Masz oczy między nogami czy jak? Chodź! – Tully poderwał Mingollę na nogi. – Zasuwamy do Dziury. Są tam kurewki, które na kutasie zawiążą ci węzełek z cipy.

Wrócili do hotelu, gdzie Tully przebrał się w spodnie i koszulę ze sztucznego jedwabiu, przyozdobioną na plecach wizerunkiem blondynki w kostiumie bikini. Odkorkował butelkę rumu, z której pociągali równo, gnając po wyboistej drodze hotelowym landroverem; pokonywali ostre zakręty, na oślep przedzierali się przez pasma mgły, mijali kryte strzechą farmy i gaje bananowców, a w pewnym momencie omal nie wpadli na krowę, której rogi zarysowały się plamą gęstszej czerni na tle nieba i anemicznych gwiazd. Wydawało się, że ciągną za sobą noc, są niesieni delirycznym impetem, który Mingolli kojarzył się z motocyklowym szaleństwem na autostradzie, kiedy z aniołem siedzącym za plecami i fortuną pulsującą w żyłach człowiek gna w nicość, podąża szlakiem białych linii w stronę jakiegoś skrytego za horyzontem punktu zero, końca czarnej tęczy, gdzie wraki samochodów piętują się pod niebo, a uśmiechnięte trupy ociekają złocistą krwią. Tully ochryple ryczał jakąś piosenkę reggae, a Mingolla, nie znając jej słów, wystukiwał rytm na desce rozdzielczej. Potem zaśpiewał piosenkę Prowlera: „Mam szyby, co wszystko widzą, przyspieszony oddech pod maską, a panna Behavior w śpiączce jest moją wierną laską”.

– Co ty tam wyjesz? – zapytał Tully. – To nie jest żadna cholerna piosenka.

Mingolla zaś parsknął śmiechem, mając pewność, że dobrze się zabawią.

W Coxxen Hole żółte gliniaste ulice gorzały odbłaskiem bijącym z drewnianych ścian chałup, które sterczały na swych palach niczym wiekowe kury daremnie wyęzające się nad pustymi gniazdami; listwowe okiennice zwieszały się na pojedynczych zawiasach, przeciąg wybrzuszał plastikowe zasłony, zardzewiałe obróbki dachów zwijały się jak zwarzone liście. Przy głównej ulicy stał jednopiętrowy szkieletowy budynek pomalowany na różowo – hotel Coral – z lampą na drągu przymocowaną do balkonu, oraz wzniesiona z żużelbetonu siedziba władz miejskich, której strzegli indiańscy żołnierze w drelichach połowych. Pomiędzy hotelem a magistratem w czern morza wybiegało betonowe moło, do jego końca zaś cumowały dwa przysadziste kutry ze zwiniętymi żaglami. Nad odległym o trzydzieści mil wybrzeżem Hondurasu pomarańczowo błyskały wyładowania elektryczne. Z mordowni grzmiała muzyka, grube niewiasty w kretonowych kwiecistych sukienkach i takichż turbanach krążyły w majestatycznych parach, piorunując wzrokiem czarnoskórych mężczyzn – przeważnie chudych jak szczapy – którzy je zaczepiali. Pomiędzy palami myszkowały psy, zajęte obwąchiwaniem skorup krabów i potłuczonych butelek.

Panował taki zgiełk, że Mingolla, nawykły do hotelowej ciszy, dostał zawrotu głowy i, pragnąc chwili spokoju, poszedł z pierwszą prostytutką, która się napatoczyła. Zaprowadziła go na zaplecze szopy, która pełniła rolę baru, o czym zresztą świadczył jedynie napis na desce przybitej nad drzwiami: KULTURALNY KLUB – ŻADNEGO MORDOBICIA. Zdjęła z siebie

wszystko prócz stanika, położyła się na materacu z morskiej trawy, który trzeszczał pod nią jak chrust w ognisku, i wyciągnęła ramiona. Miała skórę koloru błota, tłuste biodra i uda, a wreszcie twarz, która kiedyś mogła być nawet ładna, ale obecnie była po prostu tępą za sprawą – uznał Mingolla – braku wszelkiej nadziei. I to go właśnie, rzecz niepojęta, podnieciło. Próbował ściągnąć jej biustonosz, odepchnęła jednak jego ręce. Zaczął miętosić jej piersi, a ona, z pewną rezygnacją, zamknęła oczy. Wyobrażając sobie zrakowacenia i blizny pod stanikiem, już nie próbował go zdjąć. Zerznął ją szybko i mocno, wmawiając sobie, że dopingują go pijackie okrzyki z baru. Jej ruchy były mechaniczne, wyzbyte wszelkiego entuzjazmu; gdy Mingolla się z niej stoczył, bez chwili zwłoki usiadła na materacu, nałożyła sukienkę i zaczęła zawiązywać sznurowadła tenisówek. Od momentu gdy zapytał ją o cenę, nie zamienili ze sobą ani słowa. Miał jej za złe okazywaną obojętność i chociaż podczas stosunku nie dotykał jej duszy, teraz uczynił ją senną. Ziewnęła i przetrzała dłonią oczy.

– Zmęczona? – zapytał. – Może byś trochę odpoczęła? Ścisnęła palcami nasadę nosa.

– Nie mogę – odparła. – Trzeba zapłacić za pokój.

– Ja zapłacę – zaproponował. – Ty idź spać.

– Czemu to robisz, mon?

– Jeszcze do ciebie wrócę.

Powiedział to z groźbą w głosie, ale była zbyt oziębiała, aby tę groźbę wychwycić.

– Spij dobrze – dodał, a potem zatrzasnął za sobą drzwi.

Zapłacił barmanowi za pokój i butelkę rumu, następnie zaś, mrużąc oczy oślepiane blaskiem nagiej żarówki pod sufitem, usiadł w kącie w oczekiwaniu na Tully'ego. Do ścian przyklejono taśmą samoprzylepną czerwono-czarne plakaty reklamujące lokalne kapele, z gramofonu stojącego na szynkwasiu – nie heblowanych deskach ułożonych na skrzynkach – zgrzytliwie wypływała zniekształcona muzyka reggae, a słowa piosenek bezpowrotnie się zatracaly w zgiełku. W pobliżu Mingolli na blacie stolika leżał twarzą do dołu jakiś Murzyn, pozostali zaś klienci baru – około trzydziestu czarnoskórych facetów – sprawiali takie wrażenie, jakby lada chwila mieli do niego dołączyć; wymachiwali postrzępionymi kartami do gry, wygrażali sobie pięściami, wrzeszczeli, przewracali oczyma, zalewali swe koszule alkoholem, gniewnie wydychali dym przez nozdrza. Wybuchaly przepychanki, były łagodzone przez arbitrow, a potem zaczynały się następne – pomiędzy arbitrami. Mingolla zaliczał lufę za lufę, usiłując osiągnąć stan upojenia, który postawiłby go na równych prawach z resztą towarzystwa. Ale zgiełek dopiekał mu coraz bardziej. Nie tylko jednak hałas mu dokuczał i nie tylko psychiczny kac po kontakcie z prostytutką. Przyczyną jego gniewu był, jak się zdawało, uraz trudniejszy do zidentyfikowania, a jednocześnie znacznie bardziej dotkliwy; Mingolla potrzebował ciszy, aby nazwać go po imieniu. Dlatego zaczął orkiestrować spokój, wygłaszać złości, koić zadrażnione ambicje i w miejsce zmarszczonych czoł – wyczarowywał uśmiechy. Nie minęło wiele czasu,

a bar się przemienił w miejsce przytłumionych rozmów i kulturalnych dyskusji o takich czy innych zagraniach.

– Wiem, że winna trójka już zeszła, Byrum – stwierdził ktoś w pobliżu Mingolli. – Krótco przed tym, jak Spurgeon zagrał damą żółędą.

Na co Byrum, siwy starzec w kapitańskiej czapce z wyłysiałym galonem, odparł, że być może, choć nie przypomina sobie, jakim cudem winna trójka wślizgnęła mu się w dłoń.

Łatwość zabiegu sprawiła Mingolli przyjemność, jego efekt estetyczny jednak, nie przyniósł satysfakcji. Rzecz nie w tym, by osiągnąć senną atmosferę klubu brydżowego, lecz moderowaną wersję poprzedniego zamętu, sformalizowaną deklarację możliwości. Zmusił zatem mężczyzn przy jednym stoliku do śmiechu, przy drugim zaś – do płaczu; potem, popijając rum, ocenił rezultat i zaczął się zastanawiać nad kolejnymi zmianami. Skłonił do pyskówki Byruma i jeszcze jednego starca ze zrudziałą od tytoniu brodą proroka; sprawił, że wymierzali w siebie paluchy i wymieniali nieskuteczne ciosy ponad barkami rozdzielających ich kompanów. Igła gramofonu utknęła w bruździe i Mingolla przekonał barmana, że wszystko jest w najlepszym porządku – facet uśmiechał się błogo i kiwał głową w rytm powtarzającej się trzeszczącej frazy. Po wprowadzeniu poprawek, gniew Mingolli zniknął jak ręką odjął. Mingolla rozsiadł się z zadowoleniem, dokonując retuszy, modulując radość i rozpacz, i robił to do czasu, aż w barze zapanowała atmosfera teatralna, jeśli, oczywiście, przyjąć, iż sztuka dzieje się w świetlicy domu wariatów, gdzie pensjonariusze zostali rozlokowani w rozmaitych częściach pomieszczenia stosownie do stopnia i charakteru swoich dolegliwości.

– Cholera jasna!

Tully, z gniewnie wykrzywioną twarzą, przecisnął się pomiędzy stolikami do Mingolli, chwycił dłońmi oparcie krzesła i powiedział:

– Mon, ty oszalałeś! Uporządkuj to natychmiast!

Miał do połowy rozpięty rozporek, rozchełstaną koszulę i kłopoty ze zogniskowaniem spojrzenia.

– Podoba mi się tak, jak jest – odparł Mingolla.

Ale już chwilę później doznał silnego impulsu, by zastosować się do polecenia Tully'ego, jego wiernego druha i mentora, człowieka, który zawsze dbał o niego jak o źrenicę w oku. Wstydział się, że go zawiódł. Ale – rozpoznając w nagłym przypiływie tych uczuć i towarzyszącym im oszołomieniu symptomy wpływu Tully'ego – ukształtował taran ze strachu i niepewności, a następnie zaatakował nim Tully'ego. Zobaczył, że Tully chwije się i chwyta blat stołu, żeby znaleźć wsparcie. Tully jednak przystąpił do kontrataku i przez chwilę Mingolla wyczuwał przebiegającą pomiędzy nimi granicę, strefę walki dwóch strumieni gorąca i elektryczności; potem granica rozpadła się w proch i pył, Tully podał tyły i opadł na krzesło. Mingolla też się wycofał. Łyknął rumu i posłał uśmiech Tully'emu, który ocierał czoło grzbietem

dłoni.

– Napraw to – po wiedział.

– Niby czemu?

– Myślisz, że masz na wyspie samych przyjaciół, mon? Myślisz, że nie ma tu żadnych szpiegów i że ci szpiedzy nie szukają znaków?

A Mingolla, parodiując jego akcent, dodał:

– No więc lepiej zacznij wszystko naprawiać, mon, bo mam tego po uszy.

Tully popatrzył groźnie, lecz po chwili opuścił wzrok, pocierając etykietkę na butelce rumu paznokciem kciuka. Wokół nich bar zaczynał wracać do pierwotnego stanu zgiełkliwego chaosu. Podjęto grę w karty, przesunięto igłę na płycie, podniosły się swarliwe głosy. Fala normalności zatopiła eksces Mingolli, a jego radość z pokonania Tully'ego osłabła. Przewaga Tully'ego była dotąd buforem, gwarancją ochrony; teraz Mingolla stawał się głównym pistoletem i czuł, że musi zachowywać bystrość, bo jest narażony na ryzyko.

– Co, cholera jasna, strzeliło ci do głupiego łba? – zapytał Tully, pochylając się nad stołem. – I tylko nie próbuj wciskać mi kitu. To nie nauczyciel cię pyta, dlaczego poszedłeś na waksy, to jest poważna sprawa.

– Nie wiem – odparł Mingolla ponuro.

– To, cholera, lepiej zacznij wiedzieć, Davy. Skończysz jako mięso na czyimś stole, jeśli nie odpuścisz sobie tych wyskoków... kapujesz?

– Tak, chyba tak.

– Od tych kretynizmów flaki się we mnie przewracają! – Tully, z posępną miną, przesunął swoje krzesło i popatrzył zezem na Mingollę. – Nigdy byś mnie nie załatwił, gdybym był trzeźwy.

– Przypuszczalnie. – Mingolla pchnął w jego stronę butelkę rumu. – Chłapij sobie.

Tully łyknął, otarł usta.

– Przypuszczalnie! Tu nie ma żadnego przypuszczalnie, mon! – Pociągnął z flaszki jeszcze jeden haust, westchnął. – Chyba powinniśmy się zwijać do domciu.

– Chcę zostać – odrzekł Mingolla. – W porządku?

Tully borykał się z jakąś myślą.

– Nic już nie namotam – dodał Mingolla.

– Mogę ci ufać?

– Tak mi się zdaje.

– Tak ci się zdaje... ha! – Tully zerwał etykietkę i zgniół ją w palcach. – Cóż, też mam jeden nie dokończony interesik, więc się nie sprzeciwiam. Co zamierzasz robić?

– Coś sobie nagrałem.

– Tam, na zapleczu?

– Mhm.

– A co ci mówiłem o tych dziewczuszkach z wyspy? Może się człowiek z nimi przeciągnąć czy nie?

– Są w porządku – przyznał Mingolla.

– Ee, cholera! – Tully dźwignął się od stołu. – No to baluj sobie, mon! Tylko pamiętaj... zacznij znowu rozrabiać, to twoje gnaty zostaną ogryzione, nie moje.

Mingolla zamierzał mściwie wrócić do prostytutki, skłonić ją do szaleńczego seksu, odkryć straszliwe sekrety jej piersi; ale potrzeba akcji odwetowej minęła. prostytutka wciąż spała – zwinięta na materacu, w zmiętej sukience, puciołowata, nieładna kobieta, zagnana w ślepy zaułek przez nędzę i zmęczenie: słoje srebrzystoszarych desek podłogowych wyglądały jak zapis jej smutnej historii. Wyrko było jedynym sprzętem w pokoiku, nie chcąc więc budzić kobiety, Mingolla usiadł na podłodze i słuchał, jak dobiegające z baru wrzaski stopniowo przemieniają się w przytłumione poszeptywanie. Zaczął padać deszcz i to tak rześisty, że Mingolla pomyślał, iż bębnienie kropelek o blaszany dach zbudzi prostytutkę. Ona jednak wciąż spała, posłuszna jego zakłęciu, monotony werbel natomiast zaczął usypiać samego Mingollę. Jego myśli napływały i odchodziły pojedynczo, bez logicznych związków między sobą, bez łańcuchów przyczynowo-skutkowych – jak sokoły krążące po pustym niebie. Myśli o Deborze, o jego mocy, o Tullym, doktorze Izaguirre, o domu i wojnie. Z ich osamotnienia, głębokiej niespójności, Mingolla wyciągnął wniosek, iż umysł nie jest czymś dojrzałym, rozwiniętym do końca, lecz gniazdem kawki pełnym błyskotek i kawałków szkła, pomiędzy którymi od czasu do czasu przeskakuje błysk, na ułamek sekundy tworząc całość, iluzję człowieka z jego rozsądkiem, przekonaniem i emocjami. Kilkanaście lat czy miesięcy temu mógłby nie zgodzić się z taką koncepcją, wysuwając w jej miejsce inną, romantyczną. Ale konstrukcja jego umysłu – jego własnego gniazda kawki – uległa zmianie, gdy wojna i prostytutki zastąpiły do mową kuchnią i narzeczoną, o ile zatem młody Mingolla odrzuciłby tę przygnębiającą samowiedzę, żyjący obecnie znajdował w niej źródło siły, usprawiedliwienie dla bezwzględnych działań i pogardy dla sentymentów. A przecież nawet tak chłodna i wyrozumowana postawa nie była wolna od sentymentalizmu. Mingolla miałby ochotę zwinąć się w kłębek obok prostytutki, przytulić ją. Była idealną partnerką dla faceta w jego stanie. Czułby, jak pachnie gliną i deszczem. Jego ręce tonęłyby w jej podatnym ciele, stapałyby się z nim... a potem oboje rozpuściliby się w deszczu, brązową cieczą spłynęli pomiędzy deskami podłogi, rozlali w kałużę pod szopą, wsiąkli w ziemię i przyspieszając wykluwanie się z jajeczek najrozmaitszych owadów i płazów, wysłaliby na swoje miejsce w świecie hordę bezrozumnych istnień. Obudził się, gdy błądy świt przeniknął przez szczeliny okiennic, i poszedł do baru. Bolała go głowa i miał szambo w ustach. Chwyił z szynkwasu opróżnioną do połowy butelkę piwa i po trzeszczących schodach zszedł na ulicę. Niebo było mlecznobiałe, kałużę wody deszczowej zaś – szarawe, jak gdyby wypełniała je

zawiesina; połączenie dachów sprawiały wrażenie pokrzywionych i nierzeczywistych. Pies czmychnął przed Mingolla, kiedy ten ruszył w stronę centrum miasta, kraby roily się pod leżącą do góry dnem łodzią rybacką, a przy jednej z chałup leżał nieprzytomny mężczyzna, którego tors pokrywała skorupa zakrzepniętej krwi. Na kamiennej ławie obok różowego hotelu spał starzec, tuląc do siebie karabin. Wyglądało to tak, jakby morze zdarzeń cofnęło się w odpływie, obnażając nagle mieszkańców dna.

Mingolla podszedł do betonowego mola. Kutry odpłynęły, a niebo nad kontynentem stało się przezroczyste, pozwalając dostrzec na horyzoncie łańcuch niskich przymglonych wzgórz. Mingolla pociągnął łyk ciepłego piwa, zakrztusił się, wypluł; potem cisnął butelkę do basenu portowego i patrzył, jak wśród plam oleju i kłębów morskichyny podpływa do mola i z brzęknięciem uderza o pokrytą małżami ścianę. Na grzbietach fal unosiła się zbita, przypominająca mydliny szara piana, pod powierzchnią wody zaś stworzenie cienkie jak patyk i nieprzezroczyste wyrzuciło z trąbkowatego pyska coś, co przywodziło na myśl mgiełkę ektoplazmy. Wiatr od morza niósł zapach soli i słodkiej zgnilizny. Mingolla uznał, że biorąc pod uwagę okoliczności, czuje się nieźle.

– Widzę, że jakoś przeżyłeś, Davy! – powiedział Tully, podchodząc do Mingolli. Miał przekrwione oczy i coś kredowo-białego pod skórą.

– Ciężka noc? – zapytał Mingo lla.

– Jak dojdiesz do moich lat, wszystkie będą ciężkie. Ale zwykle potrafię znaleźć jakąś kurewkę, która okaże życzliwość staruchowi. – Tully wyrzucił ramię w kierunku wybrzeża. – Obcinasz sobie Żelazne Barrio, co?

– Nie bardzo cię łapię.

Tully pokazał łańcuch niskich wzgórz.

– Te dymy są z Barrio. Gotują śniadanie, a może palą zwłoki. Lubią wieszać trupy na dachach, a potem je podpalać.

– Och – powiedział Mingo lla.

– Tak, każdego ranka smrodzą tam jak diabli.

Mingolla przykucnęła, usiłując określić naturę dymu. Teraz, kiedy wiedział już co to jest, odniósł wrażenie, że drga i demonicznie błyska czerwienią.

– Ten człowiek, którego mam zabić...

– Tak?

– Kto to jest?

– Nikaraguańczyk o nazwisku de Zedegui. Opolonio de Zedegui. Jest jednym z najlepszych agentów Sombry, a przed terapią był profesorem czegoś tam. – Tully odcharknął. – Zwariowany facet, że usiłuje się ukrywać w więzieniu.

– A dlaczego właściwie się ukrywa?

– Pewnie zdezerterował. Ale musi być wariatem, skoro sądzi, że w Barrio będzie bezpieczny. Mingolla gapił się na dym, usiłując odgadnąć, co pod nim leży.

– Niepokoisz się, Davy?

– Trochę... ale nie tak bardzo, jak z początku sądziłem.

– To właściwa postawa. Tak trzymaj, a wszystko będzie w porządku. Tylko zanadto się nie gryź. Kiedy dotrzesz w końcu do Barrio, będziesz niebezpiecznym facetem. – Tully mruknął.

– Cholera, już jesteś niebezpiecznym facetem.

Pomiędzy lekcjami Mingolla spędzał wiele godzin na lekturze i włóczędze po plaży; czasem przyklejała się do niego Hettie czy któryś inny z nieszczęśników, ale mając serdecznie dość względów, jakie mu okazywali, usiłował ich zniechęcać. Dwukrotnie spotkał nad morzem kuzynkę Tully'ego, Elizabeth, która nawet podzieliła się z nim raz swoim lunchem i pokazała mu, jak się je owoce nerkowców, wyłuskując z nich kciukiem czarne ziarna i soląc obficie kwaśny miąższ. Chyba go lubiła i Mingolla igrał z myślą, czyby namotać coś pomiędzy nimi dwojgiem, ale doszedł do wniosku, że lepiej nie prowokować Tully'ego. Mijały tygodnie, a on, ogarnięty nudą i podminowany, zaczynał się czuć tak samo uwięziony na wyspie, jak jeszcze niedawno – pomiędzy murami otaczającymi hotel. Noce były niepokojone snami o Deborze, ilekroć zaś go budziły, usypiał na powrót, układając scenariusze o seksualnym odwece.

Pewnego popołudnia, parę tygodni przed jego planowanym wyjazdem do La Ceiba, Izaguirre zrobił mu ostatni zastrzyk narkotyku. Był po tym zastrzyku obolały i nerwowy, jego mózg wydawał się opuchnięty; tej nocy, nie mogąc zasnąć, prześladowany przez migawkowe halucynacje nieznanomych ulic i ludzkich twarzy, które rozmywały się zbyt szybko, aby mógł je zidentyfikować, zaczął się snuć po hotelu i wylądował wreszcie w nigdy nie zamkniętym gabinecie Izaguirre'a. Był to sąsiadujący z foyer mały pokój wyposażony w biurko, dwa krzesła, biblioteczkę i regał biurowy. Mingolla usiadł na miejscu doktora i przystąpił do wertowania akt, ale zbyt zdekoncentrowany, aby zrozumieć wiele z tego, co czyta, ignorował pisany na maszynie tekst – miał wrażenie, iż litery rozbiegają się przed jego oczyma jak mrówki – zwracając natomiast uwagę na pstrzące marginesy odręczne adnotacje Izaguirre'a. Wciąż miał halucynacje, które stały się jeszcze bardziej natarczywe, gdy natrafił na uwagę doktora wyrażającą obawę, czy przypadkiem ostatnia wstrzyknięta Mingolli doza przypominająca nie była zbyt wielka. Ujrzał więc fragment fresku wymalowanego na szorstko otynkowanej ścianie: przedstawione na nim zwieszające się z materaca brązowe ramię kobiety miało w sobie zjawiskową zmysłowość, która Mingolli przywiodła na myśl Degasa. Wizji towarzyszył nieznośny żar oraz zapach kurzu i zgnilizny. Ta halucynacja miała nieodpartą wyrazistość przecucia, a jednocześnie była o tyle obfitsza w szczegóły niż jego dotychczasowe przecucia, że Mingolla aż się przeraził. Wstał, czując mdłości i zawroty głowy; ściany pociemniały, zawirowały, znów pojaśniały i Mingolla mocno zacisnął powieki, usiłując zapanować nad

słabością. Położył dłoń na biurku, dotknął ciepłej skóry. Otworzył oczy i zobaczył, że z krawężnika przypatruje się mu bezdomna kobieta. Miała tłuste pożyłkowane policzki, bulwiasty nos, a mocno zawiązany pod brodą szal nadawał czerwonawej twarzy wygląd jakiejś gruzłowatej jarzyny.

– To nie jest Ameryka – powiedziała smętnie. – Ameryka nikogo nie potraktowałaby w taki sposób.

Mingolla się zachwiał i przed oczyma przebiegła mu niespójna wizja pomarańczowego nieba, nocnego nieba nad miastem, chorych palm o brązowych liściach i łuskowatych pniach, śliskiego od deszczu asfaltu odbijającego mgławicowe kompozycje neonów, a wreszcie knajp z gorejącymi literami na dachach. Rozbrzmiewała ostra muzyka, której rytm jakby przekładał na dźwięki fluktuacje jego nerwów. Ktoś wpadł na Mingollę i powiedział: „Łuup!”... otłuszczony facet z twarzą jak dynia wystawił różowy mięsisty jęzor z wytatuowanym grzechotnikiem, a potem się uśmiechnął i odtańcował do świata, w którym był piękny.

– A nie mówiłam? – zapytała bezdomna kobieta. Krzykliwie ubrane tłumy, cała historia amerykańskiego zepsucia, to wlewały się do budynków o szklanych fasadach, to wylewały z nich... Dziwki w odblaskowych szortach, pędzie w motocyklowych skórkach, modliszki w spódnicach z rozcięciami, półnagie nastolatki z pieczętkami ANIOŁ na lewych piersiach, twarze jednakowo blade w nieznośnym upale, słowa w nieznanym języku, owalne domina ze znaczącymi konfiguracjami ciemnych oczu i ust niesione na szyjach robotów z krwi i kości, jedna myśl na mózg, jak premia-zabawka w czekoladowym jajku, i wszyscy suną przez diabelski zaułek barów, sex shopów i salonów gier wideo pod nierzeczywistym światłem sączącym się przez chmury, pod smugami czerwonych i żółtych słów roztopiających się w powietrzu, a ich rozmowy są niezrozumiałą paplaniną, ich śmiech obrzydliwym zgrzytem, zgniłe żółtka ich zmysłów płamią noc, i oto Mingolla pojmuje, że bezdomna kobieta się myliła, że to bez wątpienia była Ameryka, próżnia pełna atrakcji turystycznych, południowokalifornijski cyrk dla frajerów, i że gdzieś, a może wszędzie, na przykład za billboardami, ta gigantyczna czerwonoskóra świnia z brzuszyskiem wiszącym do kolan, jurny i rozchichotany Szatan, czai się, oglądając z uciechą przez wizjer striptiz w wykonaniu swej ulubionej kurwy, Idei Porządku Społecznego...

Bezdomna kobieta z rozpaczą potrząsnęła głową.

– Potrzebujemy nowego Kolumba, oto kogo potrzebujemy.

– Wspomóż weterana – rozległ się za jego plecami głos. Mingolla odwrócił się i ujrzał ostrzyżonego na jeża szczyrkowatego jedno nogiego faceta o kulach; nosił mundur polowy z naszywką Pierwszej Nikaraguańskiej Dywizji Piechoty i wyciągał rękę. W ciemnych źrenicach jego oczu Mingolla dostrzegł tajemnice walki, niezgłębione prawdy szoku.

– Hej! – powiedział weteran. – Hej! Znam cię, człowieku! Pamiętasz mnie? Dolina,

człowieku, dolina w pobliżu Santander Jimenez. – Kuszyknął krok do przodu, wbijając wzrok w twarz Mingolli. – Tak, to ty, człowieku. Wyglądałeś wtedy inaczej... miałeś inne włosy czy coś. Ale, taa, ja...

– Mhm. – Mingolla się cofnął, mając wrażenie, że jest niewiarygodnie wysoki, pełen obaw, iż może zahaczyć głową o pomarańczowe niebo, nasiąknąć jego skażonym kolorem. – Bierzesz mnie za kogoś innego.

– Chuja tam biorę! Byłeś tam, kiedy dostałem, człowieku. Pamiętasz? Zabawa z bereciarzem... musisz pamiętać zabawę!

Mingolla wszedł w tłum, dał się unieść jego ospałemu ściskowi. Nie przypominał sobie tego faceta, ale też w ogóle niewiele pamiętał. Teraz jednak zaczynał się bać, że rozpozna go ktoś jeszcze, ktoś, kto ma z nim rachunki do wyrównania.

– Jesteś weteranem, co? – Kobieta, piękna, blada, czarnowłosa kobieta o karminowych ustach, wydatnych kościach policzkowych, ogromnych oczach i przepysznym ciele wyeksponowanym pod długą szatą z miniaturowych koronkowych wężyków i siateczek jak mgła, kobieta w jedwabnych pończochach, kobieta zapewne przyozdobiona naprawdę odjazdowymi tatuażami... taka kobieta ujęła Mingo llę za ramię i przytuliła się do niego. – Jestem Sexula – powiedziała – i weteranom dają gratis.

Parsknął śmiechem, przypominając sobie GI Billa i dodatkowe korzyści.

– Hej, pierdol się, Jim! – syknęła, odpychając go od siebie.

– Ja tylko próbuję być miła. Jak jesteś pedryl, to ciągnij swoje dupsko do Sraczyka dla Chłopców!

– Pedryl? – Wesołość rozsadzała Mingo llę, kreśliła w jego duszy Himalaje bezgłośnego śmiechu. – Chcesz, żebym pokazał ci swój interes, chcesz, żebym ci udowodnił? Mam wyciągnąć z kabury swojego...

– Nie muszę słuchać takiego pierdolenia! Może inne cyrkówki to lubią, człowieku, ale nie ja...

– Co to znaczy „cyrkówki”? – Nieznane określenie sprowadziło go na ziemię, przypomniało, że jest zagubiony, że stracił... co to, do cholery, jest? Tłum przyparł ich do okna.

– Cyrkówki, człowieku! – powiedziała. – No, kapujesz – pokazała gestem całą ulicę – to jest cyrk, a ja jestem jedną z cyrkówek. – Chwyciła go za rękę. – Dobrze się czujesz, facet? Wyglądasz na trochę zmarnowanego.

Znów nabrzmiewał w nim śmiech. Omiótł spojrzeniem ciało kobiety, niesamowite piersi, sutki jak wiśnie wyzierające z czarnych koronkowych splotów. Miła dziewczyna, pomyślał. Zagraniczna studentka, bez wątplenia. Usiłuje jakoś związać koniec z końcem, przedzierając się przez pierwsze lata.

– Co z tobą nie tak, człowieku? Przyćpałeś za bardzo? Coś sobie przypomniał.

– Szukam kogoś... i ktoś mnie szuka.

– Już ją znalazłeś – odparła. – Chodź, rozejrzyjmy się za pokojem.

Przydałby mu się wypoczynek, jakieś miejsce, gdzie mógłby pozbierać myśli, gdzie mógłby uciec przed pomarańczowym niebem. Ale nie ufał jej, podkreślił ją więc tak, żeby była szczerą, otwartą.

– Dlaczego ja?

– Już ci mówiłam, człowieku, jesteś weteranem... miasto mi płaci za weteranów. – Poprowadziła go za róg, otworzyła przeszklone drzwi, powiodła po długim chodniku pokrytym plamami, które wyglądały jak kontynenty na bordowym morzu, – aż wreszcie weszli do wąskiego foyer o lustrzanych ścianach; w głębi, za ladą recepcyjną, siedział karzełkowaty staruch o sępiim nosie i sterczących z czaszki kosmykach siwych włosów, które przywodziły na myśl uszy goblina. Pasowałoby do niego słowo „ostateczność” wypisane na czole. – Dwadzieścia za pokój, drinki osobno – powiedział jednym tchem, nie podnosząc oczu.

– To weteran, Ludy – zaoponowała Sexula.

Ludy spode łba spojrział na Mingollę, który poczuł, jak od tego przekrwionego spojrzenia po skórze jego twarzy rozbiegają się pęknięcia.

– Masz legitymację? – zapytał.

– Mhm... zostałem okradziony – odrzekł Mingolla.

– Nie masz legitymacji, płacisz dwadzieścia. – Ludy przewrócił kartkę leżącą przed nim magazynu, a Mingolla, zapuściwszy żurawia ponad ladą, dostrzegł zdjęcia nagich chłopców zajętych figlarnym seksem.

– Nie słyszałeś czy jak? – Sexula walnęła dłonią w ladę, odrywając Ludy’ego na powrót od igraszek z kolesiami o imionach Jimmy, Butch i Sonny. – Gość mówi, że został okradziony.

Ludy zmarszczył czoło – a grymas ten sprawił, że jego oczy nieomal zniknęły w fałdach zaognionej różowej skóry – i powiedział do Sexuli:

– Chcesz zapłacić dwudziestaka, płac dwudziestaka. – Zrobił pauzę. – A jak nie chcesz, to sieprzaj.

Za ich plecami stanęła chuda myszkowata dziewczyna w wieku dziewiętnastu czy dwudziestu lat; Mingolla uznał, że jest w tej chwili w apogeum swojej urody, ponieważ dotarła do punktu, w którym już nie jest nieładna, a jeszcze nie zaczęła być zwyczajnie brzydka. Nosila dzinsy i trykotową koszulkę z nadrukiem przedstawiającym Ostatnią Wieczerzę i napisem: „Oto me ciało, bierzcie i jedzcie”. Miała torbę na zakupy, pozbawione połysku włosy, a jej piersi przypominały odwrócone spodeczki.

– Dar miłości może być doświadczeniem transcendentnym, ale nie wtedy, kiedy jest opłacany – powiedziała w taki sposób, w jaki się wygłasza wyuczoną formułkę. – Chcę ci go dać, mój bracie.

– Wynoś się stąd – parsknęła Sexula.

Dziewczyna ją zignorowała.

– Jestem dostatecznie wykwalifikowana, aby dać ci to wszystko, co ona, a w dodatku...

– Syfa albo AIDS, skoro przetrzęły cię wszystkie męty w mieście. – Sexula okrążyła dziewczynę, kręcąc głową z przesadnym obrzydzeniem.

– Mogę ci dać znacznie więcej – ciągnęła dziewczyna, przełykając zakłopotanie. – Przez akt miłości mogę obdarować cię komunią z naszym Panem Jezusem Chrystusem, w...

– Te cipy powtarzają, że to, co robią dla Boga, musi być czyste – powiedziała Sexula. – Ale prawda wygląda tak, że nikt nie chce ich przelecieć, chyba że za darmo. Składają się i wyłącznie z ud i pidzy, niczego więcej! Ludy się roześmiał i był to taki odgłos, jakby do pustej papierowej torby wrzucano coś dużego i papkowatego. Twarz dziewczyny się ożywiła. – Jezus Chrystus, w którego służbie... Sexula skrzywiła usta. – Jezus nie ma z tym nic wspólnego! Tego dla dziewczyny było już za wiele. – Nie obchodzi mnie, co mówisz na mój temat, ale ty... ty... – Uniosła torbę nad głowę, jakby zamierzała zdzielić nią Sexulę. – Co ty możesz wiedzieć o Jezusie? Nigdy nie dotknął cię Swoją dłonią! – Faceci dotykają mnie dłońmi – odparła Sexula, puszczając oko do Ludy'ego – a ja im funduję starą dobrą komunię w unowocześnionej wersji.

– Proszę, nie idź z nią! – Ręce dziewczyny zatrzepotały na piersi Mingolli. – Widziałam rzeczy, jakie czyni Pan... jakie czynił... cuda! Cuda z popiołów!

Mówiła coraz niespójniej, jej zachowanie budziło coraz większe politowanie, Mingolla więc, nagle ogarnięty troską, musnął jej duszę, wsłuł się w szum jej myśli, trzask na poły ukształtowanych obrazów i wspomnień...

– ...najobrzydliwsza rzecz, oto co zrobię, zrobię bez względu na wszystko, i to nie będzie jak w piwnicy, światło przez pajęczyny, nie będzie, przez pajęczyny i potrząskane szyby, szare jak jego serce, wyschnięte jak jego serce, i ten przenikający mnie ból, jaskrawy, miał kolor i był jaskrawy, i zrobił to, pozwolę mu zrobić to raz jeszcze, ból będzie tak jaskrawy, że Bóg go dostrzeże, Bóg wybaczy, ale nie w piwnicy, nie w...

...jaka piwnica, jaki ból...

...ty, to naprawdę ty, Boże, dzięki ci, tak...

...jaka piwnica, jaki ból...

...piwnica, tak, w schronisku dla bezdomnych, i spałam w piwnicy, było ciepło, było ciepło od pieca na węgiel, żar z pieca, i obudziłam się, a on był na mnie, prawie we mnie, i nie tam, gdzie potrzeba, w miejscu, którego nikt nie powinien widzieć, i to tak strasznie bolało...

...kto...

...jeden ze starych, tylu było tych starych, nie widziała jego twarzy, tylko jego dłonie na moich ramionach, jego żółte palce, jeden obierający się paznokieć, purpurowo-czarny jak szpon, wbił się w moje ramię i przygiął mnie do dołu, moja twarz w pyłe, mój język liże pył, kiedy

próbuję krzyczeć, pył i popiół, i piec ryczy, nikt mnie nie słyszy, tylko ja, słyszę mój głos przez płomień w piecu, przez głos śpiewający w płomieniach, śpiewający mimo bólu, radośnie, bo tyle rzeczy można poczuć, i ja chciałam... czy to ty, naprawdę ty, naprawdę...

...czego chciałaś...

...pyłu, jeszcze raz pokosztować pyłu, ale nie mogłam, trzymał mnie za włosy, odciągał, odginał, łamał, powiedział, że mnie zabije, jeżeli powiem, ale nie chciałam mówić, nie chciałam, żeby ktokolwiek wiedział, chciałam mieć pył w swoich ustach...

...dlaczego...

...aby przełknąć ból jak koty, kiedy są chore, łykają chorobę i czują się lepiej, nie pozwalają jej leżeć na podłodze, zlizują ją i czynią częścią samych siebie, kiedy więc poszedł, zrobiłam to samo, zlizywałam pył, jak kot zlizuje chorobę, lizalam, aż mi język poszarzał...

...czy ból ustąpił...

...tak, tak, na chwilę, ale zawsze we mnie jest, nieustannie powraca, zawsze gęsty i szary, i muszę lizać coraz więcej, i czy to naprawdę ty, proszę, proszę, powiedz, czy to ty...

...proszę, och, proszę...

...czy to ty, pragnę twojego głosu, nie miałam pojęcia, że głos może być tak gorący, czy to ty, powiedz...

...tak...

...och, och, ja...

...słuchaj...

...będę słuchać, będę...

...wyobraź sobie mężczyznę, który cię zaatakował...

...nie mogę...

...jest stary, pożółkły, ma siwe, sfilcowane włosy, jego twarz przypomina mapę kanionów i trosk, zmarszczek i występków, jego ubranie jest w strzępach, jego serce jest w strzępach, jego zęby wypadły, jego dziąsła mają barwę krwi, jego oczy są niebieskie, wodniste, płaczące, czy go widzisz...

...tak, ale...

...patrz...

...on... rozplywa się, pęka, pokrywa siatką pęknięć, a jego skóra... odchodzi płatami i...

...I CO...

...światło...

...patrz...

...zaczyna się jarzyć, blask płynie z pęknięć, a światło...

...co się dzieje ze światłem...

...ono... zbliża się do mnie, wysyła promienie, we mnie...

...oczyszczające, czyste...

...tak, a on zniknął, tylko światło mnie teraz wypełnia...

...jak się czujesz...

...nie wiem, inaczej, czuję się inaczej...

...silniejsza...

...tak...

...dostatecznie silna, żeby odejść, zacząć od początku, zacząć żyć w nowy sposób, nowe życie...

...ale gdzie...

...musisz odejść...

...jak...

...odejź z tego miejsca, musisz odejść natychmiast, zaraz, i znaleźć inne miejsce, małe miasteczko, wieś, białe domy i farmy, i tam będziesz piękna, otworzysz się jak kwiat, twoje serce się wypełni, twoje ciało będzie czyste i słodkie, będziesz oddychała nowym powietrzem, nowymi myślami, miłością...

...miłością...

...miłość cię pochwyci, uniesie, uzdrowi, i zapomnisz piwnicę, ból, zapomnisz zaraz, nigdy nie będziesz o tym myśleć, a kiedy zaczniesz się odradzać ten dawny ból, nie wspomnienie bólu, lecz małe ukłucie bólu, niepokój, strach, usłyszysz mój głos i pojmiesz, że tylko radość jest prawdziwa, czy odczuwasz radość...

...tak, tak...

...i nigdy nie słuchaj innych głosów, tylko jego jest prawdziwy, jest radością...

...obiecuję...

...a twoja piękność będzie perfumami, myślą, wiedzą i ogniem, i dasz ją tylko jednemu, temu, który ją dostrzeże, który doceni ją swym dotykiem, którego serce pozna twoje serce, a gdy do ciebie przyjdzie, mój głos go namaści, odgadnie twe myśli i wypowie jego imię...

...miłość...

...tak, miłość na wieki, miłość na dziś, i zabierze cię w samo serce świata, w kolory jasne i bezbolesne...

...miłość...

...odejź już, odejź, i szukaj swego nowego do mu...

...ale...

...będą z tobą...

...zawsze...

...tak, zawsze, teraz odejź...

...boję się...

...do światła, idź w stronę światła, w stronę przyrzeczenia radości, idź...

Dziewczyna zaczęła się wycofywać, mając twarz zakłopotaną, a zarazem rozpromienioną.

– Muszę iść – powiedziała z uśmiechem. – Przepraszam, naprawdę muszę.

Sexula roześmiała się nieprzyjemnie.

– Masz. – Dziewczyna sięgnęła do torby, wyjęła jakiś przedmiot i wcisnęła go Mingołli w rękę: plastikowy postumencik, po którym nieustannie krążyła holograficzna sylwetka brodatego mężczyzny. Nosił białą szatę i miał dłonie złożone w modlitewnym geście. Podziękował jej, ale już szybkim krokiem ruszyła w stronę drzwi, by na ulicę wypaść niemal biegiem.

Ludy o znajmił:

– Nie masz dwudziestaka, wynoś się z hotelu.

Sexula otarła się o Mingołłę.

– Może mógłbyś jakoś udowodnić, że jesteś weteranem? – zapytała, a on, podkreślony manifestacją mocy, przypomniał sobie teraz wszystko. Był zagubiony, zagubiony w Ameryce, w smutku i oszołomieniu, a kiedy znajdzie tego, kogo szuka, wciąż będą – chociaż zwyciężą – wciąż więc będą zagubieni, pozbawieni planu i celu, a nawet zrozumienia, co przyniosło ich zwycięstwo. Ludy znowu zaczął się domagać dwudziestaka, a Sexula oświadczyła Mingołli, że jeżeli nie jest w stanie go wysupłać, ona spływa, bo nie ma zamiaru robić tego w bramie – z weteranem czy nieweteranem, Mingołła zaś gapił się przez szybę na kraj swoich narodzin, na ożywiony fresk uciechy i rozkładu, który wydawał mu się obcy i znajomy zarazem, na wymalowane twarze i niewidzące oczy, i zastanawiał się, co robić dalej, podczas gdy w jego dłoni krążył bez końca maleńki Jezus...

...zmaterializowały się ściany gabinetu Izaguirre'a, a Mingołła zerwał się z krzesła, wciąż dręczony mdłościami, nadal w dławiącej ciszy hotelu, zagubiony bardziej niż kiedykolwiek dotąd. Jego myśli wirowały jak karuzela, kiedy usiłował pojąć, co się stało. To było tak realistyczne. Przyszłość... tak, to musiała być przyszłość. Choć bardzo wiele w tym wszystkim na milę zajeżdżało halucynacją. Szlaki jego myślenia, deformacje. I ta historia z dziewczyną. To, jak słyszał jej myśli, jak na nie odpowiadał. Ale najbardziej niewiarygodny był sposób, w jaki ją uleczył. Rozpознаwał swoją paranoję i zagubienie, żadnym cudem jednak nie rozpoznawał tej spokojnej, przepełnionej współczuciem duszy. Tak, to musiała być halucynacja. Rankiem opowie o tym Izaguirremu i... po namyśle doszedł jednak do wniosku, że niczego nie powie. Na wypadek gdyby to wszystko było i rzeczywistością, i halucynacją...

Morze było świetlistymi smugami: akwamaryny nad piaskiem, jasnej purpury nad ławicami wodorostów i brązu nad mulistym dnem pływacz. Grzywacze białe jak pasta do zębów załamywały się na grzbietach skał koralowych, dalej zaś woda była pofalowana i ciemna. Kraby trzaskały kredowobiałymi szczypcami i sunęły spod mola ku frędzli wodorostów na styku morza

i plaży; za jęczorem piasku, widoczna przez kliszę wodnych refleksów, z egipskim wystudiowanym dostojenstwem zastygła czapla. Biały koguty, przerzucając się hasłami i odzewami. Wśród niskich roślin śmigały scynki. Łaciata świnią, przywiązana do palmy kokosowej nieopodal zielonkawego żużlobetonowego muru z drewnianą furtką, orała ryjem brudny piach. Około pięćdziesięciu stóp w stronę morza od świni, na odziomku palmy siedział Mingolla, trzymając w dłoni pisklę kolibra. Butelkowiec, z rubinowym gardziółkiem, był rozmiaru stawu kciuka.

Nieco dalej, na plaży, Izaguirre spierał się z Tullym, ale Mingolla zdołał tylko usłyszeć słowa „...nie ma powodu”.

Ciepły klejnot w jego dłoni dygotał życiem i trwogą, pulsowało mu gardło. Mingolla daremnie usiłował odnaleźć jego gniazdo. Pragnął uczynić coś dla koliberka, nie mógł po prostu zostawić go na piasku.

– Gówno! – powiedział Tully, machając ręką.

Izaguirre stał z założonymi ramionami.

Mingolla się zastanawiał, czy zdoła uspokoić ptaka. Ostrożnie musnął jego duszę, poczuł kontakt elektryczny jako maleńki ogienek migocący na obrzeżach swej myśli, ogienek, który nagle zgasł. Gardło kolibra przestało pulsować.

– W porządku, mon. Więcej nie usłyszysz ode mnie na ten temat ani słowa.

Tully przytupał jak słoń i opadł na piasek obok Mingolli, który zamknął dłoń wokół kolibra. Ptak był ciepły, dziobał skórę. Przez jego ciało przeszedł dreszcz, fantom emocji.

– Bez przerwy się zastanawiam, że ta cholerna wojna nie ma żadnego sensu – powiedział Tully gderliwie.

Mingolla sięgnął za siebie, wygrzebał dołek i urządził koliberkowi ukradkowy pogrzeb.

– To znaczy, tu jest wojna... – Tully machnęła ręką, pokazując kawałek plaży – ...a tu jej nie ma. – Kolejne machnięcie, tuż obok poprzedniego. – I jedni cholerni głupcy wysyłają innych cholernych głupców do robienia rzeczy, których nikt nie powinien robić.

– Na czym polega problem? – zapytał Mingolla.

– Ta cipa Cifuentes kombinowała z tobą...

– Taa?

– Zamierzają cię na nią napuścić, chcą cię wysłać do Peten, żebyś ją ściągnął na przesłuchanie. – Tully westchnął z rozpaczą. – Mówię więc Izaguirremu: „Mon, to marnowanie talentu tego chłopaka. Mógłby robić lepsze rzeczy”. Ale doktor powiada, że to już postanowione.

– Jeśli mnie chodzi, to wszystko w porządku – odparł Mingolla. – Idealnym.

Tully popatrzył nań pytająco.

– Nie wygląda, żeby ci na niej zależało.

– Zależy, i to bardzo – powiedział Mingolla, przyglądając się, jak kawki pikują z nieba

niczym skrzydlate strzępki materii eksplodujące ze słońca w zenicie. Na wierzchołku palmy z łopotem wylądował sęp.

– Robisz się dziwny, Davy – stwierdził Tully. – Musisz na to uważać.

– Słyszysz czasem słowa, kiedy dotykasz czyjejs duszy? – zapytał Mingo lla.

– Słowa? Niczego w tym rodzaju... ale słyszałem o pewnym facecie, który twierdził, że jeden raz słyszał słowa. Kilka słów. Czemu pytasz?

– Śniło mi się coś takiego.

– Co to był za sen? – spytał Tully z nagłym zainteresowaniem.

Mingolla wzruszył ramionami i sięgnął pamięcią do swej halucynacji, zastanawiając się, czy jego kontakt z chrześcijańską dziewczyną był dowodem na coś, czy też za ledwie fantazją.

– Nie miałeś przypadkiem poinformować mnie o Żelaznym Barrio?

Rozległo się kolejne westchnienie i Tully wyłowił jakieś papiery z tylnej kieszeni spodni.

– Tak, racja. Tu są plany, ale zanim rzucisz na nie okiem, pogadajmy lepiej, jak się dostaniesz na miejsce. Żadna sztuka. Kurwy, które tam mieszkają...

– Kurwy?

– Och, tak. Wielu ludzi z Bardo ma rodziny, które są zakładnikami władz, no więc żeby mieć trochę forsy ekstra, strażnicy wysyłają kobiety w miasto. Wiedzą, że nie uciekną, bo zapłaciliby za to ktoś bliski.

Za ich plecami rozległy się głosy.

Przez furtkę wyszedł przysadzisty czarny mężczyzna w towarzystwie małego chłopca; mężczyzna niósł maczetę i rewolwer.

– Wygląda na to, że Spurgeon będzie bił świniaka – stwierdził Tully. – W każdym razie jest taka jedna dziwka... Alvina Guzman. Współwięźniowie traktują ją w szczególny sposób, bo jej ojciec to Hermeto Guzman, ten, który w Gwatemali dowodził Armią Biedaków. Dla ludzi z Banio oboje są bohaterami. Więc się z nią spikniesz i wszystko pójdzie gładko.

Świniak przypatrywał się podchodzącemu mężczyźnie i z cicha pochrząkiwał, jakby wyczuwając niebezpieczeństwo. Mężczyzna zatrzymał się w odległości kilku stóp od zwierzęcia i otworzył bębenek rewolweru.

– Wytropisz ją bez problemów. Przez większość nocy urzęduje w barach przy La Avenida de la Republica.

Mingolla dotknął duszy świniaka; stwierdził, że jest silna, przyciął się więc na jej obrzeżach.

– Damy ci trochę narkotyków na wymianę, żebyś...

– Po co? Mogę po prostu zapanować nad każdym, kto mi będzie potrzebny.

– To nie zawsze jest najlepszy sposób. Nie nad każdym da się zapanować. A tym, którzy obserwują, może się wydać podejrzane, że wszystko przychodzi ci tak łatwo.

Mężczyzna z trzaskiem umieścił bębenek na miejscu, a chłopiec powiedział coś wysokim piskliwym głosem.

– Nie będę ci doradzać, jak masz działać dalej. Ale przeniknięcie do Barrio to naprawdę żaden problem. Ze strażnikami uporasz się gładziutko. – Tully szturchnął go łokciem. – Hej, mon! Słuchaj! Myślałem, że ci zależy na tej odprawie.

Tully podskoczył, gdy huknął strzał. Ale Mingolla, który go oczekiwał, nie dał po sobie poznać, że cokolwiek słyszy.

W przeddzień wyjazdu do La Ceiba, po południu, Mingolla zamknął się w swoim pokoju, mając zamiar poczytać i wcześniej pójść spać. Ponownie przeczytał tytułowe opowiadanie Fikcyjnego pensjonatu, delektując się ulubionymi partiami: opisem samego budynku z jego prastarym basenem o wodzie tak zaświnionej, że przypominał kawałek jaspisu – i charakterystykami właściciela domu, sędziwego Koreańczyka, który całymi dniami przesiadywał w wózku inwalidzkim, pokrywając ideogramami paski papieru i przywiązując je na szczęście do winorośli w swoim ogrodzie, oraz służącej o imieniu Serenita, ostatniej żyjącej uczestniczki kontraktu, której śmierć pozwoliła umrzeć również autorowi. Mingolla uznał za osobliwe, iż ten sam pisarz mógł stworzyć dwie nowele oddziałujące nań w tak różny sposób, opowiadanie o zwaśnionych rodach wciąż go bowiem irytowało. Niemniej jednak przebrnął przez nie do końca, by stwierdzić z niesmakiem, że akcja nie ma rozstrzygnięcia. Wepchnął książkę do brezentowej torby, naciągnął poduszkę na twarz i usiłował zasnąć, sen jednak nie nadchodził. Wyszedł więc, by pospacerować po plaży. Patrzył, jak zachód słońca maluje morze kalejdoskopem chaotycznych błysków, które przed rafą uspokajają się w złocistą rozfalowaną smugę na lekko purpurowej powierzchni wody. Po zapadnięciu zmierzchu usiadł pod ścianą hotelu i zagapiony w krążące pośród gwiazd białe kłębki chmur, bezmyślnie szturchnął kijkiem piasek.

– Lepiej, żebyś tym kijem nie uderzył ropuchy – rozległ się dziewczęcy głos.

Pod palmami, w białej sukience i ze śpiewnikiem przyciśniętym do piersi, w stronę Mingo lli szła Elizabeth.

– Dlaczego? – zapytał.

– To gałązka kassawy – odparła. – Uderz nią ropuchę, a inne przepędzą cię z wyspy.

Parsknął śmiechem.

– Postaram się nie uderzyć.

– Nie ma w tym nic zabawnego – powiedziała. – Właśnie coś takiego przytrafiło się w zeszłym roku chłopakowi Nadii Dilbert. Ropuchy opryskały go swoim mlekiem i całkiem obrzydziły mu życie.

– Będę uważać – powiedział, naśladowując poważny ton jej głosu. Podeszła kilka kroków bliżej, a spojrzenie Mingo lli powędrowało ku sprężystym wypiętrzonym jej piersi rozpięających

koronkowy stanik.

– Gdzie twoja przyjaciółka? – zapytał.

– Masz na myśli Nancy? Z jakimś chłopakiem. – Obejrzała się przez ramię. – Chyba muszę...

– Zostań i pogadaj ze mną chwilę.

– Och, nie mogę się spóźnić do kościoła.

Mingolla dopuścił do niej myśl, że jednak może i zaczął emanować pożądliwością.

– Daj spokój – powiedział. – Tylko parę minut.

Jej powieki opadły, twarz przybrała nieobecny wyraz, jakby Elizabeth wsłuchiwała się w jakiś wewnętrzny głos.

– No, może minutkę. – Położyła na piasku śpiwnik i przykucnęła na nim, uważając, by nie pobrudzić sukienki. Ukradkiem zerknęła na Mingollę, potem odwróciła wzrok i zeszywniała, oddychając coraz szybciej. – Tully mi mówił, że niedługo wyjeżdżasz.

– Pytałaś go o mnie?

– Och, nie... no cóż, tak. Ale chodziło mi o Nancy. Podpała się do ciebie.

– Hm. – Mingolla tropił spojrzeniem sunące na horyzoncie purpurowe światelka kotwiczone krewetkowca. – Tak, wyjeżdżam.

– Szkoda, ominie cię karnawał we French Harbor.

Przypatrywał się pięknej twarzy Elizabeth, jej szerokiemu symetrycznemu nosowi, wyniosłym ustom, rzeźbionym kościom policzkowym, twarzy, która sportretowana – emanowałaby dojrzałą zmysłowością, w tej chwili jednak była całkowicie młodzieńcza, pełna chęci, a zarazem zahamowań; zdał sobie jednocześnie sprawę, że nie pragnie tej dziewczyny, że chce tylko wycisnąć na niej swe piętno i w ten sposób wycisnąć piętno na Tullym. Nie bardzo zresztą wiedział dlaczego. Mimo wszystkich wspólnie spędzonych miesięcy Tully pozostawał zagadką schowaną za murem fanfaronady i szorstkości... chociaż ów mur, jak podejrzewał Mingolla, został kiedyś wzniesiony tylko po to, by ukryć prostotę i niewinność, które Tully dawno odrzucił. A może naprawdę chodziło jedynie o to, aby burząc ten mur, dowodząc, iż Tully nie jest tak cyniczny, jak udaje, Mingolla mógł zmanifestować swą wyższość? To zresztą nie miało znaczenia. Liczyło się tylko, że chce.

– Elizabeth – powiedział, robiąc półobrót i kładąc dłoń na brzuchu dziewczyny. Stężała, ale się nie cofnęła, dłoń Mingolli więc powędrowała ku piersiom, rozpięła najpierw jeden, potem drugi guzik. Elizabeth wstrzymała oddech i wyprężyła się do tyłu. Kiedy jednak zaczął zsuwać jej sukienkę z ramion, kurczowo chwyciła materiał i ściągnęła ku sobie połowy.

– No, nie wiem – powiedziała. – Nie wiem...

Wyszeptał jej imię, czyniąc z niego zakłęcie, narzucił jej pożądanie, musnął ustami szyję i policzki. Odchyliła głowę, puściła sukienkę, pozwoliła jego wargom znaleźć górne stoki swych piersi.

– Och, to cudowne, Davy.

Wyswobodził jej piersi z koronkowej niewoli; przypominały mu pełne bukłaki z winem, podziwiał w blasku gwiazd ich lśniąca od potu czerń, posmakował tej czerni na sutku.

– Davy, och, Davy.

Oddalał się od niej, oddalał się nawet od swej żądz. Gwiazdy, bełtanina fali, ta naga wyspiarska małolata... to wszystko jechało na miłą kinowym romansem przemieszane ze szkolnym wyglupem i Mingolla zaczynał być znudzony, bardziej niż znudzony. Czuł, że sam jego koncept paskudnego psikusa narażony jest na ryzyko.

– Och, Boże... Davy! Jak cudownie to robisz.

Chryste, pomyślał, przeredagujmy język miłości, uczynimy go odpowiednim w świecie intelektu. Gdy Mnie Dotykasz, Moja Autokonceptcja Ulega Dezintegracji. Czy przynajmniej w świecie lichej poezji. Ten Znieruchomiał Moment Rozkoszy, Gdy Wślizgujesz Się We Mnie... Ta Szarża Na Oślepa W Opętanie... A Potem Światła Obok Naszych Otwartych Ust To Tylko Zmysły Do Cna Wyczerpane. Albo... Miał pomysł! Natchniony Pomysł. Dźwignął się na nogi, pomógł to samo zrobić Elizabeth. Stała blisko niego, z dłońmi na biodrach. Wcisnął w jej duszę miłość, przyobleczony w kształt strumienia tego, co czuł wobec swej kobiety z Long Island, wobec Debory.

– Chodźmy do wody – powiedział. – Chcę w wodzie poczuć cię przy sobie.

Zdumiewające, że nie zwymiotowała od lukru, którym oblał słowa. Ale nie, kupiła w stu procentach, ponieważ miłość przemieniła idiotyczne w znaczące. Ona też chciała być z nim w wodzie. Cokolwiek to dla niej oznaczało. Wycieczkę do rajów, przejażdżkę słynnym Seksmobilem, przepustkę do jakiegoś lechtackowego Disneylandu. Rozebrała się, stojąc tyłem do Mingolli, w którym widok jej pupy i sprężystych kolumn ud na nowo rozbudził żądzę. Ale musiał się trzymać swego szlaku. Trzymając się za ręce, weszli do wody, stąpali po Bóg jeden raczy wiedzieć jakich śmieciach, świńskich flakach, rybich łbach, nieskończonej liczbie groteskowych możliwości, a potem – wciąż trzymając się za ręce – zanurkowali i odpłynęli na odległość dwudziestu stóp od rafy – dość daleko więc, by poczuć na skórze białe w świetle gwiazd fontanny piany, a zarazem na tyle blisko brzegu, by nie stracić gruntu. Przyciągnął ją do siebie, pocałował mocno, a dotyk jej śliskich ud, sutek ślizgających się po torsie, nacisk członka na chłodną gumiąstą obłoc brzoza jeszcze raz obudził w nim żądzę, zrodził chęć, by zjeść to ciastko do końca. Nie, nie! Trzeba się trzymać planu. Żadnej premii, żadnej konsumpcji. Jej oczy lśniły rybim blaskiem, z jej czarnych ust jak tłusty węgorz wystawał język. Widząc ją w taki sposób, zdołał się wyswobodzić.

– Davy!

Usiłowała przyciągnąć go do siebie, zrobił jednak unik, a potem cofał się tak długo, aż stała się niewidoczna na czarnym tle rafy.

– No, nie wiem – powiedział. – Nie wiem.

– Davy! – W jej głosie brzmiała panika. Zanurkował i płynąc mocnymi ruchami ramion, oddalił się o pięćdziesiąt stóp. Wtedy wynurzył głowę.

– Gdzie jesteś, Davy? Nie bój się!

Jego śmiech utonął w szumie przyboju, fosforyzującej fontanny piany, która strzelała w niebo na kształt zębów olbrzymiego grzebienia. Mingolla pozwolił się znieść nurtowi pod samą rafę, gdzie, chwyciwszy dłonią oblepiony małżami występ skalny, skrył się pod nawisem.

– Davy! – Przemieszczała się w jego stronę. – Nie musisz się obawiać, Davy! Kocham cię!

Wciąż nawołując, minęła go w odległości kilku stóp, a wtedy Mingolla dał nurka i cicho jak rekin popłynął w stronę brzegu. Słyszał jej krzyki jeszcze wtedy, kiedy się ubierał.

Niezadługo, przejęta obawą, że porwał go nurt w kanale, zaryzykuje poszukiwania za rafą. „Davy! Davy!” będzie nawoływać, kiedy unoszona miłością, z czarną głową podskakującą Hi pomiędzy falami, pożegluje w stronę Afryki. Z przepływających statków będą jej rzucać koła ratunkowe, ale ona spyta tylko: „Widzieliście mojego Davy’ego?”, a kiedy usłyszy odpowiedź przeczącą, każe im kontynuować rejs i oznajmi, że nie zrezygnuje z poszukiwań, do czasu gdy odnajdzie swojego mężczyznę. Widział ją rzuconą na arabskie brzegi, przemierzającą dżungle, prześladowaną, przepędzaną, gwałconą przez terrorystów, czczoną przez szejków i grube ryby z korporacji międzynarodowych. „Kim – będą pytać – jest ten Davy?” Ona zaś westchnie, załka i wbije niespokojne spojrzenie w zachodni horyzont, szejkowie zaś wpadną w gniew, pojmując, że nigdy naprawdę nie zdołają jej osiąść, że ten tajemniczy Davy uczynił ją bezużyteczną dla wszystkich mężczyzn, że tylko jeden idealny moment zastygł na kształt marmurowego pomnika w jej pamięci, rzucając cień na wszystkie inne, i że prawdziwa miłość jest nieśmiertelna.

Rozdział 8

Avenida de la Republica w La Ceiba była nocną ulicą, szeroką, wyboistą i przeciętą przez bocznice kolejową, która stanowiła własność United Fruit Company. Biegła równolegle do nabrzeża, pomiędzy rzędami białych barów i obskurnych hotelików; większość tych drugich wymalowano identyczną ciemnozieloną farbą, jak gdyby dawno, dawno temu ten właśnie kolor został poważnie przeceniony. Hotele miały spiczaste dachy, rozchwierutane zewnętrzne schody, a wreszcie patia, gdzie, usadowione przy stolikach z laminatu, urzędowały tłuste recepcjonistki, popijając piwo salvadida, żartując z przyjaciółmi i obrzucając donośnymi inwektywami prostytutki, które przesywały popołudnia w zagraconych pokojach. Za dnia ulica pogrążała się w bezprzykładnym odrętwieniu. Gnane wiatrem strzępy celofanu i papieru wędrowały po rynsztokach, a jedynymi żywymi istotami w polu widzenia były psy, czasem żebracy szukający bramy, w której mogliby się przespać, i odziane na czarno wdowy o zniszczonych twarzach, kucające na chodnikach i trzymające popielniczki na podółkach. Z dokoń rozciągniętych za bliższym morzu rzędem hoteli nieustannie dobiegał zgrzyt dręczonego metalu, panował nieznośny upał, każdy powiew wiatru unosił kłęby kurzu i drapał skórę jak język zwierzęcia; Mingolla stwierdził z rozbawieniem, że cena za pokój hotelowy bez wygód wynosi pięć lempirów, za pokój z kobietą dziesięć, dwadzieścia pięć zaś za pokój z klimatyzacją, co dowodnie świadczyło, jak wysokie miejsce w hierarchii tutejszych wartości zajmował chłód.

Wybrał niedrogi pokój na piętrze i spędził popołudnie na studiowaniu topografii Barrio – które było rozmiaru sporego miasta, leżało o kilka mil na północ i, wedle pogłosek, liczyło z górą czterdzieści tysięcy dusz – oraz wpatrywaniu się w zdjęcie Alvinu Guzman oraz jego ofiary, Opolonia de Zedeguf. Nikaraguańczyk był chudym sprężystym facetem w średnim wieku, miał czarne włosy, wysokie czoło i skórę barwy drewna sandałowego. Jego subtelne rysy utrudniały dostrzeżenie w nim groźnego przeciwnika, choć z drugiej strony, powątpiewając, czy jego własne zdjęcie wzbudziłoby w kimkolwiek strach, Mingolla przestrzegał się przed nadmierną pewnością siebie. O zmierzchu wsunął materiały do szuflady, usiadł przy oknie i patrzył, jak ulica budzi się do życia. prostytutki hurmą napływały do barów, a w ślad za nimi – grupki marynarzy i sztauerów. Pojawili się sprzedawcy lodów i kebabów, dzieciaki handlowały słodyczami, nadmuchiwanymi zabawkami i naszyjnikami z czarnego korała. Luzy stołów bilardowych zostały zaślepione i na wyłożonych sukrem blatach grano w kości; muzyka z szaf grających – z gęstki melodii i rytmu – wzmacniała okrzyki zwycięzców. Drzwi do barów były szeroko otwarte i jaskrawo oświetlone, obrysowując sylwetki hazardzistów czy awanturników, i Mingolla odnosił wrażenie, iż ulica jest siedzibą wielu tuzinów małych teatrzyków, w których jest grana ta sama sztuka.

O dziewiątej wieczorem przeszedł dwie przecznice na południe i wkroczył do lokalu

o nazwie Cantina Las Vegas 99, baru, w którym uprawiała swe rzemiosło Alvina Guzman. Przepchnął się przez tłum do końca szynkwasu i zamówił rum. Sąsiad przy ladzie obrzucił go zniechęcającym spojrzeniem, a potem na powrót wbił wzrok w swoją szklaneczkę. Wszyscy zresztą faceci przy barze gapili się w szklanki, wszyscy byli ponurzy i Mingolli przyszło do głowy, że gdyby miał pójść za ich przykładem, wszystkie jego myśli pozegłowałyby z chyżością wypijanego rumu w jakieś mroczne otchłanie duszy. Wdał się w zdawkową pogawędkę z barmanem na temat pogody i mistrzostw świata w piłce nożnej, skrytykował fresk widoczny nad szafą grającą: połyskliwą kompozycję z kości do gry, kół ruletki i żetonów, które wydawały się olbrzymie w zestawieniu z wymalowanymi poniżej z małykami sylwetkami ludzi z trwożnie uniesionymi ramionami. Co parę minut przenikał spojrzeniem tłum w poszukiwaniu Alwiny i na koniec ją wypatrzył. Stała obok szafy grającej, wrzucała do niej monety. Była drobniutką Indianką o skórze koloru suszonej gliny, pełnych piersiach i szerokich biodrach. Jej splecione w warkocz czarne włosy sięgały krzyża, ubranie zaś – biała bluzka i kretonowa spódnica – było mocno znoszone. Jej twarz, tak samo jak twarz Hettie, wyczarowała obraz Debory – nie przez swą urodę, Alwina bowiem nie była ładna, lecz przez beznamiętny wyraz. Stała nieruchomo, bez drgnienia powieki, a kiedy z głośnika popłynęła romantyczna ballada, zaczęła samotnie tańczyć, zataczając z wdziękiem niewielkie kręgi i nie spuszczać wzroku z podłogi. Mingolla miał już do niej podejść, ale się powstrzymał, ponieważ w tańcu, w jego smutnym zapamiętaniu i związku z melodramatycznym hiszpańskim tekstem, dopatrzył się czegoś, czego wołał nie zakłócać.

Dziś jest jak wczoraj i jutro, patrzę na księżyc, co wschodzi, zmięta pościel zastyga w jego blasku niczym świeżo spadły śnieg.

O dziewiątej wieczorem został mi ostatni papieros.

Gdy go dopalę do końca, ty będziesz tylko wspomnieniem.

Kiedy piosenka ucichła, Alwina sprawiała wrażenie zagubionej, jak gdyby się obudziła w innym świecie. Mingolla precyzyjnie przesunął się przez ciżbę i położył dłoń na ramieniu dziewczyny, z której twarzy – na pozór – odpłynęła energia wcześniej przezeń nie dostrzeżona.

– Dziesięć lempirów – powiedziała Alwina.

– Si, pues – odparł. – Y por la noche?

– Twój akcent – zauważyła – jest gwatemalski.

– Tak, pochodzę z Peten. Z San Francisco de Juticlan.

– Ja też jestem z Gwatemali. Z Altiplano. – Jej zainteresowanie rozwiało się jak dym – Za całą noc będzie pięćdziesiąt. Masz hotel?

– W pobliżu.

Postąpiła krok w stronę drzwi, a potem dorzuciła:

– Nie robię tego ustami... kapujesz?

Mingolla odparł, że to nieważne.

Bez słowa powędrowali do hotelu Mingolli, weszli po schodach do pokoju. Była tam leżanka, obtłuczona umywalka i lampa. Ciemnozielone deski ścian pokrywały smugi światła sączącego się z przyległych pokoi: z tego po prawej dochodziły odgłosy pracowitego seksu. Alvina zaczęła rozpinąć bluzkę, ale Mingolla kazał jej zaczekać.

– O co chodzi? – zapytała nerwowo.

– Usiądź. – Włączył światło. – Chcę z tobą porozmawiać.

– Dlaczego? – Jej zdenerwowanie wzrosło. – Co chcesz wiedzieć?

– Usiądź, proszę.

Usłuchała, a le strzeliła oczyma w stronę drzwi.

– Mam na imię David, a ty jesteś Alvina Guzman.

– To żaden sekret – stwierdziła z udanym spokojem, ale znów zerknęła na drzwi.

– Potrzebuję twojej pomocy – powiedział, infekując ją uczuciem przyjaźni i zaufania.

Uniosła dłoń, jakby miała zamiar dotknąć twarzy, nie dokończyła jednak gestu.

– W czym mogłabym ci pomóc? Jestem więźniarką.

– Udaję się do Barrio.

– Niepo trzeba ci do tego moja pomoc. – Położyła dłoń na poduszce, poklepała ją raz i drugi, badając jej miękkość czy też sprężystość, jak gdyby miała do czynienia z przedmiotem prawdziwie wysokiej klasy. – Dlaczego chcesz to zrobić?

– Jest tam pewien człowiek, Nikaraguańczyk o nazwisku de Zedegui.

– Nigdy o nim nie słyszałam.

– Wymordował moją rodzinę. – Mingolla, ciągle wywierając wpływ na Alvinę, opowiedział o zmyślonej zbrodni i swoim pragnieniu zemsty, następnie zaś wyjaśnił, że zamierza podawać się za jej kuzyna i w ten sposób zagwarantować sobie względne bezpieczeństwo będące udziałem rodziny Guzmanów.

– Jeden mój przyjaciel może znać tego de Zedegui. – Popatrzyła nań z troską. – Możesz zostać poddany torturom i prawdopodobnie nigdy się z Barrio nie wydostaniesz. – W sąsiednim pokoju prostytutka wydała ewidentnie fałszywy okrzyk rozkoszy, sprawiając, że Alvina gwałtownie wykręciła głowę. – Ale jeżeli się upierasz – dodała -? spotkaj się ze mną w 99 tuż przed trzecią.

– Co będziesz robić do tego czasu?

– Pracować... strażnicy czekają na pieniądze.

Z przyległego pokoju dobiegała przytłumiona rozmowa, brzęk tłuczonego szkła.

– Masz. – Podał jej gruby plik banknotów.

– To za dużo – zaoponowała, kiedy je przeliczyła.

– To za mało.

Nie zgłaszała dalszych obiekcji, wcisnęła pieniądze do kieszonki bluzki i usiadła z dłońmi na

kolanach, posępna i nieruchoma jak bożek.

– Czy mogłabym pospać do trzeciej? – zapytała.

– Jasne.

Stojąc tyłem do niego, rozpięła bluzkę i zrzuciła ją z siebie wzruszeniem ramion, które były poprzecinane siatką czerwonych blizn; gdy się wysunęła ze spódnicy, Mingolla dostrzegł, iż kolejne głębokie szramy przecinają jej jędrne pośladki i uda. Te blizny skonkretyzowały dziewczynę w oczach Mingolli, wyłożyły jasno długą historię jej beznadziejnego borykania się z życiem i grozą, kryjówek w dżungli i forsownych wędrówek. Złożyła ubranie w nogach łóżka, wsunęła się pod prześcieradło i usiadła, skupiając na sobie spojrzenie Mingolli. Miała ciężkie piersi o dużych brązowych brodawkach i starą bliznę po kuli na prawym ramieniu.

– Zapłaciłeś – powiedziała.

Wiedział, że proponuje zaledwie dopełnienie umowy, a przecież, podniecony kontaktem z jej duszą, chętnie by się z nią pokochał. Nie była pociągająca, ale tak nieskomplikowana, jak historia, której pomysłowość polega na tym, że buduje w świecie symetrię zakładającą istnienie ukrytego piękna; Mingolla odniósł wrażenie, iż beznamietność dziewczyny jest symptomatyczna dla tej spokojnej pewności siebie, z jaką piękno stawia czoło światu. Ma w sobie piękno, pomyślał, i zdradzają to jej blizny. Nie chciał jednak wykorzystywać Alviny: nie czułby się dobrze, wykorzystując ten rodzaj piękna.

– Ładnie ci z tymi bliznami – powiedział.

Obruszyła się.

– Są mężczyźni, którym się podobają.

– Nie to miałem na myśli. Wciąż patrzyła mu w oczy.

– Nie odpowiedziałeś mi.

– Ależ odpowiedziałem.

Mięsiste mlaśnięcie w sąsiednim pokoju i nie podrabiany tym razem okrzyk.

– Za minutkę wyłączę światło – powiedział Mingolla. Usiadł na skraju łóżka, otworzył szufladkę szafki nocnej, wyjął nóż w pochwie z cielej skóry i sporą kopertę wypełnioną białym proszkiem. Wystukał nieco proszku na zakładkę koperty i zaczął nożem rozdzielać go na rządki.

– Co to jest? – zapytała Alvina, zaglądając mu przez ramię.

– Frost. – Rozgniótł niewielką bryłkę. – Coś jak kokaina... tylko mocniejsze. Chcesz trochę? Ale nie będziesz mogła zasnąć.

– Nie, nie teraz. A ty nie będziesz spać?

– Nie chcę być kołowaty o trzeciej.

Przytknął do nosa słomkę i w szybkim tempie wciągnął pięć grubych rządków. Skóra na jego czole stężała.

– Strażnicy ci to odbiorą.

– Zobaczymy – odparł.

Wciągnął trzy następne rządk. Jego myśli zaczęły tańczyć z ożywieniem. Wyobrażał sobie błękitno-białe trzaski wyładowań elektrycznych przeskakujące od skroni do skroni. W głębi gardła poczuł suchą gorączkę.

Wyłączył światło i usiadł przy drzwiach. Ciemno było również w sąsiednim pokoju i tylko z ulicy, razem z przytłumioną muzyką i gwarem ludzkich głosów, wsączała się anemiczna poświata. Zdawało się, że w mroku żeglują płamy atlasowo połyskliwej czerni i Mingolla zadał sobie pytanie, czy przypadkiem – tak samo jak poszczerbiona emalia umywalki, rozchwiewane wyrko i rozłazący się stół – mrok w pokojach tanich hoteli został naznaczony przez dawniejszych mieszkańców. Pomyślał o Nikaraguańczyku i poczuł lekką obawę. Choć był silniejszy niż Tully, a Tully należał do najlepszych, wystąpi przeciw swojej ofercie na jej własnym terenie... niebezpiecznym terenie. Musi być niezwykle ostrożny. Najbardziej niepokoiło go szaleństwo Nikaraguańczyka, którego tylko obłąd mógł skłonić do szukania kryjówki w Żelaznym Barrio. Szaleństwo było tym czynnikiem, na który nie mógł się przygotować; pozostawało tylko mieć nadzieję, że okaże się słabością. Alvina zachrapała cicho. Wyławiał z mroku kontury jej ciała: leżała na boku, plecami do niego. Frost sprawił, że Mingolla i bez tego bez przerwy podniecony, napalił się jeszcze bardziej; wiercił się, szukając takiej pozycji, w której nie przeszkadzałaby mu erekcja. Naprawdę miał ochotę zerznąć dziewczynę. Zerznąć historię, od zakrystii, na kolanach, po jajca w mięsie historii, patrząc na jej pobliżnione plecy i krągły zadek. I doszedł do wniosku, że zasadniczo coś takiego właśnie robi w Korpusie Psi. Różnie historię rebelii, Armii Biedaków, ciemionych chłopów i Indian. On był teraz czarnym charakterem. Taka myśl przychodziła mu do głowy już wcześniej, ale nigdy równie natarczywie, podkreślony więc radosną jasnością widzenia, jaką dał mu narkotyk, wyobraził sobie, że figuruje na afiszu filmowym z wielkim ognistym napisem MINGOLLA, że jego ogromna postać, z której oczu strzelają psychopromienie, wypiętrza się nad płonącymi wioskami i rozwrzeszczaną tłuszcza. Potem zobaczył rzecz z innego punktu widzenia: ujrzał samego siebie, jak w poszukiwaniu ofiary przekrada się przez zaczopowaną zwłokami dolinę. Nie potrafił pojąć, w jaki sposób tu dotarł; miał ogłód poprzedzających wydarzeń, ale nie wyjaśniały one niczego. Odnosił wrażenie, iż go zwabiono albo że sam się zwabił, albo... Alvina wymamrotała coś przez sen. Cholera, naprawdę chciał ją zjeść, być blisko niej, blisko kogokolwiek. Bał się i przyznawał to bez wstydu. Każdy by się bał, mając w perspektywie Barrio. Chętnie położyłby się obok niej, to wszystko, położyłby się i ją objął, poczuł, jak jego zaćpane serce znajduje przystań na jej pokancerowanych plecach, zrozumiałby wreszcie, że skoro ona zdołała przeżyć okropieństwa i nędzę, jemu też się uda. Potrzebował takiej pociechy, takiego ukojenia. Rozebrał się, cicho podszedł do łóżka, leżał ostrożnie obok Alviny. Poruszyła się, lecz nie rozbudziła, kiedy jednak obejmując ją, mimowolnie musnął jej pierś, spojrzała nań przez ramię. Białka jej oczu były świetliste.

– Śpij, śpij – powiedział.

Nie mógł się powstrzymać i ujął w dłoń jej pierś, pozwalając sztywniejącemu sutkowi wślizgnąć się pomiędzy palce. Jego sztywny członek wbił się w pupę Alviny. Bez słowa uniosła kolano, on zaś wsunął się pomiędzy jej uda, poruszył się w przód i w tył, poczuł, jak dziewczyna wilgotnieje. Wcisnął jej w pochwę palec, potem dwa, zaczął nimi zataczać kręgi, wsysany coraz głębiej przez jej mięśnie i poruszające się biodra. Na pewno mnie pragnie, pomyślał. Jesteśmy w jej duszy rodzeństwem sprzymierzonym przeciwko nikaraguańskiemu potworowi. On też jej pożądał – nie byle kogo, tylko jej – pragnął, żeby jej wielkie komunistyczne dupsko wydoiło go do ostatniej kropli, chciał złączenia, pokuty i panowania. Przewrócił ją na brzuch, wszedł w nią płynnym niewymuszonym ruchem, uklęknął i schował się w niej do końca. Trzymał ją w pasie, zadowolony z przyjętej pozycji, która dawała mu poczucie zbliżenia i dystansu zarazem. Wysunął się nieco, potem wsunął, obserwując swoje ruchy. Jak rzeźbiarz powiódł dłońmi po jej bokach. Chwycił zwisającą pierś, zaczął miętosić, wciskając jednocześnie w poduszkę twarz Alviny. Nie wydała z siebie ani jednego dźwięku, ale na tym właśnie polegała taktyka partyzancka: ani mru-mru, żeby nie zdradzić swej pozycji, pieprzyć się pod osłoną nocy i paproci. Ujeżdżał ją ze wszystkich sił, pragnąc wydusić z niej jakieś słowo, jęk, delectował się kolebaniem jej pośladków i zapominał o nasłuchiowaniu krzyków, a potem wszystko – strach, żądza i narkotyki – zapętlilo się w gorejący węzeł i wreszcie rozsnulo w przędzę rozkosznej bezsily, pozostawiając na plecach Alviny spoconego i zdyszanego Mingollę.

Odwróciła się do niego tyłem, kiedy wyjął członek; stężenie jej ciała zdradzało, że żywi urazę.

– Nie miałem zamiaru... – zaczął.

– Zapłaciłeś – odparła oziębło.

Był zawstydzony i zorientował się, że musi naprawić wyrządzoną szkodę, ponownie rozbudzić zaufanie Alviny, może zbudować z nią związek oparty na sympatii. Ale był jednocześnie rad, zadowolony z siebie, ze swego podboju historii. Naprawy mogą poczekać, uznał; w tej chwili Alvina musi zrozumieć, z kim ma do czynienia, nawet jeżeli nie wie tego on sam.

* * *

O wpół do czwartej Mingolla z Alviną stali w grupie kobiet – co najmniej kilku tuzinów kobiet – czekających na autobus, który odwiezie je do Barrio. Nikt nic nie mówił. Noc była bezgwiezdna i bezksiężycowa, wiatr, kołyszący trawami na poboczu, przypędzał znad morza jednolite masy czerni. Za sobą mieli skupisko chat, prawdziwe barrio, których strzechy w świetle wylewającym się z drzwi wyglądały jak kopy gnijącego pierza. Na północy pojawiły się ślepie

reflektorów, z ogromniały, a wreszcie zmieniły się w biały szkolny autobus z tablicą, na której schludne czarne litery układały się w napis DEPARTAMENT WIĘZIENICTWA. Autobus zahamował z piskiem, a z otwartych harmonijkowych drzwi wypadło trzech niskich żyłastych mężczyzn z pistoletami w dłoniach. Nosili cywilne ubrania, na głowach zaś – czerwone maski z rodzaju tych, jakie nakładają zapaśnicy. Mingolla zauważył, że maski te nie były po prostu czerwone, lecz pokryte malowidłami przedstawiającymi obdarte ze skóry twarze, z anatomicznie poprawnymi zawężeniami ścięgien i mięśni. Okropne nakrycia głowy nadawały oczom mężczyzn pozór szklanych i sztucznych, ich ustom zaś – kiedy otwierali je, by coś powiedzieć – zwykłych czarnych dziur. Wpatrzywszy Mingollę, oddzielili go od przepychających się kobiet, wycelowali weń pistolety i rzucili na trawę.

– Zaczekajcie! – powiedział, emanując kumplostwem i ufnością.

– Kim jesteś? – zapytał jeden ze strażników i pomógł Mingolli wstać.

Mingolla odprowadził mężczyzn na pobocze, podał swoje nazwisko i oznajmił, że pracuje dla rządu i udaje się do Barrio z tajną misją, zamierzając zdobyć informacje od pewnego więźnia. Zapytał strażników o imiona.

– Julio.

– Martin.

– Carlito.

Zapytał, czy będą na służbie następnej nocy, a kiedy udzielili odpowiedzi twierdzącej, powiedział, by spodziewali się go wśród kobiet wyjeżdżających do pracy. Uznał za osobliwe, że z łatwością podporządkował swej woli mężczyzn o tak przerażającej powierzchowności; jego dominacja wykazała dowodnie, jak żałośnie małe są pokłady zła, które ich motywuje. Zaprowadzili go do autobusu i, zgodnie z instrukcją, jakiej im udzielił, usadzili obok Aliny.

– Jak tego dokonałeś? – zapytała, kiedy zawarczał silnik.

– Łapówka – odparł.

Przetrawiła tę informację i pokiwała głową.

– Poradzisz sobie w Banio.

Przez pół godziny jechali wzdłuż plantacji kokosów i kęp zarośli, a potem skręcili w nieoznakowaną drogę, która rozszerzała się w ubity gruntowy plac rozciągający się przed Barrio. Mingolla widział lotnicze zdjęcia tego miejsca; wynikało z nich, że jest tu parterowa budowla pokrywająca kilka mil kwadratowych bezlistnej dżungli. Z takiej perspektywy więzienie przedstawiało się nieco mniej imponująco, sprawiało bowiem wrażenie podługowatego magazynu, na dachu którego czuwali zamaskowani – rzecz w Ameryce Łacińskiej nader częsta – strażnicy; zarazem jednak wyczuwał raczej, niżli widział rozmiar budowli, jak gdyby ta miała siłę ciężenia i atmosferę nieco inną aniżeli najbliższa okolica. Gdy znalazł się bliżej, głębiej w sferze oddziaływania więzienia, w pełni pojął jego groźbę. Szperacze umieszczone w okolicznej

dżungli omiatały dach, sprawiając, że krwistoczerwone maski strażników gorzały jak zapalki, i podświetlając gęste kłęby błękitnawego dymu, które przywodziły na myśl nieruchawe ogony demonów skrytych w niebiosach przed ludzkim wzrokiem. Nad rozsuwaną i również oświetloną bramą główną na prymitywnej szubienicy wisiały trupy ośmiu mężczyzn i kobiet tak poranionych i poparzonych, że Mingolla powątpiewał, by któregośkolwiek ze skazańców powieszono za życia. Przez okna autobusu napłynął okropny smród, składający się z zapachów strawy warzonej na węglu drzewnym, dymu, lepkiej zgnilizny śmierci, potu ludzi żyjących jeden na drugim i Bóg wie, czego jeszcze... tysiące odorów zlewających się w obmierzłą perfumę, od której Mingolli ścisnęło się gardło. Kiedy autobus podjechał do częściowo rozsuniętej bramy, Mingolla usłyszał hałas, który tak samo jak smród stanowił kombinację wielu składników – śmiechu, paplaniny i wrzasków – a jednak nie był charakterystyczny ani przez swoje części składowe, ani też jako całość, lecz za sprawą rytmu, falującego i opadającego z nieco nsekwentną zgodnością zgiełku dżungli, śpiewu ptaków i brzęczenia owadów, posłusznych prawidłowościom i regułom natury’.

– Trzymaj się blisko mnie – powiedziała Alvina, kiedy przepędzano ich przez bramę.

Mingolla chwycił więc dłoń dziewczyny. Za ich plecami wrota zamknęły się ze zgrzytem, więżąc ich w dławiącym upale i półmroku; trzech strażnicy zniknęli za drzwiami osadzonymi w bocznej ścianie. Więźniowie mieli teraz przed sobą następną bramę, poprzecinaną szczelinami, przez które przesączał się zgiełk, smród i pomarańczowa poświata: Mingolla czuł się jak człowiek połknięty przez potwora o stalowych szczękach i rozognionych trzewiach. Wewnętrzna brama zgrzytliwie powędrowała w górę, Mingolla zaś i Alvina spieszenie skręcili w mrok po prawej stronie. Kiedy dotarli do jakiejś kamiennej ściany, Alvina wyszeptała:

– Leon?

– Kto z tobą jest? – dobiegł w odpowiedzi ochryply głos.

– Mój kuzyn... jest w porządku.

– Zaszczycony... – mruknął głos.

Mingolla bąknął słowo powitania, całkowicie zahipnotyzowany kalejdoskopem z dymu, płomieni i mroku, nieustannymi roszadami blasku i czerni, tak sprzęgniętymi z falowaniem zgiełku, że potrzebował dobrych kilku sekund, zanim złożył w myślach spójny obraz Barrio. Czemuś, co zrazu wydawało się niezmierną otchłanią, nadawał perspektywę las podtrzymujących dach szerniałych słupów, pomiędzy którymi wznosiły się najrozmaitsze ludzkie sadyby: szopy, namioty, chaty, pieczary wydrążone w zwaliskach cegieł. Widoczne ściany należały do niewielkich tynkowanych domków z zamkniętymi okiennicami; według planów Mingolli, w innych częściach Barrio były całe labirynty takich domków, pozostałość miasta zajmującego kiedyś tę spłacheć ziemi. Ognie gorzały wszędzie – wzdłuż ścian, pod rusztami i w beczkach po oleju – a w zrodzonej z nich dymno-pomarańczowej poświacie

wędrowały gromady więźniów, w tym wielu z nożami w dłoniach.

– Przytulne miasteczko, co? – zapytał Leon, wyłaniając się z mroku. Był Indianinem w średnim wieku, niemal równie niskim jak Alvina; miał pobrużdżoną twarz, zapadnięte policzki i czarne, ostrzyżone pod garnek włosy. Mimo upału nosił pled narzucony na ramiona.

– To jest ten przyjaciel, o którym ci wspominałam – powiedziała Alvina. – Możesz być pewien, że ci pomoże.

– Nie opylaj mnie za darmo. – Leon uśmiechnął się szeroko, obnażając siedem czy osiem zepsutych zębów, które pod rozmaitymi kątami sterczały z dziąseł jak stare nagrobki.

– Zostaniesz opłacony – powiedział Mingolla.

W reakcji na taką bezpośredniość twarz Leona znieruchomiała.

– Czego po trzebujesz? – zapytał, a kiedy Mingolla podał mu zdjęcie de Zedeguf, oświadczył: – Odnajdę go... porozmawiamy rano. – Wyciągnął spod pledu nóż – Masz jakąś broń, chłopie?

Mingolla pokazał mu swój nóż.

– No to chodźmy – powiedział Leon.

* * *

Podczas wędrowki przez Barrio, przez strefy płomieni, obszary lepkiej ciemności i warstwy nieznośnego smrodu, Mingolla widział wiele zapadających w pamięć rzeczy i wiele takich, które błagały o wyjaśnienie; a jednak nie prosił o wyjaśnienie, bo chociaż niektóre widoki przyprawiały go o ból serca, zdał sobie sprawę, iż Barrio jest swoim własnym wyjaśnieniem, światem, który ma własne zasady prawidłowego postępowania, własne kategorie dobra i zła. Odnosił wrażenie, iż Barrio obnaża się przed nim, pozwalając na pokosztowanie swoich skarbów. Ledwie odwracał głowę, a z wejścia do jakiejś szopy odchyłała się postrzępiona zasłona albo też ludzie zgromadzeni jak stadko wychudłych wron wokół beczki po oleju rozstępowali się na boki, otwierając perspektywy, którymi jego oczy mogły wędrować ku jakiemuś okropnemu, żalostnemu czy też – niejednokrotnie – pięknemu widokowi lub zdarzeniu. Widział zbiorowe gwałty i pobicia, całe spektrum ludzi kalekich i chorych. Zobaczył człowieka, któremu rękę zastępowała drewniana proteza z osadzonym na końcu widelcem; ujrzał faceta niosącego tacę pełną przywodzących na myśl krwistoczerwone ciastka mysich oskórowanych korpusików. Widział dwie matrony malujące na ciele niemowlęcia wzór skomponowany z półksiężyców; za ich plecami, ukrzyżowana na belce, wisiała młoda kobieta, której woskowożółte piersi pokrywał taki sam ornament. W pewnym momencie fragment dachu został uniesiony, strażnicy zarzucili pętlę na szyję śpiącego mężczyzny i, kapiącego spazmatycznie, wyciągnęli go na górę; gdy uniesiono inny fragment dachu, ktoś wylał beczułkę wody na głowy bawiących się dzieci, a te ze śmiechem zaczęły zlizywać kropelki z siebie nawzajem. Pozbawiony zaś okien jednoizbowy domek

zajmowany przez Alvinę i jej ojca pozwolił Mingolli wejrzeć w kolejny z rządzących Barrio mechanizmów. Przy drzwiach siedział przykuty łańcuchem i uzbrojony w maczetę dwunastoletni chłopiec; najwyraźniej rad ze swego losu, podsunął Leonowi kłódkę, ten zaś otworzył ją i nagroził chłopaka owocem mango. Potem Leon pożegnał się i przypomniał Mingolli o porannym spotkaniu.

Wewnętrzne ściany domku były bladoniebieskie, złuszczone i pokryte wieloletnimi nawarstwieniami graffiti; oświetlony cienkimi świeczkami pokój niemal bez reszty wypełniały dwa materace, z których jeden zajmował Hermeto Guzman, siwowłosy starzec o skórze barwy stygnącej surówki i kościstym ciele ledwie rysującym się pod prześcieradłem. W izdebce unosił się mocny odór fekaliów i Alvina spędziła niemal godzinę na wycieraniu ojca; Mingolla siedział w tym czasie na drugim materacu i przerzucał stos romansideł w broszurowych wydaniach. Alvina nie zwracała sobie głowy prezentacjami i wcale nie było jasne, czy stary w ogóle zauważył Mingollę, kiedy jednak Alvina uniosła jego głowę, pomagając mu się napić wody mineralnej z butelki, obrócił na Mingollę oczy ciemne, a zarazem świetliste, stoickie, lecz pełne życia. Zdawały się spijać Mingollę z taką samą łapczywością, z jaką ich właściciel połykał wodę. Te oczy sprawiły, że Mingolla poczuł, jak jest młody i jak niewiele wie; pomyślał, że wypowiedziane anemicznym szeptem słowa starego muszą dotyczyć jego osoby.

– Co mówi? – zapytał Alvinę.

– Powiada, że woda mu smakuje... przypomina pewien moment z dawnych czasów.

– Kiedyś my uka trupili tego skurwysyna Arenasa. – Hermeto usiłował się podźwignąć, ale opadł bezsilnie. – Pamiętasz, Alvino?

Uspokoila go, przestrzegając, by się nie gorączkował.

– Nie lubi, kiedy wspominam dawne dzieje – powiedział Hermeto.

– A co tu jest do wspominania? – zapytała szorstko.

– Walka – rzekł Hermeto. – Walka była...

– Walka! – Alvina udała, że splota. – Potrafiliśmy tylko umierać.

Mingolla pożałował starego.

– Nie wiem – powiedział. – Wy...

– Nie, to ona ma rację. Niczego nie osiągnęliśmy. – Głos Hermeta pod koniec zamienił się w pisk, jakby to stwierdzenie było w istocie pytaniem, jak gdyby sam Hermeto nie mógł uwierzyć w swoje słowa. – Uważaliśmy się za bojowników, a skoro zabiliśmy tak wielu, sądziliśmy, że zwyciężamy. Ale nie byliśmy bojownikami. Byliśmy falami... falami spowodowanymi przez dwóch olbrzymów taplających się w wodzie wiele tysięcy mil od nas. Od początku byliśmy bez szans.

– Nie mieliśmy również żadnego wyboru. – Alvina otworzyła cynkowe pudło, wyjęła z niego chleb i ser. – Mordowano nas.

Następne słowa starca były niesłyszalne nawet dla Alviny, poprosiła więc, by je powtórzył.

– Mój brat – powiedział, żegnając się znakiem krzyża.

– Niech go Bóg ma w swojej opiece...

Alvina pogłaskała go po głowie.

Poprosił o jeszcze trochę wody, wypił ją chciwie.

– Czy naprawdę nie pamiętasz tamtej historii, Alvino? W Cuchumantes?

– Tak, pamiętam – odparła ze znużeniem.

– Osaczyli nas w górskich przełęczach – powiedział do Mingolli. – Nie mieliśmy wody, pozostały nam resztki żywności. Widzieliśmy w dole rzekę, ale nie mogliśmy do niej dotrzeć.

Niebo wypełniał pomruk śmigłowców. Byliśmy tak spragnieni, że jedliśmy kwiaty karłowatych palm, wszyscy mieli skurcze. Raz znaleźliśmy wodopój dla zwierząt, maleńką sadzawkę wypełnioną gnojem. W końcu śmigłowce odleciały, a my, chwając się na nogach, zeszliliśmy nad rzekę. To był taki osobliwy dzień... grzmoty i mgła. Przypominaliśmy szkielety, ilekroć jednak muskało nas słońce, roztaczaliśmy poświatę jak anioły. Nasze ciała były niemal przezroczyste. Jak anioły, które rzucały się do wody.

– W twoich ustach to brzmi pięknie – stwierdziła Alvina lekceważącym tonem.

– To było piękne – odparł.

Zaczęła karmić go okruchami chleba i sera. Mingolla był rad, że przerwała w ten sposób opowieść ojca, którą ciężko mu było przetrwać. Oparł się o ścianę i wsłuchany w odgłosy dochodzące z zewnątrz, zamyślił się nad walką i Armią Biedaków; aby odpędzić od siebie te myśli, otworzył kopertę z frostem i przyjął działkę. Przygotował porcję dla Leona, potem się położył i zamknął oczy. Blask świec przedzierał się przez zamknięte powieki na kształt rozmazanych czerwonych plam, a krwistość tego koloru nakazała Mingolli myśleć o Hermeto i Alvinie. Zdał sobie sprawę, że jeżeli nie będzie się mieć na baczności, zacznie z nimi współczuć, współczucie to zaś będzie równie naiwne i głupie, jak beztroska. Żadnym cudem nie mógłby zrozumieć, jak to jest, kiedy się głoduje wysoko w górach. Jego dotychczasowe udręki wydawały się w porównaniu z tym wręcz błahostką i już fakt, że zdawał sobie z tego sprawę, budził w nim chęć odbycia jakiejś pokuty.

Alvina zgasła świece i położyła się obok Mingolli. Odsunął się, wystraszony możliwością kontaktu z jej ciałem, przejęty obawą, że zarazi go moralnością i powiedzie niebezpieczną ścieżką. Pachniała ziemią, rozgrzanym piżmem i te zapachy, w połączeniu z narkotykiem, roznieciły w nim żądzę. Jak gdyby wyczuwając to, Alvina powiedziała:

– Jeśli mnie znowu chcesz, będziesz musiał zapłacić.

Nie potrafił sformułować odpowiedzi, która przekazywałaby jego nastrój, w końcu jednak wydusił:

– Mógłbym cię stąd wydostać.

- Nie, nie mógłbyś.
- Ależ tak. – Dźwignął się na łokciu, usiłując dostrzec ją w mroku. – Ja...
- Władze mają moją siostrę i jej dzieci. Umrą, jeśli uciekniemy.
- Można ustalić miejsce ich pobytu, można...
- Przestań – powiedziała.

Leżeli w milczeniu, wrzaski zaś i paplanina Barrio jakby potęgowały ciśnienie mroku, wyciskając powietrze z płuc Mingo lli.

- Nie rozumiem – odezwała się Alvina.
- Czego?
- Ciebie... słabo cię znam, wcale za tobą nie przepadam, a jednak ci ufam.
- Szkoda, że mnie nie lubisz.
- Nie bierz tego do siebie – powiedziała. – Nie lubię większości ludzi.

Wynikała z tych słów świadoma negacja życia, uznał Mingo lla, wyobrażając sobie zarazem, kim była Alvina w czasach, gdy polityka poszła w góry, a wszystko wydawało się możliwe: zwyczajnie ładną indiańską dziewczyną, pełną niezwykłego żaru i pasji. Pragnął jej pomóc, coś dla niej zrobić; wtedy przypomniał sobie stos romansów.

– Lubisz się kochać? – zapytał. – Nie chodzi mi o to, czy lubisz... swoją pracę, ale czy lubisz robić to z kimś, kto jest ci bliski?

- Idź do diabła – odrzekła.
- Mówię serio.
- Ja też.
- Mógłbym sprawić, że to polubisz. Parsknęła śmiechem.
- Już to słyszałam.

– Nie, naprawdę. A jeśli mógłbym cię zahipnotyzować, sprawić, że poczujesz namiętność? Chcesz, żebym to zrobił?

Materac skrzypnęła, kiedy się odwróciła przodem do Mingo lli, który poczuł na sobie jej badawcze spojrzenie.

- Dziesięć lempirów – powiedziała. – I jeśli zechcesz, będę piąć jak kogut.
- Nie o tym mówię.

Wyciągnęła rękę, zaczęła pieścić jego genitalia.

– No, daj spokój, człowieku – powiedziała z goryczą. – Dziesięć lempirów. Zapomnisz o wszystkich innych dziewczynach.

Ponizony, odepchnął jej dłoń.

Doznawał pokusy, by zmusić ją do rozkoszy, miał jednak zbyt silne opory, bo nie potrafił wyzbyć się przekonania, że jest od niego lepsza.

- Nie rozumiem – stwierdziła Alvina po chwili. – Po prostu niczego już nie kapuję.

* * *

Poranek w Barrio różnił się od nocy tylko tym, że kiedy uniesiono sektory dachów, przez otwory wtargnęły słupy szarawego blasku, a ludzie, ryzykując życie, stali pod gołym niebem, żeby choć kątem oka zerknąć na wolność; poza tym pomiędzy szerniałymi belkami i ogniskami królował ten sam co zawsze, pomarańczowy półmrok. Środek Barrio, gdzie Mingolla i Leon siedzieli w mrocznym wykuszu, był zdominowany przez szereg otynkowanych domów ciągnących się w poprzek więzienia; i właśnie w jednym z nich, białym budynku z czarnymi okiennicami i paleniskiem z beczki koło jednego z rogów, mieszkał Opolonio de Zedeguf.

– Widzisz tych czterech facetów na froncie? – zapytał Leon, wsuwając czubek noża do swojej koperty z frostem. -

Zawsze tu sterczą. To jego goryle. Będziesz musiał coś zrobić, żeby się ich pozbyć. Może jakoś odwrócić ich uwagę... – Wciągnął w nozdrza proszek. Jego czarne oczy się rozszerzyły, policzki zapadły. – Chingaste! Dobry towarek!

Czterej mężczyźni strzegący domu de Zedeguf byli młodzi i mocno umięśnieni, z ich rozluźnionych postaw zaś Mingolla wysnuł wniosek, że są pod kontrolą psychiczną. De Zedeguf okazał się strasznie nieostrożny: to właśnie ci ludzie mogli się stać dla Amerykanów sygnałem jego obecności.

– Jeśli masz więcej tego towaru, to znam pewnych facetów, którzy mogliby pomóc – powiedział Leon.

– Pogadamy o tym później. – Mingolla też uraczył się frostem z ostrza noża i popatrzył dokoła. Zaczynał się przyzwyczajać do hałasu i smrodu, a nawet zadawał sobie pytanie, czy może przypadkiem to miejsce zaczyna mu się podobać. Zachichotał więc, a gdy Leon zapytał, co go rozbawiło, odparł, że nic.

Leon też parsknął śmiechem, jak gdyby słowo „nic” wydało mu się nad wyraz ucieszne. Z kącików jego oczu rozbiegły się ostre linie, nadając skórze twarzy wygląd zmiętego czerwonego papieru.

– Więc – powiedział po chwili milczenia – jesteś jej kuzynem, co? Dziwne, że nigdy o tobie nie wspomniała. A bez przerwy papla o swojej rodzinie.

– Nie znała mnie dotąd – odrzekł Mingolla. – Jestem z innej gałęzi rodu.

– Ach – stwierdził Leon. – To wszystko wyjaśnia. Mingolla przyjął kolejną działkę narkotyku, który robił przyjemne rzeczy z jego głową, ale zdawało się, że rozsadza nos. Może, pomyślał Mingolla, trzeba będzie zacząć go brać pod język. Albo w ogóle przestać brać. Ale tak przywykł do stanu oszołomienia narkotycznego, że uleganie nałogowi uważał już za coś naturalne go.

– Myślałem, że wszyscy jej krewni mieszkają w okolicach Coban – powiedział Leon.

– Widać byłeś w błędzie.

– Kapujesz – podjął Leon – to wariactwo, że się tu przywlokłeś, aby zabić tego faceta. Bo w Bardo on już jest martwy.

– Pewnie masz rację.

– Jakie więc są twoje prawdziwe powody?

Mingolla pojął, że już niebawem będzie musiał coś zrobić z podejrzliwą naturą Leona, ale w tym momencie czuł się zbyt rozluźniony i poukładany wewnątrz, żeby natychmiast zwracać sobie głowę tą sprawą.

– Zabierajmy się stąd – powiedział, wstając.

Kiedy szli w stronę domku Alviny, Mingolla zastanawiał się, czy Barrio naprawdę zaczęło mu się podobać, czy też – co bardziej prawdopodobne – wydaje się za sprawą narkotyku... no, nie dokładnie piękne, lecz malownicze. Wszędzie rozpościerały się widoki, które miały tę wewnętrzną świetlistość i spokój, jakie zwykł kojarzyć z obrazami Starych Mistrzów. Tu trzech mężczyzn gwałci kąpiącą i drapiącą kobietę i oto nagle wszyscy zadzierają głowy, gdy zostaje uniesiony dach i w dół spływa snop białego światła, które oblewa i petryfikuje całą czwórkę. Tam, niemal zatracona w cieniu krytej strzechą szopy, stara wiedźma rodem z Goi, której zniszczoną twarz obramowuje czarny szal, z zakłopotaniem i zdumieniem gapi się na trzymane w dłoni piórko. I całe to miejsce – z jego czarnymi podziałami, dymnopomarańczowymi segmentami nędzy, rozhasanymi płomieniami i niewyraźnymi sylwetkami zjaw – przypominało kolekcję przedrenesansowych tryptyków. Mógłby stać się kimś takim jak facet malujący freski w zbombardowanych wsiach, mógłby pozostać tu na zawsze i zapewnić sobie nieśmiertelność uwiecznieniem życia w przerażeniu i ubóstwie... Zmiana w charakterze zgiełku, fala donośniejszego i zdradzającego większe poruszenie hałasu obudziła nagle czujność Mingolli. Dojrzał w oddali falangę uzbrojonych w bicze i karabiny zamaskowanych strażników, którzy pędzili przed sobą tłum.

– Tędy! – Leon chwycił Mingollę za ramię i szarpnął go w stronę ściany domów. – Tam będziemy bezpieczni.

Mingolla miał złe przeczucia.

– Dlaczego tam?

– Nie polują na nikogo konkretnego... to po prostu nagonka. – Leon pociągnął go raz jeszcze. – Zawsze robią to mniej więcej o tej porze; nigdy nie zaglądają do domów.

Ludzie pędzili we wszystkich kierunkach z wyciem i wrzaskiem, czyjś bark rzucił Mingollę na jeden ze słupów. Opływały go, wirowały wokół niego porażone kwiaty tego samego gatunku, cały bukiet zwiędłych kwiatów ciśnięty do rynsztoka... miały jednakowy wzór z czarnych ust i pustych oczu, a ich płatki przypominały pomarszczoną brązową skórę. Rozgałęziony badylek

dłoni chwycił go za ramię, skrzywione usta zdążyły wyszeptać: „Proszę, proszę”, zanim zostały uniesione w dal. Przebijał się w stronę Leona, ale parcie tłumu zniosło go w bok. Strażnicy napierali coraz bliżej, widział krwawe sploty mięśni na ich maskach, słyszał trzask batogów, a wrzaski prócz paniki wyrażały teraz ból. Mały chłopiec przywarł do jego nogi z rozpaczliwą siłą zwierzątka wczepionego w gałąź podczas huraganu, ale został od niej oderwany, kiedy Mingolla przebijał się przez ludzki zator blokujący powódź. Krzyki wlewały się w zadymione światło, zmuszały je do pulsowania, sprawiały, iż płomień wyżej strzelały z blaszanych beczek; Mingolla doznawał pokusy, by stracić panowanie nad sobą, zacząć chlastać nożem na lewo i prawo, wrzeszczeć z innymi. Dotarł wreszcie do drzwi, w których zniknął Leon, a kiedy je otwierał, pod jego ramieniem wślizgnął się do słabo oświetlonego pokoju kilkunastoletni chłopiec... wślizgnął się i zawył krótko, gdy w poprzek jego szyi błysnął nóż. Z półmroku wychynęła stropiona twarz Leona. Mingolla wepchnął się do izby, ciosem na odlew powalił Leona na podłogę, Leon zaś zrobił przewrót przez ramię i zastygł w półprzykłęku z nożem gotowym do ciosu. Na jego twarzy najpierw odmalowała się dezorientacja, a później, kiedy Mingolla przygwoździł go poczuciem winy i świadomością, że zdradził przyjaciela – ubolewanie. Nóż wypadł mu z dłoni

Mingolla zaryglował drzwi, uklęknął na podłodze i zaczął szukać u chłopca oznak życia; jego dłonie, gdy je po chwili oderwał od ciała, były czerwone. Leon bezwładnie opadł na podłogę pod ścianą w głębi pokoju i płakał, ukrywając twarz w dłoniach. W kącie obok niego otoczona kapiącymi świeczkami, zawinięta w koce równie szare jak jej skóra, trzęsła się stara kobieta, spoglądając trwożnie na Mingollę. Ten zerwał z niej jeden z koców i nakrył nim zwłoki chłopca. Potem podniósł z podłogi nóż i przykucnął obok Leona.

– Dla kogo pracujesz? – zapytał. Leon załkał tylko w odpowiedzi, Mingolla więc dźgnął go w nogę i powtórzył pytanie.

– Dla nikogo, dla nikogo! – Grdyka Leona podskoczyła, jego głos się załamał. – Chciałem tylko reszty narkotyków.

Zdrada Leona uświadomiła Mingolli bezmiar jego bezmyślności. Był jak dzieciak spacerujący po piekle, kontemplujący jego piękno, odgrywający dobrego Samarytanina. Dopisało mu cholerne szczęście, że jeszcze żył. Koniec z idiotyzmami, pomyślał. Dokończy robotę i zabierze się stąd do diabła. Leon zapamiętywał się w płaczu, wylewając błyszczące łzy, a Mingolla przyciskał go coraz mocniej, stopniowo potęgował w nim wyrzuty sumienia – aż do myśli o samobójstwie. Uniósł wyżej nóż i przytknął do szyi Leona.

– Nie, błagam... Boże, nie! – Ciągnąc za sobą girlandę koców, w stronę Mingolli pełzła starucha. – Umrę, umrę!

Wyraźny starczy głos, jak uporczywy ból, jak trące o siebie połamane żebra. Twarz jak szara pośmiertna maska z włochatymi brodawkami i guzowatymi policzkami. Jej śmierć, gdy

nadejdzie, udowodni, że była współniczką śmierci obecnej w całym jej życiu. Mingolla z odrazą odwrócił wzrok, gotów z zimną krwią poderżnąć Leonowi gardło.

– To nie jego wina – zaskowyczała starucha. – On za nic nie odpowiada.

Mingolla miał na to odpowiedź – dzięki Filozofii – ale zatrzymał ją dla siebie.

– Więc czyja to wina? – zapytał, pokazując nożem martwego chłopca.

– Ty nie wiesz – odparła. – Ty nie wiesz, kim on jest... – Łza rozmiaru perły stoczyła się z zaropiałego ciemnego oka.

– Rzeczy, do jakich go zmuszano, straszne rzeczy... ale się nie dawał. Dziesięć lat życia w dżungli. Dziesięć lat życia jak zwierzę, nieustannej walki. Ty nic nie wiesz.

Łkanie unosiło pierś Leona.

– Kim jesteś? – spytał Mingolla.

– To mój syn... mój syn.

– Wiedziałaś, że zamierza to zrobić?

– Tak, i ty zrobiłbyś to samo – odpowiedziała bez wahania. – Tyle narkotyków, tyle pieniędzy. Ty się niczym od nas nie różnisz.

– Nieprawda – zaoponował Mingolla, znów pokazując chłopca. – Ja bym tego nie zrobił.

– Głupiec – stwierdziła kobieta, dobiegające zaś z zewnątrz wrzaski i jęki, słabnące wprawdzie, lecz wciąż stanowiące miarę chaosu, zdawały się echem powtarzać jej słowo. – Co ty wiesz? Nic, ty nic nie wiesz. Leon... O Boże! Kiedy miał siedemnaście lat i był tuż po ślubie, do naszej wioski przyszli żołnierze. Zgarnęli wszystkich młodych mężczyzn, uzbroili ich w karabiny i zawieźli ciężarówką do sąsiedniej wioski, której mieszkańcy wytoczyli proces bogatemu plantatorowi. To był prawdziwy łotr. I żołnierze rozkazali naszym mężczyznom wymordować wszystkie młode kobiety z tamtej wioski. Nie mieli wyboru. Gdyby nie usłuchali, żołnierze wystrzelaliby ich kobiety. – Ze smutkiem popatrzyła na szare ściany, jak gdyby kryły się na nich jakieś wyjaśnienia, powody. – Ty nic nie wiesz.

– Wybacz mi! – wyjęczał Leon. – Boże, o Boże, przebacz mi!

– Wiem, że usiłował mnie zabić – powiedział Mingolla.

– Nie obchodzi mnie, co go do tego popchnęło.

– Czym ja się właściwie przejmuję? – Matka Leona, błagalnie składając dłonie, wbiła spojrzenie w sufit. – Niech zabije mojego syna, niech mnie skaże na śmierć głodową. Dlaczego miałabym dłużej żyć? – Rzuciła Mingolli nienawistne spojrzenie. – No, dalej! – wrzasnęła piskliwie. – Zabij go! Po patrz... – skierowała w stronę Leona gruzłowaty palec... – on też się nie przejmuję. Bo co to za różnica: życie czy śmierć. W tym miejscu to jedno. – Podniosła głos jeszcze bardziej.

– Mam nadzieję, że utkniesz w tej parszywej dziurze na zawsze! Mam nadzieję, że śmierć będzie cię pożerać za życia cal po calu.

Zaczęła szarpać swą bluzkę, odrywając guziki, obnażyła puste worki piersi.

– Mnie zabij najpierw! No, dalej, szatanie! Zabij mnie! Mnie!

A kiedy nie zareagował, spróbowała oderwać jego dłoń od szyi Leona i skierować nóż w swoją pierś. Jej oczy były pełne świetlistego oszalałego życia jak oczy ptaka, jej szponiaste palce miały nadludzką siłę, a oddech ze świstem wydierał się z gardła. Odepchnął ją i zadyszana, obnażając zęby, legła na podłodze – stara posiwała wilczyca, która zaznała strachu, a potem strach pozostawiła za sobą, by z czymś na kształt uniesienia zapragnąć śmierci. Nie litował się nad nią; litość byłaby nie na miejscu, a zresztą stara ani jej chciała, ani potrzebowała. Uspiał ją, aby się pozbyć utrapienia. Odkładając na później sąd nad Leonem, usadowił się w kącie pomiędzy kocami... nawet cuchnęły szarością.

W obronie przed znużeniem znów sięgnął po frost. Bezwzględnie odrzucał możliwość powrotu do domu Alwiny, gdzie doświadczałby nieodpartej pokusy słuchania wspomnień Hermeta i z nowym podziwem patrzył na Alwinę, co by go tylko osłabiło. Tu poczeka do północy, a później zajmie się Opoloniem de Zedeguf. Zajmie się bezceremonialnie. Żadnych akcji odwracających uwagę, żadnych sztuczek. Pragnął pojedynku rewolwerowców, próby sił. Subtelność nie była jego mocną stroną i do czasu aż zyska na doświadczeniu, będzie skłonny do pochopnych działań; musiał przekonać sam siebie o skuteczności brutalnej siły. Swoista nieostrożność była wynikiem opanowania mocy, pomyślał, świadectwem odwagi. A jeśli taka postawa odzwierciedlała częściową utratę instynktu samozachowawczego – drugie dobrze, okaże się tylko atutem zabójcy, jeśli bowiem ktoś ceni własne życie nazbyt wysoko, będzie mu trudno zdevaluować nagle wartość żywotów innych ludzi.

Płacz Leona zaczynał mu przeszkadzać, uspił więc również swojego niedoszłego mordercę. Potem wyjął zdjęcie de Zedeguf i zaczął szukać w nim użytecznych przesłanek. Ale gładka profesorska twarz nie zdradzała niczego, chyba żeby przyjąć, iż jej nieczytelność była sama w sobie dowodem chytrłości. Miał nadzieję, że tak właśnie jest, bo ich walka będzie starciem siły z chytrością: najlepszym egzaminem, jakiemu mógłby się poddać. Zacerpnął kolejną porcję narkotyku rogiem fotografii. Frost przybierał w jego głowie materialny kształt, był zastygłym strumieniem elektryczności, który rychło zaczął eliminować wszystkie myśli prócz odczuwania niesionej przez siebie mineralnej rozkoszy. Błony śluzowe w nosie Mingo lli płonęły, jego serce tłuło jak opętane; siedział nieruchomo. Wpatrywał się w punkt ściany, a jego determinacja przekształcała się w gniew; przypominał wojownika, który wyobraża sobie nadciągającą bitwę, przeżywa ją w myślach, a jednak jest chwilowo bezpieczny w ciepłe domowego ogniska, wśród psów śpiących u jego stóp.

Deszcz zaczął padać tuż przed szóstą, mocny deszcz, którego krople waliły w żelazny dach jak pociski, zagłuszając wszystkie inne odgłosy. W całym Barrio uniesiono fragmenty dachu, pozwalając ukośnym strumieniom deszczu wnikać w pomarańczowy półmrok; pojedyncze

kropki były rozognione i wyraźne. Ludzie zrzucali swe łachmany i z nagimi lśniącoymi torsami tańczyli, rozdziawiając usta; niektórzy chwyтали wodę do wiader, inni zaś opadali na kolana i unosili ramiona ku niebu. Ogień syczały i przygasały, rozpełzał się dym, a powietrze zaczynała przenikać chłodna wilgoć. Nastąpiła ogólna poprawa nastrojów, karnawałowe podniecenie, korzystając więc z niego, Mingolla podszedł do beczki przy rogu domu de Zedeguf i dołączył do trzech zgromadzonych przy niej starych mężczyzn, przekonując ich, że jego obecność jest spodziewana i mile widziana; kątem oka obserwował czterech wartowników strzegących drzwi domu. Postawił blok, stając się niewidzialny dla szczególnych zmysłów człowieka, którego zamierzał zabić, i jął rozmyślać, jak najlepiej się uporać z ochroniarzami.

Starczy piekli węże nadziane na kawałki drutu; węże były chrupkie i poczerniałe, ich oczy przypominały spękane mętne kryształy, z paszcz zaś sączyły się cienkie smużki dymu. Podświetlone płomieniem twarze mężczyzn przemieniły się w trupie maski sklezione z mroku i połyskliwej skóry. Zaproponowali Mingolli porcję mięsa, on jednak zasugerował, by poczęstowali raczej wartowników. Uznali pomysł za świetny. Dlaczego sami na to nie wpadli? Wartownicy ochoczo pospieszyli na ogłoszone szeptem zaproszenie, gdy zaś uspieni przez Mingollę osunęli się na ziemię, starcy wyrazili obawę, że mięso mogło być zatrute. Mingolla uspokoił ich, a potem skłonił do odciągnięcia ochroniarzy w miejsce, gdzie mogliby przyzwicie wypocząć – za usypisko gruzu. Uporawszy się z zadaniem, starcy wrócili do swoich węży, jak gdyby nigdy nic, odkrawali dzwonek i kosztowali, stwierdzając jednogłośnie, iż pieczystemu przydałoby się jeszcze kilka chwil na ogniu.

Pięć minut później w drzwiach swego domu stanął de Zedeguf. Nosił dzinsy i zieloną koszulę z pod winiętymi rękawami, był szczuplejszy, niż przypuszczał Mingolla; zapuścił włosy, które w puklach spływały mu na ramiona, a jego smągła twarz wyrażała opanowanie. On też krył się za blokiem, który jednak opuścił, zauważywszy nieobecność wartowników. Jego żar był mocny, słabszy jednak niż Tully'ego, co do tego stopnia wzmogło pewność siebie Mingolli, że i on opuścił blok. De Zedeguf wypatrzył go pośród mężczyzn skupionych wokół beczki i gestem wyrażającym bezradność rozłożył ramiona; potem przyzwał go skinieniem dłoni, Mingolla zaś, wierny idei starcia twarzą w twarz, bez wahania podszedł do niego. Bębienie deszczu zdawało się dobiegać z wnętrza jego ciała, odzwierciedlając przyptyw adrenaliny.

– Spodziewałem się ciebie – powiedział de Zedeguf miękko, starannie modulowanym głosem.

Mingolla nic nie odrzekł, przepełniony obawą, że rozmowa, że jakakolwiek interakcja zachwieje jego stanowczością.

– Wiedziałem, że w końcu kogoś przyślą i wiedziałem, że będzie to ktoś silny. Ale ty... – uśmiech de Zedeguf był wąski i smutny – ...chyba postawili na metodę stosowania nieproporcjonalnie potężnych broni. – Potarł szczękę środkowym palcem, jak gdyby wygładzał

jakaś nierówność skóry. – Przybyłeś, żeby mnie zabić?

Mingolla zachowywał milczenie.

– No tak, cóż... – Zedeguf znów wyciągnął ręce w geście kapitulacji. – Obiecuję, że nie będę stawiać oporu. Bo przecież i tak byłbym bez szans... jestem pewien, że zdajesz sobie z tego sprawę. – Prychnął nerwowym śmiechem. – Jeśli więc nigdzie się nie spieszysz, wejdźmy do środka. Może pozwolisz mi na ostatniego papierosa i ostatnią szklaneczkę wina? Jestem zagorzałym formalistą, a zawsze żywiłem przekonanie, iż ludzka śmierć winna mieć nader rygorystyczną i formalną oprawę.

Nic nie szło zgodnie z wyobrażeniami Mingolli, którego kapitulacja de Zedeguf zbiła z pantafelku. Był bezradny wobec faktu, że zaczyna współczuć.

– Nikt się tam nie kryje – powiedział de Zedeguf. – Sprawdź przez okno, jeśli chcesz.

Mingolla podszedł do okna, otworzył okiennice i zajął do środka. Prycza pod ścianą w głębi, poduchy w rogu, wisząca pod sufitem lampa naftowa, która roztaczała niepewną pomarańczową poświatę. Podłoga zasłana konserwami, butelkami i bardzo wieloma książkami. W pokoju panowała czystość.

– W porządku – powiedział Mingolla. – Chodźmy.

Gdy się znaleźli w środku, de Zedegui tak zmniejszył płomień lampy, że wnętrze pokoju niemal utonęło w mroku.

– Bez obawy – powiedział. – Nie będzie żadnych sztuczek. Po prostu lubię ciemności. – Podniósł butelkę i usiadł na pryczy. – Niczym cię nie poczęstuję, nie chcę cię bowiem ugłaskiwać. W gruncie rzeczy niecierpliwie oczekiwałem twojego przybycia.

– Pragniesz śmierci? – zapytał Mingolla, sadowiac się na jednej z poduch.

Rozbłysła zapalka, papieros obudził się do życia, a Zedegui, niemal stapiając się z ciemnością, leniwie oparł się o ścianę.

– To nie tak. Po prostu nie chcę dłużej być tym, kim jestem.

Mingolla poczuł, że jest na straconej pozycji, uświadomiwszy sobie, że został wciągnięty w świat egzystencjalnych problemów de Zedegui; zastanawiał się, czy będzie w stanie doprowadzić rzecz do końca.

– Pewnego dnia możesz dojść do takich samych wniosków – ciągnął de Zedegui. – Niczym się ode mnie nie różnisz.

Deszcz słabł, a jego bębnienie cichło, znów dopuszczając do głosu brutalną muzykę Barrio.

– Co sprawiło, że tu trafiłeś? – zapytał Mingolla.

– Zrozumiałem, że stałem się zbrodniarzem – odparł de Zedegui. – Powinienem być to pojąć już dawno temu, ale byłem zbyt... – roześmiał się cicho – ...zbyt rozkochany w swej zbrodniczości, aby się na niej poznać. Kiedy jednak wreszcie do tego doszło, zapragnąłem się znaleźć w samym sercu prawa, poddać jego naukom, jego mądrym mechanizmom. Jestem, jak ci

wspomniałem, wielkim formalistą.

– Pokuta? – spytał Mingo lla.

– Sprawiedliwość. Oczywiście, sprawiedliwość zawsze mylono z karą. Ludzie od stuleci wytyżali wyobraźnię, żeby wykoncypować sprawiedliwe kary. Czy wiesz, na przykład, że pisarz nazwiskiem Bexon proponował w swoim czasie cały system penitencjarnej heraldyki? Sugerował, aby skazańcy byli wiedzeni na szafot w czerwieni lub czerni, by ojcobójcy nosili czarne welony z wyhaftowanymi sztyletami, giezła zaś trucicieli były przyozdobione wizerunkami węży. Zdumiewające! Cóż mógłby mnie obchodzić kolor mojej śmiertelnej koszuli? Pragnę tylko sprawiedliwej kary za swoje zbrodnie i oto – wzniosł w stronę Mingolli toast swoją butelką – oto przybyłeś.

– Dlaczego nie popełniłeś samobójstwa, jeśli traktujesz siebie tak bezkompromisowo?

– Nie słuchałeś mnie uważnie. Pragnę sprawiedliwości, a zapewne okazałbym wobec siebie więcej miłosierdzia, niż ty okażesz. – De Zedeguf pociągnął długi haust wina. – Nie ma zresztą sensu mówić ci czegośkolwiek. Jesteś zbyt młody, zbyt niedoświadczony. Kiedy jednak dotrzesz do Sektora Jaspisowego, wszystko zrozumiesz... choć może nic cię to nie obejdzie. Większości z nas nie obchodzi.

– Sektor Jaspisowy? Co to takiego?

– Nieba wem się do wiesz – odparł de Zedeguf. – A powątpiewam, czy uwierzyłbyś mi w tej chwili.

– Mogę cię zmusić do mówienia.

– Dlaczego więc nie zmuszasz? Powiem ci dlaczego. Bo mnie żałujesz... a jeśli nie żałujesz, to jednak czujesz coś wobec mnie. Tak zaś zostałeś odarty z wszelkich uczuć przez proces, który cię zrodził, że pragniesz teraz wczepić się kurczowo w jakieśkolwiek uczucie, nawet najbardziej błahe. W końcu jednak spełnisz swoją powinność. Jesteś potężną istotą, zbyt rozmiłowaną w posługiwaniu się swą mocą, by zrozumieć, jakie spustoszenia... – jego głos wyrażał teraz napięcie – ...jakie straszne spustoszenia poczynisz w samym sobie.

Mingolla, już wcześniej rozgniewany opinią de Zedegui na swój temat, przeląkł się teraz pasji, z jaką została wygłoszona ta ostatnia diagnoza.

Stęzał, gdy de Zedegui zeskoczył z kozetki, Nikaraguańczyk jednak zaczął tylko przemierzać pokój, wędrując z półmroku w ciemność i z powrotem. Zgniół niedopałek papierosa.

– Więzienia... fascynujący temat. Napisano tomy na temat psychologii ich projektowania. Bentham, na przykład. Panopticon. Cudowna konstrukcja! Kolisty budynek z wieżą w środku dziedzińca; wieża ma szerokie okna ze wszystkich stron, cele zaś znajdujące się na obwodzie są podświetlone, tak że widać je z wieży niczym tysiące małych scen. Obserwatorzy natomiast – strażnicy – są, rzecz jasna, niewidoczni dla więźniów. Ich niewidzialność gwarantuje porządek. Kto podejmie próbę ucieczki, jeśli jest nieustannie obserwowany? Panopticon przypomina pewne

penitencjarne rozwiązanie opracowane w Sektorze Jaspisowym, choć nie dorasta mu do pięt pod względem efektywności. Prawda jednak wygląda tak, że Sektor Jaspisowy to dowcip... dowcip, który moc zrobiła samej sobie. – Pogroził Mingolli palcem wskazującym. – Tylko poczekaj, aż tam dotrzesz! Nie uwierzysz, co się dzieje! Ta mała waśń rodowa związana z obecną wojną. Madradonowie i Sotomayorowie.

– Słyszałem już te nazwiska – stwierdził Mingoła, szperając w pamięci. – Chyba natrafiłem na nie... w pewnym opowiadaniu, które kiedyś czytałem.

De Zedegui się roześmiał.

– To nie fikcja literacka, uwierz. Sam się zresztą przekonasz. – Wciąż maszerował od ściany do ściany, stawiając stopy mocno, jakby rozdeptywał małe ogniska, a jego słowa eksplodowały niczym pociski wypełnione pasją. – Czy wiesz, że kiedyś wyznanie winy uważano za podstawową formę sprawiedliwości? Ludzie czynili to na szafotach. „Och, Panie, prze bacz mój ohydny uczynek, mój haniebny grzech!” Tu, w Hondurasie, nie pozwalamy tradycji umrzeć. Złodzieje bydła są fotografowani z kawałkami wołowiny w dłoniach, a ich zdjęcia publikuje się w prasie. Na własne oczy widziałem kiedyś dwóch morderców podtrzymujących między sobą ciało ofiary, którą utopili. Odrażający widok! Gałki oczne trupa wychodziły z orbit niczym dwa białe jajka na twardo... dzieciom, które przechodziły obok, pozostał prawdopodobnie uraz na całe życie. Któż jednak mógłby uwierzyć moim wyznaniom? Jakie dowody mógłbym przedstawić? – Cisnął butelką o ścianę, a odpryski szkła zaostrzyły końcówki nerwów Mingołli. – Żyjemy w średniowieczu! Na prowincji pienią się pręgięrze, szubienice i koła tortur. Karnawał kar! A ja przyczyniłem się do... – Stał przy drzwiach. – Sądzę, że powinieneś brać się już do dzieła... naprawdę tak sądę.

Mingoła, pokonany, opuścił głowę. Nikaraguańczyk był szalony, żaloszny; poczucie winy obnażyło całą jego wrażliwość. Nie będzie żadnej walki, żadnego pojedynku rewolwerowców. Tylko eksterminacja.

– Na co czekasz?

– Oduść sobie, dobra? – powiedział Mingoła.

– Och, czyżbym dogrzebał się twojej duszy? – zapytał de Zedeguf z udawaną troską. – Ekshumował jakiś strzęp człowieczeństwa? Mamy drobne kłopoty z motywacją, co? Hej, zaraz ci pomogę.

Podszedł do Mingołli i mocno kopnął go w gołeń. Mingoła krzyknął, chwytając się za uraźone miejsce.

– Jeszcze więcej motywacji? – spytał de Zedeguf. – Dobra.

Splunął Mingołli w twarz.

Przejęty odrazą, a jednak hamujący reakcje, Mingoła otarł policzek rękawem.

– Cóż za opanowanie! – De Zedeguf klasnął w dłonie. – No, stanowisz zdumiewająco udaną

kopię człowieka! Ale... – zniżył głos do jadowitego szeptu – ...obaj wiemy, że nim nie jesteś. Dalej, dupku! Buzuje w tobie cała ta moc, wszystkie te zgniłe zrobaczywiałe soki, a ty naprawdę nigdy jej nie użyłeś. A wiesz, że chcesz... no więc zasuwaj! Masz mnie! Oślepij mnie swoimi błyskawicami! – Parsknął niebosiężnym figlarnym śmiechem i kopnął Mingollę w udo.

– Cholera jasna! – Mingolla odtoczył się od niego, przykucnął, a jego oczy zwęziły się nienawistnie.

– Cudownie! – stwierdził de Zedegui. – Ogar warczy, ślepią mu czerwienieją!

Gniew Mingolli, sycony obrzydzeniem do samego siebie umiejętnie stymulowanym przez Nikaraguańczyka, osiągał punkt krytyczny i Mingolla pomyślał, że odpłacenie przysługą za przysługę byłoby jak najbardziej na miejscu. De Zedegui splunął, trafiając Mingollę rozdrobnioną śliną.

– To zabawne patrzeć, jak udajesz zwykłego chłopaka, pod czas gdy jesteś tylko plugawym małym pajakiem, gotowym wstrzyknąć jad jednemu ze swych słabszych braci. – Kolejne kopnięcie. – Nie tłum tego w sobie! Tylko pomyśl o ekstazie, w jaką wprawi cię morderstwo, moment, gdy twe myśli prze szycią mnie jak strzały, to... jak tę rzecz nazywają Amerykanie? Pieprzenie się z duszą. Cóż za cudownie trafne określenie! Doznasz orgazmu, kiedy zajebiesz moją duszę na śmierć. Jakim cudem możesz czekać tak długo? A może to tylko gra wstępna, budowanie napięcia?

Wymierzył jeszcze jednego kopniaka, a kiedy cofał nogę, Mingolla zaatakował go z całą swoją mocą – której skali nawet nie podejrzewał – topiąc Nikaraguańczyka w falach obrzydzenia do samego siebie. De Zedegui zatoczył się w zgęstek mroku koło drzwi i Mingolla usłyszał narastający syk, jaki mógłby wydawać czajnik z wrzącą wodą. De Zedegui chwycił się dłońmi za skronie, wypadł przez drzwi, zachwiał się i zniknął za rogiem. Mingolla podążył za nim.

Trzej mężczyźni ciągle siedzieli wokół beczki, kiedy rozpychając ich na boki, nadbiegł de Zedegui. Wstrząsany przez silne dreszcze stanął przy beczce, a potem oburącz uchwycił jej krawędź. Musiała być rozpalona, a jednak nawet nie pisała.

Jeden ze starców ruszył w jego stronę z dobytym nożem, ale zanim zadał cios, de Zedegui, z formalną precyzją człowieka składającego ukłon, pogrzył głowę w beczce. Bijący z niej blask osłabł o połowę; kiedy de Zedegui się wyprostował, górną część jego ciała spowijała ognista aureola, wysokie na stopę płomienie strzelały z jego czerepu na kształt poprzetykanych czarnymi nitkami pomarańczowych włosów. Rozległy się wrzaski, szelest głosów, wielu głosów rozbiegających się z nowiną jak wiatr po lesie. Przez moment Mingolla myślał, że de Zedegui wyżyje, że nonszalancko wepchnie dłoń w kieszenie spodni i spacerkiem ruszy przez Barrio. Wtedy jednak, wciąż sięjąc iskrami, Nikaraguańczyk osunął się na ziemię i rychło zniknął w cizbie ciekawskich, a także tych, którzy usiłowali zdjąć mu buty i zegarek.

Mingolla nie mógł pozbierać myśli i doznał przelotnej obawy, że zostały wessane w ściek

śmierci Nikaraguańczyka, że spłynęły na jakieś wysypisko zużytych fal mózgowych. Wycofał się do domu, uspokoił nieco w mrocznym pokoju. Było jeszcze wcześniej... co zrobi z całym tym wolnym czasem? Wrzasnął gniewnie, gdy ktoś zajrzał przez drzwi. Wygrzebując z kieszeni kopertę z frostem, znalazł – przejęty zgrozą – fotografię uśmiechniętego de Zedeguf; cisnął ją w kąt i usiadł na pryczy. Nabrał białego proszku na klingę noża, przytknął do nosa. Za szybko... rozsypał proszek na kolana i podłogę. Drasnął ostrzem nozdrze. Uspokój się, powiedział sobie; to nie była twoja wina. Nie chciał, by de Zedeguf wsadził łeb do ognia. Ale nie miał pojęcia, czego chciał. Żeby facet po prostu uderzył w kalendarz, nagle i bezboleśnie. Tak, to by było do przyjęcia. Poniuchał jeszcze trochę. I jeszcze. Łopatował frost coraz szybciej, a krew mieszała się z proszkiem na ostrzu noża, tworząc ciekłą skorupkę. Boże, ależ był ugotowany! W ciemnościach unosiły się błyski jak gwiazdy, jak miniaturowe płonące głowy, jego serce wystukiwało tuzin rytmów na raz. Bezboleśnie. Tego właśnie chciał. Jasne, słusznie, powiedział. Pławiłeś się w możliwościach przemocy, wyobrażając sobie czaszki rozszczerzone widłami myśli, i gównem cię obchodził ten facet. No więc co z tego? Pragnął śmierci, nie? Jeszcze kapką frostu? Ależ z przyjemnością. Nie zaszkodzi. W istocie bezboleśnie. Jak ten twój krwotok z nosa, człowieku? Chryste, nawet nie zauważył. Na całych cholernych ustach, podbródku. W Piekle, napisał w swoim duchowym pamiętniku, Mingolla doznał krwotoku z nosa i nie dał się poważnie wciągnąć: nie pił wody, nie kosztował potraw, nie... Morda w kube! Zrozum mnie! Wstrzeliłeś mi w mózg parszywą myśl i fiuuu! Cały płonę! Przestań! Fiuuu, trzask. Poczuleś ten smród? Gorszy niż tamte jebane węże! Lepiej niuchaj to gówno na klindze, człowieku, bo tak się trzęsiesz, że je rozsypujesz. Tak, o to chodzi – I jeszcze trochę... odrobinę. Widzisz, jak to wycisza głosy, wspomnienia? Jak wszystko wygląda? Jak zaszywa usta mózgu ścięciem błękitno-białej elektryczności? Wkrótce nie będzie nic prócz błękitno-białej roziskrzanej ciszy. Ale wiesz co, Davidzie, Davy, Dave, panie Mingolla, wiesz co?

Słucham?

Nawet ona może być oskarżeniem.

Podczas drogi powrotnej do La Ceiba, jazdy przez bezksiężycowe ciemności, Mingolla siedział na przodzie autobusu ze strażnikami, Carlitem, Martinem i Juliem. Unikał spoglądania na Alvinę siedzącą o kilka rzędów dalej; zamiast tego studiował maski klawiszów. Odnosił wrażenie, iż zaczyna je rozszyfrowywać, że jest teraz w stanie przypisywać wyrazy twarzy mapie krwawych ścięgien i mięśni. Nienawidził tych masek, co jednak nie miało związku z jakimś konkretnym urazem czy poglądem. Nienawiść stawała się czymś, co skrywał w tajemnym schowku, czymś statycznym i bezosobowym, a przecież – niczym licencja na posiadanie broni – oznaką jego tożsamości. Słuchając, jak strażnicy żartują na temat banalnych zdarzeń ze swego życia i rzeczy, które widzieli w Barrio, podjął decyzję. Jedynie słuszną, uznał. Oko za oko i tak dalej.

Autobus zatrzymał się na skraju miasta i dziwki jak jeden mąż pomaszerowały w stronę Avenida de la Republica. Mingolla siedział ze spuszczoną głową, czekając na motywację, na cokolwiek, co da mu impuls do działania: aż tak był pusty.

– Czy nie musisz złożyć meldunku? – zapytał jeden ze strażników.

Mingolla ujrzał zwrócone na siebie trzy anonimowe twarze.

– Jesteśmy w niebezpieczeństwie – powiedział, wspierając swoje twierdzenie emocjonalnymi dowodami. – Wsiadajcie z autobusu.

Kazał im odłożyć karabiny, podniósł jeden z nich, odbezpieczył.

Wiatr znad morza ciągnął jednostajnie, mierzwił trawę na poboczu, obsypywał ramiona Mingolli gęsią skórą. Strażnicy w powiewających koszulach stali na prawo od drzwi, zabijając ramiona w obronie przed chłodem. Ich twarze były wyrażającymi strapienie płataninami ścięgien i mięśni.

– Nie dopuście, by was dostrzeżono – przestrzegł ich Mingolla.

– Połóżcie się w trawie, a ja dam wam znać, kiedy niebezpieczeństwo minie.

Dwóch posłusznie legło w trawie, trzeci jednak spytał:

– Jakie niebezpieczeństwo?

– Straszne – odparł Mingolla, wywierając nań jeszcze większy wpływ. – Teraz szybko, szybko!

Ukryli się w trawach, Mingolla zaś odniósł wrażenie, iż odpadli od Ziemi, by poszybować w mrok długim łukiem. Dlaczego to robię? – zadał sobie pytanie. Co to zmieni? Jakiemu imperatywowi moralnemu służy? Czerń była wszędzie, gdziekolwiek popatrzył. Czarne morze, czarna trawa, czarne powietrze. Tylko autobus był biały... fałszywie biały. Jeden ze strażników podniósł głowę, a jego czerwona twarzyczka ze zdziwioną dziurą ust, obcy element w niespokojnym poemacie kołysanych wiatrem traw, zirytowała Mingollę.

– Padnij! – wrzasnął – Padnij!

I otworzył ogień. Salwy były ledwie słyszalne wśród zawodzenia wiatru. Kosił trawę aż do ostatniego naboju w magazynku. Wtedy chwycił broń za lufę i cisnął w stronę morza. Nastawił uszu. Nic, żadnych jęków, żadnych krzyków, śmiertelna cisza była zdumiewająca w swej głębi. Umarło wszystko, co jeszcze niedawno było żywe. To się Mingolli podobało. Cisza muskała jego serce zimnym pocałunkiem węża; zastanawiał się, czy powinien zbadać ciała, poszukać oddechu. Nie, uznał, nie ma potrzeby. Powąchał powietrze. Słone i czyste. Wypełnił swoją powinność, uczciwie wypełnił. Mógłby, syty chwały, pozostać tu na zawsze, w końcu jednak wsiadł do autobusu i pojechał do miasta.

Kroczył po Avenida de la Republica i zaglądał do barów, czując się oddalony od muzyki i śmiechu, niewrażliwy na atmosferę. Kupił cukrową watę o smaku cytrynowym, wsysał ją

niespiesznie, idąc przed siebie, obdarzał wszystkich uśmiechami, zyczliwie kiwał głową dzieciakom, które podtykały mu pod nos biżuterię z koralu. Gdy potrąciła go dziwka, która chwiejnie wytoczyła się z baru, objął ją w talii, żeby podtrzymać przed upadkiem. Była chuda, piegowata – w czym przypomniała mu Hettie – i bardzo pijana. Wciąż trzymając dziewczynę w pasie, odprowadził ją do hotelu, a gdy stanęli przed drzwiami, zaproponowała, by wszedł z nią na górę.

– Żałuję, ale nie mogę – odparł. – Jestem umówiony.

– Cóż... – uklepała koafiurę i uśmiechnęła się mętnie – miły jesteś, że mi po mośleś.

– Cała przyjemność – powiedział i zniknął.

Ulicę zamykał skwerek z wysokimi krzakami hibiskusa, pokrytymi różowym i czerwonym kwieciami, palmami kokosowymi piętrzącymi się nad szachownicą ścieżek, kamiennymi ławkami i taką fontanną o kształcie lilii. Obok skweru wznosił się duży biały kościół o rozświetlonej fasadzie, do drzwi którego prowadziły dwie kondygnacje schodów. Mingolla wybrał ławkę w pobliżu fontanny i przyjął niewielką dawkę frostu – dość, żeby obudzić w sobie czujność i przydać blasku tryskającej wodzie. W pobliżu, pod hibiskusem, kilku małych pucybutów gawędziło ze sobą i paliło papierosy. Ich skrzynki były ozdobione mozaikami z tłuczonego szkła i w oczach Mingolli chłopcy byli grupką krasnali ze skrzącymi się od diamentów kuferkami. Mingolla miał ochotę na papierosa: nigdy wprowadzić nie palił, opierając się jednak na opiniach palących kumpli, doszedł do wniosku, iż w tej właśnie chwili jest idealny moment na dymka, który pomaga człowiekowi pozbierać myśli do kupy. Zamiast tego znów sięgnął po biały proszek. Pucybuci przyglądali się temu z zainteresowaniem, żaden jednak nie kwapił się, by pobiec na policję. Frost mile go szarpnął rozluźniająco-sprężającym kope m; Mingolla założył nogę na nogę i pomyślał, że zareagował nieco patologicznie na śmierć de Zedegui. Chociaż to było trudne do uniknięcia, ale na przyszłość będzie lepiej przygotowany. Pojedzie do Peten, zajmie się Deborą, a potem... cóż, potem przyszłość ułoży się sama.

Wątle strużki muzyki z barów przyniosły wspomnienie nocy na Florydzie, spędzanych nad morzem z dawną dziewczyną, drzwi samochodu otwartych po to, by pieprzyć się na plaży lub mieliźnie, mogli słuchać radia. Człowiek wchodził w morze na odległość stu jardów i miał suchy zadek. Woda była spokojna i ciepła jak zupa. Boje ze światełkami migotały niczym spadłe gwiazdy. Małolaty chłapy w innych samochodach i ciskały flaszki w stronę morza. Te myśli poprawiły mu samopoczucie. Miał zły okres, ale to minęło; odzyskał swoje wspomnienia. Wszystkie. Żeby to uczcić, wyniuchał solidną działkę i poczuł nagle, że jest Davidem Mingolla, Davidem jebanym Mingolla, facetem, którego omal nie zgubił, facetem, po którym oczekuje się wielkich rzeczy, dawnym sobą... i kimś więcej.

SZMARAGDOWA STREFA OGNIOWA...

Wedle tradycji, zniewagą, która doprowadziła do wybuchu wojny pomiędzy Madradonami a Sotomayorami, było uwiedzenie w roku 1612 Juany Madradona de Lamartine przez Abimaela Sotomayora, czyż jednak można wytłumaczyć stulecia rozlewu krwi i występków emocjonalną reakcją na ten jednostkowy uczynek? Czyż można obarczyć winą za Rzeź Niewiniątek w Bogocie w roku 1915 lub podłożenie bomby pod siedzibą Sotomayorów w mieście Guatemala w roku 1949 eksces mężczyzny nieżyjącego od trzech wieków? Nie, waśń pomiędzy dwoma rodami zrodziła się – jak wszystkie wielkie konflikty – z żądzą władzy i potęgi, potęgi drzemiącej w niewinnym z pozoru ziele, które rosło jedynie w pewnej dolinie na zachód od miasta Panama, przepołowionej granicą dzielącą włości zwaśnionych stron.

Juan Pastorn,
z Wojny pomiędzy Madradonami a Sotomayorami

Rozdział 9

Podczas ostatniej nocy spędzonej wspólnie w Peten Santos Garrido opowiedział Mingolli historię. Nie był to gest kumpłowski bądź pouczenie, lecz po prostu odpowiedź na niewinne pytanie, z powodu wypadków jednak, które wydarzyły się wkrótce potem, Mingolla zaczął mu przypisywać sens nieco głębszy.

Trzy dni przebijali się przez dżungłę, pozostawiając za sobą wioskę Sayaxche, niegdyś bazę wypadową piechoty kubańskiej, obecnie natomiast – gdy walki przesunęły się na północ wzdłuż granicy Meksyku – zredukowaną do zapyziałego i mało znaczącego przystanku dla wędrownych handlarzy, którzy przemierzali Rio de la Pasión, sprzedając latarnie z cyny, bele taniej materii i plastikowe dzbanki w pasy. Mingolla doświadczył dotąd dżungli tylko podczas przechadzek po jej obrzeżach rozciągających się wokół Mrówczej Farmy, teraz więc, znalazłszy się w samym sercu lasu deszczowego, przekonał się z zaskoczeniem, jak bardzo jest wymagający wobec wszystkich, którzy do niego wkraczają. Maszerowali wąskimi ścieżkami z brązowej gliny, poprzecinanymi przez miniaturowe bruzdy, szlaki mrówek, i za każdym razem, gdy Mingolla przystawał, żeby złapać oddech, mrówki rojnie wspinały się po jego nogach i cięły jak najęte; ponieważ przewodnik Garrido nie zamierzał czekać, aż Mingolla postrąca intruzów, ten bił mrówki w marszu, w związku z czym jego łydki pokryły się rozległymi sińcami. Napotykali po drodze grube materace zgniłych lian, z których podrywały się chmary żądliwych much i komarów; owady brzęczały we włosach Mingolli, wdzierały się do jego ust i nosa. Nurkowali w skalne parowy, przepelzali pod pniami powalonych drzew, których mieszkańcy – stonogi i pająki – spadały im na karki. Upał był zrazu nieznośny. Swój środek przeciwko komarom Mingolla wypocił w kilka minut i musiał się nacierać wodą, w której Garrido rozpuszczał tytoń z cygar, hołdując teorii, że tytoń to najlepszy z repelentów... teorię tę Mingolla nie bez satysfakcji zdyskwalifikował. Im jednak głębiej wnikali w Peten, tym stawało się chłodniej, bardziej lepko i wilgotno. Każdy liść, o który się otarł człowiek, pozostawiał na ubraniu mokry ślad i nawet wrzaski małp brzmiały dziwnie. Mingolla zaczął dostrzegać urodę dżungli. Zielone światło, zielony cień. Iście katedralne kolumny gigantycznych figowców i drzew ceiba o pniach włochatych od pomarańczowego mchu pokrytego tu i ówdzie plamkami motyli, które miały skrzydła rozpiętości sześciu cali, podtrzymywały łukowate sklepienie listowia. Spowite w pnącza wapienne złomy sterczały z poszycia dżungli niczym skamieniałe kutry z dna dawno wyschniętego jeziora. Aurę osobliwego martwego piękna podnosiły poniewierające się wszędzie wojenne śmiecie. Hełm bojowy z potraskanym wizorem leżał we wgłębieniu jak dziwaczne jajo; z kępy bambusów sterczała opleciona rozkwitłymi epifitami wieżyczka przerdzewiałego miniczołgu; niewybuch do tego stopnia pokryły porosty, że zaczął przypominać warzywo, jak gdyby dżungla, małpując twory wojny, stworzyła byt zdolny uchodzić za jeden z nich.

Trzeciego wieczoru Mingolla i Garrido rozbili obóz pod wysoką półką ze skały wapiennej – rozpięli hamaki pomiędzy trzema drzewami sapodilla i zjedli kolację złożoną z zimnej fasoli i placków. Garrido był pomarszczonym, ale czerstwym mężczyzną tuż po sześćdziesiątce, miał wciąż czarne włosy i ciemnobrązową skórę o różowym odcieniu. Dotąd odzywał się do Mingolli tylko po to, aby poinstruować go bądź przestrzec, i było oczywiste, że nie ma o nim wysokiego mniemania ani jako o kompanie, ani mężczyźnie. Mingolla nie przejmował się jego opinią; Garrido był dlań wyłącznie instrumentem.

Po kolacji przez godzinę czyścił swój pistolet maszynowy, a potem wyjął działkę frostu i uczciwie się podkęcił. Blask księżyca przesączał się przez listowie, tworząc srebrzyste kałuże na skale i roślinach, i mogło się zdawać, że siedzą na pofałdowanej płachcie czarnego materiału pokrytego abstrakcyjnym wzorem. Owady i żaby rozpoczęły swój niesamowity chóralny śpiew, przypominający muzykę bulgocącej wody i wiatru w pustych bambusowych łodygach. Mingolla zasłuchał się przez chwilę, zawieszając w pół drogi nóż ze szczyptą białego proszku na czubku.

– Dlaczego to bierzesz? – zapytał Garrido.

Mingolla wciągnął proszek w nozdrza i odchylił głowę, pozwalając mu spłynąć w dół.

– Wyostrza widzenie – odparł z chropawym śmiechem. – No i odstrasza robactwo.

– Jesteś narkomanem?

– Mam lekkie uzależnienie. Garrido milczał przez chwilę.

– Kiedyśmy wyruszali w drogę – powiedział w końcu – chyba cię nie rozumiałem. Sądziłem, że jesteś inny niż wszyscy Amerykanie, których dotąd prowadziłem. Dlaczego, zadawałem sobie pytanie, ten młody człowiek poluje z taką gorliwością? Wyczuwałem w tobie coś pozostającego w sprzeczności z podobnymi łowami. Ale byłem w błędzie. Jesteś taki sam jak inni. Patrzysz na sprawy w taki sam sposób.

– Czyli w jaki?

– Beznamiętnie.

Prychnięcie Mingolli po części służyło udroźnieniu nosa, po części wyrażało reakcję: wyzbycie się wszelkich emocji uważał za ideał.

– Jak gdyby – ciągnął Garrido – uczucie miało być przeszkodą w realizacji twoich głównych celów.

– Dlaczego mi to mówisz?

– Dobrze jest wiedzieć, na czym się stoi, kiedy człowiek wyrusza na niebezpieczną wyprawę.

– Mówisz więc, że w razie czego nie mogę na ciebie liczyć?

– Po prostu określam granice swojej odpowiedzialności.

Muzyka dżungli rozbrzmiewała coraz głośniejsz, napierała na nich i Mingolla wyobrażał sobie ciemność pod postacią otaczającego biwak miliarda otwartych gardeł.

– Dlaczego się fatygujesz? – zapytał.

Garrido wyłowił cygaro z kieszonki koszuli i zapalił je. Ognik rozświetlił jego usta i skrzesał lśnienie z oczu.

– Kiedyś w nienaruszonym kurhanie znaleźliśmy z kumplem jadeitowy kubek. Wytwór Majów. Wygraliśmy los na loterii. Ale pragnąłem zdobyć tylko dla siebie i umknąłem z nią. Potem się dowiedziałem, że kumpel zmarł na malarię... bo nie miał pieniędzy na lekarstwa. Odtąd jestem uczciwy wobec kom panów. Uczciwość pozwala uniknąć podobnych nieporozumień.

Powiedział to z niejakim uczuciem w głosie i Mingolla usiłował zobaczyć, jaki ma przy tym wyraz twarzy, jednak daremnie.

– A co z tym kubkiem?

– Został skradziony... przez jednego Amerykanina.

– Co wyjaśnia, dlaczego za nami nie przepadasz – stwierdził Mingolla, sięgając do paczuski po następną porcję frostu.

– Nie w tym rzecz. Rozumiem Amerykanów, a trudno darzyć uczuciem coś, co się rozumie.

– Naprawdę musisz się cholernie męczyć – zauważył Mingolla – powtarzaniem takich pierdoł. Wiem, jak to jest ze mną. Rzygać mi się, kurwa, chce, kiedy odnajduję w sobie ten cały szajs, który uważałem za wielką mądrość, a w dodatku dociera do mnie, że w ogóle mogłem traktować go serio. Ale już kilka chwil później na nowo obsrywam nim wszystko dokoła. – Wciągnął narkotyk w nozdrza, wypluł flegmę. – Wybacz. Po prostu ogarnia mnie pusty śmiech, kiedy słyszę takie wielkokalibrowe idiotyzmy jak „Rozumiem Amerykanów”. Szczególnie gdy zaraz potem pada: „trudno darzyć uczuciem coś, co się rozumie”. Chcę powiedzieć, że to diablo głębokie. Coś, kapujesz, jak filozofia.

– Może masz rację – odparł Garrido – ale to, co przed chwilą powiedziałem, jest zupełnie słuszne w odniesieniu do ciebie i mnie.

– Dajmy na to.

Może, rozmyślał Mingolla, nie iść tej nocy spać i nasycić się do wypęku puszczańską pseudo-filozofią w stylu Garrida?

– Dlaczego więc dla nas pracujesz, skoro za nami nie przepadasz?

Garrido wypuścił dym i kaszlnął.

– Opowiem ci pewną historię.

– O rany, chłopie! – wykrzyknął Mingolla. – Tylko skoczę po prażoną kukurydzę! Jaki ma tytuł?

– Nigdy jej nie tytułowałem – odrzekł Garrido z nutą rozdrażnienia w głosie. – Ale chyba możemy ją nazwać „Duch konkwistadora”.

– Aż dreszcz człowieka przechodzi. – Mingolla pochylił się do przodu z udawaną uwagą kretyna. – Zamieniam się, kurwa, w słuch.

– To jedyna odpowiedź, jakiej mogę udzielić – powiedział Garrido sucho. – No więc chcesz wysłuchać czy nie?

– Jasne, że chcę... bo w telewizorni chyba nic ciekawego, nie?

Garrido westchnął z irytacją. Owady rojnie krążyły po splątanych orbitach wokół ognika jego cygara, przemykając jak białe punkciki przez aureolę blasku.

– Kiedyś, niezbyt dawno temu – zaczął Garrido – był sobie pewien myśliwy, Maj, jak ja, który mieszkał w wiosce położonej nieopodal ruin Yaxchilanu. Codziennie wstawał przed świtem, jadł śniadanie z żoną i synem, a następnie, uzbrojony w strzelbę, wyruszał do dżungli. Pobwał cały ranek, tropiąc tapiry i jelenie, omijając natomiast szlaki jaguarów, kiedy zaś słońce stało już wysoko, zasiadał do posiłku, a potem urządzał sobie sjęstę. Pewnego dnia zasnął w cieniu pochłoniętej przez dżungłę świątyni, niebawem jednak rozbudził go duch króla Majów, jego przodka, mężczyzny w czerwonej przepasce na biodrach i naszyjniku ze złota i turkusów.

– Pomóż mi! – wykrzyknął król. – Ściga mnie nieprzyjaciel!

– Jak mogę ci pomóc? – zapytał myśliwy, nie mając najmniejszego pojęcia, jakiej pomocy mógłby udzielić królowi wobec przeciwnika niewrażliwego na kule i ciosy...a taki właśnie, jak sobie wyobrażał, musiał być ów przeciwnik; mieszkańca świata duchów może skrzywdzić tylko podobna mu istota.

– Musisz pozwolić, bym położył dłoń na twym czole – odparł król. – Kiedy to uczynię, zaśniesz, ja zaś wkroczę w twój sen i znajdę w nim kryjówkę.

Myśliwy, człek szanujący tradycję i mający w wielkim poważaniu dawnych Majów, był wielce rad, iż może się przysłużyć przodkowi. Pozwolił królowi położyć dłoń na swym czole, natychmiast zaśnął, a w swoim śnie ujrzał pałac pełen przypominających labirynt korytarzy oraz komnat z sekretnymi przejściami. Król podążył jednym z korytarzy i niebawem zniknął z oczu. Sen zbladł, ustępując miejsca innym, zwyczajniejszym snom.

Niebawem rozbudził myśliwego biały mąż w pisanym złotym pancerzu, dosiadający karego rumaka, który miał ogień w ślepiach i prychał parą z nozdrzy. Był to duch konkwistadora.

– Wiem, że ukryłeś króla – oświadczył głosem, który brzmiał jak żelazny dzwon. – Otwórz przede mną duszę, abym mógł za nim podążyć.

– Nie – odrzekł myśliwy. – Tego nie zrobię.

Duch konkwistadora dobył miecza i ciął nim potężnie od ucha, wprawiając drzewa w drżenie i pozostawiając w powietrzu smugę dymu. Indianin się jednak nie strwożył, gotów umrzeć w obronie tradycji. Widząc, jak jest nieulekły, duch konkwistadora wsunął miecz do pochwy, pochylił się, uśmiechnął i rzekł miodowym głosem:

– Dam ci złotą monetę, jeśli tylko pozwolisz mi wejść.

I tu myśliwy doświadczył niemałej pokusy; był biedakiem, mieszkał w kleci z chrustu i trzciny, a chociaż był w stanie wyżywić rodzinę, to przecież, jak wszyscy, pragnął poprawić byt

najbliższych. Oparł się wszakże pokusie i ponownie odmówił. Marszcząc oblicze z gniewu, duch konkwistadora mocno ściągnął wodze, cofnął konia, zawrócił i oddalił się galopem, by po chwili przemienić się w ciemny punkcik, który rozbłysł czerwono jak gwiazda i zniknął.

Myśliwy był wielce z siebie rad; tego wieczoru radośnie bawił się z dzieckiem i goręcej niż zwykle obłapiał żonę, święcie przekonany, iż udzielona królowi pomoc przyniesie mu niezwykle szczęście. Nazajutrz jednak, kiedy akurat mierzył do jelenia, usłyszał tętent kopyt i oto jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki pojawił się duch konkwistadora, ruszył wprost na zwierzę i spłoszwszy je, sprawił, że wielkimi skokami umknęło w gęstwę. Duch konkwistadora śmiejąc się dziko, zawrócił konia i zniknął tak samo jak poprzedniego dnia. Myśliwy nie wytropił potem żadnego jelenia i wrócił do domu z pustymi rękami. Miał jednak zapasy w spiżarni i nie wątpił, że wkrótce łowieckie szczęście znów się doń uśmiechnie. Wszelako w ciągu dwóch następnych tygodni powtarzała się zawsze ta sama sytuacja: ilekroć składał się do strzału, by ubić jelenia, tapira czy aguti, nagle materializował się duch konkwistadora i płoszył niedoszły łup. Myśliwy nie dawał za wygraną, choć powoli ogarniała go rozpacz, pod koniec bowiem owych dwóch tygodni jego żona i syn z niedożywienia podupadli na zdrowiu. Od dawna nie zabierał już ze sobą na łowy drugiego śniadania, ale nadal urządzał sobie sjęstę; mijał właśnie piętnasty dzień od chwili, gdy udzielił pomocy królowi, kiedy ze snu, w którym widział nagie czerepy, wyrwało go syknięcie do ucha:

– Pozwól mi wejść albo będę cię prześladował tak długo, aż twoja rodzina zdechnie z głodu.

Świadom, że nie ma wyboru, myśliwy pozwolił, by duch konkwistadora dotknął jego piersi czubkiem swego miecza, po czym natychmiast zapadł w sen, w którym ukazał mu się labirynt pałacu. Konkwistador pomknął galopem w głąb jednego z korytarzy, myśliwy zaś, gdy się już przebudził, znalazł w swej dłoni złotą monetę. Powodowany pierwszym impulsem zamierzał talara odrzucić, pomny jednak nędzy, w jakiej żyła obecnie jego rodzina, przeznaczył go w końcu na zakup żywności. Tego wieczoru uczuł lekkość w sercu, widząc jak na policzki najbliższych powracają rumieńce, zarazem doświadczał jednak wstydu z powodu swego uczynku i zastanawiał się, czy kiedykolwiek ów wstyd go opuści.

Nazajutrz po południu znów śnił o pałacu; zdumiał się bezgranicznie, gdy z otchłani snu wyłonił się król, jął błagać, by myśliwy wypuścił go na świat, a następnie zdradził mu sekret otwierania wrót snu. Myśliwy, rad, iż może odkupić chwilę słabości, postąpił zgodnie ze wskazówkami króla. Zaraz potem jednak z głębi pałacu przygalopował duch konkwistadora i także zaczął się domagać wyjścia. Z mściwą radością myśliwy zatrzasnął wrota i zajął się swoimi sprawami. Aliści nazajutrz, podczas sjęsty, doświadczył tak przeraźliwych koszmarów, że w normalnych okolicznościach byłby się zerwał z wrzaskiem na nogi. Nie mógł się jednak przebudzić. Demony odzierały go żywcem ze skóry, owady o stalowych szczypcach rączyły się wzajem kaskami jego mięsa, a on spał. W tle zaś koszmaru dostrzegł ducha konkwistadora, który

uśmiechał się złowroźnie, wsparty dłońmi o wieniec kulbaki. Na koniec duch przyklusował bliżej i rzekł lodowatym głosem:

– Daj mi przejście, albo sprawię, że wyśniesz własną śmierć.

I znów, nie mając wyboru, myśliwy otworzył wrota snu i pozwolił duchowi przez nie przemknąć.

Gdy się obudził z następną złotą monetą w dłoni, był tak wytrącony z równowagi, że poszedł do najbliższej knajpy i spił się w trupa. Pojmował, iż duchy uczyniły zeń pole bitwy, na którym toczą swój pradawny bój i mógł mieć tylko nadzieję, że ta potyczka nie potrwa długo. Lecz następnego popołudnia król znowu ubłagał go o zgodę na wejście, a gdy niebawem zjawił się duch konkwistadora, myśliwy niechętnie uległ jego żądaniom i dręczony wyrzutami sumienia przyjął kolejną złotą monetę. Mijały najpierw miesiące, potem lata. Myśliwy knuł spiski przeciwko duchowi konkwistadora, ten jednak na każdy miał gotowe lekarstwo. Codzienne płatności uczyniły myśliwego bogaczem – ważył więc myśl o samobójstwie, skoro byt jego najbliższych był zapewniony. Ale nakazy moralne nie mogły iść w zawody z rozkoszami dostatniego życia i myśliwy tłumaczył sobie, że gdyby to nie jego sny służyły za pole bitwy, duchy poszukałyby sobie kogoś innego, a jakże mógłby zwalić na czyjekolwiek barki tak przysgniatające brzemie?

Aż wreszcie, umykając pewnego dnia ze snu, król rzekł do myśliwego:

– Przyjacielu, dziękuję ci za lata wiernej służby. Odchodzę teraz, by poszukać nowego snu, konkwistador bowiem zgłębił wszystkie tajemnice pałacu i nie jestem w stanie dłużej się przed nim ukrywać.

Dręczony poczuciem winy myśliwy poprosił o wybaczenie, ale król odparł, że niczego mu nie musi wybaczać, ponieważ miał w nim najlepszą kryjówkę, jaka kiedykolwiek mu się trafiła. Ledwie zniknął w dżungli, gdy pojawił się duch konkwistadora. On także przemówił do myśliwego.

– Ze wszystkich łowów, w jakich brałem udział – oznajmił głosem, który brzmiał jak głuchy pomruk wulkanu – tyś zapewnił mi najbardziej fascynujące. Szkoda, że ich możliwości się wyczerpały.

Myśliwy dygotał z nienawiści, ale hamując się, powiedział tylko:

– Wdzięczny jestem losowi, że mój wzrok już nigdy na tobie nie spocznie.

Śmiech ducha konkwistadora wypełnił nieboskłon czarnymi chmurami.

– Jakże jesteś niewinny, mój przyjacielu. To, co dziś jałowe, pewnego dnia na powrót będzie żyzne, to, co bezwartościowe, stanie się bezcenne. Wcześniej czy później wyśniesz nowy sen, my zaś wrócimy, by znaleźć w nim uciechę.

– Nigdy! – odparł myśliwy. – Wołałbym umrzeć.

– Umieraj zatem – stwierdził duch konkwistadora głosem parzącym jak ogień. – Może twój

syn odziedziczył po tobie dar snów.

Myśliwy był wstrząśnięty taką możliwością; uczyniłby wszystko, by oszczędzić jedynakowi swojego losu.

Duch ponownie ryknął śmiechem, niebo przecięła błyskawica, której widlaste hieroglify opisywały językiem bogów okropieństwa w tysiącnych postaciach.

– Łap! – Duch cisnął pod stopy myśliwego wysadzaną szmaragdami monetę, wartą dziesięć razy więcej niż zwyczajowa zapłata. – Zamawiam u ciebie nowy sen, znacznie bar dziej wyrafinowany niżli sen o pałacu. Lepiej, żeby był gotowy, kiedy powrócę!

I z tymi słowy duch ruszył w pościg za królem; kopyta jego rumaka pozostawiały ślady, z których unosił się nierzeczywisty dym – każdy duch spozierający z niebios mógł bez trudu ‘dostrzec te znaki i podążyć ich szlakiem.

Garrido zgniótł niedopałek, pozostawiając na wapiennej powierzchni głązu rojowisko iskierek. Wydawało się, że oczekuje jakiejś reakcji.

– Przydałoby się trochę więcej dialogów – uznał Mingolla – ale tak w ogóle nieźle, całkiem nieźle.

Garrido syknął z niesmakiem i podciągnął się na lince hamaka.

– Dobranoc – powiedział. Ułożył się w hamaku i naciągnął moskitierę na głowę.

Wbrew sobie, Mingolla był pod wrażeniem, chociaż kusilo go, aby zapytać, dlaczego Garrido nie odpowiedział po prostu: „Dla forsy”. Nie byłoby to jednak fair, doszedł do wniosku. Chętnie indagowałby Garrida dłużej, uświadomił sobie bowiem, że nie tylko jest wiele spraw, których nie rozumie, lecz również wiele takich, na których istnienie był ślepy. Igrał z myślą, czyby nie zbudować przyjaźni pomiędzy nimi dwoma, po chwili refleksji jednak podjął w tej kwestii decyzję negatywną, przeświadczony, iż uczucie przyjaźni przytępiłoby ostrość jego spojrzenia, na dłuższą metę zaś spory dostarczają więcej rozrywki niż rozmowy prowadzone w atmosferze wzajemnego zrozumienia.

Zdołał zasnąć mimo frostu, chociaż jego sny były nie przynoszącym wypoczynku gobelinem utkanym z niepokojów; kiedy obudziło go oślepiające światło, pomyślał w pierwszej chwili, że zaniepokoił Garrida jakimś mimowolnym okrzykiem.

– O co chodzi? – zapytał, przysłaniając oczy dłonią zamotaną w moskitierę.

– Skurwysyn! – oświadczył głos z akcentem mieszkańca Gór Skalistych. – Ten pieprzony bereciarz gada po amerykańsku.

– Jestem Amerykaninem – odparł Mingolla. Dźwignął się do pozycji siedzącej. –? Co jest, kurwa, grane?

Legł znowu, pchnięty w pierś czymś twardym; dostrzegł przez białą siatkę lufę karabinu i dłoń z latarką.

– Bankowo wygląda na bereciarza – stwierdził ktoś inny.

– Jestem agentem... s zpiegiem. A wy kto?

– Jesteśmy właścicielami tej posesji, c zlowieku – odparł hillbilly z groźbą w głosie. – A ty na nią wtargnąłeś.

Zimny dreszcz do końca otrzeźwił Mingollę, który pchnął umysłem; zamiast jednak napotkać łagodny elektryzujący opór i przeforsować swoją wolę, został odrzucony do tyłu, czemu towarzyszyło uczucie odrazy – było tak, jakby wyskoczył z wolno jadącego samochodu, ale zamiast wylądować na ugiętych nogach i bez wysiłku ruszyć biegiem obok maszyny, raptownie wystrzelił wysoko w powietrze.

– To niby kamuflaż, co? – zapytał hillbilly. – A skąd możemy mieć pewność? Wielu Kubańców dobrze odstawia na szych. Może zdrapiemy trochę tego kolorku i zobaczymy, co pod nim jest.

Chóralny śmiech naćpanych facetów.

– Może by zasunąć taki numer, jak w tych starych wojennych filmach, sierżancie, co? Popytać go o baseball i takie tam rzeczy? – Inny głos.

– Taa! – Hillbilly. – Spróbujmy z tej mańki, brachu. Może nam powiesz, kto jest miotaczem Chicago Bears.

– Twój kumpel też się zakamuflował? – Zupełnie nowy głos.

– Czego wy, chłopaki, chcecie? – Mingolla próbował odepchnąć lufę. – Dajcie mi wstać!

– Chyba ten jego kumpel to prawdziwy bereciarz – stwierdził hillbilly. – Załatwcie go. Salwa z broni automatycznej. Mingolla zeszywniał.

– Garrido?

– Jeśli ci odpowie – obiecał hillbilly – to ja się stąd zmyję.

– Ty cholerny pojechańcu! – wrzasnął Mingolla. – My...

Lufą mocniej dźgnęła go w pierś.

– Ty sam jeszcze nie wypłynąłeś na czyste wody, chłopcze. No więc chcesz odpowiedzieć na moje pytanie?

Mingolla z trudem pohamował chęć, by wrzasnąć jeszcze raz i siłą się wyrwać z hamaka.

– Jakie pytanie?

– Kto jest miotaczem w Chicago Bears.

Parskanie.

– Niedźwiedzie grają w futbol a merykański – odparł Mingolla.

– Ano, przekonałeś mnie. Tylko prawdziwy Amerykanin by to wiedział – stwierdził hillbilly, na nowo wybuchając śmiechem. – Problem polega na tym... – z jego głosu nagle zniknęła wesołość – ...że i do Amerykańców nie czujemy specjalnej mięty.

Cisza, bzyczenie owadów.

– Kim jesteś? – zapytał Mingolla.

– Nazywam się Coffee... Siły Specjalne, poprzednio w ramach Pierwszej Dywizji Piechoty. Ale można powiedzieć, żeśmy ujrzeni światło i zrezygnowali z kariery wojskowej. A ty masz jakieś nazwisko, chłopcze?

– Mingolla... David Mingolla. – Uznał, że wie już, z kim ma do czynienia, ale żeby się upewnić, zapytał: – Co to znaczy „ujrzeliście światło”?

– W Szmaragdowej światło jest święte, człowieku. Siedzisz pod smugami przedzierającymi się przez listowie, pozwalasz, by w ciebie wniknęły, a one poruszają w twojej duszy prawdę.

– Rzeczywiście? – Mingolla naparł znowu i znowu niczego nie osiągnął.

– Myślisz, że jesteśmy świry, co nie? – zapytał Coffee. – Przypominasz mi mojego dawnego porucznika. Facet powtarzał, że jestem szalony, a ja odpowiadałem, że wcale nie jestem zwyczajnie szalony, panie poruczniku. Jestem Chrystusowym szaleńcem. I mówiłem mu o królestwie, które zbudujemy. Bez maszyn, bez zanieczyszczenia środowiska. Rozkwitniesz w nim, David, jeśli tylko przejdziesz szkolenie. Nauczysz się polować z nożem, tropić węchem tapira. Z krzyku ptaka przewidywać pogodę.

– I co z tym podporucznikiem? – roztargnionym tonem zapytał Mingolla, usiłując znaleźć punkt zaczepienia w duszy Coffeego. – Nauczył się tych wszystkich rzeczy?

– Wiesz, jak to z porucznikami bywa, David. Czasem się po prostu nie sprawdzają.

Zerwano moskitierę z twarzy Mingolli, wyciągnięto go z hamaka, rzucono na kolana i skrępowano mu nadgarstki. Na peryferiach świetlistego kręgu wyławianego blaskiem latarki dostrzegł rozmazany kokon hamaka Garrida; wydawał się wybrzuszony bardziej niż poprzednio, jak gdyby brzemień śmierci było większe niż brzemień życia. Szarpnięciem postawiony na nogi i obrócony, stanął twarzą w twarz z tyko watym jegomościem o zepsutych zębach i potwornie rozszerzonych źrenicach; niechlujna broda sięgała torsu, a ciemne włosy splątany kłębowiskiem spływały na ramiona. Przytykał latarkę do swego podbródka, żeby Mingolla mógł widzieć jego szeroki uśmiech. Z tyłu stali jego ludzie, wszyscy jak spod strychniuli – brodaci, chudzi i niżsi od dowódcy. Nosili dziurawe drelichy, trzymali przestarzałą broń.

– Miło cię poznać, David – powiedział Coffee, opuszczając latarkę. – Starczy ci siły na nieduży nocny przemarsz?

– Może powinien niuchnąć parę sztuk? – zasugerował jeden z pozostałych.

– Taa, może. – Coffee pogrzebał w kieszeni, a potem poświecił latarką na dwie spoczywające w dłoni kule ze srebrnej folii. – Brałeś kiedy Sammy’ego?

– Posłuchaj – odrzekł Mingolla – ja mam...

Coffee zgiął go w pół hakiem na żołądek. Mingolla byłby upadł, ale ktoś trzymał sznur, którym skrępowano mu ręce.

Przez kilka sekund nie mógł złapać tchu, a kiedy wreszcie zdołał wciągnąć przez usta nieco powietrza, Coffee chwycił go za podbródek i wyprostował.

– To lekcja numer jeden – powiedział. – Odpowiadasz, kiedy jesteś pytany. No więc brałeś kiedy Sammy’ego?

– Nie.

– No więc bez obaw... to czysta frajda i uczucie triumfu.

Coffe uniósł jedną z ampulek.

– Po prostu wciągnij głęboko, kiedy ją zgniotę, słyszysz? Bo w przeciwnym razie udzielię ci następnej lekcji. – Zgniół ampulkę pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym, Mingolla zaś wciągnął w nozdrza kłującą mgiełkę. – A teraz kolej na drugą – dodał Coffe po godnie.

Świat się wyostrzał, przybliżał. Mingolla dostrzegał wysoko w koronach drzew obramowane filigranem liści, podświetlane strzępami księżycowego blasku pajęczaste sylwetki małp; słyszał setki nowych dźwięków i słyszał też, jak zszywają ciemność w znaczącą geografie szeleszczących mchów i skrzypiących gałęzi. Wiatr był chłodny, poszczególne powiewy lizały go, mierzwiły mu włosy.

– Uwielbiam patrzeć na pierwszy raz – stwierdził Coffe.

– Boże, jak uwielbiam!

Mingolla poczuł wobec Coffeego wzgardę, której dał wyraz głębokim wariackim śmiechem.

– Czujesz, jakbyś patrzył na świat ze szczytu góry, co? Nie ufaj temu uczuciu, David. Nie kombinuj sobie, że zdołasz prysnąć albo mnie załatwić. – Coffe uchwycił Mingollę za koszulę, przyciągnął jego twarz do swojej. – Kręcę się po Szmaragdowej już od dwóch lat i wiem, kiedy odsrywa się każda mucha. Dla kogoś takiego jak ty jestem panem tej pierdolonej dżungli. – Puścił Mingollę i odetchnął. – Dobra, idziemy.

– Dokąd? – zapytał Mingolla.

– Ciekawy? – Coffe znów przybliżył swoją twarz do twarzy Mingolli; szaleństwo zdawało się tryskać z jego rozszerzonych źrenic, wibracje łomotały wokół głowy Mingolli. – Ty nie zadajesz pytań, tylko robisz, co ci każę. – Coffe się rozluźnił, wyszczerzył zęby. – Ale wyjątkowo ci powiem, bo jesteś nowy. Idziemy do światła sądu, będziemy decydować, czy dołączysz do sfory, czy nie. – Zarzucił karabin na ramię. – Mam nadzieję, że kamień spadł ci z serca.

Mężczyzna przytrzymujący Mingollę szarpnął za sznur, Mingolla zderzył się z hamakiem Garrida i odskoczył odruchowo.

– Nigdy nie widziałeś zdechłego bereciarza? – zapytał mężczyzna.

W Mingolli narastała chemiczna furia, wściekły ogląd nowych manifestacji honoru i charakteru. Wyszarpnął sznur z rąk strażnika, a kiedy ten dźgnął go lufą karabinu, odepchnął ją w bok, a potem, poruszając się z niesamowitą szybkością, podciął facetowi nogi.

– Zabiję cię, dupku! – powiedział. – Dotknij mnie jeszcze raz, a zabiję cię jak nic.

– Ho, ho – stwierdził za jego plecami Coffe. – Wygląda na to, żeśmy złapali tygrysa za

ogon.

Mówił rozbawionym, sardonicznym tonem, ale kiedy Mingolla się odwrócił, dostrzegł w szerokim uśmiechu Coffeego rodzaj szorstkiego uznania i pojął, że popełnił błąd.

W czasie marszu co pół godziny ktoś rozgniała pod nosem Mingolli następną ampulkę i jego głowa stała się ciężka od gwałtownych bodźców, jak gdyby wszystkie myśli zbiły się w plastyczny ruchliwy krąg. Usiłował, wykorzystując całą swoją moc, wpłynąć na towarzyszących mu ludzi, bez rezultatu jednak. Nawet gdyby nie istniały dodatkowe trudności, jego koncentracja pozostawiała wiele do życzenia. Trudny teren wymagał pewnej dozy uwagi, a dla zrodzonej z narkotyku szczególnej osobowości mistycznego wojownika koncept wywierania wpływu na innych jawił się jako coś niezupełnie honorowego. Zamiast tedy kontynuować próby, knuł wyrafinowane plany ucieczki i krwawe rozstrzygnięcia. Wrażliwość zmysłów była przytłaczająca – znaczną część czasu poświęcał identyfikowaniu zapachów i dźwięków – początkowe dawki narkotyku zaś paliły go tak potężnie, że zyskał przeświadczenie, iż większą część tego, co widzi, słyszy i czuje, należy złożyć na karb halucynacji. Nie mógł, na przykład, uwierzyć, że straszliwy łomot dobiegający z jego piersi to bicie serca; nie przyjmował do wiadomości, że świdrujące w uszach wysoko nastrojone piski to nawoływania nietoperzy przemykających jak halloweenowe wycinanki przez snopy księżycowego blasku. Gdy więc po raz pierwszy wyczuł obecność Debory, zupełnie to zbagatelizował. Ale wrażenie pozostawało silne i w pewnej chwili, gdy skoncentrował się na fragmencie ciemności, który, jak się zdało stanowił jego źródło, zyskał pewność, iż musnęła obrzeża jej duszy, poczuł wymowne podniecenie zrodzone z elektryzującego kontaktu, a także mentalny odcień, który – jakkolwiek dotąd go nie doświadczał, czy też nie doświadczał świadomie – był właściwy Deborze. Po tym krótkim kontakcie postawiła blok lub znalazła się poza zasięgiem. Co robiła? – zadał sobie pytanie. Tropiła go? A jeśli tak, to czy wie, na czym polega jego misja? Czemu więc nie zastawiła nań pułapki? A może, pomyślał, wcale jej tu nie ma.

Dotarli do wielkiej kolistej polany, porosłej paprociami i obrzeżonej przez gigantyczne figowce i drzewa mahoniowe: sklepienie puszczy nie było tu tak gęste i polana sprawiała wrażenie akwarium wypełnionego białawą cieczą, na którego dnie osobliwe upierzone stworzenia poruszają się leniwie w anemicznym nurcie. Do pni drzew były przymocowane jakieś przedmioty o kształcie ludzkich sylwetek, ale półmrok maskował ich prawdziwą naturę. Mingollę ciśnięto na ziemię i pozostawiano pod opieką jednego strażnika; pozostali członkowie grupy – w sumie piętnastu – zasiedli na środku polany. Strażnik siłą podąknął dwie kolejne ampulki pod nos Mingolli, który miotany bezgłośnie wściekłością leżał na wznak, usiłując rozluźnić więzy. Przytłumione ludzkie głosy, bzyczenie owadów i szum lekkiego wiatru – to wszystko, scalone w jeden cichy szmer, tylko zwiększało wściekłość Mingolli, że oto poddaje się go sądowi w tym pojebanym miejscu.

– Nic ci nie da, jeśli nawet się uwolnisz spod sznura – stwierdził strażnik. – Po prostu cię dognamy. – Był łysiejącym facetem z pełną ryżą brodą i zawieszonym na szyi trójkątnym kawałkiem lusterka. – Nasz sierżant nie pozwoli ci prysnąć.

Od dawna czekał na znak i wyglądała na to, że to ty nim jesteś.

Mingolla zdwoił wysiłki.

– Może nie jestem tym znakiem, którego oczekiwał.

Strażnik roześmiał się szyderczo.

– Sierżant niczego nie oczekuje. Po prostu czyta znaki, w miarę jak się pojawiają. I nikt nie jest w tym lepszy od sierżanta.

– Ja jestem – stwierdził Mingolla, mając nadzieję obrócić na swoją korzyść urojenia strażnika. – Dlatego właśnie tu przy byłem... żeby nauczać, wyznaczyć kierunek.

Strażnik znów się roześmiał, tym razem niepewnie, uniósł swój kawałek zwierciadła i skierował na twarz odbicie księżycowego promienia.

Mingolla zaczynał odnosić pierwsze sukcesy w walce ze sznurem, kiedy podszedł Coffee, odesłał strażnika i kucnął na ziemi. Cmoknął lekko i powiedział:

– Rozmyślałeś czasem o rajskim ogrodzie, David?

Smętny ton Coffeego – jak gdyby sierżant ubolewał nad grzechem pierworodnym – złagodził złość Mingolla i zbił go z pantałyku.

– Czytałem kiedyś artykuł – ciągnął Coffee. – Pisano tam, że ogród był gdzieś w Anarktyce. Ponoć znaleźli rozmaite zamrożone jagody i korzonki sprzed tysięcy lat. Wykombinowali sobie, że kiedy tylko wąż odwalił swój interes z Ewą, cała siła życiowa wyciekła z tego miejsca i wszystko przemieniło się w lód. Myślisz, że to prawda?

– Nie wiem. – Mingolla daremnie próbował wyrzucić wpływ na Coffeego. Wyglądało na to, że narkotyki do tego stopnia rozregulowały elektryczną aktywność umysłu sierżanta, że Mingolla nie mógł się z nim zsynchronizować, choć był po tych samych narkotykach.

– Ja też nie wiem. Jakoś nie wierzę w te pierdoły, które wypisują w gazetach. Na przykład o polityce. – Coffee rozgniół ampulkę, wciągnął przez nozdrza mgłę. Zerknął w stronę polany. Siedziało tam jeszcze tylko trzech mężczyzn.

– Gdzie pozostali? – spytał Mingolla, łypiąc spośród łąb.

– Na zwiadach. – Coffee międlil dłonie, aż strzykało mu w stawach. – Taa, te historie, które wypisują o polityce... Człowieku! Czyste pierdolenie! Prawdy trzeba dogrzebywać się samemu. Półwa Pierwszych Dam to byli faceci w sukienkach. Wystarczyło spojrzeć. Szkaradne! To znaczy, czybyś na miejscu prezydenta nie wolał mieć za żonę czegoś lepszego niż te stare zdiry? Tak, szanowny panie, prezydenci to same pedryle... członkowie tajnej pedalskiej organizacji.

– Tego nie wiedziałem – przyznał Mingolla, podejmując kolejną bezowocną próbę

nawiązania kontaktu psychicznego.

– I nic dziwnego. Ja dowiedziałem się tego drogą objawienia. To jedyne rodzaje wiedzy, jakiego człowiek może ufać. – Głębokie westchnienie Coffeego mogło być wynikiem zrozumienia świata jako takiego i jego olbrzymich problemów. – Miałeś kiedy objawienie, David?

– Zależy, co masz na myśli, mówiąc o „objawieniu”.

– Nie miałeś go więc, jeśli musisz się zastanawiać, co znaczy. – Coffee podrapał się po brodzie. – A wierzysz w cokolwiek... na przykład w siłę wyższą?

– Nie – odparł Mingolla. – Nie wierzę.

– Ależ wierzysz, David. Jesteś facetem, który ma plan, który jest zbyt zajęty kombinowaniem, żeby przerwać i wszystko sobie poukładać, a tylko wtedy pojawiają się objawienia, kiedy człowiek nic nie robi. –? Coffee znów spojrzął na polanę, – a wątle światło podretuszowało jego profil Lincolna. – W to właśnie wierzysz, David. W nierobienie przerw i niewierzenie. Trzej mężczyźni na polanie – cienie w mlecznobiałej kuli – byli nieruchomi i milczący jak prorocy w transie, a mistyczna aura tej sceny na moment przekonała Mingollę, iż koncepcja Coffeego jest słuszna, że natchnienie spływa na człowieka w centrum światłości.

– Ostatnim facetem w Szmaragdowej, który miał jakiś plan, byłem ja – powiedział Coffee. – W tej chwili wygląda na to, że nie mogę cię sądzić, bo ty jesteś wyrokiem wydanym na mnie. W tych dniach nie miałem jasności umysłu, zaniedbywałem się w robocie. Wygląda na to, że zostałeś wysłany, żeby mnie poddać próbie, i ja ochoczo się tej próbie poddam.

– Jakiej próbie?

– Kła i pazura, David. Kła i pazura. – Coffee wyjął z kieszeni garść ampułek i usypał je w stosik na trawie. – Tu masz swoją amunicję, chłopie. Teraz przewróć się na brzuch, przetnę ci pęta.

– Może byś mi powiedział, co jest grane.

Coffee sam przewrócił Mingollę i nożem przeciął sznur. – Rano kiedy światło jest mocne, dobię się do ciebie. I załatwię jak nic, David.

Mingolla poczuł ucisk w żołądku.

– A jeśli to ja zabiję ciebie?

– Jesteś próbą, David, nie wyzwaniem.

Mingolla usiadł i rozcierając nadgarstki, popatrzył na Coffeego. Blask księżyca nabrał mocy i Mingolla miał wrażenie, iż oświetla nie tylko ich ubrania i twarze, ale że również narzuca im obu szczerą. Sądził, że dostrzega prawdę Coffeego – widział oczyma duszy, jak Coffee, mistrz podwórka w lekkopółśmiesznej, stoi wsparty o ścianę stacji benzynowej w jakiejś pipidowie, spija sok i życia i planuje kolejne świństwo. Tyle że – zdaniem Mingolli – Coffee, mimo swego szaleństwa i zbłąkania, praktykował świństwa przynajmniej w jakiejś honorowej postaci.

Zastanawiał się, jaką część prawdy o nim widzi Coffee.

– Co z bronią? – zapytał.

– Jak ci mówię. – Coffee uniósł dłonie. – Kły i pazury. – Pokazał gestem mężczyzn na polanie. – Ci chłopcy dopilnują, żeby nie było ciosów poniżej pasa, a pozostali się rozproszyli na wypadek, gdyby ktoś próbował uciekać. – Z manifestacyjnym znużeniem dźwignął się na nogi; ze swej perspektywy Mingolla miał wrażenie, iż jego głowa sięga koron drzew, a Coffee jest równie wysoki i zagadkowy, jak one. – Do zobaczenia rano – powiedział.

– Te pierdoły, to chrzaniecie o próbie! – powiedział Mingolla, z którego strach wydierał się jak promień księżyca zza chmury. – Po prostu musisz kogoś zabić, żeby coś udowodnić swoim ludziom.

Coffee kopnął liść paproci, odszedł o krok.

– Dlaczego działa silnik wozu, chłopie? Bo przekręcasz kluczyk w stacyjce? Bo iskry lecą z akumulatora? Bo nie za pomniałeś zatankować paliwa? Bo to wynika z jakichś praw fizyki? Nie, dzieje się tak z powodu miliona spraw, o których nie mamy pojęcia. – Odszedł dalej, stając się cieniem pośród cieni. – Nie ma czegoś takiego jak przyczyna i skutek i na tym świecie wszystkie prawa poza jednym są gównem. -

Jego dobiegający z nieprzeniknionych ciemności głos był jakby sumą wszystkich mrocznych głosów dochodzących zza polany.

– Wszystko jest prawdziwe, David – powiedział Coffee. – Wszystko jest realne.

Coffee zostawił mu szesnaście ampulek, czując więc, że jest rozdrażniony i dręczony mdłościami – które to symptomy przypisywał frostowi zażytemu wcześniej – Mingolla od razu zaaplikował sobie dwie. Spadł krótki ulewny deszcz, a kiedy po chwili minął, chlupy i chlapy kropel skapujących z liści brzmiały w uszach Mingolla jak bełkotliwa mowa; wyobrażał sobie demony, które skryte w gęstwie plotkują na jego temat, ale nie był wystraszony. Ampułki sprawiły cuda, eliminując rozterki stanowiące podgłbie jego złości. Pewność siebie przepływała przezeń jak wysokie napięcie, coraz bardziej wzmagając jego siłę – i uśmiechał się na myśl o nadciągającej walce, a nawet uśmiech był wyrazem wściekłej potęgi, nabrzmiałych włókien mięśniowych i rozdygotanych nerwów.

Nadszedł szary wilgotny świt, ptaki wszczęły zgiełk, zaczęły się podrywać w powietrze i nurkować nad głowami trzech mężczyzn z polany. Odnosiło się wrażenie, iż poszycie dżungli przyobleka postać misternie zaaranżowanego ogrodu. Fioletowe aureole blakły wokół paproci, cienie drżały. Mingolla zorientował się, że człekokształtne przedmioty przymocowane do pni to kombinezony bojowe: dziesięć przywiedłych sylwetek w hełmach, każda napiętnowana jakimś fatalnym rozdarciem czy pęknięciem. Nie wytrąciła go z równowagi refleksja, że mogą być odpowiednikami nacięć na kolbie Coffeego. Narkotyk przydawał jego myślom magicznego zabarwienia i Mingolla wyobrażał sobie, jak fantastycznie sprężysty i szybki zabija sierżanta,

staje się władcą jego złudzeń i rządzi Zaginionym Patrolem, odziany w paprocie i koronę z liści. Lecz rzeczą najważniejszą była sama walka, nie zaś jej rezultat, osiągnięcie owego kulminacyjnego momentu, kiedy doskonałość wytacza krew, kiedy człowiek brutalnie odpycha od siebie niepewność i – wielki przez ten uczynek jak konstelacja, równie jak ona pełen gwiazd, ciemności i pierwotnych znaczeń – może spojrzeć z góry na świat, mając pewność, że zostawił w pokonanym polu wszystko, co zwyczajne. Taka droga, droga odwagi i charakteru, była mu od początku pisana. Mistyczna gwiazda przeświecała przez szczelinę w listowiu, osamotniona w lawendowej smudze ponad różem wschodzącego słońca. Mingolla wpatrywał się w nią, aż zrozumiał jej migocące przesłanie.

Blask nabrał mocy, z krzaków poderwały się motyle i zatrzepotały nisko nad paprociami. Było ich, pomyślał Mingolla, niesamowicie dużo. Tysiące, szacował z początku, potem setki tysięcy, miliony. Uznał również, że jest czymś niezwykłym, iż tak wiele najrozmaitszych gatunków zebrało się w jednym miejscu. Były wszędzie, przysiadły na każdym liściu i gałązce, jak gdyby w ciągu jednej nocy zasadzono niezliczoną liczbę kwiatów: niektóre krzaki skryły się zupełnie pod wielobarwnym haftem, pnie drzew pokrywały grube opończe. Od czasu do czasu motyle podrywały się jak na komendę i uformowane w szyk oblatywały polanę. Mingolla nigdy nie widział czegoś takiego, chociaż obito mu się o uszy, że wielkie zgromadzenia motyli są podczas godów czymś zwyczajnym, przypuszczał więc, iż tym razem chodzi o podobną sytuację.

Ze wschodu pokosiły się na polanę promienie słońca tak skomplikowanie upostaciowiane przez kropelki wilgoci, że sprawiały wrażenie roztrzaskanych w powietrzu artefaktów z kryształu, które manifestują każdą swoją fasetę i skazę. Trzej mężczyźni powstali i zajęli stanowiska na obrzeżach polany. Niepokój niczym pająk przemknął wzdłuż kręgosłupa Mingolli, który rozgniół dwie ampulki, aby oczyścić umysł. Potem, znużony oczekiwaniem, z nerwami dostrajanymi każdym ruchem cienia, każdym drgnieniem gałązki, przeszedł na środek polany. Na słońce napłynęły chmury, tonując niebo do barwy platynowszarej; spokój był podminowany przez wyczuwalne wibracje.

Niespełna minutę później ze wschodu truchtem nadbiegł Coffee, a niechlujną strzechę jego brody rozcinał uśmiech od ucha do ucha. Mingolla spodziewał się jakichś formalności, ledwie zatem zdążył przyjąć pozycję obronną, zanim Coffee ruszył pełnym biegiem, skoczył na niego i uderzając głową w bok, powalił na ziemię. Mingolla nie próbował zachować równowagi: zrobił przewrót, zerwał się na nogi, zaczął krążyć, zdumiony płynnością swoich ruchów, i śmiał się radośnie, chociaż żebra bolały go po ciosie.

– Rany, David! – Coffee, wciąż szeroko uśmiechnięty, zastygł w półprzykłęku. – Cholernie mi głupio odbierać ci tę frajdę. – Zerwał się na nogi i uniósł w górę obie pięści, jak gdyby chciał z powietrza wycisnąć siłę. W gardle Mingo lli zabulgotał śmiech.

– Jesteś zanadto szajbnięty, żeby dłużej żyć, człowieku. To nie próba... jestem tu po to, żeby

odebrać ci dowodzenie.

– Naprawdę, bez jajec? – Coffee przykucnął.

– Zobaczyłem to we śnie – powiedział Mingolla. – Twoją duszę wznoszącą się ku światu, twój wyżarty, zrobaczywiały ze włók.

Coffee jowialnie potrząsnął głową, pacnął motyla trzepoczącego skrzydłami w pobliżu jego twarzy.

– Uwielbiam cię, David, słowo harcerza. – Z podziwem zagapił się na Mingollę. – Szkoda, że nie ma innego wyjścia.

Rzucił się w przód, zamachnął lewą, zakołysał Mingolla, zadając mu cios w kość policzkową; drugie uderzenie wylądowało dokładnie na wargach, ale Mingolla zdołał się utrzymać na nogach, choć kręciło mu się w głowie, a ból kłuł w dziąsła. Splunął krwią zmieszaną z kawałkami zęba.

– Łapiesz, co miałem na myśli, David? – Coffee machnął lewą ręką, żeby odpędzić motyle tańczące przed jego oczyma;

dwa inne usiadły mu na głowie, wyglądały jak kokardy upięte na kołtuniastych włosach. – To tylko kwestia czasu.

Zaatakował ponownie, unikając obszernego prawego zamachowego Mingolli, a potem powalił przeciwnika dwoma ciosami w szczękę i kopnął go w żebra dokładnie tam, gdzie wcześniej trafił bykiem. Mingolla jęknął, zaczął odpełzać, ale zaraz rozpląszczyło go na ziemi kolejne kopnięcie. Coffee dźwignął go na kolana i lekko spoliczkował, jak gdyby pragnął zwrócić na siebie jego uwagę.

– No cóż, Davidzie – powiedział. – Czas na smutny finał.

Parę tuzinów motyli niczym dziwaczna żywa peruka przysiadło na czerepie Coffeego, inne wczepiły się w brodę; wielka chmura owadów krążyła tuż nad jego głową na kształt spiralnej galaktyki z ciętych kwiatów. Coffee zwrócił uwagę na te wplątane w brodę i, mając głupi wyraz twarzy, spędził je gestem dłoni. W tej samej chwili dwa następne usadowiły mu się na czole. Zignorował je i wymierzył potężny cios w bok szyi Mingolli. Potem następne dwa w szczękę. Mocniej zacisnął kulkę, żeby zadać trzeci. Mingolla ze wszystkich sił starał się zachować przytomność, ale ciemność zaczęła zamazywać obrzeża pola jego widzenia, kiedy zaś lupnął głową w ziemię – zakryła je zupełnie.

Kiedy się ocknął, miał w uszach kapiszonowe trzaski, w oczach natomiast – nierzeczywistą plataninę kolorów. Czerwieni, błękitów, żółci. Przemknął obok niego jakiś osobliwy kształt, zachwiał się, skręcił. Mingolla usiadł i patrzył, jak to coś miota się po polanie. Pokryte grubą warstwą delikatnych skrzydełek, człekokształtne, a jednak zbyt grube i pałubiaste, żeby być człowiekiem. Skowyczał, zrywając z siebie garściami motyle, które zwiększyły trzykrotnie rozmiar jego głowy; potem skowyt urwał się raptownie, jak gdyby została zatkana dziura,

z której dochodził. Motyle spłynęły tornadem, żeby jeszcze bardziej pogrubić nieforemną rzecz, ta zaś osunęła się na ziemię, zwinęła w kłęb, ciągle poruszana czymś w rodzaju ciężkiego oddechu. Rosła i rosła, obsiadana przez kolejne motyle, które z nierzeczywistą szybkością przyspieszonego filmu wyciekały z nieba, by gęstnieć na ziemi w trzydziestostopową wielobarwną piramidę, przywodzącą na myśl świątynię pogrzebaną pod milionami cudownych kwiatów.

Mingolla gapił się na to wszystko z niedowierzaniem, przerażony trochę, że motyle spadną i na niego, rozgniotą tonami swych kruchych ciał. Kapiszonowe trzaski rozbrzmiewały coraz częściej, tuż obok Mingolli w paprociach utonął pocisk. Mingolla przywarł do ziemi, jęknął z bólu i zaczął pęłzać wśród paproci. Białe cętkowane liście były go po twarzy i rozsuwały się na boki leniwie jak wodorosty. Miał wrażenie, że wciska się w głąb mozaiki ze zblakłych brązowych i zielonych elementów, które utraciły wszelką odrębność, nie zauważył zatem buta, do momentu gdy położył na nim dłoń: gnijącego brązowego buta, leżących na brzuchu zwłok mężczyzny, buta utrzymywanego na nodze sznurowadłem z pnączy. Na obcasie przysiadło kilka motyli. Podpełził bliżej, dojrzał kolbę karabinu sterczącą z motylego kopca. Ostrożnie, unikając kontaktu z motylami, przyciągnął broń do siebie. Było na niej z tuzin owadów, przyklejonych do lufy i magazynka. Jeden przefrunął na rękę Mingolli, który wzdrygnął się i strząsnął motyla. Potem ominął trupa i ruszył w stronę skraju dżungli.

Ogień był teraz sporadyczny i w pobliżu nie przelatywały żadne pociski. Mingolla wsunął się za pień powalonego drzewa. Rozgniół ampulkę, doznał przyływu energii, ale wciąż czuł się jak sto nieszczęść. Żebra płonęły mu żywym ogniem, sińce na twarzy sprawiały wrażenie masywnych bolesnych narośli wypełnionych trucizną. Odpluł kolejną porcję krwi, zmacał językiem miejsce, gdzie jeszcze niedawno był ząb. Potem przewrócił się na wznak, myśląc o Coffeem pod tymi wszystkimi motylami, o jego gardle zacopowanym łaskotliwymi nóżkami i skrzydłami. Przez zasłonę krzaków spojrział na polanę. Motyle były wszędzie, burza motyli, wirujących i wirujących. Niebawem dobiórą się również do niego. No i w porządku. Leżał pusty i bezmyślny, patrzył na motyle, choć właściwie ich nie dostrzegał – widział tylko powidoki ich lotów, zastygłe na moment w powietrzu barwne smugi. Miał wrażenie, że czas zapada się wokół niego, że przysypuje go tonami rozkładających się sekund.

Coś trzasnęło w zaroślach na lewo od niego i z ukrycia wyłonił się mężczyzna. Ryżobrody facet, który go pilnował. Stracił swój kawałek lustra. Głina upstrzyła piegami jego twarz, strzępy paproci jak wstążki wplątały się we włosy. W jednej dłoni tkwił komandoski nóż. Mężczyzna zamrugał. Zakołysał się. Jego drelichy przywarły do żeber, na wysokości brzucha rozpełzła się plama krwi. Wydał policzki: wyglądało to tak, jak gdyby chciał coś powiedzieć, ale odczuwał lęk, że z jego ust poza słowami wyjdzie coś jeszcze.

– Jezu – wybełkotał w końcu.

Przewrócił oczyma, a jego kolana się ugięły.

Potem znów stanął prosto, dostrzegł Mingollę i chwiejnie ruszył w jego stronę, wymachując nożem.

Mingolla próbował wymierzyć w niego karabin, ale zorientował się, że przyciska biodrem kolbę. Strzelił ktoś inny. Kula wygniotła czerwoną gwiazdę pod okiem rudobrodego, który z wniebowziętym wyrazem twarzy padł na Mingollę i pozbawił go tchu. W dali zabrzmiały krzyki. Mingolla, zaciskając z bólu powieki, zrzucił z siebie trupa, a wysiłek odkrył w jego głowie prawdziwą skarbnicę oszołomienia. Walczył z nim początkowo, ale uświadomiwszy sobie, że w przytomności nie ma nic pociągającego, że nie interesuje go ów ktoś, kto włada śmiercią i motylami, pozwolił, by jego dusza spiralnym lotem spłynęła w dół, mijając warstwy mroku i lśniących skrzydełek, ciemności i mistycznego światła, a wreszcie tak jaskrawego wspomnienia bólu, że przemieniło się ono w białą ciemność, w której Mingolla zatracił wszelkie ślady swego istnienia.

Rozdział 10

Światło latarni splukiwało cienie z blaszanego dachu, prześlizgiwało się przez polepę podłogi, rozjaśniało ściany z ułożonych na zakładkę palmowych liści, które przypominały brązowo-zielone łuski. Królował zapach deszczu i zgnilizny. Drewniane krzesło i stół były w tym pomieszczeniu jedynymi meblami, jeśli nie liczyć pryczy, na której z obandażowanymi żebrami i obolałą szczęką leżał Mingolla. No i coś kolorowego zwieszało się z sufitu. Wstążki... albo wycinanki. Mingolla przetarł oczy, zmrużył powieki i dostrzegł setki motyli przyklejonych do krokwi i z lekka poruszających skrzydełkami. Leżał zupełnie nieruchomo. Usłyszał z dworu rozmowę mężczyzny i kobiety. Nie potrafił rozróżnić słów, ale odniósł wrażenie, iż mężczyzna ma szczególny akcent. Może niemiecki. Sekundę później mężczyzna wszedł do chaty. Nosił ciemne spodnie i niebieską koszulkę polo. Poza tym emanował nienaturalnie silnym żarem. Mingolla udał, że śpi.

Mężczyzna usiadł przy stole i popatrzył z zadumą na Mingollę. Był szczupły, ale doskonale umięśniony, z jego krótkich blond włosów przeświecała siwizna, miał ten zimny ascetyczny rodzaj urody, który w połączeniu z akcentem przywodził na myśl złowieszczych oficerów SS ze starych wojennych filmów. Jeden motyl spłynął z sufitu i przysiadł na kostce dłoni mężczyzny. Ten pozwolił przewędrować mu kilka centymetrów, a potem gestem nadgarstka wyrzucił go w powietrze jak sokoła.

– „Przeźrocze kształty zbyt subtelne dla oczu śmiertelnika” – powiedział. – „Ciała tak kruche, że ich stałość w najśłabszym blasku znika”. A jednocześnie mogą być nader przerażające, nieprawdaż?

Mingolla nadal udawał, że śpi.

– Sądzę, że już nie śpisz – powiedział mężczyzna. – Mam na imię Nate, a ty, jak słyszałem, David.

– Od kogo? – zapytał Mingolla, kapitulując.

– Od osoby, która jest twoim przyjacielem... osoby, która żywi przekonanie, że ty jesteś jej przyjacielem.

– Od Debory? – Mingolla szarpnęła się w górę i skrzywił twarz, czując w boku przeraźliwy ból. – Gdzie ona jest?

Nate wzruszył ramionami; był to oszczędny gest, leciutkie uniesienie barku.

– „Trzepocząc skrzydełkami jak próżny malowany motyl przefruwa nad leśną ścieżką z polany na polanę”. Matthew Arnold, Światło Azji. – Uśmiechnął się. – Wiesz, chyba mógłbym odbyć długą rozmowę, posługując się wyłącznie cytatami o motylach.

Mingolla sięgnął umysłem w stronę Nate'a, zaczął wywierać wpływ i zaraz kilka tuzinów motyli sfrunęło z sufitu, by polatywać przed jego twarzą.

– Przestań, proszę – powiedział Nate. – Na dworze jest ich o wiele więcej.

W umyśle Nate'a było coś szczególnego: fluktuacje elektryczne zostały podporządkowane przez wzór niezwykle skomplikowany i odporny na wpływ, wzór – odnosił wrażenie Mingolla – który splatał siatkę zbyt gęstą, aby mógł przez nią przeniknąć inny umysł. Był tym zafascynowany, ale wołał nie podejmować ryzyka dalszych badań.

– Ta historia na polanie... to była twoja robota, prawda? -zapytał.

Nate popatrzył nań z dezaprobatą.

– Zły uczynek... bardzo zły. Ale ona utrzymuje, że byłeś go wart.

Mingolla uznał, iż najwłaściwszą strategią byłoby skumulowanie się z Nate'em, zdobycie jego zaufania.

– Bez wątplenia poddano cię terapii – stwierdził. – Jakim cudem wylądowałeś w tym miejscu? Dezercja?

– Nic z tych rzeczy – odparł Nate. – Korpus Psi uznał mnie za beztalencie. Osiągnąłem jakiegokolwiek rezultaty dopiero wtedy, kiedy mnie zwolniono. Prawdę mówiąc, powątpiewam, czy terapia miała wiele wspólnego z rozwojem moich zdolności. Byłem niedaleko od Tel Awiwu, kiedy miasto zostało zniszczone, i wkrótce potem zacząłem zdradzać pewne objawy mocy. Sądzę, iż jest wytworem mojego gniewu. – Zagapił się na krokwie. – Motyle. Trudno je uznać za odpowiedni instrument wyrażania gniewu. No bo gdybym pobratał się z tygrysami czy węzami...
– Urwał, patrząc badawczo na swe zaciśnięte dłonie.

– Jakie to było? – zapytał Mingolla.

– Co masz na myśli?

– Tel Awiw – odparł Mingolla, zabarwiając swoje słowa współczuciem. – Słyszeliśmy w Stanach o fali samobójstw, apatii.

– Bomba to potężny symbol, a jej potęga wykracza poza bezpośrednie skutki działania. Kiedy ją widzisz... nie umiem – tego wytłumaczyć. – Bagatelizująco machnął ręką i podniósł wzrok na Mingollę. – Dlaczego tropisz Deborę?

Mingolla nie sądził, że zdoła się wykręcić przekonującym łgarstwem.

– Sytuacja się zmieniła – odrzekł.

– Istotnie, i to bardziej, niż sądzisz.

– Teraz z nim porozmawiam – powiedziała Debora. Skryta za blokiem, stała w drzwiach z automatem pod pachą; jej widok sprawił, że wszystkie przygotowania Mingolli na ten moment zdały się psu na budę. Oczywiście, okoliczności różniły się od przewidywanych, miał jednak przeczucie, że nawet gdyby były z nimi idealnie zgodne, zareagowałby identycznie. Jego obsesja, tak to przynajmniej wyglądało, żywiła się widokiem Debory, widokiem jej luźnych dzinsów, dołków w policzkach, włosów wreszcie, które – dawno nie obcinane – sięgały talii. I portret nowej Debory, szczuplejszej, bardziej skupionej, był również obsesyjny. Ciemne oczy

przypominały Mingolli swoim opanowaniem spojrzenie Hermeto Guzmana, natomiast wyraźna linia rozdzielająca biel bluzki od brązu skóry – dawne marzenie, by Deborę pojąć. Dopiero kiedy Mingolla zyskał pewność, że jest w większym czy mniejszym stopniu taka, jaką zapamiętał, doszły do głosu pewne resentymenty, chociaż nie była to mściwość, lecz znacznie słabsze, smętne uczucia zdradzonego kochanka.

Nagle Nate ustąpił Deborze krzesła i rzuciwszy Mingolli ostrzegawcze spojrzenie, wyszedł z chaty, ciągnąc za sobą burzę motyli. Debora odłożyła karabin na stół i powiedziała:

– Twój kamuflaż nie jest zły, ale wołałam cię jako Amerykanina.

– Ja też – odparł, a po chwili milczenia zapytał: – Dlaczego mnie ocaliłaś? Skąd wiedziałaś, że nadchodzę?

Zerknęła na niego, potem odwróciła wzrok.

– To skomplikowana sprawa. Nie jestem pewna, ile chcę ci powiedzieć.

– A więc dlaczego rozmawiamy?

– W tej kwestii też nie mam pewności.

Mingollę o garnęła o głupiającą mieszanką złości i pożądania.

– Mam połamane zębra?

– Chyba tylko jesteś posiniaczony. Nie mogłam działać wiele, jeśli chodzi o twoje usta.

Musisz na nie uważać... trzymać w czystości.

– Więc mnie połatałaś?

– Któż inny miałby to zrobić? Z Nate'a bardzo kiepski lekarz.

– Ale jest zręczny z motylami.

– Tak. – Ze smutkiem.

– A w ogóle co to za gość?

– Kiedyś był dziennikarzem. – Rzuciła na Mingollę następne krótkie spojrzenie. – I wyruszy ze mną do Panamy.

– Panamy, he?

Skinęła głową, bawiąc się bezpiecznikiem karabinu.

– Dlaczego nie chcesz wyjaśnić, co jest grane?

– Nie mogę ci zaufać.

– A co niby mógłbym zrobić... pokonać trylion jebanych motyli?

– Twój umysł jest bardzo silny – odparła. – Mógłbyś coś wykombinować.

– Kiedyś jednak będziemy musieli porozmawiać.

– Możliwe.

W jego głowie nastąpiła kolizja tuzina zamiarów, które wpadały na siebie i odskakiwały na bok jak komiksowi policjanci usiłujący pochwycić kogoś, kto rozwiął się jak dym; tym zaś, co zniknęło, by materializować się w coraz to innym zakątku pokoju, krzycząc: „A kuku, tutaj

jestem!” i wywołując następne zderzenia, był, uświadomił sobie Mingolla, jego podstawowy zamiar wobec Debory... zamiar, którego wolał nie nazywać po imieniu. Niemniej jednak w jądrze każdego zamiaru tkwiła chęć uwiedzenia bądź taktyka zmierzająca do osiągnięcia tego celu.

Debora podniosła głowę i Mingolla odniósł wrażenie, iż w migotliwym świetle dostrzega umykające z oczu dziewczyny mroczne sylwetki, jak gdyby nią również miały sprzeczne uczucia.

– Nie powinnaś być podejrzliwa wobec mnie – powiedział i, świadom, jak groteskowo muszą brzmieć te wypowiedziane przecież z całkowitą szczerością słowa, parsknął śmiechem. – Posłuchaj, byłem nieźle popieprzony i... hm..

– Wiem, jak to jest – odparła. – Uwierz, wiem, co oni mogą z człowiekiem zrobić.

Miał wprawdzie na myśli coś zupełnie innego, ale podjął wątek zasugerowany przez Deborę.

– Taa. – Pozwolił przeciec kilku sekundom. – Dlaczego zdezerterowałeś?

Nadal badała z uwagą bezpiecznik karabinu.

– Dowiedziałam się rzeczy, które pozwoliły mi uświadomić sobie, że to, co robiłam, było bzdurą. Które pozbawiły rewolucję wszelkiego sensu.

Mingolla pomyślał o Alvinie i Hermeto.

– Walka – powiedział i zaśmiał się posępnie.

– Nie ma w tym nic zabawnego! – Uderzyła kolbą broni o blat stołu.

– Zapewne. Ale żalony jest sposób, w jaki ludzie z uporem godnym lepszej sprawy próbują przebić głową mur.

Jej twarz stężała.

– A co ty byś zrobił?

– To nie moja broszka. Mnie wciągnięto w tę wojnę siłą.

– Ale nie do Korpusu Psi.

– Fakt, ale bym zdezerterował, mając w tej chwili wybór. Mam dość zabijania, dość ludzi, którzy usiłują mnie zabić. – Sięgnął pamięcią do Coffeego, de Zedegui, a także wszystkich innych, i zrozumiał pełną miarę ich śmierci. Odniósł wrażenie, że został obdarty z jakiejś zbroi, która pozwalała mu znosić skutki własnych uczynków. – Po prostu chcę się stąd zabrać do diabła.

– Do Ameryki! – Ta perspektywa nabrała w jej ustach plugawego wymiaru.

– I cóż w tym złego?

– Nic... jeśli możesz żyć z tym wszystkim, co widziałeś, jeśli potrafisz swą wiedzę o ucisku wepchnąć pod poduszkę i wrócić do malowania obrazeczków. – Chwyciła karabin i wstała. – Nie mogę tego znieść. Porozmawiamy jutro.

– Czego nie możesz znieść?

– Twojej ksobności – odparła. – Umiejętności odwracania spojrzenia od wszystkiego, co cię razi. Zaczynam sądzić, że to wasza cecha narodowa.

– To nie moja wina.

Teraz ona z kolei parsknęła śmiechem.

– Wręcz przeciwnie! Tylko musisz postanowić, po której stoisz stronie. – Zatrzymała się w drzwiach i zwrócona do Mingolli plecami, dorzuciła: – Miałam zamiar pozwolić, by żołnierze cię zabili.

– Jak się dowiedziałaś, że cię tropię?

– To bez znaczenia.

Przekroczyła próg, – Dlaczego zmieniłaś zdanie? – zawołał za nią. – Dla czego, do cholery, zmieniłaś zdanie?

Kilka chwil później, ciągnąc za sobą wstążki swojego motylego orszaku, co chaty wszedł Nate. Motyle usadowiły się na krokwiach, Nate zaś, równie delikatnie jak one, na skraju krzesła. Prześwidrował Mingollę spojrzeniem i z satysfakcją skinął głową.

– Myślę, że wszystko będzie w porządku – stwierdził.

Żałując, że zachował się wobec Debory jak dupek, Mingolla zapytał z roztargnieniem:

– Co takiego?

– Wszystko. – Prostota tej odpowiedzi wynikała, jak się zdawało, z niedostrzeżonej dotąd przez Mingollę prostoty charakteru Nate'a, który uniósł dłoń, pozwalając dwom motydom przysiąść na palcu wskazującym. – „Między purpurą cienia a złotem słońca – powiedział – dwa brązowe motyle przysiadły lekko, sennie kołysząc skrzydłami”.

Wioska, rojące się od much indiańskie siedlisko zasłane gnojem i łupinami mango, leżała nad zakolem jaspisowozielonej rzeki i składała się mniej więcej z trzydziestu chat, bez wyjątku znacznie skromniejszych niż domek Nate'a. Wysokie ściany roślinności dociskające je do rzeki były spletem z najsoczystszych zieleni, same chaty zaś, w kontraście z nimi, zostały skonstruowane z poczerńiałych tyczek związanych gnijącymi lianami, wyglądały żałośnie i rozłaziły się na wszystkie strony jak resztki nieumiejętnie rozpalonych ognisk. Białe dymy sączyły się z otworów w dachach, a ponieważ wiatr rozdzierał je na strzępki i unicestwiał, mogło się zdawać, iż to one odpowiadają za stopniowe bielenie nieba. We wnętrzach chat wisiały hamaki pełne dzieci, kury i świnię to niknęły we wnętrzach kleci, to wyłaziły na dwór. Gdyby nie kilka poniewierających się na ziemi rozpląszczonych puszek i etykietek od butelek piwa, można by dojść do wniosku, że ta osada została żywcem przeniesiona ze średniowiecza.

Mingolla niespiesznie przeszedł przez wioskę, usiłując odszukać Debore, a kiedy jej nie znalazł, stanął na brzegu rzeki i patrzył, jak słońce wypala ostatnie smużki trupio bladej mgły. Dołączył do niego Nate, z łatami motyli na spodniach i aureolą z motyli nad głową. Dla zabicia czasu Mingolla podjął próbę nawiązania rozmowy.

– Debora wspomniała, że byłeś dziennikarzem – powiedział.

– Byłem – odparł Nate.

– Mhm – stwierdził Mingolla po dłuższej chwili, nie doczekawszy się żadnych szczegółów. – Korespondentem?

Nate wyglądał jak człowiek, który wraca do rzeczywistości z jakiejś dalekiej podróży duchowej.

– Tak, byłem korespondentem wojennym. Zajęcie, ostatnimi czasy, pozbawione jakiejś konkretnej ogniskowej.

Mingolla miał po uszy zagadek, nie usiłował więc interpretować sensu odpowiedzi.

– Jak brzmi twoje nazwisko? Może czytałem jakieś twoje teksty.

Nazwisko Nate'a zabrzmiało w uszach Mingolli znajomo.

– Kurwa! To ty jesteś tym facetem, który pisywał artykuły o kolesiu, co maluje ruiny... Malarzu Wojny!

– Tak.

– Ustaliłeś jego tożsamość?

– Dowiedziałem się, że był Skandynawem. Duńczykiem. Dalszych szczegółów brak. Widziałeś jego prace?

– Tylko migawki filmowe i zdjęcia. Zdołano cokolwiek ocalić?

– Nic, o czym wiem. Jego pułapki są nadzwyczaj pomysłowe. Któż by pomyślał, że zawód kustosza może się stać tak ryzykowny?

– Tak, widziałem w TV wybuch jednego z jego fresków. – Mingolla kopnął bryłkę gliny, posłuchał, jak z chlupnięciem ląduje w wodzie. – Dlaczego wybieracie się z Deborą do Panamy?

– Powie ci, kiedy będzie gotowa.

– Gdzie się podziewa?

– Jest zajęta – odparł Nate. – Prosiła, bym dziś rano dotrzymywał ci towarzystwa.

– Obiecała, że ze mną porozmawia.

– A więc porozmawia... tylko nie dziś rano. – Nate machnął dłonią w stronę dżungli. – Pomyślałem, że moglibyśmy pójść na spacer i odwiedzić mojego przyjaciela.

– Super! – Mingolla radośnie wyrzucił ramiona ku niebu.

– Weźmy lunch! Urządźmy sobie piknik! – Motyle zawirowały przed jego twarzą. – Dobra – dorzucił. – Pójdziemy na spacer.

Kiedy ruszyli ścieżką schodzącą w dół pomiędzy gęstymi zagajnikami bambusa i palm karłowatych, Mingolla zapytał, kogo zamierzają odwiedzić.

– Boga – odparł Nate.

Mingolla najpierw omiółł Nate'a badawczym spojrzeniem, usiłując dopatrzeć się w nim objawów szaleństwa, a potem zadał sobie pytanie, czy ta przechadzka przez dżunglę nie jest tutejszą odmianą wpuszczania naiwniaków w maliny.

– W istocie to tylko komputer – wyjaśnił Nate – który jednak dowodzi swej boskości w nader

intrygujący sposób.

– Komputer... jaki komputer?

– Eksperymentalny model zainstalowany w jednym z waszych śmigłowców. Ten został zestrzelony przez rosyjską rakietę, a pilot zginął. Rakietę jednak nie wybuchła, przebiła tylko pokład komputerowy. Komputer skanibalizował rakietę, aby się naprawić. Ów właśnie, jak utrzymuje, synkretyczny proces stał się źródłem jego boskości.

– I ty to kupujesz?

– Pytanie, na które niełatwo udzielić odpowiedzi – odrzekł Nate. – Długo wierzyłem tylko w tego boga, który pewnego poranka uniósł się nad Tel Awiwem. Ale teraz, cóż... spróbuj osądzić sam.

Kiedy dotarli do miejsca katastrofy – zarosłej paprociami sporej kotlinki, którą flankowały granitowe głazy – słońce stało już wysoko i w jego blasku zakątek sprawiał wrażenie zgoła świątynne. Smukły czarny śmigłowiec o kształcie cygara nie runął na ziemię, lecz zawisł dwadzieścia stóp nad dnem kotlinki podtrzymywany przez pnącza i połamane gałęzie; ze swymi splekanymi ślepiami kokpitu i pogiętymi śmigłami rysował się na tle słońca jak mistyczny embrion, nie narodzone dziecko pozaziemskiej rasy gigantów. Dziury w sklepieniu dżungli, które wyszarpał, spadając, zdążyły zarosnąć, po metalowych powierzchniach więc igrały klingi zielonkawego światła, ożywiane drobinami pyłu i wilgoci, przemieszczające się w harmonii z powiewami wiatru. Z rotorów wytrysły fontanny epifitów, siejące szkarłatnym i lawendowym kwieciami, wydawało się, że z refleksów na plastikach kabiny materializowały się motyle niczym płatki białego złota. Patrząc pod pewnymi kątami, można było dostrzec tkwiący w swoich szelkach szkielet pilota, ale to przypomnienie śmierci nie pozostawało w sprzeczności z pięknem kotliny, lecz – niczym kartusz u dołu papirusowego zwoju – stanowiło coś na kształt formalnego podpisu. Był to w mniejszym stopniu konkretny punkt geograficzny aniżeli esencja miejsca: pejzaż przywodzący na myśl malowidła Jana van Eycka, mistyczna sielankowa scena, gdzie w każdej chwili ze skał mogą trysnąć źródła, ptaki zaś – przemówić ludzkim głosem. Stanęli na głazie, z którego mogli zajrzeć przez dziurę po rakiecie na migocące błękitne i zielone displeje komputera.

– Co teraz? – zapytał Mingolla, a Nate przyłożył palec do ust.

– Dzień dobry, Nate – pow iedział z wnętrza śmigłowca suchy, elektronicznie wzmocony głos, – Dobrze się miewasz?

– Doskonale, dziękuję.

– Ach, i jest tu David – rzekł komputer. – Miło cię wreszcie poznać.

Chociaż Mingolla wnioskowałą, że komputer zidentyfikował go na podstawie odczytów sensorowych i informacji uzyskanych od Debory i Nate'a, chłodna potęga głosu wytrąciła go z równowagi.

– Z wzajemnością – odparł, czując się idiotycznie. – Jak leci?

– Ładnie z twojej strony, że pytasz – rzekł komputer. – Prawdę mówiąc, sprawy układają się pomyślnie. Przewiduję, iż wkrótce doczekamy się rozstrzygnięcia wojny i...

Mingolla parsknął śmiechem.

– Czyżby?

– Wnioskuje, Davidzie, że żywisz uprzedzenie wobec mojej natury i wątpisz w mą autentyczność.

– Wnioskujesz prawidłowo.

– Kim zatem jestem, według ciebie?

– Wybrykiem losu obdarzonym głosem. Komputer zachichotał cichutko.

– Słyszałem mniej adekwatne definicje Boga, choć zapewne niewiele mniej pochlebnych. Oczywiście, tę samą definicję można by zastosować wobec człowieka.

– Nie zamierzam temu zaprzeczać – powiedział Mingolla, który zaczynał doceniać uprzejmość komputera.

– Aha! – stwierdził komputer. – Mam, jak sądzę, do czynienia z praktykującym egzystencjalistą, człowiekiem, który, mówiąc bez ogródek, jest filozoficznym jastrzębiem, negującym wszelkie uczucia, jeśli te nie korespondują jakimś cudem z jego wyobrażeniami romantycznego fatalizmu. Trafiłem?

– A nie wiesz?

– Upewnięm cię, że wiem. Ale to jest rozmowa, Davidzie. Powątpiewam, czy uznałbyś ją za sympatyczną, gdybym podkreślał swoją wszechmoc i nieomyślność. Poza tym w dzisiejszych czasach te dowody nie są potrzebne.

– Co jest więc potrzebne w dzisiejszych czasach?

– Ja – odparł komputer. – Ni mniej, ni więcej. Czy jesteś zainteresowany krótkim podsumowaniem mojej roli? Nie chciałbym cię znudzić.

– Proszę – powiedział Mingolla, myśląc, że swoją grzecznością komputer wzbogacił to nierealnie piękne miejsce w elegancką atmosferę gabinetu dżentelmena.

– To zupełnie proste. Bóg pojawia się od czasu do czasu w nader widzialnych wcieleń... kiedy czasy tego wymagają. Niemniej jednak większość epok potrzebuje tylko symbolicznych objawień i obecna nie stanowi wyjątku pod tym względem.

– Trudno myśleć o Bogu jako postaci jedynie symbolicznej – stwierdził Mingolla.

– Ustaliliśmy już, Davidzie, że Bóg nie należy do tematów, w których można by cię uznać za eksperta.

– Co racja, to racja. – Nate wymierzył Mingolli przyjacielskiego kuksańca w żebra, od którego Mingolla z bólu zgiał się w pół. – Och, pr zepraszam!

– Mam nadzieję, że kontuzja nie jest poważna? – powiedział z troską komputer.

– Już wszystko w porządku. – Mingo lla usiadł na krawędzi głazu. Pod nim rzędy światełek uległy falującej zmianie i wyglądało to jak nagle rozchwanie konfiguracji gwiazd w odległej galaktyce.

– Jak więc mówiłem – podjął komputer – w większości epok wystarczy z mej strony jedynie minimalna ingerencja, aby przywrócić ład. Praca wykonana w tych czasach pozostaje niezauważona i moja więc, wyjąwszy krótkie chwile historycznego rozgłosu, nie będzie opisana w dziejach świata. Objawienia Jezusa czy Buddy były niezbędną pirotechniką. Przeważnie jednak – kolejny chichot – działam tajemniczymi metodami.

– Na czym polega twoja praca?

– Została już zakończona. Drugi pilot tego śmigłowca, młodzieniec o imieniu William, doznał podczas katastrofy poważnego urazu. Uleczyłem go, wykształciłem i przygotowałem do poważnych działań, którym w tej chwili się oddaje.

– Jego nieobecność jest ci na rękę – zauważył Mingo lla.

– Udowadnianie było ewangelią Jezusa, nie moją. Nie wymagam wiary od nikogo innego prócz Williama, William zaś nie ma innego wyjścia, jak wierzyć. Twoja wiara, Davidzie, jest bez znaczenia. Zrobiłem swoje i rychło muszę wyruszyć na spotkanie losu... w najwyższym stopniu niesławnego losu, ale jakże zgodnego z duchem epoki.

– Mógłbyś powiedzieć jakiego?

– Oczywiście. Po wojnie biznesmen z Gwatemali natknął się na mnie podczas wyprawy myśliwskiej, a uznawszy, że znalazł osobliwość, każe mnie przetransportować do swojego domu. Będzie usiłował mnie wykorzystać, nieświadom, iż ma do czynienia z autentykiem, i przez to narazi się na gniew Kościoła, który z kolei podburzy masy. Pewnego dnia tłuszcza wedrze się do domu biznesmana, zabije jego samego, mnie zaś zniszczy. Chwałę mego Wniebowstąpienia zasnują dymy elektryczne.

– Jeśli znasz przyszłość – powiedział Mingo lla, opanowując chęć śmiechu – to może byś mi powiedział, co ma w zanadrzu najbliższy rok.

– Wyjawianie twojej przyszłości jest bezcelowe.

– Mhm, powiedzmy.

– Celowa jest natomiast twoja obecność w tym miejscu. Chcę, żebyś we mnie wszedł.

Mingo lla spojrział przez dziurę na rzędy migocących światełek i po jego plecach przeszedł dreszcz.

– Po co?

– Bez obaw – odrzekł komputer.

– Niczego się nie obawiam, po prostu nie wiem, po co miałbym włączyć.

– Powód stanie się oczywisty. Niczego nie usiłuję dowieść, Davidzie. Po prostu mam

przecucie, że krótki moment intymności pomiędzy nami okaże się dla ciebie owocny w nadchodzących dniach.

– Decyzja należy do ciebie – wtrącił Nate – dla mnie jednak to bywa nader relaksujące.

– Byłeś w środku?

– Kilka razy.

Mingolla znów zajrzał do dziury i uznał, że byłoby głupio skapitulować przed nerwowością.

– Niby dlaczego, kurwa, nie? – powiedział.

Nate opuścił go w dół, trzymając za ramiona, i zwolnił uchwyt dopiero wtedy, kiedy Mingolla poczuł pod nogami poszycie kadłuba. Śmigłowiec drgnął, liany skrzypnęły, z góry poleciał kurz i uschnięte liście. Mingolla opadł na czworaki, podpełzł do dziury i ostrożnie zaczął się wsuwać głową do przodu, unikając metalowych zadziorów. Dotarł na koniec pokładu i usadowił się naprzeciwko monitorów.

Oczekiwał, że – wbrew swoim zapewnieniom – komputer będzie usiłował go nawrócić, we wnętrzu śmigłowca panowała jednak cisza. Mingolla czuł się idiotycznie, ale z obawy, iż zostanie posądzony o strach, nie podawał od razu tyłów. Powietrze było chłodne, suchsze niż na zewnątrz – przywodziło na myśl głębsz komputera – a migocące światełka i cichy pomruk zasilania podnosiły aurę odprężenia, o której wspomniał Nate; poszarpana dziura w poszyciu zamykająca krąg zielonkawego światła wyglądała jak wrota do raju. W tym miejscu trudno było uwierzyć, iż jest gdzieś świat, w którym żyją jaguary, psychole i jadowite węże. I może w tym właśnie tkwiło źródło urojeń komputera, źródło wszystkich religijnych urojeń: że jeśli się ograniczysz do tak wąskiego punktu widzenia, zamkniesz w sobie promień zielonkawo-złotego światła, bąbel chłodnego suchego powietrza, może zdołasz ocalić niewinność zdolną dać odpór brutalności świata. Może uzbrojony w wiarę miast mocy, Mingolla mógłby uniknąć wielu ze swych zmór. Skrzyżował ramiona, zamknął oczy, pozwolił, by otulił go spokój martwego śmigłowca i jego samooszukującej się wyroczeni, adekwatnego do czasów wizerunku Boga. Jego myśli zaczęły błądzić. Wspomnienia Barrio, Zaginionego Patrolu i Mrówczej Farmy przemykały przed nim jak uszkodzone klatki ze starego niemego filmu, wyblakłe, anachroniczne w aktorskich minach i pozach – i Mingolla dostrzegał, jak nieodwracalnie złe było jego postępowanie w każdym epizodzie.

– Wystarczy, Davidzie. – Głos komputera zdawał się dobiegać ze wszystkich stron. – Sądzę, że jeśli wrócisz teraz do wioski, Debora zechce z tobą porozmawiać.

Mingolla zaczął pytać, skąd komputer może o tym wiedzieć, ale nagle zrozumiał, iż bez względu na to, czy źródłem informacji jest dedukcja, czy też wszechwiedzącego, Mingolli, znajomość tego faktu nie ma najmniejszego znaczenia. Skłonny zaakceptować tę cząstkę mistyfikacji wpełzł z mrocznego wnętrza pokładu komputerowego i pozwolił się wyciągnąć do światła.

*

Debora czekała nad rzeką, z jej pozycji zaś – podciągniętych kolan i podbródka spoczywającego na skrzyżowanych ramionach – Mingolla wysnuł wniosek, że czeka już dość długo. Nie była skryta za blokiem, słała fale gorąca jak otwarty ogień, a gdy podniosła nań wzrok – dostrzegł w jej spojrzeniu nienaturalny spokój. Fakt, że schudła – zauważył – przydał rzeźbiarstwu owalowi jej twarzy, czyniąc go odpowiedniejszym spoiwem dla subtelnych rysów. Jej piękność stanowiła jądro krystalizacji jego snów i fantazji, i Debora była piękna, choć nie tak piękna jak zapisany w pamięci obraz; przyglądając się jej świeżym okiem, dostrzegł w niej jednak pewną osobliwą cechę, której zaledwie jednym z wielu elementów była uroda. Ruchy ciała Debory, czarne pukle spływające na bluzkę jak ogony egzotycznych ptaków, sposób, w jaki wiatr oblepiał tkaniną jej piersi – to wszystko było znajome i dlatego cenniejsze, bardziej znaczące aniżeli atrakcyjna powierzchowność. Buntował się przeciwko takiemu postrzeganiu Debory, usiłując wskrzesić w sobie gniew zdradzonego, ale zaczynał pojmować, że to już nie ma znaczenia, że bez względu na to, jakie są powody jego zauroczenia, chce w nim zatonać, aby zmyć wszystkie brudy, którymi obrósł od chwili rozstania.

Poprosiła, by usiadł, kiedy to jednak zrobił, odsunęła się od niego na sporą odległość. Mingolla gapił się na dżunglę porastającą przeciwległy brzeg. Słońce – oślepiająca biała eksplozja na niebie – sprawiało, że wszystkie rośliny były takiego samego, jadowicie zielonego koloru. Ptaki o sierpowatych skrzydłach przelatywały nad samymi czubkami drzew, z rzeki srebrzystymi łukami wyskakiwały ryby.

– Będziemy rozmawiać? – zapytał.

– Tak. – Pozwoliła, by jej odpowiedź zawisła w powietrzu.

Brzeg urywał się gwałtownie i pod stopami Mingolli powierzchnię wody marszczyły prądziki powstałe wokół oślizgłych brązowych koniuszków zanurzonej gałęzi; wisały nad nimi czarne muchy, w zielonej mgłę płycizn zaś śmigały cienie narybku. Nieco dalej nad rzeką pochylał się rząd drzewiastych paproci; ich pnie miały dziesięć do dwunastu stóp wysokości, a czupryny liści kiwały się miarowo – to kiwanie, z pozoru zwierzęce czy nawet ludzkie, wyrażało jakby aprobatę paproci dla wszystkiego, co przepływa przed ich dziwnymi bezokimi głowami, zastanowienie nad spokojem panującym w Szmaragdowej Strefie Ogniowej.

– Dobra – powiedział w końcu Mingolla. – Ja zaczę. Wspomniałaś, że dowiedziałaś się czegoś, co odebrało sens twojemu działaniu. Co to było?

Palcem wskazującym nakreśliła w glinie kreskę.

– Toczy się jeszcze jedna wojna. Wojna w wojnie.

Powodowany impulsem, zamierzał wykpić Deborę, ale jej smutek był przekonujący.

– Co za wojna?

– W gruncie rzeczy nie wojna – odparła – ale walka o władzę. Przypuszczam, że pomiędzy dwiema grupami esperów.

Może, koniec końców, była wariatką.

– Jak się o tym do wiedziałś?

– Powiedzieli mi przełożeni. Tak właśnie działają. Rozwijają cię, dają moc, obserwują, jak się nią posługujesz. A kiedy sądzą, iż w takim stopniu uzależniłeś się od mocy, że zależy ci tylko na tym, aby mieć jej coraz więcej i więcej, wprowadzają cię... – jej głos zadrżał – ...do swojego cholernego bractwa! Wtajemniczenie następuje stopniowo, dostarczają ci przesłanek, żeby sprawdzić, jak zareagujesz. Cóż, mnie powiedzieli aż, cholera, za dużo! – Z wyrazem udręki popatrzyła na Mingollę.

– Wierzyłam w rewolucję. Oddałam jej wszystko... wszystko! I okazało się, że nie ma żadnej rewolucji! Nie ma nawet żadnej kontrrewolucji! Wszystko jest kamuflażem.

Mingolla przypomniał sobie wybuch Tully'ego związany z przekonaniem, że wojna nie ma sensu, przypomniał sobie zagadkowe uwagi Opolonia de Zedeguf. Opowiedział Deborze o Tullym, a ona odparła:

– Właśnie! Tak właśnie zaczynają: siejąc ziarno zwątpienia. W następnej kolejności napomykają o operacjach specjalnych, o ich ukrytych celach. Potem przedstawiają pełny obraz... ale niezbyt szczegółowy, bo wciąż ci nie ufają. Nikt nikomu nie ufa. To jedyny pewnik. Wszystko jest podejrzanym, każdemu chodzi o władzę. Reszta się nie liczy. Sprawa to kiepski żart.

– Znow nań spojrzę, teraz nieco spokojniejsza. – Wiesz, dla czego zdezerterowałam, co przepełniło miarę? To, co mi po wiedzieli o tobie.

Czekał na dalszy ciąg.

– Powiedzieli, że dostaniesz rozkaz, żeby mnie zabić. Wiem, jak wygląda szkolenie, jak jesteś wtedy osamotniony. Masz w pobliżu najwyżej dwie osoby. Jeśli dostajesz misję, wie o niej tylko twój trener i człowiek nadzorujący terapię, a to oznacza, że jeden z nich musi iść ręką w rękę z moimi przełożonymi. Analizując wszystkie inne informacje, które zdobyłam, uświadomiłam sobie, że cała kombinacja musi być tak elitarna, tak skomplikowana i przesycona intrygami, że nigdy jej nie rozgryzę... dopóki jestem w nią wplątana.

Mingolla wciąż spozierał na rzekę, obserwował, jak nurt odrywa strzępki kożucha przyklepione do bryły gliny na czubku zatopionej gałęzi.

– Trudno to przełknąć – powiedział – ale ja też słyszałem parę rzeczy.

– Jest ich znacznie więcej – odrzekła Debora. – Wie o nich Amalia.

– Amalia?

– Kolejna przesłanka. Dziecko. Jest w mojej chacie. Śpi. To jedyne, co teraz robi. – Debora potarła kark, jakby temat przyprawiał ją o zmęczenie fizyczne. – Dlatego właśnie cię ocaliłam.

Nie mam już dość sił, by ją budzić. Potrzebuję twojej pomocy.

– Nic więcej... to jedyny powód?

– A jakież inny wchodziłby w grę? Ścigałeś mnie. – Powiedziała to wyzywającym tonem, ale zorientował się, że kłamie.

– Nie teraz... już cię nie ścigam.

– Stało się tak nie z twojej woli.

– Deboro – po wiedział – ja tylko... Zerwała się na nogi, odeszła kilka kroków.

– Nie myślałem trzeźwo – dorzucił.

Wiatr przesłonił jej usta welonem z kosmyka czarnych włosów; w tle wpatrywało się w nich z fascynacją trzech siedzących przed chatą półnagich Indian.

– Chcesz pomóc czy nie? – zapytała obcesowo.

– Jasne – odparł Mingolla. – O niczym innym nie marzę.

Amalia była puciołowatą indiańską dziewczynką w wieku dwunastu albo trzynastu lat; miała właściwy esperom żar, a także niedobór melaniny odpowiedzialny za pokrywające jej czerwono-brązową skórę jasnoróżowe plamy, które jednak w rozjaśnionym tylko świetle półmroku chaty Debory wyglądały jak zaognione pulsujące oparzenia, powstałe w wyniku dotknięcia jakichś trujących kwiatów. Ubrana w brudną białą sukienkę w niebieskie kotki leżała w hamaku, z którego bezwładnie zwisała jedna jej ręka. Oddychała głęboko i regularnie, drżały jej powieki. Wedle informacji Debory, spała tak już od tygodnia.

– Po prostu się wyczerpała – powiedziała Debora. – Jak nakręcana zabawka, która porusza się coraz wolniej i wolniej, a w końcu staje. Ale nawet wcześniej nie było z nią dobrze.

Myślałam, że jest opóźniona w rozwoju. Leżała ciągle, gapiała się na ściany, wydawała jakieś dźwięki. Potem dostawała na padów szalu... łamała, co popadnie, wrzeszczała. Chwilami wracała jej przytomność umysłu i wtedy udawało mi się skłaniać ją do mówienia. Opowiadała o Panamie, o jakimś miejscu, które nazywała Sektorem Jaspisowym... według niej, tam właśnie były podejmowane wszystkie decyzje. Często odnosiłam wrażenie, że powtarza wyuczone na pamięć fragmenty wierszy i opowiadań.

Ostatnie wątpliwości Mingolli rozwiały się jak dym.

– Słyszałem to i owo o Sektorze Jaspisowym – oświadczył.

– Co konkretnie?

– Tylko nazwę i że jest ważny.

Wynędniała krowa zatrzymała się przy drzwiach chaty, zajrzała do środka. Cuchnęła nawozem, jej zapadnięta na pysku biała skóra przypominała mapę nierównego terenu, nie przycinane, skręcone niemal w pełne pierścienie rogi sięgały koniuszkami oczu. Parsknęła, a potem niespiesznie powędrowała dalej.

– Co mówiła jeszcze?

– Opowiadała o miejscu, gdzie kiedyś mieszkała. U „jednego z tamtych”, jak to ujęła. Należała do jego „zepsutych zabawek”. Gdy zapytałam, co ma na myśli, mówiąc o „tamtych”, odparła, że są podobni do nas, ale nie tak silni... choć zarazem pod pewnymi względami silniejsi. Bo żyją w ukryciu, nikt nie wie o ich istnieniu.

Pod strzechą bzycały muchy, zagdakała jakaś kura. Było gorąco, pot zebrany w fałdach skóry na karku Mingolli palił jak ogień. Mingolla wciągnął powietrze przez usta.

– Dziwne – powiedział. – Kiedy przechodziłem terapię, nie przejmowałem się potknięciami czy jakimiś obsuwami, jeśli chodzi o narkotyki... chociaż raz nieźle mi przedawkowali. Po prostu zakładałem, że wszystko jest w porządku. Bóg raczy wiedzieć, dlaczego przyjmowałem taki wniosek, ale go przyjmowałem.

– Sądysz, że to właśnie przytrafiło się Amalii... obsuwa z narkotykami?

– A ty co sądzisz?

– Możliwe. Chociaż trudno wykluczyć, że już niezupełnie normalna trafiła w ich ręce.

– Tak czy siak, wygląda to parszywie.

– Muszę cię ostrzec – powiedziała Debora. – Jest silna... bardzo silna. A jej myśli są chaotyczne.

Zerknął na nią, spotkali się wzrokiem. Skóra Debory była niemal równie popielatobrązowa, jak powietrze, i przez moment odniósł wrażenie, że dryfują w jego stronę jej zawieszony w zupełnej pustce oczy. Cofnęła się nerwowo i położyła dłoń na lince hamaka.

– Spróbuję – powiedział Mingo lla.

Słowo „chaotyczne” było zbyt słabe, aby opisać procesy myślowe Amalii, które eksplodowały w jej czasce jak ognisty szrapnel. Wrażenie zetknięcia się z prądem elektrycznym było przemożne, a wynikłe z niego podniecenie wręcz szokowało gwałtownością swego ataku.

– Jezu Chryste! – szepnął Mingo lla.

– Dasz sobie radę? – W głosie Debory brzmiał niepokój.

– Nie jestem pewien. – Potarł skronie; odczuwał raczej pieczenie niż ból.

Po kilku próbach zaaklimatyzował się, zaczął więc emanować gotowością i dobrym samopoczuciem. Chociaż bolesny i przyprawiający o zawroty głowy, kontakt z umysłem Amalii okazał się instruktywny. Dotarło do niego, że coś, co odbierał zrazu jako przypadkowe fluktuacje, jest w istocie nieskończenie wielką liczbą wzorów, przeważnie tak minimalnych, że często zacierają się nawzajem; pojął również, że działając intuicyjnie wzmacnia niektóre z nich, ukierunkowując w ich stronę swoją energię i moc. Pewne wzory Amalii były – tak samo jak w przypadku Nate’a – wyraziste i łatwo odbieralne; im dłużej pracował nad dziewczynką, tym bardziej dominowały wszystkie inne. Chociaż minęło pół godziny, wciąż nie zdołał jednak rozbudzić Amalii.

– Mogę tak zmitrężyć cały dzień – powiedział do Debory.

– Może popracowalibyśmy nad nią razem?

Debora zmarszczyła czoło, szarpnęła linkę hamaka.

– Chyba warto spróbować – odparła. Prześlizgnęła się pod sznurami i zajęła pozycję z drugiej strony hamaka. – Dobra.

Uwaga Mingolli była zogniskowana na Amalii, na kipieli jej myśli, w pierwszej chwili więc przegapił obecność nowego, bardziej kontrolowanego strumienia energii elektrycznej, strumienia, którego brzegi cofały się przed jego własnym. Gdy go zauważył – uznał błędnie za jeden ze wzorów Amalii i naparł na niego z całą mocą. W momencie kontaktu doznał wrażenia, że dwa potoki iskrzącej energii łączą się, splatają, zaciskają w coś na kształt płynnego węzła, który staje się coraz bardziej skomplikowany, bo nieustannie zapętla się sam – i jego celem stało się jedynie ostateczne zawiązanie owego węzła, wykombinowanie dla niego doskonałej formy... aż nawet ten zamiar zgorzał w ogniu erotyzmu: Mingolla, jak człowiek, który gołymi dłońmi uchwycił przewód pod napięciem, czuł tylko iskrzenie mózgu i przepływający przezeń prąd. A potem się ocknął, patrząc na Debora, niepewny, kto przerwał obwód i jak tego dokonał. Wyglądała na przerażoną, ciężko oddychała przez usta, mogło się zdawać, że lada chwila na oślep wypadnie z chaty. Pragnął powiedzieć coś, co ją uspokoi, zatrzyma, zorientował się bowiem, iż pękła dzieląca ich bariera. Dostrzegł to bardzo wyraźnie, a nadto był przekonany, iż zdołał dotrzeć do sedna ich wzajemnego związku; nie rozumiał tego, co tam zobaczył – bo kształt tego czegoś był równie skomplikowany, jak węzeł, który stworzyli – ale fakt, że zobaczył w ogóle, pozbawiał uzasadnienia koncepcję, iż uczucia wobec Debory zostały mu narzucone. Może najwyższej wzmocnione. Przyspieszone, trochę popędzone. Ale w żadnym razie narzucone. To, jak mu się zdawało, też zobaczył.

– Debora? – Słaby szept Amalii.

Dziewczynka miała otwarte oczy i rzucała się w hamaku, jakby ten usiłował ją połknąć.

– Jak się czujesz? – Debora pochyliła się nad Amalią i pogłaskała ją po głowie.

Amalia zagapiła się na Mingollę. Chociaż nie sposób było ją nazwać ładną, we śnie ucieleśniała dziecięce zdrowie; teraz jej rysami zawładnęła posępna energia i mała zaczęła wyglądać jak jedna z tych tłustych kujonek, z którymi nikt nie chce się bawić.

– Dlaczego go ko chasz? – zapytała Debora. – On robi ludziom złe rzeczy.

– Jest żołnierzem i czasami musi robić złe rzeczy. No i wcale go nie kocham.

– Nie oszukasz mnie! – oświadczyła Amalia. – Ja to wiem!

– Myśl sobie, co chcesz – odparła Debora cierpliwie. – W tej chwili chcemy, żebyś powiedziała nam coś więcej o Panamie.

– Nie! – Amalia przewróciła się na bok, twarzą do Mingolli; jej tłusty brzuch wgniótł się w siatkę hamaka. – Chcę się z tobą bawić.

– Proszę, Amalio. Pobawimy się później.

Mingolla zaczął wywierać na nią wpływ, ledwie jednak musnął umysł Amalii, wzór, którego przedtem nie dostrzegł, wzór skryty gdzieś głębiej, zaczął się wysuwać i cofać, tworząc pętlę bez końca, która przenizywała jego myśli, przywierała do nich z porażającą siłą. W środku jego czoła rozkwitł gorący punkt, by zaraz wypełnić całą czaszkę rozżarzoną do białości słońcem bólu. Poczul wstrząs upadku, usłyszał krzyk Debory. Ból osłabł, Mingolla dostrzegł Amalię, która siedząc w hamaku, przewiercała go spojrzeniem triumfującej świnki.

– Chcę, żeby on też się bawił – powiedziała.

– Potem oboje będziemy się z tobą bawić – odrzekła Debora. – Kiedy tylko opowiesz nam o Panamie.

– Sama się z nią baw. – Mingolla dźwignął się z podłogi, ostrożnie obmacał ziemię, znalazł guza. Potem, zaniepokojony grymasem na twarzy Amalii, zaczął się wycofywać w stronę drzwi.

– Nie rób mu krzywdy – poprosiła Debora.

Po twarzy Amalii rozpełzł się sprytny uśmiech.

– Powiedz, że go kochasz, to cię posłucham. Debora obrzuciła Mingollę ponurym spojrzeniem.

– Powiedz! – nalegała Amalia.

– Kocham go.

– I będziesz go kochać do grobowej deski, prawda?

– Tak.

– Dostanę potem coś do jedzenia?

Zmiana wyrazu twarzy dziewczynki była tak komicznie dramatyczna, że Mingolla omal nie parsknął śmiechem.

– Ugotuję ci kurczaka z ryżem – powiedziała Debora. – Obiecuję.

– Dobra! – Amalia położyła się w hamaku, krzyżując ramiona na swych pączkujących piersiach. – Co chcecie wiedzieć?

– Opowiedz nam o Sektorze Jaspisowym – rzekł Mingolla.

Popatrzyła nań wściekle, potem wbiła oczy w sufit. Znów, jak się zdawało, spłynęła na nią niewinność snu. Milczała tak długo, że Mingolla zaczął pytać:

– Czy ona...

– Psst! – Debora gestem nakazała mu ciszę. – Powie nam.

– Do... – Amalia oblizwała wargi. – Znikli... wszyscy znikli pod... gładkim jak kamień, jak blok jaspisu wśród jasnych płyt i przypuszczał, że już nigdy się nie ukażą, że pokonują niewyobrażalną odległość dzielącą ich od kraju skrytego pod skorupą świata, w który wpięta jest Panama niczym osobliwa brosza w płachtę błękitnego jedwabiu, i tam, w owym dalekim kraju, zostaną rozcięte krwawe węzły i będzie wykuty pokój. – Głos Amalii nabrał mocy i stanowczości. – I nie pokój wymykający się rozumowi, lecz pokój w najwyższym stopniu

zrozumiały, kupiony za banknoty krwi i hańby, za dukaty wybite przez tych, którzy pojęli wreszcie, iż to, co uchodzi podczas wojny, musi być wcielone w taktykę pokoju i tylko na tej podstawie może zostać wprowadzony ład nienaturalny wprawdzie, lecz trwały, surogat zbawienia, które jest samo w sobie surogatem nadziei, a kiedy już... kiedy już... – westchnęła i znów zamilkła.

– Te słowa... już je kiedyś słyszałem – stwierdził Mingolla, daremnie usiłując pobudzić pamięć do działania.

– Gdzie?

– Mam to na końcu języka. Spytaj ją o „innych”.

Pauza dzieląca pytanie od odpowiedzi była tym razem dłuższa, kiedy jednak Amalia otworzyła wreszcie usta, przemówiła ze znacznie większą pewnością.

– „...zaledwie ostatnim incydentem wielusetletniej waśni, zwanej przez Madradonów Wojną o Kwiat, które to eufemistyczne określenie stanowi doskonały przykład skłonności tego rodu do upiększania rzeczywistości. Otóż Diego Sotomayor de Gabrillo, którego bratanica została zhańbiona, nie ościagał się z wywarcieniem zemsty, alisci zabrał się do dzieła w typowy dla Sotomayorów sposób, przedkładając uknucie skomplikowanej i wyrafinowanej intrygi nad natychmiastową akcję odwetową. Był w owym czasie wielce wpływowym członkiem rządu Panamy, wykorzystując zatem swe wysokie stanowisko, nasłał na Madradonów armię poborców podatkowych i innych urzędników, a odwróciwszy tym sposobem ich uwagę, miał wolne ręce, aby przygotować swój spisek. Z ludności Bardo Clann wybrał podatne narzędzie, urodziwego i obdarzonego żdźbłem naturalnego talentu młodzieńca, którego umysł doznał poważnego uszczerbku podczas upadku w niemowlęctwie, i z materiału tego wykuwał przez lata doskonały w swej elegancji oręż – obdarzoną darem wiersza i pieśni piękną zabawkę, niechybnie zdolną przypaść do gustu Serafinie, najmłodszej córce zaprzysięgłego wroga. W labiryncie umysłu chłopca skrył nadto pokłady gwałtowności gotowej do eksplozji na widok nagiego ciała dziewczęcia...”

– Skurwysyn! – Mingolla wałnął kułakiem w otwartą dłoń.

– Przestań. – Debora pochylila się nad Amalią, która chyba zapadła w głęboki sen. – Nie można jej przerywać, bo wtedy milknie. Cholera! Teraz znowu będziemy musieli ją budzić.

– Wszystko w porządku. Powiedziała dość. – Mingolla podszedł do drzwi i spojrzał na letargiczne życie wioski. Kobiety wałkujące ciasto kukurydziane na drewnianych tacach, rozespane dzieciaki przewracające się w hamakach, chrumkające i ryjące świnie. – Jest tak, jak mówiłaś. Przesłanki. Izaguirre dostarczał mi przesłanek.

Debora zbliżyła się do niego.

– Nie rozumiem.

– Ci, których mała nazywa „innymi”, to postaci z opowiadania o dwóch rodach

uzależnionych od ziela, które daje im moce parapsychiczne. Tak jak my, mogą oddziaływać na ludzi, ale potrzebują na to więcej czasu. Są słabi. – Zaśmiała się niewesoło. – Ale ukryci. Ich moc jest niewyczuwalna.

– Jesteś pewien?

– Obudź główniarza, wyciśnij z niego, co się da i spierdalaj... byle daleko od Panamy.

– To na nic. Zawsze powtarza te same cytaty. Tak prawdopodobnie została zaprogramowana.

Po prostu nigdy nie rozumiałam tego tekstu o rodach. – Podniosła wzrok na Mingollę, jakby spłoszona jego bliskością, a potem ruszyła w stronę rzeki.

– Dokąd idziesz? – zawołał. Nie zwolniła kroku.

– Na spacer... muszę pomyśleć. Dogonił ją, zrównał z nią tempo.

– Pójdziemy razem.

– Nie. – Zatrzymała się obok chaty, przed którą dwie nagie dziewczynki zabawiały się lepieniem placków z błota. – Wolę być sama.

– Jest więcej spraw do omówienia.

– Moim zdaniem od fajko waliśmy wszystkie.

– Nie od fajko waliśmy ciebie i mnie.

– To martwy temat.

– Pieprzenie! Cholernie dobrze wiem, co czujesz. Cofnęła się o krok – nie ze strachu, ale jakby z potrzeby spojrzenia na całość problemu z pewnego dystansu.

– Wybacz – powiedziała oziębło. – Być może wprowadziłam cię w błąd. Otóż...

– Mhm. Ty...

– ...nie ma absolutnie żadnej szansy na głębszy związek pomiędzy tobą a mną.

– Nie możesz wyprzeć się swoich uczuć.

– Ale właśnie zamierzam to zrobić.

Podniosła głos i dziewczynki spojrzały na nich trwożnie.

– Jasne, ratujesz mi życie i oświadczasz, że tylko po to, abym ci pomógł z Amalią. Potem ją budzimy, a ty stwierdzasz, że już przedtem zdążyła powiedzieć ci wszystko, co wie. Nie potrzebowałam mojej pomocy. No więc dlaczego mnie ocaliłaś?

– Czułam się za ciebie odpowiedzialna – odparła. – Ja cię w to wszystko wciągnęłam.

– Bądźże realistką. Nie potrzeba słów Amalii, żebyśmy wiedzieli, że kochasz mnie naprawdę.

Zmarszczyła gniewnie czoło.

– Jeśli sądzisz, że dopuszczę, by zawładnęły mną uczucia, nie znasz mnie za grosz.

Rewolucja, oto co...

– Nie ma żadnej rewolucji – przypomniał.

– Może nie ma. Ale zamierzam się dowiedzieć, co jest grane i nie przeszkadzają mi w tym

żadne uczucia, jakie mogłabym żywić wobec ciebie.

– Nie chce mi się wierzyć, że wysłuchuję takich pierdoł – stwierdził. – Chyba podłapałaś te teksty z jakiegoś kiepskiego filmu. „Wybacz mi, Manuelu, dopóki jednak krzywdy nie zostaną naprawione, moje serce należy do sprawy”.

Mocno spoliczkowała go najpierw z jednej, potem z drugiej strony i były to ciosy jadowite, piekące. Złapał ją za nadgarstki, a gdy usiłowała kopnąć go kolanem w krocze – odepchnął.

– Ty sukinsynu! – syknęła, stojąc przed nim jak rozwścieczona wiedźma, z rozczapierzonymi palcami i spadającymi na twarz kosmykami włosów. – Ty dumny sukinsynu!

Potem wykręciła się na pięcie, ruszyła szybkim krokiem i po chwili zniknęła za jedną z chat.

Zacisnął powieki, bo miał ochotę coś walnąć, ale wokół niego było tylko powietrze. Dziewczynki obserwowały go przez cały czas, wielkookie i poważne.

– Dobrze wam radzę – powiedział – wyśnijcie na lesbijki.

Przerzuciły się spojrzeniami i zachichotały.

– Mówię serio – dodał. – Będzie wam łatwiej niż z takim syfem.

Powlókł się ku rzece, rozcierając piekące policzki. Popatrzył na chatę, za którą zniknęła Debora.

-Ja też cię kocham – powiedział.

Rozdział 11

Bywały dni, kiedy miał wrażenie, iż porusza się w próżni, pozbawionej powietrza szarej pustce zrodzonej z poczucia bezcelowości wszelkich działań, były też takie, kiedy nie poruszał się wcale, a życie przepływało gdzieś u podnóża wysokiej nagiej skały, na której sterczał jak rozbitek. Nie miał co robić, nie miał dokąd iść. Postradał całą motywację, a chociaż rozgoryczenie wywołane kosztem tylko ukrzepiło jego uczucie wobec Debory, ona sama stanowiła problem, którego nie rozwiązywał z braku energii; przyznawał jej słusność, jeśli chodzi o ocenę relatywnego znaczenia obowiązku i uczuć, ale również zazdrościł zdolności do wyrzeczeń, bo widując ją codziennie, bywał bliski szaleństwa. Ilekroć krzyżowały się ich szlaki, smakował – niczym wampir liczący na gorącą biesiadę – każdą drobinę roztaczanego przez nią aromatu, każde tchnienie cienia; fantazjował, że wędruje do Panamy w ślad za Deborą, ratuje jej życie i zostaje wynagrodzony bezgraniczną wdzięcznością. Przyszło mu do głowy, iż zwleka z podróżą, bo nie potrafi tak po prostu postawić na nim krzyżyka, i chociaż był to dobry omen, jeśli chodzi o jego szansę u Debory, miał świadomość, iż aby tę szansę wykorzystać, musiałby dalej znosić koszmary wojny, a powątpiewał, czy znajdzie w sobie na to dość sił. Wspomnienia trupów, które za sobą pozostawił, były jak przykute do serca ciężary, które zatrzymywały go w miejscu. Czuł je fizycznie. Były masywne i nieporuszone. Ale jeszcze mocniej paraliżowała go możliwość, że stał się pionkiem w wielowiekowej waśni. Nie do końca wierzył, że tak właśnie jest: ta myśl, wypowiedziana głośno, trąciła fantazją, ilekroć jednak usiłował złożyć w całość elementy swoich doświadczeń, wydawało się oczywiste, że prawda i fantazja idą ręką w rękę. Dostrzegł, iż zwaśnione rody z opowiadania Pastolina, frywolny sposób, w jaki manewrowano nim samym, a wreszcie niemalą część wojny charakteryzuje taka sama kapryśna arogancja – i to wzmacniało jego wiarę. Wiara budziła w nim złość, złość z kolei – zapał, by zbadać zwyrodnienie tkwiące u korzeni wojny. Wszelako i złość, i zapał ustępowały pola duchowemu wyczerpaniu, dlatego więc Mingolla nie robił nic.

Często odwiedzał kotlinkę, niekiedy w towarzystwie Nate'a Lubove'a. Najlepszą porą były zachody słońca. Przenikające przez listowie smugi światła gorzały pomarańczowo i czerwono, krzeszały z kokpitu ogniste skry, pokrywały czarny metal łuską łnień, i wielka sylweta śmigłowca zaczynała wyglądać jak złowróżbna pisanka, która czeka, aż ją podniesie jakieś olbrzymie dziecko. Mingolla czuł wtedy, że światło krzepnie wokół niego, otula pomarańczowo-czarnym pancerzem, co sprzyjało mrocznie romantycznym myślom o samotnych przygodach i wzniosłych celach. Reagował milczeniem, kiedy komputer usiłował go zagadnąć: nie życzył sobie ani towarzystwa maszyny, ani wygłaszanych przez nią słów pociechy. Szkielet pilota i nieziemski mechaniczny głos postrzegał jako symbole oszukańczego charakteru wojny, a ich chwilowa bliskość miała mu jedynie przypominać o takim stanie rzeczy.

Od czasu do czasu próbował wciągnąć Nate'a w rozmowę, ale Nate'owi przeważnie udawało się od tego wymigać. Zawsze będąc skrajnym minimalistą, Nate minimalizował wszystko, co go dotyczyło, coraz bardziej i bardziej, w tym również potrzebę mówienia i działania, i kontentował się obserwowaniem swoich motyli, Mingolla zaś wołał jego małowówność kłaść na karb melancholijnego usposobienia. Pewnego razu jednak Nate się rozgadał na temat wojen, w których uczestniczył jako korespondent. W Afganistanie, Kambodży, Angoli. Był swego czasu klasycznym turystą wojennym, który przesiaduje całymi dniami w luksusowych hotelach, gada z innymi znudzonymi korespondentami, porównując obecny konflikt z dawniejszymi prowincjonalnymi wojenkami, smaży łązawe relacje, a kiedy mózdzierze obracają w ruinę całą okolicę – zalewa pałę w towarzystwie byłych prezydentów.

– Ale nigdy nie widziałem wojny takiej jak ta – stwierdził Nate, uderzając piętami o gład. – To czyste szaleństwo, a już do największych szaleństw dochodzi w Panamie.

– Byłeś tam? – zapytał Mingolla.

– Tak, rok temu. Zagadkowe miejsce. Większa część miasta funkcjonuje jak gdyby nigdy nic, ale jedna dzielnica – Barrio Clarin – jest barykadami oddzielona od pozostałych. Oficjalna wersja jest taka, że chodzi o kwarantannę, nikt jednak nie potrafi powiedzieć, z powodu jakiej epidemii została ogłoszona. Nie ma szans na to, aby dostać zgodę na wejście, ale słyszy się to i owo. Pogłoski o zaciętych bitwach na ulicach. I jeszcze dziwniejsze plotki. Brzmią absurdalnie, ale że wciąż są powtarzane, człowiek nie może ich zlekceważyć.

– Opowiedz – poprosił Mingolla.

– Niewiele tu jest do opowiadania. Po prostu ludzie utrzymują, że w Barrio Clarin toczą się jakieś negocjacje i że mają one związek z wojną. To wszystko. Oczywiście, nie mam żadnych dowodów. Ale widziałem rzeczy, które, hm, jeśli nawet nie są dowodami, to jednak w pewien sposób potwierdzają, że te pogłoski mają rację bytu. Widziałem na przykład, jak wchodzi do barrio lekarz, który prowadził moją terapię. Ze sporej odległości, ale doktora Izaguirre nie mógłbym pomylić z kimś innym.

– Izaguirre?!

– Znasz go?

– Prowadził również moją terapię.

– A więc byłeś w Mexico City?

– Nie – zaprzeczył Mingolla. – Na Roatanie.

– Hmm. – Nate popatrzył na śmigłowiec. – Wszędobylski ten doktor, nieprawdaż? – Wydał z siebie bolesne westchnienie. – Cóż, przypuszczam, że w Panamie wszystko się wyjaśni.

– Co... – zaczęła Mingolla, pragnąc dalej indagować Nate'a na temat doktora Izaguirre, ale Nate mu przerwał.

– Jestem tak straszliwie znudzony tą krwią, tym chaosem – powiedział. – Zaczynam mieć

wrażenie, że w moim życiu nie było nic prócz krwi i chaosu. Przedwczoraj próbowałem sobie przypomnieć coś przyjemnego, co przydarzyło mi się pod czas wszystkich tych wojen, i zdołałem wygrzebać z pamięci tylko jeden taki moment, jedną taką sytuację. W dodatku była to marginalna drobnostka, ale chyba ją wyolbrzymiłem właśnie dlatego, że stanowiła wyjątek.

Mingolla poprosił Nate'a o szczegóły, fakt bowiem, iż Nate w ogóle potrafi sobie przypomnieć w związku z wojną coś przyjemnego, wywarł na nim wielkie wrażenie.

-To było lato osiemdziesiątego dziewiątego, Afganistan – zaczął Nate. – Dolina Bamian. Znasz to miejsce?

– Nie.

– Wyjątkowo piękne. Na południu szalały burze piaskowe, a zachody słońca... Niewiarygodne! Niebo jaskrawoczerwone i żółte, kolory zlewające się w oczach, a na ich tle czarne góry. Pejzaż niemal prehistoryczny. Był tam chłopak, młody chłopak, który na rosyjskiej minie stracił i nogę, i głos. A przynajmniej nie chciał z nikim rozmawiać. Nawet ze mną... chociaż budziłem w nim ciekawość z powodu swoich jasnych włosów. Ciekawiły wszystkich. Miałem ze sobą brzdąkawkę. Znasz coś takiego? Małe drewniane pudełko z paskami metalu zamiast klawiszy. Chyba było tych pasków dwanaście. Uderzasz je kciukami i wydają wątle brzękliwe dźwięki. Afrykański instrument. Chłopak był zafascynowany. Nie grałem, rozumiesz, dobrze, ta zabawka dostarczała tylko akompaniamentu moim myślom i marzeniom, kiedy więc zobaczyłem zainteresowanie chłopca, podarowałem mu instrument. – Nate ziewnął, wsparł się na łokciu. – Nauczyłem go uderzać klawisze i odtąd robił to godzinami. Oczywiście, byłem zajęty innymi sprawami. Ruskie myśliwce atakowały rakietami nasze pozycje, wraz z ekipą całymi dniami filmowałem walki. No więc w końcu zapomniałem o chłopcu i brzdąkawce. A potem pewnej nocy obchodziłem perymetr obozu. To była piękna noc. – Nate usiadł nizej, położył głowę na ramieniu. Mówił teraz mniej wyraźnie, wolniej. – Gwiazdy, znacznie więcej gwiazd niż tutaj, bo powietrze było czystsze. Sierp księżyca, zimny i srebrny. Rześkie powietrze. Noc czysta jak kryształ. No i natknąłem się na chłopca, który siedział na skale nawisłej nad doliną. Grał. Miał przygarbione plecy, skupioną twarz, był cieniem na tle gwiazd i granatowego nieba. Boże, jak on grał! Jakże płynnie, jak ekspresyjnie! Zniweczył ograniczenia dwunastu nut. Precyzyjne falujące arpeggia, które, miało się wrażenie, skłaniają gwiazdy do tańca, a nad nimi nadbudowane proste melodie. Znaczące melodie, smutne. Ta muzyka miała siłę. Mimo skromności skali i mocy, miała taką siłę jak Bach. Przez moment wątpiłem, czy to naprawdę gra ten chłopiec. Sądziłem, że raczej duch, że jeśli podejść bliżej, ujrzę niematerialną postać z zaświatów pozbawioną ust i jakichkolwiek wyrazistych rysów. W tej muzyce była wojna, siła ludzi. – Nate usiadł prosto, głęboko zaczerpnął powietrza. – Kapujesz, nie byli to ludzie budzący podziw... chociaż robiono sporo hałasu na temat ich szlachetności, ducha bojowego. Wielu, bardzo wielu z nich to mordercy i złodzieje. Rozmawiałem na przykład, z pewnym człowiekiem,

który oznajmił mi, że wiele lat temu dowiedział się, iż młodzi podróżni sprzedają krew szpitalom w Kabulu. Zainspirowany tym zaczął urządzać zasadzki na wędrowców przemierzających przełęcz Khyber. Podrzynał im gardła i gromadził krew w skórzanych bukłakach. Kiedy uzbierał już tyle tej krwi, że była, w jego mniemaniu, warta fortunę, zawiózł bukłaki do Kabulu. Krew, rzecz jasna, zgniła i facet był niepokieszony, że żaden kabulski szpital nie chce jej kupić. Uznał tę historię za absurdalną, za jakiś monstrualny żart, który mu zafundowano. Takich jak on było wielu. Ale wszystko dobre, co mieli w sobie ci ludzie, znalazło się w muzyce chłopca. Czystość ich determinacji, miłość do kraju. Nadal... – kolejne ziewnięcie – nadal zdarza się, że ją słyszę. Odbitą od moich nerwów. Kiedy jestem senny, jak właśnie teraz. Wydawało się, że zdrzemnął się na kilka sekund, a Mingolla, zdumiony, jak bardzo przypomina mu to sytuację z Amalią, obudził go potrząśnięciem.

– Dobrze się czujesz? – zapytał.

– Wilgoć – odparł Nate. – Nigdy nie przyzwyczałem się do tutejszej wilgoci. Zasypiam na stojąco.

– Wyglądasz, jakbyś był chory czy co.

– Nie, to tylko ta wilgoć. Upał mi nie przeszkadza... ale w Izraelu, kapujesz, jest sucho.

Mingolla nie był przekonany, ale odpuścił.

– Jak teraz jest w Izraelu?

– Nie, mam pojęcia. Nie byłem tam od lat... wielu lat. – Nate zagapił się na jakiś odległy punkt wśród listowia. – Ledwo cokolwiek pamiętam.

W zwykłych oko licznościach Mingolla zbagatelizowałby również tę ostatnią uwagę, w tonie głosu Nate'a jednak zabrzmiała nuta niepokoju zdradzająca, że w grę wchodzi naprawdę poważny problem. Zapytał więc Nate'a, co pamięta, a Nate, zakłopotany, wymamrotał coś o inflacji, agresywności, a potem odmówił dalszej dyskusji.

– Wspominanie tych rzeczy nie sprawia mi przyjemności – stwierdził, a Mingolla, mając wyrzuty sumienia, że go przy cisnął do muru, odparł, że to akurat doskonale rozumie.

Wracając pewnego wieczoru z kotliny, zauważył ścieżkę, która wiodła z wioski na południe, ale odchyłała się ku rzece. Podążył nią, powodowany impulsem. Szlak był mocno zarośnięty i wiódł przeważnie pod górę, kiedy więc Mingolla dotarł na zakrzaczony urwisty brzeg, był spocony i upačkany. Zmierzch stopił wodę i dżunglę w szarą jednolitość, nad głównym nurtem formowała się mgła, ale że do zapadnięcia zupełnych ciemności zostało jeszcze pół godziny, Mingolla wpadł na pomysł, żeby popływać. Zszedł z urwiska na dół i miał właśnie się precisnąć przez krzaki rosnące nad samą wodą, kiedy spostrzegł Deborahę. Zapinała bluzkę, zdążył jednak zerknąć na małe, sterczące piersi, zanim skryły się pod białą bawełnę. Kiedy uporała się z guzikami, zdjęła z głowy ręcznik zawiązany na kształt turbanu, pozwalając włosom spływać na plecy. Usiadła na brzegu, zwiesiła nogi. Obok niej stał namiot, którego szczyt rysował się

wyraziście na tle różowej smugi ponad wierzchołkami drzew na przeciwległym brzegu rzeki. Mingolla przez minutę ważył możliwości, a kiedy uświadomił sobie, że istnieje tylko jedna, przedarł się przez zarośla.

Wzdrygnęła się, słysząc hałas, obróciła w stronę Mingo lli. Spodziewał się jakiejś gwałtownej reakcji, ale spytała tylko:

– Co tu robisz?

– Spaceruję – odparł. – Nie wiedziałem, że tu mieszkasz.

– Nocuję od czasu do czasu. Są tu gorące źródła.

Usiadł obok niej. Woda pod ich stopami była krystalicznie czysta, bulgocąc, wypływała z wapiennego zagłębienia, a nad żwirowatym dnem Mingolla dostrzegł przemykające maleńkie rybki.

– Bardzo gorące?

– Przy źródle nie można włożyć dłoni, ale nieco dalej woda jest po prostu ciepła. Powinieneś spróbować.

Uznał, że skoro jakoś troszczy się o niego, będą mogli porozmawiać, zaraz jednak uświadomił sobie, że właściwie nie ma nic do powiedzenia. Poczł na sobie jej wzrok.

– Nieba wem wyruszę – oznajmiła lodowatym tonem.

Szum wody ze źródła był tak donośny, że zagłuszał nurt rzeki.

– Chcesz mi towarzyszyć?

Zbity z tropu, spróbował spojrzeć jej w oczy, ale odwróciła głowę.

– Byłoby mi łatwiej, gdybym miała kogoś przy sobie. -

Jej głowa drgnęła, jak gdyby Debora chciała znów popatrzeć na Mingollę, ale zwalczała tę pokusę. – Decyzja należy do ciebie.

Jej bluzka przywarła do wilgotnego łuku żeber, w którym dostrzegła napięcie – tak samo jak w naprężonej szyi i nieruchomej głowie.

– No więc?

– Nie mam już na to siły.

– To nieprawda – stwierdziła. – Jesteś po prostu zmęczony... jak wtedy, kiedy po długim marszu kładziesz się, mając obolałe mięśnie, i myślisz, że już nigdy nie zdołasz powstać. Ale kiedy jednak wstajesz, wszystko znów jest w porządku.

– Masz Nate'a – powiedział. – On ci pomoże dźwigać brzemię.

– Wiem, ale...

– Ale to nie to samo, prawda? Dlaczego nie chcesz być szczerą, dlaczego nie zdradzisz prawdziwego powodu chęci podróży w moim towarzystwie?

Musnął palcem jej brodę i Debora zadrżała – na całym ciele, jak żebak, który czuje nieznaną zapach – ale się nie cofnęła.

– Bo cię pragnę, bo chcę się z tobą kochać... czy takiej odpowiedzi oczekujesz?

– Jeśli jest prawdziwa. – Przesunął dłoń na jej ramię, a potem niżej, poczuł bicie serca. Różowa smuga na zachodzie ściemniała do purpury i rozrosła się wszcz, przypominając w tej chwili płomień przygniatały do ziemi podmuchami wiatru. Wypukłość policzka Debory załśniła zgaszoną czerwienią.

– Oczywiście, to prawda. Nie potrafię jej ukryć, nigdy nie potrafiłam. Ale to tylko jeden z powodów... najmniejszy.

– I podejrzany, bo wszystko jest podejrzane. Usłyszał w swoim głosie nutę uwodzicielskiego wyzwania.

– Tak.

– Przystanie być podejrzany, kiedy się przekonasz, że można mi zaufać.

– Ja... sama nie wiem.

– Dlaczego więc chcesz mnie przy sobie? Sądzisz, że się skumpulujemy czy co? O to chodzi?

– Nie... ja...

– Musisz temu zaufać, musisz czemuś ufać.

– Chcę – odparła. – Naprawdę chcę, ale nie mogę. Obrócił ją, zsunął dłonie na kibić.

– Dlaczego?

Jej słowa były urywane i pospieszne.

– To nigdy nie było dobre, przynajmniej z... i... chcę... chcę do tego...

Jego dłoń zawędrowała pod bluzkę, a Debora wstrzymała oddech i zniemiała.

– Nie – powiedziała słabym głosem.

– Kocham cię – odparł, pomalutku przesuwając dłoń wyżej. – I ty mnie kochasz.

– Usiłuję przestać.

– Po co?

Jego kciuk zawędrował na wypukłość piersi, zaczął w sennym powolnym rytmie zataczać kółka. Jej głowa przechyliła się w bok, jak gdyby uwagę Debory przyciągnął dochodzący z drugiego brzegu rzeki słaby odgłos, Mingolla zaś pocałował ugięcie, w którym szyja spotyka się z barkiem. Na jego języku chłodnozielony smak rzeki zmieszał się z ciepłem jej skóry. Jak hipnotyzer wbił spojrzenie w jej oczy i rozpiął bluzkę. Debora wydała odgłos, który przypominał protest, ale zamarł gdzieś głęboko w gardle. Mingolla rozchylił bluzkę, pochylił się nad piersiami, przywarł do nich twarzą, pocałował, doprowadził sutki do stwardnienia. Kiedy wziął w usta jeden z nich i delikatnie ukąsił, Debora zadrżała i położyła dłonie na jego potylicy, aby go prowadzić.

– Poczekaj – wyszeptała. – Poczekaj.

Miał jednak dość czekania, położył ją więc na brzegu, przesunął rękę na brzuch i niżej, poczuł miękkość pod dżinsami, pojął, że jest otwarta, gotowa.

– Czekaj!

Tym razem wykrzyczała to słowo, zdeorientowany więc puścił ją, zadając sobie pytanie, czy przypadkiem sprawił jej ból. Odtoczyła się od niego, wstała, ściągnęła poły bluzki.

– Nie mogę – powiedziała. – Nawet cię nie znam.

Kwestia dyskusyjna, pomyślał, ale czy warto dyskutować?

Usiadł, czując, że jądra rozsadza mu ból. Był zbity z pantałyku, chociaż nie reakcją Debory. Kobiety zawsze popełniają ten błąd, że kiedy sprawy są już nieźle zaawansowane, stwierdzają nagle, iż jest za wcześnie, by człowiek dotknął je tu czy tam. No i zostawiają go z obojętymi jajkami. Nie, był po prostu zbity z pantałyku. Spoglądając na bąbelkującą powierzchnię źródła, miał wrażenie, że przenika wzrokiem ułożone warstwami rozmaite aspekty swojej kondycji. Z bolącymi jądrami... na brzegu rzeki... o zachodzie słońca... w głębi dżungli... w środku wojny... otoczony przez świrów i Indian... w Gwatemali. I łączyła to wszystko w całość osobliwa pajęcza siatka jego związku z tą kobietą. Zastanawiał się, dlaczego nie jest zbity z pantałyku znacznie mocniej.

– Masz rację – i – po wiedział. – Dajmy sobie spokój.

Spojrzał na przeciwległy brzeg, a kiedy minutę później odwrócił głowę, stwierdził, że Debora zniknęła.

Gęstniała ciemność, księżyc jeszcze nie wzeszedł, nie mając więc ochoty na lawirowanie ścieżką bez latarki, Mingolla wczołgał się do namiotu. Miał jej zapach, co sprawiło, że Mingolla poczuł się osamotniony wśród odgłosów dżungli i chlupotu rzeki. Szkoda, że w namiocie nie było telefonu. Bo wtedy mógłby podzwonić tu i tam. Do rodziców, rzecz jasna. Żeby przypomnieć sobie, jak się nadaje na amerykańskiej długości fal, łykając porcję soli i słodzika. Cześć, mam, cześć, tato, to ja, jestem w Mangolandii, wyposażony w karabin i aparat fotograficzny, wojna nie jest gorsza niż disneyowskie Prawdziwe Przygody z wygłaszaną nobliwym głosem narracją w tle, wkrótce będę w domu z kupą pamiątek, pa, mam, pa, tato. A potem... potem można by dryndnąć do knajpy Sparky'ego, jego podstawowej mety w rodzinnym mieście. Mógł to sobie wyobrazić. Ten stary pierdziel Sparky swoim krokiem kraba podchodzi do telefonu i mówi: „Taa, czego?“, a on, Mingolla, odpowiada: „Hej, Spark, tu David Mingolla, dzwonię z Gwatemali”. Sparky powtórzy nazwisko parę razy, a potem, przypominając sobie, jaka grubą rybą jest ojciec Mingolli, wykrzyknie z udawaną jowialnością: „Jasne... Davy! Cheesburger zestaw i cytrynowa cola, nie? Jak się, kurna, miewasz?” Na to Mingolla powie: „Dokopuję temu i owemu w dupsko, Spark, przysmażam, kapujesz, jajca bereciarzom”. Bo Sparky był zakamieniałym patriotą, no więc po co się wdawać w kłopotliwe szczegóły? Później zapyta, kto dzisiaj jest, a Sparky odpowie: „Nikt, kogo znasz, twoja paczka rozleciała się po świecie i w ogóle”. A może odpuściłby sobie dzwonicie do Sparky'ego, bo po co przypominać sobie, że tamte czasy bezpowrotnie minęły? Do kogo innego mógłby zadzwonić? Ołnienie. Tak!

Zadzwoiłby do Kobiety z Long Island. Dostarczył jej krztyny emocji. Jaki dzisiaj dzień? Policzył na palcach. Piątek. Cholera jasna! Wskoczą na pizzę i do kina, co jest ich wyobrażeniem ostrej balangi, wrócą do domu koło północy na rundkę parafialnego seksu. Cztery razy tygodniowo, regularnie jak w zegarku. Słabszy rezultat mógłby zaszkodzić zdrowiu. Pamiętał, że gdy się kochali pierwszy raz, kiedy serio zabierali się do rzeczy, odsunęła się od niego i oświadczyła chłodnym klinicznym tonem: „Z mężem zawsze robimy to na boku. Tym sposobem żadne z nas nie musi być przygniatane ciężarem drugiego”. Był zdumiony jej naiwnością w sprawach seksu, która dała mu coś na kształt poczucia mistrzostwa i, w rezultacie, sprawiła może, iż ją pokochał. Miłość nie potrzebuje wielu ważkich powodów, co po raz kolejny zostało dowiedzione przez historię z Deborą. Trudno wykluczyć, że to właśnie brak wiedzy stymuluje uczucia, że najbardziej pociągające są rzeczy niezupełnie realne... Nieee... ten telefon też sobie odpuści. Miał ochotę porozmawiać z Deborą. Pod pewnym względem trzymała się tej swojej rewolucji równie kurczowo, jak Kobieta z Long Island swojego małżeństwa. Ale nie była beznadziejnym przypadkiem. Połączyłby się z nią puszczańską gorącą linią. „Posłuchaj”, powiedziałby i wysunął słuchawkę z namiotu, żeby mogła pochwycić elektryzujące przesłanie nocy, cykanie świerszczy i rechot żab o rozjarzonych oczach, jazgotliwe poszczekiwanie małą o czerwonych łbach, klekotanie złowróźbnych ptaków, a ona dostroiłaby się do tego, co te wszystkie stworzenia mówią osobno i chóralnie, mówią śpiewem, mówią szyfrem, mówią stukami, piskami, mówią kaskadami opalizujących dźwięków. Nie ma powodu Nie ma powodu Nie ma powodu – i stanęłaby jak zahipnotyzowana, i zrozumiała, i przestała się bać.

*

Mingolla dusił się we śnie, a kiedy otworzył oczy, nie był w stanie wciągnąć w płuca zatęchłego gorącego powietrza, jakie wypełniało namiot. Wyczołgał się na zewnątrz, wstał, przeciągnął ciało. W nocy spadł deszcz, splukując chmury z nieba, rozżarzone słońce pokrywało jadeitową powierzchnię rzeki migotliwą glazurą. Błękitnosrebrne rybki szturchały pyszczkami kamyki leżące na dnie w pobliżu gorących źródeł. Wyglądało to zachęcająco i Mingolla pomyślał, że on też mógłby zacząć szturchać nosem kamyki, polować na zagrzebane w mule maleńkie żyjątko. Rozebrał się, wszedł do wody, odskakując natychmiast od bijącej ze źródła gorącej strugi. Wapienne podłoże wchodziło w rzekę na mniej więcej dziesięć stóp i na skraju półki woda miała tylko kilka cali głębokości. Mingolla przykłęknął, ochlapał się i pozwalając myślom płynąć z nurtem rzeki, przechylił twarz do słońca. Coś chlusnęło przy brzegu, spojrzał więc w tamtą stronę i zobaczył Deborę. Rozpinała bluzkę, stojąc w wodzie, złożone dżinsy leżały na brzegu. Kropelki wody lśniły na jej udach i czarnych włosach łonowych. Wysunęła się z bluzki, przez chwilę potrzywała ją w dłoniach, a potem cisnęła na brzeg, obok dżinsów. Przez

moment jej ciało sprawiało wrażenie intarsji wkomponowanej w zielone tło, dziurki od klucza, przez którą było widać brązowozłotą pustynię.

Zmysły Mingolli wyrwały się ku Deborze, owinęły wokół niej. Nie miała zbyt smukłej talii, a piersi – tak drobne w porównaniu z pełnymi biodrami, że sprawiały wrażenie niedojrzałych – czyniły ją po dziecięcemu seksowną i pociągającą. Przyklękła przed nim, mając na twarzy wyraz niepewności, a właściwie tuzin różnych wyrazów, które usiłowały być jednym, i Mingolla pomyślał, że na pewno wygląda tak samo, bo też czuje się niepewnie, przejęty obawą, iż znowu popełni błąd.

– Nie mogłam... – powiedziała. – Musiałam.

Nie był pewien, z jaką rozterką usiłowała się uporać Debora, ale pocałował ją na wszelki wypadek, spotkał z jej językiem i wsunął dłoń pomiędzy uda. Rozluźniła się pod dotknięciem, jego palec powędrował więc głębiej, stwierdził, że jest otwarta; szarpnęła się w przód, pozwalając mu wprowadzić palec, i Mingolla zrozumiał, że nie chce czekać, że początek chce mieć jak najszybciej za sobą, wiedzieć wszystko. Posadził ją okrakiem na swych udach, ona zaś, z głową na jego ramieniu, włosami przesłaniającymi mu świat, pokierowała nim, obsunęła się i całego wzięła do środka. Trzymany w ten sposób, zamknięty w jej ciepłe, ściśnięty, czuł się tak cudownie, Jezu, tak cudownie, cudownie, że topniał w niej, zatracił poczucie odrębności cielesnej. Czuł też, jak nieskażona troskami czysta twarz wyłania się spod gniewnej wojennej maski, której kawałki odpadają jeden po drugim, by utonąć w powodzi słońca, świetlistości jasnej wody. Wszystko topniało, dżungla i rzeka płynęły teraz wspólnie, śliskie od żaru i światła, zieleń i błękity zlewały się w jednolity blask, zdolny przewiercić powieki. Debora zaczęła drzeć, wbijając paznokcie w plecy Mingolli, i samo to drżenie nieomal doprowadziło go do wytrysku.

Pragnął się poruszyć, ale siedzieli w niewygodnej pozycji, podtrzymując więc Deborę jedną ręką, przechylił ją tak, że omiatała włosami wodę, drugą rękę zaś oparł o dno, żeby podtrzymywać ich wspólny ciężar. Owinęła go nogami, wessała głębiej i Mingolla eksplodował, a wszystkie złe dni, wszystkie tęsknoty wystrzeliły zeń jak pocisk, od huku którego zamiera serce i przestają funkcjonować płuca. Był rozdygotany, ale wciąż twardy, pragnął jej ponownie. Pot spływał po jego plecach niczym lawa wydzierająca się ze szczelin w skale, słone krople piekły go w oczy. Jego oparta o dno ręka zaczęła boleć, ale nagle przestała, jak gdyby udzieliły jej pomocy mięśnie wapiennej skały. Debora poruszała biodrami, napierała, coraz szybciej i szybciej. U niej też nie trwało to długo. Stęzał jej brzuch, przenikliwie krzyknęła i głęboko wbiła palce w ramiona Mingolli. Potem się rozluźniła, zamknęła oczy. Mingolla wycofał się, wszedł znowu. Jakie cudowne są te jedwabiste mięśnie. Cudowne jak Jezus, jak wszystko, co niesie uspokojenie i rozkosz. Raz za razem zaczęło rozbrzmiewać w jego głowie jedno słowo: Debora, Debora, Debora, ale nie chodziło o to, nie chodziło o jej imię, bo jej imię było tylko tłumaczeniem

prawdziwego słowa, słowa niosącego o wiele szersze znaczenie, całe tajemne królestwa znaczeń, brania i dawania. Popatrzył na nią. Na czułki czarnych włosów płynących po jaspisie, na rozmarzoną twarz o wschodnich rysach, na miejsce, w którym się połączyli. Miałby ochotę coś powiedzieć, coś jej powiedzieć, ale wołał wystrzegać się słów... słowa wypowiedziane głośno mają wagę dowodu, mogą zostać wykorzystane przeciwko człowiekowi, a chociaż on z Debora zostali kochankami, wciąż panowała pomiędzy nimi nieufność. Ale było w porządku, chwilowo wszystko było w porządku. Spojrzał ponad jej głowę, ponad migoczącą wodą, na linię drzew porastających drugi brzeg i oto w chwili, gdy znowu się poruszył, gdy chwilowo wszystko już na zawsze było w porządku, zobaczył oczyma duszy migawkę z czasów, kiedy skosili salwami artyleryjskimi dżunglę, wokół Mrówczej Farmy: nieskrępowany bezmiar i ciszę blasku, czyste niewinne powietrze ponad kikutami palm poczerniałymi jak wypalone zapalki, spękany, parujący, czerwony grunt – i to, jak szli przez umarłą ziemię, miażdżąc butami zwęglone kruche łodygi, szli bez żadnej obawy. Bo wszystkie przyczajone węże były teraz ledwie cieniami wśród popiołów.

Leżeli na boku w ciepłej strudze wody ze źródeł, spoglądając na przeciwległy brzeg, na miniaturowe korony drzew, i Mingolla miał wrażenie, że niewiarygodnie spotężnieli oboje, że są parą wyczerpanych olbrzymów, które przed chwilą wyłoniły się z otchłani. Debora odrzuciła głowę i w tym samym momencie coś srebrnego rozbłysło w najwyższym punkcie nieba; z niepokojem zmarszczyła czoło, a kiedy Mingolla próbował przyciągnąć ją do siebie, wyszarpnęła się i powiedziała:

– Nie... namiot. Chodźmy do namiotu.

Zerwała się z pluskiem i wybiegła na brzeg.

Gdy opuszczona kłapa zamknęła ich w kryjówce, którą wypełniał półmrok i powietrze tak nieruchome jak wstrzymany oddech, Mingolla poczuł się z Deborą bardziej sam na sam – i w osobliwy sposób bardziej pełen życia. Jej ciało błyszczało od wilgoci, oczy jarzyły się jak dwie skry. Przyklęknął pomiędzy jej nogami, pochylił się, pokosztował. Kosztował ją, badał językiem zakamarki cipki, fantazjował, że po wargach spływa mu miód. Przez jakąś minutę prawie się nie ruszała, ale jasno widział, jak bardzo tego pragnęła, jak czuła się dzięki temu ubós twiona i doceniona. Wyrzuciła biodra do góry, zacisnęła uda na głowie Mingolli. Oddychała ochryple i spazmatycznie. Stężyły jej mięśnie brzucha, wplątała dłonie we włosy Mingolli, przytrzymała go nieruchomo, jak gdyby miała się rozsypać w kawałki, jeśli w tej chwili odejmie usta albo zrobi coś więcej. Gdy było po wszystkim, wyciągnął się obok Debory i pocałował ją w usta, a ona powiedziała:

– Czuję swój smak... sądziłam, że poczuć własny smak to byłoby coś straszego.

– A nie jest?

– Nie, bo czuję również twój smak.

Brzmiąca w jej głosie powaga podnieciła go i wszedł w Deborę jeszcze raz, ale tym razem ulegając impulsowi, wszedł również w jej umysł i natychmiast reanimował ten sam elektryzujący obwód mentalny, jakiego doświadczyli przy Amalii. Jego ciało przeniknął ożywczy prąd, jego ruchy były jakby funkcją zawikłań i splotów elektrycznego węzła, który zawiązywali nawzajem w swoich głowach i od tego momentu Mingolla mógł śledzić rozwój wydarzeń tylko w chwilach, kiedy połączenie na krótko się zrywało. Łapał się na tym, że wściekle dźga Deborę, przygważdżając nad głową jej ręce, albo że to ona go ujeżdża i szarpie paznokciami jego tors. Trwało to godzinami, długo w noc. Brutalny, przesiąknięty potem, zwierzęcy seks. Pojmował, że powinien być wyczerpany do szczytu, ale każde wznowienie kontaktu mentalnego stawiało go na nogi, przywracało poczucie oszłamiającej żywotności i siły.

Tuż przed świtem, kiedy na fałdach kłapy namiotu zawisła szarawa poświata, Debora wyszła na dwór, by wrócić kilka chwil później, wilgotna po kąpieli, z ręcznikiem i menażką pełną wody. Obmyła tors i lędźwia Mingolli, a potem, odstawiwszy menażkę, wzięła go w usta. Była jak pochylony nad nim cień, skrywający to, co robi, pod welonem włosów, a ponieważ zupełnie zaskoczyła Mingollę, był zrazu bardziej świadomy jej zachowań niż swoich. Czuł palce wbijające się w udo, ucisk jej ust. Była uroczo niedoświadczona, uczyła się w trakcie, ale jego myśli towarzyszyły jej niepewnym ruchom i było dobrze, cudownie, myśli ostrożne i delikatne, przelotne wspomnienia innych, bardziej doświadczonych kobiet, wiadomości, które usiłował przesłać, zachęcające, żeby robiła to w taki sposób, o tak, Jezu, o to chodzi, obawa, że się wzdrygnie, kiedy nastąpi wytrysk, a tego nie chciał, a potem jego troska uległa potrzebie dominowania, pragnieniu, by ją zatopić, wypełnić, widział w wyobraźni jej usta, a w tych ustach swojego kutasa, który wsysał policzki, czuł, jak język wije się, krąży wokół niego, zobaczył błyski w czarnych włosach, podążał za nim wzrokiem, wyrzutami bioder, całym swym pragnieniem, stężeniem mięśni, wyprężył łukowato biodra, powiedział: „Debora, Chryste!”, położył dłoń na jej karku, poprowadził w ostatnich momentach, zeszywniały i wolny od wszelkich myśli wszedł w światło, w rozrywający nerwy fajerwerk rozkoszy, który przyniósł mu doskonalsze spełnienie niż wszystkie poprzednie, gwałtowne. Przytulila się, uśmiechnięta radośnie i dumnie, pocałowała, pozwalając mu pokosztować jego własnego słonego smaku, i powiedziała coś szeptem.

– Nie słyszałem – odparł.

– To nic.

Nie miał wątpliwości, że wyszeptała „kocham cię” i był rad, że znów mogą sięgać po słowa, że buduje się pomiędzy nimi zaufanie, ale jednocześnie peszyło go uroszczenie zawarte w tych słowach, przeraziła ich moc – i po raz kolejny zaczął się zastanawiać, kim jest ta nieznajoma kobieta, którą miłość uczyniła pozornie tak dobrze znaną, i dlaczego znaleźli się w tym punkcie, i co dalej zrobią.

Najbardziej intrygującym aspektem ich miłości fizycznej nie była intensywność kontaktu mentalnego – Mingolla uświadomił sobie, że oczekiwał czegoś takiego – lecz następstwa, dostrzegane przez oboje poczucie siły i witalności. Przypomniał sobie, co mówił Izaguirre o spotęgowaniu mocy dwojga esperów w wyniku wzajemnego zogniskowania, i żeby się przekonać, jak z tym jest naprawdę, w towarzystwie Debory ponownie odwiedził Amalię. Każde z osobna mogło obudzić dziewczynkę minimalnym nakładem sił, a kiedy Amalia zaatakowała Mingollę – odparł atak bez najmniejszego trudu. Porażkę przyjęła źle. Trwożnie spojrzała na nich zza skraj hamaka – różowe przebarwienia jej skóry go zały w półmroku chaty jak rad – i wybuchła płaczem. Debora usiłowała ją pocieszyć, zainteresowanie Mingolli dziewczynką miało bardziej kliniczny charakter; ciekaw, cóż więcej mogłaby opowiedzieć im o swej przeszłości, pracował nad wzmocnieniem mniej dominujących wzorów w jej umyśle, wspomagając je własną siłą.

– Nie pamiętam – odparła wyzywająco Amalia, kiedy zapytał ją o terapię. Ale widząc jak na dłoni, że kłamie, skłonił ją do posłuszeństwa.

– Było nas wiele – powiedziała. – W wielkim domu.

– Chłopców i dziewczynek takich jak ty? – spytała Debora.

– Nikt nie jest taki jak ja.

– Chodzi mi o to, czy były... chore?

– Zepsute – wyjaśniła, a słowo to podniosło się echem aż poza ścianami chaty, jak gdyby każda zepsuta rzecz na świecie odpowiedziała na wysłany przez Amalię sygnał.

Mingolla ułożył w myślach następne pytanie, zanim jednak zdążył je zadać, Amalia zaczęła mówić:

– ...i światło Bestii wypuszczonej na swobodę byłoby dla Maradonów i Sotomayorów światłem rozsądku, i spotkali się w mieście Cartagena, żeby umyślić pokój, i rozeszli się z tego miasta połączeni wspólnym celem, i przez lata następne przejmowali w swe ręce stery władzy, gotując się do scalenia świata w jeden naród. Wszelako zgoda nie była powszechna. Młodzieżą z obu rodów wciąż miały namiętności, morderstwa tedy, gwałty, oszustwa i kradzieże pieniężne jak dawniej, przez niezliczone pokolenia, w związku z czym postanowiono, iż... iż ona również... ona również powinna...

Amalia obsunęła się w głąb hamaka, wzorami jej umysłu zawładnął zaś taki chaos, że przywrócenie porządku było ponad siły Mingolli. Przez moment jedynym dźwiękiem rozlegającym się w chacie było poskrzypywanie linek hamaka, i Mingolli, który czuł się kompletnie osamotniony, uświadamiając sobie, że są z Deborą pojmani w pułapkę okoliczności wymykających się ich kontroli czy zrozumieniu... to poskrzypywanie lin otworzyło Mingolli wizję pokoju o łagodnie jarzących się ścianach, światło bowiem wypływało z niemal niedostrzegalnych punktów wkomponowanych w zdobiący tapetę ornament z karmazynowych

zawirować, on zaś sam, Mingolla, leżał na łóżku, a umeblowania tego motelowego pokoju dopełniało chromowane biureczko i wiszące nad nim szerokie lustro oraz komplet również chromowanych krzeseł z fiołkorożową tapicerką, dając – w sumie – efekt w równym stopniu hałaśliwy i sterylne. W łazience płynęła woda. Trzask, otworzyły się drzwi łazienki, wyszła z nich Debora, wycierając ręcznikiem dłonie. Ubrana w trykotową koszulkę i majtki. Nigdy się nie przyzwyczyła do zmian, jakich dokonała w jej twarzy operacja plastyczna, ilekroć więc pojawiała się po okresie nieobecności – obojętne, jak długiej czy krótkiej – przez sekundę nie potrafił jej rozpoznać, musiał poszukiwać dawnych płaszczyzn i linii, zamazywać na własny użytek nową regularność jej rysów, aby odnaleźć egzotyczną asymetrię, która na początku tak go zuroczyła. Znajomy był tylko jej wyciszony styl bycia, sposób, w jaki się poruszała po pokoju, niczym kot badający nieznaną teren – skupiona, z opuszczonym wzrokiem, nie oddalając się od ścian. Pokrętem przy drzwiach przygasła światła, położyła się obok Mingolli.

– Jak się czujesz? – zapytał.

– Ciągle obco – odparła. – Jest tu tak wiele...

– Czego?

– Wszystkiego. Jedzenia, światła, chłodu. Czego dusza zapragnie.

– To kraina mlekiem i forszą płynąca. Tu człowiek nie musi się uganiać za luksusami.

– Wcale mi się to nie podoba – stwierdziła.

Wiele lat temu byłby wykpił jej zamiłowanie do ascezy, ale wszelkie żarty, wszelką frywolność już dawno zostawili za sobą.

– To już nie potrwa długo – powiedział. – Pojutrze...

Nie dopowiedział myśli do końca, oboje wiedzieli, co ma nastąpić jutro.

Kochali się w chłodnym suchym pokoju i, tak, był w tym żar, tak, była radość, było elektryzujące sprzężenie umysłów, ale zarazem nie uprawiali już po prostu miłości, robili coś więcej i mniej zarazem: potwierdzali swe zaangażowanie, sprawdzali swą moc w erotycznym aerobiku rozwijającym w nich fundamentalną beznamiętność, która – podobnie jak miłość – nie potrzebuje żadnych uzasadnień prócz samej siebie. Kiedy skończyli, ich moc była wyczuwalna w pokoju niczym ostry zapach ozonu, a Mingolla prawie bez wysiłku mógł sięgnąć za ściany motelu, żeby wnikać w umysł zapracowanego biznesmena, który niebawem będzie nad barowym drinkiem tasować swoje papiery, martwić się technikami sprzedaży i rozważać moralność kelnerek... albo umysły kierowców, oszalałymi światłami Miasta Miłości rozrzuconymi po brązowym skrawku pustyni niczym gwiazdy, których konstelacje wybrały wolność w lepszym niebie... mógł wyłuskiwać myśli z ich głów, kruche jak świetliki w porównaniu z boską potęgą jego myśli, krzepionej miliardami watów energii trwonionej na amerykańskim zachodzie... Pierdol się, kutasie, jak będziesz wymuszałeś, to cię jebnę w zderzak... Jakbym dał naprawdę ostro po hamulcu, to by przeleciała przez tę cholerną szybę, głupia dziwka,

musi szczać co piętnaście minut... Boże, niech całe zło świata nie... całe zło świata nie... całe... wizerunek Boga w tym umyśle to perłowo-seksualne światło, złośliwa odmowa... poza tym pomruki myśli, szum obrazów, pragnień i nadziei po dziecięcemu naiwnych, wspomnień równie przypadkowych jak trzaski wyładowań podczas burzy... i nigdzie umysłu o jakimś znaczeniu i mocy.

Przynajmniej w po lu zasięgu.

W bladej poświacie przenikającej przez zasłony Debora sprawiała wrażenie zatroskanej, Mingolla zapytał więc, czy myśli o jutrzejszym dniu.

– Nie... tylko o pojutrze. O tym, co wtedy zrobimy.

– Wszystko będzie w porządku.

– Wiem – odparła i odwróciła się do niego plecami. Obudzili się przed świtem i zjedli śniadanie w knajpce opodal hotelu, noszącej nazwę, co wynikało z trzypoziomowego neonu, TEKSAŃSKO-MEKSYKAŃSKIE SMAKOŁYKI VERNY. Zamówili jajka sadzone, bekon, grzanki i kawę, usiedli w boksie z czerwonego błyszczącego winylu i patrzyli przez swe odbicia na autostradę, strumień reflektorów i smukłych maszyn sunących na zachód, ku jutrzejszemu Miastu Miłości, na mężczyzn i kobiety za kierownicami, ludzi, którzy pragnęli uciech, a potem zbawienia, wierząc, że nadal jest możliwe, którzy sądzili, iż zatracenie się na jakiś czas w bielizniarskim dziale życia wysrebrzy ich nadzieje, wysmukli pragnienia, pozwalając wrócić do domowej nudy z odpicowaną karoserią i podrasowanym przez seksualne doświadczenie silnikiem pod maską. Zasiadzieli się nad pustymi talerzami. Nie mieli powodów do pośpiechu. Izaguirre nie zniknie, mając wokół siebie strażników i mury.

W knajpce nie było innych klientów, kiedy więc poprosili o rachunek, kelnerka przechyliła się przez przepierzenie i zapytała:

– Przyjechaliście czy wyjeżdżacie?

– Przyjechaliśmy – odparł Mingolla.

– Pierwszy raz w Mieście Miłości?

– Mhm.

Skinęła głową; była chudą kobietą koło czterdziestki, miała na twarzy bruzdy smutnej mądrości, tęcze pasemka w nastroszonej czuprynie koloru kurczęcego puchu i wykrochmalony zielony mundurek – ot, starzejąca się punkowa w stylu country z moralnością nawróconej grzesznicy.

– Nie ma tu nic, czego byście razem nie mogli osiągnąć gdzie indziej... jeśli kapujecie, co mam na myśli – powiedziała.

– Tylko nie zrozumcie mnie źle. Nie wygłaszam kazań przeciwko M.M. Bóg świadkiem, że poszłajałam się sama raz czy dwa. Ale to po prostu nikomu nie daje szczęścia. Choć z drugiej strony smutku też nie. To po prostu jest... jak wszystko inne, kapujecie. No więc po co się

fátygować?

Debora mruknięciem wyraziła zgodę, a chociaż zabrzmiało to dosyć nonszalancko, Mingolla wyczuł pomiędzy nią a kelnerką ton kobiecego porozumienia, z którym nie był zestrojony.

– Skąd żeście przyjechali? – zapytała kelnerka głosem wyrażającym głębokie zainteresowanie.

– Z Meksyku – odparł Mingolla. – A przedtem byliśmy w Hondurasie.

Pytanie obudziło w nim paranoiczny niepokój, wysondował więc umysł kelnerki, szukając w nim śladów manipulacji, stwierdził jednak, że jest w całości ze świata tego.

– Meksyk! – Wnosząc z ekstatycznego tonu, Meksyk mógł być jakimś cudownym miejscem położonym u samego końca bulwaru marzeń, daleką poświatą nad rajskim ogrodem. – Wiecie, sprzedaję tu meksykańską biżuterię... – pokazała kciukiem witrynkę pod kasą; była wypełniona tanim srebrem i onyksami – ...i meksykańskie żarcie. Cholera, miałam nawet meksykańskiego chłopaka. Przed wojną, kapujecie. Ale nigdy tam nie byłam. Chociaż zawsze chciałam. Zobaczyć ładnych chłopaków na plaży, jaszczurki i w ogóle. Ruiny też. Zawsze chciałam zobaczyć te tam ruiny.

Ożywiona, zbratana z nimi, skoro już ujawniła swe najskrytsze pragnienia, zapytała, czy mają jeszcze ochotę na kawę... na koszt firmy. Przyniosła dzbanek, napełniła kubki, usadowiła się obok Debory. Poprosiła o jakieś szczegóły na ich temat, skwitowała wyrozumiałym „mhm” ich maksymalnie oszczędną odpowiedź, na której zresztą wcale jej nie zależało, bo wychodziła ze skóry, żeby sprzedać im swoją historię, historię, którą musiała komuś opowiedzieć od czasu do przedświtowego czasu, żeby się utwierdzić w przekonaniu, że jednak warto po coś żyć.

– Pewnie sobie myślicie, że ten lokal to taka mordownia na zadupiu – powiedziała – ale, uwierzcie, można tu zobaczyć to i owo. Pomysł spuszczenia sobie z krzyża w Mieście Miłości ściągają w nasze strony dziwne egzemplarze.

– Tak? – uprzejmie zainteresowała się Debora. Z miną winowajczyny spojrzała na Mingollę, który zerknął na zegarek. Mieli czas i będzie zupełnie fajnie, jeśli posiedzą tu, posłuchają, będą udawać, że nic szczególnego ich nie czeka. Zaliczą kilka chwil normalności.

– Czasem aż trudno uwierzyć, że takie chodzą po świecie – dodała kelnerka, a następnie opowiedziała im o gościu z absolutnie niezwykłym psem i o dwóch kobietach, które były do siebie podobne jak dwie krople wody, ładnych kobitkach, kapujecie, jak aktoreczki, blondynkach, to były blondynki, przeszły operację plastyczną, żeby się upodobnić, opowiedziały jej wszystko, że są identyczne w każdym szczególe, nawet sobie zmieniły głosy, żeby mieć takie same, nawet jak mówią, nie tylko przy śpiewaniu czy co, i kiedy gadały razem, to było takie piskliwe i swiergoczące, przypominały wtedy dwa ptaki, które nauczyły się po angielsku. Naprawdę było super, jak jednocześnie zamawiały to samo, wafle, bitą śmietaną i bekon, bo taki zestaw zamówiły, no i zafundowały sobie te wszystkie przeróbki, żeby zrobić wielką furorę

w Mieście Miłości.

Mingolla wygluszył kelnerkę, zaczął obserwować Deborę i uświadomił sobie, że ona też go obserwuje. Wydawało się, że nawiązuje z nią łączność taką samą jak w San Francisco de Juticlan, nagle ją dostrzeża, poznaje – i przez chwilę odnosił wrażenie, iż ona również patrzy nań młodszymi oczyma, dostrzegając szczeniaka, którym kiedyś był. Wyrazistość tego złudzenia mieszała Mingollę... co również stanowiło część tego momentu, element przeszłości, bo już dawno temu nauczył się wykreślać zmieszanie z menu swoich reakcji. Moment minął, zanim na dobre zaistniał i Mingolla wiedział, że nie ma sensu trzymać się go kurczowo. Pojawiał się od czasu do czasu, będąc jedną z ich pomniejszych tajnych broni. Mingolli wydało się zabawne, iż Izaguirre – w swym boskim przebraniu – zapewniał ich kiedyś, że ten moment zawsze przyniesie zbawienie. Wtedy nie dali mu wiary; ta koncepcja wydawała się zbyt wydumana, żeby być prawdziwa... chociaż w tej chwili do Mingolli dotarło, że jest po prostu funkcją podstawowych mechanizmów psychologicznych. Zastanawiał się, czy fakt, że Izaguirre podniósł problem, nie jest dowodem, iż wcześniej zaszczerpił w nich tę ideę i wciąż nimi manipuluje. Wszystko budziło podejrzenia. Bez względu jednak na swoją naturę, ów moment niósł Mingolli ocalenie.

Znów zaczął słuchać kelnerki, darzyć ją sympatią, dostrzegać dobrego człowieka, którym pragnęła zostać, wruszającą naiwność stanowiącą podglebie jej pragnień – i włączył się do rozmowy, włączył całym sercem, odsuwając na bok to, kim jest i co musi zrobić. Przegadali cały szary poranek o flankowany na horyzoncie pianą brudnych chmur, dotykając swych dłoni, mówili o codziennych troskach, kłamali i wierzyli w swoje kłamstwa, zapominali z uporem godnym lepszej sprawy, wybuchali śmiechem.

Smugi różu pocętkowały wschodnią połąć nieba, do jadłodajni weszli pierwsi kierowcy ciężarówek i spowici w kłęby papierosowego dymu zażądali szczerliwie steków i kawy. Kelnerka przekazała zamówienie do kuchni, przyniosła następny dzbanek kawy i, wciąż pełna opowiadań, usiadła w boksie. Ale w przeszkłonych drzwiach stawali coraz to nowi klienci, szarzy ze zmęczenia jak niebo, zapoceni w kroczu po wielu godzinach siedzenia za kółkiem, ze skórą podrażnioną pyłem szos, i kelnerka miała coraz więcej roboty. Podeszli do kasy, żeby zapłacić rachunek, a kiedy podstawiała następnemu kierowcy tacę ze stekiem i jajkami, podbiegła do nich i wyrzuciła bez tchu, żeby w drodze powrotnej wpadli opowiedzieć, jak im się podobało M.M., że naprawdę miło było ich poznać, i czy to nie zabawne, że człowiek spotyka kogoś pierwszy raz w życiu, a chwilę później gada z nim, jakby się znali sto lat? Obiecali, że wpadną, dali hojny napiwek i pomachali na pożegnanie. Potem wrócili do motelu i przenieśli do auta karabiny automatyczne...

Strapiiony, pragnąc odrzucić od siebie to wszystko, co zaczynał rozumieć, Mingolla wyszedł z chaty i stał, wchłaniając w siebie przygnębiające detale wioski. Słońce lśniło na strzechach wciąż mokrych po nocnym deszczu, kałuże na żółtej gliniastej ziemi wyglądały jak ciężkie

rozpryski rtęci. Na ulicy mężczyzna minął się z kurą: Indianin zmierzał w stronę dżungli, kura – w stronę rzeki, gdzie zamierzała zapolować na robaki w wąskim pasie nadbrzeżnej trawy. Mingolla rozpoznawał wszystkie elementy sceny, znał ich nazwy i funkcje, ale zarazem brakowało temu wszystkiemu spójności, po jakimś czasie doszedł więc do wniosku, iż nie wynika to z jakiejś immanentnej wady samej wioski, lecz zła, którym jest jego obecność w tej wiosce. Obejrzał się na Deborę, zajęta przy Amalii. Nie dostrzegł w niej żadnej niespójności.

Panama.

Pamiętał zdjęcie zamieszczone w jakiejś broszurze turystycznej: białe drapacze chmur, basen portowy barwy akwamaryny, a gdzieś w głębi Barrio Clarin jak milczący labirynt.

Nagle jego wyprawa do Panamy wydała się czymś zupełnie właściwym. Bardziej niż właściwym – miał w tej kwestii imperatyw moralny i spoglądając na Deborę, zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem jednym z ubocznych skutków miłości jest coś na kształt psychologicznego kołka, na który człowiek może odwiesić swoje lęki i dzięki temu uznać za swoją misję nawet nadmiernie ryzykowne przedsięwzięcie. A może jego pragnienie wyjazdu było napędzane przez towarzyszące wizji poczucie samotnego triumfu, może po prostu potrzebował zwycięstwa, jakiegokolwiek zwycięstwa i teraz wierzył iż jest ono w zasięgu dłoni? Nie, uznał. W to nie mógł wierzyć. Mimo wszystkiego, co zobaczył, miał uczucie, że przyszłość nigdy nie jest pewna, obojętne jak wyraziście człowiek ją widzi.

Debora wyszła z chaty, pokręciła głową, kiedy ją zapytał o Amalię, a potem razem poszli na brzeg. Rzeka wezbrała po deszczu i brzeg był błotnisty; usiedli na przewróconym czólnie i Debora zaczęła z roztargnieniem opowiadać o swoim domu i dzieciństwie spędzonym w bogatej dzielnicy miasta Gwatemala, gdzie rezydencje miały fontanny i murowane ogrodzenia najeżone tłuczonym szkłem. Wiedział, iż przede wszystkim leży jej na sercu Panama, odkąd jednak zostali kochankami, stała się mniej pewna, czego chce i powściągliwsza w stawianiu żądań.

Słuchał jej radośnie; nie miał nastroju na sprawy poważne, a słuchanie opowieści o jej życiu sprawiało mu przyjemność. Źródłem wszakże jeszcze większej przyjemności było dlań to wszystko, co w ciągu ostatnich dni powiedział jej na swój temat, wspomnień, którymi się z nią podzielił – wspomnień, z jego punktu widzenia, mało istotnych, lecz stanowiących integralną część człowieka, jakim się stawał u jej boku. Na przykład dotyczących wakacji, które spędził na farmie wuja w Nebrasce. Zafascynowała go kukurydza. Zawsze widział w niej tylko ociekające masłem żółte kolby, kiedy jednak stanął w środku pola kukurydzy, dostrzegł znacznie więcej: osobliwe stwory o liściach ostrych jak papier ścierny i białych korzeniach tak mocnych, że nie sposób wyrwać ich z ziemi. I człowiek mógł usłyszeć, jak rosną. Dolne części liści, w miejscu, gdzie spotykały się z łodygą, wydawały ciche poskrzypywanie, co czasem miało związek z powiewami wiatru, ale nie zawsze – w pewnych momentach następowało to bez żadnych widocznych przyczyn. No i mając wokół siebie tyle zieleni, doświadczał klaustrofobii.

Potem była ta zima, kiedy zmarła jego prababka. Kończył dwunasty rok, zajmował się nią więc na zmianę z matką i babcią. Ojciec nie miał skłonności do podobnych zajęć. Guzy w jej szyi były twarde. Musiał ją masować. Tak stężały jej mięśnie, że przypominała głaz, w którego głębi kołacze się iskierka życia. Zgrzytanie zębami, rzęsy wrastające w powieki zwiększały jej cierpienia. Oczy tak wyprane z nadziei i puste jak przekreślone kółka. Pamiętał ją z lepszych czasów. Nigdy nie mówiła wiele, wokół niej jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki pojawiały się wypieki i wypucowane powierzchnie. Poślubiła pilota-kaskadera, faceta, który przelatywał przez stodoły i szmuglował whisky z Kanady. Ale nic już z tego nie pamiętała, jej umysłem zawładnęła nicość. Kiedy raz przestał ją masować, wyrzuciła ramię, uchwyciła go i mocno przytrzymała; tej nocy śniło mu się, że usiłował włócznią zabić tygrysa. Pięknego młodego tygrysa o gładkich mięśniach. Nie poruszał się szybko, lecz bardzo sprytnie i Mingolla zorientował się, że zabijany próbuje mu coś pokazać. Później uzmysłowił sobie, że mięśnie tygrysa były równie twarde, jak guzy na szyi prababki.

Leniwy nurt znosił pod brzeg roślinne śmieci i Mingolla, obserwując, jak są wsysane pod mętnozielone fale, podjął decyzję.

– Deboro – powiedział nagle. – Kiedy chcesz wyruszyć? Podniosła głowę i popatrzyła nań zdeorientowana.

– Do Panamy – wyjaśnił.

Dopiero po sekundzie słaby uśmiech pojawił się na strapionej twarzy Debory, która uściśnęła Mingollę. Był to słaby, braterski uścisk, ale w połączeniu z uśmiechem stwarzał wrażenie, że oto Debora bierze Mingollę w ramiona swego smutku.

– Potrzebuję kilku dni, żeby się przygotować – odparła, a potem, po chwili namysłu, zapytała, dlaczego zmienił zdanie.

– Czy to ważne?

– Nie, ale jestem ciekawa.

Wiedział, że chce usłyszeć jakieś pierdoły o poświęceniu prawdzie i sprawiedliwości, ale nie mógł skłamać.

– Z twojego powodu – odparł. – Bo nie mogę pozwolić, byś jechała sama.

Wzięła go za rękę, zaczęła się bawić palcami, aż w końcu, nieśmiałym i trochę zakłopotanym głosem małej dziewczynki, powiedziała:

– Dziękuję.

Dwa dni przed wyruszeniem w drogę Mingolla odwiedził komputer. Chociaż go skreślił, chciał przynajmniej pożegnaniem potwierdzić fakt jego istnienia, komputer bowiem pomógł mu dojść do ładu z kilkoma problemami. Debora, która kręciła nosem na pomysł obrażający jej zdrowy rozsądek, też poszła – dla świętego spokoju. Dotarli do kotliny późnym popołudniem, kiedy płatające śmigłowiec świetliste ostrza były tak dookreślone przez wilgoć i pył, że

wyglądały jak transkrypcja muzycznych akordów czy też blask skupiający się nad organami i chórami w olbrzymich katedrach. Szkielet pilota był, z pozoru, pozłożony i uśmiechnięty, a głos komputera brzmiał niczym ubrana w dźwięk zgęstniała cisza, jak słowa wypowiedane po raz pierwszy od stuleci.

– Macie moje błogosławieństwo na podróż – powiedział komputer.

– To śmieszne – stwierdziła Debora.

– Jesteś w błędzie – zaproponował komputer. – Kochankowie potrzebują błogosławieństw. Ich prostolinijność to za mało, by sprostać wyzbytym miłości mechanizmom świata. Muszą polegać na mocy chwili, a kiedy tak czynią – są błogosławieni. Spójrzcie dokoła. Maszyna stała się hostią, światło uległo wysublimowaniu i nawet śmierć zmieniła postać. To, co widzicie, jest pospolitym pięknem przekształconym w niepospolite przez moment, który przeżył swe trwanie w czasie. Oto najlepsza definicja miłości, a także najstosowniejsza wobec waszych zagrożeń. Wasz moment trwa. Wspięliście się na ów moment i życie na nim jeszcze teraz. Wcześniej czy później zostanieie ściągnięci w dół, ale on zawsze będzie w zasięgu ręki, zawsze gotów dać szansę zbawienia. Dzieła serca nie zniszczy żaden umysł.

Debora burknęła lekceważąco.

– Wierzycie mi – rzekł komputer – ale wolicie nie słyszeć, jak to, w co wierzycie, nazywa po imieniu niewiarygodny twór, za jaki mnie macie.

Liany podtrzymujące śmigłowiec skrzypnęły, a światło zadrżało, jak gdyby potężna myśl zakłóciła najtajniejsze struktury wewnętrzne kotlinki.

Nadciągał zmierzch, kiedy wreszcie ruszyli w drogę powrotną do wioski. Śpiewały ptaki, gaworzyły małpy, a promienie światła wycofywały się z dolnych pięter dżungli. Od skałek obrzeżających kotlinę ścieżka zbiegała w dół i zwężała w utworzony przez nisko nawisłe gałęzie łukowato sklepiony korytarz, który się odchyłał na zachód i wychodził na polanę porośniętą palmkami karłowatymi i drzewkami sapodilla. Polana była piękna o każdej porze dnia, gdy jednak wyszli z korytarza, była piękniejsza niż zwykle, a to za sprawą milionów motyli, które obsiadły każdą gałązkę i lodygę. Powstało takie szaleństwo barw i wzorów, że w pierwszej chwili Mingolla nie zauważył stojącego po drugiej stronie polany i też ukwieconego motylami Nate'a; spory ich kłęb wirował wokół jego głowy niczym chmura, z której od czasu do czasu wyzierało chłodne nieodgadnione oblicze.

– Nate! – w głosie Debory zabrzmiała ostra nuta paniki, a Mingolla, już ogarnięty strachem, podjął bezskuteczną próbę wysondowania umysłu Nate'a. Ów szczególny wzór, z którym się zetknął pierwszego dnia pobytu w wiosce, opierał się wszelkim atakom, tworząc nieprzenikloną, ulegającą fluktuacjom barierę.

Strużkami spłyneło z nieba jeszcze więcej motyli, chmura wypełniła całą polanę, Debora więc szarpnęła Mingollę i ruszyła biegiem w stronę kotlinki. W pewnym momencie Mingolla

obejrzał się przez ramię i zobaczył, że korytarz w listowiu wygląda jak zielona rura, zatykana stopniowo miliardami kwiatów, których cichy szelest mroził mu krew w żyłach i odejmował władzę w nogach. Dotarli do głazu nawisłego nad śmigłowcem, zamarli przez moment w bezruchu, a kiedy motyle pojawiły się nad ich głowami, Debora wrzasnęła: „Skaczymy!” Skoczyli razem, Mingolla wylądował na ugiętych nogach, upadł w przód. Dostrzegł Deborę, która ześlizgiwała się z poszycia mocno rozkołysanego śmigłowca. Chwycił ją za ramię. Motyle tłukły się o jego usta, oczy, zmiatał je dłonią. Pociągnął Deborę ku dziurze wybitej przez rakietę, wepchnął do środka, a kiedy podążał w ślad za nią, rozciął dłoń o poszarpaną krawędź. Minął rozświetlone dysплеje, dotarł w ciemny koniec pokładu komputerowego i zaczął napierać na włącz kabiny pilotów. Debora dołączyła do niego po chwili, wsunawszy palce w zardzewiałą szczelinę, Poczul lekkie muśnięcia na twarzy i dłoniach. Plunieniem pozbył się motyli, które przysiadły na ustach. Jego serce szaleńczo stepowało w klatce piersiowej. Włącz uchylił się ze zgrzytem, przecisnęli się bokiem do kokpitu i zatrzasnęli włącz za sobą. Kilka tuzinów motyli dostało się do środka wraz z nimi, Mingolla tłukł je więc gorączkowo, miażdżył o plastikowy bąbel, deptał, rozgniatał na kleistą masę. Kiedy już wybił wszystkie, oparł się o fotel drugiego pilota i zagapił na szkielet, którego żebra sterczały spod strzępów kurtki. Czerep przypominał upstrzoną brązowymi plamami kulę żółtego pergaminu, wysuszone nici ściągaczków wciąż się trzymały kącików ust, nadając im wyraz idiotycznego uśmiechu. Mingolla odniósł wrażenie, iż pilot zamierza opo wiedzieć dowcip; potem w pustym oczodo le zatrzepotał skrzydłami niebieski motyl i wyraz czerepu stał się złowróźbny. Mingolla wrzasnął przeraźliwie, walnął czaszką na odlew, aż się potoczyła po podłodze, a z roztrzaskanego kręgosłupa strzełił obłoczek pyłu.

Mingolla, ciężko dysząc, odwrócił się w stronę Debory. Siedziała przy włącz bezwładnie, z ugiętymi nogami, jej czoło spoczywało na kolanach.

– Wszystko w porządku – powiedział Mingolla. – Już wszystko w porządku.

Światło przygasło i to tak gwałtownie, że Mingolla odwrócił się o sto osiemdziesiąt stopni, żeby ustalić przyczynę. Tysiące motyli lepiło się do spękanego plastiku, przyćmiewając poczerwieniałe światło deseniem skrzydełek i kruchych ciał. Wyglądało to jak rozłożona na czerwonym stole układanka z motyli, w której brakowało kilku elementów. Braki zostały uzupełnione szybko i w kokpicie zapanował półmrok, rozświetlany tylko przesączaającą się przez skrzydła czerwona mgiełka. Mingolla czuł, jak na plastiku potężnie straszny ciężar, a kilka chwil później usłyszał pierwsze trzaski. Bąbel się poddawał.

– No już! – Sięgnął w stronę Debory, złapał ją za ramię.

– Musimy odszukać Nate’a! Powstrzymać go!

Wyrzucił mackę umysłu, natychmiast nawiązał kontakt z Nate’em i dźgnął jego linie obronne nożem ze swego zogniskowanego strachu. Odporny wzór nie poddał się jednak nawet wtedy, kiedy Debora wsparła Mingollę swoją siłą. Trzaski przybrały na intensywności, ostre drobiny

plastiku posypały się na twarz Mingolli, który odbierał narastającą na bąblu masę jak miążdzący, wyciskający z płuc resztki powietrza ciężar na swej piersi. Zdesperowany, spróbował się włączyć w obronny wzór i – gdy trójkątny kawałek plastiku skaleczył go w policzek – przekonał się, że jest to możliwe. Zaszleściły skrzydła, załaskotały odnóża; zgryzł coś, co chrupnęło, wypłuł. Skraj jego strachu płynął skomplikowanymi pętlami i łukami, stebnując wzór Nate’a z gwałtowną chyżością maszyny do szycia, a Mingolla ze wszystkich sił próbował jeszcze zwiększyć tempo przepływu. Przyłączył się do niego umysł Debory i charakterystyczny węzeł ich wzajemnych związków wplótł się we wzór i zaczął go przemagać, wciągając w dziwną troistą konfigurację bólu i erotyzmu. Potem, gdzieś na zewnątrz, rozległ się krzyk i kontakt uległ dezintegracji z gwałtownością przyskającego zakłęcia.

Motyle uniosły się z plastiku; umierające światło dnia precyzyjnie się pomiędzy plackami zgniecionych korpusów i skrzydeł, rzucając na podłogę cętki cienia. Przez jedną z luk Mingolla dostrzegł w górze spoczywającą na głazie jasnowłosą głowę Nate’a, poczuł, jak jego umysł zapada się leniwie w odmętach nieświadomości. Motyle sadowiły się we włosach roztrzęsionej Debory, która opierała się o fotel pilota, tuziny innych wirowały w kabinie, ale Mingolli brakło już energii, by się za nie wziąć; patrzył, jak się tłuką wokół bezgłowego szkieletu, rozplomienione blaskiem zachodu wylatują przez nowo powstałą szczelinę w bąblu, wznoszą się coraz wyżej i wyżej jak płatki ognistego popiołu, a wreszcie nikną w koronkowym splocie czarnych liści i purpurowego nieba.

Wykaraskali się ze śmigłowca na skałę, gdzie leżał Nate. Miał przy sobie pistolet, Mingolla więc wyjął go z kabury. Zabrali się do budzenia. Jego umysł pograżył się w chaosie podobnym do tego panującego w głowie Amalii, najwyraźniej jednak ich siły spotęgowały się w ciągu kilku ostatnich dni, z robotą bowiem uporali się bez trudu. Wzory myśli Nate’a – także: przypominające wzory Amalii – rozpadały się nieustannie, ale Mingolla był w stanie odtwarzać je na bieżąco. Stwierdził przy tym, że bez problemu można by ten proces odwrócić – osłabić i unicestwić wzory właściwe zdrowemu umysłowi – i zastanawiał się, czy właśnie coś takiego przydarzyło się Nate’owi. Niebawem Nate usiadł, rozejrzał się tępo i przygłodził włosy.

– Ja... mhm... – Ścisnął palcami nasadę nosa. – Nie jestem pewien, co nawaliło.

– Usiłowałeś nas zabić – rzekł Mingolla. – Pamiętasz?

– Tak, oczywiście. Ale miałem tylko obserwować, pomagać wam. – Przeciągle spojrzął na śmigłowiec. – Zawsze tak wiele błędów.

– Co masz na myśli, mówiąc o błędach? – zapytała Debora.

– Czy mógłbym w czymś pomóc? – wtrącił się komputer.

Mingolla, jak się zdawało, wychwycił niepokój w jego głosie, niemniej jednak zignorował komputer i powtórzył pytanie Debory.

– Są zręczni, bardzo zręczni – powiedział Nate. – Potrzebują mnóstwa czasu, żeby kimś

zawładnąć, ale mają wieloletnie doświadczenie. Problem jednak polega na tym, że bywają nieostrożni. Zbyt mocno polegają na swej potędze i stąd ich skłonność do zamasztej taktyki, gigantomanii, przy jedno czesnym zaniedbywaniu najdrobniejszych szczegółów... szczegółów nader oczywistych dla mnie czy dla was.

– Inni – mruknął Mingolla. – O nich właśnie mówisz? Nate dostrzegł pistolet w ręku Mingolli, sięgnął po niego.

– Oddaj, proszę.

– Żartujesz!

– Musisz – odparł Nate. – On mnie znajdzie, znów wykorzysta.

– Naprawdę uważam, iż mógłbym mu pomóc – rzekł komputer.

– Czy wiesz, jak to jest być nieomal nikim? – zapytał Nate. – Widzieć rzeczy, których nie ma, okazywać posłuszeństwo głosom rozbrzmiewającym pod czaszką? – Rzucał na boki oczyma, wyłamywał palce, podniecał się coraz bardziej i bardziej. Nie był to przyjemny widok: sprawiał wrażenie sprężyny zaciskającej się w coraz ciaśniejszy kłęb.

– Kto cię wykorzystuje?

– Izaguirre. – Nate raptownie sięgnął po broń, ale Mingolla odepchnął jego rękę. – Proszę! Od lat nie czułem się tak przytomnie. Ta szansa może się nie powtórzyć.

– Opowiedz nam o Izaguirre – poprosiła Debora. – Wtedy ci pomożemy.

– W porządku. – Nate położył dłoń na głazie, położył z pieczołowitą uwagą, jak gdyby chciał poznać kamień, wessać w siebie jego chłód. – W porządku, ufam wam.

Zapadła ciemność, blask księżyca inkrustował refleksami czarny metal śmigłowca, a Nate mówił spokojnym miarowym głosem; odrzucił głowę do tyłu, opuścił powieki i wyglądał jak pogrążony w medytacji święty. Podczas terapii – jak powiedział – doznał załamania nerwowego i potem długo był przetrzymywany w jakimś domu razem z innymi pokreconymi rekrutami. Chyba w Stanach, ale nie miał co do tego pewności.

– Kierował wszystkim Izaguirre – dodał Nate. – W istocie był tam jedynym przedstawicielem obu rodów.

– Rodów? – powtórzył Mingolla. – Te historie, które opowiadała Amalia... to prawda?

– Och, tak. Izaguirre opowiadał nam o rodzinach, o waśni. Smętnie potrząsał głową, jakby te sprawy leżały mu na sercu, ale w gruncie rzeczy lubił swoje opowiadki i, moim zdaniem, rozkoszował się krwawą historią, której dotyczyły. Potrafił sprawić, że najstraszniejsze okropieństwa wyglądały wykwintnie. – Nate kątem oka zerknął na pistolet. – Dziwne, melancholijne miejsce... ten dom. Musicie uważać. Są tam niebezpieczni ludzie. Zabawki Izaguirre, jego oręż.

Mingolli wszystko zaczęło się układać w całość. Przesłanki, Nate i Amalia, opowiadania Pastorina. Za wszystkim stał Izaguirre... jeśli, co mało prawdopodobne, tak się naprawdę

nazywał. Sotomayor albo Madradona. Arogancja skłoniła go do tego, by wykorzystać w opowiadaniu prawdziwe nazwiska. Zapewne podporządkował sobie Pastorina albo sam nim był. Pisarz słynął ze skrytości, a po głębszym zastanowieniu Mingolla doszedł do wniosku, że nigdy nie widział jego zdjęcia.

– Co dła nas zaplanował? – spytał.

– Nie jestem pewien. Miałem was obserwować i chronić. Ale coś nawaliło.

– Czy wspominał coś o spotęgowaniu naszej mocy? O tym, że wzajemne zogniskowanie dodaje nam sił?

– W rzeczy samej – wtrącił komputer – o tym akurat nie pomyślałem.

Wszyscy obrócili się w stronę śmigłowca.

– Uznałem po prostu, że będzie zabawnie, jeśli wyślę cię za Deborą – ciągnął komputer. – Mam zamiłowanie do ironii.

Teraz jestem rad, że cię wysłałem. Nikomu dotąd nie udało się pokonać Nate'a. Jego dysfunkcja dowiodła, jak wartościowi będziecie we dwójkę. Nie możemy się doczekać waszego przybycia.

– Izaguirre – powiedział Mingolla. – Ty skurwysynu!

Komputer prychnął właściwym dla siebie nonszalanckim śmieszkiem.

– Cześć, Davidzie. Zaskoczony spotkaniem?

– Niespecjalnie. – Mingolla wstał i popatrzył z góry na śmigłowiec, ubolewając, że Izaguirre nie jest w nim obecny ciałem. – Gdzie jesteś?

– Nie irytuj się, Davidzie. Tobie i Deborze życzę wyłącznie tego, co najlepsze. A jeśli chodzi o miejsce mojego pobytu? Cóż, zobaczymy się w Panamie.

– Dlaczego sądzisz, że po tym wszystkim wyruszymy do Panamy?

– A gdzież indziej moglibyście się udać? Jesteście oboje dezerterami, nie możecie zatem wracać do domu. Poza tym ciekawi was Panama. Chcecie ustalić, co się tam dzieje, czyż nie?

– Dlaczego więc nie przeniesiesz nas tam po prostu drogą powietrzną? – zapytała Debora.

– W zwykłych okolicznościach mógłbym to uczynić – odrzekł komputer – niemniej jednak sądzę, że postacie rozsądnie, poddając egzaminowi swoją moc. Podróż nie oszczędzi wam prób, a któż byłby bardziej zainteresowany ich wynikiem niż ja?

– Jesteś świrem! – stwierdził Mingolla. – Toczysz z nami gierki, toczysz je ze wszystkimi.

– Ależ skąd – odparł komputer. – Jestem zwyczajnie ostrożny.

– Co się dzieje w Panamie?

Cisza, czarna pajęczyna lian napięta do granic przez masywne cielsko śmigłowca. Mingolla czuł skrytą w nim potęgę, ale pojmował również, że i jego ciało jest siecią omotującą czarną sylwetkę, potencjałem, którego Izaguirre w swej arogancji może nie podejrzewać. Jeśli zdoła ów potencjał zachować w ukryciu i jeśli tego samego dokona Debora, mogą zafundować doktorowi

Izaguirre niemiłą niespodziankę.

– Proszę – powiedział Nate, pokazując gestem broń.

– Jeśli zostawicie tu Nate’a – zasugerował komputer – wyślę kogoś, kto się nim zajmie.

– Nie! – Nate zerwał się na równe nogi. – Nie wróć!

– Uspokój się, Nate – rzekł komputer. – To wszystko nie jest takie straszne.

Debora wyciągnęła do Mingolli dłoń.

– Daj mi pistolet.

– Co zamierzasz zrobić? – zapytał ze zgrozą. Nie odpowiedziała i nie cofnęła wyciągniętej ręki.

– Nie musisz – powiedział Mingolla. – Może...

– Daj jej! – krzyknął Nate. – Musisz!

Miał na twarzy wyraz niezdrowego ożywienia; Debora sprawiała wrażenie zrezygowanej.

– Ja to zrobię, jeśli już trzeba to zrobić – powiedział Mingolla.

– Niczego nie trzeba tu robić – zaproponował komputer. – Nate wyolbrzymia okropności swojej służby. Znajdzie się pod doskonałą opieką, macie moje słowo.

– Doskonałą opieką? – Nate, zaciskając pięści, podszedł do krawędzi skały. – Tak, trafię pod doskonałą opiekę! Będę mógł całymi dniami przesiadywać w pokoju i ani jedna myśl nie wytrąci mnie z równowagi, ani jedna! A kiedy wreszcie zostanę rozbudzony... ha! Kiedy zostanę rozbudzony, będę dziękować opatrności, że mnie dręczysz... że mi...

Zgubił, jak się zdawało, wątek, wbił wzrok w śmigłowiec. W mrocznych zaroślach obrastających kamienny krąg brzęczały owady.

Debora ujęła lufę broni.

– Zaczekaj na polanie.

Mingolla z wahaniem puścił kolbę, posłał Nate’owi ostatnie spojrzenie, przemaszerował łukowym korytarzem z liści i przystanął w pierzastym cieniu palemki. Dziwnie się czuł, myśląc o Deborze, która kogoś zabija i że w dodatku jest to egzekucja połączona z aktem eutanazji. Próbował wytłumaczyć ją partyzancką przeszłością, chciał, żeby była szlachetna. Mijały minuty i zaczynał odczuwać lęk, że stało się coś złego, że Nate zdołał jakoś odebrać Deborze broń. Już ruszał w stronę kotlinki, kiedy się rozległ strzał. Wrzasnęły małpy, w górze załopotwały setki ciemnych skrzydeł. Kilka sekund później u wlotu ścieżki pojawiła się Debora z pistoletem zatkniętym za pasek. Chciał ją jakoś pocieszyć, ale minęła go bez słowa, maszerując tak szybko wśród rzadkich krzaków, że z trudem dotrzymywał jej kroku.

* * *

Swój ostatni dzień w Szmaragdowej poświęcili pakowaniu do czółna zapasów i broni,

a także ostatecznemu ustalaniu planów podróży. Rzeką do Szosy Peten. Autobusem do miasta Reunion. Potem pieszo przez dżunglę do Rio Dulce na południe od San Francisco de Juticlan, a stamtąd łodzią w dół rzeki do Livingston. Amalię – która zawędrowała do wioski wkrótce po przybyciu Debory, wielce prawdopodobne, że pokierowana przez Izaguirre – oddali pod opiekę młodej bezdzietnej wdowie; nie łudzili się, że Izaguirre zostawi ją w spokoju, do czasu jednak, gdy się o nią upomni, była w dobrych rękach. Potem powiosłowali do gorących źródeł, gdzie zamierzali spędzić ostatnią noc.

Przedwieczór upłynął w spokoju. Przygnębiona Debora siedziała na brzegu i machała nogami, od czasu do czasu muskając stopami wrzącą wodę, jak gdyby sprawdzała swoją odporność na ból. Mingolla siedział obok niej, czyścił karabiny i rozmyślał o najbliższych dniach. Spoglądał wzdłuż rzeki na południe, gdzie było już ciemniej i skąd napływała w ich stronę czarna mgła. Doznawał wrażenia, że precyzyjnie wyczuwa dramaturgię ich podróży, wspinaczki i zejścia, skoki do kryjówek, ucieczki przed takim czy innym niebezpieczeństwem; jego myśl wyprzedzała go jak wiatr, poznawała kształt terenu i zdarzeń. Od czasu do czasu podejmowali rozmowę, na ogół o niczym, jedno pytało drugie, czy jest głodne, senne, spragnione... Naprawdę porozmawiali tylko raz – wtedy, kiedy Debora zapytała Mingollę, o czym myśli.

– O niczym specjalnym... po prostu o jabłoniach w naszym ogródku – odparł. – W domu, kapujesz.

– A ja sądziłam, że raczej o podróży.

– Bo myślałem, ale później przypomniałem sobie przycinanie jabłoni.

– Nigdy nie widziałam jabłoni.

– Dość kształtne drzewa. Nie zwracałem na nie szczególnej uwagi, do czasu gdy zacząłem przy nich pracować. Jak człowiek godzinami przycina gałęzie, to zaczyna zwracać uwagę na rozmaite rzeczy.

– Na przykład?

– Że rozgrzane trociny mają zapach pieczonych jabłek.

– Co jeszcze?

Zastanawiał się przez chwilę.

– Jeśli długa gałąź, umierająca, ale jeszcze nie całkiem martwa, ma szansę wypuścić młody liść, zawsze wypuszcza go na samym końcu.

Zanurzyła w wodzie palce stóp.

– Taki właśnie był Nate.

– O czym mówisz?

– O czymś, co powiedział, zanim... – Wydęła wargi, wbiła wzrok w dłoń. – Naprawdę... – dodała po długiej pauzie – ...naprawdę chciałabym uwierzyć, że pragnął umrzeć, że to nie było

po prostu szaleństwo.

– Sądzę, że i jedno, i drugie.

– Nie – zaprzeczyła. – To było tylko szaleństwo.

– Dlaczego więc to zrobiłaś?

– Mógł znów usiłować nas skrzywdzić.

– Zupełnie wystarczający powód.

– Kiedyś wystarczał, ale... – Kopnęła powierzchnię wody, wznecając małą fontannę. – Odczuwam zbyt wiele – stwierdziła, spoglądając nań trochę oskarżycielsko. – Nie chcę, żeby to... pomiędzy nami... uczyniło mnie słabą.

Usiłował uderzyć w lżejszy ton.

– Mnie się wydaje, że jest dokładnie na odwrót.

Popatrzyła nań zdezorientowana, wyjaśnił więc, że miał na myśli ich spotęgowaną moc.

– Nie o to mi chodzi! – Ponownie kopnęła wodę. – Rzecz w tym, co uczucia robią z determinacją.

– Człowiek powinien coś czuć, kiedy kogoś zabija – odparł, a potem opowiedział jej o Barrio, de Zedegum i cenie, jaką zapłacił za to, że nie odczuwał nic.

– Miał rację – uznała, kiedy skończył. – Jesteśmy istotami obdarzonymi mocą, ale nad niczym nie panujemy. Panuje Izaguirre albo ktoś, kto włada nim.

– Prawdopodobnie – przyznał. – Bo bankowo jesteśmy przedmiotem manipulacji. Ale to wcale nie znaczy, że nie możemy mieć żadnego wpływu na nasz los. – Odłożył karabin na brzeg, objął Deborę. – Nie przestaję myśleć o czymś, co powiedział Nate.

– Mianowicie?

– Że nieustannie popełniają błędy, że są zręczni, ale nie ostrożni. Wszystko, co się zdarzyło, miało istotnie przypadkowy charakter. Zauważyłem to po sobie, po moim zachowaniu w Bar do. Zakładałem, że wszystko pójdzie jak po maśle, że wszystko trzymam w garści, a skończyło się na podejmowaniu idiotycznego ryzyka, którego omal nie przypłaciłem życiem. I widzę to w tym całym syfie, który mi zafundowano. Kiedy, na przykład, Izaguirre dał mi wzmocnioną dawkę i dopiero po fakcie zaczął się martwić, czy przypadkiem nie walnął za dużo. Widać to w opowieściach, w ich frywolności. Śmigłowiec to pierwszorzędny przykład. Po myśl, jakim kurewskim trwonieniem energii było przygotowanie tego cyrku. To było zupełnie niepotrzebne – ot, tylko greps, szansa dla Izaguirre, żeby odegrać rolę Boga. Ci ludzie biorą narkotyki od stuleci i takie zachowanie jest ich drugą naturą. Są potężni, ale to psuje. Jeśli tylko nie stracimy nerwów, jeśli nie będziemy ufać nikomu prócz siebie, może zdołamy ich zaskoczyć.

Może się okazać, że będziemy ich największym fiaskiem. Mam głębokie przeczucie, że tak właśnie będzie.

Nic nie odpowiedziała.

– Naprawdę – dodał. – Nawet więcej niż przecucie.

– Mam nadzieję, że nie są psujami – odparła wreszcie. – Mam nadzieję, że to, co robią, odmieni bieg spraw.

– To znaczy...

– Nic mnie nie obchodzi, kto w tych stronach dyktuje warunki – powiedziała. – O ile nie jest to Amerykańska Izba Handlowa z Guatemala City. Albo United Fruit, albo Standard Fruit, albo Banco Americano Desarrollo. Albo jakaś inna amerykańska spółka. Jeśli Izaguirre działa przeciwko nim, jestem po jego stronie.

Zapomniała o przygnębieniu i wydawało się, że lada chwila wybuchnie gniewem; Mingolla wolał nie podejmować dyskusji.

– Taa, cóż... dajmy na to. Ale zachowujemy ostrożność.

Nie zaczynamy ufać ludziom, których nie jesteśmy stuprocentowo pewni, dobra?

– Zgoda – odparła. – W końcu jednak będziemy musieli komuś zaufać i mam nadzieję, że będą to sprzymierzeńcy Izaguirre.

Światło gwiazd wypolerowało rzekę, wyłowiło z ciemności bystrza. Wiatr przepędził moskity, Debora i Mingolla rozłożyli więc swoje śpiwory przed namiotem. Widziane z bliska, rysy Debory były delikatniejsze niż zwykle, bardziej dziewczęce; kiedy dotknął jej piersi, poczuł na policzku ciepły przyspieszony oddych. Tułąc się do niej – pozostawał daleko, zbyt wytrącony z równowagi podróżą, żeby się zatracić w miłości; studiował kształty jej piersi, bioder, pochwy, usiłując w swej znajomości ciała Debory odnaleźć prawdziwszą wiedzę o umyśle i duszy, odkryć jakiś topograficzny fakt, który potwierdzi dobrą nowinę o jego uczuciach, który wyjaśni zagadkę Debory i – wreszcie – usprawiedliwi ryzyko, jakie podejmuje on sam. Jedynym wszakże wynikiem okazało się podniecenie. Jej skóra – gładka, pokryta chłodną powłoczką – była jak światło gwiazd. Kiedy wsunął się pomiędzy jej długie uda, odrzuciła głowę, wbiła wzrok w niebo i wykrzyknęła: „Boże!”, jak gdyby dostrzegła nad sobą czyjąś tajemną obecność. Ale wiedział, do kogo tak naprawdę adresowany jest jej krzyk. Do zamykającego ich w sobie uczucia żaru i osłabienia. Do sublimacji nadziei i lęku w pożądanie. Do bezmyślnej, zakochanej w sobie istoty, którą się stawali, splotu bioder, ust i serc. To był Bóg.

PRZEPRAWA PRZEZ GŁUSZĘ

Ludzie w tym regionie to chwast.

Thomas de Quincy

Rozdział 12

Ruy Barros był złym człowiekiem, mógł o tym zaświadczyć każdy mieszkaniec Livingston. Zważmy – mawiano – że nader często widuje się Ruya noszącego zegarki bądź złote łańcuszki podobne do tych, które należały kiedyś do jego pasażerów. Zważmy również, iż jego żona wyruszyła kiedyś w podróż brzemienna, wróciła zaś bez brzucha i bez dziecka. Czy nie sugeruje to, że Ruy, któremu brak cierpliwości wobec słabych i ułomnych, uznał niemowlę za utrapienie i wyrzucił je przez burzę? Dowodziłby tego również fakt, iż żona porzuciła go wkrótce potem i zamieszkała ze swoją rodziną w Puerto Barrios. No i spójrzmy na kobietę, z którą od tego czasu się prowadzi, dziwkę z mistyczną różą w miejscu złego oka. Jeśli potrzebne są dalsze dowody jego występnej natury, weźmy pod uwagę przewożone przezeń ładunki. Kokainę, dezertarów, antyki. Tak – powiedziano Mingolli – postąpiłby pan rozsądnie, szukając innego przewoźnika... choć „Ensorcelita” to jedyny statek w porcie zdolny dopłynąć do Panamy, a Bóg jeden raczy wiedzieć, kiedy się pojawi jakiś inny. Byłoby zapewne lepiej, senor, gdyby przemyślał pan swe plany podróży.

Mężczyźni i kobiety występujący z tymi ostrzeżeniami byli Karaibami, którzy mieszkali w białych casitas, kąpali się zaś w wielopoziomym wodospadzie skrytym pomiędzy zielonymi wzgórzami nad miastem; sielankowy spokój ich życia w miejscu położonym tak blisko strefy frontowej stanowił doskonały dowód sztucznego charakteru wojny. Na podstawie zasłyszanych opowieści Mingolla wyobraził sobie Ruya Barrosa jako starego, pokrytego bliznami i tatuażem, złotozębego pirata, do którego jak ulał pasuje „Ensorcelita”, obtłuczony czterdziestostopowy kuter o ciemnozielonym kadłubie, z czterema zagraconymi kajutkami pod pokładem i chłodnią w części rufowej. Przechylona w bok o jakieś pięć stopni sterówka nie była malowana od lat, ale resztki starej żółtej farby sprawiały, że z pewnej odległości wyglądała jak budka pokryta wesołym deseniem w kropki. Pokład zaścieniały szmaty, pokryte smarem od części silnika, zwoje lin, dziurawe butle gazowe, a znaczną część desek toczył murz. O ile wszakże osobowość Ruya korespondowała z plugawym stanem stateczku, o tyle jego powierzchowność pozostawała z nim w sprzeczności. Ruy był zbliżającym się do trzydziestki kościstym facetem o zapadniętej piersi, miał płasko leżące na karku, modnie przystrzyżone czarne włosy i pociągłą, nieco końską twarz, która – mimo pewnego prymitywizmu – miała w sobie coś rasowego, a poza tym wydała się Mingolli znajoma. Może dlatego, że przywiodła mu na pamięć dworskie portrety Goi przedstawiające skwaszonych, długonosych i grubo wargich diuków czy markizów.

Rankiem tego dnia, gdy się okrętowali – zimnym, pochmurnym rankiem z przetaczającymi się nad morzem kłębamii mgły – Ruy powitał ich przy relingu wystudowanym ukłonem, którego efekt jednak zniweczyły słowa powitania.

– Powiedziałem o siód mej – burknął Ruy. – Co ty sobie myślisz, człowieku? Że to jakaś

cholerna taksówka? Mój drugi pasażer sterczy na pokładzie od pierdolonej godziny.

Mingolla miał już zapytać, jaki pasażer, kiedy zza sterówki wyłonił się rozpromieniony czarnoskóry olbrzym. Szpakowate wełniste włosy, czerwona czapeczka baseballowa, dzinsy i rozpięta potężnymi mięśniami trykotowa koszulka. Różowa haczykowata blizna nad okiem. Mingolla nie mógł uwierzyć, że to Tully, kiedy jednak ostatecznie przyjął ten fakt do wiadomości, wyszarpnął ukryty pod koszulą pistolet automatyczny.

– Odłóż to kurewstwo! – powiedział Ruy, cofając się o krok. Tully nie podał tyłów.

– Widać, że jesteś silny, Davy. I czuć. Bez dwóch zdań.

– Przelotnie zerknął na Deborę. – A to ta babka Cifuentes, co? Całkiem, całkiem, mon.

– Co tu robisz? – zapytał Mingolla.

– To samo, co ty, mon. Panama. – Wypowiedział to słowo tak, że zabrzmiało jak głos przeznaczenia, zapowiedź wielkich czynów. – Dodawałem dwa do dwóch i wyszło mi na Panamę.

Ruy wycofał się aż pod drzwi sterówki i był gotów wśliznąć się do środka, ale Mingolla kazał mu zostać.

– Kto to jest? – zapytała Debora, która też wyjęła broń.

– Davy nigdy ci nie wspomniał o Tullym Ebanksie?

Tully podszedł do niego bliżej, a Mingolla, uświadomiwszy sobie, że nie potrzebuje broni, wsunął pistolet za pasek.

– Bądź rozsądny, Tully – powiedział. – Dam ci radę, żaden problem.

– Myślisz, że nie wiem, Davy? A kto niby mówił, że będzie z ciebie ktoś wyjątkowy? Dostrzegłem to od pierwszej chwili, i wciąż jestem po twojej stronie, mon.

– Mhm, jasne.

Ruy znów podjął próbę zniknięcia w sterówce, a Mingolla go ostrzegł.

– Zamierzam uruchomić tego skurwysyna – odparł Ruy.

– Chcecie się, kutasy, pozabijać? Wasza brocha. Ale ja mam na głowie mgłę.

Zanurkował w drzwiach i chwilę później głuchy warkot wprawił kadłub w drżenie, a z rufy rzygnął czarny dym.

– Masz zamiar mnie zastrzelić, Davy? – zapytał Tully z szerokim uśmiechem.

– Niewykluczone – odparł Mingolla. – Gadaj, dlaczego się wybierasz do Panamy.

– Bo to jedyne możliwe miejsce. Dureń ze mnie, że potrzebowałem tyle czasu, aby wykombinować, jak sprawy stoją.

– Jakie sprawy?

– O których słyszałem... od Izaguirre i innych. Nagle to wszystko nabrało sensu.

Mingolla, lawirując wśród pokładowej rupieciarni, podszedł do Tully'ego na odległość wyciągniętego ramienia. Tully wykrzywił w jeszcze szerszym uśmiechu swą masywną twarz

bożka. Potem uśmiech zaczął niknąć, kiedy Mingolla wszedł w umysł Tully'ego, zneutralizował mechanizmy obronne i wyrwał wpływ zmuszający do szczerości. Powtórzył pytanie dotyczące powodów podróży do Panamy, a Tully odpowiedział chaotyczną historią, która była zbudowana na przesłankach, napomknieniach i podsłuchanych rozmowach, prowadziła zaś do takich samych wniosków, jakie wypracowali Debora z Mingolla.

– Chryste Boże Wszchemogący! – powiedział potem Tully, trwożnie spoglądając na Mingollę. – Co się z tobą stało, do kurwy nędzy?

– Praktyka – odparł Mingolla. Kontakt z umysłem Tully'ego pozwolił mu stworzyć portret zdominowany przez chciwość i siłę, ale mający w tle generalną życzliwość wobec świata i ludzi, osłabioną tylko narkotykami i mocą. Sądził, iż może Tully'emu zaufać, miał jednak problemy z uporządkowaniem swoich uczuć wobec niego, były bowiem dziwną mieszaniną kumplostwa i wrogości.

– Posłuchaj, Davy – powiedział Tully tonem, dla odmiany, konspiracyjnym. – Musimy ze sobą pogadać, mon. Ustalić coś w związku z tą wycieczką do Panamy. Bo nos mi mówi, że będziemy tam żeglować po głębokich wodach. Będziemy sobie nawzajem potrzebni.

– Dobra, pogadamy. – Mingolla zwrócił się w stronę Debory. – Był moim trenerem, jest w porządku.

Wrzuciła pistolet do chlebaczka, zaszczyliła Tully'ego podejrzliwym spojrzeniem i przeszła na dziób. Popyrkując i podskakując na szarej fali, „Ensorcelita” zostawiła Livingston za sobą.

– Nienawidzę tego pieprzonego morza – stwierdził Tully, spoglądając na wodę. – Cholera, jak ja nienawidzę! – Przy sunął się do Mingolli i otoczył ramieniem jego barki. – Dawnośmy się nie widzieli, co, Davy?

Mingolla mruknięciem wyraził zgodę i strącił z siebie rękę Tully'ego.

– O czym chcesz rozmawiać?

– Cóż... – Tully oparł się o reling i przyjął surowy ton. – Może na początek chciałbyś mi powiedzieć, dlaczego zawróciłeś w głowie mojej Lizabeth.

W pierwszej chwili Mingolla nie skojarzył imienia.

– Ach, tak... nie wiem, człowieku. Byłem wtedy dosyć nieodpowiedzialny. Wybacz.

– Mon, ta dziewczuszka od miesiąca wypłakuje za tobą oczy.

– Powiedziałem, że mi przykro – odparł Mingolla z irytacją. – Czego się spodziewasz, że wrócę na wyspę i ją uleczę?

– Sam mogłem to zrobić. Ale niczego nie ruszałem... doszedłem do wniosku, że to uczucie przytrzyma z dala od miodu wszystkie inne pszczoły. Nie, byłem tylko ciekaw, czy miałeś wyrzuty sumienia.

– Niespecjalnie – odrzekł Mingolla. – Byłem zajęty.

– Zawsze uwielbiałeś odgrywać twardziela – zauważył Tully. – A teraz prawdziwy z ciebie

twardziel. Ale w głębi serca jesteś dobry, mon. To jasne.

– Nie potrzebuję, żeby ktoś analizował mój charakter, człowieku. Powiedz, co ci leży na wątrobie... bo coś ci leży, nie?

Ruy wyszedł ze sterówki i stanął obok Debory, która odprowadzała spojrzeniem pozostające za rufą miasto.

– Taa, coś mi leży – przyznał Tully. – W czasach, kiedy rybaczyłem, kilka miesięcy spędziłem w Panamie. No i trochę poznałem okolice. No więc mam takie upatrzone miejsce w Darien, które może się przydać, jakby coś poszło nie tak. Miejsce, gdzie człowiek może zniknąć.

Ruy perorował z ożywieniem, pomagając sobie gestykulacją, i w pewnym momencie musnął dłonią pierś Debory, która odskoczyła do tyłu jak oparzona.

Mingolla przepchnął się obok Tully'ego i kopnięciami odrzucając śmieci, podszedł do Ruya.

– Lepiej uważaj, gdzie ładujesz swoje pierdolone łapska, człowieku!

– To był przypadek, David – powiedziała Debora, stając pomiędzy nimi.

Ruy się uśmiechnął i wzruszył ramionami.

– Nie podniecaj się, hombre. Mam własną kobietę. Hej, Corazon! Chono tutaj!

Z luku prowadzącego do kabin wystawiła głowę kobieta. Kiedy Ruy przywołał ją skinieniem ręki – wyszła na pokład. Była trochę pulchna, ale mimo to seksowna, miała właściwą Indianom barwę skóry, regularne rysy i długie czarne włosy splecione w warkocz. Emanowała parapsychozycznym żarem, a w jej lewym oku widniał hologram zroszonej róży unoszącej się na tle bezgwiezdnego nocnego nieba.

– Taa – powiedział Ruy. – Jak potrzebuję obłapki, załatwia mi to Corazon. – Pogroził jej palcem. – Rozpinaj.

Corazon opuściła wzrok i zaczęła rozpinąć guziki bluzki.

– Nie rób tego – rzekł Mingolla.

Ale Corazon nie przestawała.

– Mów swojej kobiecie, co ma robić – oświadczył Ruy.

– Ale nie mojej.

Bluzka się rozchyliła i wypłynęły z niej bujne piersi Corazon.

– Chodźmy – powiedział Mingolla, pociągając Deborę w stronę luku.

Za ich plecami zabrzmiał rozbawiony głos Ruya: – Wracaj, człowieku, i wykręć jej numerki! Nie masz pojęcia, co tracisz!

*

Żeglowali w pobliżu brzegu, aby uniknąć kordonu okrętów wojennych, które strzeły

otwartego morza. Utrzymywało się zachmurzenie, ilekroć zaś promieniom słońca udawało się przeniknąć przez powłokę chmur, wątłe światło wyblyszczalo jednolicie gładź oceanu, tak że mieli wrażenie, iż płyną po olbrzymiej misce szarej farby. Jedynym urozmaiceniem monotonnej podróży były nieustające wysiłki Ruya, aby uwieść Deborę. Kiedy tylko pojawiała się na pokładzie, przygważdżał ją do relingu i zasypywał świadectwami swej rewolucyjnej żarliwości, jak również historiami łotrostw, które popełnił w służbie sprawy. Gdy Mingolla zapytał Deborę, czy chce, aby położył temu kres, odparła:

– To tylko nieszkodliwy cham. W gruncie rzeczy nie jest taki zły. No i przynajmniej jego świadomość polityczna jest niepodrabiana.

W tym punkcie ich opinie diametralnie się różniły, „niepodrabiany” bowiem to było ostatnie słowo, jakiego w odniesieniu do Ruya użyłby Mingolla; poza tym jego sposób traktowania Corazon odbierał jak osobistą zniewagę.

W pierwszym momencie odniósł wrażenie, że jest bardziej niż ładna, wyłączając z całościowej opinii tkwiący w oku egzotyczny bajer. To on najpierw przyciągnął spojrzenie, odsuwając samą Corazon na dalszy plan, to właśnie – uznał po namyśle Mingolla – surrealistyczne piękno róży stwarzało iluzję piękna kobiety zupełnie, w gruncie rzeczy, zwyczajnej. Utwierdziła go w tym psia uległość Corazon wobec kaprysów Ruya, który pewnego razu, na przykład, kazał jej nałożyć czarne hajdawery i koszulę nocną, szpilami przypominającymi bukietki kwiatów upiąć włosy w wysoki kok, a następnie wyszorować calutki pokład. Robota zajęła jej większą część nocy i doprowadziła ubiór do kompletnej ruiny. Corazon pracowała z pochyloną głową, odzywała się z rzadka i wzdrygała gwałtownie na odgłos kroków Ruya.

Ale pewnej nocy, idąc zejściówką do swojej kabiny, usłyszał głos Corazon dochodzący zza leciutko uchylonych drzwi Tully’ego.

– Nie, niczego nie czuję.

– Diabła tam nie czujesz – odparł Tully. – Nie zamydliś mi oczu.

Przez szczelinę Mingolla dostrzegł Corazon, która tylko w majteczkach stała obok koi Tully’ego. Światło latarni odbijało się od róży w jej oku.

– Dlaczego chcesz, żebym coś czuła? – spytała Corazon. – Odczuwanie nic nie znaczy. Nie chcę czuć.

– Pieprzenie – obruszył się Tully. – To Ruy chce, żebyś taka była... taka mu odpowiadasz. A ty, z jakiegoś niepojętego dla mnie powodu, uważasz, że jest super.

– Muszę iść. – Wsunęła się w bluzkę. Tully, z rezygnacją:

– Wróć isz?

Mingolla nie czekał na odpowiedź, dał nurka do sąsiedniej, pustej kabiny. Kiedy ucichły kroki Corazon, poszedł do drzwi Tully’ego i wcisnął się do środka.

– Igrasz z ogniem, człowieku – stwierdził. – Problemy z Ruyem potrzebne nam jak umarłemu kadzidło.

– Nie będzie żadnych problemów – odparł Tully, wyciągając się na koi. – A jeśli będą, zrobimy mu porządek we łbie.

– Wolałbym nie dłużyć w mózgu faceta, który akurat prowadzi statek wśród raf – odparł Mingolla.

– Spoko wodza. – Tully westchnął z bezgranicznym smutkiem. – Gość wie wszystko o mnie i Corazon. Prawda jest taka, że przysłała do mnie, bo sam jej kazał. Lubi słuchać, kiedy odpowiada, jak to jest z innymi facetami. – Walnął kułakiem w materac.

– O co chodzi?

Zmarszczki na twarzy Tully'ego wydawały się teraz znacznie głębsze, przypominały szczeliny sięgające do wnętrza jego istoty.

– Dureń ze mnie – powiedział. – W moim wieku spiknąć się z jakąś kosooką dzidzią... i to w dodatku dzidzią, która nie potrafi się spiknąć z własnym rozumem. – Napinał i rozpręzał mięśnie przedramienia, przyglądał się ich grze. – Świetnie się czuje w roli popychła. Ale najgorsze jest to, że wiem, co do mnie czuje i tylko nie chce się przyznać.

– Może niczego nie czuje – zasugerował Mingolla. – Może tylko sobie wmawiasz.

– Ee tam, czuje, bankowo. Po prostu wstydzi się uczuć. Cholerne baby, z uczuć bierze się ich największa siła, no więc, kapujesz, grają z nimi w chujki. Patrz, jak je potrafią popyrtać, żeby zrobić z faceta idiotę. – Znów walnął materac. – Nie potrafię wykombinować, dlaczego jest, jaka jest.

– Może to robota Ruya?

– Nie sądzę. Kobieta przeszła terapię, nie ma żadnego powodu, żeby musiała tańczyć, jak jej Ruy zagra. Coś mi się widzi, że taka jest od dawna. – Tully podniósł pięść, przyjrzał się jej badawczo jak alchemik badający osobliwy korzeń w blasku alembika. – Chłopie, ale bym miał ochotę pobyć z tym skurwysynem kilka minut sam na sam.

– To by nie było rozsądne – powiedział Mingolla. – Jest nam w tej chwili potrzebny.

– A cóż rozsądek ma z czymkolwiek wspólnego? – Tully spiorunował Mingollę wzrokiem. – Myślisz, że postępujesz rozsądnie, prowadząc się z tą Cifuentes? Myślisz, że to nie ma wpływu na twoje decyzje?

– Przynajmniej nikt nie kręci nią jak marionetką.

– Zgoda, ale Ruy się na nią napala.

– Tylko flirtuje.

– Corazon mówi coś zupełnie innego. Powiada, że wkłapał się po uszy.

– Jego pe ch.

Tully prychnął, zagapił się w sufit.

– Jasne jak na dłoni, że niejednego musisz się jeszcze na uczyć, Davy.

Mingolla przycupnął na skraju koi.

– Opowiedz mi więc wreszcie o Panamie, chłopie. O tym miejscu, o którym wspomniałeś.

– To może poczekać.

– A co masz lepszego do roboty... rozmyślać?

Tully milczał przez kilka sekund, ale w końcu usiadł.

– Słuszny argument. Dobra, opowiem. No więc w górach Darien jest taka mała wioska o nazwie Tres Santos. Zaraz... – ze stolika nocnego złapał ołówek i arkusz papieru – ... naszkicuję mapę. – Zaczął rysować. – To plus minus cztery, pięć godzin od miasta Panama... chyba że jest mgła. W takim wypadku podróż może zająć nawet tydzień. Druga ewentualność to nadmorska szosa wzdłuż Pacyfiku, którą do Tres Santos można dotrzeć od wschodu. O ile również z tej strony nie będzie mgły.

– Co tam jest? – zapytał Mingo lla.

– Tylko Indianie. Ale jeśli w Panama City rozpęta się piekło, to Tres Santos będzie dobrym miejscem na rozpoczęcie ucieczki.

– Kurwa, przecież nas tam znajdują.

– Prawda... do Tres Santos jest dostęp z powietrza. Ale możesz stamtąd ruszyć szlakiem, który prowadzi do zachmurzonego lasu. Tam też nie zostaniesz, ale będziesz mógł zatrzeć ślady. Indianie ci pomogą, jeśli się na mnie powołasz. Pokażą ci różne tajemne ścieżki i obojętne, kto cię będzie ścigać, zmylisz pogoń i zostawisz za sobą kawał drogi, zanim psy podejmą ślad. – Uniósł arkusz, popatrzył z uwagą. – Masz... dobrze schowaj, na wypadek gdyby w Panamie poszło nie tak.

Mingolla wsunął kartkę do kieszonki koszuli. – Co robiłeś w tych górach? Myślałem, że byłeś rybakiem.

– Fakt, byłem rybakiem... rybaczyłem pod najwredniejszym skurwielem, jaki kiedykolwiek nosił czapkę z galonem.

Jakieśmy dopłynęli do Colon, przesadziłem burtę i dałem nogę, zanim zdążył wyłączyć silniki. Potem miałem niezłą zabawę.

Darien to cholernie dzika okolica.

– Jak tam jest?

– Na ogół zwykła dżungla, ale ten zachmurzony las to, uwierz, mon, coś zupełnie osobliwego. – Tully założył ręce na kark. – Są tam wioski, w których nigdy nie świeci słońce... nawet w najpogodniejsze dni wisi mgła i powietrze, kapujesz, sprawia takie wrażenie, jakby było pełne jakichś lśniących cząsteczek. A kiedy widzisz faceta idącego w twoją stronę, z mgłą wirującą wokół głowy jak coś na kształt aureoli, zaczynasz myśleć, że spotkałeś Jezusa. I panuje cisza. Mgła tłumi wszystkie dźwięki, nie jesteś w stanie ocenić odległości pomiędzy różnymi

rzeczami. Masz uczucie, że to miejsce jest ulepione z mgły, a odległości nieustannie się zmieniają. Słyszysz łopot skrzydeł i widzisz tylko cienie, masz wrażenie, że dżungla porusza się powoli, liany wiją się i skręcają jak węże. No i są tam brujos. Czarownicy. Nocami, gdzieś wysoko, na pustkowiu, widzisz ogień. Słyszysz monotonne śpiewy. A kiedy milkną, możesz zobaczyć, że przez wioskę sunie czarny pies, pies, który do nikogo nie należy. Mówią, że jeśli spojrzysz mu w ślepią, poznasz różne tajemnice.

Słuchając opowieści Tully'ego, Mingolla poczuł się nieswojo, przeniknął go chłód, ale zwalczył to uczucie i powiedział tylko, że miejsce rzeczywiście wygląda na interesujące.

– To też prawda, ale nie dlatego ci o nim mówię. – Tully oparł się na łokciu i przewiercił Mingollę wzrokiem. – Mam przeczucie, że wyładujesz tam pewnego dnia i dlatego zrobiłem ci mapę.

– Niewykluczone, że kiedyś urządzę sobie wycieczkę w te strony – odparł Mingolla, usiłując nadać swojemu głosowi nonszalanckie brzmienie.

– Nie o to mi chodzi, Davy – powiedział Tully. – Wiesz, do czego zmierzam. Mam naprawdę głębokie przeczucie.

*

Dopiero drugiego tygodnia podróży Mingolla wdał się z Ruyem w następną rozmowę. Siedział obok Debory, która pławała się w przenikających przez chmury bladych promieniach słońca, spoglądał na czarno-zieloną linię honduraskiego wybrzeża, kiedy ze sterówki, niosąc pod pachą magnetofon kasetowy, wyszedł Ruy i siadł przy drzwiach; zapalił papierosa i włączył magnetofon. Muzyka rozbrzmiewała cicho, ale Mingolla rozpoznał rytm Prowlera i styl wokalny Jacka Lescaux. Przeszedł wzdłuż relingu na odległość dwudziestu stóp od Ruya i udawał, że przypatruje się wybrzeżu, rad słyszeć w tej obcej pustce coś znajomego.

... czerwony wielki księżyc wystrzelił prosto z piekła, ujrzałem w jego blasku mojego kumpla Rico, co nie był wtedy kumplem, bo wisiał mi dwie dychy, pogałem za nim z wrzaskiem i tak biegliśmy obaj, a z tyłu nikło w mroku jaskrawe słońce nocy, nadające coraz słabiej Ekstra Laseczki Topless Całodobowy Ubaw Ekstra Laseczki Topless! Taa... Całodobowy Ubaw...

– Podoba ci się ta muzyka, człowieku? – zapytał Ruy, ścisząc magnetofon. – Bo mnie tak.

Mingolla przyznał, że jest w porządku.

– Pójdę o zakład, że spodobałaby się też tej twojej damulce. Może ją zaproszę, żeby posłuchała. Smutno wygląda, jestem pewien, że się jej poprawi samopoczucie.

– Wątpię. – Mingolla z niechęcią popatrzył na Ruya.

– Ta Debora to sympatyczna babeczka! – stwierdził entuzjastycznie Ruy. – Naprawdę sympatyczna. Mówiła mi, że ją kochasz, ale wiem, że człowiek musi wciskać takie ciemnoty,

jeśli chce, żeby popływała na wznak.

Mingolla spojrział ostrzej, ale nic nie powiedział.

– Miłość! – Ruy parsknął i pstryknięciem posłał niedopałek za burtę; przysłonił dłonią oczy i przeciągle popatrzył na Deborę. – Ta, naprawdę fajna. Mówię ci, człowieku, w moim przypadku to nie jest błahostka. Naprawdę coś do niej czuję, i myślę sobie, że stary Ruy mógłby ją skłonić do uśmiechu.

– Na razie zdołałeś tylko zanudzić ją na śmierć.

– Może więc powinienem postarać się bardziej – odparł Ruy, patrząc na Mingollę z ukosa. – Wiesz, co ci powiem? Zrobimy podmiankę, dobra? Ja dziś wieczorem podeślę ci do kabiny Corazon, a ty mi pozwolisz sprawdzić, co mógłbym zwojować z twoją damulką.

Mingolla odwrócił się z niesmakiem.

– Hej, to dla ciebie interes stulecia, człowieku – dodał Ruy. Ta Corazon zna takie numery, że na twojej spluwie za braknie miejsca na karby.

Mingolla przypomniał sobie, że zamierzał Ruya o coś zapytać.

– Pamiętasz gościa o nazwisku Gilbey? Niski blondyn mniej więcej w moim wieku. Podróżował z tobą osiem albo dziewięć miesięcy temu.

– Gilbey? – powiedział Ruy. – Nieee.

Mingolla usiłował doszukać się w jego twarzy świadectwa, że kłamie.

– Powinieneś go pamiętać. Taki ponury był, kapujesz... antypatyczny. Nie dawał sobie włączyć na łeb.

– Co ty sobie myślisz? – zapytał Ruy z groźbą w głosie. – Że wyrzuciłem go za burtę?

– A wyrzuciłeś?

– Gadałeś z tymi durnymi pizdami w Livingston, nie? – Ruy dźwignął się na nogi, przyjął wyzywającą pozę. – Posłuchaj, przyjacielu. Żaden ze mnie przyjemniaczek. Jestem pierdolonym kryminalistą, ale nie wyrzucam nikogo za burtę, chyba że się o to prosi.

– Może Gilbey się prosił.

– W takim przypadku bym go zapamiętał.

– A co z twoim dzieckiem, chyba pamiętasz swoje dziecko, prawda?

Ruy splunął pod stopy Mingolli.

– Moje dziecko urodziło się martwe, człowieku. Pozbyłem się go, bo moja kobieta nie mogła wytrzymać, mając je w pobliżu.

– Jeśli tak twierdzisz.

– Tak właśnie twierdzą. Te pieprzone dzikusy z Livingston, cóż one wiedzą o Ruyu Barrosie? Co wiedzą o mojej robocie dla sprawy? Dla sprawy urabiam sobie ręce po łokcie, podejmuję się rzeczy, do których inni nie mają jaj.

– To prawda?

– Taa, to prawda. – Ruy stanął z Mingollą pierś w pierś. – Ale co taki jebany gringo jak ty może w ogóle wiedzieć. Jesteś...

Mingollą odepchnął Ruya.

– Skąd wiesz, że jestem Amerykaninem? Ruy wyszczerzył zęby.

– Od Debory, ona mi powiedziała.

– Pieprzenie – odrzekł Mingollą. – Skąd wiesz?

– Ha! Ruy Barros czuje pierdolonego gringo na milę.

Nieźle cię podmałowali, człowieku, język wyszlifowałeś na błysk... ale chodzisz jak gringo, postępujesz jak gringo i gadasz, jak gringo. Nie potrafisz dostrzec, że nasza sprawa jest wspólna, dotyczy wszystkich. Księży, morderców i w ogóle. – Pogroził słońcu kulakiem. – La Wioleñcial Coś ci powiem, człowieku.

Ta wojna się nie skończy do czasu, aż ją wygramy.

Mingollą nic nie mógł poradzić na to, że zaimponował mu zapal Ruya i tkwiące u jego podstaw szczere zaangażowanie.

– Ty nic nie rozumiesz, gringo – ciągnął Ruy. – I dlatego właśnie ja i ta damulka jakoś się dogadamy. Bo ona wie w głębi serca, że ją rozumiem.

Nadszedł czas, uznał Mingollą, żeby rzucić karty na stół.

– Dużo gadasz, człowieku – powiedział. – To mi się podoba. Faceci, którzy dużo pyskują, nie nadają się do niczego innego.

Ruy potarł podbródek, na jego długiej twarzy pojawiła się zaduma.

– Powiadasz, że możesz mnie załatwić, człowieku?

– Bez dwóch zdań. – Mingolla gestem pokazał Deborę. – I wiesz, co? Ona też może cię załatwić. Nie jesteś dla nas żadnym zagrożeniem, bereciarzu. No więc spróbuj szczęścia, jeśli chcesz.

Ruy napiął mięśnie ramion, jak gdyby się szykował do zadania ciosu, ale zmienił zdanie. Podciągnął spodnie, wściekle spojrzął na Mingollę i wszedł do sterówki. Mingolla podniósł magnetofon i pokazał Ruyowi, a kiedy ten odwrócił głowę i pochylił się nad sterem – przeszedł na rufę i zwiększył głośność, żeby lepiej słyszeć balladę.

Hej, bez wygłupów, zostań ze mną tu, dziewczyno!

O lepszej mecie możesz przecież tylko marzyć.

Niby jak rzep wciąż wczepiasz się w czas, który minął, lecz myślą jesteś przy tym, co dopiero się wydarzy.

Z grajszafy kwas sentymentalny znowu leci, ona i on... serduszka dwa...

we wspólną przyszłość...

Z nas dwojga takiej parki los nie skleci, nam dwojgu, moja miła, coś nie wyszło.

To nic, że mówisz „koniec”, to nic, że masz już dość, bo naprawdę czytam z twych oczu

i widzę cię na wskroś...

Nie Ukryjesz Przede Mną Swej Miłości, Nie, nie ukryjesz przede mną swej miłości...

Manele swe bierz, Uciekaj, gdzie chcesz, lecz...

Nie Ukryjesz Przede Mną Swej Miłości.

– Co to jest? – zapytała Debora, marszcząc czoło, kiedy Mingolla z magnetofonem usiadł obok niej.

– Prowler... podoba ci się?

– Jest w porządku.

– To stary kawałek – wyjaśniał. – Sprzed czterech czy pięciu lat. No i niezbyt typowy. Na ogół grają ostrzej. Poszukam czegoś innego.

– Nie. Zaczyna mi się podobać. – Przytuliła się do niego.

Popatrz, ten smutny gość, co męczy się z pasjansem, za szlugiem jara szluga, dżin ciągnie w samotności, choć pewnie dobrze wie, że stracił swoją szansę, z tęsknoty wciąż otrząsnąć się nie może i z miłości.

Lecz gdy ukradkiem wzrok obróci w twoją stronę, spojrzenie twe pochwyci, niemądrych marzeń odgadnie znaczenie, zrozumie w głębi serca, że nie wszystko i nie zawsze stracone...

– O czym rozmawialiście z Ruyem? – zapytała.

– O niczym.

– Wyglądałeś na rozczłosczonego.

– To dupek.

...nie wierzy w przeznaczenie. A żeby wyszedł pasjans, po prostu asa karo położy na damę kier.

Wtedy nie przegrasz i -

Nie Ukryjesz Przede Mną Swej Miłości.

Włosy Debory musnęły twarz Mingolli; miał wrażenie, że wydycha ją w takim samym rytmie, w jakim fale kołyszą „Ensorcelitą”. Na powierzchni morza unosiły się wodorosty, zbite w kłęby czerwono-brązowe kity z czarnymi nasionami kształtu fasoli. Słońce wbijało się pomiędzy chmury jak srebrny klin, nad brzegiem zatoczył koło czarny ptak, a potem pikował i zniknął po między palmami.

– Pewnie masz rację – stwierdziła.

– W jakiej sprawie?

– Że Ruy to dupek. Ale nadal sądzę, że ma dobre intencje.

– Dobre intencje nie pomagają, kiedy człowiek jest aż takim dupkiem.

Hej, dziewczyno, nie czujesz, że czeka gdzieś świat na mnie i na ciebie, w którym warto zamieszkać, by przez resztę swych lat nie spoglądać na siebie?

Może marzyciel ze mnie czy dureń albo facet samotny jak palec, a może znam odpowiedzi na pytania, które ciągle cię dręczą i których nie zadajesz wcale...

A przecież wystarczy zapytać...

Ruy wystawił ze sterówki głowę, popatrzył na nich wściekle; jego pociągła okrutna twarz była ucieleśnieniem wrogości, przypomnieniem wszystkiego, przez co musieli dotąd i jeszcze będą musieli przejść. Ale Mingolla był tak w tej chwili rad, tak daleki od świata ciężkich prób i katastrof, że – nie zastanawiając się nad ewentualną reakcją Ruya – szeroko się do niego uśmiechnął i przyjaźnie pomachał mu dłonią.

Nazajutrz zostali zatrzymani przez łódź patrolową, ale był to incydent bez następstw: Ruy zapłacił łapówkę i mogli podjąć swą żeglugę po honduraskich wodach przybrzeżnych. Niemniej jednak przez cały następny dzień kotwiczyli w głębokiej zatoczce, a Ruy oznajmił im, że od tej chwili przez pewien czas będą płynąć tylko nocami, ponieważ – jak to ujął – jest w tej części Hondurasu „nielegalny” i nie chce wpaść w oko milicji. Nadal uwodził Deborę, a chociaż jego zaloty były teraz bardziej zakamuflowane, Mingolla sądził, iż zarazem stały się znacznie intensywniejsze, wręcz obsesyjne. Z własnych obserwacji, a także z tego wszystkiego, co Debora mówiła na ten temat Tully’emu, wysnuł wniosek, iż skutkiem ubocznym jego konfrontacji z Ruyem stało się, w pewnym sensie, nazwanie uczuć Ruya po imieniu i że była to świadoma decyzja Ruya, który przeniósł zwykłe pożądanie na poziom obsesji, jak gdyby nieosiągalność celu przydała moc y namiętności.

Aby unikać Ruya, jak najwięcej czasu spędzali z Deborą w kajucie, wskutek czego coraz bardziej i bardziej angażowali się w swą gwałtowną mentalną komunie. Istniały namacalne dowody, że ich moc nadal rośnie, o czym zresztą nawet bez jakichkolwiek dowodów Mingolla doskonale by wiedział. Gdy pewnej nocy stał na dziobie, na samym końcu drogi z rozfalowanego złotego światła, ciągnącej się po czarnej wodzie do wschodzącego księżyca, poczuł – tak samo jak na brzegu rzeki, ich ostatniego wieczoru w Szmaragdowej Strefie Ogniowej – że mógłby zajrzeć za horyzonty i ułoić esencję nadchodzących dni; tym razem to uczucie było zupełnie jasne i Mingolla sądził, że kosztem minimalnego wysiłku mógłby doświadczyć kolejnej wizji. Ale bał się wizji, lękał nadświadomości wizjonera. Pragnął zamieszkać w tej długiej żeglarskiej chwili i nigdy nigdzie nie dopływać, powstrzymał się zatem od dalszego próbowania swej mocy.

Kolejnym skutkiem ich samotności we dwoje stało się znacznie głębsze wzajemne poznanie. To wszystko, czego już wcześniej Mingolla się dowiedział o Deborze, pozwalało mu przypisywać jej skomplikowaną osobowość, której rozwój zahamowała wojna i zredukowała wszelkie niuanse charakterologiczne do prostego pragmatyzmu rewolucjonistki; właściwe Deborze wcielenie rewolucyjnego ducha było infantylne, skłonne do postrzegania świata w kategoriach rudymenarnych, bielach i czerniach, najrozmaitszych „za” i „przeciw” – jej dalszy ewentualny rozwój zależał od tego, jak długo jeszcze będą powstrzymywane naturalne procesy

ewolucyjne. Podobne uwarunkowania dostrzegał w sobie, skłaniając się jednak do opinii, że jego rozwój nie tyle zahamowano, co w szczególny sposób ukierunkowano, postępując podobnie jak japoński ogrodnik, który przycina i wiąże gałęzie drzewa, aby rozrastało się pokrętnie i na boki.

W kajucie zawsze unosił się ciężki zapach oleju napędowego, nieustannie czuli, jak kadłub wibruje pod uderzeniami fal. Ciasnota i mrok sprzyjały atmosferze intymności. Pewnej nocy, kiedy Debora leżała odwrócona do niego plecami, a on przytulał biodra do jej pośladków, zaczął przewracać ją na brzuch, żeby wejść w nią od tyłu, i wtedy usłyszał rozbrzmiewający w swej głowie przeraźliwy okrzyk: Nie! Usłyszał całkiem wyraźnie, wyartykułowany głosem Debory. Ostry i nie znoszący sprzeciwu ton tego przesłania skłonił go do tego, by odpowiedzieć czymś w rodzaju: „O co chodzi? Co się stało?”

– Słyszałam cię – powiedziała Debora, odwracając głowę.

– Ja ciebie też. Spróbujmy jeszcze raz. Po kilku minutach dali za wygraną.

– Może to się w ogóle nie wydarzyło – zasugerowała.

– Wydarzyło i zdarzy ponownie. Po prostu nie możemy próbować za wszelką cenę.

Zgrzyt silników, przelewanie się fal dźwigających statek. Debora usadowiła się obok Mingolli, on zaś objął ją ramieniem.

– Co się stało? – zapytał. – Co zrobiłem nie tak?

– To nieistotne.

– Jeśli nie chcesz mi powiedzieć...

– Nie w tym rzecz. Po prostu układa się między nami tak dobrze, że nie chcę tego zepsuć wywoływaniem przeszłości.

Odgłos pracujących silników przemienił się w charczący po mruk i Ruy wrzasnął.

– Może powinnam ci powiedzieć. Może to wyjaśni, dlaczego z początku byłam wobec ciebie tak powściągliwa.

– W Szmaragdowej?

– Tak... bo widzisz, nie chciałam się z tobą wiązać z wielu powodów, a jeden z nich to obawa, że coś nam nie wyjdzie.

– Masz na myśli seks?

Skinęła głową.

– Nigdy nie był dla mnie satysfakcjonujący i nie sądziłam, iż cokolwiek może zmienić ten stan rzeczy, nawet miłość. Ale jest tak cudowny, że zaczynam się bać, czy to będzie trwało.

– Dlaczego?

– Bo jest idealny... to, jak mnie dotykasz, jak do mnie pasujesz. A przedtem wszystko było ułomne. – Odwróciła głowę, jakby ogarnięta zakłopotaniem. – Kiedy zabrano nas na przesłuchanie... władze...

– Twoją rodzinę?

– Tak. – Westchnęła. – No więc kiedy nas zabrali, wiedziałam, że mnie zgwałcą. Zawsze tak robią. Przygotowywałam się na to i z każdym dniem, kiedy do tego nie dochodziło, bałam się bardziej. Sądziłam, że oszczędzają mnie na coś szczególnego, wyjątkowo okrutnego. W końcu przyszedł do mnie ten mężczyzna. Major Armangual. Był bardzo młody jak na majora i zupełnie przystojny. Mówił uprzejmie i cicho. Pozwolił mi poczuć nadzieję. Wyjaśnił, iż wstawił się za mną u władz – i że jeśli będę z nim współpracować, jeszcze tego samego dnia zabierze mnie z więzienia. Byłam pewna, że ta „współpraca” zakłada seks, ale się nie przejmowałam. Więzienie było okropne. Inne kobiety krzyczały cały czas, obok mojej celi przenoszono zwłoki. Sądziłam, że jeśli znajdę się na zewnątrz, będę jakoś mogła pomóc rodzinie. No więc powiedziałam: „Tak, zrobię wszystko”. Uśmiechnął się i odparł, że wcale się nie przepracuję, bo jego wymagania są skromne i konkretne. Po prostu trochę pracy biurowej.

Debora zaśmiała się ze znużeniem, wzruszyła poduszkę pod głową.

– To był weekend, major nie miał służby, pojechaliśmy więc do domu. Eleganckiego domu w Pierwszej Strefie, opod al tych wielkich hoteli. Był tam basen, służba. Umieścił mnie w pokoju na piętrze i spodziewałam się, że odwiedzi mnie w nocy. Ale nic z tych rzeczy. Zjadłam z nim kolację, a potem oświadczył, że ma jeszcze trochę papierkowej roboty, sugeruje więc, żebym się położyła spać. Tak upłynął cały weekend. Miałam wrażenie, że jestem w jego domu gościem. Rozważałam myśl o ucieczce, ale domu strzegły psy, no i wciąż miałam nadzieję, że zdołam zrobić coś dla rodziny... chociaż niewiele mi tej nadziei zostało. – Jej głos zadrżał, potem się uspokoił. – W poniedziałek rano pojechałam z nim do pracy. Był w lotnictwie, miał więc biuro na lotnisku. Znasz miasto Gwatemala?

– Niezbyt dobrze.

– Naprzeciwno cywilnego jest tam niewielkie lotnisko wojskowe i o nim właśnie mówię. Cały rano przesiedziałam z jego adiutantem w sekretariacie, gapiąc się na ściany. Koło południa adiutant przyniósł mi kanapkę i coś do picia. Zjadłam i znów czekałam. Zaczynałam sądzić, że major po prostu chce, żebym pełniła rolę ozdoby, ale około drugiej wystawił głowę przez drzwi i powiedział: „Deboro, jesteś mi potrzebna”. W taki naturalny sposób, jakby się zwracał do sekretarki, której chce coś podyktować. Weszłam do gabinetu, a wtedy kazał mi zdjąć – majteczki. Nadal bardzo uprzejmie. Z uśmiechem. Bałam się, ale, jak ci mówiłam, byłam na to przygotowana, usłuchałam więc, a on kazał mi opaść za biurkiem na czworaki. To też zrobiłam i tylko, pamiętam, uroniłam kilka łez. Wyjął z szuflady tubkę z jakimś kremem i... posmarował mnie. To było nieomal najgorsze. Potem spuścił spodnie i wszedł we mnie od tyłu, tak jak zamierzałeś...

– Wybacz – powiedział Mingolla. – Nie chciałem...

– Nie, nie! – Dłonie Debory zatrzepotały w ciemności, odnalazły twarz Mingolli, spoczęły na niej. – Czasem chciałam, żebyś to zrobił, ale... – Znowu westchnęła. – Pozwól mi dokończyć.

– W porządku.

– Przypuszczałam, nie wiem zresztą dlaczego, że będzie brutalny. Może uznałam, iż traktując mnie dobrze, zamierzał uśpić moją uwagę, zaskoczyć. Ale nie był. Przez dłuższy czas nawet się nie ruszał. Klęczał tylko, trzymał dłońmi za biodra i pozostawał we mnie. Na biurku stała butelka whisky, napił się z niej po kilku minutach. Potem poruszył się kilka razy. Napił się znowu, poruszył. Trwało to przez mniej więcej pół godziny. Wtedy ktoś zapukał do drzwi, a major wrzasnął, żeby wszedł. Pojawił się jakiś inny oficer. Spojrzał na mnie, ale nie sprawiał wrażenia zaskoczonego tym, co się dzieje. Po paru sekundach przestał na mnie zwracać uwagę, porozmawiał z majorem o rozkładzie lotów i wyszedł. Przez całą resztę popołudnia było tak samo. Major popijał whisky, poruszał się od czasu do czasu, załatwiał sprawy służbowe. Pod koniec dnia wyjął członek i masturbacją doprowadził się do wytrysku. Nie nalegał, żebym patrzyła, było mu zupełnie obojętne, co robię. Wytarł się szmatką, zawiózł mnie do domu, a przy kolacji znów traktował tak, jakbym była gościem.

Mingolla oparł głowę na ramieniu Debory z uczuciem gorczy, żalując, że nie może odebrać jej tych wspomnień.

– Tak samo wyglądało w każdym roboczym dniu – podjęła. – Z początku doświadczałam ulgi, że nie sprawia mi bólu, ale już wkrótce... nie potrafię wyjaśnić, co czułam. Poniżenie, to jasne, że jestem wykorzystywana jak mebel. Wyrzuty sumienia, że nie jest gorzej. Świadomość, że zostałam pozbawiona człowieczeństwa. Chwilami nienawidziłam się za to, że moja nienawiść wobec tego wszystkiego nie jest większa, chwilami niemal sprawiało mi to przyjemność. Miałam wrażenie, iż to mnie wyzwala, że kiedy we mnie wchodzi, ulatuję do jakiegoś innego wszechświata, staję się niewidzialna, inna, wyjątkowa. Potem zaczynałam się zamartwiać, że gdy go znudzę, odeśle mnie do więzienia. Pamiętam, że pewnego razu, gdy doświadczyłam takiej obawy, usiłowałam się z nim kochać, zachowywać się aktywnie... rozumiesz, żeby mu sprawić przyjemność. Ale sobie tego nie życzył. Zgromił mnie i zakazał się ruszać, grożąc karą. Moje uczucia wobec niego diametralnie się zmieniły. Raz brzydziłam się nim, marzyłam, żeby go zabić. Nazajutrz darzyłam go bezgraniczną wdzięcznością za to, że oszczędza mi gorszego losu. W istocie czekałam niecierpliwie na każde wyjście do biura, bo pragnęłam udowodnić mu swoją użyteczność. Szczebotałam przy posiłkach, robiłam mu prezenty. Przez pewien czas naprawdę go kochałam, a przynajmniej darzyłam czymś w rodzaju miłości. I dlatego, jak sądzę, w końcu mnie wypuścił – bo moje zaangażowanie nie odpowiadało jego potrzebom. Byłam okropnie rozbita, bliska załamania nerwowego, zaczęłam mówić mu o swoich uczuciach, próbując wzmocnić linię porozumienia. Chyba uznałam, że go to zainteresuje. Rozumiesz, jak naukowiec. Że zechce udokumentować na własny użytek dezintegrację mojej osobowości. Ale nie był zainteresowany. Bóg raczy wiedzieć, co go w ogóle interesowało.

Debora długo milczała i Mingolla spytał wreszcie, co stało się później.

– Pewnego ranka zamiast niego przyszło po mnie dwóch żołnierzy. Wywieźli mnie z miasta, na północ, w stronę Antiguy. Byłam pewna, że mnie zabiją, a zwłoki wrzucą do rowu. Ale po prostu wysadzili mnie na poboczu. Czułam się zagubiona, nie wiedziałam, co robić. To śmiejąc się, to płacząc, chodziłam w tę i z powrotem. Nie zorientowałam się, że wysadzili mnie koło przystanku autobusowego, do momentu gdy nadjechał autobus. Wsiadłam do niego... nie miałam wyboru. Nigdy więcej nie widziałam tego majora, choć próbowałam go odnaleźć dwa lata później, kiedy już przeszłam terapię. Dowiedziałam się, że został skrytobójczo zamordowany.

– Chciałaś go zabić?

– To nie takie proste. Chyba pragnęłam zrozumieć, co usiłował ze mną zrobić... jeśli w grę wchodziło coś więcej niż jego perwersyjne skłonności. Nie jestem pewna, co bym z nim zrobiła. Pewnie zabiła... nie wiem.

Silniki zwolniły obroty i znów dało się słyszeć fale uderzające o burty „Ensorcelity”; Mingolla dziękował Bogu za ten odgłos, który pojawiwszy się w najodpowiedniejszym momencie, wyeliminował potrzebę rozmowy. Przez wiele minut porozumiewali się tylko dotykiem, Debora zaczęła oddychać głęboko i miarowo, aż wreszcie powiedziała:

– Kochaj się ze mną.

– Myślałem, że zasnęłaś.

– Zasnęłam... ale śniłam, że się kochamy.

– Nie jesteś zbyt senna?

– Może, ale nie zaszkodzi spróbować.

Przyciągnął ją do siebie, pocałował. Zareagowała zrazu wahaniem i Mingolla zadał sobie pytanie, czy może Debora toczy walkę ze złym wspomnieniem. Niebawem jednak zatraciła się bez reszty w grze wstępnej, ale kiedy w nią wszedł – znieruchomiała. Zaczął się wycofywać.

– Chcę, żebyś skończył – powiedziała.

– Za bardzo chce ci się spać.

– Nie, jest dobrze. Czasem, kiedy się nie ruszam, czuję cię lepiej. Bardzo to lubię.

Czuł się irracjonalnie niezaangażowany, daleki od Debory i to obudziło w nim jakąś nienazwaną obawę, która jednak zniknęła, kiedy w ciszy swego umysłu usłyszał jej głos.

Zasnęła, on zaś ułożył się wygodnie, nasłuchując pomruku silników. Coś go gryzło i uświadomił sobie, że wciąż doświadcza tego uczucia oddalenia od Debory. Uczucie to na pewno by zniknęło, gdyby ją teraz objął, ustąpiło miejsca spokojowi, rozmarzeniu. Ale ta świadomość niczego nie zmieniała. Przyszło mu do głowy, że jego postrzeganie Debory jest w jakiś sposób błędne – tak samo jak postrzeganie jego przez Debore. Miał wrażenie, iż stali się dla siebie zwodniczymi postaciami, że uprawiana przez nich szczerłość – te nagłe erupcje wyznań, rewelacji – jest tylko zasłoną dymną. Nie w tym rzecz, iż serwują sobie kłamstwa; po prostu dramatyczna oprawa ich wyznań czyni je niezupełnie prawdziwymi, instrumentem

zamazania prawdy, której być może sami nie rozumieją. O to zapewne chodzi, uznał. Że nie rozumieli siebie dostatecznie dobrze, aby się zdobyć na całkowitą szczerłość... czy też bali się odkrycia prawdy o sobie. Odkrywanie prawdy o sobie to nieprzyjemna fucha. Wystarczyło spojrzeć wstecz na tych kilka ostatnich tygodni, żeby się przekonać, jakim był idiotą. Na przykład w Szmaragdowej. Ta jego rola tępego szmondaka, to sztubackie zakochanie. Rola źle napisana i źle zagrana. I Bóg jeden wie, jakim idiotą jest w tej chwili. Przewrócił się na bok, plecami do Debory. Ich problemy zapewne mają związek z początkami znajomości; na ogół udawało mu się nie brać ich pod uwagę, ale zawsze były podskórnie obecne, zawsze gotowe stać się źródłem wątpliwości. Westchnął i to westchnienie nastąpiło dokładnie w tym samym momencie, gdy jakaś ogromna fala uniosła „Ensorcelitę” wyżej niż zwykle. Mingolla przez moment odniósł wrażenie, iż sprzymierzone ze sobą fala i oddech teleportują ich aż za Panamę, do mrocznego kraju, gdzie ich przybycia wyczekują milczące zakapturzone postaci o płonących oczach. Znow się przewrócił na wznak, sprawiając, że Debora drgnęła i wymamrotała coś przez sen. Usiłował wskrzesić wątek swoich myśli, co zresztą nie wydawało się już ważne. Wszystko było mało istotne, pozbawione rzeczywistego ciężaru gatunkowego. Długo leżał bezsennie, usiłując przywołać na pamięć coś, co by go miało.

Silniki nawały następnej nocy, kiedy Ruy usiłował zaimponować Deborze swoją rewolucyjną żarliwością i zakulisowymi informacjami o tajnych sprawach. Księżyc, już niemal w pełni, wisiał nisko nad brzegiem, od którego byli już na tyle blisko, że Mingolla rozróżniał rozsrebrzone korony palm. Ruy wspierał się o drzwi sterówki, a przez jego matowe odbicie w szybie był widać zajęta sterowaniem Corazon. Gdy się odwróciła do Mingolli, jej lewe oko zajarzyło się czerwono. Próbował wyczytać cokolwiek z wyrazu jej twarzy, a ona – nie było w tym śladu wyzwania – wytrzymała jego spojrzenie, jak gdyby zachęcając, żeby się dowiedział, ile tylko może.

– Taa – mówił Ruy. – Mnie to zwisa, jeśli nawet rewolucja umarła. Jeśli będę musiał, zacznę ją od nowa, kapujecie? A poza tym – pogroził Deborze palcem – dlaczego mi ciągle chrzaniysz, że umarła? Czemu jedziesz do Panamy, skoro tak myślisz? Uciekasz? Nie, nie o to biega! Pojawiacie się z tym jankesem na pokładzie, zachowując się tak, jakbyście mieli zamiar zabić tego czarnego faceta, a minutę później jesteście z nim zbratani jak starzy kumple. Czegoś tu nie kumam. Macie jakiś plan, każdy by to zobaczył. A ostatnimi czasy do Panamy wybierało się aż za wielu rozmaitych pojebańców. Bez dwóch zdań, coś się tam dzieje.

– Skąd ten wniosek? – zapytał Mingolla.

– Mówiłem, że ciągnie tam wielu dziwacznym fiutów. – Ruy wyłowił papierosa z kieszonki koszuli. – Zastanawiam się, co jest grane.

– Gadasz od rzeczy – stwierdziła Debora. – Ludzie uciekali do Panamy od wybuchu wojny.

– Nie tacy ludzie. – Ruy przypalił papierosa zapalką skrytą w stubnej dłoni. Odrzucił głowę

i wypuścił dym, demonstrując Deborze swój ostry profil.

Każdym swoim gestem, pomyślał Mingolla, budował wizerunek Romantycznego Przemysłowca zaangażowanego w słuszną sprawę niczym Zorro. Ta autokreacja była śmiechu warta, ale Mingolla zaczynał dochodzić do wniosku, iż Ruy o tym wie, że skrywa pod tym wizerunkiem swoje prawdziwe uwikłania. Zbyt długo żeglował z sukcesem po niebezpiecznych wodach, żeby istotnie być takim bufonem, za jakiego pragnął uchodzić. Poza tym Mingolla miał w związku z nim, z tą całą jego grą, złe przeczucia.

– Taa – powiedział Ruy, stukając palcami w bok nosa.

– Już jakiś czas czuję dziwny smrodek. No i słyszałem to i owo.

– Komu ty próbujesz wciskać ciemnotę, mon? – Tully przysiadł na relingu, a kiedy odwrócił głowę, blask księżyca wyłowił z mroku jego półprofil. – Trzeba mieć nierówno pod sufitem, żeby cokolwiek powiedzieć takiemu aparatowi jak ty.

Ruy go zignorował.

– Jeden facet, którego wiozłem na południe, też uważał mnie za gnojka. I dobrze, bo jak ktoś człowieka lekceważy, to zapomina o ostrożności. – Wydmuchnął dym w stronę Tully'ego.

– No więc mówi do mnie: „Ruy, w tej wojnie jest coś więcej, niż widać na pierwszy rzut oka”. A ja na to: „Taa? Co masz na myśli?” Udawałem, kapujecie, że mnie to właściwie nie interesuje. „Cóż – powiada ten facet – pewnie nie powinienem gadać na ten temat, ale wkrótce zapanuje pokój, a miejscem, w którym zostanie zawarty, będzie Panama”. „Rany – mówię – pokój, człowieku!? To, kurwa, super!” A facet pęka z dumy, że mnie tak zadziwił. „No – powiada. – Jedni moi znajomi właśnie w tym momencie pracują nad zawarciem pokoju. Negocjują, kapujesz?”

Ruy skrzyżował ramiona na piersi i lekko przechylił głowę, a jego poza – poza lekko rozbawionego wykładowcy, który robi pauzę, żeby się zorientować, jaki efekt wywarły jego słowa – pozwoliła Mingolli uświadomić sobie, kogo przypomina mu Ruy. To powinno być, pomyślał, oczywiście od samego początku.

Wszystkie zagrywki Ruya służyły dekonspiracji.

– Tak czy siak – podjął Ruy – zacząłem przyciskać tego faceta... dyskretnie, kapujecie. Poddawać delikatnej obróbce. No i powiedział, że tak, pracują w Panamie nad pokojem, ale wciąż toczą walki. Armie nadal są na ulicach. Pytam, kto walczy, a on udaje, że to wielki sekret, i mówiąc o tym, robi mi cholerną łaskę, kapujecie, potem stwierdza, że sam nie ma jasności co do całej historii, ale podaje mi nazwisko człowieka, który ma z nią wiele wspólnego. – Ruy uśmiechnął się chytrze i wszystkich omiół spojrzeniem. – „Sotomayor – powiada. – Zapamiętaj to nazwisko. Sotomayor. To nazwisko jest kluczem do wszystkiego”.

Mingolla spojrzał mu w oczy i chociaż Ruy się nie uśmiechał, wyczuł w nim skrywane rozbawienie. Zamierzał właśnie wezwać Ruya do odpowiedzi, zażądać odeń prawdy, kiedy nagle

silniki stanęły.

– Kurwa! – Ruy rzucił papierosa, szarpnął drzwi sterówki.

– Co tam zmalowałaś?

– Nic – odparła Corazon. – Nic nie zrobiłam. Po prostu stanęły.

Ruy wszedł do środka, uniósł właz maszynowni, wziął się pod boki i popatrzył w ciemność.

– Corazon! – ryknął – Przynies łatarkę!

Kiedy przyniosła łatarkę, Ruy sięgnął po nią gwałtownie, a później opuścił się do maszynowni. Wszyscy pozostali zgromadzili się wokół Corazon. W dole Ruy omiół snopem światła labirynt pokrytego smarem metalu. Przez sekundę oświetlał jeden punkt, później walnął kułakiem w ścianę maszynowni.

– Skurwysyn! Pojebane kurewstwo!

– Zdołasz naprawić? – zapytała Debora.

Ruy po nownie huknął w ścianę, wydźwignął się na pokład.

– Potrzeba części, żeby naprawić ten szajs! A ja nie mam części. – Wydawało się, że ma zamiar grzmotnąć łatarką w pokład, ale tylko dziabnął nią o udo. -. Chłopie, to naprawdę zajebisty syf!

– Wygląda na to, że musimy zawinąć do portu – stwierdził Tully.

Ruy miał obłęd na twarzy, w kąciku jego ust zapętlily się mięśnie.

– Mówiłem wam, że jestem w tych stronach nielegalny. Odstrzelą mi pieprzony łeb, jeśli mnie złapią.

– Postaw żagiel – zasugerował Mingolla.

– Jasne, człowieku! W ten sposób już jutro o świcie dopłyniemy w okolice Truxillo, a ten skurwysyn Dominguez na widok „Ensorcelity” uśmiechnie się od ucha do ucha. Kurwa! -Ruy ścisnął dłońmi skronie. – I co ja mam, w dupę jebane, robić?

– Na pewno nie dasz rady naprawić?

– Głuchy jesteś, człowieku, czy jak? – Ruy odwrócił się na pięcie do Mingolli, zacisnął dłonie w pięści.

– No więc nie mamy innego wyjścia, jak opuścić tę balię – oświadczył Tully. – Rozejrzę się za czymś, żeby owinąć broń.

Ruy pchnął go w klatkę piersiową.

– Gówno tam opuścimy, człowieku!

Tully odrzucił Ruya na ścianę sterówki i jedną dłonią chwycił za gardło.

– Nie podskakuj, mon. Dotarło? – Wzmocnił uścisk, a oczy Ruya wyszły na wierzch. – Chcesz zostać na statku, twoja broszka. Nie jesteś nam po trzebny.

Mingolla spojrzał na wybrzeże, na skryte w cieniu wzgórze piętrzące się w głębi lądu.

– Co tam jest? – zapytał.

– Aż za wielu pierdolonych żołnierzy – odparł Ruy, rozmasowując szyję. – Ot, co.

– Olancho – powiedział Tully. – Góry, dżungla. Tam właśnie się zaczęła wojna, ale teraz nie toczą się już żadne walki. Trudno powiedzieć, co tam jest.

– Może dałoby się przejść – rzekł Ruy. – Może zdołałbym doprowadzić was do Panamy, gdybyśmy ominęli posterunki. I może zorganizowałbym forszę na nowy statek.

– Damy sobie radę sami, mon – odparł Tully.

– Chuja tam dacie! – warknął Ruy, odsuwając się od Tully’ego. – Zabłądźcie, zanim zdołacie zrobić dziesięć mil. Ale wiem o pewnej trasie. Wojskowe drogi, stare szlaki contras. Podróżowałem tamtędy, zanim zdobyłem „Ensorcelitę”.

Mingolla popatrzył na wybrzeże, potem przeniósł wzrok na Ruya. Może, pomyślał, zamiast demaskować Ruya, byłoby lepiej najpierw się przekonać, co mu chodzi po głowie?

– Ciągłe są przetarte? – zapytał.

– O, tak – powiedział Ruy. – Ale będziemy potrzebowali ciężarówki czy czegoś w tym rodzaju. Może jakiegoś terenowego wozu. Z tym nie powinno być kłopotu. Wielu tutejszych farmerów wyposaża swoje pikapy w dodatkowe zbiorniki paliwa, żeby móc polować w górach.

– Ile nam to zajmie? – zapytała Debora.

– Zależy, w co się władujemy – rzekł Ruy, przysuwając się do niej opiekuńczo. – Ale jedno wam powiem: będziemy mieli co wspominać, kiedy dotrzemy do Panamy.

Dwie mile od miejsca, gdzie wylądowali, pomiędzy szeregami palm kokosowych kryła się plantacja kopry: wysokie drewniane stelaże do suszenia włókien, trzy szopy do przechowywania gotowego produktu, pokryte blachą ocynkowaną, i długi ranczopodobny budynek z białkowanego kamienia. Ten ostatni był siedzibą i biurem właściciela obiektu, Don Julio Saldivara. Za rogiem domu parkował sędziwy ford bronco z dospawanym w bagażniku zapasowym zbiornikiem paliwa. Don Julio powitał ich z pistoletem w garści, ale zmienił się w przyjacielskiego i hojnego gospodarza, gdy Mingolla przekonał go, że są agentami rządowymi podróżującymi z tajną misją. Natychmiast zaproponował im wypożyczenie forda i sprzętu obozowego, Deborze zaś – której cała odzież przepadła podczas przeprawy wpraw, jako że „Ensorceiita” nie była wyposażona w szalupę – ubranie swojej córki, przebywającej obecnie na uniwersytecie w San Pedro Sula. Mingolla polecił Tully’emu i Ruyowi sprawdzić samochód, sam zaś usiadł z gospodarzem w kuchni, wyposażonym w staromodną kuchenkę gazową i lodówkę hotelowego typu zagraconym pomieszczeniu, którego szorstko tynkowane ściany zdobiły zdjęcia Don Julia stojącego nad ubitą zwierzyną łowną wszelkich gatunków i rozmiarów. Don Julio przystąpił do kreślenia mapy przybrzeżnego łańcucha górskiego, oznaczając w szczególności drogi pozwalające ominąć posterunki wojskowe.

– Co tam jest? – zapytał Mingolla, wskazując palcem w tę część szkicu, gdzie wszelkie szlaki raptownie się urywały.

– Tu pan niczego nie zaznaczył.

– Bo nie ma tam nic do zaznaczania – wyjaśnił Don Julio. – Jest tylko dżungla i duchy.

Miedzianoskóry, niski, z brzuszkiem, dobiegał sześćdziesiątki, nosił workowate spodnie i odsłaniającą gładki tors rozpiętą guayabere; miał masywną głowę, puciołową twarz i, oszronione na skroniach, gęste czarne włosy. Jego surowe, dumne rysy przywodziły Mingolli na myśl własnego ojca, sposób zaś, w jaki wynosił pod niebiosa przywiązanie córki do siebie, brzmiał fałszywą nutą i kazał Mingolli domniemywać, że córka owa w istocie go nienawidzi. Don Julio rychło zvekslował rozmowę na wątki polityczne. Klepał kolbę pistoletu, przysięgał wieczną czujność w obliczu Czerwonej Zarazy, było coś bardziej niż żalosego w zestawieniu machismo Don Julia, tych autoportretów nad ścierwami jaguarów i tapirów, z pustką panującą w jego domu. Rozprawiał o swej młodości. Miał wtedy rancho w Peten. Obrona włości przed partyzantami – oświadczył – to była ciężka harówka, ale jakoś dawał sobie radę. I, Boże! jakież w owych czasach był z niego kobieciarz! Jego cadillac, jego upojne noce w dyskotekach Guatemala. Czy jest na świecie równie cudowne miasto, jak Gwatemala? Mingo lla powstrzymał się od komentarzy. Spędził w tym mieście trzy doby. Pewnego wieczoru sterczał w salonie paczinko przy Szóstej Alei, jednej z większych śródmiejskich arterii, grając na automatach; tak się zatracił w grze, że gdy w pewnym momencie podniósł głowę, bo zabrakło mu bilonu, stwierdził ze zdumieniem, że salon nagle opustoszał, a Szósta Aleja, jeszcze przed chwilą zapchana samochodami i ludźmi przypomina pustynię. Wrócił biegiem do hotelu, ale żaden z pracujących w nim Gwatemalczyków nie chciał mu powiedzieć, co się dzieje. Miasto Gwatemala miało, w pamięci Mingolli, posmak piekła. Szwadrony śmierci krążące po ulicach w toyotach bez tablic rejestracyjnych, ryk syren i huk dalekich wystrzałów, a w Strefie 5, gdzie ludzie mieszkali w szopach skleconych ze starych opon i gliny, młodzi chłopcy marzący tylko o tym, żeby upuścić krwi bogaczom.

– Przestrzegałem swoich przyjaciół przed Czerwonymi – stwierdził Don Julio, znów dosiadając ulubionego konika. – Pewnego razu kilku z nich zabrałem na plażę w Tela... zna pan Tela?

– Nie – odparł Mingo lla.

– Urocze miasteczko na wybrzeżu – wyjaśnił Don Julio. – Spędzają tam wakacje urzędnicy państwowi, co zresztą nie trzyma komuchów na dystans. Pstrzą wszystkie mury swoimi sloganami. Tak czy inaczej, zabrałem swoich przyjaciół na plażę. Byli tak zwanymi liberałami... – Zdołał sprawić, że słowo „liberał” zabrzmiało oblesnie. – ...I wierzyli w swobodę wypowiedzi! Ba! Pokazałem im więc te hasła na ścianach barów. Patrzcie, powiedziałem. Teraz, kiedy komunizm się rozplenił jak zielsko, cała jego misterna filozofia została zredukowana do tych powypisywanych z błędami słów. Kretyńskie namiętności, godne emocji kibiców meczu futbolowego, przenikają do polityki. Niech żyje Wolność! Precz z niesprawiedliwością! Jak

gdyby nędzę i choroby można było wypłenić, krzycząc triumfalnie: Dwa do zera! Czyż – zapytałem – nie są jednoznaczne nauki, których udziela nam historia? Weźcie tylko pod uwagę Nikaraguę. Zaprosili Kubańczyków i cały kraj przemienił się w jeden obóz wojskowy, w dodatku pełen kapusiów i skrytobójców. A co rewolucja uczyniła dla biedaków? Jedyna różnica polega na tym, że teraz obsrywają ulice w ordynku, wyśpiewując przy tym pieśni o braterstwie. – Don Julio westchnął. – Ale nie posłuchali mnie i sam pan widzi, co nas spotkało. Sześć lat piekła. – Poklepał Mingollę po ramieniu. – Dzięki Bogu za ludzi takich jak pan i ja. Komuniści nie są tacy głupi, żeby się nam pchać pod nogi, bo wiedzą, co ich spotka.

Debora weszła do kuchni na czas, żeby usłyszeć ostatnie słowa – i posłała gospodarzowi jadowne spojrzenie. Nałożyła szarą spódnicę i perkalową bluzeczkę, Don Julio zaś, bagatelizując okazaną sobie wrogość, wykrzyknął:

– Wygląda pani oszalamiająco, seniorita! Cudownie. Puściła uwagę mimo uszu.

– Samochód gotowy – powiedziała.

– Już wyjeżdżacie? – Don Julio wstał. – Jaka szkoda! Od śmierci żony wiodę taki samotny żywot. Cóż, trudno. – Gorliwie potrząsnął dłonią Mingolli. – Dumny jestem z zawarcia tej znajomości i będę się modlić, by pańską misję uwieńczył sukces.

Kiedy zniknęli za rogiem, stojąc w drzwiach, machał im ręką na pożegnanie. Wstawał świt i w jego szarym blasku ukazały się zaścielające plażę stopy kokosowego śmiecia i nawozu; linię fal znaczyły kłęby piany i materace wodorostów, które z daleka wyglądały jak trupy wyrzucone przez morze na brzeg. Poza granicą przyboju „Ensorcelita” podskakiwała i opadała jak ciemny spławik.

Mingolla otworzył drzwi po stronie kierowcy i w tym momencie przypomniał sobie, że nie zabrał mapy.

– Czegoś zapomniałem – powiedział. – Zaraz wracam.

Ruy, siedzący z tyłu obok Tully’ego i Corazon, otworzył usta, jak gdyby miał zamiar coś powiedzieć, ale tylko odwrócił głowę.

Drzwi frontowe były otwarte; kiedy Mingolla wszedł do domu, usłyszał z kuchni monotony i bezbarwny głos Don Julia:

– Mam dla niego wiadomość.

Mingolla ostrożnie wsunął się do kuchni. Właściciel plantacji, stojąc plecami do drzwi, rozmawiał przez wiszący na ścianie telefon.

– Tak – powiedział. – Właśnie wyjechali.

– Odłóż słuchawkę – rozkazał Mingo lla.

Don Julio obrócił się na pięcie, opuścił lewą dłoń w stronę kabury, Mingolla zaś zaatakował go, spodziewając się łatwego zwycięstwa. Kiedy jednak przeniknął do umysłu Don Julia, oszołomiła go manifestacja potężnego wzoru. Opłynęła go krucha fala emocji, gniew począł zeń

wyciekać, i wydawało się, że wzór – który postrzegał jako węzową formę z iskrzącego srebra – kreuje pod jego czaszką swe lustrzane odbicie, które łagodnie wprawia myśli w powolny hipnotyczny rytm. Jakże łatwo było pójść za owym wzorem, zapętlać się i zapętlać, pozwolić głowie opaść i kiwać się sennie, nasłuchiwać zawodzenia wdzierającego się do uszu od wewnątrz, przenikliwego oscylującego dźwięku przypominającego skowyt rozregulowanego do granic systemu nerwowego. I może o to właśnie chodziło, może o to, może... Widział, jak dłoń Don Julia sunie ku kaburze, usiłował się ocknąć, rozbudzić w sobie czujność. Ale uwodzicielskie rytmy wzoru przenikały go na wskroś, usypiały, zapewniały, że nic mu nie grozi. Don Julio, poruszając się tak ospale, jak gdyby tkwił w słoju z gęstym syropem, rozpiął kaburę. Mingolla chwiejnie postąpił krok w jego stronę, poślknął się i bokiem głowy walnął o ścianę; ból oślepił go na moment, lecz zarazem rozegnał wzór. Zanim zdołał się on odtworzyć, Mingolla wygenerował z siebie ładunek strachu. Don Julio się zachwiał i cofnął, ale Mingolla kontynuował atak, śląc kolejne fale przerażenia, odrazy, że jest się tak intymnie dotykany przez obcy umysł. Właściciel plantacji pisnął załóżnie, upadł jak łachman, a oczy uciekły mu pod czaszkę. Mingolla podniósł do ucha słuchawkę.

– Halo? – rozległ się męski głos, stłumiony przez szумы i trzaski na linii. – Halo?

– Kto mówi? – zapytał Mingolla.

– Ależ to David! Gratulacje! A zatem zdałeś egzamin.

– Izaguirre?

– Do usług.

– Ty to ustawileś?

– Nie jestem pewien, co masz w tej chwili na myśli. Wnioskuje, iż Don Julio usiłował zniewolić cię swą mentalną mocą... Czy mam słuszność?

– Nie – odparł Mingolla. – Wszedłem, rozmawiał przez telefon, więc mu dołożyłem.

– Chyba cyganisz, Davidzie. Jak się miewa Don Julio? Do odratowania?

Mingolla zerknął na właściciela plantacji, który był w kiepskim stanie – bezwładny, spocony, płytko oddychał. Prawicowiec – zabaweczka ze srebrnym wężem w głowie.

– Nieważne zresztą – powiedział Izaguirre. – Wyślę kogoś, żeby sprawdził.

– Nie jesteś, kurwa, za sprytny – rzekł Mingolla. – Myślisz, że nie wiem, że to Ruy nas tu doprowadził? Widzę, co jest grane.

– Nie muszę być sprytny. To, czy jesteś świadomy swej sytuacji, czy też nie, pozostaje bez związku z niebezpieczeństwami, którym może będziesz musiał stawić czoło.

– A nie wątpię, że zastawileś mnóstwo pułapek.

– Cały świat jest pułapką. Ty po prostu się natknąłeś na jedną z moich. Pozostałych, być może, zdołasz uniknąć. – Izaguirre zachichotał. – Mam zresztą ciekawsze zajęcia niż zawracanie sobie głowy twoją osobą. Jesteś bardzo mocny, Davidzie, ale w gruncie rzeczy niezbyt ważny.

Takich jak ty jest zaledwie kilku, takich jak ja zaś bardzo wielu. Możemy nad tobą zapanować.

Odłożył słuchawkę, a Mingolla przykłęknął obok Don Julia, który zmarszczył czoło, usiłując coś powiedzieć. Jęknął. Mingolla zabrał się do budzenia, kiedy jednak nawiązał kontakt, umysł Don Julia zgasł... jak koliber na plaży Roatanu. Poszukiwał pulsu. Skóra Don Julia była zdumiewająco chłodna, jakby śmierć nastąpiła już dawno.

– Co się dzieje? – rozległ się za plecami Mingolli głos Ruya; Ruy stał w kuchni, mając po bokach Tully’ego i Deborę.

– Atak serca czy co – odparł Mingolla.

W wyobraźni nalepił na twarz Ruya brodę hiszpankę i zmarszczki. Najmniejszych wątpliwości. Podobieństwo do doktora Izaguirre było oczywiste.

– Nie żyje? – zapytała Debora.

– Taa. – Mingolla podniósł pistolet Don Julia i wstał. – Chyba nie produkują już takich konserwatystów jak dawniej – stwierdził, szukając w twarzy Ruya śladów jakiegokolwiek reakcji.

Ruy szturchnął stopą ramię trupa.

– Cono! – powiedział i splunął. Uśmiechnął się do Mingolli. – Coś ty zrobił, człowieku? Wystraszyłeś go na śmierć?

Rozdział 13

W szarym świetle wzgórz Olanchito miały upiorną barwę wyługowanej zieleni. Wiły się pomiędzy nimi drożyny, ginąc w zagajnikach i kępach krzaków, jakby to wszystko, do czego prowadziły, zniknęło nagle za sprawą czarów. Wzgórz w bliskości morza miały kształt głów cukru i były porośnięte skarłatymi palmami, które z nabrzeżnej szosy wyglądały niczym naelektryzowane włosy; te w głębi ładu były ostrzejsze, oblicowane granitem, ich szczyty zaś spowijały kłęby chmur deszczowych. Przez dwa dni podążali szosami, a potem, gdy szosy się urwały, zatonęli w gęstym zdołnej zabliznić dżunglę najstraszniejsze spustoszenia wojenne, a przecież wciąż kreślące szlak w sposób subtelny i dyskretny. Na ogół – jakkolwiek od czasu do czasu napotykali ruiny albo zarosły paprociami krater – wszystko wyglądało normalnie. Drzewa były zielone, panował ptasi i owadzi zgiełk, strumienie wodospadami zwały się w dół. A jednak unosiła się nad tymi miejscami aura złowrogiego zaklęcia. Odnosiło się wrażenie, iż pofałdowania wzgórz powstały na cmentarzysku olbrzymich szkieletów, których gnijące kości skaziły wszystko, co na nich rośnie. To skażenie było w powietrzu, przygniatało, barwiło ołowianą szarością nawet najbardziej słoneczne dni, znużeniem osiadało w członkach, czyniło oddychanie harówką.

Góry Hondurasu bez żadnej widocznej linii demarkacyjnej ustępowały miejsca górą Nikaragui, a wędrówka przez nie odbiła się na ich samopoczuciu jeszcze mocniej niż dotąd; nawet Ruy stał się milkliwy i przygnębiony. Posuwali się wolno. Cał po calu zjeżdżali w głębokie parowy, grzęzli w łożyskach strumieni i tracili całe godziny, żeby się z nich wykaraskać, ślepli podczas krótkich ulewnych deszczów, które przemieniały szyby w nieprzezroczyste, malowane błockiem, abstrakcyjne obrazy. Ilekroć natrafiali na zbombardowaną wioskę, doznawali uczucia ulgi, bo namacalny dowód wojny rozpędzał choć na jakiś czas otaczającą ich nadprzyrodzoną aurę. Niektóre wioski były zamieszkałe i w tych kupowali czerwoną benzynę, przechowywaną w beczkach po oleju i pełną zanieczyszczeń. Wieśniacy byli bojaźliwi, żyli w ruinach jak mały, trwożnie wyglądali spoza potrzaskanych murów aż do chwili odjazdu gości i ani razu uczciwie ich nie powitali.

Obsesja Ruya na punkcie rzeczy Debory, a także nieustanna potrzeba Tully'ego, by wszelkie problemy omawiać z Corazon, właściwie eliminowały szanse na jakąkolwiek prywatność, czasami jednak, w nocy, Mingolli i Deborze udawało się wymknąć z obozowiska na parę kwadransów rozmowy i miłości. Mingolla wciąż nie mógł dojść do ładu z ich związkim. Fakt, iż miłość obdarowywała ich wymierną mocą, przyćmiewał inny, zwyczajniejszy fakt, że aby rozkwitać, miłość wymaga wielu postanowień, w obecnych zaś okolicznościach, zmiennych i tymczasowych, żadna poważniejsza decyzja nie zasługiwała na prawdziwą uwagę. Ale mimo to myślał o nich dwojgu, a kiedy myślał, kiedy patrząc na Deborę, usiłował wyobrazić sobie ich

przyszłość, lądował w ślepych zaułku, bo żadna wizja przyszłości nie przychodziła mu do głowy. Byli, uświadamiał sobie, zaledwie uzbrojonymi dzieciakami stającymi w obliczu problemu, którego fantastyczna natura rozpaczliwie błaga o logiczną wykładnię; chwilami był pewien, że mimo posiadanych dowodów na wszystkim, czego się dowiedzieli, ciąży skaza błędnej interpretacji. Kiedy usiłował to wszystko ogarnąć – czuł się zbłąkany; kiedy próbował zapomnieć o wojnie, o wątpliwym oparciu, na jakie mógłby liczyć ze strony kompanów – kurczowo wczepiał się w Deborę, tak samo zresztą jak ona w niego.

Dziewięć dni po opuszczeniu plantacji kopry natknęli się na drogę. Żaden dukt czy też stary partyzancki szlak, lecz drogę jak Bóg przykazał, szeroką, doskonałą dojazdy żwirówkę, która zaczynała się w sercu nicości i jak wąż wpełzała pomiędzy góry. Mingolla przypuszczał, że była to droga wojskowa, mająca łączyć bazy, których nigdy nie zbudowano; bujność okolicznej dżungli świadczyła o tym, iż nie użytkowano jej od dawna, z drugiej zaś strony nawierzchnia wciąż była gładka jak pupa niemowlęcia, wolna od najdrobniejszych choćby trawek czy chwastów, a taki długotrwały efekt mogło dać tylko zastosowanie silnych środków chemicznych, jakimi w podobnych celach posługują się inżynierowie wojskowi. Dotarli do owej drogi o zachodzie słońca, a chociaż mogliby podróżować po niej również w nocy, Mingolla uznał, że z psychologicznego punktu widzenia dobrym rozwiązaniem jest rozbitcie obozu – jeśli droga urwie się po kilku milach, przez resztę jutrzejszego dnia będą mogli podróżować niejako z rozpędu. Wjechał ffordem za zbocze wzgórza i kilkaset stóp nad drogą, w pobliżu strumienia, który wyrzeźbił w skale zarosłe paprociami koryto, rozbili swoje namioty.

Tej nocy Mingolla i Debora zeszli ze wzgórza, a potem usiedli na skraju dżungli; z tego punktu widzieli drogę ginącą w wąskim karbie pomiędzy dwoma przylegającymi do siebie wzgórzami. W tym samym karbie leżał na boku jajokształtny księżyc, w którego blasku żółty żwir skrzył się mokro i krystalicznie, przy czym nie wyglądał jak złoto, lecz jakaś organiczna wydzielina czy też ślad sunącego na południe gigantycznego ślimaka. Żadnych owadów, żadnych świszczących samogłosek wiatru. Bliskość drogi czyniła pustkę bardziej znośną, a cisza była tak wszechobjmująca i głęboka, że Mingolla fantazjował, iż słyszy majestatyczny pomruk wibrującej ziemi. Rozmowa wydawała się w tej ciszy czymś niewłaściwym, siedzieli więc tylko objęci, podziwiając drogę, jakby była czymś zgoła cudownym. Debora położyła mu głowę na piersi: czując zapach jej włosów, niemal donośne w ciszy równe uderzenia serca, Mingolla miał wrażenie, iż wszystko, czego doświadczył w życiu, nabrało oto zrozumiałej wartości. Uwierzył, że rozumie miłość. Nie w takim stopniu, aby sformułować jej definicję... Ale sądził, że od tej chwili będzie ją mógł przywołać jako mieszaninę szczegółów postrzeganych tak intelektem, jak i zmysłami. Miłość, cokolwiek się kryło pod tą nazwą, była tu, w tej chwili, wyczarowana w rozpoznawalnej postaci przez ciszę, drogę, bicie serca Debory i tysiąc innych elementów.

Debora podniosła głowę, odrzuciła włosy.

– Coś usłyszałam – powiedziała.

– Pewnie wiatr.

Ukłękła, wygładziła spódnicę, strząsnęła z niej kropelki rosy. Pokazała zbocze naprzeciwko, gdzie grubymi pasmami gęstniała mgła.

– Wkrótce nic nie będzie widać.

– Nie, żeby było cokolwiek do oglądania.

– Rozmyślałam ostatnio – powiedziała Debora po chwili – jak bardzo się zmieniłam. Nie jesteśmy ze sobą długo, ale mogłyby to być całe lata, gdyby zmierzyć upływ czasu ogromem zmian.

– Jakie zmiany?

– Nie jestem już tak pewna rozmaitych rzeczy jak dawniej. Kiedy po raz pierwszy pomyślałam o wyprawie do Panamy, pragnęłam tylko rozgryźć, co się dzieje. A kiedy zaczęłam rozumieć, co się dzieje, zapagnęłam wziąć w tym udział... w rewolucji, bo wiedziałam, że to musi być rewolucja. Nawet gdyby to nie była moja rewolucja. Nadal tak sądzę. Ale ostatnio się zastanawiam, czy gra jest warta świeczki. Wciąż wyobrażam sobie, że uciekamy, kryjemy się gdzieś, pozwalając innym rozstrzygać problemy świata.

Roześmiał się.

– Ze mną jest na odwrót.

– Naprawdę?

– Tak... kiedyś chciałem dać sobie ze wszystkim spokój. Im jednak jesteśmy bliżej Panamy, tym jaśniej uświadamiam sobie, że nie uniknę zaangażowania. I tym bardziej się wściekam na Izaguirre. – Znow się zaśmiał. – Może to właśnie nazywają wspólnym dojrzewaniem.

– Może – przyznała z rezygnacją. – Przynajmniej ty się zmieniasz we właściwym kierunku.

– Czy ja wiem? Ćpałem ten sam towar, co te psuje, które ponoć reżyserują cały film.

– Nadal sądzisz, że to psuje?

– Nie mam najmniejszych wątpliwości. Popatrz, jak nami manipulują, popatrz na te wszystkie gierki. Jeśli planują zaprowadzić pokój, prawdopodobnie spieprzą sprawę. Tylko pomyśl. Te dwa rody brały narkotyk od stuleci i dopiero teraz próbują pozbić jakoś wszystko do kupy. Źle to rokuje, jeśli chodzi o proces pokojowy.

– Pewnie masz rację.

Studiował jej twarz, której egzotyka rzucała się w oczy tak samo jak egzotyka róży Corazon. Ot, mały skarb mogący działać na wyobraźnię Ruya, mężczyzny ze wszystkimi... szczególnie jeśli ten skarb był dla niego niedostępny, jeśli wobec ich dwojga jego moc była bezradna. A Mingolla nie wątpił, że stali się aż tak potężni. Muszą zachowywać ostrożność, żeby nie zdradzić Ruyowi zbyt wiele; Izaguirre, który na pewno jest z nim w kontakcie, może spanikować, jeśli uzna, iż stali się zbyt silni. Może spróbować ich wyeliminować. To chyba odpowiedni

moment, żeby doprowadzić do zwania z Ruyem. Mingolla miał dotąd nadzieję, że Ruy coś palnie, zdradzi jakiś istotny szczegół, ale być może najlepsza taktyka to po prostu wziąć go na huki.

– Zachowujesz się, jakbyś był nieobecny duchem, David.

– Już wróciłem... rozmyślałem tylko.

– Cóż... – Usiadła obok niego. – Jeśli to nieudacznicy, może zdołamy coś zwojować.

– Biorąc pod uwagę, że uwielbiają odgrywać Pana Boga, w najgorszym razie przyprawimy całą sytuację szczyptą realizmu. – Spoglądał wzdłuż drogi, usiłując zidentyfikować czarny obiekt, który się pojawił w szczybie pomiędzy wzgórzami. – Coś się zbliża.

Pomógł Deborze wstać i cofnęli się nieco w dżunglę.

– Zatrzymało się – powiedziała Debora.

– Nie, popatrz. Znow się zbliża.

Po paru minutach zorientowali się, że obiekt to w istocie dwa obiekty – jeden jasny, jeden ciemny – które się zbliżają leniwie i jakby z wahaniem: pokonują pięćdziesiąt albo sześćdziesiąt stóp, przystają, a potem ruszają dalej. Po kilku następnych minutach rozpoznali konia i wóz. Wóz był właściwie spiczasto zadaszonym domkiem na kółkach, a jego granatowe ściany zdobiły pięcioramienne złote gwiazdy i sierp półksiężyca. Koniem – był to siwek z szarymi plamkami – nikt nie powoził, lejce zaś zostały przywiązane do kołka na ławce woźnicy. Za oknem i drzwiami panował mrok. W zbliżaniu się furgonu, w jego szmatycznych szarpnięciach przywodzących na myśl bezwładny ruch ciała pozbawionego kości, a wreszcie w jego archaicznym wyglądzie, było coś nieomal złowróżbnego.

Wóz zatrzymał się tuż przed nimi. Koń przestępował z nogi na nogę, przewracał oczami gorejącymi w blasku księżyca; był stary, miał świszczący oddech. Kiedy Mingolla wyszedł na drogę, rzucił łbem, ale nie ruszył z miejsca – wyglądało to tak, jakby pragnął uciec, ale był ślepo posłuszny regule systematycznych przystanków. Mingolla trafił na właściwy moment. Uchwycił kielzno, przytrzymał łeb. Przejęte trwożą oczy zwierzęcia zwróciły się w jego stronę, a Mingolla, poruszony jego posągowym pięknem i szaleństwem, pojął, iż koń padł ofiarą kpiny kogoś takiego jak on, zaćpanego geniusza rodem z nowego ładu, że został wrobiony w tę pełną wahań wędrówkę po pustej drodze tylko i wyłącznie w imię idiotycznego i żalosego kaprysu. Widywał ludzkie ofiary podobnych kaprysów, ale nigdy nie był aż tak wstrząśnięty. Ludzie w naturalny sposób są narażeni na rozmaite kretynizmy, koni jednak, pięknych i głupich koni, nie powinny one spotkać.

Podeszła do niego Debora, a on przekazał jej kielzno.

– Zobacz, czy zdołasz go uspokoić – powiedziała, a potem wdrapał się na ławeczkę woźnicy i dał nurka w głąb furgonu.

Zanim jeszcze zdołał cokolwiek zobaczyć, pojął intuicyjnie, że furgon nie kryje w swym

wnętrzu nic dobrego, że w ogóle kryje niewiele, a to, co da się tu znaleźć, będzie świadectwem prawd, których lepiej byłoby nie poznawać. Ułamek sekundy później ogarnął go paniczny strach zrodzony z urojeń. Mingolla uświadomił sobie istotę prawdziwego przerażenia, rzeczom bowiem z takich czy innych powodów budzącym grozę człowiek chętnie przypisuje wymiar nadnaturalny, ponieważ przypominają mu o jego znikomości, on zaś za wszelką cenę chce sobie podnieść morale. Skośny promień księżyca smagnął siennik leżący na podłodze. Unosił się słaby, słodkomdlący zapach czegoś, co jeszcze niedawno było żywe i chore. Mingolla się zawahał, niepewny, czy ma ochotę szperać dalej. Dostrzegł w kącie błysk, sięgnął w tamtą stronę. Jego palce dotknęły śliskiej powierzchni papieru, podniósł plik fotografii przedstawiających, bez wyjątku, seks czarnej kobiety z tłustym białym mężczyzną. Przypadkiem kopnął coś, co zagrzechotało o ścianę. Zaczął macać, podniósł garść ludzkich kości. Ludzkich kości, bez śladów złamań czy jakichkolwiek innych urazów. Paliczków i kręgow. Kiedy padł na nie blask księżyca, Mingolla odniósł wrażenie, że gnijąca tkanka rozciąga się od okna do podłogi. I to już było wszystko. Poza tym kurz i aura rozkładu. Jeśli furgon z zawartością był grepsem, przesłaniem od jednego figlarnego maniaka do drugiego, to, jak uznał Mingolla, przesłanie takie uświadomi adresatowi – pod warunkiem, że zostanie przezeń prawidłowo odczytane – jego marność, jego szpe tną organiczną naturę. Czując lekkie oszołomienie i mdłości, wycofał się na ławkę woźnicy. Po mroku panującym w furgonie, światło księżyca wydawało się oślepiające i Mingolla pomyślał, że gdyby nabrał go w płuca – wydmuchnąłby cień.

– Co znalazłeś? – spytała Debora.

– Wóz jest pusty. – Zeskoczył na ziemię.

– Trochę się uspokoił – powiedział Debora, głaszcząc nozdrza konia.

– Zaraz go wyprzęgnę, niech się popasie.

W gęstniejącej mgle zaprowadzili konia po zboczach na polankę otoczoną poskręcanyimi rozłożystymi drzewami, których czarna kora była pomarszczona jak twarze starych, bardzo starych ludzi, a potem patrzyli, jak się pasie: przez chwilę żuje trawę w jednym miejscu, przesuwa się krok do przodu, żuje, znów się przesuwa. Tu był na swoim miejscu, spokojny i naturalny. Jego jabłkowita sierść zlewała się mgłą i wyglądało to tak, jakby się materializował z upiornie białych wstążek przywierających do jego barków i zadu albo też w nich roztopiał, zwłaszcza że jego łeb zniknął czasami, kiedy pochylał go, by szarpnąć kępę trawy. Światło księżyca ukośnie przebijało mgłę, tworząc aureole wokół wszystkich przedmiotów, strefy niesamowitej głębi, spirale fosforyzującego dymu – mogło się zdawać, że polaną zawładnęła jakaś siła magiczna, zdecydowana wyłowić z mroku wszystkie czarnoksięskie rekwizyty. To, po części, wrażenie obudziło w Mingolli żądzę, nadzieję, iż zdoła przywołać własną magię i dzięki niej zapomnieć o plugawym wnętrzu furgonu. Przycisnął Deborę do pnia jednego z drzew, rozpiął jej bluzkę, pomógł się wysunąć z majteczek.

– Jest zbyt mokro – powiedziała, pokazując skinieniem głowy zroszoną trawę.

Uniósł ją lekko, żeby zademonstrować alternatywę. Jej chłodne, połyskujące wilgocią piersi wydawały się w jego dłoniach nieważkie; przez jej oczy przepływały światła. Podciągnął do góry spódnicę, uniósł Deborę jeszcze raz, a kiedy w nią wszedł – odrzuciła do tyłu ramiona, obejmując pień drzewa, nogi zaś zacisnęła powyżej bioder Mingolli. Cisza nocy legła w gruzach. Prychanie i żucie konia, przytłumione odgłosy dżungli... to wszystko podpełzło bliżej, wyostrzone i zaaranżowane przez wilgotne dźwięki ich seksu, przez ich urywane oddęchy. To był akt białej magii, który, z pozoru, wykrzesał z księżycy jeszcze więcej blasku. Para unosiła się spiralnie z ust Debory, wiła w jej włosach; widząc tę przemianę, Mingolla poczuł, że on też podlega transformacji, staje się złotooką i złotoszpłą bestią, nabierającą sił z każdym pchnięciem, z każdym okrzykiem Debory.

Potem, zbyt słaby, żeby się poruszyć lub cokolwiek powiedzieć, długo utrzymywał ją w tej samej pozycji, kiedy zaś w końcu się wycofał i obrócił głowę w stronę polany, spodziewał się w głębi duszy, że koń zniknął, zamieniony w nicłość przez ich dobre czary. Koń jednak był, skryty do połowy w białym morzu, i spoglądał na nich bez ciekawości, lecz z uwagą. Wiedział, czego był świadkiem, w jego spokojnych ciemnych oczach nie było więc żadnych pytań.

* * *

Kilka dni później, kiedy Tully i Corazon zbierali chrust na ognisko, Ruy zaprosił Mingollę i Deborę na kawę do swojego namiotu. Ruy najwyraźniej zrzekł się wszelkich praw do Corazon, wołąc skoncentrować całą uwagę na Deborze i chociaż przestał otwarcie ją uwodzić, praktycznie nie spuszczał z niej oczu, a wszystko, co mówił, było aluzyjne. Zwoje mgły wnikały do namiotu przez otwartą klapę, podświetlane blaskiem bateryjnej lampki, Ruy zaś, leżąc na śpiworze, z filiżanką kawy umieszczoną niepewnie na brzuchu, przekazywał im dalszy ciąg relacji o Panamie zasłyszanych rzekomo od pasażera z dawnych czasów. W miarę, jak mówił, jego język i modulacja nabierały wyrafinowania, Mingolla więc, uświadomiwszy sobie, że Ruy zdejmuje maskę i dalsze podchody nie mają sensu, zapytał w końcu:

– Kim ty jesteś, człowieku? Madradoną czy Sotomayorem?

Ruy odstawił filiżankę i usiadł; w załamaniach skóry na jego twarzy zgęstniały cienie.

– Sotomayor – odparł. – Oczywiście, większość z nas przywykła do używania innych nazwisk.

– Dlaczego... – zaczęła Debora.

– Dlaczego nie powiedziałem wam wcześniej? Dlaczego mówię dopiero teraz? Ponieważ...

– Ponieważ toczy tę swoją gierkę – dopowiedział Mingolla. – Wszystko jest dla nich grą. – Chciał zapytać Ruya o konia, ale się obawiał, że utraci równowagę. – A my mamy uwierzyć, że

te figlarne skurwysyny są w stanie zawrzeć ze sobą pokój.

– Nie mamy wyboru – odparł Ruy wyniośle. – Wiecie już sporo. Czy chcecie usłyszeć resztę?

– Jasne – powiedział Mingolla. – Rozerwij nas.

– Doskonale więc. – Ruy upił łyżeczek kawy. – Pod koniec ubiegłego stulecia co światlejsze umysły z naszego grona doszły do wniosku, że świat zmierza ku katastrofie. Nie natychmiastowej, rozumiecie. Przynajmniej w kategoriach pokoleniowych. Dostrzegli jednak rozwój konfliktów i sił, które mogłyby zagrozić wszystkim. Pojęli, iż waśń musi się skończyć, że musimy skierować całą energię na rozwiązanie tych problemów. Tak więc spotkaliśmy się w Cartagenie i rody zawarły pokój.

Mingolla prychnął w zgardliwym śmiechem.

– Altruści!

– Istotnie – przytaknął Ruy. – Nawet nie masz pojęcia, jak wielkiego trzeba było altruizmu, aby przezwyciężyć stulecia nienawiści. Nie chodziło przecież tylko o to, aby zakończyć waśń; musieliśmy zostać kolegami naszych zaprzysięgłych wrogów, ponieważ logistyka ogólnoświatowej rewolucji wymagała... – Nie zdołał znaleźć odpowiedniego terminu i pokręcił głową. – Na początek musieliśmy zainicjować programy wychowawcze. Rodziny w owych czasach nie były zbyt liczne i potrzebowaliśmy większych zasobów ludzkich, aby przeniknąć do świata polityki, wojska, organizacji wywiadowczych. To właśnie było podstawowym celem programów takich jak Korpus Psi czy Sombra... zwielokrotnienie naszych szeregów. Zajęło nam to przeszło sto lat, ale w końcu jesteśmy gotowi do przewrotu. Nie istnieje w Stanach czy Rosji instytucja o jakimkolwiek znaczeniu, która nie zatańczyłaby, jak jej zagramy.

– Czemu więc nie zagraliście dotąd? – zapytała Debora.

– W ciągu tych lat popełniliśmy sporo błędów. Mimo uzgodnień z Cartageny wielu z nas nie potrafiło się wyzwolić z nienawiści i od czasu do czasu waśń wybuchała z nową mocą, przegapialiśmy większość owych wybuchów, generalnie bo wiem wszystko szło dobrze. Ale potem... – Roy westchnął przeciągle i spazmatycznie – ...potem popełniliśmy straszliwy błąd. Około dwudziestu naszych podejmowało próby zneutralizowania terrorystów palestyńskich, kiedy w ich gronie nastąpił taki właśnie wybuch. Owa dwudziestka tak się zapamiętała w wyrównywaniu osobistych porachunków, że zaniedbała misję i w rezultacie spisek terrorystyczny zmierzający do podłożenia w Tel Awiwie bomby nuklearnej został z sukcesem doprowadzony do końca.

– Jezu! – Mingolla zamierzał powiedzieć coś więcej, ale uznał, że nawet najbardziej jadowity sarkazm i najokropniejsze zniewagi nijak się mają do skali horrendum.

Ruy chyba nie dostrzegł jego wzburzenia.

– Po Tel Awiwie odnowiliśmy układ, ale i tak dochodziło do niepokojów, szczególnie wśród

przedstawicielei najmłodszego pokolenia. W końcu zostało postanowione, że wszyscy ci, którzy nie zaniechali waśni – a także członkowie Sombry i Korpusu Psi, dostatecznie silni, by pomóc nam w budowaniu nowego świata – osiadą w Barrio Clarin i wynegocjują odrębny układ pokojowy. Wtedy i tylko pod tym warunkiem rozpoczniemy przewrót.

– A jeśli zakończy się to fiaskiem? – zapytała Debora.

– Umrzemy, a przewrót dokona się bez nas. Nie jestem pewien, jak zostanie wykonany wyrok, ta sprawa leży w kompetencjach Carlita. Nalot, jak przypuszcza. Ale nie zakończy się to fiaskiem. Czynimy postępy każdego dnia.

– Kim jest Carlito? – zapytał Mingolla.

– To doktor Izaguirre – wyjaśnił Ruy. – Mój stryj.

– Właśnie – stwierdził Mingolla. – Jedziemy do Panamy, żeby ten pieprznięty skurwysyn mógł rozwalić nas na strzępy. To jasne.

Ruy wzruszył ramionami.

– Jeśli uciekniecie, wytropią was. A poza tym... – zerknął na Deborę – ...chyba chcecie mieć wpływ na kształt nowego świata, prawda?

– Ja spasuję – powiedział Mingolla. – To, coście zrobili dotąd, nie wygląda mi na specjalne udoskonalenie.

– Nie masz pojęcia, cośmy zrobili.

– Ale wiem, czym jest ta cholerna wojna!

– Nie my rozpętaliśmy wojnę! To wasza robota! My w ciągu minionych lat zredukowaliśmy ją do ułamka jej dawnej skali. Musieliśmy podtrzymywać ją w jakiejś postaci, aby mieć przykrywkę dla naszych operacji, no i nie dysponowaliśmy dostateczną liczbą ludzi, by wywierać wpływ na poszczególne bitwy... oddziałujemy tylko na struktury dowodzenia. Zakończymy ją jednak, kiedy tylko zawrzemy pokój. A potem pociągniemy za sznurki i zakończymy wszystkie wojny. – Ruy upił następny łyk kawy, skrzywił twarz. – Robiliśmy haniebne rzeczy, pozwalaliśmy trwać haniebnym rzeczom. Ale taka odpowiedzialność jest nierozdzielnie związana z władzą. Człowiek robi to, co nieuniknione, a potem musi żyć z konsekwencjami. Jeśli jednak rezultaty są dobre, wszystko inne można usprawiedliwić.

– Wiesz – powiedział Mingolla – sądzę, że mówisz z przekonaniem, chłopie. Serio. I to mnie przeraża. Jestem tak cholernie przekonany, że myślisz, iż twoje przekonanie usprawiedliwia wszystko. Wszelkie ekscesy i zwyrodnienia.

– To nie my stanowimy twój problem, człowieku. – Ruy podciągnął kolana, oparł na nich rękę. – To ja nim jestem. Debora, na przykład, rozumie, że świat musi się zmieniać. Rozumie, że bez względu na to, jak krwawa jest droga, sprawy nie mogą się toczyć po staremu. Ale ty... – wymierzył w Mingołłę palec – ...ty tego nie widzisz. Nie mieszkałeś w tych stronach. Nie byłeś świadkiem, jak twój kraj był gwałcony przez banki inwestycyjne, korporacje, swoich małych

hitlerów. Wcześniej czy później ten brak zrozumienia spowoduje między wami rozłam.

– I wtedy ty wkroczysz do akcji, co? Ruy się uśmiechnął.

– Na nic nie licz – wtrąciła zimno Debora.

– Liczę na twoje zaangażowanie, guapa – odparł Ruy. – Wiem, jak jest głębokie. A ty możesz liczyć na uczciwość z mojej strony.

Tu Mingolla prychnął.

– Uważasz, że jesteśmy nieuczciwi, ponieważ zachowywaliśmy ostrożność wobec was? – zapytał Ruy. – Czy wiesz, jak trudno było zaszczerpić ufność w ludziach zbyt silnych, byśmy mogli nimi zawładnąć? Ale dla dobra rewolucji dokonaliśmy tego. – Zapalił papierosa i wydmuchnął obłoczek niebieskawego dymu, który stał się wizualnym odwzorowaniem uczynionej przezeń pauzy. – Rodzaj mocy, który był nam dany... po jakimś czasie tworzy niewzruszoną moralność. Dobra doczesne przestają być pożądane, jedyną namiętnością staje się praca. Oto dlatego nasza rewolucja będzie czysta.

– Co się dzieje z ową moralnością – spytała Debora – gdy natrafia na coś, czego jednak zdobyć się nie da?

– Masz na myśli siebie i mnie? – odpowiedział pytaniem Ruy.

– Tylko ciebie... ten brak powagi skryty zapewne w osobie, która budzi w sobie namiętność wobec czegoś, czego nie może osiąść. To dziecinada.

Ruy rozgniół papierosa o podeszwę buta.

– Przypuszczasz, że tak właśnie jest ze mną?

– Ja to wiem.

– Czy ma znaczenie to, w jaki sposób rodzi się namiętność? – spytał. – Uwierz mi, Deboro, jestem poważny.

– Nie możemy się zadawać z tymi ludźmi – stwierdził Mingolla.

– Nie, akurat w tej kwestii ma rację – zaproponowała. – Musimy.

– A po co, do jasnej cholery?

– Uważam – odparła – że uczestnictwo w tej rewolucji ma więcej sensu niż zaprzeczenie, że się toczy. Zawsze tak sądziłam, dobrze o tym wiesz.

– To szaleńcy. Są...

– Czy twój prezydent też nim jest? Nie, musimy wspólnie pracować z rodami, co jednak nie znaczy, że musimy współpracować z Ruyem.

Te ostatnie słowa wypowiedziała bardzo zimno, a potem sięgnęła do plecaka Ruya i wyjęła jego pistolet.

– Nie ujdzie wam płazem, jeśli mnie zabijecie – powie dział nieporuszony Ruy.

Mingolla wziął od Debory pistolet i pozwolił jego lufie opaść w stronę krocza Ruya.

– Tak czy inaczej nie wykręcimy się z tego wszystkiego sianem.

Ruy nie potrafił oderwać oczu od broni.

– Powiedz mi coś więcej o Panamie – poprosił Mingolla.

– Zachowujesz się jak głupiec – powiedział Ruy. – Zabij mnie, a nigdy nie przestanę cię dręczyć.

Mingolla parsknął śmiechem po myleńca.

– Powiedzmy, że jestem nieodpowiedzialny. – Zarepetował pistolet. – Gadaj albo odstrzelę ci części zamienne.

– Co chcesz wiedzieć?

– Na statku wspomniałeś coś o armiach w Barrio Clarfn. Armiach, które ze sobą walczą, ilekroć rody się skłóca. Posłuchajmy czegoś na ten temat.

Słowa Ruya popłynęły gorączkowymi falami; nie odrywał oczu od pistoletu.

– Armie, tak... liczą tysiąc ludzi, może więcej. Nie mieliśmy wyboru, rozum. Nie mogliśmy się zabijać nawzajem, a przecież było między nami tyle złej krwi. Musieliśmy coś zrobić.

– Uspokój się – wtrąciła Debora. – Mów wolniej.

– Strzeli?

– Nigdy nie wiadomo, co zamierza zrobić – odparła. – No więc co z tymi armiami?

– To ludzie okaleczeni, beznadziejnie okaleczeni. Ci, których dusze nieomal umarły.

– Jak okaleczeni?

– Przez podobnych do ciebie... podobnych do mnie. Ich umysły zostały uszkodzone przez nadmiar ingerencji. No wiesz, jak tamtych w twoim hotelu na Roatanie. Tylko że z tymi jest jeszcze gorzej. Ledwie potrafią sami jeść. – Ich spojrzenia coraz bardziej wytrącały go z równowagi. – Nie mieliśmy wyboru, rozumiecie? Gdybyśmy ich nie wykorzystali, zabijalibyśmy się sami, nie mając nadziei na pokój. Nie jesteśmy z tego dumni, uwierzcie! Ale to działa. Przysięgam! Od miesiąca nie doszło do żadnej bitwy.

– Boże – powiedziała Debora.

– Nie dajemy im broni palnej – dodał słabym głosem Ruy. – Broń palna jest zakazana w Barrio Clarfn.

– Rany, to super z waszej strony. – Mingolla spojrzał wzdłuż Jufy na pierś Ruya.

Głos Ruya się załamał.

– Nie rób tego.

Zdawało się, że pistolet przybiera na wadze w dłoni Mingolla, który doznawał pokusy, aby go odchudzić o pocisk. Ale żywy Ruy miał dla nich pewną wartość. Gdyby zdołali ukryć przed nim swą moc, byłby -? po dotarciu do Panamy – dobrym rzecznikiem, gotowym zaświadczyć wobec Izaguirre i pozostałych, że chociaż Mingolla i Debora są silni, to jednak bez trudu można nad nimi zapanować. Mingolla był zaskoczony, że w dyskusjach z Debora nie przeciwstawiał się mocniej pomysłowi kontynuowania podróży do Panamy – teraz pojął, że motywował go gniew

na Madradonów i Sotomayorów. Uznawał za zdumiewające, że jest gotów przywiązywać do gniewu aż tak dużą wagę, siła tej emocji jednak była dostatecznie wielka, by go usatysfakcjonować i stłumić potrzebę autoanalizy.

– Pozwolę ci pożyć, Ruy – stwierdził. – Zadowolony?

Ruy zachowywał wrogie milczenie.

– Ale wyrwiemy ci kły. – Podniósł karabin Ruya, ścisnął go pod pachą. – Nie ma sensu, żebyś latał uzbrojony jak zupełnie dorosły facet i w ogóle.

– Zrobiłeś... – Ruy ugryzł się w język.

– Co chcesz powiedzieć, chłopie?

– Nic.

– Masz paskudne myśli, Ruy, widzę to jak na dłoni – Mingolla dźgnął kolano lufą karabinu. – No, człowieku, wykrztuś to wreszcie.

Ruy popatrzył na niego wściekle.

– Cóż... – Mingolla uniósł się do półprzysiadu, pozwalając lufie wędrować w lewo i w prawo po piersi Ruya. – Nie szczyb się, kiedy tylko nabierzesz chętki na rozmowę. – Otoczył Deborę ramieniem. – Ale postaraj się, żeby to było za dnia, dobra? Nocami bywamy dosyć zajęci.

W następstwie tej rozmowy Ruy zmienił sposób okazywania względów Deborze. Zaczął obdarzać ją płomiennymi spojrzeniami i melancholijnymi minami, bazgrał wiersze w notesie i z roztargnieniem gapił się na świat; wypisz, wymaluj – nieszczęśliwy romantyczny koc hanek. Było tak, jakby ujawniwszy swą prawdziwą naturę, ujawniał zarazem miękkie rdzeń swej namiętności. Jedyne Debora potrafiła przyciągnąć jego uwagę i chociaż Mingolli konweniowało rozanielenie Ruya, o ileż lepsze niż dawna zaczepność, przekonywał się zarazem, że nie może już liczyć na jego pomoc w pokonywaniu głuszy. Ruy odpowiadał Mingolli monosylabami albo wcale, a jeśli nawet napotkali poważne przeszkody – takie jak miasto Tecolutla – nie okazywał troski, wzruszeniem ramion kwitował pytania Mingolli i oświadczał, że nie obchodzi go, jak postąpią.

Mingolla nie chciał wchodzić do Tecolutla. Już z zarosłej sosnami grani nad miastem wyczuwał jego złowroźną aurę, której nie był w stanie rozwiać konkretny obraz ujrany przez lornetkę. To był, jak na górzyste okolice, duże miasto, usadowione w siodle pomiędzy dwoma wzniesieniami, zdominowane zaś przez katedrę z erodującego szarego kamienia; jej spowite w pnącza przechylone dzwonnice przywodziły na myśl dwie grające ze sobą w szachy rośliny, którym ktoś akurat przewraca szachownicę. Inne budynki, domy mieszkalne i sklepy, nie przedstawiały się równie imponująco, lecz były w takim samym stopniu zrujnowane, osmalone, spękane i uwikłane w zieloną sieć porostów; w osiadłej nad doliną rzadkiej mgły miasto wydawało się niematerialne – jak coś, co się wyłania z niebytu lub się w niebyt obraca.

– Nie widzę żadnego ruchu. – Debora odjęła od oczu lornetkę. – Jest prawdopodobnie

opuszczone.

– Byliście tu kiedyś? – zapytał Mingolla wszystkich swoich kompanów.

– To indiańskie miasto targowe. – Corazon skinęła głową w stronę Debory. – Zapewne ma rację. Wątpię, czy ktokolwiek tu mieszka. Opuściwszy jakieś miejsce, Indianie rzadko do niego wracają.

– W porządku – powiedział Mingolla. – Przekonajmy się.

Dwa razy przejechali przez miasto, zanim zaryzykowali postój; silnik najeżonego lufami bronco ryczał w dookólnej ciszy niewiarygodnie głośno. W końcu zajechali pod katedrę, przed którą znajdował się rynek główny z rozwaloną fontanną w środku. Uchylone na stopę drzwi katedry, zrobione z nabitego żelastwem ciemnego drewna, przypominały więzienne wrota – jak gdyby Bóg katolików był kimś, kogo lepiej trzymać w zamknięciu. Spomiędzy kocich łbów brukowego placu wyrastały zielska, naprzeciwko świątyni zaś wznosił się podobny do tortu, różowy, otynkowany budynek, ozdobiony na elewacji jarmarcznym napisem: HOTEL CANCION DE LAS MONTANAS. Miał niegdyś przedpiersie w postaci kafejki na otwartym powietrzu, o czym świadczyły podarte parasole i zardzewiałe stoliki.

– W tych hotelach są czasem generatory – zauważył Tully.

– Może znajdziemy też jakąś benzynę.

Sądząc po obfitości postrzępionych draperii, rozmiarze lady recepcyjnej i srebrze wyzierających spod mchu bordiur tapety, hotel był nastawiony na zamożną klientelę, w tej chwili jednak służył jedynie jaszczurkom i owadom. Kiedy wszyscy weszli do foyer, natychmiast ustały tysięczne węzowe ruchy; ludzkie kroki obruszyły z sufitu śnieżycę gipsowego pyłu. Mijali akurat zaczipowany epifitami szyb windy, kiedy, chcąc powiedzieć coś Tully'emu, Mingolla odwrócił głowę i dostrzegł, że nie ma pośród nich Corazon. Zapytał, co się z nią stało, Tully zaś odparł, że nie ma pojęcia, bo też nie zdawał sobie sprawy z jej nieobecności.

– Poszukam jej – zaproponował.

– Nie, ja to zrobię. – Mingolla mszył w stronę wyjścia, ale wtedy Tully złapał go za ramię.

– Po co się fątygować, mon? Pewnie po prostu snuje się po mieście.

– Może – odparł Mingolla.

– Możesz jej ufać – zapewnił Tully.

– A kto mówi, że jej nie ufam?

– Twoja twarz, mon. Mingolla wyrwał się Tully'emu.

– Sprawdź jednak. A ty szukaj paliwa.

– Ona nic nie kombinuje! – powiedział z przekonaniem Tully, lecz Mingolla tylko machnął ręką i wybiegł na plac. Corazon stała przy drzwiach katedry i zaglądała do środka. Wzdrygnęła się, słysząc okrzyk Mingolli.

– Przestraszyłeś mnie – oświadczyła, kiedy podszedł bliżej.

– Czemu tak cichaczem się zmyłaś?

– Chciałam obejrzeć kościół.

Róża w jej oku wydawała się Mingolli – jak to już bywało dawniej – autografem Sotomayorów, sprytną deklaracją mocy i obłądu.

– Kim jesteś? – zapytał.

– Nikim.

– Cznam twoją pieprzoną filozofię. Chcę wiedzieć, co kombinujesz... dla kogo pracujesz.

Patrzyła nań bez zmrużenia powiek.

– Nie ufam ci – dodał. – No więc lepiej gadaj.

– Jeśli chcesz się czegoś dowiedzieć – odparła – to po prostu we mnie zajrzyj. Jesteś dość silny, żeby zrobić wszystko, czego zapragniesz.

– Już to zrobiłem.

Wydawała się spłoszona.

– Jeszcze na statku – uściślił. – Sprawdziłem cię parę razy. Wydajesz się w porządku, ale mogą być w tobie ukryte rzeczy, do których nie mogę dotrzeć. Pułapki. Rozkazy. Rzeczy, o których nawet ty nie masz pojęcia.

– Cóż, jeśli nie mam pojęcia, nie mogę ci pomóc. – Pchnęła drzwi. – Wchodzę.

Podążył za nią i stanęli twarzą w twarz obok kamiennej chrzcielnicy. W półmroku róża Corazon jakby się unosiła głęboko pod czaszką, a spływający z ramienia warkocz roztapiał się w atramentowej ciemności.

– No więc opowiedz mi o sobie – polecił Mingolla.

– Nie przejmuj się – odrzekła. – Nie robię Tully’emu nic złego.

– A co robisz?

– Po prostu żyję.

Mingolla poddał refleksji minimalistyczną naturę Corazon, porównał ją do Nate’a, Don Julia i Amalii. Było zupełnie możliwe, że jest kimś takim jak oni, zepsutą zabawką, fakt zaś, iż z minimalizmu uczyniła sposób na życie, mógłby stanowić jedną z owych wolt, jakimi Izaguirre lubił przyozdabiać swe dzieła. Nie mógł mieć jednak pewności, a moralność wciąż utrudniała mu wydawanie sądów; nie mógł zatem opierać się w działaniu jedynie na podejrzaniach, szczególnie wtedy, gdy chodziło o kobietę Tully’ego.

Corazon precyzyjnie przeszła przez drzwi wiodące do nawy głównej, a kiedy Mingolla pośpieszył za nią – poczuł w nozdrzach dławiący odór fekaliów. Usłyszał pomruki i mlaskanie. Zaczął zadawać Corazon następne pytanie i wtedy spostrzegł, że ołtarz jest oświetlony przez cztery kandelabry: był unoszącą się w czarnej próżni wyspą blasku, której centrum stanowił zdobiony filigranem srebrny krzyż, dość duży, aby mogło na nim zawisnąć niemowlę. Gdzieś w pobliżu o szorstki kamień zaszurał but, ktoś złapał karabin Mingolli. Mingolla szarpnięciem wyswobodził

broń, usłyszał oddalające się kroki, przykucnął za ławką. Sondując ciemność, złapał kontakt z kilkoma umysłami, może z tuzinem. Mógłby je ogłuszyć, ale nie miał ochoty zdradzać swoich atutów w obecności Corazon. Wystrzelił w powietrze.

– Nie! – Corazon wczepiła się w karabin. – Tu nie ma nic złego. Czuję to.

Odepchnął ją, wystrzelił w górę następny pocisk.

– Ma tu być jasno! – wrzasnęła. – Albo was wszystkich porozpieprzam!

– Proszę! – powiedziała Corazon. – Czyż nie czujesz? Nie ma tu nic niebezpiecznego!

– Nie strzelaj! – powiedział po angielsku gdzieś z okolic ołtarza męski głos.

– Włączcie więc to cholerne światło!

– Dobra, dobra... za chwilę!

...David...

Głos Debory, w jego mózgu.

...wszystko w porządku...nie wtrącaj się...

...co się dzieje...

...jeszcze nie wiem...

...David...

...poczekaj...

– Pospieszcie się z tym światłem! – krzyknął Mingolla.

– Poczekaj chwilkę, dobra?

Męski głos, uświadomił sobie Mingolla, należał do Amerykanina... i to nie po prostu Amerykanina, lecz faceta z Nowego Jorku.

Mętne żółte światło ściennych lamp zalało kościół, pozostawiając jednak w cieniu łukowe sklepienie; Mingolla się spodziewał jakiegoś niezwyklego widoku, ale nie był w najmniejszym stopniu przygotowany na obraz degradacji kościoła, który ujrzał. Słoma zaścieniająca posadzkę, stosy gnoju, ławki upstrzone ptasimi odchodami. Jaskółki zataczały kręgi pomiędzy potężnymi przyporami, rozbłyskały w świetle, a potem ginęły w mroku. Dwie zwinięte w kłębek świnię leżały w samym środku nawy głównej, czarny kogut wydziobywał coś z zaniesionej ziemią spoiny pomiędzy kamiennymi płytami, koza przechadzała się wzdłuż barierki przed ołtarzem. Ludzi nie było widać, Mingolla jednak wyczuwał ich obecność pomiędzy ławkami.

– Jezu! – westchnęła Corazon.

W odległości dwudziestu jardów z drzwi w ścianie wschodniej, wiodących do jednego z bocznych ołtarzy, wyłonił się ksiądz w czarnej sutannie i podszedł do nich w wahaniem. Chudy, miał sięgające ramion siwe włosy. Był jednym z najosobliwszych ludzi, jakich Mingolla widział w życiu – miał młodzieńcze rysy i jędrne ciało, pokryte jednak pomarszczoną skórą sześćdziesięciolatka: przywodził na myśl aktora ucharakteryzowanego do roli człowieka znacznie starszego. Nosił naszyjnik z pokrytych wydrapanymi symbolami białych kamyków, które

przesuwał w palcach jak paciorki różańca.

– Proszę – powiedział. – Nie możecie tu zostać. Mingolla skinął karabinem w stronę ławek.

– Powiedz tamtym, żeby wstali.

– Są przestraszone – odparł ksiądz. – To tylko dziewczęta.

– Nie mogą być zanadto wystraszone – zareplikował Mingolla – skoro jedna usiłowała wyrwać mi broń.

– Usiłowały mnie bronić. Mingolla ponownie skinął lufą.

– Powiedz im.

Ksiądz krzyknął po hiszpańsku i jedna po drugiej dziewczyny wstały. Bez wyjątku młode, nastoletnie, kilka w ciąży.

W białych bawełnianych gieźlach. Ciemnoskóre, czarnowłose, o stoickich twarzach, mogły być siostrami.

– No więc co tu jest grane? – zapytał Mingolla.

– Ha! Ja ci powiem, co tu jest grane! – Corazon wymierzyła palec w stronę twarzy księdza. – Ten skurwysyn karmił tamte kobiety łgarstwami, byle tylko na nie wleźć.

– Nie, to nie...

– Tylko nie mydl mi oczu! – wykrzyknęła Corazon. – Zostałam wychowana przez takich skurwieli jak ty. Jebany Kościół dupczył ludzi, odkąd się tu pojawił!

– Nie mogę zaprzeczyć... – zaczął ksiądz.

– Cholerna racja, że nie możesz! – Corazon gniewnie odstąpiła na kilka kroków.

Mingollę w mniejszym stopniu interesowały wyjaśnienia kapłana aniżeli nie pasujący do Corazon wybuch, niemniej jednak powiedział:

– Daj mu skończyć.

– Nie mogę zaprzeczyć, że Kościół dopuszczał się ekscesów – podjął ksiądz – ale przecież od wybuchu wojny opowiadaliśmy się po stronie ludu.

Corazon prychnęła.

– I zapewniam cię, że nie wykorzystuję dziewcząt. – Bezradnie rozłożył ręce. – Coś się tu dzieje... coś niezwykłego. Trudno to wytłumaczyć.

– No chyba – wtrąciła Corazon.

– Kto jest ojcem? – Mingolla pokazał jedną z ciężarnych dziewczyn.

– Ja – odrzekł ksiądz – ale...

– A nie mówiłam? – Corazon stanęła z księdzem twarzą w twarz. – Ci święci mężowie... znam paru, którzy pierdolą wszystko, co się rusza. Kobiety, chłopców. – Nieomal dźgnęła nosem oblicze kapłana. – Bydło!

Coś w żarliwości Corazon brzmiało w uszach Mingolli fałszywą nutą. Było tak, jakby na jego użytek odstawiła cyrk, grała, aby przekonać go o swym człowieczeństwie, o swej

niezmanipulowanej duszy. Może to właśnie chciały mu przekazać złe przeczucia, jakie miał w związku z tym miejscem. Nie zwiastowały fizycznego zagrożenia, lecz niebezpieczeństwo, że kupi to, co mu sprzedaje Izaguirre.

– Jesteś z Nowego Jorku, nie? – zapytał Mingolla. Ksiądz przez chwilę patrzył tępo, a potem skinął głową.

– Z Brooklynu.

– A ja z Long Island.

– Ledwie pamiętam nasze miasto – stwierdził z roztargnieniem ksiądz. – Wydarzyło się tak wiele.

– Taa? Na przykład? Co się dzieje teraz?

...David...

...w porządku... zaraz wychodzę... Ksiądz ciężko westchnął.

– Może ma rację, jeśli chodzi o mnie. – Gestem głowy pokazał Corazon. – Może jedynie buduję usprawiedliwienie dla faktu, że pogwałciłem prawo celibatu. Nie byłbym pierwszym duchownym, który uległ złudzeniom.

– Złudzenia... kit! – powiedziała Corazon. – Gość nie ma żadnych złudzeń, po prostu chce sobie spuścić z krzyża.

– Lecz jeśli nawet są złudzeniami – ciągnął ksiądz – to jednak nie pozbawionymi rzeczywistych podstaw. To miejsce... – spojrzał na sklepienie, śledząc wzrokiem lot jaskółki – ...fundamenty zostały wykute z olbrzymiej skały, obdarzonej, jak utrzymują Indianie, magicznymi właściwościami. Może to prawda. Kiedy przybyłem tu po raz pierwszy, poczułem w tych kamieniach życie. Poczułem, że przyciągają życie. Weźmy jaskółki. Wiele pokoleń jaskółek, które ani razu nie wyleciały poza te ściany.

– To się zdarza w niejednym kościele – zauważyła Corazon.

– Zgoda, ale tutejsze jaskółki... – Ksiądz machnął dłonią.

– Nie da libyście wiary.

– I tu masz cholerną rację – powiedziała Corazon.

– Zamknij się! – warknął Mingolla.

– Takiego wała! Ty nie znasz tych skurwysynów!

Nie zamierzała na tym skończyć, ale Mingolla ponownie ją uciszył i kazał księdzu kontynuować.

– Widziałeś tutejsze freski? – zapytał duchowny. – Malowidła na ścianach barów i hoteli? Zdarza się, że na jednym obrazie są transatlantyki, wulkany, samochody wyścigowe i Jezus. Sprawia to wrażenie nonsensowne, przypadkowe. Ja jednak doszedłem do przekonania, że jest to wyraz tendencji wyrosłej z synkretycznego procesu wszechobecnego w tym regionie. Widać go... ten proces... w każdej dziedzinie życia. Otóż jestem przekonany, że ten proces ma drugie,

znacznie ważniejsze dno.

– A jest nim?

– Bóg... lub co najmniej idea Boga. – Ksiądz obronnym gestem uniósł dłoń, jakby broniąc się przed wyśmianiem. – Wiem, wiem! Absurdalne, chore. Ale my, dziewczęta i ja, żyjemy dzień po dniu w centrum owego procesu, stąpienia się Chrystusa z jakimś indiańskim duchem. – Zaczął mówić szybciej, żeby nie pozwolić Corazon dojść do głosu. – Musiałabyś pozostać tu, żeby zrozumieć, poczuć prawdę moich słów. Ale musisz mi uwierzyć! Nie zniewoliłem tych dziewczyn... a przynajmniej nie zniewoliłem z premedytacją. Coś je ściągnęło w to miejsce, ta sama siła, która skłoniła mnie do pogwałcenia ślubów czystości. Sny, głosy, znaki. Wypracowuje się w nas koncept nowego boga. Pogańskiego i dobrotliwego. – Musnął swój naszyjnik i wymamrotał coś w języku nie znanym Mingolli; pokazał dziewczyny. – Zapytaj, jeśli chcesz. Powiedzą ci.

– Jasne, że powiedzą – stwierdziła Corazon. – Przeszły pierdolone pranie mózgow.

– O co chodzi w tym nowym bogu? – zapytał Mingo lla.

– To jeszcze nie jest jasne – odparł ksiądz. – Wzbogacamy wizerunek, który pewnego dnia będzie pełny. Ale...

– Jaki wizerunek?

– Chodź, pokażę ci.

Zachęcając ich gestem, by podążyli za nim, ruszył nawą wschodnią do kaplicy bocznej; na postumencie niemal dwumetrowej wysokości, strzeżony od frontu przez rzędy płonących świec, stał nadnaturalnej wielkości posąg Marii Panny odzianej w sztywną szatę, której fałdy wyglądały jak fale złotej lawy. Na szyi Dziewicy wisiał złoty krzyż, jej stanik był ozdobiony klejnotami. Pajęczyny, krucha misterna konstrukcja drgająca lekko w rozgrzanym od świec powietrzu, kotwoczyły statwę do ścian, po jej nadłupanym czole sunął żuk. Większa część różowego gipsu twarzy zerodowała; policzki i szyję pokrywały wymalowane symbole. Do prawej dłoni przymocowano taśmą samoprzylepną nóż, do drugiej wetknięto pęk ukwieconego zielska. W wątłym świetle posąg sprawiał wrażenie monstualnego symbolu rozkładu, a zarazem miał w sobie jakieś właściwe tylko życiu dostojęństwo; Mingo lla uległ złudzeniu, że ruchy pajęczyn i rozbieganych cieni rzucanych przez płomyki świec są rezultatem niedostrzegalnego oddechu.

– Widzieliście wszystko, co jest tu do zobaczenia – po wiedział kapłan. – Czy moglibyście teraz wyjść... z łaski swojej?

– Dlaczego tak ci na tym zależy? – spytała Corazon. – Co ukrywasz?

– Nic, absolutnie nic. Ale ingerujecie w proces. Potrzebujemy samotności, musimy się koncentrować na Poczęciu.

– Więc chyba możemy się zbierać – stwierdził Mingo lla.

– Nie zamierzasz nic zrobić w sprawie tych kobiet? – rzuciła z oburzeniem Corazon.

- A co niby powinienem zrobić?
- Zabrać je stąd, człowieku! Zabrać od tego kutasa!

Mingolla odwrócił głowę, zobaczył, że dziewczyny zgromadziły się obok wejścia do kaplicy bocznej.

- Podoba się tu paniom? – zapytał. – Czy może macie ochotę odejść?
- Wycofały się, w milczeniu, ich spojrzenia były twarde jak obsydian.
- Chyba są zadowolone – uznał Mingolla.
- Dziękuję – powiedział ksiądz.

– Nie masz pojęcia, co robisz? – Corazon pogroziła Mingołli palcem. – Ci jebani duchowni to banda świrów! Tak im odbija na punkcie Boga, że sami zaczynają się za niego uważać. Myślą, że o Bogu wiedzą wszystko. I wtedy zaczynają człowiekowi robić wodę z mózgu. Dobrze wiem!

- Skąd? – zainteresował się Mingołla.

Corazon głęboko zaczerpnęła powietrza.

– Kiedy byłam mała... miałam trzynaście lat... jeden ksiądz, człowieku, zabrał mnie na plebanię... na indywidualną katechezę, jak zapewniał mamę. Twierdził, że dostrzega we mnie uduchowanie. Najpierw, kapujesz, opowiadał mi o tajemnicach wiary. Ale potem zaczął pokazywać. Tajemnice! Ha! Po roku wiedziałam o tajemnicach więcej niż niejedna męzatka.

Mingolla doszedł do wniosku, że opowiadała nader przekonująco, a jeśli to, co mówiła, było prawdą – wyjaśniało niejedno w jej zachowaniu. A jednak tego nie kupował. Erupcja jej otwartości była zbyt nagła i zbyt zbieżna w czasie z nieufnością, jaką poczuł wobec niej; może postąpiłby najrozsądniej, gdyby, ulegając impulsowi, pozbył się jej już teraz. Ale w takim razie, zdał sobie sprawę, czekała go konfrontacja z Tullym, na którą nie miał ochoty. W końcu mógł się mylić, jeśli jednak nawet miał rację, Corazon nie stanie się zagrożeniem, dopóki i będzie ją miał na oku.

Ignorując jej gniewne protesty, pchnął Corazon w stronę wyjścia.

– Idźcie z Bogiem – powiedział ksiądz, a potem wybuchł śmiechem. – Czy z kimkolwiek innym.

Mingolla zatrzymał się w drzwiach, obejrzał przez ramię i doznał chwilowego przypiływu współczucia wobec rodaka z Nowego Jorku.

- To nie jest naprawdę, człowieku – powiedział. – Chyba wiesz, prawda?

– Czasem tak to odczuwam – odrzekł ksiądz. – Ale... – wzruszył ramionami, uśmiechnął się szeroko – ...muszę być sobą.

- Cóż... powodzenia.
- Hej – dorzucił kapłan. – Jak tam idzie Metsom?
- Nie mam pojęcia, kibicuję Jankesom.

Ksiądz przybrał surowy wyraz twarzy.

– Błuznierca – powiedział, a potem, przyjaźnie machając ręką, zamknął drzwi.

* * *

Niebawem zaczęli dostrzegać wojnę na niebie: widoczne o każdej porze dnia fantastyczne zachody słońca – opływające chmury zawirowania różowych i złocistych światła. Mieszkańcy wiosek, w których kupowali benzynę, mówili im, że strefa walk rozciąga się na wiele mil w każdym kierunku i że nie da się jej obejść żadnym szlakiem. To, że wojna może dawać tak powabne odbicie, czyniło perspektywę spotkania z nią samą jeszcze groźniejszą, nie było jednak innej alternatywy oprócz kontynuowania wędrówki. Dżungla stawała się coraz rzadsza, namacalne ślady konfliktu zaś – coraz wyraźniejsze. Pewnego razu dotarli do trawiastego zbocza, na którym leżały tuziny żółto-brązowych sylwet, które z daleka przypominały gigantyczne ślady stóp, przy bliższych natomiast oględzinach ujawniły swą prawdziwą naturę: zasuszonych i rozplaszczonych zwłok, być może rozgnęcionych przez czołg; twarze przemieniły się w bezokne maski, palce się rozpląły – niczym palce glinianych ludzików, które w dzieciństwie lepił Mingolla. Niespełna dzień drogi dalej odkryli masowy, nie zasypany grób, a pod wieczór dotarli do podnóża wulkanu, który wyrastał z gęstwy mahoniowców: wysoko na drzewach Mingolla wypatrzył wielkie drewniane platformy, z których – kiedy dżip się przybliżył – jacyś ludzie zaczęli zjeżdżać po linach na ziemię. Choć wydawali się nieuzbrojeni, odbezpieczył karabin i polecił Deborze zatrzymać wóz. Wyszli we trójkę z Tullym i wymierzili broń w dwóch podchodzących do nich mężczyzn.

– Cześć! – zawołał jeden z nich. Był łysiejącym krępy Amerykaninem po pięćdziesiątce, nosił szorty i wystrzępioną koszulę khaki z generalską gwiazdą na kołnierzu; z jego twarzy było zdrowie i otwartość, które Mingolla kojarzył z harcmistrzami i kierownikami obozów dla młodzieży. Jego kompan, starszy i pomarszczony, był Indianinem ubranym w dżinsy i trykotową koszulkę z Myszka Miki. – Boże, jak miło ujrzeć nowe twarze – dodał krępy mężczyzna. – Dokąd zmierzacie?

– Do Panamy – odparła Debora.

– No to musicie chyba zostać na noc, nieprawdaż? – zapytał Amerykanin. – Nazywam się Blackford. Frank Blackford, emerytowany wojskowy armii Stanów Zjednoczonych. A to – pokazał gestem Indianina – Gregorio, mój szwagier. Można powiedzieć, że jesteśmy współburmistrzami naszej małej społeczności. Właźcie na górę. Nakarmimy was i..

– Dzięki – powiedział Mingolla. – Przed zapadnięciem zmroku musimy zrobić jeszcze kilka mil.

Dobry nastrój Blackforda rozwiął się jak dym.

– Nie możecie tego zrobić. Znajdziecie się w wielkim niebezpieczeństwie.

– Z czyjej strony? – zapytał Tully.

Gregorio wymamrotał coś w swoim języku, Blackford zaś pokiwał głową i rzekł:

– Ten obszar zamieszkuje wielkie, bardzo groźne zwierzę. Prowadzi nocny tryb życia. Bronią niewiele można przeciw niemu zdziałać... i jest to powód, dla którego oderwaliśmy się od ziemi.

– Co za zwierzę? – dopytywała się Debora.

– Mało – odparł Gregorio. – Muy malo.

– To długa historia – powiedział Blackford. – Słuchajcie niedaleko zajedziecie przed nocą, a znajdziecie się w samym centrum najniebezpieczniejszego regionu. Lepiej zostańcie z na mi, to wszystko wam opowiem.

Wydawał się szczerze zatroskany ich losem, na wszelki wypadek jednak Mingolla wzmocnił uczucie troski i w nim, i w Gregoriu – Dobra – przytaknął. – Co z samochodem?

– Będzie tu najzupełniej bezpieczny – zachichotał Blackford. – Bestii na nic się nie przyda.

– Bestii? – Debora rzuciła Mingolli niespokojne spojrzenie, – Zwariowani pojechańcy – mruknął Tully pod nosem.

Blackford to usłyszał.

– Może i zwariowani. Ale żywi! Żywi! A w dzisiejszych czasach to jedyna forma zdrowia psychicznego godna uwagi.

Ze skraju platformy otaczającej pień mahoniowca Mingolla widział przez płataninę gałęzi inne platformy. W żelaznych koszach węgle drzewne płonęły niczym pomarańczowe szlifowane klejnoty oprawione w zieleń liści; przy ogniu kuliły się kobiety, dzieci siedziały w szopkach zbudowanych bliżej pni. Wiatr nioś zapach strawy przemieszany z czystym aromatem drzew. Mężczyźni prześlizgiwali się z platformy na platformę, korzystając z systemu lin, mijali się wysoko nad ziemią. Nieco niżej woda jak srebrzysta ryba wyskakiwała ze szczerbatego końca rury i spływała do koryta biegnącego od drzewa do drzewa; gdzieś niedaleko postękiwała pompa. Wiatr strzępił słowa rozmów i dziecięcy płacz. Platformę, na której stał Mingolla, chronił daszek z poprzeplatanych gałęzi; były na niej prycze i poduchy. W kącie stał oparty jasnozielony kombinezon bojowy z hełmem; po posiłku – ryżu i fasoli podanych na liściach bananowca – Mingolla zagadnął o niego Blackforda.

– Jest mój – odrzekł Blackford.

– Nie wiedziałem, że generałowie uczestniczą w walce – stwierdził Mingolla.

– Bo nie uczestniczą – powiedział Blackford i musnął palcami swój kołnierzyk z gwiazdką. – Takie coś dają człowiekowi po dwudziestu pięciu latach służby w kwaterymistrzostwie.

Kombinezon... – wydawało się, że szuka odpowiednich słów – ...jest częścią mojej dawnej fantazji. Ostatnio się przydaje.

– Jakim cudem zamieszkaliście z pierdzielonym ptactwem? – zapytał Tully. Siedział oparty o pień, obejmując ramieniem Corazon. Ruy leżał na pryczy i wpatrywał się w Deborę, która

siedziała po turecku obok Mingolli. Nad napowietrzną wioską zapadał zmrok, pomiędzy liśćmi można już było dostrzec kilka gwiazd; na zachodzie, pod grubą gałęzią, ostatnie bryzgi znikającego słońca rysowały się jak neonowa szrama.

Blackford wyprostował nogi i pociągnął z butelki łyk rumu.

– Chyba mam czas na opowieść, zanim się wezmę do roboty.

– Pracuje pan nocą? – zapytała Debora. Skinął głową, zabębnił w etykietkę butelki.

– Przez większą część czasu spędzonego w tych stronach – powiedział – stacjonowałem w Salwadorze. Byłem choler nie dobrym organizatorem, ale żadnym żołnierzem i to mi nie dawało spokoju. Bo wierzyłem, że gdyby tylko dano mi szansę, nie byłbym gorszy niż którykolwiek z frontowców. Czymże jest wojna, zadawałem sobie pytanie, jeśli nie zorganizowaną przemocą? Jeśli potrafię organizować transporty i dostawy, to czyż nie potrafię równie kompetentnie pokierować bitwą? Wielokrotnie prosiłem o skierowanie na front i za każdym razem spotykałem się z odmową. Powtarzano mi, że jestem znacznie cenniejszy na swym dotychczasowym stanowisku. Ale słyszałem żarty na swój temat. Wizja Franka T. Blackforda w ogniu bitwy przyprawiała ludzi o histeryczny śmiech. No więc postanowiłem, że im pokażę.

Westchnienie Blackforda zbiegło się z nagłym zapadnięciem zmroku na zachodzie.

– Patrząc wstecz, widzę, Jaki głupi był ten pomysł. Chyba po prostu byłem wtedy głupcem, a przynajmniej kompletnym ignorantem w sprawach wojny. Powiniennem wiedzieć, na czym to wszystko polega, a jednak postrzegałem wojnę jako życiową szansę, pole, na którym człowiek może pozostawić swój ślad. I tak, ażeby dowieść swej waleczności, pociągnąłem za pewne sznurki i załatwiłem sobie czasowe dowodzenie jednostką bojową w Nikaragui, patrolem głębokiego zwiadu. Zrobiłem to, rozumiecie, pod przybranym nazwiskiem. Należało mi się trochę urlopu i mój plan polegał na tym, żeby poprowadzić patrol w pole i dokonać wielkich czynów. Rzeczy niemożliwych. Potem, wróciwszy do Salwadoru, podsunąć pod nos mych przełożonych listę swych chwalebnych dokonań. Cóż, po trzech dniach w polu straciłem.. miałem zamiar powiedzieć: kontrolę nad swoimi ludźmi, prawda jednak była taka, że nigdy nie miałem nad nimi żadnej kontroli. W tamtych czasach zaczęto właśnie używać Sammy'ego, a wielkość bezpiecznej dawki pozostawała wciąż w sferze domysłów. Moi ludzie byli szaleńcami, a kiedy i ja zacząłem brać narkotyki, żeby potraktowali mnie jak równego chłopca, dorównałem im w szaleństwie. Pamiętam nasze wizyty w wioskach, sielankowych miejscowościach z fontannami na skwerczkach. Przemykałem przez nie, wirując w opętańczych płasach, siałem salwami pocisków, które jak się zdawało, wpisywały na ścianach dziwaczne nazwy. Śmiałem się do ludzi, których ostrzeliwałem. Darłem się na nich. Jak dzieciak bawiący się w wojsko.

Uniósł butelkę do ust, ale nie pił i tylko gapił się w listowie.

– Nie mogłem tego znieść. Wróc, to zbyt naskórkowe twierdzenie. Bo mogłem. Delektowałem się chemiczną odwagą i żaden głos przebudzenia moralnego nie przywołał mnie do rozsądku. Zdystansowałem w szaleństwie swoich ludzi, a ci mnie opuścili. Pozbawionego narkotyków i radiostacji skazali na wólcę po górach. Musiałem przechodzić przez niektóre zniszczone przez nas wioski i to wtedy, dopiero wtedy zaczęło do mnie docierać, gdzie się znalazłem i” co robiłem. W ruinach widywałem duchy. Gawędziły ze mną, prześladowały, a ja biegłem i biegłem, byle tylko przed nimi umknąć. – Napił się i zadrżał, jak gdyby rum spłynął po jakiejś rozognionej ranie w jego wnętrzościach. – Noce były straszne. Zrozumiałem, dlaczego psy wyją do księżyca. Bo mu odpowiadają, bo jest skowytym zastygłym na niebie, końcem długiej żółtej gardzieli otwartej przez zgrozę i rozpacz. Kryłem się w ruinach, w jamach. Kryłem się przed tym, co było i czego nie było. Kiedyś całą noc przeleżałem w kanale, a kiedy zaczęło szarzeć, zorientowałem się, że coś, co zrazu wziąłem za kłodę, jest w istocie zeszywniałym trupem. Gapił się na mnie przez tę noc i wyczuwałem wszystkie złe wieści, jakie promienie jego oczu wcisnęły mi do głowy. Znalazłem się w centrum szaleństwa. Dotarłem do miejsca, gdzie obłąd ma swe własne continuum właściwych działań i strategii. Do wyżyn, z których można wieść racjonalną dysputę z normalnym człowiekiem i dzięki nieubłaganej logice pobić go na wszystkich frontach. I byłbym pewnie zabrnął w szaleństwie jeszcze głębiej, gdyby nie dopisało mi szczęście.

Znów przytknął butelkę do ust, ale przypomniawszy sobie nagle o dobrym wychowaniu, podał ją Tully’emu.

– To wulkan przywrócił mi zdrowe zmysły. Stanowił tak elementarny widok, że, jak się zdawało, niósł obietnicę prostych prawd. Oto był: idealny stożek godzący w błękitne niebo, niczym obrazek, który swymi kredkami mogłoby narysować każde dziecko, gdyby opowiedzieć mu o Nikaragui takiej, jaka istniała dawniej. Nikaragui tylko z Indianami i podziemnym ogniem. Tak zafascynował mnie ów wulkan, że obszedłem go trzykrotnie – z podziwem i analityczną uwagą. Buddyści, kapujecie, robią coś podobnego. Nazywają to cyrkumnambulacją. Może przypomniałem sobie ten fakt, a może po prostu usłuchałem rozkazu, jaki wydają jego komórki każdemu człowiekowi, który dotarł do swej magicznej góry. Obojętne... pokochałem ten wulkan, uwielbiałem być u jego podnóża, w jego cieniu. I przez cały czas, kiedy go okrążałem, nie dostrzegłem, by w pobliżu ktokolwiek mieszkał. Dowiedziałem się o tym dopiero wtedy, gdy Gregorio postanowił ocalić mnie przed bestią. Myślałem, że Gregorio jest jeszcze większym wariatem niż ja. Nigdy nie dostrzegł bestii, nigdy nie widział jej śladów, a przecież był gotów przysiąc, że istnieje. Pod pewnym względem jego opowieść mnie zauroczyła; gdyby się tak nie stało, być może zaryzykowałbym – choćby tylko w imię uporu – pozostanie na ziemi i być może zginął. Ale chciałem usłyszeć coś więcej, poznać tych osobliwych ludzi mieszkających na drzewach.

Machnął butelką w stronę niższych platform, sękatych drewnianych tratw, oświetlanych przygasającymi ogniami, przy których klęczały ludzkie cienie; każdą scenę zamykał filigran z listowia, przydając jej niezmiernego realizmu obrazów zmaterjalizowanych w magicznym lustrze.

– Rzecz jasna, niewiele tego istniało w owym czasie – stwierdził Blackford. – Miejsce nabrało kształtu, dopiero gdy się za nie wziąłem. A przecież już wtedy w stylu ich życia dostrzegałem coś uderzająco sensownego, a kiedy wysłuchałem Gregoria, kiedy rozważyłem zasady wpisane w jego opowieść, pojąłem, że oto znalazłem pole, na którym mogę pozostawić swój ślad. – Blackford odebrał Tully’emu butelkę, napił się i otarł usta wierzchem dłoni. Skupiony bez reszty na swej relacji, przewiercał pozostałych wzrokiem nie po to, aby się upewnić, że słuchają, lecz raczej, tak się przynajmniej zdawało, by wzmocnić słowa siłą swego spojrzenia. – Historia Gregoria zaś brzmiała tak. Wiele lat temu Niemiec nazwiskiem Ludens mieszkał w górnym biegu rzeki przepływającej u podnóża wulkanu. Nikt nie rozumiał, dlaczego wybrał akurat to miejsce, aby się osiedlić, w tamtych czasach jednak samotni i ekscentryczni Niemcy stanowili regułę raczej aniżeli wyjątek w Ameryce Środkowej, nie zwracano więc nań szczególnej uwagi. W dół rzeki zapuszczał się jedynie po to, aby uzupełnić zapasy, a ilekroć to robił, przestrzegał Indian, żeby nie usiłowali dotrzeć do źródeł, ponieważ, jak utrzymywał, mieszka tam straszliwe stworzenie. Potwór. Większość brała serio jego przestrogi, naturalnie nie brakło jednak takich, którzy pragnęli się sprawdzić, ruszając na poszukiwanie Bestii. Ich okropnie zmasakrowane zwłoki spływały potem rzeką i już rychło nie było śmiarków gotowych się zapędzić w okolice siedziby Ludensa. Taki stan rzeczy utrzymywał się aż do śmierci Ludensa, kiedy to wyszło na jaw, że odkrył kopalnię srebra i – jak wynikało z jego pamiętnika – wymyślił legendę o Bestii, aby zataić swą tajemnicę przed światem. Opisał również, jak, aby uprawdopodobnić tę legendę, mordował i masakrował Indian. Indianie dali wprawdzie wiarę, że to Ludens mordował ich pobratymców, ale fakt ten nie podkopał ich przekonania o istnieniu Bestii. Potwory, przynajmniej nikaraguańskiej odmiany, są znacznie subtelniejsze niż ich północnoamerykańskie odpowiedniki, czymś zatem zupełnie zgodnym z indiańską wiedzą i tradycją było założenie, iż Bestia użyła Ludensa jako narzędzia, aby wymordować tych, którzy się ośmielili wtargnąć na jej terytorium. W ukutej przez Ludensa legendzie Indianie doszli do kamufaż maskujący straszniejszą prawdę: istnienie subtelnego i złowrogiego demona. I tak przez lata unikali zakazanego obszaru – potrzeba było dopiero okropieństw wojny, by przegnać ich z rodzinnych ziem w górny bieg rzeki. Nie ośmielili się jednak pozostać na ziemi, lecz osiedli wysoko na drzewach, gdzie nie sięgała władza potwora.

Ruy parsknął śmiechem.

– I teraz także pan sądzi, że Bestia istnieje?

– To uwodzielewska prawda – odparł Blackford. – A jak każda prawda, jest niezwykle

skomplikowana w mechanizmie swej skuteczności. Zważcie, że przez wszystkie lata, jakie upłynęły od śmierci Ludensa, nikt nie poddał legendy próbie, spędzając choćby jedną noc na ziemi. Zachęcałbym was do podjęcia takiej próby, cóż by to jednak dało? Wasze przetrwanie wcale nie osłabiłoby legendy, Bestia wszak mogła być akurat zajęta czymś innym. A wasza śmierć tylko by ją ukrzepiła. Jedynym rzeczywistym testem prawdziwości legendy jest odpowiedź na pytanie, czy służy ona swym głosicielom, czy też nie. Otóż kto mógłby zaprzeczyć, że Bestia dobrze nam służy? Czyż nie utrzymała nas z dala od wojny? Czyż nie skłoniła nas do stworzenia tego uroczego mikroświata? Jej tylko filozoficzna obecność starcza, aby podtrzymać wiarę. – Blackford się uśmiechnął. – Pytacie, czy wierzę w jej istnienie. Ja jestem jej istnieniem. Wszystko, co tu widzicie, jest geometrią tej tajemnej postaci, rewirem jej woli. Jeśli spytacie: „Czy wyje, czy rwie i szarpie”, odpowiem: „Słuchajcie. Poszukajcie własnej odpowiedzi. Ja swoją już znalazłem”.

Tej nocy zaśnięcie przychodziło Mingolli niełatwo. Leżał wsłuchany w szelest liści, miliardowe odgłosy koron drzew. Obserwował ciemne sylwetki pozostałych. Około północy jedna z tych sylwetek cichaczem wstała i przerzuciła przez ramię coś, co wyglądało jak pałubiasty cień: kombinezon bojowy. Tą sylwetką był Blackford. Przesunął się na krawędź platformy, wszedł do klatki z desek wykorzystywanej jako winda. Klatka znikła, jej liny nośne zawibrowały. Mingolla podpełzł na skraj platformy, spojrzął w dół. W blasku księżyca wyraźnie widział, jak Blackford wysiada z klatki u podnóża drzewa, zdejmując szorty i koszulę, nakłada kombinezon bojowy. Potem hełm. Zapina rzepy. A później rusza pomiędzy kolumnowe pnie mahoniowców i znika z pola widzenia.

Mingolla wrócił bezgłośnie do pryczy i położył się obok Debory, usiłując się dopatrzeć sensu w tym wszystkim, czego przed chwilą był świadkiem; kiedy już się dopatrzył czegoś na kształt sensu, próbował zdecydować, czy postępowanie Blackforda jest dowodem jego szaleństwa, czy też przykładem trudno definiowalnej, lecz nad wyraz trzeźwej postaci zdrowia psychicznego. Może, pomyślał, nie ma żadnej różnicy pomiędzy tymi dwoma stanami. Z głębi lasu dobiegł gardłowy skowyt, w którym Mingolla rozpoznał wysyłany przez kombinezon bojowy sygnał zagrożenia. Zabrział trzy razy i umilkł.

– Co to było? – zapytała Debora, chwytając go za ramię. Słyszałeś?

– Tak. – Delikatnie pchnął ją do pozycji leżącej. – Śpij.

– Co to było?

– Nie wiem.

Tulił ją, aż ponownie zasnęła, ale sam czuwał, nasłuchując rozbrzmiewającego co jakiś czas sygnału – ryku Bestii, która patrolowała swój rewir.

Rozdział 14

Na granicy wojny trwało dzieło sztuki, pomnik – w równym stopniu – świata w jego pozornej i rzeczywistej postaci. Dziełem sztuki był cykl fresków pokrywających gipsowe ściany zrujnowanej wioski, odległej o niespełna milę od linii frontu; leżała na dolnej części zbocza zadrzewionego wzgórza i z posterunku przy biegnącej niżej drodze Mingolla dostrzegł pomiędzy pniami jasne plamy kolorów.

– To ten koleś, wiecie, jak go tam nazywają... Malarz Wojny – powiedział kapral, który właśnie przepuścił Mingollę i Deborę przez punkt kontrolny, uwierzywszy im, że są agentami wywiadu. – Jakiś dupek z muzeum pilnuje tego skurwysyństwa, ale możecie luknąć, jeśli macie ochotę. Jak będziecie gotowi, damy wam eskortę do sztabu.

– Może zerkniemy. – Mingolla wykaraskał się z bronco; spojrzał pytająco na Ruya, Corazon i Tully'ego, którzy siedzieli z tyłu.

– Poczekamy – odparł Tully. – Nie chce mi się oglądać żadnych cholernych malunków o wojnie.

Ruy, który był w parszywym nastroju, bo tego ranka znów dostał kosza od Debory, powstrzymał się od głosu.

– Weźcie karabiny – poradził kapral. – Czasem trafiają się tu snajperzy.

Poranek był rześki i chłodny, słońce skrzyło się czystym białawym złotem, połyskując na zaroszonych igłach sosen. Przypominało to późnowrześniowy nowojorski dzień. Lawirując z Deborą wśród sosen, Mingolla spostrzegł, że wioska jest maleńka, liczy najwyżej piętnaście do dwudziestu chat, przeważnie pozbawionych dachu i co najmniej jednej ściany, gdy jednak znalazł się na polanie, którą zajmowała wieś, w obliczu ciężaru gatunkowego malowideł zapomniał o zniszczeniach. Fasady były pokryte scenami z życia codziennego: pulchna Indianka utrzymywała w równowadze dzban na głowie; troje dzieci bawiło się w drzwiach; jacyś rolnicy, z chustami na głowach i maczetami na ramionach, maszerowali przez pole. Użyto pastelowych akryli, mężczyźni i kobiety zaś zostali przedstawieni w stylu, który od fotorealizmu różnił akcent położony na delikatność rysów i swoistą baletowość póz. Mingolla odnosił wrażenie, iż artysta przedstawił wieśniaków w chwili, kiedy po raz pierwszy poznali swój los, kiedy po raz pierwszy usłyszeli ostrzegawczy gwizd przyszłości, zanim jeszcze na ich twarzach pojawił się niepokój czy zdumienie, zanim ich ciała zdążyły zareagować czym innym niż lekkie stężenie, podkreślając tylko ostatnie, wyzbyte lęku pozy. Byli kolorowymi duchami, jeszcze żywi, choć już martwi, ba, jeszcze nie do końca świadomi faktu swej śmierci. Ściana za ścianą porażała wzrok, a całościowy efekt był wręcz trudny do zniesienia. Zapewne inne freski pokrywały wnętrza domów i Mingolla miał właśnie zamiar zbadać, czy tak jest rzeczywiście, gdy za jego plecami rozległ się pedalski głos:

– Czyż to nie fantastyczne?

Szedł w ich stronę dobiegający trzydziestki wysoki chudy mężczyzna o oliwkowej cerze, kasztanowych włosach i zwarzonej, lecz mimo to urodziwej twarzy; nosił dżinsy i plisowaną koszulę. Towarzyszył mu obsługujący kamerę wideo niemłody Indianin mestizo.

– Nazywam się Craig Spurlow – powiedział wysoki mężczyzna. – Z Metropolitan Muzeum. Mam nadzieję, że nie będziecie mieli nic przeciwko temu, jeśli zarejestrujemy waszą wizytę... dokumentujemy wszystko, co jest związane z dziełem, dopóki pozostaje w swoim naturalnym otoczeniu.

Mingolla przedstawił siebie i Deborę, następnie zaś oświadczył, że nie mają nic przeciwko temu. Wątpił, czy Spurlow zapamiętał ich nazwiska: muzealnik był pogrążony w zadumie – ręce na biodrach, podbródek w górze, cała sylwetka wyrażająca dumę posiadacza.

– Zdumiewające – oświadczył Spurlow. – Podczas rozminowania pułapek straciliśmy dwóch ludzi. Przypuszczam, że stracimy kolejnych, kiedy zaczniemy rozbiórkę przed transportem. Któż może wiedzieć, czy znaleźliśmy wszystkie pułapki. Ale, Boże! Gra jest warta świeczki, żeby ocalić chociaż jedno dzieło. Wiem, że wszyscy tamci... – skinął głową w stronę posterunku – ...uważają, że w tych okolicznościach ratowanie czegoś takiego to bzdura. – Jego smętne oblicze i rozpostarte ramiona zdawały się wyrażać przeprosiny za stan „tych okoliczności”, stwierdzały kategorycznie, że jest beznadziejny, jak również zaprzeczały, iż w jakimkolwiek stopniu było to jego winą.

– Ale przecież człowiek nie powinien tracić z pola widzenia wartości humanistycznych, nieprawdaż? Czy można udawać, że wojna nie jest w stanie wydać dzieł o wielkiej urodzie i mocy tylko dlatego, że jest straszna? – Westchnął: esteta oko w oko z fundamentalnym prostactwem, które przejrzał na wskroś. – A to, to jest szczególne. Nawet twórca musiał tak uważać... skoro jest jedynym, które zatytułował.

– Jak? – zapytał Mingolla.

– Mechanizmy Skryte pod Naskórkową Rzeczywistością – odrzekł Spurlow, smakując każde słowo.

– Nie wydaje się zbyt celny – uznała Debora.

– Szczerze mówiąc, ja... – Spurlow uderzył się ręką w czoło. – Przecież nie byliście w środku, prawda? Chodźcie, oprowadzę was. Uwierzcie, trudno o bardziej adekwatny tytuł.

Zachęcił ich, by weszli do najbliższego domu. Wysokie zielska wyrastały z polepy, ważki o barwie cyrkonii to się unosiły, to opadały wśród wysokich zielonych łądyg, słońce rysowało na jednej ze ścian ostrokątny trójkąt, a mimo to – ze względu na charakter fresków i chłód bijący od ścian – światło nie odgrywało wielkiej roli. Malowidła przedstawiały groteskową maszynię godną Boscha czy Breughla. Skomplikowana, wypełniająca każdy cal kwadratowy powierzchni nadającej się do zamalowania. Ostrogi z żółtej, jak słoniowa, kości jako dźwignie; bloczki

z wydartych serc; liny ze splecionych ściągien; dziwaczne tryby z chrząstek. A w ciemnoszkarłatnych szczelinach pomiędzy stawami i w zakątkach maszynerii zdeformowane oblicza gnomów przypominające reliefy na spękanej korze; trudno było stwierdzić, czy owe twarze są elementem malowidła, czy też przypadkowym tworem załamania i cienia. Ilekroć Mingolla odwracał głowę, zdawało mu się, że maszyny formowały się w nową konfigurację. Przypominał sobie, jak pewnej nocy biegł wiejską drogą w pobliżu farmy wuja, a nad łanami kukurydzy unosiły się świetliki; sekunda po sekundzie konotował wzory, jakie tworzyły – owale, półksiężycy i tak dalej – później zaś, wyczerpany biegiem, doznał irracjonalnej irytacji, że te wzory są mu narzucane. Podjął próbę, by ich nie dostrzegać, ledwie jednak uznał, że mu się powiodło, przed nim, trochę w prawo – zamigotał świetlik i już ułamek sekundy później miał go w gardle. Taki właśnie wpływ wywierały na niego te okropne maszyny – sądził, że zakrztusi się każdym wzorem przybierającym czytelny kształt.

– Czujesz to? – zapytał Spurlow. – Zaangażowanie tych malowideł, świetlista wszechobecność twórcy, jego oczy, które nas obserwują. – Jego własne oczy strzeliły w bok, aby się upewnić, czy kamerzysta pilnie wypełnia obowiązki.

Przechodzili z pomieszczenia do pomieszczenia, z domu do domu – Debora i Mingolla w milczeniu, tropieni przez kamerzystę, Spurlow kontynuujący swój idiotyczny wykład.

– Oczywiście – powiedział Spurlow – każde zwiedzanie kompleksu ma inny punkt wyjścia i inne zakończenie, niemniej jednak mniemamy, iż ten dom i ta właśnie ściana jest punktem ogniskującym całość.

Ściana pokazana przez Spurlowa przedstawiała łóżko, na którym plecami do widza – ukazując zatem tylko swoje smagłe barki i czarne włosy – leżał mężczyzna obok młodej kobiety, bardzo swymi wschodnioindyjskimi rysami przypominającej Deborę. Spod obsuniętego w dół przykrycia wyzierały jej piersi, brązowe lewe ramię zaś zwieszało się z materaca. Pozy te wyrażały, pozbawione wszelkiej energii zapamiętanie, które wynikało z faktu, że owe ciała są martwe, że poddały się złowieszczym procesom wcielonym w liny i tryby krwawych ludzkich szczątków ledwie widocznych w zgęstniałym pod łóżkiem cieniu.

– Koniec historii – oświadczył Spurlow. – Malarstwo jako epika dostosowana do naszych czasów. I to dostosowana z porażającą mocą.

Może to podobieństwo kobiety do Debory zdetonowało gniew Mingolli, który jednak odnosił wrażenie, iż jego wędrówka przez labirynt wymalowanych pomieszczeń była w istocie tym samym, co bieg płomienia po lonicie, że w zasadzie wypełnia wolę twórcy, ulega wściekłemu impulsowi odpowiedzialnemu tak za powstanie, jak i zniszczenie dzieła, i że – na koniec – siłą sprawczą jego wybuchu był egzaltowany głos Spurlowa. Uniósł karabin i otworzył ogień, ignorując paniczne wrzaski Spurlowa. Ostrzeliwał ścianę od góry do dołu, odłupując kawałki malowanego tynku, budząc echa, a kiedy magazynek wreszcie był pusty, pozostało jedynie

zwieszona z materaca brązowe ramię kobiety... Oglądając je w takiej właśnie postaci, wyodrebnione, Mingolla przypomniał sobie, że widział je już kiedyś, podczas krótkiej halucynacji w gabinecie Izaguirre, gdy poprzedzało bardziej uszczegółowioną wizję nocnej ulicy; wytrąciło go z równowagi znaczenie tego faktu pieczętującego nieodwracalność, długie lata zmierzające ku przyszłości zapisanej w wizji obłej Ameryki. Spurlow wciąż nań wrzeszczał, kiedy wyszedł z izby i głęboko wciągnął w płuca czyste rozświetnione powietrze. Spomiędzy sosen nadbiegł Tully w towarzystwie kilku żołnierzy z posterunku.

– Co się stało? – ryknął. – Wszystko w porządku?

– W porządku... właśnie rozpieprzyłem jebany malunek!

– Serio, nie ściemniasz? – zapytał jeden z żołnierzy.

– Taa.

Żołnierze parsknęli śmiechem.

– Ekstra, człowieku! Ekstra! – Oddalili się biegiem, żeby roznieść wieści.

Debora podeszła do Mingolli, położyła dłoń na jego ramieniu, jak gdyby brała współodpowiedzialność, za nimi zaś Spurlow pytał kamerzystę:

– Masz to wszystko? – A po chwili: – No, to już przy najmniej coś.

Dogonił Mingollę i stanął z nim twarzą w twarz.

– Możesz wyjaśnić, dlaczego to zrobiłeś? – zapytał z go ryczą zabarwioną pełnym znużenia sarkazmem. – Czuleś, że po prostu musisz to zrobić, uległeś jakiemuś barbarzyńskiemu impulsowi? Boże!

Mingolla słyszał szum kamery.

– To mi się wydawało właściwe... kurna, co ci mogę powiedzieć?

– Czy wiesz – głos Spurlowa nabierał surowości – czy wiesz, przez co musieliśmy przejść, żeby to zachować? Czy... – Z niesmakiem machnął ręką. – Oczywiście, nie wiesz.

– To bez znaczenia – odparł Mingolla. – Poza tym zarejestrowałeś oświadczenie. – Ukazał gestem kamerę. – To lepsze niż sztuka, nie?

– Utrata... – zaczął z nadętą powagą Spurlow, ale Mingolla, w kolejnym przypiływie wściekłości, uciął mu w pół słowa, wymierzając weń lufę wyszarpniętego Deborze karabinu.

– Filmujesz to? – zapytał kamerzystę, a potem zwrócił się do Spurlowa. – To twoja wielka chwila, chłopie. Jakies uwagi na temat śmierci jako dzieła sztuki, jakies ostatnie słowa na temat procesów twórczych?

Debora usiłowała go powstrzymać, ale odepchnął ją od siebie.

– Przystań się wygłupiać – powiedział Tully. – Mon, nie jest tego wart.

– Po co się irytować – wybąkał Spurlow. – Możemy...

– Jest mnóstwo powodów – odrzekł Mingolla. – Wszystkie powody świata.

Od dawna nie był tak zły, od czasów Barrio, a chociaż nie do końca rozumiał swój gniew –

pewnie związany z malowidłem, uprawomocnioną przez nie fatalną przyszłością – delectował się nim, jego ostrością, jego bezkompromisowym triumfalizmem. Odbezpieczył broń, a poblady Spurlow cofnął się o krok.

– Proszę – powiedział. – Proszę.

– Żałuję, że nie mogę ci pomóc – odparł Mingolla. – Ale w tej chwili tak mnie wzięły w obroty procesy twórcze, że, obawiam się, miłosierdzia po prostu nie mam w kartach. Czy nie dostrzegasz, jak nieuchronna była ta chwila? To znaczy, gadamy w tym momencie o poważnym procesie, facet. Idealny krytyk spadający niczym grom z jasnego nieba wojennej niby-rzeczywistości rozwała w strzępy serce malowidła, a potem obraca oręż przeciwko facetowi, którego poczynania były zupełnym zaprzeczeniem formalnego imperatywu dzieła.

– Skończyła mi się kasetka – oświadczył indiański kamerzysta. Wyglądał na rozbawionego, Mingolla więc polecił mu, by się nie szczypał i założył nową. Debora i Tully błagali go, by przestał, ale kazał im zamknąć gęby.

– Na rany boskie! – Spurlow rozejrzał się na wszystkie strony, szukając pomocy, której jednak nie znalazł. – Ty zamierzasz mnie zabić... ale przecież nie możesz!

– Ja? – Mingolla postukał się w pierś. – Nie powinieneś tak na to patrzeć, chłopie. Jestem zaledwie przyobleczonej w kształty natchnieniem płynącym z dzieła, jedynym...

– Jestem gotów – poinformował kamerzysta.

– Bomba! – Myśli Mingolli śpiewały do wtóru słońcu, bzyczeniu owadów i powiedział do siebie: Załatwię tego facia, dlaczego? Bo po prostu mnie irytuje, bo jest tak cholernie głupi, że wierzy...

– Przestań, David. – Debora odsunęła lufę w bok, przywarła do Mingolli. – Przestań – powiedziała cicho. Spokój zdawał się z niej płynąć i chociaż Mingolla pragnął zanegować ów spokój, nie mógł. Opuścił broń, nad głową Debory spojrzął na Spurlowa, który skamieniał jak żona Lota.

– Kurwa – mruknął, uświadamiając sobie, jak był bliski utraty panowania, powrotu do swego dawnego zaleństwa.

Spurlow wycofał się rakiem za plecy kamerzysty i, wykorzystując go jako tarczę, ruszył ku drzwiom. Znalazłszy się w środku, wystawił głowę i powiedział:

– Jesteś wariat, wiesz? A pani... niech go pani lepiej za prowadzi do psychiatry. Niech mu pani załatwi jakąś pomoc!

Odnosiło się wrażenie, iż jego głowa została wkomponowana w szereg postaci wymalowanych na ścianie z tyłu – idącej obok siebie młodej pary i dwóch starców poszeptujących najwyraźniej na jej temat. Mingolla doznawał pokusy, aby zrealizować własny scenariusz. Dzień po dniu tropić Spurlowa w ruinach, filmować jego pograżanie się w strachu, jego coraz mniej konkretne enuncjacje na temat sztuki, enuncjacje nabierające jednak sensu tak

wobec zamysłu samego filmu, jak i sztucznie stworzonego planu, na którym jest kręcony. Zatyłować ów film Kustosz – Przypuszczał jednak, że chyba są lepsze rzeczy do roboty... chociaż akurat żadna nie przychodziła mu do głowy.

– Chodźmy już – powiedziała Debora, ujmując go za rękę.

Ruszyli w stronę terenówki otoczonej przez grupkę żołnierzy.

– Właśnie! – wrzasnął Spurlow. – Odejdź! Zbaczycieś dzieło sztuki, a teraz po prostu odchodzisz. – Odważny dzięki odległości dzielącej go od Mingolli, wysunął się kilka kroków przed dom. – Tylko nie wracaj! Bo jeśli wrócisz, będę przy gotowaniu! Zdobędę broń! Człowiek nie musi być inteligentny, żeby strzelać! – Potrząsając pięścią, postąpił kilka kroków w przód, ostatni obrońca swej małej wymalowanej fortecy. Po wiedział coś do kamerzysty, a potem darł się dalej, chociaż jego głos brzmiał coraz słabiej i zatracał się w szeleście gnęcionych podeszwami sosnowych igieł. – Śmiejecie się! – wrzasnął. – Śmiejecie się ze mnie, bo uważacie, że jestem głupcem. Ponieważ troszczę się o piękno, o potęgę tych ścian! Uważacie mnie za wariata!

Spurlow odczekał, aż kamerzysta uchwyci w jednym ujęciu i jego, i freski.

– Ale nim nie jestem! – zaskowyczał. Podbiegł kilka kroków do przodu, a potem pospiesznie się wycofał.

Z grzbietu wzgórze mogli dostrzec cielsko wojny. Zielona węzowata dolina – poprzecinana przez ścieżki tak misternie ze sobą splecione, że wyglądały jak pasemka pajęczyny o barwie ochry – ciągnęła się od podnóża wzniesienia, na prawo zaś i na lewo od niej, niczym zwłoki pająka, czerniały zwęglone szczątki czołgów, wozów terenowych i zestrzelonych śmigłowców. Czarny dym spowijał szczyty okolicznych wzgórz, a tuż pod nimi przewrócony na bok transporter opancerzony rzygał dymem z poszarpanej dziury w dachu. Leżało wokół niego kilka trupów w kombinezonach bojowych, grupka mężczyzn w szarooliwkowych koszulkach trykotowych i drelichowych spodniach ładowała zwłoki do plastikowych worków, podczas gdy dwaj inni tłumili ogień pianą z plecakowych gaśnic. Dym spowijał słońce mgłą, która redukowała jego blask do nieprzyjemnej białoszarej poświaty, przypominającej barwę skwaśniałe tłuste mleko. Śmigłowce roily się wszędzie – w pobliżu, w średniej odległości, gęsto jak muchy w najdalszym zagięciu doliny. Setki śmigłowców. Ich szepczący łomot użyczał, jak się zdawało, rytmicznego ożywienia ruchom strażaków i nosicieli zwłok. Od czasu do czasu w dali rozlegał się kolejny wybuch, kolejne krrampl, któremu towarzyszył nowy obłok dymu i nowe ożywienie gromady śmigłowców ślących lance ognia ze swych wyrzutni rakiet. Mimo jednak całej tej aktywności, pośpiechu ludzi w dole, Mingolla wyczuwał w scenie pewną ospałość, spowolnioną precyzję działań i reakcji tak ludzi, jak i sprzętu, bez zdziwienia zatem przyjął do wiadomości, iż bitwa o dolinę trwa od wielu miesięcy.

– I nikt nie potrafi wykombinować daczego – stwierdził sierżant towarzyszący całej czwórce

podczas jazdy w dół windą, która umożliwiała dostęp do jądra wzgórza. – Wydaje się, że moglibyśmy z palcem w dupie dołożyć bereciarzom, ale bez przerwy się powstrzymujemy. Człowiek, kurwa, musi wierzyć, że jest ktoś, kto wie, o co w tym wszystkim biega.

Sierżant był niskim, łysiejącym zawodowcem pod pięćdziesiątkę, bladym, grubołapym i brzuchatym, wiary zaś, najwyraźniej, nie traktował nonszalancko. Nosił na szyi dwa srebrne krzyżyki, udawał, że puka w niemalowane, ilekroć powiedział coś optymistycznego, na lewym bicepsie natomiast miał wytatuowane słowa: Szczęście Nie Trwa Wiecznie, otoczone rogami obfitości, sercami przebitymi strzałą, dolarówkami i trzynastkami, z których, dla podkreślenia magicznych właściwości cyfry, rozchodziły się promienie w falujące linie. Kumał ospale, skrobiąc się w głowę po każdym pytaniu, kiedy zaś milczał, tępo wlepiął wzrok w drzwi windy. Mingolla rozpoznawał symptomy.

Korytarz, na który wyszli z windy, był wyłożony taką samą pianką, jak tunele Mrówczej Farmy i wypełniony młodszymi oficerami, którzy sprawiali wrażenie zaganianych. Sierżant przeprowadził ich przez drzwi w końcu korytarza i oznajmił siedzącemu przy biurku kapralowi, że agenci wywiadu chcą się widzieć z major Cabell. Kaprał nacisnął brzęczyk, drzwi sekretariatu otworzyły się, ukazując okrągły biały pokój z biurkiem, krzesłami, mapami na ścianach i pryczą w kącie.

Major Cabell była przeszło trzydziestoletnią, ogorzałą i wysmukłą niewiastą; kasztanowe, pozbawione połysku włosy i wyraz napięcia na twarzy petryfikowały jej urodę w staropanieńską wyniosłość – uznał Mingolla – jakiej można by oczekiwać po nauczycielce z pogranicza, którą porzucił kochanek, skazując na więdnienie pod uderzeniami wiatrów prerii. Narzuciła szlafrok na podkoszulek i drelichowe spodnie, następnie zaś zaprosiła ich do środka. Obiecała, że nazajutrz wyśle ich na drugą stronę do liny z patrolem zwiadu; kiedy Mingolla zasugerował śmigłowiec, odparła, że będą bezpieczniejsi z patrolem: stracili ostatnio wiele śmigłowców pod czas przelotu nad doliną. Zerknęła na zegarek, zaproponowała skorzystanie z kwater i pryszniców, ale jednocześnie zapytała Mingollę, czy zechciałby pogawędzić z nią nieco dłużej. Na tematy służbowe, oświadczyła. Gdy pozostali odeszli pod opieką adiutanta, rozluźniła się, gubiąc wraz ze sztywnością cztery albo pięć lat; otworzyła flaszkę dżinu i przysunęła się z krzesłem do Mingolli, którego zaczynało zbijać z pantałyku jej zachowanie.

– Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko rozmowie – powiedziała, napełniając szklanek Mingolli. – Od tak dawna nie miałam okazji pogwarzyć z mężczyzną.

– A to dlaczego?

– To miejsce... intryganctwo niewiarygodne. Czyste średniowiecze! Porucznicy knują przeciwko kapitanom, kapitanowie przeciwko sobie, przeciwko mnie. A wszystko dlatego, że bitwa pozostaje nie rozstrzygnięta. Ludzi ogarnia nuda, a z braku innych rozrywek zaczynają planować własne kariery.

– Mówisz serio?

– Och, tak! Gdyby pozwolono mi wygrać bitwę, a mogłabym tego dokonać w ciągu kilku dni, wszystko wróciłoby do normy. Ale dowództwo się upiera, by ograniczać działania. Bóg wie, dlaczego! – Wnętrzem prawej dłoni zaczęła pocierać kostki lewej. – To naprawdę nie do wiary. Ludzie usiłują robić z siebie idiotów... przy czym wielu przyplaca to życiem. Wypisują raporty na temat cudzych wyskoków, ale czasem dociera to do wiadomości oczernianych. Przechwyciłam kilka raportów na swój temat. Gdybym zrobiła ledwie połowę tego, co mi się przypisuje... – Wzdrygnęła się teatralnie. – Tak więc jestem odcięta od wszelkich możliwych... związków. Uwięziona w tym pokoju. Dręczy mnie z tego powodu pewien koszmarny sen. Jestem na plaży... Białą piasek, skwar. Mieszkam w domku na wydmach. Spacery plażą przypłacam wyczerpaniem, bo są tak nudne. Nie ma na co patrzeć... nawet kolory są wyblakłe i szpetne. Moja obecność w tym miejscu nikomu nie służy. To nie jest miejsce ucieczki ani samotnia. Po prostu powinnam tu być. Spełniając coś na kształt powinności. Nikt mnie nie potrzebuje, nikt się do mnie nie odzywa. W istocie nie potrafię nawet mówić. Zawsze tu byłam. – Parsknęła urywanym nerwowym śmiechem. – A więc... – zmieniła temat z udawaną nonszalancją – jesteś z Nowego Jorku. Boże, nie byłam tam od lat.

– Ja też – powiedział, rozglądając się po pokoju. Na stoliku nocnym obok pryczy leżał stos plotkarskich magazynów, niżej stał mały telewizor, wideoodtwarzacz i sporo kaset z powtarzającym się w wielu tytułach słowem: miłość. W myślach pani major istniał dominujący wzór, w którym najwyraźniej po dyletancku grzebano, z zawartości pokoju zaś wynikało jasno, jakie urojenia ów wzór odzwierciedla.

W akcie defensywy – major Cabell zaczęła wodzić palcami po jego ramieniu i kolanie – zapytał ją o przeszłość. Nie chciał jej zranić otwartą odmową. Mimo jej złudzeń, było w niej coś budzącego szacunek, jakaś godność i siła pozwalające zapomnieć o słabostkach, odnosić się do niej bez litości. Mingolla już dawno nie spotkał człowieka, nad którym nie musiał się litować.

– Zaciągnęłam się, ponieważ umarła moja matka – odparła. – Ludzie w stresie wyrabiają najdziwaczniejsze rzeczy. Bóg jeden wie, co sobie myślałam. Teraz odnoszę wrażenie, że potrzebowałam jakiegoś ładu. Ład! – parsknęła śmiechem. – Wojsko ma ładu po uszy, tyle że kompletnie popyrтанego. Opisała chorobę swojej matki, swoje zachowanie w owym czasie.

– Harowałam jak wół – powiedziała. – Sama zbudowałam mur wokół domu. Pracowałam w ogrodzie. Wycinałam przegniłe korzenie... twarde jak zaciśnięta pięść. – Zakręciła szklanką z dżinem, wbiła w nią wzrok jakby w nadzieję, że w trunku jest wróżba na przyszłość. – Ludzie w gruncie rzeczy są tak nieskomplikowani. Kiedy przyjechałam, żeby się nią zaopiekować, opróżniła jedną z szuflad i umieściła w niej moje rzeczy. Nic wielkiego. Po prostu włączyła mnie do swojego życia. Czasem zamykała swój ból w jednym zwykłym poleceniu, pozbywała się go w ten sposób. Pamiętam, powiedziała pewnego razu: „Zajmij się nasionami tamtej lili... Weź

największe. Nie przesusz zanadto. Posiej je w drugim końcu ogrodu”. A kiedy to zrobiłam, poczuła się lepiej. – Dołała Mingolli dżinu. – Przyjechała pomóc moja siostra. Nie widziałam jej od lat. Podłapała południowy akcent i zaczęła nosić złotą mapę Teksasu zamiast naszyjnika. Twierdziła, że mnie kocha, a ja ledwie ją poznałam. Wyszła za Teksańczyka, który pisał po wieści grozy. Czytałam kilka. Były w porządku, ale mnie nie ruszyły. W najlepszym razie to był taki zmysłowy pesymizm. Może po prostu nie umiałam się wczuć w to obrzydzenie, jakie żywią wobec siebie wampiry.

Wstała, podeszła do drzwi i spojrzała przez ramię na Mingollę; kiedy ich oczy się spotkały, ruszyła w bok.

– Nie rozumiem, jakim cudem przejęłam tu do wodzenie – stwierdziła. – Wiem, jakie fakty do tego doprowadziły, śmierć pułkownika i w ogóle. Ale w tym wszystkim nie ma sensu. -

Roześmiała się. – Oczywiście, ja wcale tu nie dowodzę. Nikt nie dowodzi... a jeśli nawet dowodzi, to bez pojęcia. Czy wiesz, że tracę stu ludzi dziennie, nawet gdy nie dzieje się nic szczególnego? Stu ludzi! – Znów podeszła do drzwi, zaczęła się bawić klamką. – Nie powinnam rozmawiać w taki sposób z facetem z wywiadu. Możesz złożyć na mnie meldunek.

– Nie mam zamiaru składać na ciebie meldunku.

– Wybacz – powiedziała, ruszając w jego stronę. – Nie chciałam, żeby to tak zabrzmiało. Po prostu dziwnie się czuję w twojej obecności.

– Może powinienem odejść.

– Może powinieneś. – Opadła na krzesło. – Dlaczego to się ciągle zdarza?

Zakłopotana, odwróciła głowę.

– Nieustannie pociągają mnie... mężczyźni, nieznajomi. To... to nawet nie jest prawdziwe zauroczenie. To znaczy, kapujesz, czuję, że się zaczyna. Czuję reakcję swojego ciała. I próbuję nad nią zapanować. Umysł w tym nie uczestniczy, rozumiesz. Przynajmniej z początku. Ale nie mogę tego powstrzymać, w ogóle nie mogę tego wyhamować. A potem umysł też się włącza... chociaż nawet wtedy wiem, że to nie jest naprawdę, że jest... nie wiem, czym jest. Ale nie jest naprawdę. – Wydawało się, że prosi o jakieś słowo pociechy.

– Chyba mógłbym ci pomóc – zasugerował.

– A to w jaki sposób? Nie wiesz, co tu nie gra, a nawet gdybyś wiedział... – Zmrużyła oczy.
– Co ty kombinujesz?

– Nic – odparł i zaczął wprawiać ją w stan senności.

– Dla kogo pracujesz? – zapytała z ziewnięciem.

Wśród wzorów jej umysłu był jeden zdradzający dowody manipulacji, o strukturze odporniejszej i trudniej poddającej się wpływowi niż pozostałe; kiedy major Cabell zaczęła się kołysać na krześle, Mingolla przystąpił do modyfikowania tego wzoru, redukowania jego dominacji. Była to żmudna robota, zdawał sobie bowiem sprawę, że łatwo mógłby się posunąć za

daleko i unicestwić cały wzór. Zniszczyć duszę tej kobiety, przekształcić ją we wrak, zęcną kopię człowieka w rodzaju Don Julia, Amalii czy Nate'a. Ogarnęło go w trakcie pracy uczucie wewnętrznego spokoju, któremu zaczęło towarzyszyć nowe zrozumienie natury duszy. Wyczuwał, iż wzory myślenia są posłuszne jakiemuś nadrzędnemu szablonowi, że w przeciągu ludzkiego życia splatają się w misterny, z góry zdeterminowany kształt połączony z podobnymi tworamii bilionów innych dusz; zastanawiał się przy tym, czy jego dawniejsza wiara w magię i nadprzyrodzone zbiegi okoliczności była może mętnym przecuciem owych prawidłowości myślenia i czy mistyczny charakter, jaki przypisywał rzeczywistości, jest w istocie faktem. Tyle było spraw do przemyślenia, tyle rzeczy należało rozgryźć. Kobiece ramię na fresku, chrześcijańska dziewczyna, którą uleczy w jakiejś możliwej przyszłości; koncepcja, że jakimś cudem załatwił doktora Izaguirre. Nawet odczuwany w tej chwili wewnętrzny spokój był czymś, co należało zrozumieć; wydawało się, że jest symptomem głębszego i pełniejszego zrozumienia, które ciągle jeszcze pozostawało poza jego zasięgiem. Wszystkie te kwestie potraktowane łącznie implikowały istnienie uniwersum wymykającego się kategoryzacji, uniwersum, którego prawdziwej natury nie da się wpasować w definicje rodem z magii czy nauki. Powątpiewał, czy kiedykolwiek zrozumie wszystko, sądził jednak, iż pewnego dnia zrozumie więcej, niż kiedykolwiek zakładał.

Kiedy obudził major Cabell, wyprostowała się, sprawiając wrażenie kompletnie zbitej z tropu.

– Musiałaś być śmiertelnie zmęczona – stwierdził.

Roześmiała się niewesoło.

– Bez przerwy jestem zmęczona. – Przycisnęła dłonie do skroni.

– Jak się czujesz? – zapytał.

– Nie jestem pewna – odparła. – Może przytomniejsza? – Prześwidrowała go wzrokiem. –

Coś mi zrobiłeś.

– Nie, przysięgam... Po prostu chwila snu była tym, czego najbardziej potrzebowałaś.

– Nie rozumiem jednak – powiedziała. – Minutę temu wychodziłam ze skóry, żeby...

– Zapewne stres – zasugerował. – Nic więcej. Stres wywołuje najosobliwsze skutki.

– Boże, cóż to miejsce robi z człowiekiem – westchnęła. – Sprawia, że nawet dobre samopoczucie wydaje się czymś podejrzanym.

– Nadal chcesz, żebym sobie poszedł?

Wydawało się, że przed udzieleniem odpowiedzi przeprowadza jakieś wewnętrzne konsultacje.

– Nie – odparła, uśmiechając się. – Napij się jeszcze i opowiedz mi o Nowym Jorku. O sobie. Bo dotąd powiedziałaś niewiele. Oczywiście, faceci z wywiadu tacy już są... skryci, nawet jeśli chodzi o błahostki. – Sięgnęła po butelkę dżinu, znieruchomiała. – Ale ty nie jesteś z wywiadu,

prawda?

– Skąd ten pomysł?

– Każdy agent, którego miałam okazję poznać, był oziębły, rozmiłowany w burbonie i skłonny do posepnego spojowania w stronę Czerwonej Zarazy, jak gdyby pragnął mieć na celowniku jakiegoś komucha. Ty jesteś inny.

– Po prostu chyba z nowej szkoły.

Długo wpatrywała się w niego, nie nalewając dzinu.

– To akurat nie ulega wątpliwości – przyznała.

* * *

Patrol, który eskortował ich podczas przeprawy przez dolinę, składał się z dziesięciu ludzi, pałubiastych i odczłowieczonych w kombinezonach bojowych; na ich wizorach jarzyły się displeje z komputerów osobistych, w ich duszach hulał Sammy. Z początku nie było księżycy, kiedy jednak sunęli przez gęstwą porastającą zbocze, nad ich głowami eksplodowały flary, śląc ku chmurom kłębowiska pomarańczowych ogni, a z krążących śmigłowców lał się roziskrzony deszcz pocisków smugowych – nieustanne szaleństwo ryczącego światła, które wyławiało z mroku kształty gałęzi i liści, a jednocześnie przepływało pożogą przez wizory hełmów. Kiedy więc księżyc na koniec wychynął z chmur, jego blask był prawie niedostrzegalny. Mingollę i jego towarzyszy wyposażono w mikrofony na szyję i umocowane do uszu miniaturowe głośniczki, dzięki czemu mogli utrzymywać kontakt z żołnierzami; Mingolla z rozbawieniem słuchał ich brzękliwych głosów, dziwiąc się uciesze, jakiej doznają w tym świecie, który przypominał piekło.

– W dupę jebany! – stwierdził jeden z żołnierzy, młokos zwany Bobby Boy. – Tylko popatrz, jak ten skurwysyn pierdołnął, człowieku! Musiał dostać w zbiornik paliwa.

Dowodzący patroliem sierżant, żyłasty jasnoskóry murzyn o imieniu Eddie, odparł zaś:

– To gówno, człowieku! Poczekaj, aż zobaczysz, jak dostanie jeden z tych mikroczółgów. Człowieku, jak takiego trafią, to masz jebanego Czwartego Lipca! Wybuchają wszystkie rakietki... zielone i czerwone smugi ognia. To jest coś, to jest naprawdę coś.

– Widziałem – odwarknął zaczepnie Bobby Boy. -

Chcesz mi powiedzieć, że nie widziałem? Jestem tu prawie tak długo jak ty, człowieku.

Eddie jęknął.

– I na takim kurewskim hajcu, że mogło ci się przywidzieć dosłownie wszystko.

– Hej – rozległ się jakiś inny głos. – Uważajcie, skurwysyny, na słownictwo. Mamy w towarzystwie da mę.

– Zamknij, kurwa, jadaczkę, Sebo – odgryzł się Bobby Boy. – Ta panienska jest z wywiadu.

Pewnie zainstalowali jej w kuciapce podsłuch, zanim wysłali ją w pole. Pewnie... Ja chromość? W porzo! Widziałeś, jak ta kurwa jebła? Widzisz złoty kolor w samiułku środka? To, kurwa, dziwne! Ciekawe, co te meksy mają, co się pali na złoto.

– Pewnie oliwa, co jej tyle wpierdalają – zasugerował jakiś nowy głos.

Mingolla, czując się w obliczu tego wszystkiego nieswojo, przybliżył się do Debory. W rozbłyskach eksplozji jej oczy jarzyły się czerwono, jej zawieszona w mroku dłoń miała jakby po siedem palców.

– Wszystko w porządku – stwierdził, żeby cokolwiek powiedzieć. Na głos, zapominając o mikrofonie.

– Przypuszczam – stwierdził Bobby Boy – że tych dwoje coś ze sobą mota.

– Pójdę o zakład, że panienka zna się na rzeczy – powiedział Sebo. – Pójdę o zakład, że wywiad uczy ich wszystkich możliwych numerów.

– Zamknij rył! – rozkazał Eddie.

– Pójdę o zakład, że ma wyćwiczoną cipkę... aż człowiek strzela srebrnymi kulami.

– Mówiłem, żebyś zamknął ryj!

– Ale i tak będę marzyć – odparł Sebo. – Marzyć o nich obydwu, tej szczupłej i tej z różą w oku.

– Marzyć to sobie możesz – wtrącił Tully. – Ale uważaj, bo w twoich marzeniach pojawi się jeden wielki czarnuch... kapujesz?

– Ja bym mu nie podskakiwał, Sebo – poradził Eddie. – Wygląda, że mówi poważnie.

– Poważnie? Sranie po ścianie! – zachichotał Sebo. – W tej cholernej wojnie nie ma miejsca na żadną powagę.

– Moim zdaniem – zauważył nerwowo Ruy – byłby najlepiej dla nas wszystkich, gdybyśmy myśleli tylko o przeprawie.

– To chyba nawija ten chudy bereciarz, nie? – zainteresował się Bobby Boy. – Hej, meks! Ty mi się nie podobasz, człowieku! Daj mi powód, to nie będziesz się musiał przejmować żadną przeprawą.

Pobliski wybuch wstrząsnął ziemię, pomarańczowy błysk oświetlił sylwetki żołnierzy, przemienił kontury drzew i krzaków w dziwną menażerię kształtów. Mingolla i Debora przycupnęli w zaroślach, żołnierze jednak odwrócili twarze ku światłu jak pielgrzymi wobec objawienia. Eksplozja uspokoiła ich, kiedy więc poświata zniknęła, podjęli marsz w milczeniu.

Przez dolinę przeszli bez przygód, kiedy jednak dotarli na grzą ponad zrujnowaną wioską, gdzie mieli oczekiwać transportu do Panamy, żołnierz wyprzedzający Mingollę o jakichś dwadzieścia jardów został wyrzucony w powietrze przez erupcję płomienia, która nastąpiła pod jego nogami, a dokoła rozstrzelały się karabiny. Mingolla pociągnął Deborę na ziemię. Z głośniczka dobiegały wrzaski i podniecone głosy. Miał usta pełne ziemi i bardzo się bał.

Wymierzył broń w mroczne zarośla i otworzył ogień; grzechot strzałów utonął w kolejnym krramp pocisku artyleryjskiego. Ludzie i broń przemawiali chórem w jakimś niesamowitym rytmicznym języku. W tym zgiełku i chaosie Mingolla miał wrażenie, że wiejący z siłą huraganu gorący wiatr wbija weń czerwone drzazgi strachu. Debora uwolniła przyciśnięty ciałem karabin i też otworzyła ogień; Mingolla poczuł na twarzy jego ciepło i wibrację. Zaraz potem było po wszystkim. Broń umilkła, księżyc uporządkował swoje lśnienie, oblał nim każdy kształt, czyniąc go wyrazistym i rozpoznawalnym. Schłodził powietrze. Rozległy się normalne głosy. Jęk.

– Mam żywego bereciarza!

– Dawaj go tu, człowieku!

– Sebo! Jesteś tam, chłopie? Wszystko w porządku?

– Coś ma w nogę... kombinezon przywarł mu do nogi.

– Podaj jego odczyty, do cholery! Co mówią jego odczyty?

– Żyje! Noga wygląda na popierdzieloną, ale żyje.

– Sprowadźcie agentów ze wzgórza!

– Jego medpak zajął się nogą... Jest w porządku. Do diabła, on nic nie czuje.

– Jest dobrze, Sebo. Wpadłeś na minę, ale jest dobrze.

– Ma rozjebaną nogę! Sprawdź odczyty... tam są tylko kawałeczki kości!

– Durny kutasie, zamknij pysk!

– Gadasz o mojej nodze, człowieku?

Dwaj żołnierze postawili Mingollę i Deborę na nogi, popchnęli przed sobą w dół, w stronę wioski. Za ich plecami Sebo wrzasnął:

– O czym mówicie... coś jest nie tak z moją nogą?

Wioska – kilka akrów chat i gruntowych uliczek – wyglądała tak, jakby ją rozdeptał olbrzym: powgniatane dachy, zawałone ściany, roztrzaskane słupy. Ruy, Mingolla i Debora siedzieli pod okapem przechylnego dachu, Tully i Corazon oddzielnie, nieco dalej. Jeszcze dalej stała grupka żołnierzy. W mocnym blasku księżyca potrzaskane słupy i zmierzwiłone strzechy miały szaroczną barwę, ulica zaś szarolawendową. Wszystkie cienie były wyraziste i poskręcane; tak właśnie mogły wyglądać w piekle. Nad da lekimi wzgórzami migotały rakiety.

– Prawie jesteśmy w domu – stwierdził Ruy.

– Ty durny fajfusie! – Mingolla powstrzymał się z największym trudem, żeby mu nie dowalić. – Ta kretyńska wycieczka omal nas nie wykończyła, a ty dziamgasz o do mu.

Ruy, cień siedzący po turecku, nie odpowiedział.

– Kiedy przyleci samolot? – zapytała Debora.

– O świcie – odparł Ruy. – Dostarczy nas na lądowisko opodal miasta, a po zmierzchu przedostaniemy się do Barrio.

Uliczką nadeszło trzech kolejnych żołnierzy: dwaj podtrzymywali Sebo, którego noga włókła

się po ziemi. Jego kombinezon był opalony na wysokości kolan. Usadzili go pomiędzy Ruyem i Mingolla, zdjęli mu hełm. Miał krótko ostrzyżone czarne włosy i szczerzą smagłą twarz przybrudzoną nalotem zarostu. Mingolla rozpoznał w nim weterana, który zaczepił go w halucynacji – który wtedy rozpoznał jego. Sebo pocił się obficie, jego usta były zamknięte w nawias głębokich zmarszczek. Dwaj pozostali żołnierze – Bobby Boy i Eddie – zdjęli hełmy i przyklęknęli na ziemi.

– Kombinezon dość cię nafaszerował? – zapytał Bobby Boy. Był wielkim, ostrzyżonym na jeża młokosem o okrągłej twarzy. Po dziecięcemu drobne i regularne rysy nadawały jej kretyński wyraz.

– Taa, jakoś daję sobie radę – wybełkotał Sebo.

Mingolla wpatrywał się weń, usiłując wpisać jego istotę we fresk i w ogóle wszystko.

– Śmigłowiec nie dotrze tu tak od razu, człowieku – po wiedział Eddie. – Ale wyjdiesz z tego.

Sebo uciekł spojrzeniem ku niebu, zwilżył wargi.

Eddie wyjął paczkę ciasteczek, stanowiących część żelaznej racji. Przełamał jeden z herbatników, polizał nadzienie z białego lukru. Potem próbował poczęstować Mingollę, Deborę i Ruya. W szyscy od mówili.

– Nie wiecie, co tracie – powiedział Eddie. – Te słodkości człowieka uspokajają. Nie jest tak, Bobby Boy?

– Mhm.

– No – dodał Eddie. – Luzują cię te sukinyńki na sto dwa. Najlepsza rzecz po walce. – Roześmiał się od ucha do ucha, puścił oko, a jego twarz pocięły zmarszczki cwaniackiej wesołości. – Może po powrocie do domciu pozwolą mi nakręcić reklamówkę, człowieku. Powiem: Wysysanie nadzienia z tych działek pozwoliło mi przetrwać wielką wojnę. Co sądzicie?

– Pewnie sprzedaż pójdzie w miliony – odrzekł Mingolla. Rozejrzał się po wiosce, żalonym szarym wraku wioski wciąż rozciągającym wąły zapach zwierząt i ludzi. Ducha zapachu. Wiatr mierzwił strzechy, wprawiał cienie w dygot.

– Brzytwy – powiedział marzycielsko Bobby Boy. – Człowieku, tną tak gładko, że nawet ich nie czujesz. Nie czujesz nawet, kiedy jesteś spatroszony. Nie masz pojęcia, że stało ci się kuku, do czasu gdy zobaczysz własną krew. Człowieku, każdy klient dobrze się zastanowi, zanim podskoczy facetowi z brzytwą. Brzytwy – powtórzył Bobby Boy. – Gładziutko.

Rozleniwiony ton jego głosu przyprawił Mingollę o dreszcz.

– Przystań pierdolić jak porąbany – powiedział Eddie. – Kurwa! Chłopak nigdy nie miał nic wspólnego z brzytwą. Jest po prostu naćpany i lubi groźnie nawijać. Jesteś dęty do szpiku kości, Bobby Boy. – Zlizał lukier z następnego ciasteczka. – Do szpiku kości!

– Może – odparł Bobby Boy. – Ale, kapujesz, teraz już się znam na brzytwach. Znam się

z samego myślenia o nich. Kupię sobie brzytwę, jak wrócę do domu.

– Jebany imbecyl – powiedział Eddie i jeszcze raz puścił oko do Mingolli. – Hej, Bobby Boy! Pamiętasz, jakeśmy pierwszy raz trafili do tej wioszczyny?

Bobby Boy odwrócił się od niego, powoli i z roztargnieniem. Z dozownika wyrzucił ampulkę, rozgniół pod nosem i głęboko wciągnął w płuca jej zawartość. Jego twarz z pozoru wydłużyła się i wyszczuplała.

– Słyszałeś, co mówię, Bobby Boy? – zapytał Eddie.

– Taa, słyszałem.

– To był chrzest ogniowy naszego Bobby Boya – wyjaśnił Eddie. – Nie umiał się połapać w tym bardaku. Niuchał Sammy’ego co kilka minut, darł dziób i wywalał dziury w dymie. Potem, jak się trochę uspokoił, włązi do jednej z chat. Nie ma go, kapujesz, kilka minut, w końcu wraca i mówi: Jest tam coś kurewsko dziwnego, człowieku. Tak powiada. Co takiego, pytam, a on na to: Bereciarz, człowieku. Siedzi z dziurą w czole i trzyma swój mózg na pieprzonych kolanach. I jeszcze gapi się na mnie. Jakby go, kapujesz, trzymał, jakby go chciał z powrotem włożyć. Powinieneś to zobaczyć, człowieku. To mu mówię: Pierdolisz, człowieku! Nie ma takich ran. Oczywiście, wiem, że ta nowa amunicja do karabinów wypieprza płytkie dziury. Widziałem to gównem nie raz i nie dwa. Ale po prostu podpuszczam biednego Bobby Boya, który zaczyna się denerwować. Człowieku, powtarza, człowieku, mówię cholerną prawdę. Ten koleś tam naprawdę siedzi z jebanym mózgiem na jebanych kolanach. A ja się zapieram: Nieee, Sammy ci wszystko pomotał. No więc, pozwól sobie powiedzieć, poczciwy Bobby – Boy wrzeszczy, burzy się, że mówi prawdę, a ja tymczasem daję znak jednemu ze swoich ludzi, Szczurowi, żeby zjarał cholerną chałupę. Gdy stanęła w ogniu, to myślałem, że Bobby Boy wybuchnie płaczem. Widziałem to, jęczy. Przysięgam, że widziałem. Prawie przez tydzień pozwalaliśmy mu myśleć, że ocipiał. To było ożywcze, bez dwóch zdań. Pamiętasz to, człowieku?

Bobby Boy skinął głową i powiedział posepnie:

-Durny byłem.

Eddie zachichotał.

– Czasem chłopak gada prawie że sensownie, nie? No taa, dobra. Wszyscy jesteśmy durnie, że siedzimy w środku tego burdelu.

– Hej – powiedział Sebo. – Hej, damulko. Debora popatrzyła na niego.

– Tak.

– Chono tu, damulko. – Twarz Sebo była lśniąca od potu, jego uśmiech wyprany z wesołości.

– Tak mnie boli, że muszę sobie pogruchać. Chodź do mnie i mów, dobra?

– Ja bym tego nie robił, kobieto – ostrzegł Eddie. – Sebo chce cię po prostu złapać za cycki. Tylko tego chce. Sebo robi się napalony, kiedy jest ranny.

– Ja też – stwierdził Bobby Boy; wyciągnął rękę w stronę Debory i zaczął wodzić

w powietrzu dłonią jak malarz oceniający proporcje rozmaitych partii swego obrazu.

– Skończ z tym pieprzeniem – powiedział Mingolla.

Bobby Boy obrócił nań swoje zdumione spojrzenie pucołowatego chłoptysia.

– Co mówisz?

– Hej. – Eddie pchnął go lekko. – Zbastuj, dobra? Masz tego ryżego kocmołucha ze Spec 4, żeby spuszczać sobie z krzyża, człowieku. Daj tym ludziom spokój.

– Ale ona przyjemnie wygląda – stwierdził Bobby Boy takim samym tonem, jakim rozprawiał o brzytwach.

– Chono tu, damulko – powtórzył Sebo. – Mała pogawędka nikomu nie zaszkodzi.

– Wolałbym robić językiem coś innego niż do niej gadać – powiedział Bobb y Boy.

Ruy zerwał się na nogi i stanął przed Bobby Boyem w groźnej pozie.

– To nie do zniesienia – powiedział, a potem zwrócił się do Eddiego: – Czy nie potrafisz wziąć go w karby?

Eddie wzruszył ramionami.

Uśmiech spłynął z twarzy Bobb y Boya, który powiedział: – Dzięki Ci, Jezu. Oto Bobby Boy Macklin wychwala Twe imię za to, że dałeś mi w łapy tego chudego skurwiela.

– Powiedziałem, żebyś zbastował, człowieku – rzucił z niepokojem Eddie, a Mingolla, uświadamiając sobie, że Bobby Boya dzieli od wybuchu zaledwie włos, duchowo przygotował się do walki. Nie zamierzał wpływać na Bobby Boya: Ruy musiał zdawać sobie sprawę, jak trudno wywrzeć wpływ na kogoś, kto jest po Sammym.

– Sebo! – Eddie wcisnął się pomiędzy Bobby Boya a Ruya.

– Wiesz, o czym myślałem? Pamiętasz tę swoją panienkę, która oskarżała cię w liście, że jesteś mordercą? – Przyjacielsko kuksnął Mingollę. – No więc odpisaliśmy jej, fałszując podpis pułkownika. Odpowiedzieliśmy, jakim pieprzonym bohaterem jest Sebo, jak to karmi głodujące dzieciaki i w ogóle. Kurwa!

Napisała potem w takim tonie, jakby była gotowa przesłać staremu Sebo w paczce swoją cipę.

– Zejdź mi z drogi, Eddie – powiedział Bobby Boy. – Zmiażdżę tego meksa.

– Takiego chuja! – Eddie rozejrzał się gorączkowo, jakby w nadziei, że olśni go rozwiązanie.

– Wiesz co, człowieku? Wiesz co możemy zrobić? Możemy urządzić sobie grę! – wrzasnął do żołnierzy zgromadzonych koło ruin następnej chaty: – Gdzie jeniec? Dawajcie go tu!

Jeden z żołnierzy chwycił ciemną sylwetkę leżącą na ziemi, szarpnięciem postawił na nogi, przypędził, a potem cisnął na ziemię. Osiemnastoletniego chudego młokosa ze spadającymi na oczy długimi czarnymi włosami i wysypem trądziku na podbródku. Na lewym barku miał zakrwawiony bandaż.

– No i co powiesz, Bobby Boy? – zapytał Eddie. – Sebo? Co sądzisz?

– Może być – pośepnie mruknął Bobby Boy.

– Dobra! – oświadczył Sebo, siadając prosto.

Bobby Boy walnął chłopaka w zranione ramię, chłopak krzyknął i odtoczył się.

– Ty skurwysynu! – powiedziała Debora. – Daj mu spokój.

Bobby Boy popatrzył na nią przeciągle i wydał gardłowy dźwięk, który mógł być śmiechem.

– Posłuchaj, pańciu – powiedział Eddie. – Bobby Boy dobierze się do ciebie, no więc lepiej pozwól mu się zabawić.

Spojrzała na Mingollę, który pokiwał głową.

Kilku żołnierzy oddało się ulicą; wtykali w ziemię coś, co wyglądało jak wielkie ziarna, zasypywali, wyglądali teren. Wtykali wiele nasion.

Bobby szarpnął chłopaka do pozycji siedzącej, – Jak się nazywasz, meksie?

Młokos bezradnie rozłożył ramiona. – No entiendo.

– Niech go ktoś zapyta po hiszpańsku – polecił Bobby Boy.

Mingolla wypełnił ten obowiązek.

– Manolo Caax. – Małolat rozejrzał się bezradnie, potem opuścił wzrok.

– Kasa... ha! Bereciarz nazywa się jak jebana forsa. – Sądząc po tonie Bobby Boya, był to szczyt obłądu.

Sebo zachichotał; jego oczy były szkliste od środków przeciwbólowych.

– Obstawiam meksa – powiedział. – Moim zdaniem meks ma wszystko, czego potrzeba.

Inni też zaczęli obsztawiać.

– Zapytaj go, czy coś wie – zasugerował Bobby Boy.

Kiedy Mingolla spytał, chłopak odrzekł:

– Nic nie wiem. Co zamierzacie zrobić? Chcecie mnie za bić?

Mingolla milczał; olanie młokosa przyszło mu łatwo – dlatego, jak zrozumiał, że już wcześniej spisał go na straty.

– Co jest grane? – zapytał Eddiego.

– Zakopujemy wszędzie miny przeciwpiechotne – wyjaśnił Eddie. – Paru chłopaków staje za bereciarzem i wali mu pod stopy, żeby się ruszał. No i zobaczymy, czy przebiegnie przez ulicę, nie wpadając na minę. Jak się będzie ociągał, chłopaki go skoszą. – Uśmiechnął się szeroko, ale z jego głosu przebijało raczej napięcie, niż entuzjazm.

Debora pochyliła się do Mingolli i wyszeptwała:

– Zamierzam to po wstrzymać.

– Nie, daj spokój. – Złapał ją za ramię.

– Nie możemy na to pozwolić! – powiedziała. – Nic mnie nie obchodzi, jeśli...

– Więc niech cię obchodzi – odparł. – Lepiej daj po prostu spokój. Nie możemy ocalić wszystkich. W porządku?

Ruy przyglądał się im z zainteresowaniem.

– W porządku? – powtórzył Mingolla, a Debora niechętnie skinęła głową i odwróciła wzrok.

Z Corazon u boku dołączył do nich Tully i powiedział:

– Nie mogę do nich dotrzeć, Davy. A ty możesz coś zrobić?

– Mmmm.

– O czym gadacie? – zapytał Bobby Boy.

– Po prostu gadamy – odrzekł Tully. – Nie macie nic lepszego do roboty niż lecieć w chuja z tym dzieciakiem?

– Nee – odparł łagodnie Bobby Boy. – Nic a nic.

Był niemal równie wysoki jak Tully, ale szerszy w barach i Mingolla przypuszczał, że Tully trochę się boi.

– Jesteście ba ndą cholernych tchórzy, mon – powiedział Tully. – Znęcać się nad dzieciakiem.

– Możesz być następny, smoluchu. – Bobby Boy stanął z Tullym twarzą w twarz. – No i co powiesz?

– Trzymaj język za zębami, człowieku! – Eddie wstał i odepchnął Bobby Boya od Tully’ego.

Ruy poklepał Deborę po ramieniu.

– Nie możesz nic zrobić?

Z goryczą spojrzała na Mingollę i dopiero potem odparła:

– Nie.

– Hej – powiedział Bobby Boy. – Niech jedno z was wytłumaczy meksowi, o co chodzi.

Znow przetłumaczył Mingolla.

Młokos popatrzył nań nienawistnie. Bobby Boy, którego oczy skrzyły się w blasku księżyca, z uczuciem klepnął chłopaka w plecy.

– Wiem, że potrafisz to zrobić, meksie. Nie zawieź mnie.

Dwaj żołnierze zaprowadzili chłopaka na początek trasy, do podnóża pagórka odległego o mniej więcej sto jardów; przez cały czas oglądał się przez ramię na Mingo llę, jak gdyby to on ponosił odpowiedzialność.

– Hi hi – powiedział Bobby Boy. – To będzie dobre!

– Ma jakąś szansę? – zapytała Debora.

– Minimalną – odparł Eddie. – Miny są wszędzie, a tam ci będą ogniem napędzali go w ich stronę. Musi biec szybko, o rozglądaniu się nie ma więc mowy.

Tully posłał Mingolli dwuznaczne spojrzenie, do którego wagę swojego niesamowitego spojrzenia dodała Corazon. Mingolla wbił wzrok w trzy sylwetki u podnóża pagórka – dwóch żołnierzy, których hełmy połyskiwały w blasku księżyca, i ciemniejszą, mniej wyrazistą postać chłopca po między nimi.

– Zasuwasjcie! – wrzasnął Sebo. – Nastąp się, Bobby Boy! Nic, kurwa, nie widzę.

Bobby Boy wściekle zerknął na Sebo i przesunął się w lewo.

Dwaj żołnierze na końcu drogi pchnęli chłopca i zaczęli popędzać go krótkimi salwami; ruszył w lewo, ku luce pomiędzy rozwalonymi chałupami, ale ogień przeciął mu drogę i podpałił jedną z chat. Biegł zygzakiem, z oczyma wlepionymi w ziemię, którą kule rwały tuż za jego piętami. Bobby Boy wiwatował, Sebo bełkotał. Debora ukryła twarz w ramieniu Mingolla, Mingolla jednak – pełen wstrętu do siebie za brak siły moralnej, za swe pragmatyczne skłonności – zmusił się, by patrzeć. Chłopak się potknął, przekoziółkował, a Mingolla miał nadzieję, że jedna z min wybuchnie, kończąc tę okrutną zabawę. Salwa przygwoździła chłopaka do ziemi. Popęzł w przód, wstał z wysiłkiem i został odrzucony w bok, kiedy kula spowodowała eksplozję miny za jego plecami; zachwiał się obok małego kopczyka, prawie na niego nadepnął, ale w ostatniej chwili zdołał odskoczyć. Żołnierze postępowali za nim krok w krok, ich kule padały coraz bliżej. Eddie to unosił się na palcach, to opadał na pięty, kibicując w duszy chłopakowi, Bobby Boy wyrzucał z siebie zduszone, „tak, taak”, potrząsając kułakiem; Sebo, skupiony, zapomniawszy o ranie, wychylał się w przód, staccato salw przepelniało powietrze nieznośnym napięciem, chłopak padał, zrywał się, gnał zakosami, jakby popychany przez niewidzialny palec w dziesiątkę fortunnych kierunków, mijających o cale kopczyki ziemi z ich połyskującymi nasionami. Wyglądało to tak, jak gdyby wymachując ramionami, wykonywał magiczny rytualny taniec, jak gdyby był szalonym duchem z czasów świetności wioski, kiedy bale chat były świeżo okorowane i żółte, strzechy zielone i pełne soków, kiedy świniaki podkładały owoce mango z talerzy dzieci, kiedy nawet w najgorszych chwilach mężczyźni gromadzili się wokół studni i paląc papierosy, kupione miedziak za sztukę w sklepiku na wzgórzu, prawili z zajęciem o krowach mlecznych, które zamierzają nabyć po zbiorach – i naprawdę wszystko wskazywało na to, że chłopakowi uda się dobiec, a nawet, myślał Mingolla, dokonać czegoś większego: wyrzeźbić swym biegiem tajemny wzór, który wskrzesi dawno minione czasy, czasy sprzed wojny, który doprowadzi do ładu szare ruiny, przywróci im barwę, ruch i życie, który da nowy początek, sprawi, że żołnierze znikną, a Mingolla stanie się dzieckiem marzącym o czymś niewyobrażalnie cudownym... Wtedy jednak chłopak przestał biec. Stał jak wryty niespełna pięćdziesiąt stóp przed końcem trasy. Ogień zamilkł i Mingolla zrozumiał, że gwałtowny manewr chłopca kompletnie zbił z pantałyku jego prześladowców. Ciężki oddech unosił pierś chłopca, ale jego twarz była spokojna. Ciemne szczeliny oczu, zacisnięte stoickie usta. Patrząc nań, Mingolla był przekonany, że zna jego myśli. Pojął, iż gdzieś na trasie dotarło do chłopaka, że to, czy dobiegnie, czy nie, jest pozbawione znaczenia, że ten sam szlak, co on teraz, pokonywali od stuleci jego rodacy, wytwór zwyrodnienia i ucisku, krwawą zabawę na użytek znudzonych wyzyskiwaczy... i tak stracił wszelką motywację, by ciągnąć to dalej. Może nie potrafiłby tego wszystkiego ująć w słowa, może w duszy osiągnął po prostu ów punkt wyczerpania i rezygnacji, jaki i sam Mingolla osiągał od czasu do czasu. Ale miał w sobie tę wiedzę, paralizującą i ciężką

jak głaz. Nie zamierzał postąpić ani o krok, zamierzał stać i stojąc – osiągnąć jedyne zwycięstwo, jakie było w jego zasięgu.

– Biegnij, do jasnej cholery! – wrzasnął Bobby Boy.

Chłopak przeniósł ciężar ciała z nogi na nogę, opuścił ramiona, czekał. W oczach Mingo lli nabierał konkretności i masy, zwłaszcza na tle szarych zniszczonych kształtów.

– Wykońcicie go! – wrzasnął piskliwie Bobby Boy.

Nikt nie strzelał, nikt się nie ruszył.

– Wykońcicie go! – Bobby Boy postąpił parę kroków w stronę chłopaka i gniewnie zamachał ramionami do dwóch żołnierzy. – Wykońcicie go! Słyszycie?

Niechętnie, jak się zdawało, żołnierze unieśli karabiny i otworzyli ogień. Kule zmusiły chłopaka do krótkiego chwiejnego biegu i rzuciły go pomiędzy dwa kopczyki. Czarna krew pokryła pajęczyną jego plecy, utworzyła kałużę poniżej ust. Jego lewa noga wybiła o ziemię krótki rytm, całe ciało szarpnęło się raz, wyprężyło, a potem znieruchomiało.

Ruy westchnął, Mingo lla wypuścił wstrzymywane dłuższy czas powietrze; niemal sparzyło mu gardło. Dłoń Debory na jego ramieniu drżała, jak gdyby Debora była gotowa do ucieczki.

-Kurwa – powiedział Eddie. – Kurwa.

Mistyczne oko Corazon jarzyło się, Tully miał kamienną twarz. Sebo, wyczerpany i spocony, z otwartymi ustami, oparł się o chatę, zmrużył oczy... oczy Chińczyka.

Bobby Boy podszedł do chłopaka i kopnął go w żebra. Odwrócił się, wykrzywił grymaśnie twarz, która wyglądała w tym momencie jak zdeformowane oblicze księżyca w pełni.

– Nie płacę – oznajmił po pozostałym żołnierzom. – Skurwysyn grał nie fair.

– Lepiej, kurwa, wypłać – powiedział ktoś – bo ty kazałbyś nam płacić.

– Taa, człowieku – dorzucił ktoś inny. – Płaskałbyś jadaczką i powtarzał, że skurwiel nie dobiegł, a to jedyne, co się liczy.

– Płać, Bobby Boy! Nie masz żadnych argumentów!

– Gówna prawda! – Bobby Boy wycofał się do grupki obok chaty. – Hej, Eddie – powiedział. – Jesteś po mojej stronie, co? Powiedz, jakie są zasady, człowieku. Powiedz, jak to ma wyglądać. Skurwysyn nawet nie spróbował.

SEKTOR JASPISOWY

Świat nie jest ciałem stałym, lecz raczej punktem w czasie i przestrzeni, na który padają miliardy promieni światła, promieni wszelkich barw i najrozmaitszego stopnia jasności, promieni u szczytu swej mocy, jak też słabnących; charakter zatem owego szczególnego punktu jest zawsze płynny, jest stawaniem się czegoś nowego. Można więc rzec, iż koniec świata następował wiele razy i tylko niewielu ludzi to dostrzegło.

Przypisywane Indianom San Blas

Rozdział 15

Żołnierze Madradonów i Sotomayorów – w liczbie przeszło tysiąca – mieszkali na ulicach Bardo Clarfn, na klatkach schodowych i w rynsztokach, pod ławkami na skwerkach, w żalonych kryjówkach z tektury albo pod gołym niebem; każdego ranka Mingolla wędrował pośród nich, czyniąc zadość ich potrzebom, krzepiąc ich swą siłą, pobudzając do chwilowego istnienia, uczucia szczęścia i dobrego samopoczucia. Niewiele satysfakcji czerpał z tej pracy – żołnierze byli nie do uratowania i szczytem tego, co mógł osiągnąć, było krótkotrwałe przywrócenie im człowieczeństwa; ich umysły zachowały ledwie szczątkową strukturę, powolne procesy myślowe przypominały gęstą owsiankę chlupoczącą w talerzu. Chociaż znajdował w tych dobroczynnych aktach miarę odkupienia, w większym stopniu usiłował się wymknąć poczuciu winy, aniżeli zneutralizować je pokutą. Miał wrażenie, że cierpi na szczególnie amerykańską formę poczucia winy polegającą na tym, że nie chce, by postrzegano go takim, jakim jest, przebierając się zatem w szaty samarytanina, miał nadzieję, że zwiedzie wszechwiedzące moralne oko, które miało w zakresie kompetencji te strony.

Ulice Barrio, wąskie, pełne wykrotów asfaltowe jednopasmówki, rozwidlały się dziwnie pomiędzy trzy i czteropiętrowymi domami z biało-kamienianego kamienia... budynki te, stare rezydencje w stylu kolonialnym, miały ażurowe dwuskrzydłowe drzwi prowadzące na balkony z kutymi balustradami, i fasady pokryte warstwowo pasami mocno wyblakłej zielonej i niebieskiej farby. Była pora deszczowa, każdy dzień więc zaczynał się od mżawki, a kończył ulewą. Obrzmiałe szare chmury przepływały tak nisko, że ich brzuchy jakby zwisały pomiędzy dachami; w połączeniu z monstrualnymi okapami owych dachów dawało to niezwykle klaustrofobiczny efekt – wrażenie, iż budynki tulą się do siebie, przyplaszczone ciężarem niebios. Spoza barykad dochodziły słabe odgłosy ruchu ulicznego, od czasu do czasu przejeżdżał jakiś dżip wiozący grupkę Madradonów czy Sotomayorów. Ale nie płakały tu żadne dzieci, nie grały radia, żadne matrony nie przechylały się przez balustrady balkonów, plotkując z sąsiadkami. Mieszkania ziały pustką, tak samo jak sklepiki zdobione na swych pastelowych fasadach freskami przedstawiającymi bezcielesne koszule i kapelusze, lśniące urządzenia gospodarstwa domowego, latające bochenki chleba i maszyny do szycia rozmiaru mastiffów.

Pewnego popołudnia Mingolla jadł lunch na werandzie położonej dokładnie naprzeciwko sklepiku, którego okno wystawowe, drzwi i fasada były ozdobione tuzinami luster; zdobne litery nad wejściem informowały, że w sklepie można nabyć przedmioty kultu religijnego. Mingolla widywał podobne sklepiki w Gwatemali. Mocno podświetlone wystawy były nabite do wypęku złotymi krzyżami, oprawnymi w złoczone ramki Madonnami, medalikami w kształcie Serca Jezusowego... Złoto błyskało w lustrach, roziskrzane obrazy powielają się w nieskończoność, tworząc oślepiający labirynt wiary, przed którym oko nie miało ucieczki. Ale te lustra odbijały po

wielekroć tylko jedną twarz i Mingolla miał przed sobą Bóg raczy wiedzieć ilu posepnych młodych mężczyzn, zrezygowanych i wyzbytych wszelkich przekonań. Pomyślał, że zrobiło mu to Barrio. Zheblowało ostre kanty emocji, uczyniło go powolnym i mętym jak zaludniająca ulice członkowie armii Sotomayorów – po części pałający się tu i tam, przeważnie jednak leżący nieruchomo na deszczu, który dziobie powierzchnię kałuż. Całkiem niedaleko stara kobieta we wdowim szalu ukucnęła na krawężniku i zaczęła oddawać mocz. Za nią chudy szaroskóry mężczyzna szedł krokiem lunatyka, przystawał, żeby dotknąć ściany albo zagapić się na coś, a potem sunął dalej. Ubrania tutejszych ludzi były łachmanami sztywnymi od brudu, ich ciemne niekształtne oczy przypominały dziury wyszarpane w przegniłej materii. Byli uzbrojeni w pałki, noże i narzędzia ogrodnicze, wielu miało nie zaleczone rany... Na uszach nosili przypominające krople hebanu małe odbiorniki i to przez nie otrzymywali rozkazy, by walczyć lub podawać tyły. Człowiek miał wrażenie, że gęstnieją wokół nich półmaterialne cienie – jak gdyby rozkładali się, oddając swą tkankę powietrzu. Mingolla miałby ochotę zwymiotować, doznać jakiejś reakcji ostrej i oczyszczającej, ale odczuwał tylko odrętwienie.

Kobieta siedząca u jego stóp zaczęła nucić. Niechlujna przysadzista baba koło trzydziestki, z masywnymi udami, obwisłymi piersiami i pożółkłą skórą. Kiedy skończył nad nią pracować, powiedziała mu, że ma na imię Irma i tęskni za swoimi dziećmi.

– Co u ciebie, Irmo? – zapytał.

– Śpiewam – odparła, spoglądając tęsknie w dół ulicy. – Śpiewam moim dzieciaczkom, układam je do snu.

– To dobrze. – Wyciągnął w jej stronę połowę swojej kanapki. – Głodna?

Kołysała w ramionach wymagowane dziecko, uśmiechała się i nuciła.

Nie byłoby źle, myślał Mingolla, spowalniać obroty coraz bardziej i bardziej, jak żołnierze z Barrio, a na koniec zamieszkać w strzępach swojej pamięci. Żyje tak wielu normalnych ludzi i wydają się zupełnie zadowoleni.

– Pacito, Pacito – zawodziła Inna i łaskotała w podbródek niewidzialne dziecko. Jej ciastowatą twarz rozpromieniał wąty uśmiech Madonny.

Mingolla odwrócił się, pusty wewnątrz od tego, co widzi, a zarazem rad, że w Irmie wciąż goreje małe płomyk człowieczeństwa, że Irma nadal może szukać oparcia w miłości... robi więc coś, czego on nie potrafił już czynić z pełnym przekonaniem. Przypomniał sobie jednego z akwizytorów ojca, jowialnego starego repa o siwych włosach i twarzy jak wymięta ścierka. Grał wobec Mingolli rolę wujaszka, rozkoszując się możliwością raczenia go anegdotami o czasach spędzonych w trasie, wtajemniczenia w kunszt handlowania polisami.

– W pierwszej kolejności – powiedział kiedyś – przekazujesz im złe wieści. Procenty, tryb płatności. Potem prze chodzisz do korzyści, ale tych najzwyklejszych. Nie są pod wrażeniem, w gruncie rzeczy doznają rozczarowania. Liczyli na coś lepszego. No więc pozwalasz im

dochodzić przez minutkę i oznajmiasz: „A teraz clou programu...”

Akwizytor nawiązywał do jakiegoś ukrytego potencjału inwestycyjnego, Mingolla jednak, dla którego te słowa pachniały stęchlizną uniwersalnej niezmiennej prawdy, wyciągnął własny wniosek: doszedł do przekonania, że świat – rutynowo sunący przed siebie, pełen prozaicznych dramatów i radości – może nagle ujawnić, że ma w swym jądrze jakąś świetlistą regułę tak pełną pogodnego znaczenia, jak bożonarodzeniowa gwiazda. Fizyczna miłość z Deborą zawsze obnażała ten rodzaj piękna, odkąd jednak przybyli do barrio, dla Mingolli zmieniło się zbyt wiele, aby z seksu – wciąż bez zarzutu – czerpać coś prócz zapomnienia. Najbardziej zmieniła się Debora. Zaangażowała się bez reszty w proces pokojowy i traktowała go z takim przejęciem, że nawet jej opinie wygłaszane podczas najzwyczajszej rozmowy, jechały na miłą naiwnym idealizmem, który doprowadzał Mingollę do rozpacz, kazał mu postrzegać Deborę w nowym świetle i zadawać sobie pytanie, jakim cudem może być aż taką idiotką. Na przykład zeszłej nocy, kiedy podczas przerwy w miłości leżeli na boku wciąż ze sobą złączeni.

...to dziwne... powiedziała.

...co takiego...

...zastanawiałam się, gdzie pragnęłabym z tobą zamieszkać, i na koniec doszłam do wniosku, że w jakichś zielonych miejscach, zielonych samotniach... zielonych...

Słowo „zielony” stało się akordem, który rozbrzmiewając w nim, wiązał go z Deborą, i przez ułamek sekundy Mingolla doświadczył wszystkimi zmysłami tak swojego ciała, jak i jej, tego, co czuła, mając go w sobie, rozluźnionego ciepła, rozkoszy napełnienia.

...rajach. Miejscach bez nieznajomych, bez reguł, bo będziemy sami ustalać reguły, według własnych potrzeb...

Jej pasja uświadomiła mu narastającą w nim samym ambiwalencję, z którą jednak usiłował się nie zdradzić.

...co w tym dziwnego...

...zawsze tego nie znosiłam, dżungli, lasów... ojciec nieustannie ciągnął nas w głąsę... uwielbiał to, uwielbiał pustkę... a potem, kiedy wyszłam z więzienia, tak długo włóczyłam się po dżunglach i górach... że je znienawidziłam... ale z tobą, z tobą pragnę czystego miejsca, miejsca, którego nikt nie zniszczył, nie tknął...

Stropiony, pragnąc ją uciszyć, bo wszystko, co mówiła, sprawiało, że tracił wiarę w jej zdrowe zmysły, jakże bowiem mogła być tak radosna i pełna nadziei w tym okropnym miejscu, poruszył się w niej.

...David, o Boże, David...

Ścisnął jej pośladki obiema dłońmi, wwiercał się w nią, wpychał wszelkie uczucia.

...Chcę, żebyś się we mnie spuścił, David... teraz... ale w usta, chcę cię mieć w ustach...

Te słowa wzmożyły jego podniecenie, dźgał ją więc przez kilka sekund, a potem

zniechęcił, czując, że się rozprasza.

Świetne szwy w szczelinach żaluzji, skóra Debory połyskująca białawo w rozmazanych prążkach...

...co się stało, David...

...zmęczony, to wszystko...

...możemy przestać, nie ma sprawy...

...może...

...będziemy się kochać rano... chcę tego, chcę jutro wstać, czując, że wciąż jesteś we mnie ciepły...

Tulił ją, kiedy odpływała w sen, muskał obrzeża jej myśli, ich dusze zazębiały się jak tryby na wolnym biegu, i oto nagle ujrzał bezmiar gładkiego złocistego drewna, doświadczył jej osobowości, jej lęków i spokoju stanowiącego podglebie wszystkich nastrojów i usłyszał rozswiergotany kobiecy głos paplający o kliencie, którym należy się zająć, wiedział, że ta kobieta to jego... a raczej Debory ciotka, Juana, trochę już sklerotyczna Debora zaś badawczo się wpatrywała w słoje drewna, odnotowując, jak podłużne linie zawijają się w ciemne spirale przypominające stylizowane grzbiety fal, a potem, podniósłszy wzrok na przeszkłone półki z bryłami prekolumbijskiej ceramiki, po myślała z niechęcią, że ciotka znów gada, ciągle to samo, a jeśli nie przestanie, tatuś się zdenerwuje i trzeba będzie go uspokajać przez całą noc. Spojrzała na niego, ciężkiego pałubiastego mężczyznę, którego beznamietna twarz wcale nie różniła się tak bardzo od wyobrażeń na ceramice... i wtedy Mingolla znów stał się sobą, oszołomiony naturą tego kontaktu, zastanawiając się nad wszystkimi swoimi próbami rozgryzienia Debory takiej, jaką była, zamknięta we wspomnieniach z innego czasu, w mieszance opanowania, troski i naiwności stanowiących podstawowe składniki jej duszy, pod którymi skrywało się jeszcze niepewne, zabarwione nadzieją założenie, iż my, wszyscy ludzie, jesteśmy tacy sami, zanim się narodzi niewinność. Potem następne wspomnienie, tak ulotne, że zdołał pochwycić z niego uczucie bólu i osłepienia brutalnym światłem, i oto wirował w nurcie jej pamięci, w czerwonej poświacie, która była jak blask jej krwi mknącej w przeszłość, wspomnienia przemykały tak szybko, że ledwie potrafił je rozróżnić, a potem nurt zwolnił, wniknął w region szarości, mroku, przykurzonych pradawnych wspomnień, skrzypiących rupieci; Mingolla ujrzał pożółkłe koronkowe welony, pajęczyny wspomnień, które, wyjmowane z okutych mosiądzem skrzyń, strząsały z siebie śpiewający pył, a śpiew przekładał się na pęd krwi, potem zaś głosy, obrazy i myśli, i szedł przez ogród z młodym mężczyzną, słońce haftowało cieniem kamienne płyty, tuż za nimi duefia, nieśmiałe szepty i znaki, potem nagle ból wyszarpywanego dziecka, jeszcze później rozdzierający serce wizerunek schorowanego starca, którym stał się kochanek, wreszcie szczęk stali, wrzaski, srebrzysty pancerz osłaniający łeb konia różowieje w fontannie krwi tryskającej z rozplątanej szyi wierzchowca; przepływ wspomnień znów nabiera tempa, głosy

i obrazy zlewają się w pajęczyny złotego światła, które splata nie kończący się wzór, scala krew, czas i historię w ciasny węzeł, seksualną jedność... Mingolla wychynął z otchłani tej wędrówki, czując się, jakby spadł z wysokości stu pięter i wylądował w puchu. Pocił się obficie, serce mu waliło, był więc zdumiony, że Debora nadal śpi. Usiłował skorelować najświeższe doświadczenie z przecuciem magicznej spójności, jakie go nawiedziło, kiedy pracował nad major Cabell, nie wyszedł jednak z kręgu supozycji, mętnego teoretyzowania, za oczywiste uznając jedynie to, iż kontakt odwoływał się do natury jego związku z Deborą, faktu, iż są jedynie krótkim oślepiającym rozbłyskiem, nie zaś tworem naprawdę materialnym...

Irma westchnęła, Mingolla na nią zerknął. Opierała się o szybę w drzwiach; na szybie, tuż obok jej ust, widniała – niczym komiksowy dymek – kalkomania reklamówki Marlboro z kowbojem przypalającym papierosa. Kołysała w ramionach wyimaginowane dziecko. Dumnie podsunęła je Mingolli, ów zaś – wciąż pogrążony w myślach o Deborze – widząc w ramionach Irmy nie pustkę, lecz wspomnienia, stwierdził:

– Taa... ładny chłopaczek.

*

Padalo każdego ranka, każdego popołudnia, często również w nocy, ilekroć zaś przestawało – miejsce deszczu zajmował upał, który, jak się zdawało, miał postać cielesną, był wielkim przezroczystym zwierzęciem, przysiadającym na ulicach i wionącym dokoła zgnitym oddechem. Afisze przyklejone do murów marszczyły się na rogach i zwijały jak papirusy, rozgrzane powietrze falowało nad dachami i chodnikami, zapowiadając jakby dematerializację całego barrio, asfalt przemieniał się w takie blocko, że można było palcami odrywać gumiate bryłki. Żołnierze szwendali się tam i sam w przesyconym wilgocią powietrzu, słaby, przerywany pomruk ich umysłów przypominał bzyczenie ostatnich jesiennych much uwięzionych pomiędzy szybami. Pot spływał z ludzi kroplami rozmiaru szalotek, uśmiechy były teatralne i wysilone. Potem znów padał deszcz: zmniejszał skwar o ułamek stopnia, rozpryskiwał się o asfalt, bębnił w dachy i stukał w okna; leżąc wieczorem w łóżku, Mingolla wyczuwał w jego nerwowym rytmie napięcie towarzyszące narodzinom nowych zdarzeń. Zdarzeń mocarnych i ostatecznych. Dobrych czy złych – nie wiedział i nie musiał wiedzieć... Sparaliżowany rzuconym na siebie zaklęciem złego życia i złej pogody, stracił zainteresowanie dla ostatecznych rozstrzygnięć, martwiąc się tylko o to, aby przeżyć jakoś następny dzień.

Zakwaterowano ich w pensjonacie o nazwie Casa Gamboa, parterowym, pomalowanym na różowo budynku z wewnętrznym dziedzińcem, którego środek wypełniał basen o wodzie tak brudnej, że przypominała „kawałek jaspisu wśród jaskrawych płyt”. Ary siedziały na drążkach pod okapem dachu, chichotały i porozumiewawczo zerkały na przechodniów. Gęsta puszczańska

roślinność strzelała kępami wokół basenu. Przez furtkę w głębi dziedzińca było widać starego żółtego człowieka na wózku inwalidzkim, który całymi dniami przesiadywał w małym ogródku, przywiązując wstążki papieru do palików pomiędzy grządkami. Pokojówką była urodziwa smagła kobieta o imieniu Serenita. Wszystkie te rzeczy były elementami opowiadania Fikcyjny pensjonat. Mingolla nie był zaskoczony, że mieszka w opowiadaniu Pastonna – czy też Izaguirre’a. Uświadomił sobie, iż żyje w nim od czasu Roatanu, i że nawet sam fakt jego istnienia został w jakimś stopniu wykoncypowany przez Sotomayorów. W istocie status protagonisty dzieła będącego fikcją literacką przyjmował z uczuciem ulgi, bo był dzięki temu odizolowany od rzeczywistości, tak więc każdą chwilę, kiedy nie pracował, spędzał w pokoju, który zamieszkiwał wraz z Deborą. Przestronnym białym pokojem, o wiele za dużym dla skromnego umeblowania składającego się z krzesła, stołu, łóżka i komody. Chłodził go poskrzypujący wentylator pod sufitem, na ścianie zaś, obok drzwi, wisiał tani krucyfik; dokładnie za krzyżem biegł w stronę lampy na suficie przewód elektryczny, co sprawiało wrażenie, iż Chrystus ma do odegrania jakąś istotną rolę w przepływie prądu. Sama postać Chrystusa przedstawiona została nędznie: miała zbyt długie dłonie i stopy, wyraz twarzy natomiast zgryźliwy raczej niż uduchowiony. Mingolla rozumiał zdeformowane wartości duchowe, które ucieleśniał wizerunek, mając zarazem nadzieję, iż sprawi cud adekwatny do swej groteskowości.

Pewnego razu Debora wyciągnęła go z pokoju na sesję negocjacyjną. Chciała, żeby naocznie się przekonał, iż wszystko idzie dobrze; był wprawdzie zupełnie odmiennego zdania, ale jakiegokolwiek próby podjęcia dyskusji na ten temat nie miały sensu. Kurczowe trzymanie się przekonań, bezgraniczne zaangażowanie, leżało głęboko w naturze Deby i Mingolla zdawał sobie sprawę, iż tylko boleśnie rozczarowana, może się wyrzec pomysłu rewolucji nawet tak zwyrodniałej jak ta.

Rozmowy odbywały się w taniej jadłodajni z bladozielonymi ścianami, długimi stołami i szklaną pokrywą na szynkwasiu, pod którą wśród resztek jedzenia leżały martwe muchy i zmięte kawałki papieru śniadaniowego. W negocjacjach uczestniczyły dwa zespoły złożone z pięciu przedstawicieli każdego rodu, a oprócz tego garstka esperów po terapii narkotykowej. Esperzy – w banio, jak powiedziano Mingolli, przebywało ich z górą trzydziestu – byli wrogo nastawieni i podejrzliwi; ani Mingolli, ani Deborze nie udało się nawiązać z którymkolwiek z nich bliższego kontaktu, ich zainteresowanie ograniczało się do kontaktów z różnymi członkami rodów. Sotomayorowie jednak – z wyjątkiem Ruya – byli uprzejmi aż do przesady. Szczupli, długonosi, prezentowali się dosyć topornie, chociaż ich główna negocjatorka, wysoka kobieta po trzydziestce zwana Mariną Estil, była piękna w jakiś jastrzębi surowy sposób. Miała niemal sześć stóp wzrostu, wydatne kości policzkowe, wielkie oczy i czarne włosy ostrzyżone w taki sposób, że przypominały kaptur. Jej niezwykle smukłe palce wydawały się bledsze niż reszta dłoni. Za sprawą swej szczerości w diagnozowaniu wad Sotomayorów, wywarła na

Mingolli wrażenie kogoś, czyja troska o zawarcie pokoju bierze górę nad imperatywami zrodzonymi z waśni, uznał zatem, że można okazać jej miarę zaufania.

– Masz tak wielką moc i tak niewiele zainteresowania, aby ją wykorzystywać – powiedziała mu w pewnym momencie.

– Ale, oczywiście, niejednemu z nas sprawiasz kłopoty tym, w jaki sposób mimo wszystko czynisz z niej użytek.

– Taa? – mruknął. – A to dlaczego?

– Mówię o twoim poświęceniu względem żołnierzy.

– To żadne poświęcenie. Po prostu nie mam nic lepszego do roboty.

– Z pewnością sprawa ma głębsze podłoże.

– Możliwe... ale to nieistotne.

– Dla nas istotne. Twoje uczynki potęgują w nas wyrzuty sumienia. Jest nam trudno nieść brzemień własnych grzechów nawet wtedy, kiedy nie wypominasz nam najstraszniejszego z nich. Są wśród nas tacy, którzy twoje poczynania traktują jako zniewagę.

– Ich problem.

Roześmiała się.

– Zastanawiam się, czy rozumiesz, jakim jesteś wyzwaniem dla nas.

– Chyba rozumiem.

– Och, wątpię, czy rozumiesz w pełni. Na przykład, czuję ostatnio, że mnie pociągasz, a źródeł owego zauroczenia nie upatruję w twojej bliskości czy też jakichkolwiek uwarunkowaniach fizycznych, lecz w twojej mocy.

To mu się podobało. Jej szczerść utwierdzała go w przekonaniu, iż Marina usiłuje zapanować nad własnymi impulsami. Nie pociągała go, a jednak myśl o uprawianiu z nią seksu była dlań równie intrygująca, jak doznawana niegdyś pokusa, aby wsadzić rękę pomiędzy pręty klatki w zoo w Bronksie i przekonać się, czy łapa jaguara jest tak miękka i puszysta, jak to wydaje się z daleka.

– Bez obawy – dodała. – Nic ci nie grozi z mojej strony.

– Niczego się nie obawiam – odparł. – Gdybyś nawet była niebezpieczna, to i tak na liście moich zagrożeń zajmowałabyś niską pozycję.

Sotomayorowie, pod wodzą Mariny, przybyli do knajpy jako pierwsi i zajęli miejsca po jednej stronie stołu. Madradonowie pojawili się pięć minut później i usiedli naprzeciwko. Prezentowali równie wyrazisty typ fizyczny jak Sotomayorowie: byli niscy, masywni, pucółowaci, porośnięci gęstym czarnym włosiem. Mingolla wyobraził sobie, że jest świadkiem debaty pomiędzy przedstawicielami dwóch obcych ras. Przysadzistych smagłych demonów o końskich zębach i bladokórych ludzi-węży z rubinami w oczodołach. Madradonów

charakteryzowała dziarskość i energią, ich zachowanie kontrastowało ze zblazowaniem przeciwników, mimo swych zastrzeżeń Mingolla żywił zatem nadzieję, iż koniec końców ich mentalność kompetentnego sklepikarza weźmie górę nad kapryśnym usposobieniem Sotomayorów i dzięki temu pokój zostanie jednak zawarty. Ale po kilku godzinach rozmów wydarzyło się coś, co ową nadzieję rozwiało.

Sotomayorowie zaproponowali, aby obydwie rodziny pozostawały w tle spraw ogólnoswiatowych i prowadziły restrykcyjną kontrolę urodzin, aby wyeliminować skłonności ludobójcze; stanowisko Madradonów było dosyć zbliżone, temat wszakże najwyraźniej budził w nich skrajne emocje, za sprawą których zaczęli reagować grubiańsko, a nawet obraźliwie. W pewnym momencie jakiś przysadzisty Madradona z półksiężycowatą blizną w kącie prawego oka zerwał się, przewracając przy tym krzesło.

– Paryż, dwadzieścia lat temu – powiedział. – Pamiętacie, nieprawdaż?

– Nie ma potrzeby, aby to wywlekać, Onofrio – zareplikowała Marina.

– Pucz mnie, jak mam zapomnieć! – Onofrio zacisnął pięści, wsparł je na stole i pochylił się do Mariny. – Bo, cholera, pamiętam aż za dobrze. Wyglądałem przez okno, słyszałem kwilenie dziecka w sąsiednim pokoju. Sara zawołała: „Jest jakaś paczka do ciebie, chyba prezent. Chodź, zobacz”. Zdążyłem zrobić kilka kroków, kiedy ów „prezent” wybuchł. – Wyglądał tak, jakby zamierzał splunąć. – No więc wybijcie sobie z głowy, sukinsyny, że będziecie mi dyktować, kiedy mogę, a kiedy nie mogę mieć dzieci. I bez tego zabraliście nam aż nazbyt wiele dzieci.

– A wy nie? – zapytał Ruy. – Co powiesz o dziecku Mariny? Czy jej ból jest mniejszy niż twój? Czy twój stryjasek ma czyste sumienie?

– Mojemu stryjowi udzielono po mocy – odrzekł Onofrio. – Pamiętasz, Ruy?

– Przestańcie – wtrąciła Marina. – To nie jest...

Kobieta z rodu Madradonów zerwała się i wrzasnęła na Ruya, a po chwili stali już wszyscy, krzykliwie mnożąc oskarżenia, wyliczając morderstwa, gwałty i zdrady. Mingolla ruszył w stronę drzwi.

– Nie wychodź – poprosiła Debora, dogoniwszy go, zanim do nich dotarł. – Uspokoją się. Jak zawsze.

Niepokój ścigał usta Debory i Mingolla pragnąłby zostać, żeby jej sprawić przyjemność, ale wszystkie odgłosy waśni, ten gniewny bełkot i przekleństwa, uzmysłowiły mu, jaki obłęd panoszy się w barrio, pokręcił więc tylko głową.

– David! – zawołała.

Obejrzał się przez ramię.

– Posłuchaj – powiedział. – Ty pilnuj tego interesu, a ja będę robić swoje. Dobra?

Jej twarz wyrażała na przemian wątpliwość i rozczarowanie. Po chwili zawróciła na pięcie i podeszła do stołu.

Większość żołnierzy trzymała się centrum barrio, krążąc bezcelowo jak stadka ogłupiałego bydła i padając, gdzie popadnie, kiedy znużenie brało górę nad podnieceniem. Zbłąkane sztuki jednak można było znaleźć w każdym miejscu i właśnie na dwóch przedstawicieli tej kategorii Mingolla natknął się pewnego popołudnia na stopniach pałacu, który Juan Pastorfn wzniósł dla dzieci biedaków. Była to futurystyczna kopuła z błękitnego plastycznego stopu, przypominająca gigantyczną tandetną zabawkę. Miała złociste drzwi i kępy wieżyc wyrastających na wysokość stu pięćdziesięciu stóp ponad parking, który otaczał budowlę jak czarna fosa. Zdawało się, że słońce marszczy jej powierzchnię falami łśnień i w oczach zbliżającego się Mingoilli całość miała w sobie coś z niestabilności mirażu. Zaciekawiony, co jest w środku, wślizgnął się przez drzwi do słabo oświetlonego pomieszczenia rozmiaru połowy boiska futbolowego. Podłoga była z płyt imitujących kamień, ścian nie zdobiły żadne dekoracje. Wgłębienia w podstawach wieżyc sprawiły, iż Mingolla poczuł się przez chwilę tak, jakby przebywał we wnętrzu plastikowej lalki, przypominały bowiem otwory powstałe w miejscu rąk i nóg. Krzyknął, żeby sprawdzić, jak w tym wnętrzu niesie się echo, i miał właśnie wyjść, kiedy z drzwi w głębi wyłoniła się kobieta. Nie kobieta, pojął po chwili, widząc, jak sunie w jego stronę. Robot wymalowany i ubrany tak, żeby przypominał pulchną wiktoriańską matronę. W sztywnej żółtej sukni ozdobionej ażurowym stroikiem z czarnego jedwabiu; z kokiem ujętym w siatkę; z plamami rózu na afektowanym głupawym obliczu. Był dwukrotnie szerszy i o głowę wyższy niż Mingolla, który przezornie cofnął się o kilka kroków.

– Labirynt jest zamknięty z powodu remontu – poinformował robot piskliwie. Za woskowymi kryształkami jego oczu obracały się obiektywy kamer. – Czy chcesz posłuchać opowieści?

– Nieszczęśliwie – odparł Mingolla.

– Mam opowieści dla wszystkich kategorii wiekowych. Detektywistyczne, przygodowe, romantyczne. – Robot nieustannie strzelał na boki swymi obłąkanymi oczyma. – Znam... co powiesz o historii miłosnej?

W Mingoilli obudziła się podejrzliwość; czyżby robotem kierował ktoś, kto go zna?

– Nie, dzięki – powiedział.

– Niemniej jednak chętnie przedstawiłabym ci którąś z nich – rzekł robot. – Bez wątpienia byłbyś zachwycony.– Przesunął się w stronę drzwi, blokując wyjście. – Jedyne problemy polegają na tym, że historie miłosne są takie smutne. – Przechylił głowę na bok, a Mingoillę zaniepokoiła obsesyjna uporczywość jego spojrzenia.

– Wypuść mnie – powiedział. – Nie chcę słuchać twoich cholernych opowiastek.

– Och, ale nigdy nie słyszałeś takiej jak ta. Jest do tego stopnia smutna, że cię uszczęśliwi. Czy wiesz, iż jest faktem stwierdzonympsychologicznie, że smutne opowieści mają na słuchacza zupełnie odwrotny wpływ? To prawda. Poczujesz się znacznie lepiej, kiedy już...

– Do diabła z tym! – warknął Mingolla. – Wypuść mnie.

– Przykro mi... nie możesz wyjść bez reszty swojej grupy. No więc po prostu zaczekaj ze mną i posłuchaj, a niebawem przyjdzie po ciebie twoja nauczycielka. – Robot skrzyżował ramiona na piersi i obdarzył Mingollę dobrotliwym spojrzeniem kochającej ciotuni. – Otóż, jeśli chodzi o tę konkretnie historię...

Robotowi przerwał czyjś okrzyk i przez salę przykuszykał do nich stary mężczyzna w brązowym mundurze i takiejż czapce.

– Co tu robicie? – zapytał. – Obiekt zamknięty.

– Labirynt jest nieczynny z powodu remontu – oświadczył robot.

Starzec parsknął, a kiedy wcisnął jakiś guziczek w boku robota, ów zeszywniał i ucichł

– Nigdy nie skończyli labiryntu. Nigdy niczego nie doprowadzili do końca. Kolejna z ich głupot.

Był chudy, blady, długonogi i długoręki, spod czapki sterczały pierścienie siwych włosów. Miał powierzchowność Sotomayorów i chociaż zakrawało na absurd, że Sotomayor pracuje jako dozorca, Mingolla spytał starego, czy może jest spokrewniony z rodem.

– Kiedyś byłem – odparł.

– Nie rozumiem.

Stary człowiek zdjął czapkę, przygładził włosy.

– Obluskali mnie. Powiedzieli, że ich zdradziłem. Pewnie mieli rację, chociaż zdarzało im się puszczać w niepamięć większe zdrady. Najpierw ich za to znienawidziłem, ale z czasem się przekonałem, że to mi wyszło na dobre. Moc i władza tylko ich unieszczęśliwiły. – Prześwidrował Mingollę spojrzeniem i smętnie potrząsnął głową. – Ciebie też unieszczęśliwi.

– Co to znaczy, że cię obluskali?

– Spiknęli się we trzech, otworzyli mój mózg i obluskali mnie z całej mocy. Potem wyrazili ubolewanie, ale w owym czasie byłem już rad, że to się stało. Słyszałeś powiedzenie, że władza deprawuje?

– Mhm.

– Otóż robi jeszcze gorsze rzeczy, możesz mi wierzyć. Przynajmniej im. Nobilituje ich, każe żyć w przekonaniu, że wszystko, co robią, jest słuszne. – Stary prychnął jak koń. – Są nafaszerowani dobrymi intencjami, ale przeważnie postępują źle. To potwory. Powinieneś o tym wiedzieć, bo jesteś taki sam jak oni.

Mingolla uznał za stosowne zmienić temat.

– Czy to Izaguirre wznosił tę budowlę?

– Izaguirre, Pastorfn... jakkolwiek w danej chwili nazywał się Carlito. – Stary mruknął z niesmakiem. – Już jako dzieciak był szalony. Brał, co chciał, i udawał, że to uczynek świętego, obojętne kto został przy tym skrzywdzony.

– Opowiedz mi o nim.

– Wystarczy, że rozejrzysz się dokoła. Popatrz na to miejsce, popatrz na barrio. Ha! Popatrz na tamtych. Sądzą, że trzymają wszystko w garści, ale są tylko pionkami Carlita. Wykonanymi na jego wzór i podobieństwo. – Stary nasunął czapkę na oczy. – Najlepiej, żebyście wszyscy jak jeden skoczyli do morza. Teraz idź już, wynoś się. Obiekt zamknięty.

– Chciałem tylko...

– Wynoś się, mówię! – Stary go popchnął. – Twoja bliskość mnie dołuje.

Wypędził Mingollę, wymachując swoimi kościstymi rękoma, a potem zatrzasnął za nim drzwi.

Mingollę oślepił mocny blask słońca. Dwaj mężczyźni na schodach poruszyli się jak liście w słabym wietrze. W tej chwili nie palił się specjalnie, żeby im pomagać, ale musiał coś zrobić dla zabicia czasu. Jeden z mężczyzn – brodaty blondyn ubrany w ciuchy, które sprawiały wrażenie unurzanych w sadzy – opierał się o ościeżnicę. Miał pokancerowaną twarz, a blizny były zaklejone brudem. Długie pozlepiane włosy. Choć siedział w cieniu, zwężone źrenice jego niebieskich oczu żarzyły się, jak gdyby podświetlał je jakiś wewnętrzny ogień. Na jego kolanach spoczywała maczeta, której ostrze przysyłały brązowe plamy. Drugi mężczyzna leżał tuż obok, zwrócony twarzą do złocistych drzwi. Mingolla uklęknął, przygotowując się do pracy, kiedy jednak pochwycił spojrzenie błękitnych oczu pierwszego, kiedy zauważył zaciętość ust i lekkie zmarszczenie czoła, ogarnęła go bezmierna rozpacz.

– Gilbey? – zapytał, a potem, wiedząc, że to na pewno Gilbey, mocno nim potrząsnął. – To ja, Mingolla, człowieku! Hej, Gilbey!

Gilbey gapił się na swe splekane, odrapane kłykcie.

Mingolla zogniskował swą moc w próbie odtworzenia wzorów Gilbeya; mówił przy tym przez cały czas, pragnąc rozpaczliwie, aby ten posępny łobuzerski duch rozpałił się na nowo.

– No, człowieku – powiedział. – Pamiętasz Farmę... Frisco? Musisz pamiętać Frisco. – Był spanikowany jak dzieciak, który usiłuje poskładać kawałki stłuczonej przez siebie kosztownej wazy.

Po kilku minutach Gilbey zareagował.

– Mingolla – powiedział z niedowierzaniem. – Ja... – Kuksnął drugiego mężczyznę. – A ten to Jack.

Jack mruknął, odepchnął rękę Gilbeya.

Zdawało się, że Gilbey odpływa, potem znów nabrał energii. – Wiesz, kto to jest? – zapytał, poklepując ramię Jacka. – To... to sławny facet. Hej, Jack! Obudź się!

Jack przewrócił się na wznak, zmrużył oczy w słońcu. Znaczną część twarzy zasłaniała gęsta czarna broda, ale jego rysy – zastygłe w wyrazie lisiego sprytu – wydały się Mingolli znajome.

– Jest sławny – powtórzył Gilbey. – Powiedz mu, Jack. Powiedz mu, kim jesteś.

Jack potarł czoło wnętrzem dłoni.

– Mam na imię Jack – powiedział niewyraźnie.

– No, nie, człowieku! – zirytował się Gilbey. – Ten gość to... Kurwa! Powiedz mu, Jack!

– To nieistotne – wtrącił Mingolla.

– Jestem... – Jack ścisnął skronie, jak gdyby usiłując uporządkować myśli. – Jestem piosenkarzem.

– Tak, tak! – ucieszył się Gilbey. – W tym rzecz. Pamiętasz, Mingolla. Prowler.

Mingolla gapił się z niedowierzaniem, widział, jak spoza brudu i zarostu materializuje się twarz Jacka Lescaux.

– Jakżeś tu wylądował?

Jack znów się odwrócił twarzą do drzwi.

– Nie za dobrze się czuje – wyjaśnił Gilbey. – Ale to on, nie?

– Tak, to on. – Mingolla wstał, nagle wyczerpany. – Chodź ze mną. Znajdę ci kojo w swojej chacie. – Zerwał odbiornik z ucha Gilbeya.

– No, nie wiem – powiedział Gilbey. – Musimy...

– Jest w porządku... wezmę odpowiedzialność. Gilbey szarpnął koszulę Jacka.

– Idziemy, chłopie.

– Zostaw go tutaj.

– Nikogo nie zostawiam, człowieku – odparł Gilbey, manifestując swą dawną lojalność. – Trzymamy się razem.

– Dobra. – Mingolla wziął się za Jacka i po chwili postawił go na nogi. Jack był niższy, niż na podstawie obrazu w telewizji wyobrażał sobie Mingolla; nosił ciuchy równie plugawe, jak Gilbey, a w lewej dłoni ścisnął łom. Ci dwaj podpierający się wzajemnie faceci w łachmanach wyglądali jak dwaj zombi na moment przed powrotem do grobu. Dwa błękitnookie truposze...

W ślad za Mingolla powlekli się przez parking, a potem pustą ulicą pełną sklepów spożywczych, mięsnych i z pieczywem. Freski na ścianach przedstawiały ciasta w aureolach lukru, lody w galaktykach eksplodujących gwiazd, banany spowite w bluszcze nut. Świadectwem przemarszu wojsk były skręcone jak węże ludzkie gówienia.

Gilbey dogonił Mingollę, badawczo popatrzył mu w oczy.

– Co się z tobą stało, człowieku? – zapytał.

– Masz na myśli we Frisco?

– Mhm. – Gilbey się potknął, odzyskał równowagę. – Co ci się stało tutaj? – Popukał się w czoło, bardzo ostrożnie, jakby przejęty obawą, że mógłby wybić dziurę.

– Złe narkotyki – odparł Mingolla. – Wojna. Takie tam gówna.

Gilbey przytaknął, zmarszczył czoło.

– To samo ze mną – powiedział.

Rozdział 16

Pewnego wieczoru wkrótce po spotkaniu z Gilbeyem i Jackiem Lescaux Mingolla miał właśnie wejść do swojego pokoju w Casa Gamboa, kiedy usłyszał głos Ruya dobiegający przez okno, którego okiennice były otwarte. Przywarł do ściany i zajrzał do środka. Ruy, ubrany w dżinsy i czarny sztormiak, stał przy łóżku; miał włosy gładko zaczesane do tyłu, a podniesiony kołnierz sztormiaka nadawał jego twarzy wyraz surowej szlachetności wampira.

– Zostaw mnie w spokoju! – powiedziała Debora.

Mingolla nie widział jej ze swego stanowiska, ale przebijający z jej głosu niesmak był aż nadto wymowny.

– Próbowałem – odrzekł Ruy. – Tyle że nie mogę.

– Musisz – stwierdziła. – Nie kocham cię... w istocie zaczynam czuć wobec ciebie odrazę. Czy nie masz do siebie odrobiny szacunku?

– Nie mam, kiedy chodzi o ciebie. – Ruy zniknął Mingolli z pola widzenia. – Czy nie rozumiesz, jak on cię dławi, skarła? Boże, powinnaś być...

– Nie chcę tego słuchać. Wynoś się!

– Deboro, błagam.

– Wynoś się.

– Na rany boskie, Deboro. Nie rób tego! – Słysząc było, że Ruy ma ściśnięte gardło. – Gdybym mógł dotknąć cię chociaż raz... jak kochanek.

– Żądam, żebyś natychmiast wyszedł.

– Czasem... – powiedział Ruy – ...czasem myślę, że gdybym mógł dotknąć cię chociaż jeden raz, nie potrzebowałbym niczego więcej... że krzepiłoby mnie to przez całą resztę życia.

Pauza, szuranie nogami.

– Powiadasz, że jeśli pozwolę ci się dotknąć, dasz mi później spokój?

– Ja... ja nie wiem. Ja...

– Załóżmy, że pozwolę ci się dotknąć – powiedziała Debora zimno. – Czy przysięgłbyś wówczas, że przestaniesz mnie prześladować?

– Nie powinnaś traktować mnie w taki sposób – rzekł Ruy. – Kocham cię.

– Odpowiedz.

– Pozwolisz mi się dotknąć?

– Tylko jeśli obiecasz, że dasz mi spokój.

Czując narastający gniew, Mingolla podszedł do drzwi.

– Proszę, nie rób tego – powiedział Ruy.

Kolejna pauza, a potem słowa Debory:

– Wiesz, co ci powiem? Pozwolę ci się dotknąć, pozwolę dotknąć mojej piersi, jeśli

przysięgniesz, że przynajmniej przez tydzień nawet się do mnie nie odezwiesz.

Mingolla położył dłoń na klamce.

Ruy milczał, Debora dorzuciła więc ze zniecierpliwieniem:

– A więc? Chcesz tego czy nie?

– Ja... tak. – Drżący głos zaświadczał o wstydzie.

– Dobra – po wiedziała Debora, ale zaraz dodała:

– Nie, nie mogę. Myśl, że mnie dotykasz... jest odpychająca. Wynoś się stąd.

Mingolla otworzył drzwi, Ruy obrócił się na pięcie.

Debora stała w drzwiach łazienki.

– Właśnie wychodził – oznajmiła spokojnie.

– To prawda, Ruy? – zapytał Mingo lla.

Ruy posiał Deborze niechętnie spojrzenie, a potem wymknął się z pokoju.

– Chciałam... – zaczęła Debora.

– Słyszałem – powiedział Mingo lla.

– Próbowałam go poniżyć – podjęła. – Sądziłam, że da mi spokój, jeśli do niego dotrze, jakiego idiotę z siebie robi. To chyba zagrało.

– Nie na długo – stwierdził Mingolla, rzucając się na łóżko. – Skurwysyn nie da sobie siana.

– Może nie... ale chcę załatwić go sama. Proszę, nie rób głupot.

– A na jakie głupoty mogę sobie pozwolić? Usiadła obok niego, położyła mu rękę na piersi.

– Proszę, nie rób nic. Obiecuj.

– On coś robi, wcześniej czy później. Nawet jeśli ja się powstrzymam od działania.

– Może jednak nie, może mu to przejdzie.

– Zależy od tego, jak daleko jesteś skłonna się posunąć. Szybki numerek w jakimś ciemnym kącie mógłby umniejszyć twoją aurę niezdobytej.

Zmarszczyła czoło i odsunęła się trochę.

– Nie rozumiesz, jak jest trudno utrzymywać go na dystans. Wiem, że nie sądzisz, iż...

– Otóż rzecz w tym – przerwał jej Mingo lla – że wiem, iż jesteś zdolna dać mu dupy, gdybyś doszła do wniosku, że ocali to cholerną rewolucję. Może to jest właściwa postawa. Może wszyscy razem powinniśmy wylądować w wyrku i pozbyć się naszych frustracji.

Stężała, a on poczuł, jak jej gniew zagęszcza atmosferę. Śmiech na dziedzińcu. Nonszalancki, pewny siebie śmiech Sotomayorów.

– Wybacz – powiedział. – Nie chodzi o ciebie. Chodzi o wszystko.

– Przestań gadać – poprosiła, odwracając się twarzą do ściany. – Daj mi spokój.

– Zgoda – odparł. – Ale tylko, jeśli pozwolisz mi się do tknąć.

Wkrótce potem zasnął – w ubraniu i nie ścieląc łóżka. Już dawno nie miał snu, który by

zapamiętał, ale tej nocy śnił, że spoczywa w bezpostaciowej pustce i usiłuje śnić. W końcu spostrzegł, że sen się zbliża, cienki plasterek barwy i ruchu na tle ciemności. Niecierpliwie oczekiwał jego przybycia, kiedy jednak sen był już blisko, zorientował się, iż ma postać olbrzymiego ostrza. Zdążył się obudzić na moment przedtem, zanim przecięło go na pół. Przerażony usiadł na łóżku, pragnąc otuchy i pocieszenia. Debora leżała zaledwie kilka cali od niego, ale na poły wierząc, iż sen odwoływał się do ich niezdecydowania, powątpiewał, czy mogłaby zaspokoić jego potrzeby.

Dwa dni później Mingolla włamał się do pokoju Ruya i skradł notes, w którym Ruy zapisywał swoje wiersze i rozważania o Deborze. Notes, uznał, da mu instrument, którym zneutralizuje Ruya jako zagrożenie; nie był jednak do końca pewien, dlaczego chce go neutralizować, ponieważ nie postrzegał Ruya jako kogoś, kto stanowi zagrożenie naprawdę poważne. Widział w swym postępku fanaberię zrodzoną z pragnienia, by przekalibrować swe uczucia, motywu więc – jak podejrzewał – takiego samego jak ten, który skłonił Ruya do tego, aby zacząć uwodzić Deborę. Niepokojące było to, iż dostrzega w sobie zachowanie podobne do właściwego Sotomayoram, a mimo to nie potrafił się oprzeć impulsowi.

Zawartość notesu obudziła w nim uczucie zazdrości. Spostrzeżenia Ruya na temat charakteru Debory były znacznie bardziej precyzyjne niż jego własne; przypisywał to przewadze, jaką daje możliwość prowadzenia obserwacji z dystansu, ale jego zazdrość wcale z tego powodu nie zmalała. Niektóre partie były nader dobrze napisane, a jedna w szczególności wywarła na Mingolli silne wrażenie dzięki swojej szczerości i temperaturze emocjonalnej.

„...myśl o twojej piękności wyrywa mnie czasem ze środka snów, których nie pamiętam; to nie wizerunek twojej twarzy, miękkość twojej skóry, lecz nagle uświadomienie sobie piękna uderza we mnie, zanim jeszcze wyostrzą się szczegóły, brutalnie wyrywa na świat i pozostawia rozbitego na mieliznach łóżka. Przez chwilę odczuwam gniew, że cię tu nie ma, ale potem gniew wygładza się w tęsknotę, wstaję więc, chodzę w kółko i rozmyślając o remediach, nawiedzam mrok swojej łazienki. Dostrzegam, że nie ma powodu do gniewu, nie ma powodu, byśmy dokonywali właściwych wyborów, byśmy marnowali sobie życie... w końcu nasze życie i tak jest zmarnowane, po co się więc sprzeciwiać światu, który tylko czeka, żeby przemienić nas w zgęstki bólu i bezwłose pomarszczone kukły, po cóż przypisywać wartość miłości bądź jakiegokolwiek innemu uczuciu, które zagraża naszemu wyobrażeniu przewidywalnego? A kiedy już podręcę się przez godzinę tym wszystkim, kiedy zgłębię nadzieję i jej brak, to myśl o twojej piękności pozwala mi leć z ciężką głową na łóżku, przygniatając takim brzemieniem, że jak głąz przewalam się przez grań czuwania i tonę w odmętach snów, których nie będę pamiętać”.

Ten fragment, a także inne sprawiły, że po raz pierwszy Mingolla dostrzegł w Ruyu człowieka – i to zwiększyło jego determinację; nie miał zamiaru postrzegać Ruya w taki sposób,

aby więc zredukować go na powrót do kategorii wroga bez oblicza i charakteru, podjął przeciwko niemu nieodwołalne działanie.

Dwa razy tygodniowo Marina Estil prowadziła w swoim hotelu coś, co nazywała „terapią grupową”. Wielokrotnie usiłowała nakłonić Mingollę, by wziął w niej udział, konsekwentnie jednak odmawiał, nie chcąc za bardzo się angażować w sprawy Sotomayorów. Niemniej jednak wieczorem następnego dnia po tym, jak ukradł notes Ruya, poszedł do hotelu Mariny, aby się przyjrzeć sesji. Hotel Mariny był odległy o trzy przecznice od Casa Gamboa i służył za kwaterę przywódcom zespołów negocjacyjnych zarówno Sotomayorom, jak i Madradonom. Mingolla przybył pół godziny za wcześnie; zamiast się pałętać po foyer, wszedł do lobby i zasiadł przed telewizorem podłączonym do anteny satelitarnej na dachu budynku. Zapytał, jedyne go poza sobą, gościa w lobby – młodego mężczyznę z rodu Sotomayorów – czy ma coś przeciwko temu, żeby włączyć telewizor, następnie zaś tak długo wędrował po kanałach, aż na ekranie, mając w tle grupkę żołnierzy wspinających się na wzgórze pod zachmurzonym niebem, zapłonęły ogniste słowa OPOWIEŚCI WOJENNE WILLIAMA CORSONA. Corson odwiedził Mrówczą Farmę podczas służby Mingolli i – co wynikało z wszelkich doniesień, jako że Mingolla nie poznał go osobiście, – okazał się porządnym facetem. Baylor udzielił mu wywiadu, a zapytany przez Mingollę, jaki właściwie jest ten dziennikarz, odparł: „Załamuje się na górkę”. Co było w języku Baylora wyrazem akceptacji. Przepłynęły napisy początkowe i w obiektywie kamery pojawił się Corson, a za jego plecami żołnierze wciąż się wspinali po zboczu. Corson był wysoki, brodaty, ubrany w drelichy, miał orli nos i mięsiste wargi; wyglądał – doszedł do wniosku Mingolla – jak młodsza, szczuplejsza wersja Fidela Castro.

– Widzicie za mną – powiedział Corson – żołnierzy Pierwszej Dywizji Piechoty zmierzających w stronę walk na północ od jeziora Izabal. Kiedy pokonają to wzgórze, znajdą się w gorącej strefie, strefie, która jest gorąca od niemal trzech lat, która jest polem wciąż nie rozstrzygniętej bitwy. Ten fakt wiele mówi o naturze wojny. Bitwy wykwitają jak cieplarniane rośliny w samych środkach spacyfikowanych regionów, wykwitają bez żadnych oczywistych powodów, może prócz strategii dowództwa, którą w najlepszym razie można określić słowem „zagadkowa”. Wszystkie wojny mają swój szczególny charakter. Pierwszą światową określano mianem Wojny, która Zakończy Wszystkie Wojny. Drugą światową była sprawiedliwą krucjatą przeciwko szaleńcowi z legalnym mandatem. Wietnam uważano zarówno za wycieczkę do piekła, jak i za monstrualny błąd polityczny. Ta wojna natomiast... cóż, poeta Kieran Davies dostrzegł w niej „donośny bełkotliwy zew Epoki Impotencji, złowieszcze dopełnienie gołych meczów w tenisa i żarcia z fast foodów jako recepty na niestrawność”. Obrazowanie Daviesa ma swe źródło w...

– Bardzo smutne – rozległ się głos tuż obok Mingolli.

Młody Madradona zajął sąsiednie krzesło. Był puciołowatym uśmiechniętym

dwudziestokilkulatkiem, ubranym w firmowy trykot Coca-Coli i mokasyny.

– Ale niebawem – dodał, czyniąc gest w stronę ekranu – będzie już po wszystkim, prawda? Mingolla wzruszył ramionami.

– Chyba tak.

– Ależ tak, tak. – Młody człowiek poklepał się po piersi.

– My to wkrótce zakończymy.

– Super.

– Ty jesteś Mingolla, nie?

– Taa.

– Ja jestem Chapo. Miło cię poznać. – Chapo wyciągnął dłoń, a Mingolla niechętnie ją uścisnął. – Z którego miasta w Stanach pochodzisz?

– Z Nowego Jorku.

– Z Nowego Jorku? Ależ to cudowne! Ja mieszkam rok w Nowym Jorku, w Grinlycz Village.

– Kto by pomyślał. – Mingolla usiłował wciągnąć się ponownie w monolog Corsona, ale Chapo był nieustępliwy.

– Uwielbiam Nowy Jork – oświadczył. – Uwielbiam szczególnie Metsów. To taka cudowna drużyna! Lubisz Metsów?

– Nie.

– No więc pewnie Jankesów?

Mingolla skinął głową.

– Też są dobrzy – stwierdził Chapo tonem człowieka idącego na ustępstwo. – Ale myślę, że Metsi są trochę lepsi.

Mingolla posępnie gapił się w ekran.

– Interesuje cię ten program?

– Właśnie.

– Bardzo przepraszam. Poglądam z tobą.

Corson zaczął wywiad z młodszym od Mingolli, ostrzyżonym na jeża chłopakiem, który na swej nylonowej kurtce lotniczej miał naszywkę Kawalerii Powietrznej.

– Chciałbyś może powiedzieć coś swoim rodzicom... albo przyjaciołom? – zapytał Corson.

Chłopak oblizał wargi, wbił wzrok w ziemię.

– Nie, raczej nie.

– Dlaczego?

– A co tu gadać? – Chłopak pokazał gestem żołnierzy, dżungłę. – Obraz jest wart tysiąca słów, nie? – Znów spojrzał na Corsona. – Jeśli nie wiedzą, co jest grane, moje gadanie nic tu nie zmieni.

– A co jest grane, twoim zdaniem?

– W tej wojnie? Ta jebana wojna to kupa gówna, człowieku. To miejsce byłoby w porządku, gdyby nie wojna.

– Podoba ci się więc Gwatemala?

– Nie wiem, czy mi się podoba... to dziwny kraj, kapujesz. Ekstra, można powiedzieć.

– Co w nim jest takiego ekstra?

– No... – Chłopak zamyślił się głęboko. – Jednego razu załapałem się na kurs do Reunion z tymi chłopakami od mini-czołgów... konwojowali cysterny na autostradzie Peten. No więc jedna z cystern dachuje w samym środku dżungli, olej napędowy rozlewa się po całej pierdolonej okolicy. Nic nie może jechać dalej, do czasu aż wyciek zostanie uprzątnięty. I nagle z krzaków wyłażą te wszystkie meksy, człowieku. Mają kuchenki turystyczne i cały ten syf. Zaczynają gotować żarcie. Naleśniki, kurczaki i w ogóle. Sprzedają sodową i browar. Jakby wiedzieli, że to się wydarzy i tylko czekali na nasz przyjazd. No i są laseczki. Biorą człowieka w las i obsługują. Nie są takie trudne jak dziewczyny z miasta. Przylepne, kapujesz. Nie miałem takiego ubawu, odkąd tu jestem. Dziwne, że tak na nas czekali.

– Ty służyłeś w Gwatemali, nie? – zapytał Chapo.

Tym razem Mingolla był rad, że Madradona przerwał mu oglądanie; miał uczucie, że patrzy na przygnębiający a matorski film o własnym życiu.

-Taa – odrzekł. – W artylerii.

– To musiało być straszne – uznał Chapo i zrobił bo leściwą minę.

– Nie było rewelacyjnie.

Chapo skinał głową, jakby zabrakło mu słów.

– Może zdołamy się zaprzyjaźnić – powiedział. – Może odwiedzisz mnie w moim pokoju.

Mieszkam na trzecim piętrze.

Zbity z pantałyku, Mingolla odparł:

– Może... nie wiem. Jestem dosyć zajęty.

– Bardzo bym tego chciał.

– Zobaczymy.

Na ekranie młody żołnierz opowiadał o swojej służbie.

– Te śmigłowce, człowieku, są kurewsko szybkie. Lecisz nad morzem, jesteś tak daleko od lądu, że go nie widzisz, a potem nagle ląd wyskakuje pod tobą, góry, miasta, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. A potem wchodzisz w chmury.

Mówię teraz o zwalczaniu partyzantów. Wysoko w górach. No więc wszedłeś w chmury, a kiedy odpalasz rakiety, jedyne, co widzisz, to taka ładna poświata pod chmurami. Wygląda to w sumie jak świecący marmur. O tym, czy cokolwiek zwojowałeś, dowiadujesz się dopiero podczas drugiego podejścia, kiedy na monitorze termicznym już nie ma tych małych gorących

celów, które widziałeś przedtem. Nic nie czujesz. To znaczy... czujesz coś, ale inaczej.

Mingolla, który wciąż odczuwał zadane przez siebie śmierci, miał już tego dość. Wstał, a za jego przykładem – Chapo.

– Mam nadzieję, że znowu się spotkamy – powiedział Chapo. – I porozmawiamy sobie jeszcze o Nowym Jorku.

Tępa, z gruba ciosana smagła twarz. Otwarty uśmiech. Tworzywo, z którego się lepi Rasę Panów. Prostolinijność Chapo – dostrzegalna u wielu młodych Latynosów – przyprawiała Mingollę o mdłości. Może była nieudawana, ale Chapo nie prze stawał przez to być jego wrogiem.

– Wybij to sobie, kurwa, z głowy – powiedział Mingolla i wyszedł do foyer.

Sypialnia Mariny była trochę bardziej luksusowa niż pokoje w Casa Gamboa. Podłogę pokrywał łaciaty futrzak, ściany zaś – tapeta, której orientalny pastelowy wzór mógł kiedyś przed stawiać kwiecie śliwy, ale obecnie spłówił do kaligraficznej płataniny niewyraźnych linii. Jaśniejsze prostokąty znaczyły miejsca, gdzie w dawnych czasach wisiały obrazki. Łóżko pokrywała brzoskwiniowa narzuta z atłasu, po której przepływały refleksy światła bijącego z lampy na stoliku nocnym. Siedmioro Sotomayorów, w ich gronie Ruy, siedziało na podłodze i łóżku, Marina zaś, usadowiona w bujaku, prowadziła dyskusję... nie tyle dyskusję zresztą, ile serię soczystych spowiedzi. Mingolla, stanąwszy przy wejściu, słuchał i patrzył. Zrazu obecność Ruya zbiła go z pantałyku, potem jednak zaczął się zastanawiać, czyby nie zmienić taktyki i zamiast załatwiać Ruya cichaczem – za atakować go frontalnie, z notesem w dłoni.

– To było w kwietniu tego roku – zaczął Sotomayor o imieniu Aurelio, mężczyzna nieco starszy od Ruya, lecz uderzająco doń podobny. – Przez cały ten miesiąc zachodziłem w głowę, co by tu ze sobą zrobić. Byłem wprawdzie zaangażowany w rozwiązywanie problemu peruwiańskiego, mój udział jednak nie absorbował mnie do tego stopnia, by wyeliminować wszelkie niesforne myśli. Koniec końców w centrum owych myśli znalazła się Daria Ruiz de Madradona, córka mordercy mojego ojca. Też uczestniczyła w operacji peruwiańskiej, ten fakt nie miał jednak wpływu na moją decyzję.

Kiedy Aurelio opisywał intrygi prowadzące do uwiedzenia Darii, zachowywał smętny wyraz twarzy, jak gdyby zwierzał się z postępów niebywale haniebnych, stopniowo jednak w jego głosie zaczęły się pojawiać triumfalne nutki, opisy nabrały kwiecistości, słuchacze zaś – jakkolwiek milczący i uważni – ogarnięci podnieceniem wychylali się do przodu i oddychali coraz szybciej. W szczególności Marina. Nosła szare spodnie i srebrzystoszara bluzkę, na której czarne ptaki leciały w zacinającym deszczu. Szkarłatna szminka przydawała jej ustom drapieżnie erotycznego wyrazu, kości policzkowe wyglądały tak, jakby lada chwila miały przebić skórę. Kolejne rewelacje Aurelia dodawały jej ostrości, determinacji, życia.

– Nie sądzę – ciągnął Aurelio – bym kiedykolwiek znał siebie równie dobrze, jak w owym

momencie. Znałem swe miejsce w świecie, usytuowanie w chwili. Moje zmysły funkcjonowały doskonale. Odnosiłem najdrobniejsze szczegóły ścian – fakturę, sęczki, kanały korników. W ułamku sekundy. Słyszałem każdy powiew wiatru w koronach drzew, każde uderzenie naderwanego kawałka papy o dach. Daria nie była piękną kobietą, a jednak wydawała się niewiarygodnie zmysłowa. Lęk odpłynął z jej twarzy, gdyśmy się spotkali wzrokiem, i oto nie mogłem jej dłużej nienawidzić, ponieważ wiedziałem, iż ta chwila jest czymś więcej niż zwykłą zemstą. To był dramat.

Rytuał i przeznaczenie stały się jednością. Ponieważ wiedziałem o tym, a także wiedziałem, iż ona wie, zrodziło się między nami coś na kształt miłości... takiej miłości, jaka bywa udziałem ofiary i kogoś, kto jest w równej mierze katem i zbawcą.

Kiedy Aurelio skończył, grupa przeanalizowała jego opowieść, wypatroszyła pod kątem jej związków z psychiką rodu Sotomayorów i ewentualnych wniosków służących tłumieniu niższych instynktów; sekcję ową jednak kompromitował fałsz spowiedzi grzesznika, który usiłuje usprawiedliwić swoje łotrstwa, a dodatkowo udaje smutek. Nastąpiły kolejne relacje, Mingolla zaś – dostrzegając w triumfalizmie opisów, w rozkoszowaniu się tradycją przemocy, a wreszcie w udawanej skruszce idealną oprawę dla swojego wystąpienia – czekał.

Gdy po godzinie Marina zapytała go, czy ma jakieś uwagi, wyszedł na środek pokoju i powiedział:

– Jasne, że mam. Może was zirytują, ale mam nadzieję, że udzielicie mi odpowiedzi.

– Zrobimy, co w naszej mocy – zapewniła.

– Z tego, co słyszałem dziś – zaczął – a także z innych ust, wcześniej, wynika, iż wiele waszych przedsięwzięć zostało storpedowanych przez kogoś, kto nagle ożywił dawną waśń. Zwykle dochodzi do tego w ostatniej chwili, kiedy powodzenie jest w zasięgu ręki. Czy to uprawniona opinia?

Jeden z mężczyzn zaczął oponować, ale Marina nie dopuściła go do głosu.

– Trudno zaprzeczyć – odparła.

– Z czego wnioskujecie, że coś takiego nie powtórzy się i teraz?

– Czemuś takiemu usiłujemy właśnie zapobiec – oświadczył wyniośle Ruy.

– Co prawda, to prawda. – Mingolla obdarzył go promiennym spojrzeniem, zaskoczony, że teraz, kiedy ma Ruya w garści, czuje doń jakby sympatię. – Niemniej jednak nonszalancja waszych operacji wytrąca mnie z równowagi.

– Do czego zmierzasz? – zapytała Marina.

Zignorował pytanie.

– Każdy prócz ciebie wyznał jakiś grzech – powiedział. – Czy nie ma nic, z czego mogłabyś się wypowiadać?

– Marina jest naszym ideałem – rzekł Ruy z odrobina goryczy. – Ona jedna nie ma nic na

sumieniu.

Uśmiech wyłobił cienką czerwoną ranę na surowym reliefie jej twarzy.

– Dziękuję ci, Ruy.

– Waśń musiała jednak w jakiś sposób wpłynąć na twoje życie – nie dawał za wygraną Mingolla. – Podczas którejś z sesji negocjacyjnych Ruy wspomniał o twoim cierpieniu... krzywdzie, którą wyrządził ci czyjś stryj.

– A zatem?

– Chciałbym usłyszeć, co się stało.

– Nie sądzę, aby to było konieczne – odparła zimno.

– Jest coś, co chciałbym powiedzieć, pragnę jednak być pewnym was wszystkich, zanim rzucę kości.

– Doskonale więc... ale ufam, iż nie powoduje tobą zwykła ciekawość. – Wygładziła fałdy na swych spodniach. – Kilka lat temu byłam żoną Madradony...

– Nie wiedziałem, że takie rzeczy się zdarzają – powiedział Mingolla.

– Była to jedna z prób zakończenia waśni – odparła. – Wzdragalam się, rzecz jasna. Mieszkałam wtedy w Los Angeles i stałam się jakby wolnym duchem. Osobą nader niezdiscyplinowaną. Może ojciec zamierzał opanować właśnie te skłonności, Madradonom bowiem można zarzucić wszystko z wyjątkiem braku dyscypliny. – Śmiech słuchaczy. – Mimo swoich zastrzeżeń, po ślubie nauczyłam się szanować męża, darzyć sympatią... choć nie mogę powiedzieć, że kiedykolwiek go pokochałam. Byłam jednak na tyle pewna naszego małżeństwa, żeby zająć w ciążę. Wszystko układało się dobrze aż do dnia, gdy złożył nam wizytę mój dawny kochanek, rzekomo po to, aby pogratulować dziecka. Podczas rozmowy oszołomił mnie narkotykiem i naga położył na łóżku. Jego plan polegał na tym, aby mąż po powrocie do domu przyłapał nas in flagranti delicto. I tak właśnie się stało. Odzyskiwałam akurat świadomość, kiedy wszedł mój mąż. Wdał się z moim kochankiem w straszną bójkę, a ja, chociaż półprzytomna, usiłowałam interweniować. Dostałam przypadkowy cios w brzuch i w rezultacie nie tylko straciłam dziecko, lecz również zdolność ponownego zajścia w ciążę. Później odkryłam, że wina ciąży nie tylko na moim kochanku, który padł ofiarą manipulacji, ale też na moim teściu, który opowiedział mu, jakich okrucieństw dopuszcza się na mnie mąż. Teść nigdy nie akceptował tego związku, a perspektywa dziecka przepełniła miarę. – Podniosła wzrok na Mingollę. – Wystarczy?

– Wybacz – powiedział. – To było ważne.

– A więc, o co ci chodzi?

Pozwolił, by jego spojrzenie błędziło przez chwilę po pokoju, by wreszcie spocząć na Ruy, który siedział na łóżku.

– Słyszałem, że negocjacje idą dobrze – powiedział.

– Nadzwyczaj dobrze – potwierdził Aurelio. – No i?

– Czy zaryzykowałibyście twierdzenie, że jesteście o krok od sukcesu? – zapytał Mingolla. –

I czy nie jest to chwila największego ryzyka, czas, gdy ktoś może wszystko unicestwić? Znaleźć jakiś powód, aby podłożyć minę? Jak w przypadku Teł Awiwu?

– Jeśli masz nam coś do powiedzenia – rzekła Marina – sugeruję, abyś przeszedł do rzeczy.

Mingolla wyjął notes z tylnej kieszeni spodni, dotknął krawędzi stronic i dostrzegł, jak Ruy sztywnieje.

– Ruy wie, o czym mówię... prawda, Ruy?

– Skąd to wzięłeś? – zapytał Ruy.

– Tak sądziłam – stwierdziła Marina, rozluźniając się. – To ma związek z fikcją Ruya na punkcie twojej dziewczyny.

– Nie tylko.

– Wątpię. Ruy przekonał się już dawno, że nie może przeżywać na jawie swoich fantazji.

– Oddaj mi to – powiedział Ruy, zrywając się na nogi i wyciągając rękę. – Nie masz prawa tego zatrzymywać.

– A więc mówimy teraz o prawach, czyż tak? – Mingolla pchnął go na łóżko. – No to co z prawem do własnego życia?

Pozostali Sotomayorowie patrzyli na Ruya, jakby oczekując, że przystąpi do kontraktacji, ale Ruy siedział nieruchomo. Mingolla podał notes Marinie.

– Przekonaj się, że są tu dowody na coś jeszcze oprócz fikcji.

Dwaj mężczyźni zaglądali jej przez ramię, kiedy kartkowała notes.

– Och, Ruy – powiedziała po kilku minutach. – Tylko nie to... znowu.

– Nie rozumiesz – wyrzucił z siebie Ruy. – Nie widzisz, jak on... jak on... – Wstał, pryskając śliną. – Ona nie może rozkwitnąć, ona...

– Jesteś, kurwa, po prostu śmieszny, wiesz o tym, człowieku? – zapytał Mingolla.

Ruy na niego skoczył, ale Mingolla zrobił unik, złapał Ruya za koszulę i cisnął go na ścianę. Ruy osunął się na podłogę. Krew z jego ust pozostawiła na tapecie czerwony ślimaczy ślad.

– Widzicie? – powiedział Mingolla. – Facet wymknął się spod kontroli.

– Prowokując go, tylko pogarszasz sytuację – stwierdziła Marina.

– Chcę, żebyście się przekonali, do czego jest zdolny – odparł Mingolla. – Nie moja wina, że jest, jaki jest, a jeśli uważacie, że nie stanowi zagrożenia... Hej! Pozwalajcie mu dalej na te wysoki. Nie trzeba będzie długo czekać, aż zrobi coś naprawdę głupiego.

Ruy jęknął, przewrócił się na wznak. Krew plamiła jego usta i brodę.

– Co, twoim zdaniem, powinniśmy zrobić? – zapytała Marina.

– Niedawno spotkałem w pałacu starszawego jegomościa... dozorcę.

– Eusebia – powiedziała Marina. – Nie możemy obedrzeć Ruya za coś, co mógłby zrobić.

– Dajcie mu więc ostrzeżenie. Wydaje mi się, że najstraszniejszą rzeczą, jaką mógłby wyobrazić sobie Ruy, jest utrata mocy.

Widział w jej twarzy... we wszystkich twarzach, jak pomysł dociera do świadomości i zyskuje aprobatę. Myśl o karze sprawiła im przyjemność.

– Może to najlepszy sposób – uznała Marina, a Mingolla odniósł wrażenie, iż wyczuwa w jej głosie głęboką satysfakcję.

Ruy usiadł, wycierając rękawem usta. Tępo gapił się na pozostałych; musiał coś wyczytać w ich minach, bo podniósł się z trudem i ruszył w stronę drzwi. Jeden z mężczyzn zagroził mu drogę.

– Nie możecie go słuchać! – powiedział Ruy, wyrzucając rękę w kierunku Mingolli. – Nie jest jednym z nas.

– Bądź cicho – nakazała Marina.

– Nie możecie tego zrobić. Przynajmniej wyłącznie na podstawie jego słów.

– Mamy również twoje słowa, Ruy. – Marina podniosła notes, a Ruy uciekł spojrzeniem w bok.

– Carlito wam nie pozwoli.

– Ależ nie zamierzamy niczego robić – odparła. – Jeszcze nie. Jeśli jednak coś się przytrafi Deborze albo Davidowi, ty będziesz za to odpowiadał. I wówczas nie pomoże ci nawet Carlito.

Ruy nienawistnie patrzył na Mingollę.

– Byłeś niegrzecznym chłopczykiem, Ruy – powiedział Mingolla i szeroko się uśmiechnął.

– Żądam, abyś bez mojej zgody nie rozmawiał z żadnym z nich – powiedziała Marina. – Czy to jasne?

– Trudno będzie tego uniknąć – zaproponował Ruy. – Mieszkam w tym samym domu i po prostu muszę ich spotykać.

– Przeprowadź się – zasugerowała. – Przeprowadź się jeszcze dziś. Powtarzałeś kiedyś, że bardzo lubisz moją bliskość. Teraz twoje pragnienie się spełni.

Ruy wyglądał na zdruzgotanego.

– Zamierzam porozmawiać z Carlitem o tej sprawie. Zaraz.

Nie będzie uszczęśliwiony.

– Czy byłbyś łaskaw zostawić nas samych? – zwróciła się Marina do Mingolli. – Ruy najwyraźniej żąda dowodów na to, że traktujemy tę sprawę bardzo serio.

– Co zamierzacie z nim zrobić?

– Pozwolimy mu zakosztować, co ryzykuje.

– Nie! – wrzasnął Ruy, złapał za klamkę, ale został odrzucony od drzwi przez dwóch mężczyzn.

– Proszę, Davidzie. – Marina gestem pokazała drzwi, a Mingo lla, doko nując ekwilibrystyki, żeby uniknąć wzroku Ruya, ruszył w ich stronę. Kiedy był już na korytarzu, dobiegł go okrzyk Mariny: – Och, Davidzie!

Jej uśmiech był najserdeczniejszym z uśmiechów gospodyni, która żegna ulubionego gościa.

– Serdeczne dzięki, że raczyłeś zwrócić naszą uwagę na ten problem.

Rozdział 17

Przyjaźń Gilbeya z Jackiem Lescaux dawała Mingolli nadzieję, że może zdoła całkowicie odbudować Gilbeya: przyjaźń była tak ludzkim uczuciem i tak nietypowym dla wojsk. Miał w sobie dość mocy, by tego dokonać; czuł w swej głowie moc jak ciężki kamień, który pragnie eksplodować, wyładować się na jakimś celu. Zapewne jednak brakowało mu wiedzy. A zresztą wątpił, czy nawet dysponując większą mocą i wiedzą, zdołałby zrobić cokolwiek dla Jacka. Jack na ogół ledwo potrafił się ponuszać, a kiedy raz – siedzieli wtedy na schodach pałacu – Mingolla skłonił go do obszerniejszych wynurzeń, był bardzo nieszczęśliwy. Mingolla zapytał, w jaki sposób spiknął się z rodami, Jack zaś odparł:

– Chcieli czegoś w muzyce... czegoś, co kazali mi zrobić.

Mingolla wywnioskował, że zmuszono Jacka, aby zawarł w swych nagraniach odwołania do podświadomości, być może słyszalne dla esperów; szczegóły go jednak nie interesowały. Gdyby zapragnął wytropić i zneutralizować każdą gierkę Sotomayorów, nie miałby czasu na nic innego.

Jack coś zamruczał, urwał, potem zaczął się kołysać w przód i w tył, uderzając dłonią w udo, jakby usiłował ewokować jakiś rytm.

– „Gdybym dolarów miał miliard – zaśpiewał – kupił bym..” – Zaciśniętą dłoń w pięść, uciskał nią czoło. – Mam tego troszeczkę – powiedział. – Kawalki.

– Posłuchajmy, Jack – zasugerował Gilbey.

Jack, z wysiłkiem na twarzy, zaśpiewał znowu:

Gdybym dolarów miał miliard, giwery bym kupił i działa, A potem zmusił – na haju – historią, by dupy mi dała. Zbudowałbym pałac z czerepów, królowe piękności bym bzykał, I w TV pierdzielił ludowi „Czym Dla Mnie Jest Ameryka „,...

Zająknął się, sprawiając wrażenie zaniepokojonego.

– Jest tego więcej. Nie... nie pamiętam.

– Nie spiesz się, człowieku – poradził Mingolla. Po minucie Jack zaśpiewał jeszcze kawałek:

Gdybym miał własną religią i bogiem nowego był kroju, Spaliłbym kościoły, a Vegas tym oddał, co z gnoju i znoju...

Znów się zacukał, a Mingolla podkręcił w nim dobre samopoczucie i skłonił do zaśpiewania po raz trzeci, tyle że była to już inna piosenka, Jack zaś właściwie nie śpiewał, lecz melorecytował:

Aniele, aniele, czy odbierasz?

Kiedy wreszcie odpowiesz mi coś?

A może mój sygnał zamiera, Bo dźwięgania rozpaczy ma dość?

Zgubieni wśród wojen i ciszy, W ciemnych barwach późnej jesieni, Mijamy się, obcy, nie słysząc Swego smutku, co tylko w spojrzeniach.

Uciekamy w kłamstwo lub wiarę, Lecz jak długo – miesiąc, godzinę? -

Pociągniemy jeszcze bez prawdy, Twojej prawdy, prawdy jedynej?

Aniele, aniele, coraz ciemniej, Wiatr przynosi kwiaty i chłód, Suche liście życia lecą ze mnie, Spod paznokci wyziera czarny lód. Nie chciałem sercem się dzielić Szczególnie z kimś takim jak ty, Lecz jeśli odpowiesz, aniele, Naprawią ten syf, uwierz mi. Aniele, czy jesteś gdzieś w niebie? Czy w lochu? Zmarznięta na kość, Zmarniała na wodzie i chlebie... Czy kliknąć „send” sił nie masz dość?

– Jest tego więcej – powiedział. – Znacznie więcej.

– Powinieneś to sobie zapisać, człowieku – stwierdził Gilbey, udając, że pisze na piasku czubkiem swojej maczety. – Skombinuj trochę papieru i zapisz.

– Taa, dobra – odrzekł Jack, skrobiąc się w głowę. Potem wybuchł płaczem.

Znacznie więcej wysiłku Mingolla włożył w Gilbeya. Raz, sądząc, iż doświadczenie seksualne może wspomóc jego wysiłki, wytrzasnął dla niego kobietę, na faszerował podnieceniem i wystawił na przynętę w jednym z pustych budynków – w pokoju, gdzie wypełnione kurzem wgniecenia w wykładzinie świadczyły o dawnej obecności krzeseł i stołów. Kobieta była nalana i zużyta, Gilbey więc stwierdził:

– To pierdzielona bestia, człowieku. Nie wiem... Kobieta się uśmiechnęła i zachęcająco zakręciła biodrami.

– Cóż – uznał Gilbey – chyba ma niezłe cycki. Mingolla zostawił ich samych, a kiedy wrócił – oboje spali.

Ręka Gilbeya władczo spoczywała na biodrze kobiety. Nie miał pewności, czy doszło do czegokolwiek, później jednak Gilbey bardziej przypominał swoje dawne wcielenie.

Tego samego wieczoru poszli za pałac, do miejsca, skąd było widać barykadę: długą byle jaką konstrukcję z desek, przypominającą szczerbaty płot o wysokości dziesięciu stóp, z dwiema równie byle jakimi budkami strażniczymi nieco dalej. Od barykady w kierunku dalekich wzgórz biegła przez trawiastą łączkę droga gruntowa; Mingolla wyobraził sobie, że kradnie dżipa, taranuje barykadę i mknie w stronę owych wzgórz. Była to przyjemna mrzonka, wiedział jednak, iż Debora w żadnym razie nie pójdzie na coś takiego. Poza tym wielce prawdopodobne, że zostaliby zabici podczas ucieczki.

Jack zwinął się w kłębek na ziemi, a Mingolla i Gilbey usiedli na schodkach. Mingolla dostrzegł uzbrojonych ludzi przechadzających się za barykadą. Zmierzch zgęstniał w półmrok, pierwsze gwiazdy wyroiły się na grafitowym niebie. Okna budynków położonych w pewnej odległości od pałacu były ciemne i półmatowe jak prostokąty obsydianu osadzone w blade podświetlonym kamieniu; wietrzyk niósł po asfalcie strzępy celofanu, chudy kot z pstrzęcymi marmoladowe futro plackami wyliniałej skóry wychynął skądś czujnym krokiem myśliwego, zatrzymał się i popatrzył na nich z zimną ciekawością.

Gilbey znalazł gdzieś pękniętą pałkę bejsbolową, prawdopodobnie wykorzystywaną niegdyś jako oręż; teraz obracał ją w dłoniach.

– Byłoby ekstra – po wiedział.

– Co? – Mingolla obserwował ciemne sylwetki wartowników.

Gilbey milczał tak długo, że Mingolla doszedł do wniosku, iż zgubił watek.

– Zagrać – dodał wreszcie. – Byłoby ekstra pograć. To chyba dałoby się zrobić.

– Pograć w bejsbol?

– Taa, dałoby się skrzyknąć kilku chłopaków.

Wizja Gilbeya, który ze swym przytępionym refleksem gra w bejsbol, zdołowała Mingollę. Próbował wyobrazić sobie, że sfilcowane blond włosy zostały ostrzyżone, brud z policzków – zmyty, rysy ułożyły się w wyraz jednocześnie pobłażliwy i zgorzkniały. Nic z tego nie wyszło. Dawny Gilbey umarł, a nowy umierał.

– Moglibyśmy, uch... moglibyśmy... – Gilbey kołysał pałką. – Co się ze mną dzieje, człowieku? Coś jest nielicho popierdalone, nie?

– Do czego zmierzasz?

– We mnie... popierdalone we mnie. A ty próbujesz to naprawić.

– Taa – przyznał Mingolla. – Coś jest nie w porządku.

– Potrafisz to naprawić?

Mingolla nie miał nastroju na kłamstwa.

– Chyba nie.

Jack poruszył się przez sen, coś wymamrotał, a Gilbey westchnął anemicznie.

– Zresztą i tak nie potrafiłbym przyzwoicie zagrać – po wiedział. Jego słowa płynęły powoli, z przerwami, jak krople gęstego syropu. – Ale nie byłoby źle spróbować. Mógłbym grać na prawym polu. Nikt tam nigdy nie posyła piłeczek. -

Postukał pałką w asfalt. – Byłoby w porzo, kapujesz. Prawe pole nie jest złe... wiele widać z prawego pola.

Mingolla podciągnął kolana, wsparł na nich czoło i zamknął oczy, pragnąc kompletnie się wyłączyć.

– Grałem kiedyś w drugiej... w lidze Babę Rutha. To ciężka liga, człowieku. Szczególnie w Detroit. Jak czarnuchy wchodzi na drugą bazę, to są tylko kolce i wredne miny, kapujesz. – Ułożył pałkę na barku, przygotowując się do wyimaginowanego uderzenia. – Z Jackiem jest gorzej niż ze mną, co?

– Nie wygląda to różowo.

– Może tylko patrzeć, a potem... albo spać. Lubi spać.

Byłoby naprawdę super, pomyślał Mingolla, ustawić w szeregu Madradonów

i Sotomayorów. A potem rozwałać ich od kolan w górę, kawałek po kawałku. Albo też sprowokować atak przewidywany przez Izaguirre w razie fiaska rozmów; Mingolla przyłapał się na tym, iż ma nadzieję na fiasko negocjacji, ma nadzieję, że pewnego dnia wszystkie te gnojki nagle podniosą głowy, słysząc świst nadlatującej rakiety.

– Przepuszczalnie wciąż potrafiłbym nienajgorzej uderzyć – stwierdził Gilbey.

– Porozmawiajmy o tym później, dobra? – zaproponował Mingolla. Miał wrażenie, że jego serce jest zbrylone, zrobione z czegoś tak odrażającego jak wyjątkowo tłusty smalec.

– Jasne, nie ma sprawy. Jasne.

Gwiazdy pojaśniały, niebo przybrało barwę kobaltu. Ktoś na barykadzie włączył reflektor; roziskrzona klinga światła oślepiła okna pustych budynków, przemknęła nad ich głowami.

– Mingolla?

– Czego chcesz?

– Pamiętasz Baylora? Co się stało z Baylorem?

– Wrócił do Stanów.

– Do Stanów. – Gilbey powtórzył te słowa kilka razy, jakby dopiero przez powtórzenie mógł je zrozumieć. – Pamiętasz te wszystkie książki, które czytał? Te naukowe historie?

– Fantastycznonaukowe.

– Taa, fantastycznonaukowe. – Zdawało się, że analizował termin. – Durne były, kapujesz. Te książki.

– Mhm.

– Z wyjątkiem jednej. Czytałem i była niezła.

W swej drodze powrotnej światło szperacza znów przepłynęło nad ich głowami; kot zniknął w jakimś ukryciu, a oślepiony Jack przewrócił się na bok.

– Taa, była ta jedna – powiedział Gilbey. – Wciągnęła mnie.

– Która?

– O tym obcym. Taki jest tylko jeden... to znaczy, gdzieś tam jest ich więcej, ale, o ile wiemy, to jedyny, którego udało się znaleźć. Nie wygląda nadzwyczajnie. Jak duży brązowy kamień, tylko że powierzchnia tego kamienia cały czas się rusza, faluje, a to dlatego, że w środku jest pełno myśli i te myśli, kapujesz, napierają na skórę, zmieniają trochę jej wygląd.

Z nudów Mingolla przeczytał większość książek Baylora, ale treść tej nie brzmiała znajomo.

– No i co dalej?

– Nic specjalnego – odrzekł Gilbey. – Rozumiesz, chodzi o to, że chcą się dowiedzieć, o czym myśli obcy, bo znaleźli go, dryfującego w kosmosie, i wykombinowali sobie, że był wszędzie, interesują się więc, jak jest tam, gdzie był. No więc szukają kogoś, kto mógłby przeczytać jego myśli, ale nikt nie może, bo te myśli są mocne, człowieku. Sprawiają ból. Człowiek wrzeszczy, jak czuje jego myśli. W każdym razie...

Gilbey zgasł, a Mingolla zapalił go na nowo.

– No i znaleźli ko goś? – zapytał.

– Hę?

– Kogoś, kto potrafi przeczytać myśli obcego?

– O, tak... tak, znaleźli facia, który potrafił wytrzymać ból. No więc ten koleś kuca przy obcym, dotyka go i szybko uświadamia sobie, że myśli obcego to zaledwie wspomnienia krążące pod skórą. Wspomnienia o wszystkich miejscach we wszechświecie, wszystkich miejscach, jakie kiedykolwiek istniały. Otóż ten koleś to twardziel, ale i tak może wytrzymać z obcym najwyżej kilka minut, lecz dostatecznie długo, żeby wyłapać jedno wspomnienie. Potem już nie jest w stanie przebywać obok obcego, bo jego... jego... jego tolerancja, tak, o to chodzi, jego tolerancja jest na wyczerpaniu. Ale ma to jedno wspomnienie, czyli już coś.

– Czego dotyczy... to wspomnienie?

– Tych ludzi, którzy żyją na skraju galaktyki, a kiedy umierają, ich ciała magazynuje się w wielkich czarnych statkach kosmicznych, które krążą i krążą, a od czasu do czasu na pokład każdego statku wchodzi kapitan i leci ku centrum wszechświata, do tego miejsca, gdzie gwiazdy są tak gęste, że panuje nieznośna jasność. Wielkie stare słońca, człowieku! Płonące wszystkimi kolorami, rozmazane jak japońskie latarnie. Światło jednego, kapujesz, nakłada się na światło drugiego. Rozprasza się i skupia. Energia płynie z zewsząd. Obcy nie jest pewien, dlaczego tak się dzieje, dlaczego zwłoki są tam dostarczane. Nie w tym rzecz, że ta cała energia i światło powodują zmartwychwstanie czy coś w tym stylu. Robią coś z ciałami, może zmieniają w jakiś surowiec wtórny czy jak... nie wiem. W każdym razie to ciężka podróż. Naprawdę ciężka. Głównie dlatego, że jest tak jasno, a im bliżej środka, tym jaśniej. No i powolna... światło wszystko spowalnia. Od światła robi się gęste, niemal stałe, znaczy powietrze. I w trakcie podróży kapitanowie coraz mniej widzą. Ślepną od blasku. Ich oczy stają się jak kryształy, twarde, lśniące, nieużyteczne. Zdani tylko na siebie, nie mogliby sterować. Ale każdy z nich ma ze sobą kobietę, tym piękniejszą, im są bliżej środka wszechświata. Kapitanowie tak są związani z tymi kobietami, tak w nich zakochani, że widzą je mimo ślepoty. Nawet ślepcy widzą piękno tych kobiet. I tak właśnie sterują, przyglądając się, jak kobiety pięknieją i w jaki sposób pięknieją, dzięki temu zawsze znają swoją pozycję, swoje położenie w centrum wszechświata. A w końcu dzięki temu mogą bezpiecznie wrócić do domu.

Mingolla daremnie usiłował sobie przypomnieć książkę, kiedy jednak opowieść urwała się w tym pozbawionym punkcie, doszedł do wniosku, że jest w całości wymysłem Gilbeya. Był rad, iż jego praca nad Gilbeyem pozwoliła wypłynąć na powierzchnię tej historii, albowiem dzięki temu potwierdziło się jego podejrzenie, że Gilbey zawsze skrywał swą inteligencję; zarazem jednak ogarnął go smutek, miał bowiem przeczucie, iż opowieść jest mitem wykreowanym przez podświadomość, klejnotem pilnie przez Gilbeya strzeżonym. To, że oddał

ów klejnot w tej chwili, stanowiło zły znak.

– Wymyśliłeś to wszystko, nie, człowieku? – zapytał.

– Nieee, mhm. – Gilbey przesunął dłoń po zgrubieniu pałki. – Gdzieś to przeczytałem.

Jego twarz wyrażała jednak zadowolenie spryciarza i Mingolla pojął, że Gilbey kłamie.

– Nie pieprz, człowieku! Na pewno żeś to wymyślił.

– Ale ci się spodobało, hej?

– Taa, było dobre. Jak na to wpadłeś?

– To nie ja wpadłem, człowieku.

– Cóż, ale to było cholernie dobre... cholernie dobra historia. Zadowolony Gilbey potrząsnął Jackiem.

– Obudź się, człowieku, hej, Jack, obudź się!

Jack przewrócił się na wznak, zamrugał. Jego twarz była mapą zmęczeń i oszołomeń.

– Chcę ci powiedzieć jedno – oznajmił Gilbey z zapalem. – To jak... – Zapal wyparował zeń nagle i Gilbey uciekł spojrzeniem w stronę barykady. – Cholera, człowieku! Ty się nie załapałeś.

– A potem dodał tonem dumy: – Pamiętam, że to było naprawdę cool.

Mingolla nigdy nie zastanawiał się nad istnieniem starego Azjaty na wózku inwalidzkim, do czasu gdy starzec zniknął. Każdego minionego poranka, zwrócony tyłem do dziedzińca, siedział obok swego ogródka, bawiąc się paskami papieru. Tego ranka nie było go nigdzie, a służąca Serenita poinformowała Mingollę, że został zabrany do szpitala. Zaniepokojony Mingolla podszedł do działki, by stwierdzić z zaskoczeniem, że ogródek dawno już zdziczał, z czego wynikało jasno, że sumienność starca wynikała albo ze sklerozy, albo z samodyscypliny. Tym jednak Mingolla się nie gryzł. Interesował go ten stary człowiek, zawsze zamierzał go zagadnąć, a fakt, iż nigdy tego nie uczynił, uświadomił mu, że tak samo bywa w stosunku do innych ludzi: człowiek ma wobec nich jakieś zamiary, wyobraża sobie, jak nawiązuje z nimi konkretne stosunki, realizuje jakieś cele, a potem – jak gdyby intencja była jedynym, co się liczy, jak gdyby powinnością bliźnich było zaledwie dostarczanie kiepskiej moralnej rozpałki – niczego nie finalizuje. Jak z Tullym, na przykład. Zawsze sądził, że się zbliżą, obaj jednak byli zbyt zajęci, żeby wygospodarować trochę czasu dla siebie – Tully koncentrował się na Corazon, on sam zaś na swoich bezsensownych aktach miłosierdzia; poczucie bliskości wystarczało, aby uwierzył, iż zaspokajają wymogi więzi, jaką zbudowały po między nimi wspólne przeżycia. Ołśniło Mingollę, że jego ojciec miał słuszność co do wojny, że w istocie wojna uczyniła zeń mężczyznę. Dostrzegał powikłania, których kiedyś nawet nie podejrzewał, rozumiał naturę swych powinności i czuł się na siłach, aby im sprostać. Problem polegał na tym, że nie stał się zbyt sympatycznym mężczyzną. Nawet przeciętnym. Wynikało to z jego gotowości do przemocy i obojętności.

Ogród był niewielki – może dwanaście na dwanaście – i miał brązową sypką glebę stebnowaną zaschłymi pędami pomidorów, wygarbioną tu i ówdzie przez pomarszczone melony

czy też wyschnięte cytryny. Pragnąc poczuć pod stopami ziemię, Mingolla zrzucił buty i przestąpił prowizoryczne ogrodzenie z naciągniętego drutu. Rozgniatał grudki, zaplątywał się w pędy, siniaczył stopy na kamykach. Stał w samym środku ogrodu, spojrzał na przesłoniętą szarymi frędzlami chmur kulę słońca i doznał wrażenia – jak gdyby ogród był miejscem eksterytorialnym – że z tego punktu obserwacyjnego może dostrzec pokrętne procesy historyczne, które doprowadziły świat do punktu, w jakim obecnie się znajduje: inwazje, najemników, manipulacje United Fruit Company, tego nieudolnego amerykańskiego dobroczyńcy, banki inwestycyjne wraz z ich zbrodniczymi marionetkami, bezmiar interesów wypranych z wszelkich zasad i praw. To z jednej strony, bo z drugiej – groteskowy kolaż morderstw i zemst popełnianych i wywieranych przez dwa rody, borgiopodobną eskalację otruc, zasztyletowań, wybuchów i porwań, hekatombę rozciągniętą na stulecia, mającą zaś za tło pałace, nędzne wioski i pola bitew. A także to, jak owe dwa pnącza historii zmagają się, splatają, dławią każdą inną roślinę i wysysają z ziemi soki żywotne, przemieniając ją w jałowy ogród, w którym nie może rosnąć nic, prócz fantazji starca.

– David! Gdzie jesteś? – dobiegł go z dziedzińca głos Debory. Wpadła przez furtę. Za nią, przy wejściu do pensjonatu, Sotomayorowie i Madradonowie rozprawiali z ożywieniem, ściskali sobie dłonie. – David – powiedziała. – Już po wszystkim. Dokonałiśmy tego!

Niezdolny wykluczyć się ze swej skorupy posępnych rozważań, czekał na dalszy ciąg.

– Pokój – powiedziała. – Będzie pokój.

Jej twarz wyglądała jak pokój. Piękny, smagły, uśmiechnięty pokój Trzeciego Świata. Ale Mingolla nie umiał podzielić jej uniesienia.

– To dobrze – powiedział, wychodząc z ogródka. Usiadł na wyłożonej płytami ścieżce, zaczął nakładać buty.

– Czy nie rozumiesz? – Uśmiech Debory zniknął. – Negocjacje skończone. Traktat zostanie sporządzony dziś, podpisany natomiast jutro, na przyjęciu.

– Przyjęciu? – To, pomyślał, byłby absurd na miarę sytuacji.

– Tak, w pałacu odbędzie się uroczystość.

– Po byku.

Zmarszczyła czoło.

– Zachowujesz się, jak gdyby nigdy nic. Jak gdyby nic się nie stało.

– Posłuchaj... – zaczął. – Zresztą nieważne.

Wyraz jej twarzy złagodniał, kiedy uklękła obok niego.

– Wiem, że nie pokładałeś w tym wszystkim zbyt wiele wiary, ale to się naprawdę sprawdziło. Nie widziałeś, ile dobrej woli okazywali ci ludzie.

– Mam nadzieję.

Odsunęła się od niego, jak gdyby potrzebowała nowej perspektywy.

– Naprawdę? Czasem sędzę, choć nie rozumiem powodów, że masz nadzieję na coś przeciwnego.

Czuł się roztargniony, wyzbyty zainteresowania. Odebrał jej słowa jako, po rodzicielsku, karcąco-ostrzegawcze. Otoczyła ramieniem jego barki.

– Pracowałeś zbyt ciężko. Ale sam się przekonasz. Chodź ze mną. Porozmawiaj ze wszystkimi. Poprawi ci się samopoczucie.

Był rozdarty pomiędzy pokusą, by uzmysłowić jej brutalną prawdę, a nadzieją, że pozostanie szczęśliwa. Uznał w końcu, że chwilowy pokój jest lepszy niż nic i pozwolił Deborze, by zaciągnęła go w sam środek triumfalistycznego zgiełku na dziedzińcu.

Tej nocy, pochmurnej nocy z kilkoma zaledwie gwiazdami przeświecającymi tu i tam, wdał się z Tullym w rozmowę na dworze. Gilbey i Jack siedzieli przy doniczkowej paproci koło wejścia do pensjonatu, Mingolla i Tully stali dwanaście stóp dalej. Tully mówił o Corazon.

– Czasem myślę, że odpuści sobie tę grę – powiedział.

– Ale w następnej minucie znów się zamyka w sobie i jest poza moim zasięgiem. Cholera, zaczynam do tego przywykać... przywykać do życia z kobietą, która marszczy czoło, kiedy czuje, że się jej zbiera na uśmiech.

– Może jeszcze nie doszła do siebie. – Mingolla spojrział na dziedziniec, gdzie, w świetle płynącym z okien, trzej rozgadani Sotomayorowie siedzieli nad basenem na aluminiowych krzesłkach.

– To chyba bez znaczenia, doszła czy nie doszła – powiedział Tully. – Nie porzucę jej, nawet jeśli zacznie ciskać we mnie talerzami. – Cmoknął przeciągle i pokazał ręką Sotomayorów. – Co sądzisz o tym syfie, Davy?

– Po prawdzie, to się nie zastanawiałem. – Uważnie przypatrywał się Sotomayorom, analizując ich rozlątą gestykulację.

– Debora jest chyba przekonana, że wszystko idzie jak najlepiej.

– To mi nic nie mówi o twoich odczuciach.

Mingolla pozwolił, by sens pytania ucziwie do niego dotarł.

– Chyba kombinuję sobie, że spierdołą sprawę w taki czy inny sposób. Ale nic nie mogę z tym zrobić.

– Takie jest i moje zdanie. – Tully zaszurał nogami po chodniku. – Masz jeszcze tę mapę, którą ci dałem?

– Mhm.

– Trzymaj ją przy sobie, słyszysz?

– Myślisz o ucieczce?

– Cały czas, mon. Cały czas. – Tully wyprężył ramiona nad głową, przy czym trzasnęło mu w stawach. – Takiej nocy niegłupio by było wałnąć lufkę albo dwie.

– Mam flaszkę.

– Do tego właśnie zmierzałem – stwierdził Tully. – Potrzebuję jakiejś zadymy. – Płasnął Mingollę w kark. – Jak podczas tych nocy w Coxxen Hole. Pamiętasz?

– Jasne – odparł Mingolla. – Było w porządku.

– Lepiej niż w porządku. – Tully prychnął z niesmakiem.

– Stąd właśnie wiem, że to barrio nie ma przyszłości. Nie ma tu zadym, nie ma życia na pełnych obrotach. To miejsce jest już martwe. Nie można zawierać pokoju na cmentarzu i jeszcze liczyć, że wyniknie z tego coś dobrego. – Rzucił smętne spojrzenie na Jacka i Gilbeya. – Jakim cudem, do kurwy nędzy, ja tu w ogóle wyłdowałem?

– Mnie pytasz? – powiedział Mingolla. – Kiedyś nienawidziłem Roatanu, ale teraz myślę, że to był raj.

– Tak, ta wysepka nie była kiepska. – Tully kopnął jakiś zbłąkany kamyk. – To, kurwa, cholernie dziwne, Davy. Zaczynasz od tego, że chcesz rządzić światem, a w końcu marzysz tylko o tym, żeby się przed nim ukryć.

Mingolla doznał pokusy, żeby wyznać przed Tullym swe sprzeczne uczucia i wyrzuty sumienia, ale nie potrafił znaleźć odpowiednich słów.

– Wyglądasz tak, jakbyś miał się czymś zakrztusić, mon.

– Zastanawiałem się nad intencjami.

– Intencjami? W jakim sensie?

– Odnoszę wrażenie, że jeśli coś staje się intencją, człowiek ma gwarancję, iż nigdy nie wyjdzie poza tę kategorię.

– O czym ty gadasz?

– Po prostu pieprzę. Jestem kompletnie pojebany.

– Cóż, jeśli chodzi o to, masz towarzystwo.

Porozmawiali jeszcze trochę, mówiąc jednak niewiele, a kiedy Tully wyruszył do swojego hotelu, Mingolla – z depczącymi mu po piętach Jackiem i Gilbeyem – wrócił na dziedziniec. Sotomayorowie zniknęli znad basenu, Mingolla zajął więc jedno z krzeseł. Gilbey i Jack usiedli w pobliżu na płytkach. Po ciemnej wodzie przepływały falki rozmigotane w świetle padającym z okien, a obserwując ich harce, Mingolla przypomniał sobie opowiadanie, w którym basen został przyrównany do kawałka jaspisu. W opowiadaniu tym miejscowi gazeciarze, pozbywszy się towaru, przybiegali do pensjonatu, skakali do wody, a kiedy znikali pod powierzchnią – w wyobraźni autora przebijali się przez warstwy glonów i wodorostów do jakiejś tajemniczej krainy. Zdezorientowany, osamotniony Mingolla udał przed sobą, iż jego spojrzenie przenika głębinę i żłobi w wodzie tunel... po sekundzie owa iluzja sprokurowała rzeczywistość, przyszłość, którą mógł negować w coraz mniejszym stopniu. Stał w słabo oświetlonym pokoju, na którego umeblowanie składały się skórzane fotele, przeszklone szafy biblioteczne, zabytkowy

globus i masywne biurko w hiszpańskim stylu kolonialnym. Boazeria była z jakiegoś ciemnego drewna o wyrazistym słoju, wykładzina – ciemnogrnatowa, z małymi gwiazdkami – stwarzała wrażenie, iż człowiek trafił do nieba i jest na audiencji u najwyższego z sędziów. Tym sędzią był siedzący przy biurku dr Izaguirre, który trzęsąc kozią bródką, stwierdził ze zdumieniem:

– Sądziłem, żeście zginęli.

Przez panoramiczne okno za plecami doktora Izaguirre Mingolla widział pustynię, świetlistą w blasku półksiężyca, na horyzoncie zaś – smugę piekielnej czerwieni, poblask – jak wiedział – Miasta Miłości, dokąd wkrótce, po zaaplikowaniu sobie końskiej dawki narkotyku – który zapoczątkował kawałek historii, zaaplikowaniu sobie z rozpaczy, a także z nadzieją, iż przyniesie mu wizję jakiejś znośnej przyszłości – zawędruje, ogarnięty delirium. I znając skutki przedawkowania, pójdzie na całość, albowiem nawet stuprocentowa pewność nie będzie w stanie zabić jego nadziei.

Dłoń Izaguirre’a wślizgnęła się pod biurko i Mingolla powiedział:

– Alarm został przecięty, Carlito. I wszyscy tam już nie żyją.

– Z wyjątkiem tych na górze – wtrąciła z goryczą Debora, stając obok Mingolli. – Ci na górze jeszcze żyją... a przynajmniej oddychają.

Izaguirre wiał na ich oczach. Jego woskowa skóra traciła odcień, jego ciało jakby odstawało od kości.

– Co zamierzacie zrobić?

– To już zostało zrobione – odparła Debora. – Przynajmniej prawie zrobione.

– Co ty mówisz?

– Wszyscy z wyjątkiem trzech zostali wyeliminowani – wyjaśnił Mingolla. – Tych trzech w Pentagonie. Pozwolimy, żebyś w naszym imieniu ty się nimi zajął.

– To niemożliwe! Nie dalej niż wczoraj rozmawiałem...

– To było wczoraj – stwierdził Mingolla.

– Idę na górę – oznajmiła Debora. – Może niektórych da się odratować.

– Nie rób im krzywdy – poprosił Izaguirre.

– Krzywdy? – Debora wybuchła śmiechem. – Naprawiam twoje zepsute zabawki od pięciu lat... wszystkie, w których jeszcze cokolwiek nadaje się do naprawienia. – Spojrzała na Mingollę.

– Dasz sobie z nim radę?

– Taa... zasuwasz.

– Co ze mną zrobicie? – zapytał Izaguirre, kiedy Debora zamknęła za sobą drzwi.

– Chyba wiesz, Carlito. Rozbierzemy cię na elementy składowe, a potem złożymy ponownie. Staniesz się bombą z opóźnionym zapłonem. Taką jak Nate i pozostali. I jak twoi przyjaciele z piętra, będziesz prawie żywy.

– Zabiliście wszystkich... z wyjątkiem trzech? – Wydawało się, że Izaguirre nie jest w stanie przyjąć tego faktu do wiadomości.

– To nie było nawet zadanie na miarę naszych sił. Niejednego ześmy się nauczyli w ciągu pięciu ostatnich lat. – Pięciu lat o kształtach czarnych trumien wypełnionych popiołami przemocy i zdrady.

– Jeśli zostało tylko trzech – wydusił z trudem Izaguirre – to nie ma potrzeby, byście...

– Wiesz, że nie zamierzam tego słuchać.

Izaguirre się wyprostował, spróbował zapanować nad mimiką twarzy. – Zapewne.

Jego jabłko Adama podskakiwało i opadało. – Cała ta praca... – przeciągnął dłonią po czole.

– Czym się zajmiecie później?

– Niczym. Nic nie pozostanie do zrobienia.

– Och, na pewno coś znajdziecie. Upodobniłście się do nas, będziecie musieli coś robić. – W jego głosie pobrzmiwały nuty triumfu.

-Teraz zamierzam cię uspić – zakomunikował Mingolla.

Izaguirre otworzył usta, ale nie odzywał się przez dłuższą chwilę.

– Boże – powiedział w końcu. – Jak mogło do tego dojść?

– Może na twoje własne życzenie? Jak w tym opowiadaniu o pensjonacie... kończy się śmiercią autora. To zakończenie w twoim stylu, Carlito.

– Ja... hm... – Izaguirre kolejny raz przełknął ślinę. – Ja się boję. Nie sądziłem, że będę odczuwał lęk.

Mingolla wielokrotnie fantazjował, co będzie czuł w tym momencie i teraz stwierdził z zaskoczeniem, że czuje niewiele, głównie ulgę; przyszło mu do głowy, że, abstrahując od lęku, Izaguirre odczuwa coś podobnego.

– Czy nie ma innego wyjścia? – zapytał Izaguirre. – Mógłbym...

– Nie – powiedział Mingolla i zaczął czynić go sennym. Izaguirre podniósł się nieco, potem znowu opadł na fotel. Próbował odzyskać trzeźwość umysłu, potrząsał głową i kurczowo ścisnął krawędź biurka. Przez jego twarz przepłynął wyraz paniki. Osunął się w fotelu. Jego oczy się rozszerzyły, skupiły na Mingolli.

– Proszę.

To słowo zabrzmiało ochryple, jakby było ostatnią wyciśniętą zeń kroplą. Jego głowa opadła do tyłu, pierś zaczęła się unosić i opadać w sennym rytmie, powieki zdrząły.

Wszystkie szczegóły pokoju – pomruk klimatyzacji, lśnienie antycznych mebli, fałszywa noc wykładziny – nabrały ostrości, jak gdyby przytępiało je dotąd czuwanie Izaguirre'a. Brutalna wyrazistość tej chwili wytrąciła Mingollę z równowagi; obrócił się na pięcie, pewien, że za jego plecami zatraskuje się jakaś pułapka. Ale były tylko zamknięte drzwi, cisza. Ponownie spojrzął na Izaguirre'a. Teraz ujrzał w tym starym człowieku rodzaj pomnika, smutną zbląkaną bestię

uwięzioną w sadzawce smoły, tej przechowalni przeszłości – i uświadomił sobie, jak mało wie o rodach, i że to, co wie, jest powierzchowne, oparte na szkicowych wrażeniach. Przysiadł na biurku, nawiązał kontakt z uśpionym umysłem Izaguirre’a i pomknął krętymi korytarzami krwawej przeszłości przez wspomnienia z jego życia ku wspomnieniom z innych żywotów, przez lata zapalające się i gasnące jak świeczuszki na torcie urodzinowym i oto był chłopcem Damaso Andrade de Sotomayor, który w pierwszym dniu swej pełnoletniości stoi w półmrocznym holu starej panamskiej rezydencji. Są tam wszyscy członkowie rodziny – milczący na swych hebanowych fotelach, których poręcze kończą się wyrzeźbionymi łbami węzów, pozwalający swym myślom zlewać się w jeden sen – a on czuje narkotyki w trzewiach, daleki ból, i poznaje sen jako głosy, tysiące głosów przemawiających jednocześnie, nie słowami jednak, lecz wyzwolonym ze słów szeptem, który jest duszą namiętności. Białe sylwetki jego rodziców, kuzynów, stryjów i ciotek migoczą jak białe ogniki na podstawkach z czarnego drewna i on także zaczyna migotać, jego ciało staje się niematerialne, sen przepełnia jego myśli radością zemsty i mocy. A kiedy sen zostaje dośniony, kiedy on sam jest silny i uzbrojony w namiętność, przychodzi czas, by podążyć szlakiem prawdy, bez słowa więc zbiega po schodach do labiryntu pod domem, do nie oświetlonych korytarzy wiodących ku siedmiu oknom, z których jedno ukaże mu jego miejsce w ramach wzoru. Wędrował godzinami, przejęty obawą, że nigdy nie odnajdzie swego okna, że zagubi się na zawsze w tych zimnych lepkich otchłaniach. Ale omszałe szorstkie ściany były przyjaciółmi; gdy ich dotykał, czuł, jak energie przeszłości prowadzą go w przyszłość, która była jedynie rozciągniętym w nieskończoność wzorem krwi. To były dziedziczne kamienie, w równym stopniu z jego krwi, co członkowie rodziny, ich wysklepione kształty zaś miały znajomą z biblioteki ojca fakturę czaszek Sotomayorów, one więc dyktowały mu kierunek, powołując się na pokrewieństwo, nakazywały skręcać tu, a nie gdzie indziej. Kiedy wreszcie dotarł do swego okna, nie ujrzał go, lecz wyczuł mrowieniem skóry. Uznał to za osobliwe. Czyż misją okna nie jest przepuszczanie światła? Ale potem zobaczył światło. Dwa szkarłatne owale, jak pozbawione źrenic oczy, gorejące coraz jaśniej i jaśniej, w miarę jak się zbliżał. Okno, uświadomił sobie, było jednobarwnym witrażem z przydymionego szkła, przedstawiającym męczyznę w cierniowej koronie. Tylko oczy postaci nie zostały niczym wypełnione, dzięki czemu mogły przenikać przez nie promienie zachodzącego słońca. Wizerunek przerażał go, a zarazem nieodparcie przyciągał: podszedł do okna, przycisnął oczy do owalnych szczelin i po drugiej stronie doliny dostrzegł przysadzisty kamienny dom Madradonów, monstrualny w sielankowym świetle, sprawiający wrażenie sprężonego do skoku masywnego zwierzęcia. Oglądał ten dom wiele razy, ale teraz odniósł wrażenie nieporównywalne z niczym innym. Dławił go gniew, czuł, że stapia się w jedno z czarną płomiennooką postacią, do której przywierał. Pajęczyna ołowianych szprosów zdawała się korespondować z przeplotem jego nerwów, transmitując zarazem krwawą czerwień zachodu, przepełniając go wściekłą

determinacją, zamykając w nim wizerunek hebanowego Chrystusa, i oto pojął, że ze wszystkich dzieci swego pokolenia to on został wybrany, aby poprowadzić pozostałych przeciwko Madradonom, że to on jest strzałą założoną na cięciwę rodzinnego łuku i że całe jego życie będzie lotem ku sercu tej mrocznej bestii przyczajonej na zboczu odległego wzgórza.

Mingolla zerwał kontakt, wstał z biurka i podeszedł do okna. Przywarł czołem do szyby. Szkło było zimne, przekazywało wibrację klimatyzatora. Popatrzył na dalekie światła miasta, rozmyślając o młodej chrześcijance i hologramie Chrystusa przechadzającego się po jej dłoni. Zawsze się zdawało, że za tą chwilą jest początek, ale nigdy nie zdołał go poznać, wyostrzyć. Zapewne, uznał, to tylko za kolejny przebłysk nadziei. Izaguirre poruszył się w fotelu i Mingolla uświadomił sobie, że odwleka to, co nieuchronne. Nie w tym rzecz, by się przejmował swoim zadaniem; miał po prostu dość całej tej procedury, narażania się znów i znów na złe wieści zaszyfrowane w falcie, że można ludzką duszę obłuskać do zera. Uznał, że poczeka jeszcze kilka minut. Kilka minut nic nie zmieni. Odsunął na bok fotel z Izaguirre'em i zaczął opróżniać szuflady biurka, zastanawiając się, gdzie stary trzyma swe narkotyki...

Basen, martwy i połyskliwy, falki uderzające o ściany. Mingolla wyprostował się raptownie, popatrzył dokoła, stuprocentowo pewien, że ktoś się doń podkrada. W polu widzenia nie było jednak nikogo. Z pokojów dobiegały głosy, w radiu brzmiały skrzypce. Gilbey i Jack nadal spali. Opadł na oparcie krzesła, wyciągnął nogi i przystąpił do układania trzech wizji w porządku chronologicznym. Najpierw jadłodajnia i pogawędka z kelnerką; potem spotkanie z Izaguirre'em, a wreszcie Miasto Miłości. Popłon bezsensownego zwycięstwa. Nie potrafił zrozumieć, jakim cudem obraz zarysowany w wizjach mógł być kompatybilny z pokojem. Może wizje nie były precyzyjne. Nie potrafił jednak przyjąć tego do wiadomości. Czuł, że są trafne.

Gilbey się otrząsnął, przyklęknął, a Mingolla, rad, że coś wyrwało go z rozmyślań, zapytał:

– Jak się miewasz?

– Śniłem – odparł Gilbey. – Śniłem o Farmie.

– A konkretnie?

– Nic, po prostu śniłem. – Gilbey usiadł po turecku, zagapił się na rozfalowany basen. –

Wiesz, tam nie było tak źle... znaczy, na Farmie.

– Było źle, ale w inny sposób niż tu.

– Taa, pewnie masz rację. – Potem Gilbey wymamrotał coś jeszcze.

– Co tam gadasz?

– Nic. Chciałem, ale...

– Zapomniałeś, co?

– Nie, nie zapomniałem. – Spojrzenie Gilbeya obiegło dziedziniec, potem spoczęło na Jacku.

Gilbey pochylił głowę, potarł kark. – Wiem, co chcę powiedzieć... wszystko mam poukładane. Ale nie da się tego ująć w słowa.

* * *

Pustce pałacu tylko w niewielkim stopniu zagroziły ustawione wzdłuż ścian długie stoły z wazami ponczu oraz tacami kanapek i ciast. Ostre białe światła płonęły pod sklepieniem, sprawiając, że plastik wyglądał jak zapocona niebieska skóra. Przewalało się w sali kilkaset osób, pomiędzy którymi sunął to tu, to tam robot-bajczarka; jego wiktoriańskie szaty stanowiły wyraźny kontrast na tle szaroburej przeważnie odzieży biesiadników. Zostały wygłoszone przemówienia, w których określano wszystkich obecnych mianem członków jednej rodziny oddanej bez reszty zasadom przywoływanym w Pokoju Panamskim... było to zdanie wielokrotnie powtarzane w ciągu owego wieczoru. Rozbrzmiewała piskliwa muzyka i Mingolla został porwany do tańca przez karłowatą kobietę z rodu Madradonów, która uśmiechała się doń, odsłaniając spiczaste zęby i której torpedokształtne piersi – z trudem wciśnięte pod obcisłą czerwoną bluzkę – taranowały klamrę jego paska.

– Umierałam z chęci, aby cię poznać – oświadczyła.

– Dopięłaś swego w najważniejszym momencie – odparł.

Udała stropioną, potem jej uśmiech powrócił.

– Tak – powiedziała. – Pragnęłam z tobą porozmawiać o naszym programie genetycznym. Jesteś z nim zaznajomiony?

– Ni chuja. – Wprowadził Karlicę pomiędzy tańczące pary. Fatalnie tańczące. Bez wyjątku. Biorąc pod uwagę ciężar gatunkowy imprezy, uznał, to był kurewski blamaż. Skrzyżowanie balu maturalnego z wieczorkiem zapoznawczym w klubie golfowym.

– Cóż... – Karlica spiorunowała wzrokiem jakiegoś Sotomayora, który zderzył się z nią zadkiem. – Mieliliśmy nadzieję, że zostaniesz dawcą.

– Dawcą?

– No wiesz... materiału genetycznego. – Karlica wymówiła ostatnie słowa z dziewczęcą afektacją i zachichotała. – Wybacz, że mówię bez ogródek, ale tak podnieca mnie perspektywa skrzyżowania linii.

– Skrzyżowania linii, hę? – Wizja własnej osoby jako praojca wielu pokoleń Mignollo-Madradonów i Mignollo-Sotomayorów wprawiła Mingollę w trzpiotowaty nastrój. – Wiesz, co ci powiem? – zapytał ze śmiechem. – Machnijmy się we dwójkę gdzieś na zaplecze, a ja wytrzępię na ciebie kapucyna. Może zdołasz coś złapać do flaszki, zanim zaschnie.

Oczekiwał, że będzie urażona, Karlica jednak wbiła tylko swoje serdelkowate paluszki w jego talię i uśmiechała się dalej. To był dziwaczny nieskoordynowany uśmiech i Mingolla sądził przez chwilę, że Karlica może zaakceptować jego propozycję.

– Ostrzegano mnie przed tymi obrazoburczymi skłonnościami. – Powiedziała to surowym

tonem, w taki sposób, jakby chciała mu dać do zrozumienia, że zna najgłębsze z jego tajemnic. – Ale to nie jest temat do żartów.

– Zaczynam podzielać twój pogląd – stwierdził. – To znaczy, wystarczy się rozejrzeć dokoła, aby dojść do wniosku, że potrzebujecie zastrzyku nowej krwi. W szczególności wy, Madradonowie. W życiu nie widziałem takich pojebanych wypierdków. Przydałoby się wam parę genów wzrostu, nie? – Lubieżnie napał na nią biodrami. – Ta, jasne. Mogę włożyć kapkę długości w twoją jakjejtam.

Karlica usiłowała się wyrwać, ale Mingolla trzymał ją jak w kleszczach i wirował zawzięcie.

– Grubiaństwo dowodzi małej wrażliwości – powiedziała.

– Taki już jestem... mało wrażliwy. – Wepchnął Karlicę na mężczyznę z rodu Madradonów tańczącego z kobietą z rodu Sotomayorów. – Łups! – powiedział i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Puść mnie! – rozkazała Karlica.

– Za żadne skarby świata – odrzekł Mingolla. – Jesteśmy na siebie skazani, konusiu. – Wmanewrował ją na inną parę i powiedział z ubolewaniem: – Przepraszam, nastąpiła mi na palec.

– Nie zapomnę ci tego – syknęła jadownicie.

– Ja też. Dobry Boże, ale szykuje nam się noc! Jakoś uporamy się z różnicą wzrostu. Odstawiałaś kiedyś ten numer w koszu hiszpańskim? – Obląpił ją jeszcze mocniej. – O, maleńka! Nie mogę się doczekać, aż z tej kreacji wyleje się twój bandzioszek.

Karlica się wiała i szarpała, usiłując odzyskać swobodę.

– Jezu, ale mi robisz dobrze! – powiedział. – Jeszcze raz... trochę niżej.

– Daj mi...

Stłumił słowa, przyciskając jej głowę do swego torsu.

– Na pierwszej randce? – zapytał ze zdumieniem, pod nosząc głos tak, aby wszyscy mogli go słyszeć. – No, jeżeli jesteś taka napalona, możemy spróbować.

A potem, nagle znudzony tym cyrkiem, puścił ją i wykonał błazeński ukłon.

– Dzięki za obłapkę – powiedział.

Stała wściekła, tocząc pianę.

– Was, skurwysyny, powinno się trzymać w klatkach – dodał na pożegnanie.

Podszedł do najbliższego stołu, jednym łykiem opróżnił filiżankę ponczu. Przy tym samym stole, nieco dalej, Tully, Corazon i Debora rozmawiali z grupką Madradonów. Madradonowie, jak się zdawało, szlifowali na błysk swą rolę Mistrzów Kompetencji. Marina Estil, nieskazitelnie lalkowata w białej atlasowej sukni i jaspisowych koralach, oderwała się od innego towarzystwa i podeszła do Mingolli. Była zarumieniona, podniecona, w jej oczach zaś i uśmiechu było ożywienie zrodzone, jak się zdawało, z czegoś jeszcze oprócz dobrego samopoczucia. Zastanawiał się, czy jest na haju.

– Jak się miewasz? – zapytała. – Tak byłam zajęta, że nie miałam czasu zapytać cię o nasz mały problem.

– Wszystko w porządku – odparł.

– Przypuszczałam, że tak będzie. – Pozdrowiła przechodzącego obok Sotomayora, a potem ponownie zwróciła się do Mingolli. – Dobrze się bawisz?

– Cudownie – odrzekł. – Jestem w siódmym niebie. – Zauważył, że Ruy przysuwa się do Debory.

Marina podążyła za jego spojrzeniem.

– Nie przejmuj się, Davidzie. Mówił mi, że zamierza ją przeprosić dzisiejszego wieczoru. Zapewne o to właśnie chodzi. A więc... – napiła się ponczu i popatrzyła na Mingollę nad krawędzią szklanki – ...czy poznałeś jakichś ludzi?

– Och, tak. Tabuny. – Opowiedział jej o kobiecie z rodu Madradonów.

Zachichotała.

– Jakże są natrętni, nieprawdaż? A przy tym, rzecz jasna, na swój sposób uroczy.

– Rzecz jasna.

– Jesteś w dziwnym nastroju – stwierdziła.

– To samo mógłbym powiedzieć o tobie.

– Och, to po prostu uniesienie. Sam rozumiesz, wszystko wreszcie zaczyna się układać.

Wypowiedziała te słowa z zastanawiającym naciskiem, ale złożył to na karb narkotyków: w tej chwili miał już pewność, że jest naćpana.

– Wszystko? – zapytał.

Uwodzicielskim gestem po gładziła go po ramieniu.

– Tak, i masz w tym znaczny udział.

– Naprawdę?

– Kiedyś ci opowiem – odparła. – Ale jeszcze nie teraz. Pokazała robota-bajczarkę, który w odległości kilku stóp od nich podtoczył się do stołu.

– Czas na część rozrywkową.

– Zbierzcie się, zbierzcie! – zawołał robot, a roześmiany i rozgadany tłum uformował półokrąg w pobliżu stołu. Z ludzkiej gęstwy wysunął się jeden z Sotomayorów, prowadząc za rękę bladą chudą dziewczynę w białym kombinezonie. Miała tępy ściągnięty wyraz twarzy, który Mingolla złożył na karb ograniczenia umysłowego. Zdenerwowana, wyłamując palce, skryła się do połowy za spódnicami robota.

– Muzyka, maestra – zakrzyknął robot, klaszcząc swymi różowymi plastikowymi dłońmi.

Dziewczynka podskoczyła, ukryła oczy pod powiekami.

– Proszę, chiałal – Odsunęła się od niego, gdy ją po łaskotał. – Odrobina muzyki, żeby uszczęśliwić nas wszystkich.

Dziewczynka uśmiechnęła się słabo i chwilę później w głowie Mingolli poniosło się dzwonięcie tak czyste, że oszołomiony jego pięknem nie zwrócił z początku uwagi na prostotę, a nawet prymitywizm melodii, w którą się układało. Źle, nierytmicznie zagranej melodii do dziecięcej śpiewanki. Mingolla uświadomił sobie, że dziewczyna jest w zasadzie pozytywką, mechaniczną zabawką z rozkalibrowanym mechanizmem. Popis trwał zdecydowanie za długo, aplauz zaś był uprzejmy wprawdzie, lecz mało entuzjastyczny. Dziewczynkę wyprowadzono, publiczności zaś został zaprezentowany młodzieniec o równie tępych obliczu. Miał ciemne, głęboko osadzone oczy, kościstą ospowatą twarz i krótko ostrzyżone włosy, przez które przeziarała skóra czaszki. Zachęcony przez robota, wbił wzrok w przestrzeń i natychmiast przed oczyma Mingolli zmaterializował się kolor, błękit tak ciemny i soczysty, że sprawiał wrażenie uczucia, wcielenia spokoju w najdoskonalszej postaci. Nastąpiła projekcja innych uczuć – zawsze ekstremalnych w swej potędze – a każdej prezentacji towarzyszył szaleńczy aplauz tłumu.

Z grupy Madradońów i Sotomayorów wysunęła się Marina.

– Sądzę – zwróciła się do zgromadzonych – iż winniśmy wyrazić najwyższe uznanie dla Carlita za jego wielką pracę, za to, iż sprawił, że na kamieniach rozkwitły kwiaty.

Rozległy się oklaski, a potem skandowanie: „Carlito! Carlito! Carlito!”, które się urwało dopiero wtedy, kiedy ponownie zabrzmiała muzyka do tańca. Mingolla wbijał spojrzenie w jedną z waz na poncz, sądząc, że dostrzeżga wśród strzępków owoców ruch czegoś żywego i szczęconiego.

– Cześć, Davidzie – usłyszał piskliwy kobiecy głos tuż za swoimi plecami.

Odwrócił się na pięcie i spojrzał w oczy robota. Za uwięzionymi w twarzy kryształami poruszały się obiektywy kamer.

– Czyżbyś mnie nie rozpoznawał? – Robot załamał ręce na swym wydatnym brzuchu.

Przez moment Mingolla był głupi, potem jednak, przypomniawszy sobie śmigłowiec i jego udawaną boskość, rozszyfrował przebranie.

– Izaguirre – stwierdził.

– Miło cię znowu widzieć – powiedział robot. Nałane różowe oblicze jakby emanowało matczyną miłością.

– Jesteś tu we własnej osobie? – zapytał Mingolla, mając nadzieję, że tak właśnie jest. Nie miał pojęcia, co by wówczas zrobił, niemniej jednak liczył na to, że tak właśnie jest.

– Och, nie. Jestem w Kostaryce. Ale nie traciłem cię z pola widzenia. – Nieudolnie, jak kretyn, puścił oko. – Jestem pod ogromnym wrażeniem z powodu pracy, którą wykonywałaś.

– Czyżby?

– Naprawdę. To zdumiewające. Wobec osiągniętych przez ciebie rezultatów moje nędzne wysiłki wydają się żenujące.

– Tylko tak gadasz. – Mingolla poczęstował robota ponczem i wylał całą filizankę na jego

sztynną żółtą suknię. – Rany... miałeś fart, że nie nastąpiło krótkie spięcie. A tak nawiasem mówiąc, na czym polega twoja praca? Na dostarczaniu rozrywki podczas przyjęć urodzinowych?

– Wciąż gniewny, jak widzę. To dobrze, Davidzie, to bardzo dobrze. Gniew może być użytecznym instrumentem. – Robot gorączkowo wycierał plamę. – A co się tyczy twojego pytania, odpowiedź brzmi „nie”. Żadnych przyjęć urodzinowych. Moja praca w znacznym stopniu przypomina twoją, chociaż – w przeciwieństwie do całościowej rehabilitacji, o którą się pokusiłeś – ja jestem skazany na walkę o pojedyncze efekty.

– O gówno tam się pokusiłem. Robiłem to dla zabicia czasu.

– Nie umniejszaj swoich wysiłków. Nikt nie poświęciłby tylu godzin, co ty, nie będąc prawdziwie zaangażowanym.

– Po prostu to było lepsze niż zadawanie się z twoimi pociotkami.

– Nie będę nalegać, byś podzielał moją opinię – powiedział robot. – Tak czy inaczej, mam dla ciebie pewną propozycję. Chciałbym, kiedy już wszystkie sprawy tam, gdzie jesteś, zostaną dopięte na ostatni guzik, zaczął współpracować ze mną.

– No, nie – odrzekł Mingolla. – Zamierzam wrócić do domu i rozwalić dupsko na plaży.

– Jedno nie wyklucza drugiego.

– Pracujesz w Stanach?

Kryształowe oczy powędrowały po parkiecie tam i z powrotem.

– Nie widzę przeszkód, aby w obecnym punkcie potwierdzić twoje przypuszczenie. Tak, mam tam dom. Sądzę, że znajdziesz w nim przyjazną atmosferę.

– Gdzie to jest?

Robot wydał z siebie chichot leśnego duszka.

– Na razie, w moim przekonaniu, nie powinienem wtajemniczać cię w tę kwestię.

Nawet nie wiesz, jak bardzo jestem w nią wtajemniczony, dupku, pomyślał Mingolla. Gdzieś, gdzie panuje pustynny skwar, a ludzie są napaleni.

– Dlaczego? – zapytał. – Boisz się mnie czy jak?

– Właściwie nie, Davidzie. Jesteś nader niebezpieczny, przyznaję. Ale będąc w kursie od bardzo dawna, wiemy, jak się obchodzić z prawdziwą mocą. – Robot cofnął się o stopę, potem, o identyczną odległość, przysunął w przód, jakby zbierał siły do skoku. – A teraz, jeśli chodzi o moją propozycję...

– Zastanowię się nad nią.

– Taki dar, jak twój, Davidzie, nie może pozostawać w uspieniu. Cóż innego mógłbyś robić?

– Możliwe, że znowu zabiorę się do zabijania. Na świecie zawsze się znajdzie miejsce dla kolejnego skrytobójcy.

Owalna głowa robota zadrżała.

– Przykro mi, że jest w tobie tyle negacji.

– Jakiej tam negacji – odparł Mingolla. – To niesmak.

– Jestem świadom, że...

– Gównu tam jesteś świadom! – warknął Mingolla. – To, coście, skurwysyny... – Ugryzł się w język, żeby nie wyłożyć kart do końca. – Może masz słusność. Może stać mnie tylko na doprowadzanie do porządku tego, coście zepsuli.

– Czy nie rozumiesz? – zapytał robot. – Czuję dokładnie to samo.

– Naprawdę?

– Myślisz, że jestem wyzbyty uczuć? – zapytał robot. – Czy nie wiesz, za jak odrażające uważam nasze dawne uczynki i wszystko to, co musimy jeszcze zrobić?

A następnie zaserwował coś, co Mingolla zaczął postrzegać jako klasyczną sotomayorowską nawijkę: Nie Usmażysz Omletu, Jeśli Nie Rozbijesz Kilku Jajek i Poświęcimy Resztę Życia, Aby Naprawić Wszelkie Wyrządzone Przez Nas Krzywdy. Wersja Izaguirre'a była doskonała, głęboko osobista i elokwentna, Mingolla nie wątpił, iż doktor wierzy w każde z wypowiedzianych przez siebie słów. Zapewnił go, iż poważnie weźmie pod uwagę jego propozycję i spróbuje się uwolnić od uprzedzeń; ledwie jednak robot zostawił go w spokoju, uświadomił sobie, że tolerancja wobec tych grepsów spadła w nim do zera. Łuski opadły mu z oczu. Gdziekolwiek obrócił wzrok, dostrzegał osad dawnych nienawiści. Szepty przysyłane dłońmi, grymasy, jadowite spojrzenia. Były również nienawiści zupełnie świeżej daty. Wyczuwał je w rezerwie, z jaką Madradonowie i Sotomayorowie traktowali swoich nowych sprzymierzeńców, esperów po kuracji narkotykowej. Tandetna jakość przyjęcia, szmatława muzyka, wirujące szpetne pary, mutancki program rozrywkowy, supernowoczesna groteskowość robota Izaguirre'a... złowieszcze aspekty każdego z tych elementów jakby podlegały spotęgowaniu. Z powodzeniem, pomyślał, mógłby teraz być w Berlinie sprzed kilku dziesięcioleci, przyglądając się, jak spalone mieszczychy ślubują wierność smukłym zimnym faszystom i maskują swe głęboko skrywane złe skłonności oraz duchowe ubóstwo byle jaką pompą i cienkim szychem świetności. To zgromadzenie miało równie wielki potencjał czynienia zła i oddawania się zwyrodniałym perwersjom; dostrzegał w nim zwiastuny nowego świata, który tylko nieznacznie będzie się różnić od dawnego. Waśń ożyje, jeszcze bardziej krwawa, bo wzbogacona o konflikt pomiędzy rodami a ich zaćpanymi tworam. W rezultacie wybuchną tuziny zaściankowych wojenek, spotęgują się napięcia, świat otrze się o apokalipsę. A może jej zazna. Skłonność rodów do postrzegania spraw w wymiarze globalnym może zadecydować o tym niewielkim, lecz znaczącym przesunięciu akcentów. Obojętne jednak, jakie ostateczne rozwiązania zostaną wyczarowane z przyszłości – Mingolla był pewien, że nie pożyje dość długo, aby być ich naocznym świadkiem. Gdziekolwiek skierował kroki, ludzie odwracali głowy, by się nie zorientował, że wlepiają weń oczy. To generalne zainteresowanie wystarczyło, aby go skazać. Wcześniej czy później, ktoś dojdzie do wniosku, że jest zbyt potężny, aby można mu

było ufać. Lub podejmie decyzję z jakichś osobistych pobudek.

Dostrzegł w głębi sali Deborę, Tully'ego i Corazon, ruszył więc w ich stronę, potracając pałubiastych Madrado nów i pełnych wdzięku Sotomayorów.

– Zamierzam się przejść – powiedział do Debory, kiedy dotarł na miejsce. – Nie masz nic przeciwko temu?

– Błado wyglądasz – stwierdziła. – Źle się czujesz?

– Chyba coś zjadłem.

– Ominie cię najlepsze – wybełkotał Tully i ścisnął Corazon z taką siłą, że Mingolla był niemal pewien, iż jej oko z różą wyjdzie z orbit.

– Pójdę z tobą – zaproponowała Debora, chociaż wydawało się, że nie ma na to najmniejszej ochoty.

– Nee, po prostu chcę się trochę przespacerować. Zabiorę Gilbeya i Jacka, a potem się spotkamy albo tu, albo w pensjonacie.

Odwrócił się, by odejść, ale zagroziła mu drogę.

– Czy coś się stało?

Doznawał pokusy, by podzielić się z nią swoimi przemyśleniami, a jednocześnie wiedział, że tego nie kupi.

-Nic poważnego – odparł. – Zobaczymy się później.

Kiedy szedł w stronę drzwi, rozmaici członkowie rodów odprowadzali go uśmiechami i ukłonami. Tak szczerymi, tak nie wymuszonymi. Odpowiadał w podobny sposób, nienawidząc ich wszystkich.

Jasna noc, gwiazdy wyraziste i jasne, tak regularnie rozłożone, że pas granatu nad głową wyglądał jak sztandar rozciągnięty na dachach domów. Mingolla czuł się na luzie, wkraczając w domenę martwych. Martwym przynajmniej można zaufać. Ich mętne odruchy nie wynikały z chciwości czy żądzy; ich wspomnienia nie inspirowały perwersji, lecz były zaledwie wyrazem niejasnych tęsknot za światem, który trudno sobie przypomnieć. Lubił również ciszę ulic. Cisza była granatowym nurtem rzeki, który – sunąc przez klaustrofobiczne kaniony barrio – miękko niośł jego odbicie wzdłuż okien wystawowych, mimo spiętrzonych w rynsztokach zatorów z ciemnych sylwetek. I nagle przyszło Mingolli do głowy, że może nie byłoby źle zaciągnąć się do tego wojska cieni, wdychać truciznę, która je spowalnia, wypełniać rozkazy, które pozwalają im znajdować ten ostatni czerwony powód, aby żyć. Przyspieszył kroku, maszerował teraz, wymachując ramionami, a Jack i Gilbey musieli się puścić niezgrabnym biegiem, żeby za nim nadążyć. W końcu zatrzymał się przed wystawą sklepu, w którym kiedyś handlowano dewocjonaliami, i popatrzył na swoje odbicie w szeregu luster. Na nieskończoną liczbę Mingollów, bez wyjątku ciemnych, z roziskrzonymi oczyma. Studiowanie tych odbić uspokoiło

go. Odwrócił głowę, a one natychmiast uczyniły to samo. Wsparł dłonie na biodrach, ruszył w stronę wystawy, armia Mingollów zaś, zuchwałych i nieposkromionych, zbliżyła się, aby odbyć naradę.

Szkoda, pomyślał, że te lustra nie są magiczne. Wezwałyby wówczas przyjaciół i członków rodziny, a następnie uczęstowałyby ich kęsami swej mądrości. Nie żeby miał wiele do zaoferowania. Za ledwie jedno słowo: Panama. Powiedziałyby je inaczej każdemu z zaproszonych. Pieszczotliwie dawnym dziewczynom, Kobiecie z Long Island – dając im w ten sposób do zrozumienia, ile szczęścia im dopisało, że jako Amerykanki są chronione przed bezmiarem bólu tej rzeczywistości. Starym kumpłom w charakterze przestrogi, aby zaszokować ich tak, że będą się wymigiwać od wojska. Do ojca... tak, do ojca wypowie to słowo w sposób pośredni pomiędzy szeptem a syknięciem. Słowo zamgli lustro, barwę nocnego nieba i cieni przekształci w gaz, który spowije głowę ojca, olśni przez moment mroczną tajemnicą istnienia, oszołomi, zadławi sednem panamskiej prawdy – ale już chwilę później do drzwi zapuka szara rzeczywistość, a mama aż do osiemdziesiątego roku życia będzie sobie na Florydzie podłapywać kochanków. Rany, co za laska!

Panama.

Nie tego się spodziewał, w żadnym razie.

Nie trafił do rozneglizowanej krainy białych plaż, na opalone wybrzeże gołych cyków gwiazd filmowych, coco locos, swobodnych – jakby żywcem wziętych z prospektów turystycznych – póź soczystych dziewczyc z wysp wiecznego nieróbstwa i szczęśliwości, do takiego miejsca, że jeśli tylko masz amerykańską forszę, Jim, to jest kraj akurat dla ciebie, gwałć go, dzierżaw, buduj hipermarkety... na co ci tylko przyjdzie ochota. Nie, dotarł do krwawej republiki kawałka historii, gdzie Kolumbowi piraci napadali wybrzeże i kopulowali ze zwłokami ofiar, gdzie pewnego razu grupa białych żeglarzy zmieniła się w kanibali i łowców głów, gdzie budujący kolej chińscy kulisi topili się całymi setkami, kiedy zabrakło im opium, gdzie rośnie zioło, dzięki któremu człowiek zyskuje moc wystawiania armii złożonej z trupów.

Gdzie przyszedł na świat facet o imieniu Carlito.

Panama... trzysylabowy dreszcz.

Ale potem słowo zaczęło nabierać nowych znaczeń, opowiadać o wzgórzach wypiętrzonych za barykadą, o Darien, dżungli w chmurach, zaginionych plemionach, a wreszcie czarownikach, których myśli są jak smutki mgły.

Otóż taka Panama... mogłaby, koniec końców, stanowić jakąś opcję.

Jack i Gilbey nieco się przybliżyli, jakby zwabieni jego pragnieniem ucieczki, coś się poruszyło w rynsztoku tuż u stóp Mingolli. Cuchnący śmietnikiem wiór męczyzny owiniętego strzępami brązowej materii. Mingolla przyklęknął obok niego i zajrzał mu w oczy – puste i dzieciniałe. Męczyzna miał spierzchnięte wargi i złamany nos; krwawe zlepione gluty

zwieszały się z jego nozdrzy jak makrama. Wyciągnął dłoń, zacisnął ją na ramieniu Mingolli, Mingolla zaś, z którego odpłynęła cała gorycz, zaczął nad nim pracować. Za plecami słyszał jakieś szelesty, ruchy, ale nie zwracał na nie uwagi.

Potem Gilbey powiedział:

– Uważaj!

Mingolla podniósł głowę, dostrzegł nad sobą sylwetki obrysowane rozgwieżdżonym niebem, a jedna z nich zamachnęła się nań czymś długim i zakrzywionym. Zrobił unik, ale maczuga i tak uderzała go w bok głowy, śląc białe błyskawice. Upadł na wznak, Gilbey go podniósł i zaciągnął na chodnik. Mingolla spostrzegł jak przez mgłę, że ulice czopują setki ludzi, suną powoli naprzód, jedynym zaś towarzyszącym temu dźwiękiem jest wilgotny charkot ich oddechów. Ich oczy przypominały otwory wycięte w brudnych prześcieradłach, dłonie ścisnęły gotową do użycia broń.

Brzęknęło tłuczone szkło.

Gilbey szarpnięciem skierował go twarzą do sklepu. Jack rozbił szybę swoim łomem, usuwał wiszące szklane sople. Gilbey zaciągnął Mingollę do sklepu. Mingolla to tracił przytomność, to ją odzyskiwał, dostrzegał w lustrach odbicie swej twarzy. Miał rozdziawione usta; spod włosów spływała rozgałęziona strużka krwi. Za ich plecami żołnierze zbierali się przy rozbitej szybie wystawowej, parli do środka, nie zwracając uwagi, że kaleczą się o szklane włócznie. Mingolla próbował zaatakować ich umysłem, nie mógł jednak zogniskować mocy; czuł, że jest ciągnięty przez gęstwą roztańczonych odbić, a potem wąskim korytarzykiem w stronę drzwi na zapleczu. Kłamka poruszyła się nieco w dłoni Gilbeya, drzwi drgnęły, lecz to było wszystko. Gilbey upuścił maczetę i zaczął się mocować z kłamką.

Mingolla wsparł się o ścianę i zagapił na maczetę. Była daleko od niego, wirowała, nikła, wcale nie miał pewności, czy zdołają dosięgnąć. Gdyby jednak zdołał... no, wiedział to i owo o maczetach. Nie da się zaprzeczyć! Zgiął się w pasie, zachwiał, a kiedy odzyskiwał równowagę, udało mu się schwycić maczetę. Jej rękojeść była tłusta od potu Gilbeya, na zardzewiałym ostrzu w wątłym świetle padającym przez okienko nad drzwiami lśniła krew. Ciężar broni uspokoił Mingollę, który się odwrócił, aby stawić czoło żołnierzom.

Korytarz był dostatecznie szeroki, aby obok siebie mogli nim iść dwaj ludzie, postępujący jednak, potracający się wzajemnie żołnierze nie byli w stanie wypracować taktyki sensownego ataku parami. Mingolla zamachnął się na pierwszego, który wszedł w zasięg maczety, ciął go przez pierś i brzuch, wykreślił krwawą linię na szarej skórze. Padło dwóch, potem trzeci. Odwalił ramię staruchy, oślepionej przez własny szal, który osunął się jej na oczy, wypatroszył jakiegoś młokosa, a potem odrzucił go od siebie kopnięciem. Drzwi otworzyły się wreszcie z przeraźliwym zgrzytem i Mingolla wycofał się do alejki, niemal równie wąskiej jak korytarz,

zablokowanej w głębi przez wysoki ceglany mur. Gilbey przyszedł Mingolli w sukurs, wymachując całą gazurką, Mingolla, nie przerywając odwrotu w stronę muru, rozplątał bandzioch półnagiemu mężczyźnie, którego skóra wylewała się ze spodni obfitymi płatami. Pomyślał przy tym, że powinien coś czuć. Przynajmniej strach, bo było wielce prawdopodobne, że zginie: mieli przeciwko sobie zbyt wiele tych postaci o trzęsących się głowach, oczach jak hebanowe drzazgi, trupiobladej skórze wyzierającej spod łachmanów. No i ubolewanie, że zabija swoich niedawnych pacjentów. Tak, na pewno powinien odczuwać żal. Ale było tak, jakby cios w głowę sprowadził go do ich stanu, do pustki upełnomocnionej rozkazem, do wymachiwania maczetą – trochę szybciej i celniej niż oni, z taką samą jednak tępą zaciętością. Żadne drżenia nie przepływały po kłindze – ich żyły woty nie miały w sobie dość uporczywości, aby zrodzić podobny fenomen – ich krew zaś opryskująca ramiona Mingolli spływała z nich ospale jak gęsty smar. Manekiny Z Ciała I Kości Wyposażone W Prawdziwe Organy Wewnętrzne. W zabijaniu tych istot była jakaś bezmyślna rozkosz, cios dobrze pomyślany i zadany sprawiał mięśniom kupę frajdy, a, Chryste, nigdy w życiu Mingolla tak solidnie nie przykładał się do roboty! Piętrzył trupy. Wznosił barykadę z ciał, z której przeciwnicy ześlizgiwali się niezgrabnie, wymachując ramionami. Stanowili wtedy łatwy cel. Machał, trafiał, ciął do kości.

Machał, trafiał, machał, trafiał. Powinien mieć przy tej rąbaninie jakąś pieśń pracy. Ujmą maczetą w krzepką dłoń... Jezu, pieprzyć! Alejka nabrała w oczach Mingolli makabrycznej ostrości. Spostrzegł swoją ostatnią ofiarę, która, wijąc się u jego stóp jak glista, na powrót wciskała trzewia do rozplatanego brzucha. Jeszcze raz podjął próbę mentalnego ataku, a kiedy to czynił, tym razem z powodzeniem, uświadomił sobie, że ukrywając swą moc przed rodami, do pewnego stopnia ukrył również przed sobą jej prawdziwy kaliber.

Poczuł w swej głowie słońce, ciężkie czarne słońce strzelające we wszystkich kierunkach promieniami energii, i wyczuł umysły żołnierzy, tych w alejce, sklepie i na ulicy, wyczuł w taki sposób, w jaki konstelacja może rozpoznawać ogniki nadające jej kształt. Wyczuł ich kruchość i pustkę. Jedni, będący w pobliżu, padli, inni – chwiejnie rozleźli się na bok i i poopierali o ściany. Nie miał dla nich litości. Byli nieważni, przypadkowi, i tak zmarnował na nich zbyt wiele czasu. Ogarnęło go przekonanie o słuszności swojej postawy, uczucie tak silne, że sprawiało wrażenie stanu fizycznego, potwierdzenia na poziomie komórkowym konieczności odwetu na tym, kto usiłował go zabić. Roznosiło go to uczucie, wyobrażał sobie konfrontację z wrogiem.

Ruyem.

Och, tak! Na pewno był nim Ruy.

Żołnierze zaszemrali, poruszyli się na wietrze Mingolowego gniewu.

Przeciskał się pomiędzy mężczyznami i kobietami stłoczonymi w alejce, roztrącał barkami, nie przejmował się ich bliskością... chociaż kontakt fizyczny z nimi był dla niego przykry, co

wynikało z irracjonalnego lęku, że strzępy tkanki, z której są ulepieni, oderwą się od szkieletu i przylgną do niego. Wydo stał się z gęstwy nieruchomych ciemnych sylwetek wypełniających sklep, a kiedy w pewnym momencie dostrzegł w lustrze odbicie całej tej sceny, odniósł wrażenie, iż widzi człowieka ukrywającego się wśród manekinów. Zapomniał o Gilbeyu i dopiero na ulicy się zorientował, że go nie widzi. Wrócił do sklepu. Gilbey klęczał przy postaci zwieszającej się do wnętrza z okna wystawowego. Obok odrzuconej dłoni trupa leżał łom.

– Chodź, Gilbey – powiedział Mingolla.

Dłoń Gilbeya zatrzepotała nad ciałem, jakby poszukiwała guziczka, którym można je wskrzesić.

– Nic już dla niego nie możesz zrobić – dodał Mingolla, kładąc rękę na ramieniu Gilbeya.

– Daj mi spokój! – Gilbey zrzucił rękę Mingolli.

Jego oczy lśniły i Mingolla był tym zdumiony. Łzami Gilbeya.

– Ja... – Gilbey popatrzył na Mingollę i kilkakrotnie wymówił jego nazwisko pytającym tonem, jak gdyby miało jakieś rzadkie, niezgłębione znaczenie.

– O co chodzi?

Gilbey pokręcił głową, wygładził zmiętą kurtkę Jacka.

Mingolla uświadomił sobie, że dalsze odgrywanie tego cyrku z przyjaźnią nie ma sensu; popełnił sentymentalny błąd, wyróżniając Gilbeya wśród innych, udając przed sobą, że jest żywy i zdrowy. Tu nie było miejsca na sentymenty. Oddalił się od Gilbeya, przy czym skutecznie zwalczył pokusę, żeby się z nim pożegnać, a następnie, wykorzystując szybę wystawową jako lustro, zaczął ścierać krew ze swej twarzy i ramion. Dookoła niego martwi stali zupełnie nieruchomo, niczym posągi na pejzażu miejskim De Chirico. Niemal czuł wibrację ich wewnętrznej pustki, tęskne pragnienie działania – i wiedział, jak to pragnienie zaspokoić, wiedział bowiem, do jakiego działania zostali stworzeni.

Zawsze miał w sobie wiele gniewu, to jednak, co odczuwał teraz, było gniewem w najdojrzałej postaci, gniewem przeistoczonym w samoistny byt, w wykorzystującego jego powłokę cielesną roziskrzonego człowieka, którym powoduje wściekłość i tylko wściekłość. Ów gniew zaraził żołnierzy, kiedy więc Mingolla spiesznie ruszył w stronę pałacu, od krawężników i ścian odrywały się cienie, aby za nim podążyć. Wzeszedł księżyc, ściany budynków rozjarzyły się tak mocno, że bez trudu dostrzegał szare plamy tam, gdzie się złuszczył biały tynk. Bardziej niż kiedykolwiek dotąd wąskie ulice przypominały mu kaniony, uzbrojeni zaś w prymitywny oręż i obszarpani żołnierze mogli być z pochodzeniem plemieniem jaskiniowców, które wyrusza, aby napaść na sąsiadujący ze sobą szczepek. Ich skóra wyglądała na białą i kruchą jak twaróg, ich oczy były tą samą połyskliwą czernią, co szyby wystaw.

Kiedy dotarł do ulicy kończącej się parkingiem przed pałacem, podzielił armię na dwie grupy, z których jednej rozkazał okrążyć pałac i zająć go od strony barykady, drugiej zaś –

czekać w ukryciu na wezwanie. Krocząc przez parking, czuł się wewnątrz swego gniewu spokojny, jak gdyby rdzeń jego osobowości oddzielił się od całej reszty i beznamiętnie śledził wydarzenia. Koło schodów parkowało kilka dżipów i Mingolla z zadowoleniem stwierdził, że większość ma kluczyki w stacyjkach. W pałacu przyjęcie toczyło się na całego, atmosfera zaś była znacznie bardziej pijacka niż wtedy, kiedy wychodził. Madradonowie i Sotomayorowie płąsali fantazyjnie przy wtórze jazzującej melodyjki, robot-bajczarka, najwyraźniej wyłączony, stał nieruchomo w kącie. Zapewne o tej porze Izaguirre już spał. Przeciskając się pomiędzy tancerzami, Mingolla się uśmiechał i kiwał głową do wszystkich, z którymi spotkał się spojrzeniem. „Uroczy wieczór” – powtarzał. „Cudowne przyjęcie”. A potem, obniżając głos do takiego poziomu, że nie mogli być pewni, co właściwie słyszą, dodawał: „Wszyscy umrzecie” i uśmiechał się jeszcze szerzej. Debora była przyparta do stołu przez grupkę, wśród której dostrzegł i Ruya, i Marinę; dołączył do owej grupy, przecisnął się do Debory i zapytał szeptem:

– Gdzie jest Tully?

– Nie wiem – odparła. – Chyba wrócili do swojego pokoju. – Spojrzała nań z ukosa. – Ty krwawisz! Co się stało?

Dotknął czoła, kiedy zaś odjął palce – były czerwone.

– Miałem małą stłuczkę – odparł, uśmiechając się do Ruya.

Głupia sprawa z Tullym i Corazon, pomyślał. Ale niczego nie zamierzał odkładać. Będą musieli sami dać sobie radę.

– To wygląda poważnie – stwierdziła Marina. – Ktoś powinien cię opatrzyć.

Zachowywała się nerwowo, międlila w palcach rąbek sukienki, unikała wzroku Mingolli.

– To drobnostka – odparł, czując uderzającą do głowy mieszaninę gniewu i radości. Niebieska plastikowa skorupa pałacu wydała mu się nagle wnętrzem olbrzymiej czaszki, czaszki Carlita. W snopach światła koszących się z sufitu dostrzegł pokrętną geometrię Carlitowego myślenia; powietrze miało stęchły zapach jego fal mózgowych, tancerze zaś, grupka przy stole, znieruchomiały robot, oni wszyscy byli żalonymi twórcami jego wyobraźni. Wirowali, gadali, udawali, że istnieją naprawdę, każdy animowany innym wątkiem intrygi czy kaprysu. Ale to się miało zakończyć. Wyobrażał sobie, jak niebieskie ściany pękają, niezdolne utrzymać w sobie potęgę, którą Carlito nieopatrznie wzniecił.

– Miałem dzisiaj interesujące przeżycia – powiedział Mingolla. – Coś, co można by nazwać prawdziwym objawieniem. Czyż nie, Ruy?

– Nie wiem, o czym mówisz – obruszył się Ruy.

– Gadaj zdrów.

– To rozcięcie należy opatrzyć – wtrąciła Marina z niejakim ożywieniem. – Chętnie...

– Nie fatyguj się. – Mingolla powiódł spojrzeniem po pozostałych; wpatrywali się weń pytająco, jak gdyby wyczuwali, że coś się kroi, ale nie mieli pewności co – i chociaż dotąd

zamierzał czekać, aż on i Debora wypłyną na czyste wody, teraz uświadomił sobie, iż oto nastąpił właściwy moment, że nie może zniknąć, nie będąc świadkiem przynajmniej początku końca. Że, tak samo jak Carlito, uwielbia teatralne gesty.

Wziął Deborę za rękę, zaciągnął na kawałek wolnej przestrzeni na skraju parkietu. Potem odwrócił się w stronę grupki ludzi przy stole. Wyglądali na zdenerwowanych.

– Tej nocy ktoś usiłował mnie zabić – oznajmił. Któryś z biesiadników wyłączył muzykę, wszyscy poszeptywali.

– Nie jest szczególnie ważne, czy winowajca zostanie wskazany palcem, czy też nie. – Podniósł głos. – Niemniej jednak uważam za stosowne, aby jakaś kara została wymierzona.

Marina precyzyjnie się na czoło grupy.

– Jak to się stało, Davidzie?

– Ktoś poszczuł na mnie wojsko, kiedy spacerowałem – odparł.

– Ruy! – Obróciła się w miejscu i wbiła wzrok w Ruya.

– To nie ja! – zaprzeczył. – Byłem tu cały wieczór.

– Nieistotne. – Mingolla zwrócił się do znieruchomiałych tancerzy. – Co powiecie na jeszcze jeden punkt programu rozrywkowego, ludziska?

– Nie ryzykowałbym sobą, żeby się na tobie odkuć – powiedział Ruy do Mingolli.

– A więc kto to był?

Przez chwilę nie potrafił udzielić odpowiedzi. Wodził oczyma po tłumie, poszukując prawdopodobnego kandydata.

– Marina? – zasugerował wreszcie.

Sprawiła wrażenie urażonej, rozczarowanej jak nauczycielka, którą zawiódł faworyzowany uczeń.

– To ona... czy nie widzisz? – wykrzyknął Ruy. – Próbuje się na mnie zemścić, wrobić mnie.

– Dobry Boże, Ruy – powiedziała Marina i roześmiała się z politowaniem.

– To musi być ona – upierał się Ruy. – Przez wszystkie te lata udawała, że mi wybaczyła, ale wiem, że to nieprawda.

– Co przebaczyła? – zainteresowała się Debora.

– Wiele lat temu – odrzekł Ruy – coś jej zrobiłem. Nie chciałem tego zrobić, szalałem na jej punkcie. Ale...

– To z twojego powodu straciła dziecko! – stwierdził Mingolla. Dzisiejsze uniesienie Mariny połączył z przyjemnością wywarcia na Ruyu zemsty, a także z innymi sygnałami i przesłankami.

– To absurdalne! – obruszyła się Marina.

– Tak, tak! – Ruy przysunął się do Mingolli, ogarnięty nagłą gorliwością. – I od tamtego czasu jest wariatką. Zdołała jednak przekonać wszystkich, że jej szaleństwo jest czymś zupełnie innym. Poświęceniem, kompetencją. A tymczasem tylko czekała na okazję. Wiedziała, że jeśli

coś ci się przytrafi, oskarżony zostanę ja.

Winę miała wypisaną na twarzy, ale Mingolla nie potrafił na tym etapie zmienić ukierunkowania swojego gniewu; jej perfidia wcale nie była zaskakująca, jeśli wziąć pod uwagę postępek Ruya, a zresztą nienawidził Ruya od zbyt dawna, żeby teraz zrezygnować z zemsty. Tak czy inaczej, nie interesowała go konkretna wina, lecz raczej przykład, a Ruy, ze swym błagalnym zachowaniem, ze swym spotniałym strachem, stanowił przykład idealny.

– Pa, Ruy – powiedział i uderzył z porażającą mocą.

Ruy zwiotczał, ugiął kolana i osunął się na czworaki. Jego marsowa twarz stała się pusta, upadł na bok. Stojąc nad nim, Mingolla poszarpywał jego mentalne zawężenia, rozwiązywał jedno po drugim.

– Nazywamy to, ludziska – powiedział tonem wykładowcy – obłuskiwaniem ludzkiej duszy w warunkach polowych. Bułka z masłem, kiedy już człowiek nabierze trochę wprawy.

Ruy usiłował coś powiedzieć, ale zdobył się tylko na rodzaj nieprzyjemnego pochrapywania. Drapał palcami podłogę, lekko rzucał nogami i wpatrywał się w Mingollę, poruszając ustami i marszcząc czoło, jak gdyby usiłował przypomnieć sobie coś, co go ocali. – Wcale nie trwa długo, jak sami widzicie. Chętnie udzielię paru lekcji.

Madradonowie i Sotomayorowie milczeli, ich twarze wyrażały całe spectrum uczuć – od zgrozy po rozbawienie.

– Wiesz, gdzie jesteś, Ruy? – zapytał Mingolla z bezmierną troską.

Ruy okazał niepokój.

– Ja... uuu... ja...

– Doskonale, Ruy. – Mingolla poklepał go po ramieniu. – Będzie z ciebie wyborny żołnierz. Broniący honoru Sotomayorów. Obsrywający ulice, pałujący innych zombi. Świetnie dasz sobie radę.

Ruy zdobył się na anemiczny uśmiech.

– Ale nie będzie ci łatwo. Wiesz, jak będzie ciężko?

Ruy nie miał pojęcia, ale cały zamienił się w słuch.

– To ci pokażę. – Mingolla chwycił Ruya za przód koszuli i zaczął go policzkować. Każdy cios wygrywał małą bitwę w je go sercu, skazywał na banicję ostatnie drobiny współczucia.

Ktoś złapał Mingollę od tyłu, Mingolla jednak odepchnął napastnika i posłał przez parkiet falę nienawiści, sygnał dostatecznie potężny, by przyzwać wojsko. Rodziny odeszły, pozostawiając jego, Deborę i Ruya na kawałku pustej przestrzeni. Popatrzył badawczo na Madradonów i Sotomayorów, odpowiadał takimi samymi spojrzeniami. Albo też pełnymi aprobaty. Zorientował się, iż nie są poruszeni tym, co zrobił; próbowali tylko oszacować jego relatywną wartość, stopień ryzyka, jakie niesie istnienie kogoś takiego. Pojęcie porażki było im zupełnie obce.

– Rozumiemy twoją reakcję, Davidzie – powiedział jeden z Sotomayorów – ale nie możemy pozwolić, byś brał sprawy we własne ręce.

– Program się jeszcze nie skończył, ludziska – odrzekł Mingolla. – Czas na wielki finał.

Usłyszał jakiś hałas za plecami. Odwrócił się i zobaczył, że Marina kopie Ruya, który zwinięty w kłębek, usiłował chronić głowę. Mingolla złapał ją za ramię – przy czym puścił jeden ze szwów atlasowej sukni – i uderzeniem na odlew rzucił na podłogę. Przewróciła się na brzuch, usiadła – z obłędem w oczach, bez śladu dawnej elegancji. Ruszyła na czworakach w stronę Ruya. Mingolla odepchnął ją nogą.

Zgiełk przy wejściu, jakiś krzyk, ludzki młyn.

Przez drzwi tłumnie przeciskały się postaci w łachmanach. Mingolla pociągnął Deborę pod ścianę.

– Co ty zrobiłeś? – zapytała, odpychając go od siebie.

– Próbowali mnie zabić, do jasnej cholery!

– Nie powinienes... – Urwała, sprawiając wrażenie złamanej, poko nanej. Opuściła ramiona, wbiła spojrzenie w parkiet.

Dziwne były te pierwsze chwile potyczki pomiędzy rodami a ich dawnymi ofiarami. Wychudzeni łachmaniarze, potykający się, mrużący oczy w jaskrawym świetle, sprawiali wrażenie – mimo jednoznaczności i potęgi rozkazu Mingolli – oszołomionych, niepewnych jak żebracy wpuszczeni do komnaty tronowej. Kilku zastygło – poszarpując swe szmaty i zatykając dłońmi usta – w pozach wyrażających pokorę i wstyd. Ale tylko na moment. Bo zaraz ruszyli przed siebie, zdecydowani wypełnić misję. Madradonowie i Sotomayorowie byli zaszokowani, urażeni raczej niż przerażeni... tak się przynajmniej Mingolli zdawało. Kiedy nastąpił atak, z wielką pewnością siebie wbili wzrok w żołnierzy, próbując na nich oddziaływać. Dopiero kiedy się zorientowali, że wpływ wywierany przez Mingollę jest silniejszy, okazali, że się boją. Ale wtedy mieli już żołnierzy na karkach. Posiwiwały masywny mężczyzna uderzył pierwszy – nadział na widły bladą chudą kobietę i przepchnął ją aż na środek sali; chwyciła ostrza palcami i otwierała usta, zbyt zaszokowana, żeby wydać z siebie krzyk. Stara kobieta, odrzuciwszy do tyłu głowę jak triumfująca lwica, dźgała powalonego mężczyznę. Marina Estil zerwała się do ucieczki i dostała w szyję cios motyką od młodego chłopaka; uderzał raz za razem, plamiąc krwią biały jedwab sukni. Była w tych atakach jakaś przerażająca niezgrabność, jakaś lunatyczna inercja, i gdyby stosunek sił przedstawiał się inaczej, rody mogłyby ocaleć; zresztą i tak wiele osób zdołało salwować się ucieczką przez drzwi. Siły były jednak zbyt nierówne. Na przestrzeni całej sali zwarte małe grupki członków rodzin odpierały ataki tuzinów napastników, a wrzaski i jęki Madradonów czy też Sotomayorów brzmiały zbyt energicznie, jak na ospałość zabijania, które miało miejsce. Krew rodzin jakby się wysączała spomiędzy płyt podłogi obfitym zdrojem, tu i tam mnożyły się akty męstwa: Madradonowie ocalali Sotomayorów i odwrotnie, jak

gdyby dopiero w śmierci jednoczyła ich wspólna sprawa. Mingolla nie litował się nad nimi, dostrzegając w ich umieraniu zarazem smutną nieuchronność, podsumowanie stuleci zabójstw, wzór, który zmieniony w pętlę z krwi i strachu zaciska się oto na szyi monstrum. Długiej szyi, sięgającej aż do czasów kolonialnych. Dostrzegł również słabości własnego aktu zemsty, reakcji nie lepszej niż ekscesy rodów, równie bezmyślnej i owocującej równie makabrycznymi rezultatami. Ale nie doznawał pokusy, by się wtrącić.

Powiódł Deborę wzdłuż ściany, zasłaniając ją zarówno ciałem, jak i wystrzelowanymi w każdego, kto się zbliżył, ładunkami strachu; przemykali przez masakrę bez jednego draśnięcia, jak święci niewrażliwi na ogień. Kiedy jednak znaleźli się niedaleko drzwi, Mingolla zaczął odczuwać intensywny smutek i słyszeć w głowie czystą, krystalicznie czystą, prościutką muzykę. Słabą zrazu, z każdą chwilą jednak mocniejszą i przenikającą głębiej. Zgubił krok i wtedy dostrzegł obok drzwi dziewczynkę i ostrzyżonego krótko chłopaka, których „popisy” uświetniały wieczór; mieli puste twarze i mocno zaciśnięte powieki. Dzwony i smutek, smutek i dzwony. Zmieszane w płyn ciężki jak rtęć, spowalniający go, wprawiający w otumanienie. Usiłował zrzucić z siebie smutek, wytłumić dzwony, ale jego panika nie wybuchła płomieniem, rozbłysła tylko i zgasła, po czym uznał, że nie warto dalej walczyć. Smutna błękitna muzyka zabijała go, oziębiała, prowadziła w ostatnią drogę... żałobny Anioł Pański budzący pragnienie, aby zwalniać i zwalniać, rozwiewać się wraz z dzwonnym pogłosem, wycofywać na zawsze do miejsca, które niemal potrafił sobie wyobrazić, szarego i tajemniczo głębokiego, do matecznika duszy, dziury małej, a zarazem dostatecznie dużej, by zwinięta w kłębek dusza mogła ułożyć się w niej do snu; nawet wrzaski i jęki wplatały się w muzykę, stanowiąc jej chórally kontrpunkt. Zastanawiał się, dlaczego Debora nic nie robi, dlaczego tylko stoi, czy nie zamierza pomóc... to zresztą nie miało znaczenia, wołał niktą, opierać się o ścianę i pozwalać, by smutek muzyki wibrował w jego wnętrzu, rozbijając struktury myślenia, i w gruncie rzeczy nie było takie złe to obracanie się w pustkę, rozwiewanie, znikanie jak we śnie, kiedy komórka zamyka się po komórce, kiedy zawęża się pole widzenia... lecz nagle pojawiło się w nim coś gorącego, naładowanego mocą, ukierunkowanego, i poczuł, jak Debora dołącza swoją siłę do jego, tę wirującą rozgorączkowaną energię, która rozbudowuje się w czerwony zgiełk myśli, gniewu i odrazy wobec tego, co się dzieje, i oto dziewczynka zaskowyczała, cofnęła się chwiejnie, ostrzyżony chłopak zaczął dygotać, zagryzać dolną wargę, plamiąc podbródek krwią, a muzyka i smutek rozprysły się na kawałki przerażenia i zimnego dźwięku.

Mingolla podszedł do chłopaka, złapał go za kombinezon, władował mu kolano w krocze, pozwolił upaść. Odwrócił się do Debory, wyciągnął ją za drzwi.

– Co ty, do cholery, wyrabiasz... na co czekałeś?

– Ty nic nie robiłaś, dlaczego więc ja miałam robić? – Wyciągnęła i zaraz cofnęła rękę. – Przez sekundę po prostu przestałam się przejmować... czymkolwiek.

– Cholera! – powiedział. – Ty...

– Tylko nie mów, że nie czułeś tego samego! – odparła, tkwiąc w pół drogi pomiędzy gniewem a łzami. – Odczuwasz to cały czas, a jedyne, na co mnie stać, to wbrew wszystkiemu nie dawać za wygraną. Ja...

Odwróciła się od niego, a on stał przez chwilę, wpatrując się w jej plecy. Jego pierś boleśnie rozsadzało jakieś uczucie, którego nie potrafił zidentyfikować, miał rozpaloną twarz. Debora brała głębokie rozdygotane oddechy.

– Pierdolić – powiedział wreszcie. – Zbierajmy się stąd.

Kiedy wsiadali do jednego z dżipów, nadbiegł z bełkotem któryś z Madradonów i uderzył Mingollę w twarz; był to anemiczny cios, otrzeźwił go jednak i uwrażliwił na fakt, że gromadzą się wokół nich nadciągający ze wszystkich stron parkingu mężczyźni i kobiety. Napastnik opadł na kolana, zachwiał się, wczepił kurczowo w nogę Mingolli. Mingolla odrzucił go kopniakiem, włączył silnik i odjechał z piskiem opon, manewrując wśród ocalałych, którzy krzyczeli coś z rozpaczą i wyciągali ku niemu zakrwawione ręce. Skręcił w ulicę prowadzącą do barykady, wóz podskakiwał na wertepach. Gwiazdy obrysowywały garby dalekich wzgórz, jasne ściany wbiegały w pole widzenia. Mroczne sylwetki wspinały się na barykadę: jedne padały, kiedy pomiędzy deskami błyskał ogień wystrzałów, drugie – tych było znacznie więcej – przełaziły szczęśliwie, inne, najliczniejsze, zbijały się w tłum u podnóża konstrukcji. Mingolla nie zdejmował ręki z klaksonu: część ludzi w łachmanach rozsypywała się na boki, część tylko stała i rozdziawiała usta, ale Mingolla nie zwalniał.

– Trzymaj się! – powiedział do Debory, gdy wypiętrzyła się przed nimi ściana i oto chwilę później, wśród trzasku pękających desek, huku wystrzałów i łomotu ciał zderzających się z maską, przewalili się przez barykadę. Na nieutwardzonym gruncie dżip wpadł w poślizg, ale niemałym wysiłkiem Mingolla zdołał opanować samochód. I zorientował się, że są w centrum bitwy bardzo podobnej do tej, którą zostawili za sobą. Na żółtym klepisku upstrzonym tu i ówdzie kępami trawy, która w blasku księżyca wydawała się czarna, grupki żołnierzy ostrzeliwały znacznie większe grupy napastników. Dalej, do samych wzgórz, ciągnęła się łąka porośnięta wyższą i gęstsza trawą.

Debora poklepała Mingollę po ramieniu, pokazując oddaloną od pola bitwy szopę, której dach pokrywała papa.

– Pewnie trzymają tam broń!

Od zderzaka ze świstem odbił się pocisk.

Podjechał do szopy od tyłu i nie wyłączył silnika, kiedy Debora smyrnęła do środka. Chwilę później wróciła z dwoma karabinami, popychając przed sobą żylastego czerwonoskórego mężczyznę w drelichach polowych. Zmusiła go, by usiadł z tyłu dżipa.

– Kto to jest, do jasnej cholery? – zapytał Mingolla.

– Zakładnik – wyjaśniła. – Chował się.

Był zdumiony transformacją, jakiej podległa Debora: miejsce zrezygnowanej kobiety zajęła sprawna, zdeterminowana bojowniczką. Czuła się swojsko w tym chaosie, była zdesperowana, lecz swoją desperację potrafiła brać w karby.

– Zasuwasz! – krzyknęła. – Jedziemy!

Wyrwał zza szopy i ruszył przez łąkę. Kule świstały obok nich, jedna skrzesła iskry z ramy, w której tkwiła szyba, i po raz pierwszy Mingolla poczuł strach. Miał ściśnięty odbyt, a pomiędzy jego łopatkami utworzył się zimny punkt.

Debora, zwrócona tyłem do kierunku jazdy, klęczała na fotelu. Otworzyła ogień. Mingolla dostrzegł w lusterku światła trzech wozów, które ich ścigały. Wdepnął gaz do dechy, dżip przelatywał nad wgłębieniami w łące, uderzał w ziemię jak kamień. Pocisk strzaskał szybę, Mingolla wszedł w slalom, a Debora wylądowała mu na kolanach. Wyprostowała się i znów zaczęła strzelać.

– Jedź na północ! – wrzasnął z tylnego siedzenia jeniec.

– Dlaczego? – Mingolla garbił się, pochylał głowę, w każdej chwili oczekując kuli.

– Tam jest droga! Dukty! Tam ich zgubisz! – Wysunął głowę zza oparcia. – Orientuj się na to wielkie wzgórze.

Z tyłu rozległ się wybuch; Mingolla zobaczył w lusterku ognistą kulę i dwie pary świateł omijające ją szerokim łukiem.

– Cholera! – Karabin Debory się zaciął, odrzuciła go więc i sięgnęła po drugi.

Przy każdym podskoku i wstrząsie wydawało się, że dżip wystrzelił w niebo, Mingolla więc zaklęciami i przekleństwami zachęcał go do pozostania na ziemi. Składał przyrzeczenia Bogu: „Wyciągnij mnie z tego, Jezu, a już nigdy nie zgrzeszę”, jego serce łomotało w rytm strzałów Debory, wzgórze pęczniało przed nimi, czarne i ogromne, jeniec wywrzaskiwał instrukcje i oto gruntową drogą wbili się w gęstwą dżungli.

– Zatrzymaj się... tam! – Debora kuksnęła go, pokazując skąpany w mroku dukt, który uchodził w dal pomiędzy dwoma wielkimi drzewami. Usłuchał polecenia, wyłączył silnik. Debora oparła karabin o ramę szyby, skierowała lufę w stronę drogi, a kiedy reflektory nadjeżdżającego dżipa przewiercały mrok, otworzyła ogień. Krzyki, ciemne sylwetki na tle wybuchu i dżip przewalił się na bok jak ciemnooliwkowy żuk, który dogorywa we własnych sokach. – Jest jeszcze jeden – powiedziała. -

Na pewno widzieli.

Mingolla zapuścił sondę mentalną i w odległości niespełna stu jardów wykrył trzy wątle umysły. Sprawił, by się przełękły... przełękły do tego stopnia, że zawirowały, rozbłyły, a potem zgasły jeden po drugim.

– Teraz jesteśmy bezpieczni – powiedział.

Panował spokój; strumyk szumiał gdzieś w pobliżu, bzyczały owady, rechotały żaby i nawet trzask płomieni wpisywał się harmonijnie w atmosferę spokoju. Mroczny chaos ucieczki wydawał się uludą. Gałęzie i liście rysowały się ostro w blasku księżyca, Mingolla całym sobą odczuwał poadrenalinowe bóle i dygoty, jak gdyby ten sam księżyc oświetlał jego słabość, podkreślał ich osamotnienie. Było tak, jakby żadne z zapamiętanych przezeń wydarzeń ostatniej godziny nie miało miejsca, jakby zostali wypłuci z otchłani koszmarnego snu, aby tu, na zboczu góry, na powrót pobratać się z rzeczywistością.

– Zamierzacie mnie zabić? – zapytał głos z tylnego siedzenia.

Mingolla zapomniał o zakładniku. Mężczyzna siedział teraz prosto, czujny, lecz nie przerażony; miał kocie sprytne rysy i sztywne czarne włosy. Mingolla dostrzegł sposobność uczynienia czegoś dobrego, ostatnią szansę na akt miłosierdzia.

– Możesz iść – powiedział.

– Nie możemy... – zaczęła Debora.

– Puść go. – Mingolla położył rękę na jej karabinie. – Po prostu go puść.

Mężczyzna wykaraskał się z dżipa.

– Niko mu nie powiem – zapewnił, rejterując pospiesznie.

Mingolla wzruszył ramionami.

Mężczyzna odchodził coraz szybciej, po chwili puścił się biegiem, był przez moment wyraźnie widoczny na tle płonącego dżipa, a potem zniknął za zakrętem.

– Nie powinieneś był tego robić – stwierdziła Debora, ale w jej głosie nie było przekonania.

Mingolla uruchomił silnik. Nie chciał patrzeć na Deborę, nie chciał, by ujrzała jego twarz, bo obawiał się tego, co mogłaby z niej wyczytać. Kiedy wjeżdżali na drogę, przywarła udem do jego uda, a potem już nie cofnęła nogi; ten kontakt sprawił, że uświadomił sobie ich bliskość. Zarazem jednak czuł, iż bliskość nie jest już ważna, a jeśli nawet jest – to wyłącznie przez swe miejsce w przeszłości. Ich stosunki bowiem ulegały zmianie. To też czuł bardzo wyraźnie. Stanowiska były określane na nowo, związki rozrywane i budo wane w innym kształcie, na światło dzienne wpływały skryte dotąd w mroku zakamarki ich dusz.

Ale przestał o tym myśleć, przestał myśleć o czymkolwiek, skoncentrował się wyłącznie na prowadzeniu. Kierowali się na północ, w stronę Darien.

Rozdział 18

O piątej po południu następnego dnia, dwukrotnie zmieniawszy samochody, żeby zmylić pościg, byli wysoko w górach Darien, i nie jechali już, lecz pełzli z powodu gęstej mgły. Widoczność zmalała do kilku stóp, a Mingolla musiał nieustannie wycierać parę z szyby, żeby widzieć chociażby na tę odległość. W końcu dał za wygraną i zjechał z drogi. Debora usnęła na tylnym siedzeniu, on zaś siedział i gapił się w mgłę, niewyraźne zielone zapętlenia lian i liści przypominające ozdobne litery, podpisy – fantazjował – pod nie zredagowaną jeszcze konstytucją tego kraju. Od czasu do czasu słyszał krzyki we mgle, krzyki równie z pozoru dziwne i powikłane, jak kształty liści. Przypisywał je ptakom. Niemniej jednak, przypominając sobie opowieści Tully’ego o tym regionie, o brujos i duchach, wyobrażał sobie małych brązowych mężczyzn, którzy siedząc w swych chatkach, rozsyłają po świecie uskrzydłone widma; a kiedy wzeszedł księżyc i rozjarzył mgłę, wydało mu się, że czuje, jak trzepoczą wokół samochodu, rozplywając się w pasma i smugi, ilekroć kieruje wzrok w ich stronę. Tylko trochę obawiał się duchów; znacznie bardziej bał się swoich wspomnień i możliwości.

Po półgodzinie zadrzemał, ale wkrótce obudził go przemożny niepokój. Coś się stało, coś niedobrego. Próbował zbagatelizować to uczucie, dopatrując się w nim kaca po śnie, bez rezultatu jednak. Serce biło mu jak młotem, pocił się, a kiedy Debora odezwała się z tylnego siedzenia – podskoczył.

– Miałam właśnie okropne uczucie – powiedziała. – Zły sen czy co.

– Taa... ja też. Usiadła.

– Czy...

– Co?

– Może coś się wydarzyło w mieście.

Było to wielce prawdopodobne, ale nie chciał myśleć o mieście, nie chciał myśleć o niczym, co zostawili za sobą.

– Może – powiedział.

– Chodź, usiądź ze mną, dobra?

Przełazł przez oparcie, a kiedy tylko się usadowił, Debora legła ponownie, kładąc głowę na jego kolanach...David...

– Słucham – odparł, odrzucając łatwą pociechę, jaką dawał ten rodzaj intymności.

...kocham cię...

Jej przesłanie miało tęskny posmak, jak gdyby Debora usiłowała wskrzesić uczucie.

– Ja też cię kocham. – Powiedział to bezbarwnym brzękliwym głosem, który brzmiał jak wiadomość na automatycznej sekretarce.

Zmieniła pozycję na wygodniejszą, on zaś, w odruchowym geście, opuścił dłoń i ujął jej

pierś. Sądził, że mógłby latami nie dotykać jej w taki sposób, a przecież jego palce będą pamiętać ciężar piersi Debory, ich dokładny kształt. Kontakt go zrelaksował.

...mój ojciec uwielbiał takie miejsca...

...mówiłaś mi...

...wysoko położone, mgliste...

...ty też je lubisz...

...nic nie mogę na to poradzić, spędziłam w nich z ojcem tyle czasu... odwiedzaliśmy często wioskę Cahuatla w górach Cuchamatanes, bardzo dziwne miejsce, mężczyźni nosili koszule z ogromnymi haftowanymi kołnierzami, a do tego czapki z małych futer, no i niektórzy z nich przypominali małpy, bo byli bez wyjątku maleńcy i pomarszczeni, nawet ci najmłodszy... a kiedy wychodzili z mgły, człowiek wyobrażał sobie, że są duchami małp... jeździliśmy tam corocznie w maju, na festyn, który strasznie ojca bawił, mógł go oglądać w nieskończoność...

...jaki festyn...

...w gruncie rzeczy nic specjalnego, wszyscy mężczyźni jeździli konno z jedne go końca wioski na drugi, w każdym końcu pili trochę aguardiente, jechali w przeciwną stronę, pili znowu, zawracali i tak dalej, tylko że upijali się coraz bardziej... chodziło o to, żeby sprawdzić, kto najdłużej utrzyma się na koniu...

Długo opowiadała o festynie, aż Mingolla zaczął go widzieć – żyłastych ludzi-małpy w pasiastych koszulach z czerwonymi i purpurowymi kołnierzami, lśniącymi jak aksamit, którzy chwieją się po pijacku na grzbietach swych kościstych wierzchowców. Przez jakiś czas wystarczyło mu, że jej słucha, śledzi, jak rozwija się taśma ze wspomnieniami; ale niedługo. Wyczuł dekoncentrację w coraz bardziej dziurawych opisach, wyczuł jej podniecenie, pojął, że chce się kochać, jest otwarta, wilgotna, i ta gotowość Debory wydała mu się obleśna, bo stało się coś strasznego, coś, czego nie wymaże największa nawet dawka miłości fizycznej. Nie miało jednak sensu zawracanie sobie tym głowy, uznał, w tej chwili nie mieli innego wyjścia, jak zacząć się kochać. Wsunęła się z dzinsów, majtek, usiadła na jego członku, pod nosiła się i opadała, wsparta o przedni fotel, Mingolla zaś niemal lubieżnie przypatrywał się, jak bierze go w siebie. W końcu jej okrzyk był równie daleki i nierzeczywisty jak krzyki ptaków skrytych we mgle.

Potem porozmawiali jeszcze trochę, ale bez przekonania, i niebawem Debora znów zasnęła. Mingolla próbował nie zasnąć, czuwać. Niepokoił go brak pościgu, podejrzewał, że są śledzeni przez śmigłowce z termolokacją, kiedy jednak doszedł do wniosku, że jeśli tak jest w istocie, nie pomoże im największa czujność – zapadł w sen i zaczął śnić.

W swym śnie wysiadł z samochodu, pozostawiając uszpioną Debore, i we mgle ruszył z boczem pod górę; przebijał się przez pnącza i paprocie, jego spodnie robiły się coraz cięższe od wilgoci zebranej z liści. Niebawem dostrzegł we mgle rozproszone światło, które chwilę

później przybrało kształt żółtego owalu będącego wejściem do chaty. Nie bał się zbliżyć do chaty;

w istocie miał wrażenie, iż właśnie tej chaty szukał od bardzo dawna. Pochylił głowę, nurknął do środka i usiadł naprzeciwko poskręcane go jak korzeń mężczyzny o czarnych włosach, pomarszczonej twarzy i miedzianej skórze: bardzo starego mężczyzny, a jednak mającego w sobie witalność młodzieńca. Nosił obszerną koszulę w czerwone, purpurowe, czarne i żółte pasy, oraz spodnie z takiej samej tkaniny. Źródłem światła były trzy latarnie, które wisiały na kołkach i nadawały świeżo okorowanym żerdziom ścian wygląd złotych prętów.

Brujo – Mingolla bowiem wiedział, że ma do czynienia z czarownikiem – powitał go skinieniem głowy, a potem na powrót wbił wzrok w skomplikowany wzór nakreślony na gruntowej podłodze chaty. Mingolla też spojrzał na wzór – który niewolił oczy i nieustannie ścigał je ku środkowi jak plan labiryntu – uświadamiając sobie, że jest prawzorem świata i czasu, stwarzanym – to ich jedyne przeznaczenie – przez wzory myśli i działań wszystkich żywych istot. Podążając wzdłuż linii wzoru, znalazł ów szczególny punkt, w którym on i Debora wywarli wpływ na charakter splotu, przy czym zrozumiał, że jego wizje przyszłości – ta była jedną z nich – nie są niczym niewytłumaczalnym bądź magicznym, stanowią bowiem wynik zestrojenia się ze wzorem, przecięcia nurtu i wglądu w inne punkty znajdujące się na trasie jego przepływu. Zamierzał właśnie zajrzeć w przyszłość, poza spotkanie z Izaguirre'em, kiedy brujo zamaszystym gestem startł wzór i szeroko się do Mingolli uśmiechnął.

– Dlaczego to zrobiłeś?

Brujo wyciągnął ramię i dotknął czoła Mingolli, a kiedy przemówił w przypominającym krakanie chropawym języku pełnym przesadnie dźwięcznych „h” i przydechów, Mingolla rozumiał każde słowo.

– Nie miałem wyboru – powiedział brujo. – Zostało mi to nakazane.

Odpowiedź, chociaż zakrawająca na unik, usatysfakcjonowała Mingollę, któremu nie przychodziło do głowy żadne więcej pytanie.

– Powiedz mi, czego się nauczyłeś – poprosił brujo.

W pierwszej chwili uznał, że to nierealne, nauczył się bowiem tak wiele, zaraz potem jednak stwierdził, że udziela spójnej lakonicznej odpowiedzi, jak gdyby żądanie brujo odwołało się do najwłaściwszego poziomu jego samowiedzy, wyłowiło zeń te i tylko te informacje, które są akurat potrzebne.

– Nauczyłem się, że wszystko, co ludzie sobie cenią, to kpina – odparł. – Złudzenie. Że to, co uważają za rzeczy najbardziej dla siebie zasadnicze, może im zostać odebrane w imię kaprysu. Że działanie jest pozbawione sensu, że pokój i wojna są w istocie tym samym, że piękno i prawda to koncepty głupców, że głupcy wreszcie rządzą wszędzie, głosząc mądrość, która jak muzyka i dym istnieje przez moment, a potem przestaje istnieć.

– Wiesz to wszystko – powiedział brujo ze zdumieniem – a jednak jesteś smutny? -? Zaczął parskać salwami śmiechu, który skłębionym w drzwiach smugom mgły kazał upozować się na podobieństwo tańczących kobiet.

– Dlaczego nie miałbym być smutny? – spytał Mingolla.

– Moim zdaniem to wszystko jest cholernie smutne.

– Jest smutne tylko dlatego, że tak naprawdę w to nie wierzysz – odrzekł brujo. – Nie chcesz, żeby było prawdą. Ledwie jednak zaakceptujesz tę prawdę, uprawomocnisz również inne prawdy i przekonasz się, że nie jest tak źle.

– Wątpię.

– Wątpliwości chwilowo wystarczą – stwierdził brujo, a potem, bezbłędnie imitując głos Mingolli, dodał: – Człowiek powinien iść po swoim, nie?

Poirytowany Mingolla zapytał:

– Co ja tu właściwie robię?

– Po prostu sprawdzam twoje postępy – wyjaśnił brujo.

– A kim ty, do cholery, jesteś?

– Twoim krewnym – odparł brujo z wariackim chichotem. Podniósł z ziemi roślinę o fioletowych kwiatach z karmazynowymi punkcikami w środku; machnął nią przed nosem Mingolli. – Ci idioci z miasta nie są jedynymi, którzy o tym wiedzą, a już na pewno nie odkryli tego pierwsi... tylko nadużyli jako pierwsi. Teraz za to zapłacili.

– Czy coś się stało w mieście? – zapytał Mingolla.

– Niebawem się dowiesz – powiedział brujo. – W tej chwili nie ma sensu poświęcać temu uwagi. Kiedy się jednak dowiesz, pamiętaj, że nie byłeś przyczyną, tylko iskrą.

Mingolla nie potrafił sformułować żadnej odpowiedzi.

– Wiele się musisz jeszcze nauczyć – dodał brujo. – O tym też pamiętaj.

Słowa, ton głosu brujo, wyrażały jakąś nadzieję, Mingolla więc podniósł wzrok na czarownika, oczekując dobrych wieści. Ale nie usłyszał żadnych.

– Musi nastąpić znaczne pogorszenie, zanim przyjdzie poprawa – rzekł brujo, który, tak samo jak jego chata, rozwiewał się, przemieniał w coś równie niematerialnego, jak mgła. – A kiedy w końcu przyjdzie, przestaniesz się przejmować. A przynajmniej przejmować w taki sposób jak teraz.

Mimo nierzeczywistej aury sen był tak plastyczny, że obudziwszy się w samochodzie, Mingolla oczekiwał jakiegoś dowodu, iż spotkanie z brujo naprawdę miało miejsce. Przyklejonego do spodni strzępu paproci, listka ziela. Nic takiego nie znalazł, a mimo to dysponował swoistym dowodem. Wiedzą o kataklizmie w mieście Panama. Równie prawdziwą i namacalną, jak złota moneta trzymana w dłoni.

Debora ciągle spała, wciśnięta w kąt samochodu. Przesunął dłonią po jej boku, kochając ją,

a zarazem pragnąc, by miłość miała większe znaczenie niż to, jakie uzyskała w Panamie. Poruszyła się, zamrużyła powiekami.

– O co chodzi?

Pochylił się, odgarnął kosmyk włosów z jej policzka, pocałował.

– Spij – powiedział.

Usiadła z wysiłkiem, powiodła spojrzeniem po zaporowanych szybach, jak gdyby obudziła się w zupełnie nieznanym miejscu.

– Czy stało się coś nowego? – zapytała.

Rankiem ruszyli drogą w stronę szarej poświaty i dotarli na grań ponad doliną. Tres Santos leżały w przeciwnym końcu doliny pomiędzy dwoma porośniętymi dżunglą i niemal schodzącymi się urwiskami, które z ich punktu widzenia przypominały dwie zakapturzone postaci, gapiące się na niefortunny rzut kośćmi: małymi białymi domkami o skrytych jeszcze w cieniu oknach i drzwiach. Dolinę otaczały zewsząd pozornie bezkresne zielone góry; wiły się pomiędzy nimi drogi, które wyglądały jak smużki czerwonej przędzy. Nad urwiskami przewały się i zmieniały kształty brzuszyska ciemnych chmur, zagęszczając duszną i posępną atmosferę.

Zjechali z grzbietu i gruntową drogą przez wieś, omijając leżące tu i ówdzie szare głązy inkrustowane miką, dotarli do cantiny, której fasadę zdobił wyblakły fresk przedstawiający opancerzonego jeźdźcę. Cantiny Cortez. Drzwi były otwarte, w barze stało kilku mężczyzn, zapatrzonych w przenośny telewizor. Niskich krzywonogich mężczyzn o prekolumbijskich twarzach, mężczyzn ubranych w białe bawełniane spodnie i poncza. Kiedy Debora i Mingolla weszli z karabinami pod pachą, mężczyźni pozdrowili ich pochylem głow i wrócili do oglądania telewizji; z odbiornika dobiegł podniecony głos, a przez ekran przepływał zaśniewany obraz ruin.

– Bomba? – powiedziała Debora. – W Panamie... bomba?

– Tak – odrzekł barman, człowiek starszy niż pozostali, ze smugami siwizny we włosach. – Bomba atomowa. Okropne.

– Musiała być bardzo mała – dodał ktoś inny. – Zostało zniszczone tylko jedno bardo.

– Ale w innych barriach też umierają ludzie – uzupełnił trzeci mężczyzna. – Któż mógł to zrobić?

Nowiny legły na Mingolli ciężkim brzemieniem, przyprawiły go o mdłości.

– Szukam kogoś – powiedział wreszcie. – Wielkiego czarnego mężczyzny o nazwisku...

– Senior Tully – dopowiedział za niego barman. – Przybył dziś rano. Proszę skrócić w lewo na najbliższym rogu, a znajdzie go pan w trzecim domu po prawej.

Mingolla słuchał minutę dłużej głosu, który wyliczał ofiary i opisywał okropieństwa kary wymierzonej przez Carlita – takiej samej, jaka spadła na Tel Awiw. Drobna ironia losu, zapewne nie uwzględniona w planach Izaguirre'a. Kiedy wyszedł z knajpki, Debora siedziała na masce

samochodu.

– Tully tu jest – zakomunikował Mingolla. – Może będzie wiedział, co się właściwie stało.

– Wiem, co się stało – odparła. – Izaguirre ich rozwalił. Kurwa! – zeskoczyła z samochodu i kopnęła czerwoną ziemię. – Zachowywałam się jak durna dziewczynka. Nie powinnam im była wierzyć! – odeszła parę kroków, gwałtownie odwróciła się do Mingolli. – Musimy zabić pozostałych! Albo oni nas zabiją. Twoje sny, twoje halucynacje na temat przyszłości... muszą być trafne. Nie rozumiałam tego dotąd, ale teraz wszystko jest jasne.

Bardziej oszołomiła go reakcja Debory niż wiadomość o bombie. Wyglądała, jakby miała wybuchnąć, wymachiwała karabinem na wszystkie strony, daremnie poszukując odpowiedniego celu.

– Chodźmy do Tully’ego – powiedziała.

Po drodze przypatrywał się jej kątem oka, zauważając, jak gniew... nie, nie gniew, lecz odbudowane zaangażowanie dłutowało z jej twarzy słabość i troskę, czyniąc Debora piękniejszą niż kiedykolwiek dotąd. I właśnie w twarzy Debory, w jej czystej surowości, dostrzegł cały obłęd ich związku. To, jak jedno z nich pchało, a drugie ciągnęło. Jak potrzeba zaangażowania Debory pchała ich do jednego punktu i jak jego, Mingolli, gniew ciągnął ich dalej, do następnego, w którym Debora znajdowała szansę podjęcia nowej misji. Jak zerowali na tej wymianie i nazywali ją miłością. Może zresztą to była miłość, może miłość jest częścią obłędu. I choć uzmysłowił sobie to wszystko, kochał ją, kochał miłość. Kochał do takiego stopnia, że jakiegokolwiek zanegowanie było niemożliwe. Bo aby odrzucić tę miłość, musiałby przestać kochać siebie samego, a jakkolwiek zrobiłby to bez skrupułów w innych okolicznościach, teraz nie mógł sobie na to pozwolić.

Tully, z karabinem na kolanach, siedział na krześle przed domem. Gdy ich zobaczył, pomachał na powitanie; rozlazłe, jak gdyby jego ręka była pozbawiona kości.

– Cieszę się, że tu dotarłeś, Davy – powiedział słabym głosem. Miał przekrwione oczy, wyglądał na wypranego z energii, wycieńzonego.

– Gdzie Corazon? – zapytał Mingolla.

– W domu – odrzekł Tully. – Wygląda na to, że dostała dawkę. Wygląda na to, że ja też dostałem.

– Promieniowania? – zapytał Mingolla, którego nagle opadło poczucie winy.

Tully przytaknął.

– Ale wyście chyba wykręcili się sianem.

– Co tam się stało? -? zapytała Debora.

– Cholera, nie wiem. Coś w pałacu, ale nie jestem pewien. Cały dzień trwały zamieszki. Ludzie obrzucali się oskarżeniami o to czy tamto. Walczyli na ulicach. Potrzebowaliśmy z Corazon prawie całego dnia, żeby wypłynąć na czyste wody. Ale nie odpłynęliśmy dostatecznie

daleko. To musiała być bomba taktyczna, bo inaczej zostałyby z nas cienie na skale. – Zakaszał, wytarł usta, sprawdził na dłoni, co Odpluł. – Nadbrzeżną szosą dotarliśmy aż tutaj. Pójdę o zakład, żeście się zgubili we mgle. – Taa – odrzekł Mingolla.

Tully wydał z siebie tak przeciągłe westchnienie, że Mingolla zwątpił, czy kiedykolwiek się skończy.

– Mon – powiedział – myślałem, że wszystko musi się obrócić na lepsze, a tu masz. – Spojrzał na Mingollę spod oka. – Wykrztuś wreszcie, co ci leży na wątrobie, Davy.

– Tully, ja...

– Zabieraj się stąd, Davy. Nie chcę wysłuchiwać pierdzielenia o smutku i dawnych czasach. Stało się i kwita. Człowiek mógł trafić w gorsze miejsce na własny po grzeb. – Roześmiał się, a śmiech przyprawił go o kolejny paroksyzm kaszlu. Kiedy doszedł do siebie, powiedział:

– Tutejsze głupki myją trupa w soku z limonów, owijają w białą płachtę, a potem nad nim śpiewają. Sok z limonów! Wierzą, że ten sok jest dobry na wszystko. Na dyzenterię, gorączkę i jako przyprawa, żeby człowiek smakował Jezusowi. – Machnął karabinem. – No, idź już. Ten strumień, który zaznaczyłem na mapie, płynie przy końcu ulicy. Z brzegu zobaczysz szlak. Przeleż tylko przez te dwie wielkie góry na wschodzie i trafisz prosto do jednej z tych wiosek, o których ci mówiłem.

Mingolla walczył z pokusą zrobienia czegoś idiotycznego, na przykład upierania się, że chce zostać. Ale skoro Tully chciał, żeby to było szybkie i wyciszone, mógł mu przynajmniej w tej sprawie pójść na rękę. Pozwolił sobie tylko na słowa: – Będzie mi ciebie brak, Tully – a potem, nie oglądając się na Deborę, nie chcąc słyszeć odpowiedzi Tully'ego, nie życząc sobie ani trochę więcej wiedzy czy też wyrzutów sumienia, odwrócił się na pięcie i odszedł. Kiedy mijał okno domu, usłyszał trzask odbezpieczanej broni. Zrobił przewrót przez ramię, usłyszał gdakanie automatu i świst przelatujących bliźutko kul, wymierzył karabin w okno i na ułamek sekundy przed otwarciem ognia ujrzał kompletnie wypraną z emocji twarz Corazon, której różane oko sprawiało wrażenie wypełnionego krwią. Pociski Mingolli odrzuciły Corazon od okna i wycisnęły z jej piersi ochryple stęknięcie.

Niepewnie podniósł się na nogi. Debora szachowała Tully'ego swoim karabinem, a Tully z najwyższym trudem zachowywał postawę pionową. Mingolla podeszedł do okna, wbił spojrzenie w półmrok pokoju. Corazon została ciśnięta na łóżko: rozkrzyżowana, leżała na białym pledzie, który jej krew i cienie pomalowały w surowy abstrakcyjny wzór. Jej automat spoczywał na ziemi. Tully chwiejnie wszedł do pokoju, stanął jak wryty.

– Co ty zrobiłeś, mon? – wykrzyknął. – Co ty zrobiłeś.

– Usiłowała mnie zastrzelić – odrzekł Mingolla. – Nie miałem wyboru, nie miałem nawet chwili do namysłu.

– Nikogo nie próbowała zastrzelić! – Tully opadł przy łóżku na kolana, zawiesił dłonie nad

ciałem; krew ciągle płynęła z ust i piersi Corazon, wydawało się więc, że Tully nie wie jeszcze, gdzie te dłonie położyć, którą dziurę zatkać.

Za plecami Mingolli rozległy się głosy. Odwrócił się, zobaczył, że Debora wyjaśnia grupce ciekawskich, co się stało. Kiedy znów spojrział w okno, ujrzał Tully'ego, który z broni Corazon mierzył mu w pierś.

– Niech cię, cholera, Davy! – powiedział. – Zawsze najpierw działałeś, a dopiero później myślałeś.

– Posłuchaj – odparł Mingolla. – Próbo wała mnie zabić. Jakie miałem wyjście?

– Niby dlaczego chciała cię zabić? – Tully drżał, a jego palec spoczywający na spuście dygotał. – Nie miała powodu, żeby cię zabijać.

– No, nie wiem, człowieku. Może ktoś jej nakładł do głowy, żeby to zrobiła... a może była po prostu szalona, zbyt chora, żeby myśleć trzeźwo. Nie wiem.

– Mówisz mi, że była jak tamci, te puste łupiny naładowane przez Sotomayorow gównem? Nie mów mi takich rzeczy! Znam ją, mon. Ona wcale nie była taka!

Nagle Mingolla zapragnął, żeby Tully nacisnął spust, skończył tę niepewność.

– Co miałem zrobić? – wrzasnął. – Pozwolić, żeby mnie ukatrupiła? Dać ci jebany powód, żebyś mnie mógł, kurwa, opłakiwać? Pieprzysz jak porąbany, człowieku! Chcesz mnie zabić, to się nie szczyp! Zasuważ! Naciśnij ten jebany spust! Może tobie też ktoś nakładł gnoju do łba, kazał ci to zrobić. Może ta cała pierdolona nawijka o Tres Santos to kolejny greps Sotomayorów!
– Przynął się do okna i wypiął pierś, prowokując Tully'ego. – No, zasuwaj, człowieku!

– Myślisz, że nie strzelę? – zapytał Tully. – Wstrzymuje mnie tylko to, że przyłożyłem rękę do tego, żebyś stał się taki, jaki jesteś.

W miejscu Tully'ego Mingolla ujrzał wielki czarny cień, istotę z mroków, pustą, nienawistną, umięśnioną nicość ze spoconym czołem i przekrwionymi oczyma.

– Pierdołę cię, Tully – powiedział i zogniskował swój gniew w strumień jadowitej energii, który zakręcił Tullym jak bakiem. Broń Tully'ego zaczęła strzelać w sufit, ściany, podłogę. Usiłował wymierzyć ją w okno, upuścił, złapał się rękoma za skronie, wydał z siebie syk, który spotężniał w skowyt. Potem padł na łóżko, zwinął się w kłębek na boku, jego palce drżały przy skroniach, jak gdyby usiłowały na powrót wcisnąć pod czaszkę myśli, które szaleńcza wściekłość wyganiała na świat.

Chwilę później było po nim. Zgasł, zupełnie pusty, wlepiając niewidzące oczy w zawieszony na ścianie krzyż z czarnego drewna, który wyglądał jak cięcia pozwalające wejrzeć w domenę mroku.

Mingolla płakał. Powiedziała mu o tym jedynie wilgoć na twarzy, bo poza tym nie czuł niczego. Łzy mogły być właściwie przypadkowe, ot, uzbierał ich w sobie zbyt dużo i po prostu musiał ulać kilka kropel. Odwrócił się od okna, krzywonodzy mężczyźni zaś cofnęli się przed

nim, patrząc bez ciekawości; nie okazywali strachu, nie okazywali żadnych silniejszych emocji. Bo też, uświadomił sobie, nie byli świadkami niczego niezwykłego. Łzy i gwałtowne śmierci były stałymi elementami ich codzienności, choć więc może nie pojmowali konkretnych uwarunkowań tej sytuacji, dobrze rozumieli, że nie powinna ich obchodzić; zasmakowali łez i śmierci do wypęku, nie interesowało ich więc branie na swoje barki nieszczęść nieznajomych, a tym bardziej formułowanie osądów moralnych. Wszystko to wyczytał w ich twarzach, wszystko to uznał za godne podziwu i słuszne.

Z brzegu wąskiego strumienia u podnóża góry Mingolla widział oddalony o niespełna sto jardów skraj wioski. Widział całą jej sielankowość – kwiaty w zaokiennych skrzynkach, dym bijący z cynowego komina, starca lawirującego wśród wykrotów. Nic nie zasłaniało widoku, ale Mingolla wiedział, że to tylko złudzenie. Spalił za sobą mosty, nie było odwrotu.

Zbocze góry piętrzyło się przed nim równie majestatycznie, jak pagór Mrówczej Farmy, ale roztaczało jeszcze bardziej złowróżbną aurę. Jej martwy milczący ogrom zapowiadał wspinaczkę rów nie posepną, jak realizacja planu pięcioletniego – i w takim samym stopniu pozbawioną radosnego finału. Mingolla nie palił się, żeby ją rozpocząć.

– Rozmyślasz o Tullym? – zapytała Debora.

– Nie – odrzekł. Sprawiała wrażenie zaskoczonej.

– Nie wiem właściwie, dlaczego – dodał. – Po prostu te myśli nie przychodzą.

– Wiem, jak to jest... czasem człowiek nie potrafi na bieżąco myśleć o najważniejszych sprawach. Trzeba pozwolić, aż zmaleją w oddali.

– Może – powiedział. – A może ta wcale nie była ważna.

– To nieprawda.

– Przecież nie wiesz, co czuję.

– Ależ wiem. – Miała szeroko otwarte oczy i zaciśnięte usta, jak gdyby usiłowała ukryć jakiś stan emocjonalny. – Dokładnie wiem, co czujesz.

Posiedzieli trochę na głazie przy strumyku, mobilizując się przed wspinaczką. Strumień był jedynym dynamicznym elementem w całej okolicy. Jego nurt barwy herbaty gnał nad kamienistym dnem, spieniał się na przełomach w białą koronkę; z fal sterczały pomarańczowe, bogate w rudę żelaza złomy skalne, a nad nimi płały muszki. Z brzegu zwieszały się frędzle małych kwiatków o bladoróżowych płatkach, karmazynowych kielichach i ciemnych włochatych łodyżkach. Gdziekolwiek Mingolla spojrzeł, jego oczy wyławiały nieskończoną liczbę szczegółów, skomplikowane mozaiki życia, wzory zbyt misterne, aby je można było rozwikłać – i cała ta złożoność osłabiała w nim pewność własnej kompetencji, uświadamiała mu, jak kalekie są jego sądy, jak ułomne miłości i nienawiści. Może najlepiej byłoby tu zostać, pomyślał, i poczekać na tych, którzy wkrótce nadciągną ich tropem. Słońce słało przez szczelinę pomiędzy chmurami szaro-białe, jakby rozwodnione promienie, które, jak się zdawało,

wyławiały z niebytu najcieńsze łądyżki, pręciki i włókienka, krążyły wokół Mingolli i Debory, zakłócając spokój powietrza nieustanną fluktuacją temperatur i ciśnień, która rozstrajała Mingollę tak jak tło z leniwych cieni albo wielojęzycznych wrzasków. Nic nie było wyraziste, nawet pokusa, by siedzieć i czekać. W końcu jednak jakiś niejasny impuls kazał mu wstać i rozpocząć wspinaczkę.

Była powolna. Potykali się i tracili rytm, jak gdyby przeszkadzało im brzemień własnych niepewności. Kiedy jednak dotarli na szczyt i ujrzeni przed sobą wygarbione aż po horyzont, zarosłe dżunglą góry Darien, doświadczyli uczucia, że znaleźli się oto w jednym z tych osobliwych Bożych miejsc, gdzie strukturalny bezmiar życia staje się czytelny, a wszystkie ścieżki – jasno nakreślone. Na zachodzie wychynęło niskie już słońce, a jego ciężki złoty blask, odbity od krawędzi łupkowoszarej chmury, wykrzesał metaliczną świetlistość z każdej barwy. Zieleń zbcoczy jakby fosforyzowała, powietrze sprawiało wrażenie wypolerowanego. Widok był tak niewiarygodnie bogaty, a zarazem czytelny, że obiecywał nadzieję i magiczne możliwości. Nad jedną z gór tęcza uciekała w niebyt; nad drugą krążył sokół, ciemne strugi zacinającego deszczu zaś pieściły wierzchołek trzeciej. Przywodziło to na myśl sygnały, zwiastuny. Jak gdyby każda zielona kopuła była odrębną istotą z własnym charakterem i systemem wartości. Kiedy zaczęli schodzić, podniesiony na duchu tym widokiem Mingolla poczuł, że wraca mu pewność siebie. Maszerowali szybko, cicho, odsuwali gałęzie lufami karabinów, ich ruchy były płynne i zdecydowane – ruchy ludzi, którzy doskonale wiedzą, jaki jest ich cel. Mingolla miał wrażenie, że staje się lżejszy z każdym krokiem, że z każdym krokiem opada z niego przeszłość... i tak właśnie, uświadomił sobie, było. Przeszłość stawała się nieważka, krucha, zostawiali za sobą wszystko, co znajome, zostawiali przyjaciół i wrogów...

...David...

...tak...

... idziesz zbyt szybko...

...w dół jest łatwo... nadrobimy czas...

...tak się tylko wydaje, schodzenie bardziej daje się nogom we znaki niż wspinaczka...
wkrótce zaczniesz to odczuwać...

...w porządku...

...zostawiali wspomnienia i więzi, uczciwość i dwulicowość...

...popatrz, David... ten ptak...

...taaa, dziwny..?

... widziałeś ogon, rubinowe pióra na piersi... to był ąetzał...

...co z tego...

...są bardzo rzadkie... ich widok przynosi szczęście...

... szczęście... taaa, jasne...

...nie wyśmiewaj się ze szczęścia... nam ono dopisało...

...Tully... to szczęście?... Panama... to szczęście?

...bardziej niż innym...

...zostawiali lęk przed śmiercią i pragnienie życia, zostawiali nadzieję i brak wszelkiej nadziei...

...kiedy wstąpiłam do ruchu...

...nie chcę słuchać tych bzdetów, De boro...

...nie, posłuchaj... kiedy wstąpiłam do ruchu, mniej więcej trzydziścioro z nas spędziło porę deszczową w Peten... to było straszne, żyliśmy jak ziemnowodne zwierzęta, nasze kryjówki gnily, nasze ubrania zachodziły pieśnią... chorowaliśmy na malarię, dyzenterię... niektórzy złapali lejszmaniazę...

...zostawiali za sobą zwyczajne, przewidywalne...

...co...

...to pasożyt żerujący na chrząstce uszu i nosa... no więc tkwiliśmy tam miesiącami... w nieskończoność, jak się zdawało, a ja straciłam z poła widzenia powód, dla którego tam byliśmy... po prostu byliśmy, stanowiąc element rozkładu, deszczu... i wszelkie możliwe cele i dążenia straciły dla mnie sens... czasem byłam w takiej depresji, że z trudem unosiłam głowę, ale potem do obozu przyszedł ten małałat, chłopak z wioski położonej w pobliżu Cobdn... śpiewał i opowiadał historie... piękne historie... z początku go nienawidziłam, bo jego beztroska zakrawała na niemoralność... a także to, że zmuszał mnie, bym zapominała o swojej udreće... udrećka była dla mnie ważna, widziałam w niej integralną część etyki rewolucyjnej...

...zostawiali za sobą sny i samo pojęcie snów, sny bowiem i rzeczywistość stapały się w koncept woli działania...

...no i raz opowiedział historię, nie pamiętam właściwie o czym, ale przypominam sobie niektóre słowa... przemówiły do mnie... no więc mówił o kimś, kto był bardzo smutny... a sądzono powszechnie, że obok tego świata musi być jakiś inny, ale umiano sobie tylko wyobrazić bezpieczne nudne miejsce, gdzie żyje się jak u mamy za piecem, to zaś nie wystarczało wielu ludziom, nie wystarczało tej konkretnej osobie, tajemnica natomiast uporania się ze smutkiem...

...zostawiali za sobą smutek i radość...

...polegała na tym, aby znaleźć opowieść, uczucie, bajkę tak kuszącą, że będzie jak inny świat, jak kontynent wyłaniający się z mórz, kontynent z flamingami, złotymi melonami i zwierzętami piękniejszymi niż marzenie, i taki świat pozwoli ci zostać człowiekiem, jakiego udawałeś, nawet przed sobą, no więc jeśli tego dokonasz, wejrzysz w siebie i znajdziesz taki kraj, to obojętne czy będzie kłamstwem, głupotą lub dziecinadą, zdołasz przetrwać wszystkie rzeczywiste okropności, które przeczą jego istnieniu... przynajmniej przez jakiś czas... i tośmy

właśnie znaleźli...

...małolat przetrwał...

...nie, ale dzięki niemu przetrwaliliśmy porę deszczową, wyszliśmy z dżungli i wciąż mieliśmy siłę, by podjąć walkę...

...zostawiali za sobą myśl o pokoju, wkraczając w regiony surowej moralności przemocy z jej własnym continuum zachowań i możliwości...

...czy rozumiesz, David...

...jeszcze jedna bzdura... – ...oczywiście, tak...

...no więc dlaczego...

...pamiętam coś jeszcze ze słów chłopaka... to dotyczy historii, którą mężczyzna opowiedział kobiecie, aby ją przestraszyć i przywabić, dzięki czemu mógłby ją uwieść... to historia o zielonym kocurze diabła, który jarzy się w mroku pod diabelskim tronem, grasuje po ziemi i skłania do grzechu... nie tylko grzechu... ekstremalnych zachowań, działań... bo chociaż należy do diabła, to jak wszystkie koty jest niezależny, ma własne uprzedzenia, własną wizję tego, co stosowne... i kiedy historia dobiegła końca, kiedy mężczyzna uwiódł kobietę i kiedy szczęśliwi leżeli obok siebie, kobieta uświadomiła sobie, że ta historia była jedynie łągarstwem, elementem taktyki, która ją skutecznie zwiodła, ale nie przejmowała się tym, kiedy zaś poprosiła mężczyznę o potwierdzenie swych przypuszczeń, mężczyzna roześmiał się i odparł: Oczywiście, nie ma czegoś takiego jak zielony kocur diabła, który jarzy się w mroku pod jego tronem, krzesze pazurami iskry z kamieni Piekła, węższy zapach spalenizny, wydaje prychnięcia, w których są słowa: „Żyj lub umrzyj, kochaj albo bądź przeklęty”...

...i zostawiali za sobą nawet miłość, przynajmniej chwilowo, bo miłość zmieniała się w swój wojenny odpowiednik, gardzący sentymentem i przyznający się tylko do cnót swej potęgi...

...czy nie widzisz, David... że to samo dzieje się z nami... zawsze to samo... kocham cię i nie jest ważne dlaczego...

...zostawiali za sobą logikę, zostawiali wszystkie zwyczajne prawdy...

...kocham cię...

...a jednocześnie, przy całej prostolinijności swych zamysłów, przy całej czystości ich gniewu, przy braku jakiegokolwiek wyboru, zabierali ze sobą wszystko, co było istotne.